

HARRY HARRISON

DROGA KRÓLA

Rozdział pierwszy

Cała Anglia, dławiona mroźnym uściskiem najcięższej od niepamiętnych czasów zimy, spoczywała pod lodowatym całunem śniegu. Wielka rzeka Tamiza ukryła swój nurt pod lodem, który skuł jej wody od brzegu do brzegu. Droga wiodąca na zachód, do Winchesteru, była w istocie wyboistą, ohydną koleiną, pełną zamrzniętych śladów końskich kopyt i brył skawalonego nawozu. Konie ślizgały się po lodzie, z ich nozdrzy buchały gęste kłęby pary. Jeźdźcy, skuleni i drżący z zimna, spoglądali w kierunku ciemnych murów wielkiej katedry i kłuli ostrogami zdrożone wierzchowce, na próżno starając się zmusić je do szybszego biegu.

Był dwudziesty pierwszy dzień marca roku osiemset sześćdziesiątego siódmego od Narodzenia Pańskiego, dzień wielce znamienity. Dziś bowiem odbywały się królewskie zaślubiny. W ławach zasiadła wojskowa arystokracja Wessex. Wszyscy erlowie, tanowie i szeryfowie, którym udało się wcisnąć do środka, tłoczyli się teraz w obrębie kamiennych ścian, ociekając potem i wyciągając szyje, a zewsząd rozlegał się cichy szmer dociekliwych i zniecierpliwionych głosów, przybierający stopniowo na sile, w miarę jak podniosła ceremonia koronacji chrześcijańskiego króla toczyła się swoim uroczystym trybem.

Po prawej stronie, w ławie przy samym ołtarzu wielkiej katedry w Winchester, zajął miejsce Słief Sigvarthsson, współrządca Anglii u boku króla Alfreda - a także udzielny król wszystkich tych ziem na północ od Tamizy, którym zdołał narzucić swoją zwierzchność.

Siedział niespokojny, świadom spoglądających na niego wielu par oczu.

Patrzący widzieli mężczyznę w trudnym do odgadnięcia wieku. Gęste ciemne włosy i starannie ogolona twarz sprawiały, że wyglądał młodo, zbyt młodo, by nosić na czole złoty królewski diadem i ciężkie bransolety na rękach. Wzrost i szerokie ramiona objawiały wojownika w pełni swych męskich sił - albo kowala, którym był za młodu. Lecz ciemne włosy znaczyły białe pasma, a twarz złościły bruzdy wyryte przez troski i ból. Nie miał prawego oka i chociaż zasłaniał pustą jamę oczodołu przepaską, to jednak głębokie wklęsnięcie pod materiałem i tak zdradzało jego kalectwo. Cała Anglia oraz pół Europy wiedziało, że oślepieno go na rozkaz Sigurtha Wężookiego, najstarszego z synów Ragnara.

Wiedziano również, w jaki sposób pomocnik kowala doczekał się swojej zemsty, zabijając brata Sigurtha, Wara Bez Kości, mistrza

Północy. W tym celu przeszedł długą drogę od półwolnego thralla do kerla w Wielkiej Armii Wikingów, aż został jarlem pod rozkazami Alfreda Athelinga. A teraz był już królem, rządził wraz z samym Alfredem i obaj, nie dalej jak rok temu, odnieśli wspólne zwycięstwo nad Frankijską Krucjatą. Krążyły liczne pogłoski na temat przedziwnego znaku, który nosił na szyi jako symbol Drogi

Asgard, a którego nikt przed nim nie używał: była to kraki, drabina tajemniczego bóstwa Rig.

Shef wcale nie chciał oglądać koronacji, a tym bardziej uroczystości, która miała odbyć się potem. W miarę jak patrzył, bolesne bruzdy na jego twarzy pogłębiały się. Rozumiał jednak, dlaczego musi tu być, on sam oraz jego ludzie: aby zaznaczyć swoją obecność i wesprzeć króla, z którym dzielił władzę. Przyszedł, albowiem takie było życzenie Alfreda, brzmiące niemal jak rozkaz.

- Nie musicie uczestniczyć w mszy - oświadczył Alfred bezceremonialnie. - Nie musicie nawet śpiewać hymnów. Ale chcę widzieć was na koronacji, wasze sztandary i twoją koronę, Shef. To ma być wielkie widowisko. Wybierzcie najroślejszych ludzi, pokażcie bogactwo i potęgę. Chcę, aby wszyscy widzieli, że popierają mnie bez reszty ludzie z Północy, pogromcy Wara Bez Kości i Karola Łysego. Paganie. Nie dzicy paganie, którzy handlują niewolnikami i składają krwawe ofiary, jak synowie Ragnara, ale ludzie Drogi

Asgard, wierni druhowie.

To im się przynajmniej udało, pomyślał Shef, rozglądając się wokół. Dwa tuziny ludzi Drogi, niesłychanie dumnych z tego, że to ich wybrano, aby zasiedli w pierwszych ławach, prezentowały się wspaniale. Guthmund Chciwy, z bransoletami na rękach, w naszyjniku, przepasany rzemieniem z ciężką klamrą, miał na sobie więcej złota i srebra niż pięciu tanów Wessex razem wziętych. Oczywiście, brał trzykrotnie udział w łupieskich wyprawach pod wodzą Shefa, a opowieści o nich, choć przeszły do legendy, wcale nie były przesadzone. Thorvin, kapłan Thora, i jego towarzysz Skaldfinn, kapłan Njortha, chociaż pełni wzdęty dla ziemskiego zbytku, oblekli się w lśniącą biel i dzierżyli oznaki swego urzędu: Thorvin - krótki młot, Skaldfinn zaś - małą łódź żaglową. Cwicca, Osmód i pozostali angielscy wyzwolenicy, weterani wielu wypraw Shefa, nie mogli imponować posturą, gdyż w młodości przymierali głodem, ubrani byli za to w jedwabne tuniki, będące, nie tylko zresztą dla nich, wyrazem niesłychanego przepychu. Na ramionach opierali z namaszczeniem narzędzia swego bitewnego rzemiosła: halabardy, kusze i korby do katapult. Shef podejrzewał, że sama obecność tych ludzi, ponad wszelką wątpliwość Anglików, ponad wszelką wątpliwość nisko urodzonych i ponad wszelką wątpliwość tak bogatych, że niejedynemu z tanów Wessex, nie mówiąc o zwykłych churlach, mógł im jedynie pozazdrościć, stanowi najlepszy dowód potęgi Alfreda, jaki tylko można sobie wyobrazić.

Ceremonia rozpoczęła się wiele godzin temu uroczystą procesją, która przeszła z rezydencji królewskiej do katedry - odległość zaledwie stu jardów, ale każdy krok zdawał się urastać do rangi oddzielnego rytuału. Potem nastąpiła suma w katedrze, kiedy to dostojnicy z całego królestwa rzucili się tłumnie przyjmować najświętszy sakrament, powodowani nie tyle pobożnością, ile raczej pragnieniem, by nie ominęły ich żadne łaski i błogosławieństwa, które miały stać się udziałem innych. Wśród nich, jak zauważył Shef, trafiały się nierzadko nader osobliwe indywidua, odbijające od reszty mizerną posturą i zgrzebnym odzieniem - dawni niewolnicy, których Alfred obdarzył wolnością, oraz churlowie, których wywyższył. Byli tu teraz, aby ponieść świadectwo do rodzinnych miasteczek i wiosek: by stało się wiadomym wszem i wobec, że Alfred Atheling jest odtąd królem Alfredem, władcą nad całą Ziemią Zachodnich Sasów, tako na mocy praw ludzkich, jako i danych mu przez chrześcijańskiego Boga.

W pierwszym rzędzie, górując nad sąsiadami, zajął też miejsce marszałek Wessex, wybierany, jak nakazywał obyczaj, spośród najdzielniejszych w walce wręcz wojowników w królestwie. Obecny marszałek, Wigheard, był rzeczywiście imponującej postury, mierzył ponad sześć i pół stopy wzrostu, ważył zaś niemal co do uncji dwadzieścia angielskich kamieni*. Paradny miecz króla nosił przed sobą na długość wyciągniętego ramienia bez wysiłku, niczym kawałek patyka, a ciężką halabardą potrafił fechtować z tak niesłychaną wprawą, jakby wymachiwał wierzbową gałązką.

Jeden z ludzi Shefa, siedzący na lewo od niego, miał najwyraźniej trudności ze skupieniem uwagi na ceremonii, bowiem nieustannie zerkał na mistrza. Olbrzym Brand, też mistrz ludzi z Helgolandu, wciąż jeszcze był wycieńczony i słaby na skutek rany brzucha, której doznał podczas pojedynku z Iwarem Bez Kości, lecz z wolna odzyskiwał siły. Chociaż stracił na wadze, nadal wydawał się większy od mistrza. Skóra ledwo mogła przykryć jego wielkie kości, knykcie jego

dłoni przypominały skaliste turnie, a wydatne czoło sterczało nad brwiami niczym okap hełmu. Pięści Branda, jak pewnego razu zauważył Shef, były większe od półkwartowych kufli: nie tyle po prostu wielkie, ile wręcz nieproporcjonalne w stosunku do reszty ciała. "Tam, skąd pochodzę, ludzie są rośli", zwykł mawiać Brand.

Gwar momentalnie ucichł, kiedy Alfred, po tym jak kapłan udzielił mu wszelkich możliwych błogosławieństw i wzniósł modły w jego intencji, zwrócił się twarzą do zgromadzonych, aby złożyć przysięgę. Na tę okazję wyjątkowo odstąpiono od łaciny i kiedy pierwszy spośród erłów Alfreda zadał mu uroczyste pytanie, wypowiedział je w języku angielskim.

- Czy przysięgasz zachować nasze słuszne prawa i obyczaje, czy przyrzekasz na swój majestat wydawać sprawiedliwe wyroki i bronić praw swego ludu przed każdym wrogiem?

- Przyrzekam - Alfred przebiegł wzrokiem po zatłoczonym wnętrzu katedry. - Czyniłem tak do tej pory i będę czynił nadal.

W odpowiedzi rozległ się szmer uznania.

A teraz najtrudniejszy moment, pomyślał Shef, kiedy erl wycofał się, a pierwszy z biskupów znów postąpił naprzód. Przede wszystkim biskup był zdumiewająco młody - i nie bez przyczyny. Gdy ;) Kamień - dawna angielska jednostka wagi = 14 funtów = 6,348 kg (przyp. tłum.).

Alfred został wykluczony z Kościoła, papież zaś obłożył go klątwą i ogłosił przeciwko niemu krucjatę, Alfred zdecydował się na ostateczne zerwanie z Rzymem, a wówczas wszyscy wyżsi duchowni opuścili jego królestwo. Od arcybiskupów Yorku i Canterbury aż po ostatniego biskupa i opata. Wobec tego Alfred nadał inwestyturę dziesięciu najlepiej się zapowiadającym młodszym duchownym spośród tych, którzy pozostali, i przekazał w ich ręce losy Kościoła

Anglii. A teraz jeden z nich, Eanfrith, jeszcze pół roku temu nie znany nikomu wiejski proboszcz, obecnie zaś biskup Winchesteru, wystąpił, aby odebrać od Alfreda przysięgę.

- Panie i królu, prosimy cię, byś otaczał opieką Święty Kościół, a wobec wszystkich wiernych czynił jedynie to, co nakazuje prawo i sprawiedliwość.

Eanfrith i Alfred, przypomnieli sobie Shef, trudzili się wiele dni nad wymyśleniem nowej formuły przysięgi. W dotychczasowej mowa była o zachowaniu wszystkich immunitetów i przywilejów, dziesięciny i podatków, jak również praw użytkowania i posiadania ziemi, które to prawa Alfred faktycznie zniósł.

- Przyrzekam opiekę i sprawiedliwość - odparł Alfred. Raz jeszcze potoczył dookoła wzrokiem i raz jeszcze wypowiedział słowa niezgodne ze zwyczajem. - Opiekę tym, którzy pozostali w Kościele, jak i tym, którzy są poza nim. Sprawiedliwość dla członków

Kościola oraz dla wszystkich innych.

Świetnie wyszkoleni chórzyci z Winchesteru, mnisi i młodzi chłopcy, zaintonowali pospołu hymn kapłana Sadoka, Unxerunt Salomonem Sadok sacerdos*, podczas gdy biskupi szykowali się do uroczystej chwili namaszczenia świętym olejem. Kiedy to nastąpi, Alfred naprawdę stanie się pomazańcem bożym, a bunt przeciwko niemu będzie świętokradztwem.

Wkrótce, pomyślał Shef, nadejdzie trudna dla mnie chwila. Wytłumaczono mu dokładnie, że Wessex, od czasów przeklętej na wieki królowej Eadburh, nigdy nie miało monarchini, a zatem żona króla nie może być koronowana. Alfred wyjaśnił jednak, że obstawał przy tym, by jego nowa żona została mu poślubiona na oczach wszystkich w dowód uznania dla męstwa, jakim się wykazała, gdy wspólnie gromili Franków. Tak więc, powiedział, gdy już otrzyma insygnia, miecz, pierścień i berło, zamierza powitać swą żonę przed ca*) Uraerunt.. (łac.) - Namaścił tedy kapłan Sadok Salomona (przyp.

tłum.).

łym zgromadzeniem, niejako królową, ale jako Panią Wessex. A któż jest bardziej godny, by poprowadzić ją przed ołtarz niż Shef, jej brat, a także współrządzący król?

Być może kiedyś będzie zmuszony przekazać swoje królestwo dziecku Alfreda i Pani, jeśli sam nie doczeka się potomstwa.

Shef pomyślał z goryczą, że oddaje siostrę już po raz drugi. Znów musi wyrzec się miłości i namiętności, jaka ich niegdyś łączyła. Po raz pierwszy oddał ją mężczyźnie, którego oboje nienawidzili, a teraz, jakby za karę, miał oddać ją temu, którego oboje kochali. Kiedy

Thorvin trącił go łokciem, dając w ten sposób znak, że już czas, by wystąpił naprzód i poprowadził Panią Godivę wraz z orszakiem druhen do ołtarza, Shef napotkał jej pełne triumfu spojrzenie i serce zamieniło mu się w lód.

Niech Alfred będzie sobie teraz królem, myślał odrętwiały. On sam nim nie był. Nie stały za nim ani prawo, ani siła.

Kiedy chór zaśpiewał Benedicat, Shef podjął decyzję. Zrobi to.

Dlatego, że chce to zrobić, a nie dlatego, że tak nakazuje mu obowiązek. Zbierze flotyllę, nową wspólną armadę obydwu królów, i popłynie wyładować swój gniew na wrogach królestwa: piratach z Północy, armadzie Franków, handlarzach niewolników z Irlandii czy

Hiszpanii, wszystko jedno na kim. Niech Alfred i Godiva cieszą się swoim szczęściem w domu. On znajdzie ukojenie wśród topielców i roztrzaskanych wraków.

Wcześniej tego samego dnia, daleko na północy, w ziemi Duńczyków, odbyła się znacznie prostsza i o wiele bardziej przerażająca ceremonia.

Zaczęła się jeszcze przed świtem. Związany mężczyzna, leżący na podłodze w strażnicy, od dawna zaniechał walki, chociaż nie był ani tchórzem, ani słabeuszem. Już dwa dni temu, kiedy ludzie Wężookiego wkroczyli do zagrody dla niewolników, wiedział, co stanie się z człowiekiem, którego wybiorą. A kiedy oddzielili go od pozostałych, wiedział też, że musi wykorzystać każdą, choćby najmniejszą szansę ucieczki. Więc ją wykorzystał: po drodze zbierał ostrożnie w dłonie ogniwa luźno zwisającego łańcucha, którym skuto jego przeguby, i czekał, aż strażnicy zawloką go na drewniany most, wiodący do samego serca Braethraborgu, do twierdzy trzech ostatnich synów

Ragnara. Wówczas z całej siły zamachnął się łańcuchem, uderzając strażnika po prawej, i przypadł do poręczy, która dzieliła go od bystrego nurtu rzeki, płynącej w dole - nawet jeśli nie uda mu się uciec, to przynajmniej umrze godną śmiercią jako wolny człowiek.

Jego strażnicy widzieli już wiele takich desperackich prób. Jeden z nich złapał go za kostkę, gdy wspinał się na poręcz, i zanim zdołał się wyrwać, dopadli do niego dwaj inni. Przez jakiś czas okładali go systematycznie drzewcami włóczni, nie po to jednak, by wyładować swą złość, lecz aby się upewnić, że obolała i posiniaczona ofiara nie będzie mogła ruszać się zbyt szybko. Potem zdjęli mu łańcuchy i zastąpili je rzemieniami z niegarbowanej skóry, które skręcili i zmoczyli morską wodą, tak aby wysychając zaciskały się coraz mocniej. Gdyby związany człowiek mógł dojrzeć w ciemności swoje palce, zobaczyłby, że sąsinoczarne, opuchnięte niczym palce trupa. Nawet gdyby jakiś bóg zechciał uratować mu życie, nie mógłby już uratować jego dłoni.

Ale żaden bóg ani żaden człowiek nie pomógł więźniowi. Strażnicy jakby zapomnieli o jego obecności, kiedy rozmawiali między sobą. Nie umarł, ponieważ potrzebowali go żywego. Nadal oddychał i, co najważniejsze, krew wciąż jeszcze płynęła w jego żyłach.

To im wystarczało. Niczego więcej od niego nie wymagali.

Teraz, kiedy długa noc miała się ku końcowi, strażnicy zabrali więźnia spod wiaty, gdzie spoczywał wielki, świeżo smołowany okręt, i ponieśli go wzdłuż rzędu bali tworzących pochylnię, po której kadłub miał stoczyć się do morza.

- Wystarczy. Dajcie go tu - mruknął rosty wojownik w średnim wieku.

-1 co teraz? - zapytał jeden z jego podkomendnych, młody mężczyzna, który nie wyróżnił się jeszcze w walce, nie miał bowiem blizn na ciele ani srebrnych bransolet na ramionach.-Nigdy przedtem tego nie robiłem.

- To patrz i ucz się. Po pierwsze, przetnij rzemienie na jego rękach. Nie, nie ma strachu - dodał, kiedy młokos wyraźnie się zawahał, jakby w obawie, że więzień natychmiast rzuci się do ucieczki. Już po nim, spójrz na niego, nie mógłby się nawet czołgać, gdybyśmy puścili go wolno. Ale go nie puścimy, co to, to nie. No dalej, po prostu przetnij mu więzy.

Kiedy powrozy opadły, więzień zatoczył się i w bladym, lecz jaśniejącym szybko świetle poranka przyglądał się przez chwilę swoim dłoniom.

- Teraz połóż go płasko na tej kłodzie, brzuchem do dołu. Stopy razem. A teraz patrz uważnie, mój młody Hrani, bo to bardzo ważny szczegół. Niewolnik musi leżeć grzbietem do góry, sam wkrótce zobaczysz, dlaczego. Nie może mieć rąk na plecach, z tej samej przyczyny, i nie może się również wiercić. Ale nie do końca, trochę powinien się ruszać.

-A więc robimy to tak. - Dowódca w średnim wieku przycisnął twarz więźnia do masywnego sosnowego pnia, chwycił go za obie ręce i wyciągnął je ponad jego głowę. W tej pozycji ofiara wyglądała jak nurkujący człowiek. Następnie wyciągnął zza pasa młot i dwa krótkie żelazne gwoździe.

-Zwykle ich przywiązujemy, ale myślę, że ten sposób jest lepszy.

Widziałem raz coś podobnego w jednym z kościołów tych chrześcijan. Oczywiście przybili gwoździe nie tam gdzie trzeba. Półgłówki.

Stękając z wysiłku, doświadczony wojownik zaczął wbijać gwoździe dokładnie w miejsce, gdzie dłoń łączyła się z przegubem. Za jego plecami narastał stopniowo gwar ożywionej krzątaniny. W świetle budzącego się na wschodzie brzasku wyłaniać się zaczęły mroczne kształty. Na tle nieba ciemniały zarysy włóczni i hełmów, na których już wkrótce miał rozbłysnąć pierwszy promień słońca. Powoli wstawał świt nowego roku wojowników, czas wiosennego zrównania dnia z nocą.

- Dzielnie to znosi - powiedział młody mężczyzna, gdy jego nauczyciel zaczął wbijać drugi gwoździe. - Zupełnie jak wojownik, nie jak niewolnik. A swoją drogą, kto to jest?

- Ten? Jakiś rybak, którego schwytaliśmy, wracając z wyprawy w zeszłym roku. I wcale nie jest dzielny, po prostu nic nie czuje, bo jego dłonie są martwe już od wielu godzin.

- Wkrótce będzie po wszystkim - powiedział do mężczyzny, przybitego mocno do pnia, poklepując go po policzku. - Nie myśl o mnie źle na tamtym świecie. Byłoby znacznie gorzej, gdybym spartaczył swoją robotę. Ale starałem się. Teraz przywiążcie mu nogi, wy dwaj, obejdzie się już bez gwoździ. Stopy razem. I pamiętajcie, że powinien się obrócić, kiedy nadejdzie czas.

Powstali, zostawiając swoją ofiarę rozciągniętą na sosnowym pniu.

- Gotowe, Vestmarze? - rozległ się głos za nimi.

- Gotowe, panie.

Podczas gdy wykonywali swoje zadanie, wokół gromadziło się coraz więcej ludzi. Z tyłu, daleko od wybrzeża i wydłużonej zatoki, widać było bezkształtne garbate cienie zagród dla niewolników, warsztatów, zadaszonych baraków na łodzie, a jeszcze dalej, prawie niewidoczne, ciągnęły się równe rzędy jednakowych budynków, w których kwaterowali wierni towarzysze władców mórz, synów Ragnaraniegdyś czterech, obecnie już tylko trzech. Stamtąd właśnie nadciągali strumieniem mężczyźni, sami, bez kobiet i dzieci, aby obejrzyć uroczyste widowisko: wodowanie pierwszego okrętu, początek nowego sezonu wypraw wojennych, które znów zasieją śmierć i zniszczenie wśród chrześcijan oraz ich sojuszników z Południa.

Lecz wojownicy trzymali się z tyłu, otaczając brzegi zatoki szerokim półkolem. Do samego wybrzeża podeszło tylko trzech, wysokich i silnych mężczyzn w kwiecie wieku. Byli to pozostali przy życiu synowie Ragnara Włochate Portki: siwowłosa Ubbi, ciemniejszy kobiet, rudobrody Halvdan, rozmiłowany w pojedynkach mistrz walki wręcz, oddany bez reszty rzemiosłu i kodeksowi wojownika. Przed nimi kroczył Sigurth Wężooki, nazywany tak z powodu białek, wypełniających niemal w całości gałki jego oczu i okalających małe, ciemne źrenice, zupełnie jak u węża: człowiek, który postanowił zostać królem wszystkich ziem Północy.

Twarze obecnych zwróciły się na wschód w oczekiwaniu, czy zza horyzontu wyłoni się pierwszy rąbek słonecznej tarczy. Tutaj, w Danii, w miesiącu, który chrześcijanie nazywają marcem, zazwyczaj wszystko przesłaniają chmury. Tego dnia jednak, dobry omen, niebo było czyste, zasnuwane jedynie jasną mgiełką, która pod wpływem niewidocznego jeszcze słońca przybierała z wolna różowy kolor. Cichy pomruk rozległ się pośród zebranych, kiedy naprzód wystąpili wróżbicy, owo bractwo zgrzybiałych staruchów, ściskających kurczowo swoje święte torby, noże oraz piszczele i łopatki owiec, atrybuty boskości. Sigurth spoglądał na nich chłodno. Byli niezbędni ze względu na ludzi, ale sam nie obawiał się złych wróżb ani nieprzychylnego układu znaków. Augurowie, którzy wróżyli niepomyślnie, też mogli znaleźć się na kamieniu ofiarnym, tak jak wszyscy inni.

W śmiertelnej, skupionej ciszy przemówił nagle mężczyzna rozciągnięty na sosnowej kłodzie. Przybity i przywiązany do pnia, nie był w stanie się poruszyć. Odchylił więc jedynie głowę i zawołał zdławionym głosem, zwracając się w stronę trzech mężczyzn, stojących na brzegu.

- Dlaczego to robisz, Sigurthcie? Nie jestem twoim wrogiem.

Nie jestem chrześcijaninem ani wyznawcą Drogi. Jestem Duńczykiem i człowiekiem wolnym, tak jak ty. Jakie masz prawo, by pozbawiać mnie życia?

Ryk tłumu zagłuszył jego ostatnie słowa. Na wschodzie pokazała się smuga światła, słońce wychynęło znad płaskiego horyzontu

Sjaellandu, owej wysuniętej najdalej na wschód spośród wszystkich wysp Danii. Wężooki odwrócił się, rozchylił płaszcz i pomachał do ludzi, stojących pod wiatą przy okręcie.

W tej samej chwili rozległo się skrzywienie lin i zgodny pomruk wysiłku pięćdziesięciu mężczyzn, starannie wybranych mistrzów z armii Ragnarssona, którzy ze wszystkich sił naporli na sznury, przywiązane do sterczących nad burtami dulek. Spod wiaty wyłonił się statek Wężookiego z dziobnicą kształcie smoka, wspaniały "Frani Ormr", czyli "Świetlisty Wąż". Dziesięcotonowy kadłub o długim na pięćdziesiąt stóp kilu, wykonanym z najtwardszych dębów w całej Danii, toczył się wolno po drewnianych balach, specjalnie do tego celu nasmarowanych tłuszczem.

Okręt osiągnął już krawędź pochylni. Rozciągnięty na sosnowym pniu mężczyzna odwrócił głowę i spojrzął na swoją śmierć, ciemniejącą przed nim na tle nieba. Zaciął usta, aby stłumić krzyk przerażenia, wzbierający w jego trzewiach. Mógł pozbawić swoich oprawców tylko tego jednego - radości z dobrej wróżby, gdyby rok rozpoczął się strachem, rozpaczą i przedśmiertnym okrzykiem bólu.

Wojownicy zgodnym wysiłkiem napierali na liny. Wreszcie dziób przechylił się i kadłub zaczął sunąć wzdłuż pochylni, uderzając z łoskotem w drewniane bale. Widząc tuż nad sobą sterczącą groźnie dziobnicę rozpędzonego okrętu, składany w ofierze mężczyzna raz jeszcze zawołał wyzywająco.

- Gdzie twoje prawo, Sigurthcie? Kto uczynił cię królem?

Kil uderzył go prosto w krzyż i kadłub przetoczył się po nim całym ciężarem, miażdżąc kręgosłup. Powietrze momentalnie uszło z płuc ofiary, która mimo woli krzyknęła przeraźliwie, a krzyk ten przerodził się w upiorny wrzask, kiedy ból stał się nie do wytrzymania. Okręt z hukiem toczył się po pochylni, wojownicy biegli, aby za nim nadążyć, a bal, do którego przygwożdżona była ofiara, obracał się wraz z nią dookoła własnej osi. Krew z serca i płuc, rozerwanych przez potężny, zaokrąglony kil, tryskała na wszystkie strony.

Tryskała też na pomalowane jaskrawo deski poszycia. Wróżbici przyglądali się temu bacznie, kucali nawet, by niczego nie przeoczyć, wymachując przy tym rękami, aż frędzle u rękawów wirowały w powietrzu, i wydając okrzyki zachwyty.

- Krew! Krew na burtach na chwałę króla mórz!

- I krzyk! Krzyk śmiertelny na cześć pana wojowników!

Okręt zjechał z pochylni i zakołysał się na spokojnych wodach fiordu Braethrabort. W tej samej chwili dysk słoneczny wyłonił się całkowicie ponad horyzont, a długi snop promieni przeniknął przez mgłę. Sigurth Wężooki odgarnął na bok połę płaszcz, złapał swoją włócznię za drzewce i uniósł ją wysoko w górę, wyżej niż sięgał cień wiaty i pochylni. Blask słońca padł na osiemnastocalowy, trójkątny grot i przemienił go w ogień.

- Czerwona jutrzienka i czerwona włócznia na dobry początek roku -ryknęli zgromadzeni wojownicy, zagłuszając piskliwe okrzyki wróżbitów.

- Kto uczynił mnie królem? - wykrzyknął Wężooki, zwracając się do ducha zabitego. - Krew, którą przelałem i krew, która płynie w moich żyłach! Ponieważ jestem zrodzony z boga, jestem synem

Ragnara, syna Volsiego, potomka nieśmiertelnych. A synowie ludzi są kłodami pod kilem mojego okrętu.

Za jego plecami armia już biegła, rozbijając się po drodze na załogi, które gnały co tchu w stronę okrętów, czekających na swą kolej, by opuścić otoczone ciżbą wojowników pochylnie twierdzy.

Ta sama mroźna zima, która trzymała w swym uścisku Anglię, srożyła się również po drugiej stronie Kanału. Tego dnia, kiedy koronowano Alfreda, jedenastu mężczyzn spotkało się w pustym, nie ogrzewanym wnętrzu wielkiego kościoła w zimnym mieście Kolonii, setki mi) na południe od Braethrabortu i jego krwawej ofiary.

Pięciu z nich miało na sobie fioletowe i białe szaty arcybiskupie, lecz żaden nie przywdział, jak dotąd, kardynalskiej purpury. Towarzyszyło im pięciu ludzi odzianych w proste czarne habity, zgodnie z regułą Zakonu Św. Hrodeganga. Trzymali się nieco z tyłu, po prawej stronie, a każdy z nich był zarazem spowiednikiem, kapłanem, jak i doradcą swego arcybiskupa - nie piastowali żadnych stanowisk w hierarchii, posiadali jednak ogromne wpływy i mogli nawet żywić nadzieję na objęcie godności księząt Kościoła po swoich patronach.

Jedenasty z mężczyzn ubrany był w czarny habit zwykłego diakona. Od czasu do czasu rzucał on na zgromadzonych ukradkowe spojrzenia, w których dawało się zauważyć szacunek i poważanie dla władzy, lecz także niepewność, jakie miejsce on sam zajmuje przy tym stole. Nazywał się Erkenbert i był swego czasu diakonem wielkiej katedry w Yorku oraz sufraganiem arcybiskupa Wulfhera.

Ale katedra już nie istniała, splądrowana w ubiegłym roku przez dzikich pogan z Północy. Wulfher zaś, chociaż nadal pozostawał arcybiskupem, żył na łasce swoich kolegów, doświadczając z ich strony lekceważącego miłosierdzia, podobnie zresztą jak równy mu urzędem prymas Canterbury. Kościół w Anglii także już nie istniał: nie miał ziemi, dochodów ani władzy.

Erkenbert nie wiedział, dlaczego wezwano go na to spotkanie.

Nie wiedział również, że znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Pomieszczenie było puste nie dlatego, iż wielki książę-arcybiskup Kolonii nie mógł pozwolić sobie na meble. Było takie, ponieważ gospodarz nie życzył sobie, by jakiś szpieg lub ktokolwiek, kto chciałby podsłuchać rozmowę, miał się gdzie ukryć. Gdyby słowa, które tutaj wypowiedziano, wydostały się na zewnątrz, mogłoby to oznaczać śmierć dla wszystkich obecnych.

Podejmowali decyzję powoli, rozważnie, starając się wybadać nawzajem swoje intencje. Lecz kiedy ją wreszcie podjęli, napięcie opadło.

- A zatem musi odejść - powtórzył arcybiskup Gunther, gospodarz spotkania w Kolonii.

Siedzący wokół stołu w milczeniu pokiwali głowami.

- Jego nieudolność jest zbyt oczywista, by dłużej ją tolerować dodał Theutgard z Trewiru. - Nie dość, że krucjata, którą ogłosił przeciwko angielskiej prowincji kościelnej, została rozbita w puch...

- Co samo w sobie jest znakiem boskiej niełaski - zgodził się znany ze swej pobożności Hinkmar z Reims.

-... ale jeszcze pozwolił, aby weszło nasienie, gorsze niż porażka tego czy innego króla. Nasienie apostazji.

Na dźwięk tego słowa wszyscy natychmiast umilkli. Doskonale wiedzieli, co stało się rok temu, kiedy to młody król Alfred, władca

Zachodnich Sasów, pod naciskiem ze strony wikingów z Północy i swoich własnych biskupów, sprzymierzył się z jakąś pogańską sektą, zwaną, jak krążyły słuchy, Drogą. Następnie pokonał straszliwego Ivara Ragnarssona, władcę wikingów, oraz Karola Łysego, chrześcijańskiego króla Franków, któremu towarzyszył wysłannik samego papieża. Obecnie Alfred pozostawał niekwestionowanym władcą Anglii, chociaż dzielił swe panowanie z jakimś pogańskim jarlem, którego imię zakrawało na żart. Natomiast trudno było uznać za żart to, że w odwecie za krucjatę, wysłaną przeciwko niemu przez papieża Mikołaja, Alfred ogłosił zerwanie związków Kościoła Anglii z katolickim i apostołskim Kościołem Rzymskim. Co więcej, pozbawił Kościół w Anglii wszystkich ziem i dóbr, pozwalając tym samym, by słudzy Chrystusa utrzymywali się z wolnych datków, a nawet -jak powiadano - czerpali środki do życia z handlu.

-I właśnie z powodu tej klęski i tego odstępstwa musi odejść powtórzył Gunther. Powiódł spojrzeniem wokół stołu. - Chcę powiedzieć, że papież Mikołaj musi odejść z tego świata. Jest już wiekowy, ale nie dość stary. Winniśmy zatem przyspieszyć jego odejście.

Gdy słowa te zostały wreszcie wypowiedziane, zapadła cisza; książętom Kościoła nie było łatwo rozprawiać na temat zabójstwa papieża. Meinhard, arcybiskup Moguncji, człowiek surowy i twardy, przerwał milczenie.

- Czy znajdziemy sposób, aby tego dokonać? - zapytał wprost.

Duchowny, siedzący na prawo od Gunthera, poruszył się i przemówił.

- Bez trudu. W otoczeniu papieża w Rzymie są ludzie, którym możemy ufać. Ludzie, którzy nie zapomnieli, że są Germanami podobnie jak my. Nie polecam trucizny. Raczej poduszka podczas snu.

Kiedy się nie obudzi, tron Piotrowy będzie można uznać za wakujący bez wywołania skandalu.

- To dobrze - powiedział Gunther. - Bo chociaż chcę jego śmierci, to jednak przysięgam przed Bogiem, że nie życzę papieżowi

Mikołajowi źle.

Zebrani spojrzeli na niego z ledwie skrywanym niedowierzaniem.

Wszyscy wiedzieli, że nie dalej jak dziesięć lat temu papież Mikołaj odwołał Gunthera z urzędu i odebrał mu jego biskupstwo, by ukarać go za nieposłuszeństwo. Później uczynił to samo z Theutgardem z Trewiru, a następnie zbeształ i obraził pobożnego Hinkmara za sprzeczkę ze zwykłym biskupem.

- Był wielkim człowiekiem, który wykonywał swoje obowiązki najlepiej jak umiał. Nie winie go nawet za to, że posłał króla Karola na tę nieszczęsną krucjatę. Nie, nie ma nic złego w krucjatach. Ale popełnił błąd. Powiedz im, Arno - zwrócił się do swego spowiednika. - Wyjaśnij im, jak my widzimy sytuację. - Opadł na fotel i podniósł do ust złoty puchar napełniony reńskim winem, od którego w niemałym stopniu zależały dochody arcybiskupstwa.

Młodszy mężczyzna przysunął swój taboret do stołu, jego twarz o ostrych rysach, okolona krótko przystrzyżoną jasną brodą tryskała entuzjazmem.

- Tu, w Kolonii - zaczął - skrupulatnie zgłębiamy tajniki sztuki wojennej. Nie tylko, jeśli chodzi o sam sposób staczania bitew, ale również w szerszym kontekście. Staramy się myśleć nie jak zwykły *tacticus* - użył słowa łacińskiego, chociaż do tej pory rozmawiali w dialekcie dolnogermańskim, którym posługiwano się w Saksonii i na Północy - ale jak *strategos* w starej Grecji. A jeśli zaczniemy myśleć strategicznie - jeden tylko Hinkmar skrzywił się, słysząc ten osobliwy zlepek greki i łaciny - to zobaczymy, że papież Mikołaj popełnił zasadniczy błąd.

- Przeoczył to, co my nazywamy *punctum gravissimum*, to znaczy punktem ciężkości, w którym skupia się główne uderzenie wrogich sił. Nie dostrzegł bowiem w porę, że prawdziwe, śmiertelne niebezpieczeństwo dla całego Kościoła stanowią nie schizmatycy ze Wschodu, nie spory papieża z cesarzem, nie morskie wyprawy wyznawców Mahometa, ale mało znane królestwa biednej prowincji Brytanii. Ponieważ jedynie w Brytanii

Kościół znalazł o wiele więcej niż wroga: znalazł rywala i konkurenta.

- On sam jest ze Wschodu - wtrącił Meinhard pogardliwie.

- Właśnie. On uważa, że wszystko co dzieje się, tu na Zachodzie, w północno-zachodniej Europie, w Germanii, w kraju Franków i we

Fryzji, jest mniej ważne. Ale my wiemy, że tu wypełni się przeznaczenie Kościoła i świata. Ośmielę się stwierdzić, skoro nie czyni tego papież Mikołaj: tutaj jest nowy naród wybrany, jedyny prawdziwy bastion przeciwko barbarzyńcom.

Skończył, a jego szczerą twarz zapłonęła rumieńcem dumy.

- Nikogo z obecnych nie musisz o tym przekonywać, Arno zauważył Gunther. - Tak więc, kiedy Mikołaj umrze, ktoś go niewątpliwie zastąpi. Wiem - podniósł rękę. - Kardynałowie nie obiorą papieżem nikogo, kto miałby więcej rozsądku niż Mikołaj, a nie możemy oczekiwać, że uda nam się otworzyć Rzymianom oczy.

Ale możemy sprawić, żeby zupełnie oślepli. Chyba wszyscy zgadzamy się co do tego, że powinniśmy użyć naszych pieniędzy oraz naszych wpływów i zapewnić wybór komuś, kto cieszy się poparciem Rzymian, pochodzi z Italii, jest dobrze urodzony i całkowicie pozbawiony indywidualności. Wiem, że wybrał już sobie papieskie imię: Adrian 11, jak mi doniesiono.

- Jednak znacznie ważniejsze zadanie mamy do wykonania bliżej. Nie tylko Mikołaj musi odejść. Król Karol również. On też został pokonany i to przez zwykły motłoch.

- Już jest martwy - orzekł Hinkmar z przekonaniem. - Jego baronowie nie wybaczą mu doznanego upokorzenia. Ci, którzy nie stali wtedy u jego boku, wciąż nie mogą uwierzyć, że frankijska ciężkozbrojna konnica została pokonana przez procarzy i łuczników. Ci natomiast, którzy z nim poszli, nie zamierzają dzielić jego hańby. Ktoś zaciśnie mu sznur na szyi lub wbije nóż między zębra i bez naszej zachęty. Ale kto go zastąpi?

- Za pozwoleniem - przerwał mu cicho Erkenbert. Słuchał z najwyższą uwagą i powoli dochodził do przekonania, że ci ludzie, w przeciwieństwie do nadętych i nieudolnych klechów Kościoła

Anglii, któremu służył przez całe życie, naprawdę bardziej cenią sobie inteligencję niż piastowane godności. Podwładni zabierali głos bez narażania się na reprimendę. Przedstawiali własne poglądy i były one akceptowane. A jeśli je odrzucano, to zawsze z uzasadnieniem i po dokładnym rozważeniu. Dla tych ludzi jedynym grzechem był brak logiki lub wyobraźni. Emocjonujący proces abstrakcyjnego rozumowania działał na Erkenberta bardziej niż opary wina, dobywające się z jego kielicha. Czuł, że wreszcie znalazł się między równymi sobie. I nade wszystko pragnął, aby oni też dostrzegli, że im dorównuje.

- Rozumiem dialekt dolnogermański, ponieważ przypomina mój angielski. Lecz jeśli pozwolicie, to chwilowo będę mówił po łacinie. Nie pojmuję, w jaki sposób Karol Łysy, rex Franciae, mógłby zostać zastąpiony i przez kogo. I co byśmy na tym zyskali. Ma dwóch synów, nie mylę się? Ludwika i Karola. Miał również trzech braci: Ludwika, Pepina i Lotara, z których tylko Ludwik pozostał przy życiu, a poza tym jest jeszcze jego siedmiu bratanków, Ludwik i Karol, Lotar....

- ...Pepin, Karloman, Ludwik i znowu Karol - dokończył Gunther. Zaśmiał się krótko. - A to, czego przez grzeczność nie chce powiedzieć nasz angielski przyjaciel, to że nie można ich od siebie odróżnić. Karol Łysy, Karol Gruby, Ludwik Saski, Pepin Młodszy.

Który jest który i jakie to ma znaczenie? Tak bym to ujął, gdybym był na jego miejscu.

- Potomstwo cesarza, wielkiego Karola, Caroli Magni illius, wyrodziło się. Już nie ma w nim cnoty. Tak jak znaleźliśmy kandydata na nowego papieża w Rzymie, musimy i tu znaleźć nowego króla.

Nową królewską dynastię.

Ludzie zebrani wokół stołu spojrzeli po sobie zrazu niepewnie, a potem nieco śmielej, bowiem każdy z nich pojął, że oto wypowiedziana została rzecz nie do pomyślenia. Gunther uśmiechnął się, widząc efekt, jaki wywarły jego słowa.

Erkenbert raz jeszcze zebrał się na odwagę i przemówił.

- To jest możliwe. W moim kraju zmieniano dynastie królewskie. A u was - czyż sam Karol Wielki nie doszedł do władzy dlatego, iż jego przodkowie obalili wybrańca bożego, któremu dotąd

służyli? Obalili go i publicznie obcięli mu włosy, aby pokazać, że nie jest już świętym. Można to zrobić. Lecz czego tak naprawdę trzeba, aby zostać królem?

W trakcie całej dysputy jeden z obecnych nie odezwał się nawet słowem, choć od czasu do czasu kiwał głową na znak zgody. Był nim wielce szanowany arcybiskup Hamburga i Bremy na dalekiej

Północy, uczeń i następca świętego Ansgara, arcybiskup Rimbart, sławny z powodu wielkiej osobistej odwagi, jaką okazał podczas żarliwych misji przeciwko poganom z Północy. Kiedy się poruszył, wszystkie oczy zwróciły się na niego.

- Macie słuszość, bracia. Ród Karola zawiódł. I jesteście w błędzie. Błądzicie w wielu sprawach. Rozprawiacie o różnych rzeczach, o strategii i punctum gravis, o Zachodzie i Wschodzie, a to, co mówicie, może i ma znaczenie w świecie ludzi.

Ale nie żyjemy tylko w świecie ludzi. Powiadam wam, że papież

Mikołaj i król Karol zawinili bardziej niż ktokolwiek z was sędzi.

I modłę się jedynie, abyśmy sami się przed tym ustrzegli. Powiadam wam, oni nie wierzyli! A skoro nie mieli wiary, cała ich potęga i wszystkie zamierzenia były tylko słomą i plewami, które uleciały z wiatrem bożego gniewu.

Tedy mówię wam, że nie potrzebujemy nowego króla ani nowej królewskiej dynastii. Teraz potrzebny jest nam cesarz! Imperator

Romanorum. Albowiem to my, bracia - my, Germanie, jesteśmy teraz nowym Rzymem. I żeby to podkreślić, musimy mieć cesarza.

Pozostali patrzyli na niego w ciszy, podczas gdy nowa wizja zapadała z wolna w ich umysły. Jasnowłosa Arno, doradca Gunthera, pierwszy przerwał milczenie.

- W jaki sposób ma być wybrany nowy cesarz? - zapytał ostrożnie. - I gdzie można kogoś takiego znaleźć?

- Słuchajcie zatem - rzekł Rimbart - a powiem wam. Wyjawię wam również tajemnicę Karola Wielkiego, ostatniego prawdziwego cesarza rzymskiego na Zachodzie. Powiem wam, czego trzeba, by zostać prawdziwym królem.

Rozdział drugi

JWłocny zapach trocin i drzewnych wiórów unosił się w powietrzu, kiedy Shef wraz z towarzyszami, wypocząwszy już po długiej podróży z Winchestera, przechadzał się po stoczni. Choć słońce dopiero niedawno zajaśniało nad wschodnim horyzontem, wokół uwijały się setki ludzi pochłoniętych pracą-jedni prowadzili wielkie wozy z drewnem, ciągnięte przez cierpliwe woły, inni gromadzili się przy kuźniach, jeszcze inni biegali w tę i z powrotem po sznurowych pomostach. Ze wszystkich stron dobiegały uderzenia młotów i odgłosy piłowania, mieszając się ze wściekłym pokrzykiwaniem majstrów, lecz nie było słycać żadnego trzaskania batem, jęków bólu, ani brzęku niewolniczych łańcuchów.

Brand gwizdnął przeciągle i potrząsnął głową, kiedy ujrzał tę krzątanicę. Wstał właśnie złoza bóleści i nadal znajdował się pod opieką swego medyka, drobnutkiego Hunda. Dopiero teraz zobaczył, jak wiele udało się dokonać w ciągu zimy. I rzeczywiście, nawet Shef, który osobiście lub przez kogoś ze swoich ludzi nadzorował codzienny postęp prac, z trudem mógł w to uwierzyć. Zupełnie jakby wyzwolił się tu jakiś potężny strumień energii, zwielokrotniający ludzki wysiłek. Tej zimy wszyscy zdawali się odgadywać życzenia Shefa.

Kiedy w ubiegłym roku ustały walki, musiał zatroszczyć się o dobrobyt i pomyślność królestwa, które oddano mu we władanie. Jego pierwszym i najbardziej palącym zadaniem było zapewnienie obrony swemu zagrożonemu dominium. Wydał rozkazy, dowódcy zaś gorliwie je wypełnili, budując maszyny wojenne i szkoląc ich załogi, a także zaciągając nowe oddziały spośród skłonnych do buntów byłych niewolników, wikingów Drogi oraz angielskich tanów, którzy pełnili służbę wojskową w zamian za prawo dzierżawy ziemi. Dokonawszy tego, Shef rozpoczął swoje drugie zadanie: dopilnowanie królewskich dochodów. Żmudną pracą sporządzenia szczegółowego spisu ziem i opłat targowych, długów i podatków, pobieranych dotąd zgodnie ze zwyczajem, obciążył mnicha Bonifacego. Zaopatrzył go przy tym w instrukcje, by we wszystkich hrabstwach, nad którymi Shef sprawował władzę, czynił dokładnie to, co niegdyś rozpoczął w Norfolk. Wymagało to wiele czasu i zrzeczności, ale wyniki były już widoczne.

Natomiast trzecim zadaniem Shef zajął się osobiście: była to budowa floty. Jedną rzecz na pewno nie ulegała wątpliwości, a mianowicie to, że w ciągu ostatnich dwóch lat wszystkie bitwy rozgrywano na ziemi angielskiej i to ona płaciła za nie życiem swych mieszkańców. Najlepszym sposobem obrony, jak rozumował Shef, było więc powstrzymywanie najeźdźców, a szczególnie wikingów spoza Drogi, tam, gdzie dysponowali niekwestionowaną przewagą: na morzu. Wykorzystując na ten cel zasoby i podatki z East Anglii i Mercji, Shef niezwłocznie przystąpił do tworzenia floty.

Aby tego dokonać, musiał zapewnić sobie fachową pomoc. Wśród wikingów Drogi nie brakowało doświadczonych cieśli okrętowych, którzy gotowi byli służyć swą wiedzą i umiejętnościami, gdyby otrzymali odpowiednie wynagrodzenie. Thorvina oraz innych kapłanów Drogi ogromnie to zainteresowało, zabrali się więc do roboty z takim zapałem, jakby przez całe życie o niczym innym nie marzyli - co zresztą odpowiadało prawdzie. Wypełniali w ten sposób swoje powołanie, bowiem ich religia wymagała od nich ciągłego poszukiwania wiedzy i doskonalenia się przez pracę. A w ślad za nimi kowale, cieśle, wozacy, rzemieślnicy wszelkich specjalności napływali z całej wschodniej Anglii do miejsca, które Shef wybrał na swoją stocznię. Znajdowała się ona na północnym brzegu

Tamizy, na obszarze jego własnych posiadłości, choć zwrócona w stronę posiadłości króla Alfreda. Stała w pobliżu małej wioski Creekmouth nieco w dół rzeki od handlowego portu Londynu, gdyż zadaniem jej było ochraniać - albo trzymać w szachu - zarówno Kanał, jak i Morze Północne.

Problemem był również nadzór nad całością. Wszyscy ci utalentowani i doświadczeni ludzie winni zjednoczyć swoje wysiłki przy realizacji planu, który wymyślił Shef, to zaś stało w zasadniczej sprzeczności z niemal całym ich życiowym doświadczeniem. Najpierw Shef poprosił Thorvina, by zechciał objąć kierownictwo robót, ten jednak odmówił, twierdząc, że musi mieć możliwość opuszczenia stoczni w każdej chwili, kiedy tylko będą tego wymagały jego religijne obowiązki. Później przyszedł mu na myśl Udd, były niewolnik, który praktycznie w pojedynkę wynalazł kuszę i bezpieczny naciąg do katapulty. W ten sposób - utrzymywali niektórzy - umożliwił pokonanie najpierw Ivara Ragnarssona, mistrza Północy, a kilka tygodni później również Karola Łysego,

króla Franków, co ludzie nazwali z czasem bitwą pod Hastings w osiemset sześćdziesiątym szóstym roku.

Zarządzanie Udda przyniosło katastrofalne skutki, toteż wkrótce trzeba go było kimś zastąpić. Jak się okazało, ten mały człowieczek, objąwszy swoją funkcję, przejawiał zainteresowanie wyłącznie rzeczami wykonanymi z metalu. Nie nadawał się też specjalnie do komenderowania ludźmi, a to z powodu wrodzonej nieśmiałości. Został więc usunięty i obarczony zadaniem, które znacznie bardziej odpowiadało jego zamiłowaniom: miał dowiedzieć się wszystkiego, czego tylko zdoła, na temat stali.

W narastającym bałaganie Shef poczuł się zmuszony do zastanowienia raz jeszcze nad całą sprawą: potrzebował człowieka obeznanego z morzem i statkami, nawykłego do organizowania pracy innym, który zarazem nie byłby ani na tyle niezależny, by zmieniać rozkazy Shefa, ani na tyle pozbawiony wyobraźni, by ich nie rozumieć. Shef znał kilku takich ludzi, ale tylko jeden spośród nich wydawał mu się odpowiedni. Był nim starosta rybackiego okręgu Bridlington, Ordlafe, który przed dwoma laty pojmał Ragnara Włochate

Portki, co sprawiło, że cała furia jego ziomków skierowała się przeciwko Anglii. To właśnie on podszedł teraz do Shefa i jego towarzysza, by ich pozdrowić.

Shef odczekał, aż Ordlafe uklęknie i wstanie. Wcześniej podejmował próby zniesienia tak ceremonialnych form okazywania szacunku, lecz uraziło to i zaniepokoiło jego tanów.

- Przyprowadziłem kogoś, by przyjrzał się pracom, Ordlafe. To mój przyjaciel i był kapitan okrętu, Viga-Brand. Pochodzi z Helgolandu, hen, hen na Północy, i mało kto przepłynął więcej mil niż on. Chciałbym poznać jego zdanie na temat nowych statków.

Ordlafe uśmiechnął się szeroko.

- Będzie miał na co popatrzeć, panie, niezależnie od tego, jak daleko pływał. Są tu rzeczy, których nikt dotąd nie widział.

- Racja! O, tam jest coś, czego nigdy dotąd nie widziałem - powiedział Brand. Wskazał ręką na rów oddalony o kilka jardów. Siedział w nim mężczyzna, który ciągnął za jeden koniec sześciostopowej piły. Drugi stał na olbrzymiej kłodzie, leżącej nad dołem, i ciągnął piłę z drugiej strony. Inni czekali w pogotowiu, by natychmiast zabrać deskę, odpiłowaną od pnia przez tamtych dwóch.

- Jak oni to robią? Do tej pory widziałem tylko tarcice odciśnięte siekierami.

- Ja także, dopóki tu nie przybyłem - przyznał Ordlafe. - Tajemnica tkwi w dwóch rzeczach. Lepsze zęby przy piłach - to dzieło mistrza Udda. I trzeba nauczyć tych durniów - wskazał głową, szczerząc zęby w uśmiechu - żeby nie pchali piły, tylko ciągnęli ją na przemian. Oszczędza się w ten sposób sporo drewna i sporo pracy - dodał normalnym tonem. Tarcica spadła na ziemię i została zabrana przez pomocników, natomiast obaj trzeci zamienili się miejscami, a ten, który do tej pory pracował na dole, wytrzepał z włosów pył i wióry. Kiedy się zmieniali, Shef zauważył, że jeden nosi na szyi Młot Thora, tak jak większość tutejszych robotników, drugi zaś ledwie widoczny chrześcijański krzyż.

- Ale to jeszcze nic, panie - mówił dalej Ordlafe do Branda. To, co naprawdę król chce ci pokazać, stanowi jego największą dumę i radość: dziesięć statków zbudowanych według jego własnego

projektu. Jeden z nich, panie, jest już gotów do przeglądu, został ukończony, kiedy byliście w Winchester. Chodźcie, pokażę wam.

Powiodł ich przez bramę w potężnej palisadzie do pierścienia falochronów, wcinających się koncentrycznie w spokojne zakole rzeki.

Wówczas ich oczom ukazały się kadłuby dziesięciu okrętów; przy wszystkich trwała pracowita krzątania. Przy wszystkich z wyjątkiem jednego, najbliższego, który najwyraźniej był już ukończony.

- Proszę, panie Brand. Czy kiedykolwiek widziałeś coś podobnego w tym swoim Helgolandzie?

Brand z namysłem zmarszczył brwi, a potem wolno potrząsnął głową.

- Wielki, nie da się ukryć. Powiadają, że największy pełnomorski okręt świata to "Frani Ormr", "Światlisty Wąż" Sigurtha Wężookiego, poruszany pięćdziesięcioma wiosłami. Ten jest również okazały. Wszystkie te statki są ogromne.

Jego oczy zasnuł jednak cień wątpliwości.

- Jak został zrobiony kil? Czy użyliście dwóch pni, połączonych razem? Jeśli tak, to cóż, może wytrzyma na rzece albo blisko brzegu przy dobrej pogodzie, ale na pełnym morzu lub podczas długiego rejsu...

- Wszystkie są z jednego pnia - powiedział Ordla. - Być może zapomniałeś, panie, i zechciej mi wybaczyć, że to powiem, ale tam, na Północy, skąd pochodzisz, musicie używać drewna, jakie macie pod ręką. A chociaż ludzie, jak widzę, rosną tam na schwał, to z drzewami rzecz ma się nieco inaczej. A tutaj mamy angielskie dęby.

I niech mówią co chcą, nigdy nie widziałem lepszych i potężniejszych drzew.

Brand popatrzył raz jeszcze i znowu potrząsnął głową.

- To bardzo dobrze. Ale na Hel, boginię podziemi, coście zrobili z masztem? Jest ustawiony w złym miejscu. I pochylony do przodu jak...

jak stary zwiotczały kutas! Czy coś takiego zdoła ruszyć z miejsca statek podobnych rozmiarów? - W jego głosie brzmiał nieklamany ból.

Zarówno Shef jak i Ordla uśmiechnęli się szeroko. Tym razem

Shef pospieszył z wyjaśnieniami.

- Jeśli chodzi o te statki, Brand, to cała rzecz w tym, że mają spełniać tylko jeden cel. Nie służą do przemierzania oceanów ani do przewożenia uzbrojonych ludzi lub ładunków. To są okręty wojenne, przeznaczone do walki z innymi okrętami. Ale nie będą podpływały do nich burta w burcie, by załoga mogła wdrzeć się na pokład przeciwnika. Nie będą ich również taranowały, który to sposób, jak opowiadał mi ojciec Bonifacy, stosowali starożytni Rzymianie. Nic z tych rzeczy: chcemy zatapiać okręty wroga wraz z załogą na odległość. A możemy tego dokonać tylko w jeden

sposób. Czy przypominasz sobie katapulty, których po raz pierwszy użyłem pod Crowland ubiegłej zimy? Co o nich sądzisz?

Brand wzruszył ramionami.

- Dobre przeciwko ludziom. Nie chciałbym, aby jeden z tych kamieni trafił w mój statek. Ale jak świetnie wiesz, musisz znajdoli wać się w odpowiedniej odległości, żeby trafić. A w przypadku dwóch okrętów, kiedy obydwie są w ruchu....

- Zgoda, znikome szansę. A miotacze oszczepów, które stosowaliśmy przeciwko ciężkozbrojnym króla Karola?

- Można z nich zabić załogę, po jednym strzale na każdego człowieka. Ale nie uda się zatopić statku. Wyrzucony oszczep sam zatyka dziurę, którą zrobi w kadłubie.

- Pozostaje nam więc ostatnia broń. Diakon Erkenbert zrobił ją dla Wara, a Guthmund posłużył się nią do zniszczenia palisady obozu pod Hastings. Rzymianie nazwali to urządzenie onager - dziki osioł. My nazywamy je mułem.

Na dany sygnał marynarze ściągnęli płachty smołowanego płótna z niezgrabnej, kanciastej konstrukcji, umieszczonej dokładnie pośrodku pozbawionego pokładu kadłuba najbliższego okrętu.

- A co powiesz o trafieniu z czegoś takiego?

Brand powoli pokręcił głową. Tylko raz widział, jak strzela onager, i to z daleka, ale wciąż pamiętał fruujące w powietrzu szczątki wozów i rozbryźnięte na ziemi wnętrzności zmiżdżonych wołów.

- Nie ma na świecie statku, który by to wytrzymał. Jedno trafienie i cały szkielet rozlatuje się w kawałki. Ale nie bez przyczyny nazywacie to mułem, ponieważ....

- Ponieważ kopie. Chodź i popatrz, co zrobiliśmy.

Weszli na pomost, aby z bliska obejrzyć nową broń.

- Spójrz - tłumaczył Shef. - Ważą tonę i ćwierć. Muszą być ciężkie. Widzisz, jak to działa? Mocna lina zaczepiona u podstawy i dwa kołowrotki. Linę nakręca się z obu stron. Trzyma ona ramię wyrzutni - pogładził drewniany drąg o długości pięciu stóp, sterczący pionowo do góry; z uchwytu na końcu drąga zwisała ciężka skórzana proca. - Opuszczasz ramię aż do pokładu, przytrzymujesz żelazną klamrą i nakręcasz linę. Kiedy jest już skręcona do oporu, zwalniasz klamrę. Ramię odskakuje do góry wraz z kamieniem, umieszczonym w procy, proca zatacza łuk...

- A ramię uderza w poprzeczkę. - Ordlał poklepał grubą belkę, umocowanąw potężnej ramie i zabezpieczoną z obu stron przywiązanymi do niej workami z piaskiem.

- Gdy ramię uderzy w poprzeczkę, pętla uwalnia się z zaczepu i wyrzuca kamień, który leci płasko i z wielką siłąna odległość około pół mili. Ale rozumiesz, w czym tkwi problem. Konstrukcja powinna być dostatecznie mocna, aby wytrzymała kopnięcie. Musi być umieszczona dokładnie na

osi podłużnej, abyśmy mogli przytwierdzić ramę do kilu. A ponieważ waży tak dużo, trzeba ją ześrodkować od dziobu i od rufy.

_ Ale tam właśnie powinien stanać maszt - zaproponował Brand.

- Dlatego musieliśmy go przesunąć. I tutaj pomógł nam Ordlaf.

_ Widzisz, panie Brand - wyjaśnił Ordlaf- tam, skąd ja pochodzę, buduje się łodzie takie same, jak wasze, zaostrome od dziobu i od rufy, poszyte na nakład, i tak dalej. Ale ponieważ nasze służą do połowu ryb, a nie do dalekich wypraw, więc mają inny osprzęt.

Maszt umieszczamy bardziej z przodu, a także pochylamy go do przodu. I dlatego, jak sam rozumiesz, żagiel też ma inny kształt.

Nie jest kwadratowy, jak wasze, ale ukośny.

Brand odchrząknął.

- Wiem. Jeśli wypuścisz ster, łódź odwróci się pod wiatr i będzie płynąć pod fale. Taka rybacka sztuczka. Pływa się w ten sposób względnie bezpiecznie. Ale bardzo powoli. Szczególnie z takim obciążeniem. Jak szybki jest ten okręt?

Shef i Ordlaf wymienili spojrzenia.

- Nie za bardzo - przyznał Shef. - Guthmund ścigał się z nim na próbę jednym ze swoich statków, zanim jeszcze umieściliśmy tu muła. Nawet bez dodatkowego obciążenia płynął tak wolno, że Guthmund mógł zataczać wokół niego kręgi.

- Ale zrozum, Brand, nie będziemy nikogo gonić! Jeśli spotkamy flotę na otwartym morzu, a oni nas zaatakują, zatopimy ich! Jeśli odpłyną, będzie to znaczyć, że udaremniliśmy im najazd na nasze wybrzeże. Jeśli nas wyminą, popłyniemy za nimi i też ich zatopimy. To nie statek towarowy, Brand. To okręt wojenny.

-Niszczyciel okrętów - dodał Ordlaf z dumą.

- Czy możecie go obrócić? - spytał Brand. - Chodzi mi o muła.

Czy możecie wycelować go w różnych kierunkach? Mogliście to robić z miotaczami oszczepów.

- Pracujemy nad tym - odparł Shef. - Próbowaliśmy umieścić muła na obrotowej platformie z osią, osadzoną drugim końcem w otworze wywierconym w kilu. Ale wszystko razem ważyło tyle, że nie dawało się obracać, a oś pękała przy strzale. Udd miał pomysł, żeby oprzeć całą rzecz na żelaznej kuli, ale... Nie. Muł strzela tylko w jednym kierunku. Za to daliśmy dwie wyrzutnie, dwie liny, dwie pary kołowrotek, po jednej z każdej strony. Tylko jedna poprzeczka, oczywiście. Ale to znaczy, że możemy strzelać przez obie burty.

Brand znowu pokręcił głową. Kiedy tak stali, czuł, że pokład kołysze się delikatnie pod jego stopami nawet w leniwym nurcie zakola Tamizy, spróbował zatem przewidzieć, jak okręt zachowa się na otwartym morzu. Tona i ćwierć dodatkowego obciążenia, z czego większość jest umieszczona wysoko, ponieważ maszynę ustawiono ponad linią burty. Żagiel będzie łapał wiatr

niewiele z boku. Szeroka reja pozwoli im rozwinąć sporo żagla, zauważył. Ale sterowanie może się okazać cholernie trudne. Nie wątpił, że rybak znał się na swoim fachu. Nie miał też wątpliwości, jakie skutki spowoduje trafienie jednym z tych pocisków. Brand pamiętał, że łodzie, którymi niegdyś pływał, miały bardzo delikatną konstrukcję, poszycie kadłuba nie było nawet przybite do wręgi, ale po prostu ściśle do nich przylegało, potrafił więc wyobrazić sobie, jak cały szkielet w jednej chwili rozsypuje się na kawałki, wydając załogę na pastwę żywiołu. A z takim przeciwnikiem nie mogło się mierzyć nawet pięćdziesięciu wybranych śmiałków samego Sigurtha Wężookiego.

- Jak zamierzacie go nazwać? - zapytał nagle. - Na dobry omen. Jego ręka dotknęła machinalnie amuletu w kształcie młota, zawieszzonego na piersi. Ordlaf powtórzył ten gest, szukając wśród fałdów tuniki srebrnej łodzi Njortha.

- Mamy dziesięć okrętów wojennych- odparł Shef. - Chciałem nazwać je imionami bogów Drogi: "Thor", "Frey", "Rig" i tak dalej, ale Thorvin na to nie pozwolił. Powiedział, że przyniesie nam pecha, jeśli będziemy mówić "Heimdall wpadł na mieliznę", albo "Thor szoruje brzuchem po dnie". Tak więc zmieniliśmy zamiar.

Zdecydowaliśmy, że każdy z okrętów przyjmie nazwę od jednego z hrabstw w moim królestwie, a jego załoga w miarę możliwości będzie się rekrutowała z tego hrabstwa. A zatem to jest "Norfolk", tam "Suffolk", dalej "Lincoln", "Wyspa Ely", "Buckingham" i wszystkie pozostałe. Co o tym myślisz?

Brand zawahał się. Tak jak wszyscy żeglarze, był bardzo przesądny i nie chciał złym słowem sprowadzić pecha na przedsięwzięcie swego przyjaciela.

- Myślę, że po raz kolejny dałeś światu coś nowego. Może się zdarzyć, że twoje "hrabstwa" będą pływały po morzach. Z pewnością nie miałbym nic przeciwko temu, by popłynąć jednym z nich, ale ponoć nie jestem najbardziej bojaźliwym spośród wikingów.

Może się też zdarzyć, że to królowie Anglii, a nie królowie Północy, staną się w przyszłości panami oceanów. Powiedz mi jednak ciężej - dokąd zamierzasz popłynąć najpierw?

- Prosto do brzegów Flandrii - odparł Shef. - Następnie wzdłuż wybrzeży i obok wysp fryzyjskich aż na wody duńskie. To główny szlak piratów. Zatopimy każdy piracki statek, jaki napotkamy po drodze. Od tej pory każdy, kto zechce nas najechać, będzie musiał długo płynąć z Danii przez otwarte morze. A na koniec zniszczymy ich bazy wypadowe, uderzymy na nich w ich portach macierzystych.

- Wyspy fryzyjskie - mruknął Brand. - Ujścia Renu, Ems, Łaby, Eideru. No cóż, powiem ci tylko jedno, młodzieńcze. To trudne wody. Rozumiesz, co mam na myśli? Będziesz potrzebował pilota, który zna wszystkie przesmyki i każdy skrawek linii brzegowej, tak że w razie potrzeby potrafi odnaleźć drogę na węch i na słuch.

Ordlaf spojrzął na niego wyzywająco.

- Przez całe życie odnajdowałem właściwą drogę tylko przy pomocy sondy, bystrych oczu i logu. Nie wydaje mi się też, by szczęście mnie opuściło, odkąd porzuciłem mnichów, którzy byli moimi nauczycielami, i odnalazłem bogów Drogi.

- Nie powiedziałem nic złego o bogach Drogi - wymamrotał

Brand. Raz jeszcze on i Ordlaf dotknęli swych ochronnych talizmanów, a tym razem Shef również sięgnął ukradkowym gestem po osobliwy amulet w kształcie drabiny, znak swojego patrona Riga. - Nie, opieka bogów też się nam przyda. Ale co do sondy, bystrego wzroku i logu, to będziesz potrzebował czegoś więcej, kiedy już miniesz

Bremę. Mówię ci to ja, Brand, mistrz ludzi z Helgolandu.

Przysłuchujący się rozmowie robotnicy poruszyli się i zaszemrali. Ci, którzy pracowali w stoczni od niedawna, tręcali się łokciami, wskazując na dziwaczny talizman Riga.

Promienie słoneczne przenikały ukośnie przez okna wielkiej biblioteki katedralnej w Kolonii, padając na otwarte stronice kilku ksiąg, rozłożonych na masywnym pulpicie. Diakon Erkenbert, któremu niski wzrost prawie uniemożliwiał dojrzenie górnych krawędzi pulpitu, stał pogrążony w myślach. Poza nim nie było tu nikogo. Librarius, wiedząc, że Erkenbert cieszy się względami samego arcybiskupa, pełen przy tym uznania dla jego wyteżonych studiów, zostawił go samemu sobie, i to w dodatku z wielką i niezwykle cenną Biblią, spisaną na wyprawionych skórach z aż osiemdziesięciu cieląt.

Erkenbert porównywał teksty. Czyżby fantastyczna opowieść, którą arcybiskup Rimbart podzielił się z nimi kilka dni temu, miała okazać się prawdziwa? Wtedy przekonała wszystkich obecnych na spotkaniu, arcybiskupów oraz ich doradców. Ale może dlatego, że schlebiała ich dumie, odwołując się do ich poczucia przynależności do narodu, który dotąd traktowany był z pogardą i pozostawał zawsze w cieniu potęgi wielkiego Rzymu. Erkenbert nie podzielał tego uczucia, przynajmniej dotychczas. Naród angielski, pomny swego nawrócenia przez błogosławionego papieża

Grzegorza, długo szczycił się swą lojalnością w stosunku do papieży i Rzymu. A co Rzym dał mu w zamian? Jeśli prawdą jest to, co mówił Rimbart, może przyszedł już czas, aby być lojalnym...

wobec kogoś innego.

Ale najpierw teksty. Pierwszy z nich Erkenbert znał doskonale i mógłby go recytować we śnie. Mimo to nie zaszkodzi przyjrzeć mu się jeszcze raz. Opowieści czterech ewangelistów o ukrzyżowaniu Chrystusa nieznacznie się między sobą różniły - co niewątpliwie dowodzi ich prawdziwości, wszystkim bowiem wiadomo, że jeśli czterech ludzi ogląda to samo zdarzenie, każdy z nich zwróci uwagę na inne szczegóły. Ale Jan powiedział więcej niż pozostali.

Erkenbert przewracał wielkie, sztywne stronice, aż znalazł urywek, którego szukał i przeczytał go, szeptem wymawiając łacińskie słowa i jednocześnie tłumacząc je w myśli na swój rodzimy angielski.

...Sed unus militum lancea latus eius aperuit. "Lecz jeden z żołnierzy przebił jego bok włócznią". Włócznia, zadumał się Erkenbert. Włócznia rzymskiego legionisty.

Mało kto wiedział lepiej od Erkenberta, jak wyglądał oręż rzymskich żołnierzy. W sąsiedztwie wielkiej katedry w Yorku, nie opodal miejsca, które niegdyś było jego domem, stały jeszcze nieźle zachowane resztki obozu Szóstego Legionu z Eboracum. Legion opuścił York i Brytanię cztery wieki temu, aby wziąć udział w wojnie domowej na kontynencie europejskim, ale nie zdołał zabrać całego arsenału i to, co nie zostało skradzione lub wykorzystane, nadal spoczywało w podziemiach.

Niezniszczalne, bo odlane z brązu mechanizmy spustowe do katapult, które Erkenbert zbudował dla pogańskiego władcy Wara, były starej, misternej roboty i funkcjonowały tak samo dobrze jak w dniu, kiedy zostały wykonane. Żelazo w większości zardzewiało, lecz Erkenbert widział także przechowywany jako trofeum, starannie wyczyszczony i wypolerowany rysz tunek rzymskiego legionisty: hełm, pancerz, krótki miecz, nagolenniki, tarczę i, naturalnie, okutą żelazem rzymską włócznię, czyli pilum. Zwaną również lancea.

Tak, pomyślał Erkenbert, to mogło się zdarzyć. Pytanie tylko, czy włócznia, ta sama Święta Włócznia, która przebiła bok Syna

Bożego, zachowała się do naszych czasów. Ale przecież na własne oczy widział, a nawet miał w ręku broń, która mogła być równie stara.

Czy komuś przyszło jednakowoż do głowy, że należy jej strzec? Musiałby to być ktoś, kto już wtedy zdawał sobie sprawę z jej znaczenia. W przeciwnym razie włócznia wróciłaby do koszar i przepadła wśród tysięcy innych do niej podobnych. Któż mógłby odłożyć ją na bok? Z pewnością nie był to, uznał Erkenbert, cokolwiek by arcybiskup sądził, pobożny Żyd Józef z Arymatei, o którym Jan ewangelista wspomina cztery wersy dalej.

Taki człowiek, jeśli nawet był uczniem Jezusa, mógł co najwyżej błagać Piłata o wydanie ciała, czy też przechować święty kielich, z którego Jezus pił wino podczas Ostatniej Wieczerzy chociaż Jan nic o tym nie mówi. W żaden sposób nie zdołałby jednak uzyskać od Rzymian broni, stanowiącej przepisowe wyposażenie rzymskiej piechoty.

Natomiast centurion, to co innego. Erkenbert z zadumą przewracał strony Biblii, porównując ze sobą kolejne relacje ewangelistów. Centurion był wspomniany w trzech spośród czterech Ewangelii, i we wszystkich trzech wypowiadał niemal te same słowa.

Łukasz: "Zaiste, człowiek ten był sprawiedliwy", Marek: "Zaiste, ten człowiek był Synem Bożym", Mateusz: "Zaiste, ten był Synem Bożym". A w czwartej, czyż Jan nie mógł mieć na myśli centuriona, gdy mówił o „jednym z żołnierzy”? Jeśli centurion przebił bok Jezusa, spełniając w ten sposób swoją powinność, a potem ujrzał albo przeczuł cud - mógł bez trudu zatrzymać i przechować własną włócznię.

Ale dokąd udał się centurion po Ukrzyżowaniu? Erkenbert sięgnął po następną księgę, małą, zniszczoną, nie opatrzoną tytułem, która zdawała się składać z samych listów, pisanych przez różnych autorów, a dotyczących ziemi, pożyczek, długów i tym podobnych spraw. Każdy doświadczony librarius, ledwie rzuciwszy na coś takiego okiem, kazałby zeszkrobać wszystko do czysta, aby karty nadawały się do powtórnego użycia. Erkenbert odnalazł list, o którym mówił mu Rimbert. Wydawał się dość prosty. Epistoła z czasów rzymskich, napisana po łacinie - i to niezbyt poprawnie, jak zauważył zaintrygowany Erkenbert - przez człowieka, który zna tylko język wojskowych komend i nie ma pojęcia o gramatyce. Nagłówek informował, że autorem listu jest niejaki Gajusz Kasjusz Longinus, centurion Legionis XXX Victricis*. W nader podniosłych słowach centurion opisał ukrzyżowanie pewnego wicherzyciela w Jerozolimie, po czym wysłał list do domu w... - Erkenbert nie mógł odczytać nazwy, ale z całą pewnością była ona germańska, Bingen lub może Cobingen.

Erkenbert w zadumie skubał dolną wargę. Fałszerstwo? Najwyraźniej list był przepisywany wiele razy, ale to całkiem normalne, skoro liczył sobie kilka stuleci. Gdyby kopista chciał podkreślić jego ważność, czy sporządziłby tak nędzną kopię tak okropnym charakterem pisma? Co do samej treści,

to Erkenbert nie wątpił, że centurion legionu, stacjonującego w Jeruzalem w trzydziestym trzecim roku od Narodzenia Pana Naszego, mógł pochodzić z Nadrenii. Albo nawet z Anglii. Czyż sam wielki Konstantyn, który uczynił chrześcijaństwo religią państwową w Cesarstwie, nie został obwołany imperatorem właśnie tam, gdzie dziś wznosi się katedra w Yorku?

Najwięcej wątpliwości budził trzeci tekst, współczesny, napisany nie więcej niż trzydzieści lat temu, jak oceniał Erkenbert na podstawie stylu. Była to opowieść o życiu i śmierci znamienitego cesarza Karola Wielkiego, którego wyrodni potomkowie, w opinii arcybiskupa Gunthera, po dziś dzień rządzą nieudolnie Zachodem. Większą część tej historii Erkenbert już znał - wyprawy wojenne cesarza, jego umiłowanie wiedzy. Erkenbert nie zapominał ani na chwilę, że Karol Wielki wezwał do siebie Alkuina, też człowieka z Yorku, też skromnego diakona z angielskiego opactwa i powierzył mu pieczę nad szkolnictwem w całej Europie. Alkuin był człowiekiem ogromnej wiedzy, trudno zaprzeczyć. Ale raczej w dziedzinie literatury, nie zaś umiejętności praktycznych. Nie był to arithmeticus, w odróżnieniu od Erkenberta. Czy wydawało się do pomyślenia, by arithmeticus miał okazać się kimś pośledniejszym niż poeta?

Ale owa kronika życia Karola Wielkiego zawierała coś, o czym

Erkenbert nigdy nawet nie słyszał, aż do momentu, kiedy Rimbart opowiedział o tym im wszystkim. Nie o śmierci cesarza, gdyż była to rzecz znana, ale o złowieszczych znakach, które ją poprzedziły.

Erkenbert podniósł książkę do światła i uważnie przeczytał.

*) Legio XXX Victrix-Legion XXX Zwycięski; każdy legion rzymski miał swój numer i nazwę (przyp. tłum.).

Siedemdziesięcioletni cesarz powracał właśnie w całym majestacie i potędze, jak głosił tekst, ze swojej czterdziestej siódmej zwycięskiej wyprawy, tym razem przeciwko Sasom. Nagle po wieczornym niebie przemknęła kometa. Cometa, pomyślał Erkenbert. Nazywamy ją długowłosa gwiazdą. Długie włosy są atrybutem prawowitego króla. Oto dlaczego przodkowie Karola Wielkiego publicznie obcięli włosy królom, których pozbawili władzy. Długowłosa gwiazda spadła. Kiedy zaś to się stało, utrzymywał dziejopis, koń cesarza spłoszył się i zrzucił go. Zrobił to tak gwałtownie, że miecz władcy zerwał się z pasa, a włócznia, którą dzierżył w lewej dłoni, wysliznęła się i upadła daleko. W tej samej chwili, w cesarskiej kaplicy w Akwizgranie, z inskrypcji imperatora, którą kazał tam umieścić, zniknęło słowo Princeps i nigdy się już nie pojawiło. Król umarł kilka tygodni później, stwierdzała kronika, do końca przy tym zaprzeczał, jakoby owe znaki świadczyć miały, że utracił oparcie w Bogu. Najgorszą zaś wróżbą było upuszczenie przez cesarza włóczni, którą wcześniej wszędzie ze sobą nosił - bowiem rzezoną włócznią, co z naciskiem podkreślał kronikarz, była beata lancea, włócznia germańskiego centuriona Longinusa, zabrana z sekretnego miejsca w Kolonii przez młodego Karola, który odtąd nie rozstawał się z nią podczas swych licznych zwycięskich kampanii.

Ten, kto posiada włócznię, zapewniała kronika, włada przeznaczeniem świata. Ale nawet najmędrszy spośród scholarów nie wie, gdzie się ona znajduje, bowiem palatynowie Karola Wielkiego rzucali o nią kości po jego śmierci i nie wyjawili nikomu, który z nich wygrał.

I jeśli wierzyć temu, co mówił Rimbart, nikt tego nie wie, pomyślał Erkenbert, wstając znad swoich ksiąg. Jemu udało się jednak ustalić, że hrabia Reginbald zabrał Świętą Włócznię do Hamburga, gdzie przechowywał ją jako relikwię, oprawioną w złoto i drogie kamienie. Lecz odkąd dzicy

poganie z Północy złupili Hamburg dwanaście lat temu, nikt jej więcej nie widział. Została skradziona przez jakiegoś przywódcę bandy rabusiów lub pomniejszego konunga.

A może nawet zniszczona.

To wydaje się niemożliwe. Jeżeli to święta relikwia, Bóg będzie jej strzegł. A jeśli na dodatek została kunsztownie przyozdobiona złotem i szlachetnymi kamieniami, nawet poganin uszanowałby ją.

Czy to znaczy, że jakiś nędzny herszt tych podpalaczy kościołów stanie się panem Europy, nowym Karolem Wielkim? Przypomniał sobie Ragnara Włochate Portki, którego sam posłał niegdyś do jamy pełnej żmij, oraz jego synów, Ubbiego, Halvdana, Wara Bez Kości i najgorszego ze wszystkich, Sigurtha Wężookiego, Erkenbert poczuł, jak wzdłuż kręgosłupa przechodzi mu dreszcz strachu.

Nie wolno do tego dopuścić. Jeśli relikwia znajduje się w rękach pogan, trzeba ją ratować, do czego z taką pasją nawoływał Rimbart.

Ocalić ją i wręczyć nowemu cesarzowi, niezależnie od tego, kto miałby nim zostać, aby ponownie zjednoczyć całe chrześcijaństwo.

Tylko skąd pewność, że cała ta historia o włóczni, o ukrzyżowaniu oraz o germańskim centurionie nie była po prostu zmyśleniem? Oszustwem?

Erkenbert odłożył swoje księgi, podszedł do okna i zapatrzył się na spokojny wiosenny krajobraz. Musiał przejść do biblioteki, by przejrzeć dokumenty, i zrobił to. Wydawały się w pełni wiarygodne. Historia, którą opowiadały, brzmiała prawdopodobnie. Co więcej, zdał sobie sprawę, że jest to bardzo dobra historia. Chciał w nią wierzyć. Wiedział również, dlaczego pragnie, aby była prawdziwa.

Albowiem, jak sobie uświadomił, przez całe życie zdany był na samych nieudaczników. Niekompetentnych arcybiskupów, jak Wulfher, nieudolnych królów, jak Ella, a przed nim ten głupiec Osbert, prostackich tanów i niepiśmiennych klechów, obejmujących urzędy dzięki pokrewieństwu z wysoko postawionymi. W Anglii Erkenbert miał do swojej dyspozycji jedynie narzędzia ze słomy.

Natomiast tutaj, na ziemi germańskiego księcia-arcybiskupa, wszystko wyglądało inaczej. Rozkazy były sprawnie wykonywane.

Doradców wybierano ze względu na zalety ich umysłu i wykształcenie. O wszystkim decydowały jedynie względy praktyczne, a ci, którzy to rozumieli, potrafili to również docenić. Możliwości działania były nieporównanie większe. Erkenbert wiedział, że zwrócił na siebie uwagę wielkiego Gunthera z tej prostej przyczyny, że poznał się na wysokiej jakości srebrnej monety arcybiskupa i spytał, w jaki sposób udało się ją otrzymać. Z nowych kopalni, padła odpowiedź, w górach Harzu. Ale człowiek, który wie, jak oczyścić srebro i oddzielić je od ołowiu, jest zawsze mile widziany.

Otóż to, pomyślał Erkenbert. Podziwiał tych ludzi. Chciał, aby go zaakceptowali. Ale czy tak się stanie? Uświadamiał sobie, że poczucie odrębności własnej rasy i języka napawa ich szaloną dumą, on sam zaś jest dla nich kimś z zewnątrz. Był niski i ciemnowłosy, a wiedział, jak bardzo cenią się

i jasne włosy, które uważają za oznakę wspólnego pochodzenia. Czy wśród nich jego przeznaczenie kiedykolwiek się spełni? Potrzebował znaku.

W miarę jak popołudniowe słońce odbywało niespiesznie swą wędrówkę na zachód, jego promienie przesuwają się wzdłuż pulpitu i stojących za nim półek z książkami. Kiedy Erkenbert odwrócił się od okna, snop słonecznego światła padł na otwartą stronę. Błysnęło złoto na ogromnym iluminowanym inicjale, który ręką prawdziwego mistrza ozdobiła kunsztownymi zawijasami, mieniącymi się srebrną i rubinową barwą wypełniających je ornamentów.

To angielska robota, pomyślał Erkenbert. Spojrzał powtórnie na wielką Biblię, której stronie przewracał, skupiony tylko na treści, nie zastanawiając się wcale nad jej pięknem ani pochodzeniem. Z całą pewnością angielska robota, z Northumbrii, jeśli chodzi o ścisłość.

Chyba nie z Yorku, ale z Wearmouth lub ze scriptorium wielkiego

Bedy w Jarrow, z czasów zanim przybyli wikingowie. W jaki sposób dotarła aż tutaj?

A jak przyszło tu chrześcijaństwo? Do czasów Karola Wielkiego

Hamburg i Brema były miastami pogańskimi. Prawdziwą wiarę przynieśli tu angielscy misjonarze, ludzie mojej krwi, błogosławiony Willibrord, Winfried i Willibald, który obalał plemiennych bożków. Moi przodkowie przynieśli wam wielki dar, powiedział sobie Erkenbert w przypiływie dumy. Religię chrześcijańską i naukę, abyście mogli ją lepiej zrozumieć. Jeśli ktoś z was wytknie mi moją obcość, przypomnę wam o tym.

Erkenbert z namaszczeniem odstawił cenne księgi z powrotem na półkę i wyszedł. Arno, doradca arcybiskupa, siedział na ławce na dziedzińcu. Powstał, kiedy zobaczył zbliżającego się małego diakona.

-1 cóż, bracie, jesteś zadowolony?

Erkenbert przywołał na twarz uśmiech, wyrażający bezgraniczną ufność i entuzjazm.

- Najzupełniej zadowolony, bracie Arno. Możesz być pewien, że święty Rimbart dokonał pierwszego nawrócenia człowieka innej rasy. Błogosławię dzień, w którym powiedział mi o tej największej spośród relikwii.

Arno usiadł, chwilowe napięcie minęło. Zaczął szanować małego Anglika za jego wiedzę i przenikliwość. A poza tym - czyż Anglicy też nie byli w końcu Sasami?

- A zatem, bracie, czy podejmiemy to zbożne dzieło? Poszukiwania Świętej Włóczni?

- Tak - odparł Erkenbert gorliwie. - A potem, bracie, spełnimy również misję, dla której została zesłana. Odnajdziemy prawdziwego króla, cesarza Nowego Rzymu na Zachodzie.

Shef leżał na plecach, na przemian budząc się i ponownie zasypiając. Flota miała wypłynąć następnego ranka, a sądząc z tego, co

Brand opowiadał o trudach życia na morzu, należało wykorzystać każdą chwilę na sen. Shef miał za sobą męczący wieczór. Najpierw musiał podjąć kolację wszystkich swoich dowódców, to

znaczy znalezionych z niemałym trudem dziesięciu angielskich kapitanów, którzy zgodzili się objąć komendę nad jego "niszczycielami", oraz czterdziestu z górą wikingów Drogi, dowodzących zwykłymi okrętami.

Wymagało to wypicia wielu kolejek, ponieważ i jedni i drudzy zazdrośnie baczyli, by nie dać się prześcignąć w toastach.

Potem, kiedy wreszcie się od nich uwolnił i miał nadzieję odbyć szczerą rozmowę z Brandem, znalazł swego powracającego do zdrowia przyjaciela w nader cierpkim nastroju. Brand nie chciał popłynąć z Shefem na "Norfolku", twierdząc, że woli własny statek i załogę. Upierał się, że zabranie na pokłady okrętów takiej masy ludzi, nie znających półsłówek, owego przemyślnego języka niedomówień, dzięki któremu żeglarze unikają rozmawiania wprost o tak złowróżbnych rzeczach jak kobiety, koty i duchowni, z pewnością przyniesie pecha. Spostrzegłszy, że nie może liczyć nawet na Thorvina, bowiem kapłan miał szczerzy zamiar popłynąć "Norfolkiem", ponownie się zasepił i zaczął snuć przygnębiające opowieści z rodzinnych stron, dotyczące głównie nieznanych stworzeń morskich, syren i krakenów, a także ludzi, którzy rozzłoszcili skalne elfy i zostali zamienieni w wieloryby. Kiedy opowiadał historię o dwóch niedowiarkach, wciągniętych wraz z łodzią pod wodę przez wielkie, włochate ramię, Shef uznał, że pora zakończyć rozmowę. Teraz zaś leżał w ciemnościach, lękając się wizji, jakie ukaza mu sny.

Kiedy przyszedł sen, Shef rozpoznał natychmiast, gdzie się znajduje. Był w Asgardzie, w domu bogów, a co więcej, stał dokładnie na wprost największego z dworów Asgardu, Valhalli, siedziby bohaterów Odyna. W oddali, choć jeszcze w obrębie Asgardu, dostrzegał rozległą równinę, na której toczyła się jakaś bezładna walka bez szyków bitewnych, gdyż każdy walczył z każdym, a wojownicy zadawali ciosy i walili się na ziemię gdzie popadło.

Powoli mijał dzień, a ludzie padali i więcej się nie podnosili. Bitwa zmieniała się w ciąg pojedynków między poszczególnymi wojownikami. Pokonani osuwali się martwi, zwycięzcy walczyli dalej.

W końcu na placu pozostał tylko jeden człowiek, straszliwie poraniony, wsparty o wielki zakrwawiony topór. Shef usłyszał odległe, przytłumione okrzyki: Hermoth, Hermoth!

Polegli zaczęli powstawać z martwych, ich odrąbane członki na powrót wrastały w ciało, rany zasklepiały się. Jedni spieszyli z pomocą drugim, a ci, którzy pozabijali się nawzajem, teraz ze śmiechem wspominali przebieg walki. Z wolna ustawili się w zwartym szyku i pomaszzerowali do wielkiego dworu, tysiące szeregów, po dwunastu wojowników w każdym, a na czele postać z wielkim toporem. Mijali budowlę tuż obok Shefa, nie dostrzegając go, skręcali w lewo, a następnie szereg za szeregiem, wciąż w nienagannym szyku, wkraczali w szeroko rozwarłe podwoje. Potem brama zatrzasnęła się. Nawet tu, w Asgardzie, zaczął zapadać zmrok. Z wnętrza dobiegły odgłosy hucznej biesiady.

Wówczas do drzwi zbliżył się, kulejąc, nędznie odziany człowiek o nader żalonym wyglądzie. Ledwie Shef spojrział na niego, zrozumiał, że taki nieszczęśnik mógł przeżyć tylko w Asgardzie. Został rozcięty niemal na dwoje, tak że jego górna połowa zdawała się nie mieć żadnego połączenia z nogami. Żebra sterczały na boki, a brzuch musiał chyba zostać zmiażdżony przez jakieś ogromne zwierzę. Wystrzępiony płaszcz ukazywał rozerwane trzewia.

Zatrzymał się u wrót Valhalli i popatrzył na nie. Z wnętrza rozległ się głos, jeden z tych potężnych głosów, które Shef miał okazję słyszeć już wcześniej: nie rozbawiony i drwiący głos jego patrona a

być może ojca - boga Riga, który podjudza ludzi do oszustw i chytrych wybiegów. Nie, ten był zimny i zgrzytliwy. To głos właściciela dworu, pomyślał Shef, samego wszechwładnego Odyna.

- Kto cię tu przysłał, człowiecze? - spytał głos.

Shef nie zdołał usłyszeć cichej odpowiedzi, ale pytający ją usłyszał.

-Ach tak - powiedział. - Poznaję jego dzieło. Znajdzie się dla niego miejsce wśród moich bohaterów. Kiedy nadejdzie czas.

Okaleczony człowiek przemówił ponownie, lecz Shef nadal go nie słyszał.

- Ty? - odparł potężny głos. - Nie ma tu miejsca dla takich jak ty. Kimże jesteś, by występować przeciwko plemieniu Fenrisa, podczas gdy ja potrzebuję ludzi? Wynoś się. Obejdź dom dookoła i zgłoś się w kuchni. Być może mój szambelan Thjalfi potrzebuje jeszcze jednego pomywacza.

Okaleczony człowiek odwrócił się i pokuśtykał we wskazanym kierunku, przeciwnym niż ten, z którego dziarskim krokiem nadszedł zbrojny hufiec. Gdy odchodził, Shefprzyjrzał się jego obliczu. Miał nadzieję, że już nigdy więcej nie będzie musiał oglądać twarzy, na której malowałyby się tak bezgraniczna rozpacz.

Oto człowiek, któremu nawet śmierć nie przyniosła ukojenia, pomyślał. I bogowie pozwalają takie cierpienie? Co zamierzająosiągnąć, czyniąc tyle zła?

Rozdział trzeci

Ijhef stał na rufie prowadzącego okrętu i obserwował pozostałe jednostki, płynące w ślad za nim w dużych odstępach. "Bedfordshire", czwarty z kolei, znów wypadł z szyku, co zresztą czynił zawsze, odkąd metodą prób i błędów wypracowali swoje obecne ustawienie. Cała dziesiątka angielskich "niszczycieli", jak uparcie nazywał je Ordla, żeglowała zgodnie z planem na wschód, a południowo-zachodni wiatr, wiejący od rufy i z lewej burty, sprawiał, że utrzymanie kursu powinno być dziecinnie łatwe. A w każdym razie o wiele łatwiejsze, niż podczas ich niefortunnej wyprawy od ujścia Renu do wybrzeży Danii, kiedy to wiatr mieli dokładnie za sobą. Ale "Bedfordshire" i tak znosiło nieznacznie na otwarte morze.

Nie było sensu krzyczeć z pokładu na pokład, aby tą drogą wiadomość dotarła do kapitana "Bedfordshire". Wiedział, jak ważne jest trzymanie się wyznaczonego miejsca w szyku, zresztą pozostali kapitanowie przypominali mu o tym dobitnie na każdym nocnym postoju. Błąd musiał tkwić w konstrukcji jego okrętu. Z jakiegoś powodu miał większą skłonność do stawania "w dryf", co przysparzało Ordlaowi nieustannych zmartwień. Zajmą się tym po powrocie do portu. A tymczasem "Bedfordshire" będzie robić to, co zawsze: zbaczać z szyku na kilkaset jardów, brasować żagiel i niezdarnie manewrować z powrotem na swoje miejsce. O ile reszta flotylli płynęła mniej lub bardziej prosto, o tyle "Bedfordshire" posuwał się do przodu lekkimi zakosami, przypominającymi spoiny na zgrzewanym mieczu.

Nie ma się czym przejmować, przynajmniej na razie, zdecydował Shef. Zdał sobie jednak z czegoś sprawę, i to już kilka dni temu, gdy tylko on sam i reszta szczerów lądowych przestali wymiotować, przewieszeni przez burzę. Wikingowie panowali na morzach i mogli wylądować praktycznie w każdym punkcie zachodniego świata, nie zważając na środki ostrożności i strażę

przybrzeżne chrześcijańskich władców, ponieważ doskonale opanowali jedną sztukę, która okazała się nadspodziewanie złożona i trudna - żeglowanie.

Marynarze i kapitanowie, zwerbowani przez Shefa w angielskich portach, na swój sposób okazali się dobrymi żeglarzami, choć z całkiem odmiennych względów niż wikingowie. Rybacy opanowali bowiem zupełnie inną sztukę, pozwalającą im wrócić cało do domu.

Musieli nakarmić swoje dzieci, więc wypływali w morze niezależnie od pogody, tak jak Ordlaf. Nie zależało im jednak, aby dopłynąć dokądkolwiek, chyba że do znajomego brzegu czy rafy, a już z pewnością nie mieli najmniejszej potrzeby, by docierać na miejsce szybko i niespodziewanie. Członkowie załóg ze śródlądowych hrabstw znajdowali się na pokładzie po to, by obsługiwać katapulty i strzelać z kusz, natomiast trudy życia na morzu nieznośnie im doskwierały.

Przynajmniej sześciu z nich wypadło za burtę, gdy próbowali zaspokoić swe naturalne potrzeby, lecz na szczęście zdarzyło się to na spokojnych i płytkich wodach, wszystkich więc wyratowano. Zasadniczą przyczyną, dla której Shef postanowił zatrzymać się na noc i rozbijać obóz, była jego obawa o skutki gotowania posiłków na pokładzie.

Shef przestał myśleć o kłopotach "Bedfordshire" i spojrzął na płaski, ponury, piaszczysty brzeg, przesuający się z prawej burty - czyli "sterburty", jak nazywali ją żeglarze, ponieważ tam właśnie zamocowane było długie wiosło sterowe. Shef rozwinął zwój pergaminu, na którym próbował, wykorzystując swe wcześniejsze doświadczenia, nakreślić mapę tych nieznanych krain. Mieszkańcy przybrzeżnych wysp na szlaku ich wyprawy bardzo mu w tym pomogli. Byli to oczywiście Fryzowie, a Fryzowie zachowali silne poczucie wspólnoty, zarówno wobec Anglików, z którymi łączyły ich więzy plemienne, jak i ludzi Drogi, których religię i zasady wprowadził tu fryzyjski książę Radbod przed stu pięćdziesięciu laty. Ale, co może istotniejsze, Fryzowie z wysp byli najbiedniejszymi spośród biedaków. Zamieszkiwali jałowe, piaszczyste łąchy, czasem i na dwadzieścia mil długie, lecz szerokie co najwyżej na milę, a ich skromne chaty oraz stada owiec w każdej chwili mogły paść ofiarą najazdu żądnych łupu wikingów. Wyspiarze posiadali zatem niewiele dobytku i żyli w stałej gotowości do porzucenia swych domostw.

Co nie znaczy, że czuli się nieszczęśliwi, kiedy tam wracali.

Gdy tylko na wyspach rozeszła się wieść, że obce okręty to flota angielska, która przybywa, by walczyć z wikingami, do obozowych ognisk tłumnie ściągali ludzie, gotowi udzielić wszelkich informacji za kubek angielskiego piwa albo srebrnego pensa w nowej monecie.

Z ich opowieści wyłaniał się w miarę jasny obraz. Zaraz za przylądkiem Ijsselmeer zaczynał się łańcuch wysp, ciągnący się wzdłuż wybrzeża i, podobnie jak wybrzeże, wygięty lekko na północny wschód. Im dalej się zapuszczali, tym bardziej znajomo brzmiały nazwy wysp. Przed trzema dniami minęły[wyspy

Texel, Vlieland, Terschelling - te nazwy nic Shefowi nie mówiły. Potem jednak przepływali obok Schiermonnikoog, a jeszcze dalej były Langeoog, Spiekeroog i Norderney. To już potrafił zrozumieć, gdyż chrapliwe fryzyjskie -oog znaczyło to samo, co ey, wyspa, natomiast -koog przypominało mu norfolkskie key, oznaczające łąkę piaszczystą.

Wszystkie te wyspy były bowiem po prostu ławicami piasku, naniesionego w ciągu stuleci przez wpadające do morza rzeki, którym nieustannie groziło zadławienie się szlamem. Pierwszą znaczącą wyrwę w tym łańcuchu stanowiła rzeka Ems. Dalej znalazły sobie bliźniacze ujścia Eider i Wezera,

a gdzieś pomiędzy nimi jeżało warowne biskupie miasto Brema. Jeszcze dalej, za Wangeroog, ostatnią z łańcucha wysp fryzyjskich, mającą właśnie za sterburta, ujrzeć mieli szerokie ujście Łaby wraz z portem i twierdzą Hamburg, siedzibą potężnego arcybiskupa. Dwanaście lat temu Hamburg został doszczętnie złupiony przez wikingów, jak twierdził

Brand, który przecież brał udział w tej pamiętnej wyprawie, lecz od tamtego czasu miasto podniosło się już ze zniszczeń, ponownie stając się grotem włóczni chrześcijańskiego imperium, wycelowanym w Danię i Skandynawię.

Przyjdzie jeszcze czas na obejrzenie Hamburga i Bremy. Ale nie teraz. Teraz należało obrać kurs w poprzek ujścia Łaby, aż do miejsca, gdzie linia brzegowa skręca na północ, do wysp Północnej Fryzji i dalej, do Jutlandii, ku ziemiom południowych Dunów. Z owych właśnie równin -jak utrzymywali niektórzy marynarze - Anglowie podjęli przed wiekami swą wędrówkę, zakończoną podbojem Brytanii i przepędzeniem stamtąd Rzymian. Shef poczuł lekki dreszcz podniecenia. Kto wie, może jeszcze obecnie kraj ten zamieszkują jacyś Anglicy, którzy z radością powitaliby klęskę uciskających ich

Duńczyków? Tymczasem jednak dobrze by było, gdyby w ogóle zdołał tam dotrzeć - i nie tylko dotrzeć, ale również szczęśliwie wrócić, gdy sprawdzi już możliwości okrętów oraz zdobędzie zaufanie ich załóg.

Tym, czego naprawdę potrzebujemy, stwierdził Shef, nadal wpatrzony w znaki na swoim pergaminie, jest dokładna mapa wód po tamtej stronie łańcucha wysp, między wyspami a stałym lądem.

Gdyby udało się tam wpłynąć, jego flota nie musiałaby troszczyć się już o wiatry, pogodę, czy szczupłe zapasy wody, tylko pożeglować wzdłuż brzegu tak samo pewnie, jak po ujściu Ouse czy Stour w Anglii. Mogliby przycząić się w jakiejś kryjówce, by w odpowiedniej chwili spaść zniemacka na statki wikingów.

Ale Ordlaf nawet nie chciał o tym słyszeć, a Brand poparł go z całą stanowczością.

- To trudne wody - powtórzył. - Nawet nie próbuj, nie mając na pokładzie człowieka, który się tu urodził, wychował i któremu mógłbyś ufać. Skały podwodne, piaszczyste ławice, prądy i pływy. Możesz wpakować statek na mieliznę lub rozbić go równie łatwo, jak o cypel Flamborough.

- Łatwiej - dodał Ordlaf. - Cypel Flamborough przynajmniej widać.

Shef zastanawiał się poważnie, ile było w tym pogardy wikinga dla umiejętności żeglarskich Anglików. Wzgarda ta rosła z każdym dniem rejsu, żarty wikingów stawały się coraz bardziej kąśliwe, aż w końcu doszło do tego, że Shef musiał powstrzymać załogę "Norfolka" przed załadowaniem muła i posłaniem największych prześmiewców na dno. To właśnie wtedy zmienili dotychczasowy szyk floty: dziesięć wielkich okrętów wojennych płynęło blisko brzegu, starając się usilnie utrzymać przyzwoitą prędkość, natomiast statki eskorty w liczbie czterdziestu - wszystkie dowodzone przez wikingów, wszystkie też zbudowane na wybrzeżach Kattegat lub w fiordach Norwegii, lecz z Młotem i Krzyżem królestw Drogi na żaglach - zataczały szydercze kręgi daleko z przodu, na otwartym morzu. Nigdy jednak poza zasięgiem ich wzroku. Zawsze przynajmniej jeden żagiel tkwił na horyzoncie, mając baczenie na wlokących się z tyłu Anglików, sam również śledzony przez najlepszą parę oczu w małej flocie Branda, nikszej już za następnym, odległym widnokregiem.

Mogą się śmiać, pomyślał Shef. Choć sami umieją żeglować, to trzeba im przyznać. Ale to zupełnie tak, jak ze zdobyciem Yorku, nowy sposób prowadzenia wojny. Moi ludzie wcale nie muszą być najlepszymi marynarzami od czasów Noego. Muszą po prostu być na morzu. Jeśli Ragnarssonowie lub jacyś inni przekłęci piraci z Północy zechcą nas wyminąć, będą musieli się do nas zbliżyć. A wtedy ich zatopimy. Nawet najlepsi żeglarze świata nic nie osiągną, kiedy ich okręty zamienią się w kupę pogruchotanych desek.

Zwinął swoją mapę, schował ją do nawoskowanej skórzanej torby i poszedł poklepać dłonią masywną konstrukcję muła, aby dodać sobie w ten sposób otuchy. Cwicca, sprawujący obecnie komendę nad wszystkimi katapultami floty, odsłonił w uśmiechu wyszczerbione zęby, spostrzegłszy ten gest. Ubiegłoroczne zwycięstwa przyniosły mu czterdzieści akrów żyznej ziemi i młodą żonę, zatem jak na byłego niewolnika mnichów z Crowland, który posiadał tylko kobzę, sporządzoną z kości i zwierzęcego pęcherza, stał się wprost niewyobrażalnie bogaty. Teraz zaś wszystko to zostawił, z wyjątkiem jedwabnej tuniki, by wyruszyć na kolejną wyprawę. Trudno powiedzieć, czy kierowała nim chęć zdobycia nowych bogactw, czy ujrzenia nowych cudów.

- Żagiel na kursie! - wrzasnął nagle marynarz ze swego niewygodnego punktu obserwacyjnego na wąskiej reji, piętnaście stóp nad głową Shefa. - A za nim następne, widzę je! Płyną prosto na nas.

"Norfolk" zaczął przechylać się niebezpiecznie, w miarę jak coraz to nowi, podekscytowani członkowie załogi biegli na lewą burtę, aby zobaczyć to na własne oczy. Na chwilę zapanowało zamieszanie, zanim bosman i jego pomocnicy przepędzili ich stamtąd kopniakami. Ordłaf wspiał się zwinnie na reję po węzłach liny i spojrzał w kierunku, który wskazywał wyciągnięty palec obserwatora.

Kiedy zjechał z powrotem na pokład, aby złożyć meldunek, twarz miał napiętą.

-To Brand, panie. Wszystkie jego statki gnają pod pełnymi żaglami, tak szybko jak mogą, mając wiatr od burty. Z pewnością coś zobaczyli. Będą halsować i zrównają się z nami - wskazał na niebo - kiedy słońce znajdzie się tam.

-Nie mogło być lepiej - powiedział Shef. - Jest wczesny ranek i przed nami całe długie popołudnie, żeby stoczyć walkę. Piraci nie mają gdzie się schować. Każ wydać ludziom południowy posiłek wcześniej. - Ścisnął kurczowo swój amulet, srebrną drabinę. - Oby mój pjeciec zesłał nam zwycięstwo. A jeśli Odyn potrzebuje bohaterów w Valhalli - dodał, przypominając sobie swój sen - niech ich sobie szuka u naszych wrogów.

- A zatem co mamy o tym myśleć? - spytał Sigurth Wężooki.

Zwracał się do swoich dwóch braci, stojących obok niego na dziobie "Frani Ormr". - Przed nami flota, która zdaje się płynąć prosto na nas, a potem nagle robi zwrot i gna co sił w przeciwną stronę, jakby wszyscy tam dowiedzieli się właśnie, że ich kobiety dają za darmo każdemu, kto tylko wróci do domu.

Tuż za nim rozległ się głos kapitana statku, Vestmara. - Wybacz, panie. Ten oto Hrani, obserwator, chciałby coś powiedzieć.

Sigurth odwrócił się i spojrzał na młodego mężczyznę, który stał teraz przed nim, wypchnięty naprzód przez Vestmara. Taki młody, podczas gdy wszyscy na statku, pięćdziesięciu wybranych

mistrzów Sigurtha, to ludzie w pełni lat męskich. A także biedny, bez śladu złotych ozdób, a rękojeść jego miecza wykonana jest ze zwykłej kości. Został wybrany przez Vestmara i włączony do załogi, przypomniał sobie Sigurth, ze względu na bystry wzrok. Sigurth nie uznał za stosowne odezwać się do niego i tylko pytająco uniósł brew.

Spoglądając w sławetne oczy węża i jego otoczone białymi obwódkami źrenice, Hrani oblał się rumieńcem i na chwilę oniemiał.

Zaraz się jednak opamiętał, przełknął ślinę i przemówił.

- Panie. Nim flota zawróciła, dobrze przyjrzałem się prowadzącemu statkowi. Na dziobie stał mężczyzna, zupełnie tak jak ty teraz, panie, i patrzył na nas. - Zawahał się. - Myślę, że to był Brand.

Viga-Brand.

- Widziałeś go już wcześniej? - zapytał Sigurth.

Młodzieniec przytaknął.

- A teraz dobrze to rozważ. Czy jesteś pewien, że to był on?

Hrani znowu się zawahał. Jeśli się mylił - Sigurth był mściwy i cieszył się pod tym względem ponurą sławą, a ponadto wszyscy wiedzieli, że zarówno jego samego, jak i jego braci opanowało jedno pragnienie. Odnaleźć i zabić ludzi, odpowiedzialnych za śmierć ich szalonego brata Wara - Anglika Skjefa oraz Vige-Brandę, Brandę Zabójcę. Gdyby bracia poczuli się teraz rozczarowani... Z drugiej jednak strony okłamać ich, lub też zataić przed nimi to, co widział - jedno i drugie było równie niebezpieczne. Hrani rozważał przez chwilę, co właściwie widział, kiedy wrogi statek unosił dziób na fali. Nie, nie miał wątpliwości. Postać, którą zobaczył, była zbyt wielka, aby mógł ją pomylić z kimś innym.

- Tak, panie. Na dziobie prowadzącego statku stał Viga-Brand.

Sigurth przez chwilę mierzył go spojrzeniem, następnie bez pośpiechu zdjął z ramienia złotą bransoletę i wręczył ją chłopakowi.

- To dobre wieści, Hrani. Weź to w nagrodę za twój bystry wzrok.

A teraz powiedz mi jeszcze jedno. Jak myślisz, dlaczego Brand zawrócił?

Młodzieniec zważył w dłoni bransoletę i znów przełknął ślinę, ledwie mogąc uwierzyć w swoje szczęście. Zawrócił? Dlaczego ktoś miałby zawracać?

- Panie, musiał rozpoznać "Frani Ormr" i przestraszył się spotkania z nami. To znaczy, spotkania z tobą- dodał pośpiesznie.

Sigurth odprawił go gestem ręki, po czym zwrócił się do swoich braci.

- No tak - stwierdził. - Usłyszeliście już, co myśli o tym dureń.

A co wy myślicie?

Halvdan wpatrywał się w fale, czując na policzkach podmuchy wiatru, gdy śledził wzrokiem ledwie widoczne punkciki żagli na horyzoncie. .

- Daleki zwiad - orzekł. - Wracają po posiłki. Chcą nas pociągnąć za sobą.

- Pociągnąć za sobą, ale dokąd i po co? - spytał Ubbi. - Było tam czterdzieści statków. Spodziewaliśmy się, że mniej więcej tylu naszych - splunął za burtę - przyłączy się do ludzi Drogi.

- Więcej ludzi Drogi mogło pożeglować na południe - zauważył

Halvdan. - Ci kapłani ich podburzali.

- Słyszelibyśmy, gdyby było ich dużo więcej.

- Tak więc jeśli są tam posiłki - zawyrokował Wężooki - to muszą być z Anglii. Anglicy na statkach. Coś nowego. A skoro dzieje się coś nowego...

- To nie obejdzie się tam bez Sigvarthssona - dokończył Ubbi, szczerząc groźnie zęby.

- To coś się za tym kryje - powiedział Sigurth. - Coś się za tym kryje, inaczej nie ośmieliliby się rzucić nam wyzwania, i do tego na morzu. Spójrzcie, ludzie Drogi płyną halsem, kierują się w stronę lądu. Dobrze, przyjmujemy wyzwanie. Zobaczmy, jaką przygotowali dla nas niespodziankę. A może nam też uda się ich zaskoczyć.

Odwrócił się do Vestmara, stojącego w należytej odległości kilku kroków.

- Vestmarze, wydaj rozkazy. Wszystkie statki mają być gotowe do bitwy. Refować żagle, przygotować wiosła. Ale nie składać masztów. Zostawić reje w górze.

Vestmar wybałuszył na chwilę oczy. Brał udział w wielu morskich bitwach u wybrzeży Brytanii i Danii, Norwegii i Szwecji, a nawet Irlandii. Maszty i reje zawsze pozostawały wtedy złożone i zesztauowane, aby takielunek nie przeszkadzał w wiosłowaniu i osiągnięciu możliwie największej prędkości. Poza tym podczas walki wręcz nie było komu trzymać żagli, nikt też nie życzył sobie, by cokolwiek ograniczało pole widzenia, nie pozwalając dojrzeć nadlatujących strzał lub oszczepów.

Otrząsnął się ze zdumienia, skinął głową i odszedł, by grzmiącym głosem wydać swojej załodze oraz załogom sąsiednich statków rozkazy, które miały następnie dotrzeć do wszystkich stu dwudziestu długich łodzi, krążących w pobliżu. Szybko i sprawnie flota

Ragnarssona przygotowywała się do działań wojennych.

Shef wychylił się przez bakburtę, kiedy statek Branda, "Mors", ustawił się zgrabnie tuż obok, wychodząc z długiego zwrotu, który powtórzyły za nim pozostałe jednostki ludzi Drogi, tak że cała flota płynęła znów we wspólnym szyku.

- Wężooki? - krzyknął.

- Tak. Prowadzi ich na pewno "Frani Ormr". Mają nad nami trzykrotną przewagę. Będziemy musieli z nimi walczyć. Jeśli spróbujesz odpłynąć, dogonią cię przed zachodem słońca.

- Po to tu przybyliśmy! - zawołał Shef. - Znasz plan?

Brand skinął głową, odwrócił się i zerwał z szyi długi, czerwony, jedwabny szal. Stał po zawietrznej, a rozwinięty jedwab załopotał w powiewie bryzy.

W tej samej chwili płynące za nim statki opuściły żagle, do połowy już zrefowane, i ruszyły naprzód, ustawiając się jednocześnie ciasno obok siebie. Kilka rozkazów Ordłafa i "Norfolk" jeszcze bardziej zmniejszył swoje i tak ślamazarne tempo, podczas gdy towarzyszące mu bliźniacze jednostki także zaczęły równać do niego szyk. Nie płynęły jednak burta w burte, tylko jeden za drugim w niewielkich odstępach, tak blisko, że dziób każdego z "niszczycieli" prawie zachodził na wiosło sterowe poprzedzającego okrętu. Sternicy przyglądali się z troską i gniewem, jak niezdarne kadłuby omal nie wpadają na siebie w trakcie tych manewrów.

Na dany przez Cwicę znak obsługi katapult obniżyły ramiona wyrzutni do poziomu pokładów, umocowując je w dobrze nasmarowanych zaczepach, a następnie zaczęły napierać ze wszystkich sił na korby kołowrotów, aby nadać skreconym linom maksymalną sprężystość.

-Nakręcać z dwóch stron! - krzyknął Cwicca, patrząc na swego pana. - Może przyjdzie nam strzelać przez obie burty, jeśli Bóg będzie dla nas łaskawy. To znaczy, jeśli Thor będzie dla nas łaskawy. - Wyciągnął spod tuniki swój amulet w kształcie młota, aby zwieszał się swobodnie, w zasięgu ręki.

Powoli flota Drogi sformowała swój uprzednio uzgodniony szyk bitewny w kształcie odwróconej litery T, napierającej na przeciwnika. W pierwszej linii, burta przy burcie, czterdzieści statków Branda ze zwiniętymi żaglami i złożonymi masztami posuwało się wolno naprzód na samych tylko wiosłach - Shef słyszał ciężki oddech wiosłarzy, kiedy ze wszystkich sił napierali na wzmagające się fale.

Za nimi, w samym centrum rozciągniętej formacji, nadal pod żaglami i nadal w szyku torowym, sunęło dziesięć angielskich okrętów wojennych.

Gdy flota już się ustawiła, Shef doświadczył znajomego uczucia ulgi. Podczas wszystkich bitew, jak daleko sięgał pamięcią, targaly nim takie same emocje. Straszliwy, gryzący niepokój przed rozpoczęciem walki, kiedy przychodziła mu na myśl sto pierwsza rzecz, która mogłaby zniweczyć starannie opracowany plan - że kapitanowie nie zrozumieli rozkazów, że załogi ruszają się zbyt ospale, że wróg zjawi się niespodziewanie, nim zdążą się przygotować. Następnie ulga, poprzedzająca zawsze desperacką ciekawość. Czy się uda? Czy przypadkiem o czymś nie zapomniał?

Brand krzyczał coś, stojąc na rufie swego statku i machając gwałtownie rękaw kierunku floty Ragnarssona, odległej zaledwie o pół mili i zbliżającej się szybko wśród skrzywienia wioseł. Co on krzyczy? Shef usłyszał i zobaczył dokładnie w tym samym momencie.

Wróg zbliżał się, aby stoczyć bitwę, tak jak oczekiwali. Ale nie złożył masztów, chociaż żagle zostały zwinięte.

- ...czuć od niego szcurem! - doszły go ostatnie słowa Branda.

To się jeszcze okaże, pomyślał Shef. Szczur, w każdym razie, podszedł już dostatecznie blisko. Zaraz zacznie kąsać. Zdjął z szyi długi niebieski szal - prezent od Godivy, przypomniał sobie nagle z uczuciem przeszywającego bólu, otrzymany w dniu, kiedy powiedziała mu, że poślubi Alfreda. Rozwinął go na wietrze i zobaczył, jak wszystkie twarze zwracają się ku niemu, kiedy obserwatorzy spostrzegli znak. Nie jest to wspomnienie, które dobrze wróży, pomyślał. Rozluźnił uścisk i pozwolił, by wiatr uniósł jedwab w mętnożółtą toń.

Sigurth Ragnarsson, wsparty o dziób swego statku, zauważył dziwnego kształtu żagle na tyłach cienkiej linii okrętów Branda. Zauważył też olbrzymią postać Branda, który stał na wprost niego, wymachując toporem w szyderczym pozdrowieniu. Coś się za tym kryje, pomyślał znowu. I jest tylko jeden sposób, żeby dowiedzieć się, co to takiego. Z wystudowaną powagą zsunął z ramion długi szkarłatny płaszcz, zwinął go i cisnął na dno łodzi. W tym samym momencie człowiek czekający w pogotowiu przy maszcie szarpnął za linę. Na szczycie masztu, ponad reją, załopotał nagle wielki sztandar z godłem czarnego kruka: Kruczy Sztandar synów Ragnara, utkany, jak wieść niosła, w ciągu jednej nocy, magiczną nicią, która zapewnia zwycięstwo. Nikt jednak nie widział, by kruk poderwał się do lotu od czasu śmierci Wara.

Gdy płynąca w gotowości flota spostrzegła rozpostarty sztandar, każdy z wiosłarzy wykonał jeszcze pięć potężnych ruchów ramionami, po czym wszyscy naraz unieśli wiosła do góry i cisnęli je z trzaskiem na dno długich łodzi. Wśród klekotu upadających wiosel wojownicy wydali jeden krótki okrzyk, a w chwilę potem chwycili za tarcze i broń. Sternicy manewrowali rozpedzonymi nagle łodziami w ten sposób, by płynęły możliwie blisko siebie, a każdy z bosmanów zaczął kotwicę o burtę sąsiada, dzięki czemu kadłuby zwały się jeszcze ciaśniej. Zgodnie z przyjętym zwyczajem, łodzie musiały najpierw nabrać rozpędu, by następnie, złączone razem, spaść na wroga, szczepiając się dziobami z nieprzyjacielską flotą. Wówczas na w połowie odkrytych pokładach dziobowych szły w ruch włócznie i miecze, dopóki jedna ze stron nie uznała się za pokonaną, próbując - zazwyczaj bez skutku oderwać się od przeciwnika.

Brand spostrzegł powiewający sztandar, zobaczył wiosłarzy napinających mięśnie do ostatniego raptownego zrywu. W momencie gdy wiosła wygięły się przy pierwszym gwałtownym pociągnięciu, wydał z siebie ryk, zdolny zagłuszyć odgłos atlantyckiego sztormu.

- Wiosła wstecz i zawracać!

Pierwsza linia okrętów Drogi, czekających tylko na tę komendę, nagle rozłamała się w środku. Statek Branda i wszystkie płynące od strony otwartego morza weszły w ostry zwrot przez lewą burtę, wiosła na sterburcie wychylały się w szaleńczym tempie, wiosła bakburty tkwiły nieruchomo w wodzie. Natomiast statki płynące bliżej brzegu wykonały równie gwałtowny zwrot w prawo. Następnie, podczas gdy sternicy robili co mogli, aby uniknąć kolizji z sąsiadami, wiosła zanurzyły się ponownie i zwinnie manewrujące łodzie pomknęły w przeciwnie strony.

Shef, stojący u podstawy masztu "Norfolka", obserwował, jak statki Branda ustępują mu z drogi, kierując się w lewo lub w prawo z nieomylnym wdziękiem dwóch kluczy wędrownych ptaków. Poczul ukłucie strachu - nie o siebie, ale o swój plan kiedy zdał sobie sprawę, że flota Ragnarssona jest znacznie bliżej niż oczekiwał, a w dodatku dystans ten zmniejsza się bardzo szybko. Jeśli ci doświadczeni wojownicy dopadnącego okrętów, koniec może być tylko jeden. W tej samej chwili poczul, że "Norfolk" przyspiesza, bowiem Ordłaf kazał rozwinąć wszystkie żagle. Powoli okręt wykonał zwrot w lewo, ustawiając się prawą burtą w kierunku dziobnie ozdobionych głowami smoków, od których dzieliło ich już co najwyżej sto jardów. Za nim wchodziło w zwrot pozostałe

dziewięć okrętów, trzymających się nadal w zwartym szyku. "Norfolk" ponownie nabral prędkości, ponieważ wiatr mieli teraz prosto od rufy.

Shef usłyszał dziarski okrzyk Ordlafa.

- Wiatr się wzmaga! Wykręcimy w samą porę!

Być może, pomyślał Shef. Ale to bez znaczenia, i tak są zbyt blisko. Czas ich trochę ostudzić. Dał znak Cwicce i skulił się w oczekiwaniu na wstrząs.

Cwicca zawahał się tylko na chwilę. Wiedział, że plan przewiduje zatopienie prowadzącego statku, tego z wielką pozłacaną głową węża na dziobie. Ale jego muł nie był jeszcze skierowany prosto na cel. Nie dawało się go też obrócić. Odczekał, aż grzbiet fali opadnie i jednym szarpnięciem zwolnił zaczep.

Błyskawica ruchu i głuche uderzenie w wyścielaną poprzeczkę, od którego zatrząsł się cały okręt, a nawet na mgnienie jakby się zatrzymał. I czarna smuga, będąca w istocie trzydziestofuntowym głazem, mknącym ze świstem ponad wodą. Smuga, która zatrzymała się tuż za dziobem statku, stykającego się z lewą burtą "Frani

Ormr".

Przez sekundę lub dwie nadciągająca, zwarta masa statków zdawała się sunąć dalej, jak gdyby nic się nie stało, a serce skoczyło

Shefowi aż do gardła. A potem, wolno lecz nieubłaganie, statek rozpadł się na kawałki. Rozpędzony głaz roztrzaskał dziobnicę w drzazgi, a osadzone w niej deski wyskoczyły ze swoich wrębów. Spod linii wodnej gwałtownie wdarło się morze, co sprawił po części ruch samego statku. Pod naporem wody wiązania, mocujące poszycie do wręg, a wręgi do kilu, pękły w okamgnieniu. Maszt, gdy jego osada puściła, pochylił się w przód, trzymany jeszcze przez wanty, a następnie runął na burtę i, niczym maczuga olbrzyma, skosił oniemiałą załogę sąsiedniej łodzi.

Obserwatorzy po stronie angielskiej odnieśli wrażenie, że statek nagle zniknął, wciągnięty w głębinę przez którąś z owych morskich wiedźm z opowieści Branda. W jednej chwili widzieli ludzi, którzy najwyraźniej stoją na wodzie, potem próbują znaleźć oparcie dla stóp na rozlatujących się deskach, aż w końcu pochłania ich morze, a oni rozpaczliwie czepiają się burt przepływających obok statków.

Również "Suffolk" zrobił wreszcie użytek ze swojego muła. Następną smugą pomknęła w sam środek floty Ragnarssona. I jeszcze jedna, gdy trzeci z kolei okręt zdołał wykonać zwrot.

Nagle Shef, który dotąd tylko patrzył, zaczął również słyszeć odgłosy bitwy. Do jego uszu dotarło wszystko naraz, brzęk cięciw, śpiewne pojękiwanie liny, kiedy podwładni Cwicci gorączkowo przygotowywali machinę do strzału, trzask uderzających w drewno kamieni i radosne okrzyki, kiedy statki Branda zawróciły, by uderzyć na flanki Ragnarssona. Jednocześnie Shef poczuł nagle smagnięcie deszczu, a kontury statków naprzeciw niego rozmyły się na chwilę. Nad morzem przechodziła ulewa. Czy liny r przemienią i w tym decydującym momencie jego artyleria zostanie wyłączona z akcji?

Z deszczowego oparu, zatrważająco blisko, wyłoniły się trzy smocze dzioby. Nie było wśród nich głowy węża, zdobiącej nieprzyjacielski okręt flagowy, który pozostał o setki jardów w tyle; to jakiś inny czujny kapitan wrogiej floty, zorientowawszy się, że przeciwnik nie ma zamiaru podpłynąć bliżej i walczyć zgodnie z przyjętymi zasadami, odczepił swoją kotwicę i na powrót posadził ludzi przy wiosłach. Jeśli uda im się podejść naprawdę blisko...

Cwicca uniósł kciuk. Shef skinął głową. Znów przejmujący łomot, ciemna błyskawica, która tym razem zakończyła swój żywot szybciej niż się pojawiła, u samej podstawy masztu środkowego statku. I nagle, tak jak poprzednim razem, nie było już statku, tylko grad spadających desek i szamoczący się w odmętach ludzie.

Lecz były jeszcze dwa i te wciąż się zbliżały, odległe już tylko o kilka jardów. Na dziobie każdego z nich stał wojownik z rozhuśtaną kotwicą, zacięte brodate twarze spoglądały znad wzniesionych tarcz, a zgodny, głęboki pomruk świadczył, że wiosłarze wzięli właśnie ostatni zamach, by wedrzeć się w lukę między nieprzyjacielskimi okrętami.

Nad samym uchem Shefa rozbrzmiał nagle gwar okrzyków i jakiś ogromny kształt, niczym grzbiet wieloryba, przemknął za ledwie o stopę od dziobu "Norfolka". To jeden ze statków Branda gnał ile sił w wiosłach, by zagrozić drogę napastnikom. Przy prędkości zbliżania równej dwudziestu węzłom, tyle bowiem osiągały łącznie płynące ku sobie okręty, natarł ostrym dziobem na sterburtę statku Ragnarssona, gruchocząc mu wiosła, które, wyrwane raptownie z dulek, łamały karki wiosłarzem. Kiedy obydwie statki mijają się ze zgrzytem szorujących o siebie kadłubów, Shef zobaczył, jak wiosłarze Drogi podrywają się z ławek, by z bezpośredniej odległości zasypać przeciwnika gradem oszczepów. Na widok tej rzezi trzeci statek Ragnarssona prześliznął się obok rufy "Norfolka" i, nabierając stopniowo prędkości, uszedł na otwarte morze.

Shef złapał Ordlafa za ramię, wskazując na morze o pół mili dalej, pełne roztrzaskanych wraków, tonących ludzi i zażarcie walczących pojedynczych statków lub całych ich grup. Przez zasłonę deszczu i pyłu wodnego, Wzbijanego przez wzmagający się wiatr, widział łopoczący ciągle Kruczy Sztandar, który właśnie zawrócił i płynął na wschód. "Frani Ormr", prowadzony niezawodną ręką, bez szwanku utorował sobie drogę przez angielskie linie, zgrabnie wykonał zwrot i teraz uciekał w najlepsze.

Gdy obaj przyglądali się temu w milczeniu, wielki żagiel opadł z górnej rei, złapał wiatr i zaczął unosić statek na bezpieczne wody.

- Za nim - rzucił Shef.

- Robi dwa jardy na nasz jeden.

- Odetnij im drogę na otwarte morze, póki jeszcze zdołasz. Zapędź ich na brzeg.

- Ale to Wrota Łaby - zaprotestował Ordlaf.

Palce Shefa zacisnęły się rozkazująco na jego ramieniu.

Rozdział czwarty

Oigurth Ragnarsson spoglądał w zadumie ponad lewą burtę swego statku. Co znamienne, nie zarzucił na ramiona długiej szkarłatnej peleryny, aby na wszelki wypadek mieć wolne ręce.

Równoważył przechyły "Ormr", wspierając się na długiej włóczni, okutej żelazem, z ciężkim trójkątnym grotem. Jego bracia stali tuż za nim i również wyglądali na odprężonych, chociaż nie odłożyli broni. We flocie Ragnarssona dyscyplina panowała surowa. Ale ludzie też byli surowi, wybrani spośród najtwardszych, zaprawionych w bojach weteranów. Nie mieli w zwyczaju opuszczać pola bitwy i z pewnością wyobrażali już sobie, co inni o tym powiedzą. Zastanawiali się, czy aby Wężooki na starość nie zniedołężniał.

Nie było sensu czegokolwiek tłumaczyć. Niech się nad tym pogłowia jeszcze przez jakiś czas.

- Cóż sądzisz o naszym przyjacielu za rufą? - zwrócił się Sigurth do Vestmara, wskazując na "Norfolk", który mozolił się dobrąmiłą za nimi.

- Niezdarna łajba, ale nieźle sobie radzą- odparł Vestmar krótko. -Gdyby niejeden problem. Nie znają tych wód. Spójrz, panie, obserwator na rei i kapitan na dziobie, wypatrujący mielizn.

- Jest ich tu sporo - zauważył Sigurth. Odwrócił się, by popatrzeć na łąd. Wybrzeże bez żadnych punktów charakterystycznych.

Dwie małe wyspy, Neuwark i Scharhorn, właśnie zostawili za sobą.

Mulisty prąd Łaby, wyraźnie widoczny pod kilem, a potem nic, aż do samej Jutlandii i podbitych ziem pomiędzy Danią Imperio Germanorum.

- W porządku. Zwinąć żagiel. Każ ludziom usiąść do wiosł. I poślij kogoś z sondą na dziób.

Vestmar otworzył usta i omal nie zaprotestował. Sonda, pomyślał. Przecież znam Wrota Łaby jak tyłek własnej żony. A jeśli zwinimy żagiel, te bękarty za nami będą miotać na nas swoje iótunn-skaky i poobijają nam nasze tyłki, nim się stąd wydostaniemy. Przełknął słowa, które cisnęły mu się na usta, i odwrócił się na pięcie, by ochryłym głosem wydać rozkazy.

- Mamy ich - wykrzyknął Shef. - Cwicca, przygotuj muła!

Ordlaf nic nie powiedział. Popatrzył w skupieniu na niebo, potem znów spojrzął na ścigany statek i wziął do ręki sondę, którą podał mu marynarz na dziobie. Powąchał błoto, wciąż oblepiające wosk na końcu ołowianego cylindra, uwiązane na pięciosząznowej linie. Wysunął język i poliznął je.

- Po co to robisz?

- Nie wiem - mruknął Ordlaf. - Czasem można poznać, gdy są tam skorupiaki, jaki to rodzaj piasku... Jeśli zbliżamy się do płycizny.

- Spójrz - burknął Shef. - On także nie wie, gdzie jest, miał człowieka na dziobie, który puszczał sondę przez ostatnie dwie mile, tak samo jak ty. Trzymaj się za nim, a jeśli nie wpadnie na mieliznę, to ty też nie.

To nie takie proste, jak ci się zdaje, młody panie, pomyślał Ordlaf, nie takie proste. Sajeszczce inne rzeczy, na przykład prąd - on przepłynął przezeń jak wąż, podczas gdy nas prąd chwytła za kil.

I wiatr, i ten przeklęty deszcz. I przyływ. Czy morze wciąż się podnosi? Gdybyśmy byli teraz w Yorkshire, czułbym to w kościach.

Ale tutaj, na obcych wodach, kto to może wiedzieć, kiedy płyn się zmienia. Chyba już niedługo.

- Jeszcze ze ćwierć mili i zbliżymy się na ty le, by strzelić - krzyknął Shef. - Przenieście wiosła na dziób i na rufę. Zostawcie wolną przestrzeń wokół muła!

Gdy zgrzytający z wysiłku zębami wioślarze pociągnęli mocniej na szczycie krótkiej fali, "Norfolk" znów nabral większej prędkości i długi smoczy kształt wyraźnie się przybliżył. Shef nie spuszczał go z oka, oceniając odległość i zasięg.

_ W porządku, wystarczy. Dobrze wyceluj, Cwicca. Ordla!f, zwrot w prawo, to znaczy na sterburę, i ustaw go tak, żebyśmy mogli strzelać.

Kiedy "Norfolk" przechylał się na prawą burtę, bom zatoczył łuk w przeciwną stronę. Rozległy się wściekłe wrzaski Cwicci, bowiem dolna krawędź żagla przesłoniła mu pole widzenia. Marynarze pośpiesznie chwycili za liny, aby obrócić bom. Ordla!f klął straszliwie, gdyż wioślarze za mocno się przyłożyli, przez co dziób wychylił się zbyt daleko, znieruchomiał i dopiero po chwili ustawił się jak należy. Kiedy żagiel wreszcie przestał wchodzić im w paradę, Shef i Cwicca spojrzeli z niedowierzaniem, zastanawiając się, gdzie przepadła ich zdobycz.

- Tam! - Korzystając z chwilowego zamieszania, "Frani Ormr" czmychnął jak zając. Położył się na lewą burtę, odwrócił do nich rufą i oddalał się teraz z szaloną prędkością, pracując wiosłami jak na ostatnich jardach wyścigu.

- Za daleko na strzał! - wrzasnął Cwicca prosto do ucha Shefa, ledwie panując nad sobą z podniecenia.

- Długo nie wytrzymają tego tempa. Ordla!f, płyniemy za nimi.

Ordla!f zawahał się, spoglądając posepnie na długie zmarszczki płycizn po obu stronach umykającego wikinga. Płycizna szeroka na pół mili między dwiema piaszczystymi ławicami. A jeszcze dalej mnóstwo nieznanymi mielizn i torów wodnych, ciągnących się całymi milami aż do jednostajnego wybrzeża Germanii.

Przypomniał sobie, że tamten kapitan też używał sondy, i uspokoił się. Niebezpieczne wody, ale tamci również ich nie znają.

Jeśli ktoś ma wpaść na mieliznę, oni zrobią to pierwsi. "Norfolk" wykonał zwrot, łapiąc wiatr z drugiej burty, postawił żagiel do wiatru i zapuścił się w wąski przesmyk w ślad za nieprzyjacielem.

Wystarczy, pomyślał Sigurth, czując leciutkie szorowanie piasku pod kilem. Przeszliśmy, w samym szczycie przyływu. Również w oczach Vestmara, nim ten zdążył spuścić wzrok, Sigurth dostrzegł błysk ulgi. Jeden z wioślarzy wydał policzki i, wielce ryzykując, podniósł brew na sternika. Przez ostatnie minuty czuli tarcie wiosła o piasek, więc zanurzali je płytko, czyniąc to machinalnie, jak doświadczeni żeglarze, którymi przecież byli. Teraz natomiast poczuli, że poziom wody znowu się podnosi. Być może szczęście nie odwróciło się całkiem od Wężookiego. Być może...

Z tyłu Sigurth dostrzegał angielski okręt, z ledwo widocznym krzyżem i młotem na żaglu, który nadal się zbliżał. A za nim szkwał, ciągnący przez wąski pas głębszej wody, szkwał, który zrówna się z nim... Teraz.

Deszcz bębnił o pokład z niespodziewanajak na kwiecień furia, a Ordlaf niestrudzenie spoglądał na dziób. Głos sondującego marynarza urósł w jego uszach do wrzasku.

- Dwa sążnie, kapitanie, dwa sążnie i widzę dno!

- Do wiosła - zarządził natychmiast Ordlaf. - Zwinąć żagiel, przygotować się do wycofania.

Za późno. Kiedy wydawał komendy, jeden z wiosłarzy, pracujący zawzięcie lecz nieumiejętnie, poczuł jak jego wiosło stawia nagły opór, przekręca się pod nim i wyrzuca go z ławki na środek pokładu. Mocne jesionowe drewno, zablokowane w piasku, wytrzymało przez chwilę ciężar płynącego okrętu i zepchnęło go z kursu, zanim rozsypało się w drzazgi. Gdy okręt wszedł w przechył, inne wiosła też zaryły się w dno, rozrzucając wiosłarzy po całym pokładzie. Żagiel złapał ostatni poryw szkwału i skierował kil na grzbiet nadciągającej fali. Kil ze zgrzytem osiadł na piasku. Przez kilka chwil trwało całkowite zamieszanie, gdy Ordlaf i jego bosmani, wrzeszcząc dziko i rozpędzając kopniakami wszystkich, którzy stali im na drodze, ciągnęli za liny, brali się do wiosła, słowem robili wszystko, by zepchnąć okręt z łachy, na którą go rzuciło, a przynajmniej osadzić go na równej stępce. Powoli zgiełk ucichł, a wystraszone szczury lądowe, włączając w to ich króla, skupiły się na śródokręciu. Shef zdał sobie sprawę, że wpatruje się w niego para pełnych wyrzutu oczu.

-Nie powinniśmy byli płynąć po płyciźnie w czasie najwyższego przyływu. Spójrz - Ordlaf wyciągnął rękę ponad okrężnicą, wskazując na ławice piasku, wylaniające się z obu stron, gdyż rozpoczął się właśnie sześciogodzinny odpływ.

- Czy grozi nam niebezpieczeństwo? - spytał Shef, przypominając sobie, jak dwa knory Ragnara weszły na mieliznę i rozpadły się na kawałki dwie długie wiosny temu.

- Nie, nie grozi nam, że kadłub się rozsypie. To miękki piasek, a my wpadliśmy na niego dosyć łagodnie. Ale podeszli nas jak się patrzy. - Ordlaf pokiwał głową z ponurym podziwem. - Założę się, że ich kapitan przez cały czas wiedział, ile ma wody pod kilem, kiedy wymachiwał tą sondą i wodził nas za nos. Oddalili się już o milę i wracają na pełne morze.

Shef rozejrzał się czujnie dookoła, uświadamiając sobie raptownie, co może się stać, jeśli Wężooki i jego doborowa załoga zdecydują się ruszyć na nich przez mielizny. Ale nie było ich nigdzie w pobliżu. Przeszedł na dziób i stamtąd, powoli i uważnie, omiół spojrzeniem płaski horyzont, wypatrując masztu ze sztandarem kruka, który łopotał przed nimi nie dalej jak dziesięć minut temu. Niczego nie zobaczył. "Frani Ormr" czał się teraz w jakiejś małej zatoczce lub odnodze rzecznej niczym jadowity wąż, czekając na przyływ, który umożliwi mu bezpieczne przejście. Shef westchnął głęboko, kiedy napięcie minęło, po czym wrócił do Ordłafa i jego milczącej załogi.

- Czy możemy się stąd wydostać przed zapadnięciem nocy?

Ordlaf wzruszył ramionami.

- Możemy spróbować go przesunąć, używając do tego kotwicy.

Niech wszyscy czymś się zajmą.

Kilka godzin później nastroje na unieruchomionym okręcie wyraźnie się poprawiły. W załodze rosło poczucie satysfakcji, że przynajmniej bitwa została wygrana, nawet jeśli części nieprzyjaciół udało się uciec.

Opadające wody - poziom morza obniżał się o piętnaście stóp w tej szerokości geograficznej - ukazały wszystkim, na co ważył się "Norfolk". Okręt leżał teraz pół mili od głównego koryta Łaby, w płytkim zagłębieniu między dwiema ławicami piasku, poprzecinanymi strumykami i potoczkami, wijącymi się we wszystkich kierunkach wśród gładkich podwodnych pagórków, z których tu i ówdzie sterczały zbutwiałe deski lub wręgi roztrzaskanych statków. Początkowo Ordlaf zebrał całą załogę i rozkazał im kopać pod kilem, mając nadzieję, że uda się zepchnąć kadłub na wodę tym samym torem, którym przyплыли.

Gdy jednak wody opadły i przekonali się, jaka odległość dzieli ich od głównego kanału, porzucili ten zamiar. Nie więcej niż sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt stóp przed dziobem znajdował się następny kanał, głęboki na jakieś dziesięć lub więcej stóp, mimo że odpływ już prawie się skończył. Niewątpliwie kapitan Ragnarssona zdołał tam dotrzeć, dobrze wiedząc, że trafi na głębie, a następnie popłynął w prawo lub w lewo, kiedy jego przeciwnik zaprzęgnięty był czym innym. Skierował się ku wybrzeżu, w stronę Hamburga i głównego kanału albo jakimś tylko sobie znanym szlakiem na otwarte morze; nie miało to w tej chwili znaczenia. Zadanie, na którym powinna się skupić załoga "Norfolka" polegało na tym, by przeciągnąć okręt o tych kilka stóp, dzielących go od prawie niewidocznego grzbietu podwodnej łachy i ciągnącego się dalej pasa głębszych wód. Usunęli już piasek spod przedniej części kadłuba na tyle, że dziób wyraźnie choć nieznacznie przechylił się ku dołowi. Ale by skończyć pracę, nim zacznie się wieczorny przypływ, potrzebowali punktu podparcia.

Ordlaf przygotował już linę, przywiązał jeden jej koniec do okrętowej kotwicy, mocno osadzonej w twardym piasku, następnie okręcił linę wokół podstawy masztu, drugi zaś koniec wręczył trzydziestu marynarzom, którzy zaczęli ciągnąć ze wszystkich sił. Okręt zadrżał i jęknął, ale nie przesunął się nawet o cal.

- Potrzebujemy jeszcze jednej liny - powiedział Ordlaf. - Bardziej elastycznej, jeśli taką znajdziemy. I więcej miejsca, żeby wszyscy mogli ciągnąć. Najlepiej będzie, jeśli umocujemy ją tam. - Wskazał na mieliznę po drugiej stronie kanału, szerokiego na jakieś trzydzieści jardów.

- Czy jest wystarczająco długa? - spytał Shef.

- Tak. I zrobiliśmy jeszcze jedną kotwicę z żelazec halabard.

Musimy ją tylko tam przenieść.

Shef usłyszał prośbę w jego głosie. "Norfolk", chociaż tak ogromny w porównaniu z innymi okrętami, które pływały obecnie po morzach, był i tak o wiele za mały, by pomieścić nawet niewielką szalupę, gdyż każdy skrawek jego zagraconego kadłuba zajmowali ludzie oraz zaopatrzenie. Miał za to maleńkie czółno, zrobione ze skóry naciągniętej na drewniany szkielet, które przypominało raczej tratwę niż łódź, i bardzo źle słuchało steru, łatwo natomiast wywracało się do góry dnem. Ordlaf lub któryś z jego norfolkskich rybaków potrafiliby pokierować nim bez trudu, ale ich umiejętności potrzebne były w tej chwili gdzie indziej. A każdy ze szczerów lądowych, obsługujących wiosła i muły, z całą pewnością wyrzuciłby czółno i utonął.

Shef westchnął. Godzinę temu zebrał wszystkie zapasy żywności, jakie jeszcze zostały na statku, oraz uzupełniane codziennie zapasy drewna opałowego. Następnie kazał Cwicce rozpaścić na piasku ognisko, wyciągnąć wielki żelazny kocioł i ugotować coś jadalnego z tych niewyszukanych składników: mąki, solonych ryb i kaszy jęczmiennej. Głodnemu człowiekowi coraz intensywniejszy zapach dobywający się z kotła wydawał się jednak kuszący. Shef popatrzył na zachodzące słońce, pomyślał o nocy, którą przyszloby im spędzić na zmaganiach z przybierającą wodą, i poddał się.

- W porządku. Wychowywałem się wśród bagien, zanim zrobili ze mnie jada, a potem króla. Uczynię to.

- Poradzisz sobie z czółnem?

- Patrz tylko na mnie. Gdyby nie ta kotwica, dopłynąłbym tam kilkoma ruchami wiosła.

Bosman Ordlafa ostrożnie ułożył kotwicę na dnie czółna, tak aby ostre krawędzie nie poszarpały skóry, a następnie upewnił się, czy przywiązana do kotwicy lina o nic nie zaczepia. Shef raz jeszcze spojrzął na kocioł, ocenił odległość i szansę wywrotki, po czym zdjął złoty diadem, stanowiący oznakę jego godności, i wręczył go Hwithelmowi. Ów przystojny młodzian, szlachetnie urodzony i nieprawdopodobnie głupi, przy uroczystych okazjach służył Shefowi jako miecznik, a teraz również zabrał jego miecz.

- Przechowaj to do mojego powrotu.

Hwithelm zmarszczył brwi, urażony bezceremonialnością tego gestu, w końcu jednak pojął jego zasadność.

- A bransolety, panie?

Shef zawahał się na krótką chwilę, a potem zdjął powoli złote bransolety, które opasywały jego bicepsy, i oddał je Hwithelmowi.

Było raczej niemożliwe, aby spadły mu z ramion, ale gdyby czółno się wywróciło, co z kolei było wielce prawdopodobne, to kto wie, co mogło się stać?

Doszedł do skraju łachy, usadowił się w czółnie, wziął do ręki krótkie wiosło i popłynął. Sterowanie tylko jednym wiosłem okazało się nader trudne, zwłaszcza z dodatkowym obciążeniem, które sprawiało, że burta wystawała z wody zaledwie na trzy cale. Sztuka polegała na tym, by lekko podkręcić wiosło do góry przy każdym zanurzeniu. Shef, sterując ostrożnie i cierpiąc katusze, nieustannie bowiem czuł zapach jedzenia, dopłynął do mielizny, gdzie zakopał w piachu kotwicę zgodnie z instrukcjami wyrzaskiwanymi przez Ordlafa. Następnie, gnany coraz większym pośpiechem, gdyż dochodził go już szcęk misek zjedzeniem, wgramolił się do czółna i ruszył w drogę powrotną.

Teraz jednak w poprzek kanału przeciągnięta była lina. Zamiast wiosłować, mógł więc po prostu usiąść i holować czółno wzdłuż liny obiema rękami.

Nie od razu Shef zdał sobie sprawę, że krzyki dobiegające z okrętu brzmią jakoś inaczej, bardziej gwałtownie, przynaglająco. Spojrzął w lewo, jak czynił to zawsze, odkąd miał tylko jedno oko, aby

zobaczyć, co się dzieje. Ale zobaczył jedynie Ordłafa, który z wyrazem przerażenia na twarzy gestykulował zawzięcie i wskazywał mu coś, co było z prawej strony.

Shef odwrócił się pospiesznie w prawo, niemal wywracając przy tym czołno. Przez moment widział tylko wielki czarny kształt pośród białej spienionej wody, tuż nad sobą. A potem zdał sobie sprawę, z tego co zobaczył.

Za nim, prawie nad nim, wyrósł nagle "Frani Ormr". Jego wiosła pracowały zawzięcie, a odkosy wody spod dziobu rozchodziły się wysoką falą na obie strony wąskiego kanału. Ze złożonym masztem, bez głowy węża i smoczego ogona, nie wyższy od zwyczajnej łodzi, przyczał się za jakimś bezimiennym, niewidocznym cyplem, czekając na dogodną okazję. Teraz ją zwietrzył i rzucił się naprzód, jakby chciał zgnieść i stratować słabszego wroga. W tej samej chwili, gdy Shef rozpoznał statek, zobaczył też wojownika w szkarłatnym płaszczu, wspartego o dziób, z potężną włócznią w uniesionej dłoni. Ujrzawszy zęby, obnażone w grymasie nienawiści, Shef zrozumiał, że nie ma nadziei, by ten człowiek chybił. Ramię odchyliło się do tyłu i włócznia na moment zawisła nieruchomo.

Shef błyskawicznie sturlał się przez burtę do wody, czyniąc rozpaczliwe wysiłki, by zanurzyć się możliwie głęboko. Nagły wzrost ciśnienia wepchnął go jeszcze głębiej, poczuł szorstki piasek pod brzuchem. Przez chwilę miał wrażenie, że znalazł się w potrzasku, uwięziony pomiędzy kilem a morskim dnem, więc rzucił się szaleńczo w bok i do góry. Oślepiający ból przeszył mu czaszkę, gdy zanurzone głębiej wiosło uderzyło go w skroń.

Zanurkował ponownie. Jego płuca gwałtownie domagały się powietrza, musiał wynurzyć się na powierzchnię i zaczerpnąć oddechu, ale powierzchni nie było, walczył więc szaleńczo rękoma, byle w górę, w górę...

Dysząc ciężko, Shef wystrzelił z wody kilka jardów za rufą "Frani Ormr", powiódł dookoła oszalałym wzrokiem i rzucił się w stronę najbliższego brzegu. Po chwili był znów na piaszczystej łasze, gdzie nie tak dawno osadził kotwicę. Na przeciwległej wysepce ktoś przewrócił kocioł, zebrany wokół okrętu ludziom rzucono z pokładu miecze i halabardy, rząd hełmów ukazał się ponad okrężnicą, kiedy kusznicy w pośpiechu ładowali broń.

Ordlaf wykrzykiwał rozkazy, przygotowując się do odparcia ataku. "Norfolk" skierowany był dziobem w stronę kanału, a do tego przechylony mocno na jedną burtę, zatem użycie muła nie wchodziło w rachubę.

"Frani Ormr" właśnie zawracał na środku wąskiego nurtu, wiosła lewej burty ciągnęły do przodu, wiosła prawej burty - w tył.

Zawracał nie w kierunku "Norfolka", lecz w stronę Shefa, który stał samotnie na drugim brzegu żeglownego kanału. Shef rozważał przez chwilę, czy nie zanurkować, wystarczyłoby bowiem kilka energicznych ruchów ramionami i znów znalazłby się między przyjaciółmi, rozmyślił się jednak, gdyż wyobraził sobie harpun, wymierzony z pokładu "Frani Ormr" w jego plecy. I tak zresztą było już za późno. Pozbawiony ozdoby dziobowej "Ormr" płynął wprost na niego, a przechyleni przez burty ludzie przyglądali mu się uważnie.

Shef wycofał się w głąb swojej wysepki, by nie stanowić zbyt łatwego celu dla oszczepów, i zastanawiał się, co teraz nastąpi.

Był sam i nie miał żadnej broni. Rozległ się krzyk i wiosła przestały uderzać, uniesione w górę sterczały z dulek. Tylko jeden człowiek wszedł na burzę, stanął na niej pewnie w swych żeglarskich butach z kozłej skóry, przeszedł kilka kroków po okrężnicy i zeskoczył na twardy piasek. Młody człowiek, jak zauważył Shef, przyglądając mu się bacznie z odległości kilku jardów. Ale wysoki i silny, ze złotą bransoletą wokół jednego ramienia.

Usłyszał świst powietrza nad głową, a w chwilę potem następny. To kusznicy z "Norfolka" próbowali przyjść mu z pomocą.

Ale unieruchomiony okręt znajdował się zbyt daleko, po drugiej stronie kanału, a w dodatku odgradzał go od Shefa potężny kadłub "Frani Ormr". Shef cofnął się jeszcze dalej, kiedy młody wojownik wyciągnął miecz. Trzej inni przeskoczyli przez wiosła i ruszyli w jego kierunku. Shef, tylko na chwilę oderwawszy wzrok od najbliższego przeciwnika, rozpoznał wszystkich trzech: Halvdan Ragnarsson, który rozstrzygał jego holmgang w Yorku, siwowłosa Ubbi Ragnarsson, a pomiędzy nimi Sigurth, który pozbawił go oka w Bedricsward. Jakby na wspomnienie tej sceny, z pustego oczodołu Shefa pociekła nagle słona woda. Jeden z synów Ragnara trzymał w dłoni topór, drugi miecz, trzeci zaś włócznię. Wszyscy trzej byli w kolczugach. Młody wojownik najbliżej Shefa nie nosił zbroi.

Shef odwrócił się i zaczął biec w głąb łachy. Oddalał się w ten sposób od "Norfolka", ale nie mógł nic na to poradzić. Gdyby pozostał na miejscu, zabiliby go, a jeśli próbowaliby przeciąć wysepkę, po kilku krokach znalazłby się w wodzie. Błąd, uświadomił sobie w chwilę później. Biegł w tym samym kierunku, w którym dryfował "Ormr", bez trudu dotrzymując mu kroku, osłaniając jego prześladowców przed strzałami z kusz, a przy tym ktoś z pokładu mógł dosięgnąć go strzałą z łuku lub oszczepem.

Skręcił w lewo, słysząc za sobą tupot nóg na piasku. Mielizna skończyła się. Skoczył płasko do wody, zrobił trzy, cztery potężne zamachy ramionami, znów poczuł piasek pod brzuchem i poderwał się na nogi.

Odbiegł kilkanaście kroków i zaryzykował spojrzenie przez ramię. Młody człowiek zawahał się na samym skraju wody. Gdy w końcu wskoczył do niej, sięgnęła mu zaledwie do pasa. Ragnarssonowie zostali w tyle, nie byli już młodzi, a w dodatku ciążyły im kolczugi, lecz szykowali się właśnie, by przekroczyć mały kanał o kilka jardów dalej i odciąć mu drogę ucieczki. Przed nim, a także z lewej i z prawej strony, nie było nic, tylko gmatwanina okrągłych pagórków, rozlewisk i płytkich strumyków, sączących się leniwie do głównego nurtu. Niektóre z nich wcale nie były takie płytkie. Tam właśnie mogli go dopaść, Sigurth ze swoją włócznią, albo ten zwinny młodzieniec, gdyby zjawili się, nim zdążyłby przepłynąć na drugi brzeg. Lecz jeśli zyska dostateczną przewagę i przepłynie strumień, wówczas zdoła im uciec.

Człowiek w ciężkiej kolczudze dobrze się zastanowi, nim wejdzie do głębokiego kanału, a jeśli by nawet to zrobił, on będzie już daleko.

Shef obejrzał się, zobaczył, że młody wojownik wychodzi na brzeg, i znowu ruszył do przodu. Pobiegł nieco wolniej niż potrafił, kołyszając się na boki i spoglądając za siebie co kilka kroków, jakby w panicznym strachu. Pokonał pięćdziesiąt jardów i przeciął płytkie rozlewisko, rozchlapując wodę na wszystkie strony. Przebiegł następne pięćdziesiąt i okrążył stromy pagórek. "Ormr" pozostał z tyłu, więc z tamtej strony nic mu nie groziło. Ragnarssonowie rozdzielili się i teraz krzyczeli do siebie, wskazując na Shefa. Tuż za sobą słyszał sapanie wysokiego młodzieńca, który chwilami unosił miecz, jakby chciał zadać cios.

Wikingowie kiepsko biegają, przypomniał sobie Shef z ponurą ironią. Wypatrzył następny głębszy strumyczek, przeskoczył przez niego na twarde piasek i odwrócił się.

Młodzieniec przystanął w wodzie, wyszczerzył radośnie zęby i skoczył, wznosząc miecz do cięcia. Shef uchylił się błyskawicznie, złapał przeciwnika oburącz za prawy nadgarstek i kopnięciem podciął mu nogi. Obaj upadli ciężko na piasek, miecz poszybował daleko.

Nie było czasu sięgać po niego, a walka wręcz stanowiła zbyt wielkie ryzyko. Wszystko, co musiał zrobić wiking, to przytrzymać

Shefa, dopóki nie przybędą Ragnarssonowie. Shef zrobił krok do tyłu i rozłożył ramiona w pozycji zapaśniczej. Młodzieniec spojrzał na niego, wciąż dysząc, wciąż szczerząc zęby.

- Mam na imię Hrani - powiedział. - Jestem najlepszym zapaśnikiem w Ebeltoft.

Zamilkł i ruszył do zwarcia, usiłując złapać Shefa za kołnierz i łokieć. Shef zrobił unik i sięgnął po nóż u pasa Hraniego. Gdy Hrani opuścił dłoń, żeby zasłonić nóż, Shef wyprostował się, lewym ramieniem przygniół szyję Hraniego i natarł na niego biodrem. Wysoki mężczyzna stracił równowagę i upadł do tyłu. Prosto na kolano, które Shef podstawił pod jego krzyż. W tej samej chwili Shef chwycił go oburącz i przegiął do tyłu, wkładając w to całą swą siłę byłego kowala.

Zatrzeszczały kręgi i Hrani spojrzał na niego przerażonym wzrokiem. Cały czas wbijając mu kolano w kręgosłup, Shef poklepał go delikatnie po policzku.

- Nadal jesteś najlepszym zapaśnikiem w Ebeltoft - powiedział. - To był niedozwolony chwyt.

Wyciągnął nóż zza pasa Hraniego i wbił mu go głęboko w klatkę piersiową. Ułożył ciało na piasku, wstał i sięgnął po miecz z prostą kościaną rękojeścią.

Kilka jardów dalej znajdował się kolejny głębszy kanał. Shef skierował się tam, przerzucił miecz na drugą stronę, skoczył do wody i szybko popłynął. Na brzegu odwrócił się i spojrzał na Ragnarssonów, którzy właśnie nadbiegli, dysząc ciężko. Pochylił na moment głowę, by woda spłynęła z pustego oczodołu, a potem znowu spojrzał i napotkał wzrok Wężookiego.

- Chodźcie! - krzyknął. - Jest was trzech, sami wielcy wojownicy. Tak jak wasz brat, War. Wara też zabiłem w wodzie.

Halvdan ruszył naprzód ze wzniesionym mieczem. Jego brat Ubbi złapał go za ramię.

- Zabije cię, nim poczujesz dno pod stopami.

Shef wyszczerzył zęby z rozmyślnie przesadną drwiną, mając nadzieję, że ich sprowokuje. Jeśli zbliży się tylko jeden, spróbuje go zabić, póki woda będzie krępowała ruchy tamtego. Jeśli ruszy na niego dwóch lub trzech jednocześnie, znowu pobiegnie, a oni z całą pewnością nie zdołają go dogonić. Na razie inicjatywa należała do niego. Oni zaś mieli do rozwiązania zagadkę, ponieważ nie wiedzieli, że on zdecydował się już na ucieczkę. Gdyby ruszyli razem, mieliby ogromną przewagę i na pewno by go zabili, ale na początku on położyłby przynajmniej jednego. Mogli myśleć, widząc ciało zabitego wojownika, że opanowała nim bitewna furia i gotów jest rzucić im wyzwanie.

Bez ostrzeżenia, bez cienia grymasu na twarzy, który zdradzałby powzięty zamysł, Sigurth cisnął włócznią, mierząc prosto w brzuch Shefa. Shef dojrzał błysk i z młodzieńczą zręcznością wyskoczył w powietrze, rozstawiając szeroko nogi.

Przelatujące drzewce otarło mu boleśnie pachwinę. Shef wylądował w rozkroku na piasku, zagryzając wargę, by nie okazać bólu.

- Twój brat Ivar przynajmniej walczył uczciwie, stojąc na tej samej desce, co ja - zawołał. - Czy ktoś ci powiedział, jak zginął? - Zmiażdżyłem mu jądra, pomyślał, i pociąłem twarz, uderzając go krawędzią hełmu. Mam nadzieję, że nikt im o tym nie powiedział. Bo jeśli on walczył uczciwie, to ja z pewnością nie.

Wężooki odwrócił się, nie zadając sobie nawet trudu, by wyciągnąć miecz. Mruknął coś do swoich braci i oni także zawrócili, kierując się do miejsca, gdzie leżał martwy Hrani. Shef zobaczył, jak

Sigurth pochylił się i zdjął złotą bransoletę z ramienia chłopca. Potem wszyscy trzej ruszyli razem w stronę statku. Nie podjęli wyzwania.

Sigurth jest bardzo sprytnym człowiekiem, pomyślał Shef. Wołał zawrócić i uciec z pola bitwy morskiej, niż walczyć według moich reguł. Teraz zrobił dokładnie to samo, ale to nie znaczy, że dał za wygraną. Muszę o tym pamiętać.

Rozejrzał się wokół, oceniając swoje położenie.

Był odcięty od "Norfolka". Sigurth i jego ludzie mogli zaatakować unieruchomiony okręt, lub nie, "Norfolk" zaś mógł wygrać ten pojedynek, lub go przegrać. W każdym razie próba powrotu do swoich pociągała za sobą zbyt wielkie ryzyko. Trudno przewidzieć, jakie pułapki mógł przygotować Sigurth wśród okolicznych mielizn.

Shef musiał obrać inną drogę, pójść w kierunku nieznanego wybrzeża, od którego dzieliło go w linii prostej jeszcze jakieś ćwierć mili piaszczystych łąch.

Miał na sobie ubranie, w którym tu przyplynał, a u pasa krzesiwo i krzemień oraz kiepski żelazny miecz z kościaną rękojeścią. Żołądek przypominał mu, że nie jadł nic od południowego posiłku.

W przemoczonych wełnianych spodniach i tunice zaczął się trząść, i nie mógł tego powstrzymać. Słona woda podrażniła pusty oczodół, a jakiś osobliwy kaprys sprawiał, że jego drugie oko nieustannie z tego powodu łzawiło. Słońce znajdowało się ledwie na szerokość dłoni nad płaskim horyzontem. Nie mógł tu zostać. Zbliżał się przypyływ. Jeśli się nie pospieszy, to wkrótce będzie musiał płynąć, zamiast iść.

Chyba nigdy jeszcze nie czuł się mniej królem, niż w tej chwili.

Ale uprzytomnił sobie, że tak naprawdę w ogóle nie doświadczył tego uczucia. Przynajmniej teraz, kiedy był dorosłym mężczyzną, nie miał pana ani ojczyma, który by go bił.

Zawracając w kierunku germańskiego wybrzeża na północnym brzegu Łaby, nie omieszkał zabrać po drodze włóczni, którą cisnął w niego Sigurth. Świetna broń, jak należało zresztą oczekiwać, okuta żelazem na stopę poniżej trójkątnego grotu. Sam grot z najlepszej stali, bez śladu zużycia.

Żadnej srebrnej inkrustacji czy zdobień. Wężooki, będąc człowiekiem praktycznym, nie tracił pieniędzy na coś, czym miał zamiar rzucać w swoich wrogów. Jednak na stali były jakieś znaki, runy. Przypomniał sobie cierpliwe nauki Thorvina, Shef zdołał je przeczytać: "Gungnir", głosił napis.

Tak, Wężooki najwyraźniej nie sądził, że naśladowanie samego

Odyna może być profanacją. Nie jest to dziedzictwo rodowe ani starożytna broń. Kowalska praktyka Shefa mówiła mu, że grot został wykuty niedawno. Zadumany Shef oparł włócznię na ramieniu, wetknął miecz Hraniego za pas, a następnie znużonym, niespiesznym krokiem pomaszzerował w stronę północnego brzegu Łaby przez strzegące jej ujścia piaski, ledwie widoczne w półmroku.

Daleko na północ od piaszczystego ujścia Łaby, nawet dalej od twierdzy Ragnarssonów w duńskim Sjaellandzie, bo aż na norweskim wybrzeżu, wielkie kolegium Drogi w odległym Kaupangu nadal przykryte było ciężką warstwą śniegu. Gruba lodowa skorupa pokryła szczelnie fiordy. Przebywający na otwartej przestrzeni ludzie zdążyli pospiesznie do najbliższego zaciszego miejsca.

Między poruszającymi się szybko figurkami narciarzy jedna postać zatrzymała się nagle i stała teraz bez ruchu na śniegu: Vigleik, znany z licznych wizji jakie miewał, najbardziej szanowany spośród kapłanów Drogi. Gdy tak stał, ptaki zaczęły zlatywać się ku niemu ze wszystkich stron i siadać na ziemi, tworząc dookoła zwarty pierścień. Zlatywały się coraz liczniej, a Vigleik przyzwał swoich towarzyszy, aby również to zobaczyli. Z wolna wokół pierścienia ptaków powstało koło złożone z kapłanów i ich uczniów oraz pomocników, trzymających się w stosownej odległości.

Jeden z ptaków, mały rudzik z czerwonym brzuszkiem, podfrunął nagle, usadowił się na ramieniu Vigleika, a następnie głośno i przeciągle zaczął ćwierkać. Vigleik stał nieruchomo na śniegu, wpatrując się w niebo, jakby w stanie najwyższego skupienia. Na koniec pokiwał uprzejmie głową, a wówczas ptaszek odleciał.

Zjawił się następny ptak i usiadł na jego okrytej rękawiczką dłoni, zaciśniętej na kijku od nart. Tym razem był to maleńki strzyżyk z ogonkiem wzniesionym do góry jak ostrogi jeźdźca. On również zaśpiewał swoją długą pieśń i czekał.

- Dziękuję, sostro - dobiegły przyglądających się kapłanów słowa Vigleika.

Nagle wszystkie ptaki zerwały się pospiesznie i pofrunęły, szukając bezpiecznego schronienia wśród gałęzi pobliskich drzew. Pojawił się bowiem nowy gość, wielki czarny kruk, który nie usiadł jednak na ramieniu Vigleika, tylko zaczął przechadzać się przed nim w tę i z powrotem, od czasu do czasu kracząc chrapliwie i wyzywająco, zupełnie jakby szydził. Lecz Vigleik nie odzywał się. Wreszcie ptak podniósł ogon, trysnął strumieniem kropel na trawę i również odleciał.

Po chwili Vigleik podniósł oczy i popatrzył w dal. Kiedy je opuścił, jego twarz na powrót przybrała normalny wyraz. Wiedząc, że nawiedziła go kolejna wizja, jego towarzysze podeszli bliżej. Na przedzie kroczył Valgrim, uznany przywódca kolegium i zarazem kapłan Odyna Wszechojca - niewielu ważyłoby się przyjąć na siebie taką odpowiedzialność.

- Jakie wieści, bracie? - spytał po chwili.

- Wieści o śmierci tyranów. I jeszcze gorsze. Mój brat rudzik wyjawiał mi, że papież Nikulaus zmarł w mieście Rzymie, zaduszony poduszką przez swoje własne sługi. Zapłacił taką cenę nie za to, że posłał swych ludzi przeciw nam, ale za przegraną.

Valgrim pokręcił głową, a jego broda zadrgała się w grymasie zadowolenia.

- Moja siostra strzyżyk oznajmiła mi, że w ziemi Franków król

Karol Łysy także umarł. Jeden z jego hrabiów opowiedział historię, jak to przodkowie Karola strzygli niegdyś długie włosy królów, aby pokazać, że nie są królami, Bóg zaś, rzekł hrabia, obdarzył Karola łysiną na znak, że nigdy nie powinien być królem. Kiedy Karol rozkazał swym ludziom pojmać hrabiego, inni hrabiowie powstali i zabili króla.

Valgrim znów się uśmiechnął.

- A kruk? - spytał na koniec.

- To były najgorsze wieści. Powiedział, że jeden z tyranów, Sigurth Ragnarsson nadal żyje, choć dzisiaj bliski był śmierci.

-Może i jest tyranem -odparł Valgrim. -Ale mimo to jest ulubieńcem Odyna. Gdyby ludzie Drogi zdołali go przeciągnąć na swoją stronę, zyskaliby wielkiego mistrza.

-I tak może się zdarzyć - rzekł Vigleik. - Lecz jego stworzenie, kruk, traktuje nas jak wrogów, morderców jego brata. Groził mi, groził nam wszystkim, jego zemstą. A do tego kruk nie powiedział mi całej prawdy, wiem to. Coś zataił.

-Co?

Vigleik powoli potrząsnął głową.

-To nadal jest przede mną zakryte. Mimo tego, co mówisz, Val' grimie, nie sądzę, aby zwycięstwo, gdy nadejdzie Ragnarok, można było osiągnąć dzięki takim ludziom, jak Sigurth Ragnarsson, z jego ofiarami i okrucieństwem. Nie sami wielcy mistrzowie pokonają Lokiego i plemię Fenrisa. I to nie krew sprawi, że Balder powstanie są martwych. Nie krew, ale łzy.

1^ Opanowali się jednak i zadał ostatnie pytanie.

niej jednak ten drugi wleciał jeszcze który z nich zwyciężył.

ęwyże^^^ j. Lecz n.e w.dz. ałem, Rozdział piąty .Diakon Erkenbert siedział w blasku słonecznym za wielkim stołem, przed sobą miał kałamarz i pergamin. Spędził długi, pracowity dzień, który dobiegał już końca. Ale sprawił mu ogromne zadowolenie. Ufność, szacunek, niekiedy nawet lęk, wszystkie te uczucia targały Erkenbertem, w miarę jak układał na grubą stertę arkusze pergaminu, wypełnione, linijka po linijce, imionami. Każdemu z imion towarzyszyła pokorna prośba o przyjęcie w szeregi nowego zakonu, który ustanowiony został przez arcybiskupów Zachodu: Zakon Włóczni, albo, w ich języku, der Lanzenorden.

Podczas długiej podróży na północ, z Kolonii do Hamburga, Erkenbert zdał sobie sprawę, że istnieją szczególne względy, przemawiające za ustanowieniem zakonu mnichów-rycerzy tutaj, w

krajach germańskich. W jego rodzinnej Northumbrii, tak jak zresztą w całej Anglii z jej silnym poczuciem więzi rodowych, tanowie, tworzący kościec każdej armii, potrafili tak naprawdę tylko jedno: usadawiać się wygodnie na urządach, którymi obdarzył ich król.

Poruszali następnie niebo i ziemię, aby nie tylko utrzymać się na swych lennach, choćby byli już starzy, tłuści i niezdolni do służby wojskowej, ale także przekazać nieuszczerplone dobra swoim dzieciom. Czasami posyłali synów, by ci służyli zbrojnie w ich zastępstwie, czasami wkradali się w koronne lub klasztorne łaski, popierając roszczenia króla bądź opata, gotowi przy tym poświadczyć dowolną przysięgą prawa jednej albo drugiej strony, byle tylko zdobyć stosowny przywilej. Uciekali się do wszelkich sposobów, nawet jeśli musieli oddawać własne córki, by zaspokajały żądze magnatów. Trudno było zatem znaleźć w Anglii kawałek ziemi, do którego jakiś szlachecki syn nie rościłby sobie praw, lub szlacheckiego syna, który nie posiadałby na własność bodaj kawałka gruntu.

Inaczej wyglądało to w krajach Germanów. Tutejszy stan rycerski nie mógł się osiedlać i obrastać tłuszczem. Służba winna być pełniona należycie, gdyż chętnych do jej pełnienia nie brakowało.

Starzejący się wojownik musiał sam zadbać o własne bezpieczeństwo, gdy jego prawica osłabła, bowiem jego pan nie czuł się w obowiązku, by go w tym wyręczać. Co się zaś tyczy synów rycerskich, to było wśród nich wielu bez żadnych widoków na przyszłość, a często bez środków do życia. W pewnym sensie, pomyślał z cichym zadowoleniem Erkenbert, przy całym szacunku dla ich szlachetnej krwi, przypominali bardziej chłopów lub kerłów, niż szlachtę, ponieważ w każdej chwili mogli zostać wyzuci ze swoich włości.

Dla takich ludzi, mimo ich wojowniczego usposobienia, możliwość wstąpienia do zakonu, który zapewni im dach nad głową, utrzymanie i towarzystwo podobnych sobie, zupełnie jakby byli benedyktyńskimi mnichami, może się okazać nadspodziewanie atrakcyjna.

Jednak ani on sam, ani jego towarzysze, nie zdołaliby zjednać sobie tylu zbrojnych wasali, gdyby nie krasomówstwo arcybiskupa

Rimberta. Podczas ich podróży na północ, z Kolonii do Hamburga, Erkenbert wiele razy uczestniczył w mszach, które arcybiskup odprawiał w każdym mieście, wybranym przez nich na postój, i wiele razy miał okazję słyszeć jego kazania.

Rimbert zawsze przytaczał zdanie świętego Mateusza: "Poślę was jako owce pomiędzy wilki"*. Przypominał słuchaczom, jak

Jezus zabronił świętemu Piotrowi opierać się żołnierzom, kiedy przyszli go pojmać w Ogrodzie Oliwnym, jak przykazał swym uczniom, by nadstawiali drugi policzek, i szli ochoczo dwie mile, jeśli ktoś ich zmusi, aby poszli z nim jedną. Ciągnął ten wątek, dopóki nie spostrzegł, że na twarzach słuchającego go rycerstwa maluje się powątpiewanie, albo nawet niesmak.

Mówił wtedy, że to, co rzekł Jezus, było bez wątpienia prawdą.

Co się jednak stanie, jeśli ktoś zmusi cię do dźwigania swojego pa*) Pomyłka autora, chodzi o Mateusza; wzmiankowany wers - Mt 10,16 (przyp. tłum.).

kunku przez milę, i ty z dobrej woli poniesiesz go dwie mile - a wówczas, zamiast podziękować, człowiek ów przeklnie cię i każe ci dźwigać ciężar następne dwie, dziesięć, dwadzieścia mil? Co

będzie, jeśli nadstawisz drugi policzek, a twój wróg uderzy jeszcze raz, a potem znowu, okładając cię jak psa grubym batogiem? Kiedy słuchacze oburzali się i szemrali gniewnie, pytał, dlaczego wzbiera w nich złość. Bo czyż wszystko, co im dotąd opisał, nie są to w istocie rzeczy błahe, stokroć bardziej błahe, niż zniewagi i upokorzenia, które musieli znosić ze strony pogan z Pomocy? A potem opowiadał im, na co on, Rimberty, napatrzył się przez wiele lat jako apostoł Północy: na zgwałcone córki i żony, mężczyźni porwany na resztę życia w niewolę, zapłakanych chrześcijan klęczących na śniegu w oczekiwaniu na śmierć ku czci pogańskich bogów w Odense lub w Kaupangu, albo, co było najstraszniejsze, w szwedzkiej Uppsali.

Tam, gdzie tylko mógł, opowiadał zebranym, co stało się z mężczyznami i kobietami z ich rodzinnego miasta lub z okolicy - wydawało się, że ma zawsze w zanadrzu niewyczerpany zapas rozdzierających serce historii, ale nic w tym dziwnego, pomyślał trzeźwo Erkenbert, skoro spędził trzydzieści lat na beznadziejnej i daremnej misji wśród pogan.

A kiedy wzburzenie słuchaczy sięgało zenitu, kiedy obecni tam ubodzy rycerze chmurzyli się i zaciskali pięści, lub gnietli z pasją swoje skórzane kapuzy, wtedy Rimberty powtarzał im swoje pierwsze zdanie: "Poślę was jako owce pomiędzy wilki".

- Tak - mówił - ci dobrzy kapłani, którzy towarzyszyli mi podczas mojej misji, a nawet jeden na dziesięciu nie powrócił żywy, byli owcami - i owcami pozostaną. Ale od tej pory - przy tych słowach jego głos brzmiał niczym szczęk żelaza - kiedy będę posyłał moje owce, dopilnuję, aby każdej z nich towarzyszyła nie inna owca, i nie wilk, o nie. Ale wielki pies, wielki brytan germańskiej rasy, z kolczastą obrozą na szyi, a razem z nim pobiegnie dwadzieścia alzackich wilczurów. A wówczas zobaczymy, jak wilki z Północy słuchają kazania owcy! Może zaczną słuchać jej beczenia z większą uwagą.

Następnie Rimberty zniżał się do żartów, bawił się w kalambury, czasami nawet naśladował beczenie owcy, a jego słuchacze ryczeli ze śmiechu, rozładowując nagromadzone napięcie i złość. Dopiero wtedy, powoli i cicho, Rimberty wyjawiał im swój zamysł. Należy posyłać na Pomoc misję za misją przez ziemie bardziej przyjaźnie usposobionych wodzów i królów pogańskich. Każdej z owych misji przewodzić winien świątły i świątobliwy kapłan, jak to było dotąd w zwyczaju, ale za każdym razem kapłanowi towarzyszyć będzie także silna zbrojna eskorta: szlachetnie urodzeni i obeznani z rycerskim rzemiosłem ludzie, nie posiadający żon i dzieci ani jakichkolwiek zobowiązań, sprawnie za to posługujący się mieczem, włócznią i maczugą, tacy, którzy potrafią dosiadać bojowego rumaka i panować nad nim jedynie kolanami, gdyż w tym czasie ręce dzierżą tarczę i włócznię - słowem wojownicy, których nawet piraci z Północy omijaliby ostrożnie z daleka, bojąc się wejść z nimi w zwadę.

Wreszcie, kiedy zdobył już bez reszty ich uwagę, Rimberty opowiadał im o Świętej Włóczni i o tym, że gdy Imperium odzyska swą relikwię, duch Karola Wielkiego również powróci i po raz wtóry poprowadzi chrześcijaństwo do zwycięstwa nad wszystkimi wrogami. Na koniec zapraszał spełniających wymienione warunki kandydatów, by zgłaszali się do jego pomocników, którzy stwierdzą, kto godzien jest wstąpienia do des Lanzenordens.

Dlatego właśnie Erkenbert miał teraz w ręku gruby stos arkuszy pergaminu, wypełnionych, linijka po linijce, imionami. Każdy zapis obejmował imię suplikanta, potwierdzenie przynależności do stanu rycerskiego - gdyż żaden chłop ani syn chłopca nie mógł zostać przyjęty do zakonu bez względu na okoliczności - spis dóbr doczesnych, które wnosił zakonowi, a także szczegółowy wykaz posiadanej broni i wojennego ekwipunku. W stosownym czasie niektóre imiona miały być wykreślone, inne zaakceptowane. Większość zostanie wykreślona. I bynajmniej nie dlatego, że

osoby te nie potrafią się wykazać szlachetnym urodzeniem, czy odpowiednim majątkiem, ale dlatego, że nie przejdą pomyślnie prób, które przygotował dla nich biegły w rzemiośle wojennym Waffenmeister arcybiskupa. W chwili gdy Erkenbert kończył pisanie, próby takie już się odbywały na całym obszernym placu ćwiczeń, poza obrębem drewnianej palisady splądrowanego onegdaj okrutnie miasta Hamburga.

Ludzie nacierali na siebie, uzbrojeni w stępione miecze i tarcze. Inni galopowali konno wokół wymyślnego toru przeszkód, starając się strącić włócznią drewniane figury. Jeszcze inni walczyli gołymi rękami na ogrodzonej arenie. A nad całością czuwał siwowłosy Waffenmeister wraz ze swymi asystentami, skrzętnie wszystko notując, porównując, wyczytując niektóre imiona.

Erkenbert spojrział na przeciwległy koniec stołu, gdzie siedział

Arno, doradca Gunthera, wysłany wraz z nim do archidiecezji Rimberta, aby doglądać biegu spraw, w miarę możliwości pomagać diakonowi i zdawać sprawozdania swemu panu. Uśmiechnęli się do siebie przyjaźnie. Pomiedzy niskim, ciemnowłosym Erkenbertem i wysokim Arnem z jasną czupryną zrodziło się całkiem niedawno zdumiewające uczucie sympatii, gdy zaczęli dostrzegać u siebie nawzajem to samo zamiłowanie do skuteczności w działaniu i tę samą skłonność do ćwiczenia sprawności intelektu.

- Arcybiskup dostanie niebawem swoją pierwszą setkę - zauważył Erkenbert.

Nim Arno zdążył odpowiedzieć, rozległ się inny głos.

- Na razie będzie musiało mu starczyć tylko dziewięćdziesięciu dziewięciu - oznajmił.

Diakon i kapłan popatrzyli ze swoich stołków na przybysza.

Nie był wysoki, co natychmiast zauważył Erkenbert, bardzo czuły na tym punkcie. Miał jednak niezwykle szerokie ramiona, które przez kontrast ze ściśniętą, wąską, niemal dziewczęcą talią wydawały się jeszcze szersze. Ubrany był w podbity włosiem skórzany kaftan, jaki jeźdźcy zakładają zwykle pod kolczugę. Aby mógł on okryć potężne bary, wszyto weń dodatkowe paski skóry, starannie, jak spostrzegł Erkenbert, choć bez przesadnej dbałości o jednolity kolor odzienia. Spod kaftana wylaniała się barchanowa tunika w najpospolitszym gatunku oraz mocno znoszone wełniane spodnie.

Spoglądające na nich oczy przybysza były żywe, przenikliwie niebieskie, włosy zaś niemal tak jasne jak włosy Arno, ale sterczące do góry niczym szczecina szczotki. Erkenbert widział już twarze niebezpieczne, a także szalone, jak sobie uświadomił, wspominając

Wara Bez Kości. Ale nie mógł sobie przypomnieć oblicza o równie twardych rysach. Wydawało się wyrzeźbione w skale, a pod napiętą skórą rysowały się wydatne kości. Za to głowa, osadzona na grubej jak u buldoga szyi, sprawiała wrażenie małej.

Erkenbert odzyskał w końcu głos.

- Co masz na myśli?

- Cóż, braciszku, arcybiskup chce mieć setkę, ja jestem jeden, a sto pomniejszych o jeden - słyszeliście o czymś takim jak arytmetyka? - daje dziewięćdziesiąt dziewięć.

Erkenbert zaczerwienił się na tę kpinę.

- Słyszałem o arytmetyce. Ale nie zostałeś jeszcze odrzucony.

Najpierw musimy poznać twoje imię, a także imiona twoich rodziców i parę innych rzeczy. A potem Waffenmeister zobaczy, co potrafisz. Dzisiaj już na to za późno.

Poczuł nagle dłoń na swoim ramieniu, gdy Amo odezwał się cicho i ostrożnie.

- Masz rację, bracie, ale myślę, że w tym przypadku możemy zrobić wyjątek. Ten młody herra jest mi znany, znany nam wszystkim. To Bruno, syn Reginbalda, hrabiego Marchii. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że się nadaje, przynajmniej jeśli chodzi o jego przodków.

Poirytowany Erkenbert sięgnął po pergamin.

- Bardzo dobrze. Jeśli mamy zrobić to jak należy, musimy przejść do kwestii majątku i wkładu, jaki suplikant może wnieść zakonowi.

- Zaczął pisać. - Imię: Bruno, a syn hrabiego musi być naturalnie

Brunonem von..?

- Brunonem znikąd - powiedział miękki głos. Erkenbert poczuł, jak na jego piszącym ramieniu zaciska się nagle stanowcza, silna dłoń; uścisk był delikatny, ale głębiej poruszały się stalowe ścięgna. - Jestem trzecim synem hrabiego, nie mam ziemi. Nie posiadam niczego z wyjątkiem dwóch rąk, zbroi i dobrego konia. Ale pozwól, że zadam ci kilka pytań, mały człowieku z pergaminem. Mówisz w teutsch całkiem dobrze, ale rozumiem, że nie jesteś jednym z nas.

Nic również nie słyszałem o twojej szlacheckiej rodzinie. Zadaję więc sobie pytanie, kim jest ten, który ma prawo rozstrzygać, kto będzie a kto nie będzie einen Ritter szlacheckiego zakonu? Bez obrazy, mam nadzieję.

Arno pospiesznie się wtrącił.

- Uczony diakon jest Anglikiem, Bruno. Walczył w armii papieża, która została pobita, i przybył opowiedzieć nam o tym. Widział też, jak zginęli słynni wikingowie, Ivar Bez Kości i Ragnar Włochate Portki. Wyjawiał nam rzeczy wielkiej wagi, a sercem i duszą jest po naszej stronie.

Uścisk wokół ramienia Erkenberta zelżał, jasnowłosy mężczyzna cofnął się, a na jego nieprzeniknionej twarzy pojawił się cień zainteresowania.

- Dobrze - powiedział - dobrze. Jestem gotów przyjąć Anglika za towarzysza. Pozostaje zatem jeszcze jedna rzecz, jak powiedział mały Anglik - nie obrażaj się, przyjacielu, każdy z nas jest silny na swój własny sposób - i miał zupełną słuszność. Waffenmeister musi zobaczyć, co potrafisz. - Jego głos wzniósł się do krzyku. - Dankwart! Gdzie jesteś, stary łajdaku. Poddaj mnie próbie. Nie, nie kłopotz się. Sam się jej poddam.

Podczas gdy Bruno rozmawiał z Erkenbertem, aktywność na placu wyraźnie zmalała. Waffenmeister, jego asystenci oraz ci spośród kandydatów, którzy pomyślnie przeszli dotychczasowe próby, porzucili swe rozliczne zajęcia i zgromadzili się wokół przybysza.

Kiedy Bruno odchodził od stołu, rozstąpili się przed nim, tworząc szpaler.

W czterech susach dopadł wielkiego czarnego wierzchowca, który, nie uwiązany, stał posłusznie w pobliżu. Wskoczył na siodło, nie dotknąwszy nawet strzemienia ani lęku, chwycił wetkniętą w ziemię włócznię i już pędził w stronę toru przeszkód i ćwiczebnych manekinów. Kiedy jego koń zbliżał się do pierwszego płotka, Erkenbert spostrzegł, że jasnowłosy rycerz założył lewe ramię na plecy, aby pokazać wszystkim, że nie ułatwił sobie zadania, nie mając tarczy. Lejce zwisały luźno, jeździec panował nad wierzchowcem za pomocą samych tylko kolan i ud. Silnym pchnięciem znalazł głowę strącił pierwszą kukłę, raptownie skręcił i spiął konia do skoku.

Wkrótce tumany kurzu spowiły plac, a wówczas Erkenbert mógł usłyszeć już tylko trzask spadających manekinów i zobaczyć czarnego centaura, który co kilka sekund wznosił się nad kolejne płotki.

Bardziej doświadczeni obserwatorzy zaczęli wydawać okrzyki uznania przy każdym pchnięciu. Wydawało się, że upłynęło zaledwie kilka chwil, kiedy koń wrócił, a jeździec płynnym ruchem zeskoczył na ziemię, łapiąc oddech i uśmiechając się szeroko.

- Czy zdałem tę część, Dankwarcie? Powiedz zatem człowiekowi z pergaminem, że to się nie liczy, ponieważ mnie dobrze nie widział. A teraz, Dankwarcie, potrzebujemy człowieka doświadczonego, który brał udział w prawdziwych bitwach i widział, jak walczą wielcy mistrzowie. Chciałbym mu coś pokazać i poznać jego zdanie. Kto dzisiaj sprawił się najlepiej z mieczem i tarczą?

Siwowłosy Waffenmeister wskazał beznamiętnie na jednego z kandydatów, który potykał się wcześniej z jego pomocnikami. Był to wysoki młody mężczyzna w białej opończy na kolczudze.

- Ten oto. Jest dobry.

Bruno podszedł do człowieka, którego Waffenmeister zaproponował mu jako przeciwnika, ujął jednajego dłoń w swoje obie i popatrzył na niego z osobliwą czułością, tak jak dama spogląda na kochankę.

- Zgadzasz się? - spytał.

Wysoki młodzieniec przytaknął. Pomocnicy wręczyli każdemu z nich ciężką tarczę w kształcie rombu, jakimi posługują się jeźdźcy, a także ciężki miecz o stępionych krawędziach i starannie zeszlifowanym sztychu. Obaj mężczyźni cofnęli się i zaczęli ostrożnie krążyć wokół siebie, przy czym każdy z nich kierował się w prawo, by nie podejść pod miecz przeciwnika.

Erkenbert, nie będąc w tej materii człowiekiem doświadczonego, zobaczył tylko mgławicę ruchu, a potem rozległ się trzykrotny szcęk, kiedy wysoki mężczyzna uderzył, nisko, wysoko i z boku, machając ciężkim mieczem jakby ten nic nie ważył. Bruno zdecydowanie odparował wszystkie trzy ciosy, za każdym razem tak wykręcając nadgarstek, by przyjąć uderzenie prawą stroną głowni, w ogóle natomiast nie używał tarczy. Kiedy jego przeciwnik uderzył po raz czwarty, Bruno postąpił naprzód, raptownie poderwał krawędź tarczy do góry i odbił spadający miecz tuż nad jelcem. Wysoki mężczyzna odstąpił, łapiąc równowagę, ale wówczas miecz Bruna był już w

powietrzu. Wyglądało to tak, jakby trzy miecze uderzały równocześnie, a wysoki rycerz zasłaniał się rozpaczliwie przed ciosami, spadającymi ze wszystkich stron naraz. Opuścił tarczę i bronił się samym mieczem, na wpół przykucnięty, musiał bowiem parować ciosy, nie zaś je zadawać. Bruno, jak się zdawało, zatrzymał się nawet na chwilę, jakby rozważał, co należy zrobić.

A potem jego miecz mignął w powietrzu tak szybko, że wcale nie było go widać. Głuche uderzenie, jęk, i wysoki mężczyzna runął na plecy. Dopiero po chwili Erkenbert zdał sobie sprawę z tego, co zobaczył, kiedy opadał miecz. W decydującym momencie syn hrabiego celowo wygiął nadgarstek, aby złagodzić cios. Nie chciał użyć całej swojej siły.

Bruno odrzucił już miecz i tarczę, i z tą samą co przedtem, zdumiewającą czułością pomagał przeciwnikowi wstać. Poklepał go po policzku, spojrzał mu głęboko w oczy, machając przed nimi dłonią, by zobaczyć, czy poruszają się źrenice. Ulga pojawiła się na jego twarzy, cofnął się i uśmiechał szeroko.

- Dobra walka, młody rycerzu. Rad jestem, że będziemy towarzyszami w zakonie. Następnym razem pokażę ci, na czym polega ten unik, to łatwe. - Obejrzał się, słysząc oklaski zgromadzonych widzów, i dał ręką znak, że uznanie należy się także jego przeciwnikowi.

To również typowe dla tych Germanów, pomyślał Erkenbert, przypominając sobie sztywną, krępującą hierarchię dostojności i przywilejów, przestrzeganą ściśle w jego rodzinnym kraju. Oni potrafią ze sobą współpracować. Lubią łączyć się w grupy i stowarzyszenia, gdzie wszyscy dzielą się jadłem i piwem. A mimo to akceptują przywódcę, który na każdym kroku podkreśla, że jest jednym z nich. Tkwi w tym siła, czy słabość?

Bruno ponownie zbliżył się do stołu, w jego oczach błyszczały ogniki niemalże obłądnej radości.

- A teraz - powiedział - czy mnie zapiszesz?

Kiedy Arno sięgnął po pióro i pergamin, syn hrabiego zaśmiał się, nachylił, pochwycił spojrzenie Erkenberta i rzekł niepodziwianie twardo: - Mówią, bracie, że widziałeś wielkich mistrzów, Wara Bez Kości i być może też wojownika, którego nazywają Brand Zabójca.

Powiedz mi, czy sądzisz, że ktoś taki jak ja mógłby się z nimi równać? Wyznaj mi prawdę, śmiało, ja się nie obrażę.

Erkenbert zawahał się. Widział, jak War walczy z największymi mistrzami Mercji, choć, co prawda, obserwował walkę z daleka.

Z bliska oglądał jedynie pojedynek na pomoście między Warem i Brandem. Pamiętał, że w stosunkowo niepozornym ciele Wara kryła się szybkość węża i niespotykana siła. Myślał o tym, co zobaczył przed chwilą, oceniając siłę i sprężystość szerokich ramion stojącego przed nim mężczyzny.

- War był bardzo szybki - powiedział w końcu. - Potrafił raczej uchylić się przed ciosem, niż go zablokować, nie tracąc mimo to równowagi, by samemu uderzyć. Myślę, że gdybyś miał walczyć z nim na otwartej przestrzeni, mógłbyś go powalić, ponieważ jesteś silniejszy. Ale War nie żyje.

Bruno pokiwał głową, słuchając w skupieniu.

- A co z Brandem Zabójcą, tym, który go zabił?

- To nie Brand go zabił. War był za szybki dla Branda, chociaż to potężny mężczyzna. Nie. - W sercu Erkenberta wezbrała nienawiść. Kto inny zabił Wara. Syn churla, opętany przez diabła. Nosi imię odpowiednie raczej dla psa, Shef, i nawet nie zna imienia swego ojca. W uczciwej walce pokonałbyś setki takich jak on. A teraz nazywają go królem!

W błękitnych oczach pojawił się namysł.

- Mimo to pokonał wielkiego mistrza, jak mówisz, uczciwie czy nie. Podobne rzeczy nie zdarzają się przypadkiem. Takich ludzi z pewnością nie wolno lekceważyć. Największy dar, jaki może posiadać król, to szczęście, jak powiadają.

Nim Shef stanął wreszcie na twardym gruncie, był na wskroś przemarznięty i straszliwie szczeptał zębami. Podnoszący się przypływ sprawił, że musiał dwukrotnie płynąć, co prawda na krótkim odcinku, ale za każdym razem doszczętnie przemókł. Nie było słońca, które mogłoby go wysuszyć. Frędzle wodorostów na piasku znaczyły granicę przypływu, a zaraz za nimi ciągnął się niewysoki wał, usypany z całą pewnością ludzkimi rękoma. Shef wdrapał się nań i odwrócił, by raz jeszcze popatrzeć na morze, łudząc się wbrew wszelkiej nadziei, że ujrzy "Norfolka", spieszącego mu na ratunek, i że w ciągu godziny dostanie suche ubranie i koc, kromkę chleba z serem, potem usnie w ciepłe płonące na piasku ognia, a ktoś inny będzie stał na straży. W tej chwili nie potrafił wyobrazić sobie większej nagrody za to, że jest królem.

Ale nic nie zobaczył. W szarym półmroku wszystko wydawało się takie samo, szare morze, szare niebo, szare ławice piasku powoli zalewane wodą. Nie słyszał za sobą odgłosów toczącej się bitwy, kiedy wędrował w kierunku wybrzeża, ale to nic nie znaczyło. "Norfolk" mógł zostać opanowany przez napastników lub zniesiony przez przypływ z powrotem na wodę i dalej toczyć swój pojedynek z "Frani

Ormr". Równie dobrze oba statki mogły już dawno odpłynąć na otwarte morze. Nie było na co liczyć z tamtej strony.

Shef odwrócił się więc i przez jakiś czas wpatrywał się w jednolity krajobraz przed sobą: zaorane pola z zielonymi pędami wschodzącego jęczmienia. Kilkaset jardów dalej majaczyły w półmroku czarne cielska, zapewne pasące się krowy. Świadczyło to o osobliwym poczuciu bezpieczeństwa, tutaj, na samym skraju opanowanego przez piratów morza. Czyżby mieszkańcy tej krainy byli wielkimi wojownikami? Czy może niewolnikami wikingów? Czy też liczyli na to, że obronę zapewnią im zdradzieckie mielizny? Niezależnie od tego, jak rzecz miała się naprawdę, w tym kraju trudno się było obłowić: płaski jak dłoń, chroniony przed przypływem jedynie sześciostopowym wałem, błotnisty, podmokły i monotony.

Co więcej, chyba trudno będzie się tu również ogrzać. W lesistej okolicy Shef mógłby znaleźć zwalone drzewo, które dawałoby mu osłonę przed wiatrem, nazbierać gałęzi, aby chroniły go przed wilgocią, a wreszcie zakopać się w stertę gnijących liści. Tutaj zaś nie było nic oprócz błota i wilgotnej trawy, chociaż krowy i zaorane pola świadczyły, że gdzieś niedaleko jest wioska. Ludzie nigdy nie orzą dalej niż kilka mil od domu i obory, inaczej pokonanie tej odległości zabierałoby wołom zbyt dużo czasu, i to dwa razy dziennie, rano i wieczorem. Zatem gdzieś niedaleko, prawie w zasięgu wzroku, musi być dom, a w domu ogień.

Shef rozejrzał się, wypatrując blasku. Nic. Jak zresztą należało się spodziewać. Każdy, kto miał ogień, miał również na tyle rozsądku, by palić go w zamknięciu. Shef skierował się w lewo, po prostu dlatego, że oddalał się w ten sposób od kraju chrześcijan i od Hamburga, położonego nieco dalej w górę Łaby. Ruszył żwawym krokiem wzdłuż piaszczystego wału. Jeśli inaczej się nie da, zdecydował, będzie szedł całą noc. Jego ubranie musi w końcu wyschnąć.

Do świtu zgłodnieje jak wilk, a zapasy energii wyczerpią się w walce z zimnem, ale to można jakoś znieść. Jadał całkiem dobrze przez te wszystkie miesiące, kiedy był królem, a przedtem jarłem. Teraz nadszedł czas, żeby to wykorzystać. Gdyby położył się na polu, do świtu z pewnością by umarł.

Po kilku zaledwie minutach żmudnego marszu Shef zdał sobie sprawę, że przecina trakt. Zatrzymał się. Czy powinien nim pójść?

Jeśli mieszkańcy okażą się nieprzyjaźnie nastawieni, może umrzeć jeszcze przed świtem. Deszcz, który nagle zmoczył mu kark, zdecydował za niego. Ruszył ostrożnie traktem, wbijając w ciemność swoje jedyne oko.

Wioskę tworzyło ledwie kilka chałup, ich niskie ściany odcinały się nieco ciemniejszymi plamami na tle nieba. Shef namyślał się chwilę. Nie było pańskiego dworu ani kościoła. To dobrze. Chałupy miały różne rozmiary, niektóre były długie, inne krótkie. Wyszedł właśnie prosto na jedną z najkrótszych. Zimą tutejsi ludzie, tak jak ubodzy mieszkańcy Norfolk, trzymają bydło w domach, by zapewnić sobie więcej ciepła. Mały dom oznacza mało krów. A czyż nie jest tak, że miłosierdzie najczęściej gości pośród ubogich? Podszedł ostrożnie do drzwi najbliższego, a zarazem najmniejszego domu. Przez drewniane okiennice wydostawała się na zewnątrz smuga światła.

Wbił włócznię Wężookiego drzewcem w ziemię, zza pasa wyciągnął miecz i ujął go za ostrze. Prawą ręką zastukał do kiepsko dopasowanych drzwi. Wewnątrz przez chwilę panowało zamieszanie, szeptały jakieś głosy. Potem drzwi otworzyły się ze skrzypieniem.

Shef postąpił do środka przez krzywo obramowane wejście, miecz położył na wyciągniętych dłoniach w geście pokory. I nagle uświadomił sobie, że leży plecami na ziemi, mając nad głową niebo. Nie poczuł uderzenia, nie miał pojęcia, co mogło się stać. Ręce i nogi w najmniejszym stopniu nie reagowały na jego uporczywe wysiłki, aby nimi poruszyć.

Jakaś ręka schwyciła go za kołnierz tuniki i podniosła, tuż nad jego uchem rozległ się głos, mamroczący w chrapliwym, ale zrozumiałym dialekcie.

- No dalej, wstawaj i wchodź, niech no ci się przyjrzymy.

Na chwiejnych nogach Shef wtoczył się do środka, wsparty na czymś ramieniu, i opadł na niski stołek przy niewielkim ognisku.

Przez dłuższą chwilę nie zwracał uwagi na nic, tylko ogrzewał zziębnięte dłonie, trzymając je nad ogniem i rozcierając. Kiedy para zaczęła unosić się z jego ubrania, potrząsnął głową, stanął niepewnie na nogi i rozejrzał się wokół. Wpatrywał się w niego, wsparłszy ręce na biodrach, krępy mężczyzna z kręconymi kudłami i wyrazem niezmiernego rozbawienia na twarzy. Wnosząc z rzadkiego zarostu, musiał być młodszy od Shefa. Z tyłu stało dwoje starszych ludzi, kobieta i mężczyzna, wpatrując się w niego czujnie i nieufnie.

Shef spróbował przemówić, okazało się jednak, że ma spuchniętą i obolałą szczękę. Sięgnął ręką i znalazł rosnący guz z prawej strony.

- Co się stało? - spytał.

Krępy mężczyzna uśmiechnął się jeszcze szerzej i wykonał kilka błyskawicznych ruchów dłońmi i całym ciałem.

- Trochę ci przyłożyliśmy - wyjaśnił. - Sam się wpakowałeś.

Zdumiony Shef spróbował cofnąć się pamięcią do tamtej chwili.

W Anglii i wśród wikingów mężczyźni dość często walczyli na pięści, ale zapasy były domeną wojowników. Kiedy ktoś wznosił pięść i uderzał, nawet kulawy staruszek mógł uchylić się przed ciosem.

Co prawda w pomieszczeniu panował półmrok, ale i tak powinien zobaczyć zbliżającą się pięść i zareagować. Poza tym trudno jest kogoś powalić jednym uderzeniem. Walka na pięści polegała na długim i niezdarnym okładaniu się nawzajem i dlatego wojownicy nią gardzili. A jednak Shef niczego nie widział i niczego nie czuł, póki nie znalazł się na ziemi.

-Nie bądź taki zdziwiony- odezwał się starszy mężczyzna z głębi izby. - Nasz Karli robi to każdemu. Jest mistrzem. Ale powiedz nam lepiej, kim ty jesteś, bo uderzy cię znowu.

- Odłączyłem się od mojego statku - powiedział Shef. - Musiałem iść i płynąć przez mielizny.

- Czy jesteś jednym z wikingów? Mówisz raczej jak ktoś z nas.

- Jestem Anglikiem. Ale długo przebywałem między ludźmi

Północy i rozumiem ich mowę. Rozmawiałem również z Fryzami.

Mówicie zupełnie jak oni. Czy jesteście Fryzami? Wolnymi Fryzami - dodał Shef, przypomniawszy sobie, że tak właśnie lubią o sobie mówić.

Wówczas roześmiała się nawet stara kobieta.

- Wolni Fryzowie - powiedział kpiąco krępy młodzieniec. Mieszkają na piaskach i uciekają za każdym razem, kiedy zobaczą żagiel. Nie, jesteśmy Germanami.

- Ludźmi arcybiskupa? - spytał ostrożnie Shef. Spostrzegł właśnie, że jego miecz stoi w rogu izby, musieli go tam odłożyć. Gdyby usłyszał złą odpowiedź, mógłby skoczyć w tamtą stronę, a potem spróbować zabić krępego młodzieńca od razu.

Roześmiali się znowu.

- Nie. Niektórzy z nas są chrześcijanami, inni czczą starych bogów, jeszcze inni żadnych. Ale nikt nie życzy sobie płacić dziesięciny ani klękać przed panem. Jesteśmy ludźmi z Ditmarsh - rzekł młodzieniec z dumą.

Shef nigdy przedtem nie słyszał tej nazwy. Skinął głową.

- Jestem zziębnięty i przemoczony. I głodny - dodał. - Czy mogę spędzić dzisiejszą noc w waszej chacie?

- Połóż się przy ogniu i rozgość się - powiedział starszy mężczyzna, który, jak domyślił się Shef, musiał być ojcem krępego młodzieńca, panem domu. - A jeśli chodzi o głód, to sami jesteśmy głodni. Ale chyba wolisz wysuszyć swój przydziewek tutaj niż umrzeć na bagnach. Jutro będziesz musiał stawić się przed wioską na sąd.

Stawałem już przed sądem, pomyślał Shef. Ale być może sąd w Ditmarsh będzie łaskawszy niż sąd Wielkiej Armii. Pomacał raz jeszcze swoją obolałą szczękę i przysunął się bliżej ognia, gdzie gospodarze także układali się właśnie do snu.

Rozdział szósty

Ohef obudził się wczesnym rankiem, czuł się dziwnie spokojny i wypoczęty. Przez jakiś czas leżał na ubitej ziemi klepiska i zastanawiał się, jaka jest tego przyczyna. Ogień wygasł, więc w nocy chronił się przed chłodem, zwijając się w kłębek i obejmując kolana ramionami. Ubranie wyschło, ogrzane ciepłem jego ciała, ale zrobiło się szorstkie i sztywne od słonej wody. Żołądek zaciskał mu się z głodu. W dodatku był sam, zdany tylko na siebie, w obcym i prawdopodobnie wrogim kraju. Skąd więc ten spokój?

Shef podniósł się na nogi, przeciągnął z lubością, i otworzył drewniane okiennice, wpuszczając do środka światło słoneczne i świeże powietrze, pachnące trawą i kwiatami. Znał odpowiedź.

To dlatego, że spadły z niego troski i odpowiedzialność. Po raz pierwszy od wielu miesięcy nie musiał myśleć o potrzebach innych ludzi: jak ich nakarmić, w jaki sposób przekonać, jakich użyć pochlebstw, by zastosowali się do jego woli. Do chłodu i głodu przyzwyczyił się w dzieciństwie. Do razów i niewolniczego życia również. Tyle że teraz nie był już dzieckiem, lecz mężczyzną w sile wieku. Gdyby ktokolwiek chciał go uderzyć, mógł się bronić. Jedyne oko Shefa spoczęło na broni, wspartej o ścianę w rogu chaty.

Miecz Hraniego i włócznia Sigurtha. To było wszystko, co w tej chwili posiadał, poza amuletem na szyi oraz krzesiwem i nożem do jedzenia za pasem. Będzie musiało mu to wystarczyć.

Kątem oka Shef zobaczył, że dwoje starszych ludzi wstaje ze swego posłania. Mężczyzna natychmiast wyszedł z chaty. Mógł to być zły znak. Kobieta wyciągnęła żarna spod krzywego stołu, wysypała do nich ziarno z beczułki i zaczęła je rozcierać ręcznym tłuczkiem. Ten dźwięk jeszcze mocniej skojarzył mu się z dzieciństwem.

Odkąd sięgał pamięcią, każdy dzień zaczynał się w ten sam sposób, odgłosem mielenia ziarna na mąkę. Tylko jarlowie i królowie żyli na tyle daleko od codziennych trosk, by tego nie słyszeć. To była praca, której wojownicy nienawidzili szczególnie, a podczas wypraw wojennych nawet oni musieli ją wykonywać. Być może kobiety również jej nienawidzą, pomyślał Shef. Okazało się, w każdym razie, że ci ludzie mają jedzenie. Jego brzuch znów ścisnął się na tę myśl, a Shef spojrzął raz jeszcze na swoją broń.

Poczuł dotyk na ramieniu. Obok stał młody mężczyzna z kręconymi włosami, uśmiechnięty jak zawsze. W brudnej dłoni trzymał pajdę czarnego chleba z ostro pachnącym żółtym serem. Shef,

któremu ślina napłynęła gwałtownie od ust, wziął chleb, mężczyzna zaś wyjął z zanadrza cebulę, przekroił ją na dłoni wyszczerbionym nożem i podał połowę Shefowi.

Obaj kucnęli na podłodze i zaczęli jeść. Chleb był twardy, stary, pełen otrąb i odprysków kamienia z ręcznego tłuczka. Shef rozrywał go zębami, smakując każdy kęs.

Po chwili, gdy żołądek przestał dopominać się gwałtownie o swoje potrzeby, Shef przypomniał sobie obolałą szczękę i dziwne wypadki ostatniej nocy. Sięgnął dłonią, by pomacać opuchliznę, i napotkał wzrok młodego mężczyzny - jak nazwała go kobieta? Nasz

Karli? - który wyszczerzył radośnie zęby, widząc ten gest.

- Dlaczego mnie uderzyłeś? - spytał Shef.

Karli wydawał się zdziwiony tym pytaniem.

- Nie wiedziałem, kim jesteś. To był najprostszy sposób na ciebie. Najprostszy sposób na każdego.

Shef poczuł, jak narasta w nim gniew. Połknął ostatni kawałek sera i wstał, rozciągając ramiona i mięśnie pleców. Przypomniał sobie człowieka, którego wczoraj zabił, młodego wikinga z Ebeltoft. Był roślejszy nawet od Shefa, a Shef przewyższał Karliego o głowę.

- Nie udałoby ci się, gdyby nie było ciemno.

Karli również wstał, jego twarz promieniała z uciechy. Zaczął okrążyć Shefa, dziwacznie powłócząc nogami, zupełnie nie przypominając zapaśnika w pozycji wyjściowej. Zaciśnął pięści i wtulił głowę w ramiona. Zniecierpliwiony Shef postąpił naprzód z wyciągniętymi rękami, by złapać tamtego za nadgarstki. Pięść pomknęła w kierunku jego twarzy, odtrącił ją na bok. Coś uderzyło go pod żebra, z prawej strony. Początkowo Shef zignorował to, przez chwilę znowu dążąc do zwarcia. I nagle ból niemal rozsadził mu wątrobę, poczuł, że traci oddech, a ręce opadły odruchowo, by osłonić przeponę. W tej samej chwili głowa odskoczyła mu do tyłu i oszołomiony Shef zatoczył się pod ścianę. Kiedy znów stanął na nogi, krew płynęła mu z ust, a kilka zębów wyraźnie się chwiało.

W przypiływie wściekłości Shef ruszył naprzód z szybkością błyskawicy. Zamierzał dopaść przeciwnika, podstawić mu nogę i zmiażdżyć go w morderczym uścisku. Ale przeciwnika przed nim nie było, a kiedy odwracał się, by dosięgnąć postaci, która wyrosła nagle za jego plecami, poczuł kolejne uderzenie w plecy i przeraźliwy ból przeszył mu nerwę. Odbił następny cios w twarz, pamiętając tym razem, że powinien osłonić również wątrobę. Nadal nie było zwarcia. Zawahał się na moment, a wtedy pięść wylądowała na jego policzku. Krążąc po całej izbie, Shef znalazł się w takim miejscu, że bez trudu mógł teraz dosięgnąć włóczni, opartej o ścianę. Jak wyglądałby ten wyszczerzony...?

Shef wyprostował się i bezradnie rozłożył ręce.

- Dosyć - powiedział, patrząc na Karliego, który wciąż szczerzył zęby. - Dostyć. Powaliłbyś mnie nawet gdyby nie było ciemno.

Teraz widzę, że potrafisz coś, czego ja nie potrafię. Być może wiesz wiele rzeczy, o których nie mam pojęcia.

Karli uśmiechnął się jeszcze szerzej i opuścił ręce.

- Spodziewam się, że ty także wiesz niejedno - taki żeglarz jak ty, z włócznią i mieczem. Ja nigdy nie opuszczałem Ditmarsh - rzadko nawet oddalam się z tej wioski. Może zrobimy interes? Ja cię czegoś nauczę i ty mnie czegoś nauczysz. Mógłbym ci pokazać, jak walczyć i bronić się pięściami, to łatwe, wszyscy w Ditmarsh to potrafią. Jesteś bardzo szybki. Zbyt szybki, jak dla większości tych wieśniaków.

- Zrobmy interes - zgodził się Shef. Splunął na dłoń i spojrzał na

Karliego, niezbyt pewien, czy tamten zrozumiał jego gest. Karli uśmiechnął się i również splunął. Głośne klaśnięcie przypieczętowało zawartą umowę.

Shef otarł rękawem krew, ciekącą mu z nosa, po czym obaj wspólnicy znów usiedli na ziemi.

- Teraz słuchaj - powiedział Karli. - Póki co, musisz się nauczyć znacznie ważniejszych rzeczy niż walka na pięści. Mój stary poszedł powiedzieć wioskowym, że tu jesteś. Zaraz się zbiorą, utworzą koło i zdecydują, co z tobą począć.

_ Co mogą zdecydować?

- Po pierwsze, ktoś na pewno powie, żeby zrobić z ciebie niewolnika. To będzie Nikko. Jest najbogatszym człowiekiem w wiosce. Chce być tu panem. Ale w Ditmarsh prawie nie ma srebra, a my nigdy nie bierzemy się nawzajem w niewolę. Więc chciałby mieć kogoś, kogo mógłby sprzedać na targu w Hedeby, myśli tylko o tym.

- Hedeby to duńskie miasto - powiedział Shef.

Karli wzruszył ramionami.

- Duńskie, germańskie, fryzyjskie, dla nas to bez znaczenia. Nikt nie oszuka ludzi z Ditmarsh. Sam nie znalazłby drogi przez bagna.

A poza tym wszyscy wiedzą, że nie ma tu srebra. Poborca podatków mógłby wiele stracić, nic nie zyskać.

- Przypuśćmy, że nie zechcę zostać niewolnikiem, jaka jest inna możliwość?

- Możesz być gościem-przyjacielem. - Karli popatrzył na niego z ukosa. - Tak jak teraz jesteś moim. To oznacza wymianę podarunków.

Shef dotknął swoich bicepsów i pożałował podjętej wczoraj w ostatniej chwili decyzji, by zdjąć z ramion złote bransolety. Gdyby miał chociaż jedną, użycziliby mu w zamian gościny przez rok. Albo wbili mu nóż w plecy.

- Ale cóż ja mam? Włócznię. Miecz. I to. - Wyciągnął spod tuniki srebrną drabinę Riga i zerknął na Karliego, czy rozpoznaje znak.

Karli nie okazał zainteresowania. Natomiast więcej niż raz spojrzał na stojącą w kącie broń.

Shef podszedł do niej, aby się lepiej przyjrzeć. Włócznia z runicznym napisem "Gungnir": pierwszorzędną stal, dopiero co wykuta, sama włócznia doskonale wyważona. Miecz: dosyć poręczny, chociaż odrobinę zbyt ciężki, klinga ze zwykłego żelaza wyostrzonego bez specjalnie hartowanych krawędzi, tu i ówdzie poznaczona już plamami rdzy. Miecze były cenniejsze niż włócznie, poza tym miecz to atrybut prawdziwego wojownika. A jednak...

Shef ujął miecz.

- Weź go, Karli. - Zwrócił uwagę na sposób, w jaki młody człowiek przyjął podarunek i trzymał, trochę niewprawnie, a wręcz fatalnie, gdyby przyszło mu odparować cios. - Dostaniesz ode mnie jeszcze dwie rzeczy. Po pierwsze, pokażę ci, jak używać miecza. Po drugie, jeśli znajdziemy gdzieś kuźnię, przekuję go na nowo, aby lepiej ci służył.

Na piegowatej twarzy rozbłysła radość i właśnie wtedy otworzyły się drzwi. Wszedł ojciec Karliego, wskazując kciukiem za siebie.

- Chodź, przybyszu - powiedział. - Koło już się zebrało.

Na zewnątrz, w ciasnym kręgu, ustawilo się około czterdziestu mężczyzn, podczas gdy ich żony i dzieci utworzyły większe, zewnętrzne koło. Wszyscy mężczyźni byli uzbrojeni, ale raczej kiepsko - we włócznie i topory, nie mieli natomiast kolczug ani hełmów.

Kilku przyniosło tarcze, które nie posiadały jednak rzemiennych uchwytów i trudno byłoby się nimi posłużyć.

Mieszkańcy Ditmarsh zobaczyli wychodzącego z chaty wysokiego wojownika, którego cała postawa świadczyła nieomylnie, jakim trudni się rzemiosłem: rosły, szeroki w ramionach, potężnie umięśniony i wyprostowany - w odróżnieniu od przygarbionych wieśniaków, którzy całymi dniami pochylają się nad sochą, lub pracują motyką i sierpem. Ale nie miał na sobie złota ani srebra, jedynie w prawej dłoni trzymał długą włócznię. Miał za to blizny, a jedna powieka kryła pusty oczodół, na skutek czego połowa jego twarzy wydawała się jakby zapadnięta. Twarz tę znaczyły również plamy nie zmytej krwi, a jasna tunika i spodnie były nawet brudniejsze niż ubrania chłopów. Tworzący koło mężczyźni patrzyli na niego, niepewni, jak odczytać te znaki. A potem rozległ się szmer, kiedy w ślad za obcym wyłonił się Karli, trzymając niewprawną ręką dopiero co otrzymany od Shefa miecz.

Shef rozejrzał się wokół, próbując ocenić sytuację. Poczucie spokoju i ufności, z którym się obudził, nadal mu towarzyszyło, nie zmąciła go nawet walka z Karlim. Ostrożnie wyciągnął srebrny amulet Riga na łańcuszku z fałdów tuniki, aby zebrani mogli go widzieć. Dał się słyszeć kolejny pomruk, a mężczyźni spojrzeli badawczo, starając się rozpoznać znak. Niektórzy, może czwarta część spośród obecnych, również ukazali swoje amulety: młoty, łodzie, fallusy. Żaden jednak nie przypominał znaku Shefa.

Mężczyzna stojący na wprost Shefa, otyły, w średnim wieku, czerwony na twarzy, wyszedł mu naprzeciw.

- Przybywasz ze statków - powiedział. - Jesteś wikingiem, jednym z rozbójników Północy. Nawet ktoś taki jak ty powinien wiedzieć, że nie należy przychodzić do Ditmarsh, gdzie żyją wolni ludzie. Uczynimy cię niewolnikiem i sprzedamy twoim pobratymcom w Hedeby. Albo ludziom biskupa w

Hamburgu. Chyba że znajdzie się ktoś, kto zechce cię wykupić - ale to mało prawdopodobne, zważywszy na twój wygląd.

Wiedziony jakimś instynktem Shef postąpił naprzód i przeszedł niespiesznie przez krąg, aż stanął twarzą w twarz ze swym oskarżycielem. Przyjrzał mu się, unosząc wysoko głowę, by podkreślić swój ogromny wzrost.

- Jeśli wiesz, że przybyłem ze statków - rzekł - to wiesz również, że były tam dwa statki, które walczyły ze sobą. Jednym z nich był statek wikingów, "Frani Ormr", wielki statek Sigurtha Ragnarssona. Czyżbyś nie widział Sztandaru Kruka? Drugi statek był mój, a Sigurth uciekał przed nim. Zaprowadźcie mnie do tego statku, a wynagrodzę was srebrem.

- Cóż to za statek, który ściga wikingów? - spytał tęgi mężczyzna.

- Angielski statek.

Przysłuchujący się tłum zaszemrał ze zdziwieniem i niedowierzaniem.

- To prawda, ten pierwszy był wikingiem - powiedział ktoś. Ale on nie uciekał. Prowadził. I zrobił głupca z tamtego kapitana.

Jeśli ten drugi statek był angielski, wszyscy Anglicy muszą być głupcami. Zły maszt, zły żagiel, wszystko nie tak jak trzeba.

- Zaprowadź mnie do niego - powtórzył Shef.

Za jego plecami rozległ się głos Karliego.

- Nie mógłby tego zrobić, nawet gdyby chciał, przybyszu. Nie ma łodzi. My tu w Ditmarsh nie boimy się chodzić po bagnach, ale pół mili w morze - to już wody piratów.

Krępy mężczyzna poczerwieniał jeszcze bardziej i potoczył wokół złym wzrokiem.

- Może i tak było. Ale jeśli nie masz nic więcej do powiedzenia, jednooki, to stanie się tak, jak rzekłem. Jesteś moim niewolnikiem, dopóki nie znajdę na ciebie nabywcy. Oddaj włócznie.

Shef podrzucił włócznie w powietrze, złapał ją w punkcie ciężkości i zamarkował pchnięcie. Uśmiechnął się szeroko, widząc jak tamten odskakuje ociężale, a następnie odwrócił się do niego plecami, ignorując wzniesiony topór. Zaczął przechadzać się wokół kręgu, spoglądał kolejno na twarze i kierował słowa do tych, którzy nosili znaki. Przypominali mu wieśniaków z Norfolk, będąc jarłem często rozsądzał ich spory. Musiał wzbudzić ich zainteresowanie i wykorzystać istniejące w wiosce podziały.

- Dziwna rzecz - zauważył. - Człowiek zostaje wyrzucony na brzeg, czasami jest żywy, czasami martwy, co z nim wtedy robicie?

Tam skąd pochodzę, rybacy, jeśli ich na to stać, noszą w uchu srebrny kolczyk. Chyba wiecie, po co. Jeżeli utoną, a morze wyrzuci ciało na brzeg, ludzie mają za co sprawić im pogrzeb. Pewnie i tak by ich pogrzebano, bo tak się należy, ale oni nie lubią być z myślą, że ostatnią usługę otrzymają za darmo.

A teraz jestem tuja, nie mam kolczyka w uchu, ale nie jestem też martwy. Dlaczego mam być potraktowany gorzej? Czy zrobiłem coś złego? Dałem prezent waszemu Karliemu, a on w zamian powalił mnie na ziemię, rozbił mi nos, omal nie wybił zębów i rąbnął mnie pięścią w szczękę - więc jesteśmy teraz dobrymi przyjaciółmi.

Zebrani roześmiali się hałaśliwie. Najwyraźniej Karli był dla mieszkańców wioski czymś pośrednim między obiektem podziwu a przedmiotem niewybrednych żartów.

-Co mnie jeszcze zdumiewa, to zachowanie innego naszego przyjaciela. - Shef wskazał kciukiem krępego mężczyznę za swoimi plecami. - Mówi, że jestem niewolnikiem. Cóż, być może. Mówi, że jestem jego niewolnikiem. Czy przyszedłem do jego domu? Czy schwytał mnie w pojedynkę, ryzykując własnym życiem? A może to wy zdecydowaliście, że wszystko, co wypadnie ze statku, należy do niego. Czy to prawda?

Tym razem rozległ się zdecydowany pomruk zaprzeczenia, Karli zaś wydał z siebie donośne westchnienie.

- Oto co proponuję. - Shef obszedł już cały krąg dookoła i znów stanął twarzą w twarz z krępy męczyzną. - Jeśli chcesz ze mnie zrobić niewolnika, Nikko, zabierz mnie do Hedeby i wystaw na targu. Sprzedasz mnie, to trudno. Ale potem musisz podzielić się pieniędzmi z wioską. Zanim jednak dotrzesz do Hedeby, pozostanę wolny: żadnych więzów, żadnej obręczy na szyi. I zatrzymam swoją włócznię. Pewnie, możesz mnie strzec, jak tylko chcesz. A wreszcie, póki tam nie wyruszymy, będę pracował na swoje utrzymanie. - Shef postukał palcem w swój amulet. - Mam fach. Jestem kowalem. Dajcie mi tylko kuźnię i narzędzia, a zrobię wszystko, czego wam trzeba.

- Brzmi to całkiem nieźle - zawołał jakiś głos. - Mam bardzo stary lemiesz, trzeba nad nim solidnie popracować.

- Nie mówi jak wiking - odezwał się ktoś inny. - Bardziej jak

Fryz, tylko nie ma kataru.

- Słyszeliście, co mówił o podziale pieniędzy? - wykrzyknął trzeci.

Shef splunął na dłoń i czekał. Niechętnie, z nienawiścią w oczach, krępy Nikko również splunął. Klepnęli się lekko dłońmi. Kiedy napięcie opadło, Shef odwrócił się i podszedł do Karliego.

- Chcę, żebyś poszedł z nami do Hedeby. Ale obaj musimy się wiele nauczyć, zanim tam dotrzemy.

Czterdzieści mil od brzegu, nie opodal Świętej Wyspy, kołysała się na falach angielska flota, jej żagle łopotwały na wietrze niczym stado olbrzymich morskich ptaków. W samym środku dryfowały razem cztery statki szczipione burtami celem odzyskania narady: "Norfolk", któremu jakoś udało się wymknąć z błotnistych przesmyków w pobliżu Wrót Łaby, "Suffolk", dowodzony przez najstarszego rangą angielskiego kapitana, Hardreda, oraz "Mors" Branda i "Mewa" Guthmunda Chciwego, które reprezentowały wikingów Drogi. Emocje rosły, a wzburzone głosy niosły się echem po wodzie, docierając do uszu przysłuchującej się floty.

- Nie mogę uwierzyć, że po prostu zostawiliście go na tych zapomnianych przez Thora mieliznach - wybuchnął Brand głośno, prawie krzycząc.

Twarz Ordlafa pozostała nieprzejeżdżalna.

-Nic nie mogliśmy zrobić, zniknął nam z oczu. Nadciągał przypyływ, zapadał zmrok, a zza najbliższej ławicy w każdej chwili mógł wyłonić się Sigurth i jego wybrani mistrzowie. Musieliśmy odpłynąć.

- Myślisz, że jeszcze żyje? - spytał Thorvin, zasiadający w otoczeniu kapłanów Drogi, przybyłych z innych statków.

- Widziałem, jak poszło za nim czterech ludzi. Wróciło trzech.

Nie wyglądali na szalenie zadowolonych. To wszystko, co mogę powiedzieć.

- Jest zatem spora szansa, że utknął gdzieś w Ditmarsh stwierdził Brand. - Tamtejszym kmiotkom wyrasta błona między palcami.

- Słyszałem, że on też wychował się na bagnach - powiedział

Ordlaf. - Jeśli istotnie jest tam, prawdopodobnie sobie poradzi. Dlaczego po prostu nie popłyniemy po niego? Jest dzień i możemy złapać przypyływ.

Tym razem twarz Branda przybrała zacięty wyraz.

- Nie jest to dobry pomysł. Po pierwsze, nikt nie popłynie do

Ditmarsh. Nie chodzi nawet o płycizny, czy o wieczorny strandhogg. Zbyt wiele załóg tam zniknęło. Po drugie, jak ci mówiłem już wiele tygodni temu, to niebezpieczne wody. A ty powiedziałeś, że potrafisz znaleźć drogę przy pomocy sondy i bystrego wzroku! Wpakowałeś się na mieliznę i może się to powtórzyć, tyle że w znacznie gorszym miejscu. Natomiast trzeci powód jest taki, że nadal są tu gdzieś Ragnarssonowie. Wyruszyli, mając dobrą setkę statków, sto dwadzieścia, jak wy to liczyacie. Jak myślisz, ile zatoneło lub wpadło w nasze ręce?

Odpowiedział mu Hardred.

- Zdobyliśmy sześć. Katapulty zatopiły przynajmniej tuzin.

- Mają więc teraz sto przeciwko naszym pięćdziesięciu. Mniej niż pięćdziesięciu, ponieważ wdarli się na "Buckinghamshire" i wyrąbali dziurę w dnie, a pół tuzina moich statków nie nadaje się do walki z powodu zbyt dużych strat wśród załóg.

- Co zatem zrobimy? - spytał Ordlaf.

Zapadła długa cisza. Przerwał ją w końcu Hardred. Jego staranna anglosaska wymowa oraz sposób wysławiania się osobiście kontrastowały z obozowym żargonem ludzi Północy i pozostałych Anglików.

- Skoro nie jesteśmy w stanie uratować króla - powiedział -jak mnie tu zapewniają, uważam za swój obowiązek skierować resztę floty na angielskie wody i stawić się do dyspozycji króla Alfreda.

Jest on moim panem, poza tym umowa między nim a królem Shefem - zawahał się, nim wypowiedział następne słowa - przewiduje, że w wypadku wcześniejszej śmierci jednego z nich, drugi przejmie wszystkie jego uprawnienia. Z takim właśnie przypadkiem możemy mieć do czynienia w chwili obecnej.

Odczekał, aż umilknie burza protestów, po czym kontynuował, a ton jego głosu stawał się coraz bardziej stanowczy.

- Ponadto ta flota jest teraz jedyną tarczą i obroną angielskich wybrzeży. Przekonaliśmy się, że możemy zatopić piratów, kiedy się tylko pojawią, i zrobimy to. Taki był podstawowy zamiar i cel króla Shefa, a także króla Alfreda: zapewnić spokój na wybrzeżach i terenach do nich przylegających. Gdyby był tu w tej chwili, kazałby nam uczynić dokładnie to, co pozwoliłem sobie zaproponować.

- Możesz płynąć! - wykrzyknął Cwicca, były niewolnik. - Wracaj do swego pana. Naszym panem jest ten, który zdjął nam żelazne obręcze z szyi, i nie dopuścimy do tego, żeby jakiś pletwonogi mieszaniec założył obręcz jemu.

- Jak zamierzacie się tam dostać? - spytał Hardred. - Wpław?

Brand was tam nie zabierze. Ordlał się nie ośmieli, a już na pewno nie sam.

- Nie możemy płynąć sami - zaprotestował Cwicca.

Odpowiedział mu głęboki głos Thorvina.

- Nie. Ale przyszło mi właśnie do głowy, że my możemy. A przynajmniej niektórzy z nas. Coś mi mówi, że przeznaczeniem Shefa

Sigvarthssona nie jest umrzeć w zapomnieniu, czy też po prostu zniknąć. Ktoś mógł go uwięzić dla okupu. Albo sprzedać. Jeśli popłyniemy do jakiegoś dużego portu, gdzie docierają różne wieści, z pewnością czegoś się o nim dowiemy. Proponuję, abyśmy wyruszyli do

Kaupangu, kilku z nas.

- Kaupang - powiedział Brand. - Tam jest kolegium Drogi.

- Mam swoje własne powody, żeby się tam udać, to prawda odparł Thorvin. - Ale Droga ma wielu zwolenników, a także niemałe możliwości, a kolegium żywo interesuje się Shefem. Jeżeli tam dotrzemy, uzyskamy pomoc.

- Beze mnie - oświadczył Hardred sucho. - Zbyt daleko, zbyt duże ryzyko, przez cały czas znajdowalibyśmy się na nieprzyjacielskich wodach, w dodatku wszyscy wiemy, że nasze "hrabstwa" nie są przystosowane do dalekomorskich wypraw.

Ordlał posepnie skinął głową na znak zgody.

- Część wraca, część płynie - powiedział Thorvin.

- Myślę, że większość wraca - powiedział Brand. - Czterdzieści statków, czy nawet pięćdziesiąt, to stanowczo zbyt mało, żeby stawić czoło wszystkim flotom Norwegii i Danii - Ragnarssonów, króla

Halvdana, jarłów z Hlathir, króla Gamlila, króla Hrorika, i wielu innym. Niech lepiej wracają, by strzec Drogi w Anglii. Wielu jest takich, którzy z przyjemnością by ją zdeptali.

- Ja wezmę "Morsa". Wypłynę na pełne morze, nie będę się trzymał brzegu. Przedostanę się. Zabiorę ciebie, Thorvinie, i twoich towarzyszy do Kaupangu i do kolegium. Ktoś jeszcze? A ty, Guthmundzie?

- Zabierz nas - Cwicca poderwał się na nogi, czerwony z oburzenia. - My nie wracamy. Weź mnie i moich majtków, i naszą katapultę, możemy zdjąć ją z "Norfolka", skoro ten wypierdek z Yorkshire nie chce ryzykować własnej skóry. Cowpang, Diften, weźmiemy je wszystkim szturmem, jeśli będzie trzeba.

Ryk zgody ze śródokręcia był oznaką, że wyzwoleńcy z załogi katapulty przysłuchiwali się rozmowie.

- I mnie - ozwał się ledwie słyszalny głos, należący do małej postaci, kryjącej się w cieniu masztu. Brand rozejrzał się na wszystkie strony, zanim się zorientował, że był to głos Udda, stalmistrza, któremu pozwolono wziąć udział w wyprawie tylko przez wzgląd na jego techniczne uzdolnienia.

- Po co chcesz płynąć do Norwegii?

- Po wiedzę - odparł Udd. - Słyszałem, co ludzie mówią o Jarnberalandzie. Iron-bearing Land - przetłumaczył pospiesznie - Ziemia Rodząca Żelazo.

Jeszcze jedna szczupła, milcząca postać wyrosła nagle u boku

Udda. Był to Hund, medyk, przyjaciel Shefa z lat dziecińczych, ze srebrnym jabłkiem bogini Ithun zawieszonym na szyi.

- Bardzo dobrze - powiedział Brand zdecydowanym tonem. Wezmę własną załogę i "Mewę" jako eskortę. Mam miejsce najwyżej dla dziesięciu ochotników. Ty, Hund, ty, Udd, i ty, Cwicca. Reszta niech ciągnie losy.

- I my jako pasażerowie - powiedział Thorvin, wskazując na dwóch towarzyszących mu kapłanów.
- Póki nie dotrzemy do kolegium.

Rozdział siódmy

Ohef zrobił krok do tyłu, jego stopy zapadały się w grząskim błocie. Obrócił w rękę odartą z kory gałąź i uważnie popatrzył na Karliego. Niski młodzieniec zgubił gdzieś swój uśmiech, a jego twarz przybrała wyraz niespokojnego zdecydowania. Przynajmniej nauczył się trzymać jak należy swój miecz: krawędź i jelec idealnie równoległe do linii przedramienia, aby przy cięciu lub parowaniu klinga nie przechylała się na bok. Shef ruszył do przodu, uderzył z prawej, z lewej, potem pchnięcie i odskok, dokładnie tak, jak nauczył go

Brand, wiele miesięcy temu, w obozie nie opodał Yorku. Karli sparował atak bez trudu, odrobinę zbyt wolno zasłaniał się ciężkim ostrzem przed kijem z lekkiego drewna, ale za każdym razem robił to prawidłowo - szybkość jego reakcji była wyśmienita. Nadal jednak popełniał ten sam błąd.

Ruchy Shefa stały się trochę szybsze, zamarkował cios z dołu i zaraz potem ciął Karliego przez prawe ramię. Odsunął się i opuścił swój kij.

- Musisz pamiętać o jednym, Karli - powiedział. - Nie wycinasz zarośli. To, co trzymasz w ręku, to obosieczny miecz, a nie nóż ogrodniczy zjedną ostrą krawędzią. Jak myślisz po co jest drugie ostrze? Nie po to, by zadawać decydujący cios, ponieważ zawsze tniesz się tą samą krawędzią, wkładając w to całą siłę.

- To do bocznego uderzenia - powiedział Karli, powtarzając wyuczoną lekcję. - Wiem, wiem. Po prostu nie mogę zmusić swoich mięśni, żeby to zrobiły, dopóki o tym nie pomyślę, a kiedy już pomyślę, jest za późno. No to powiedz mi, co by się stało, gdybym spróbował się zmierzyć z prawdziwym wojownikiem, takim jak wikingowie ze statków?

Shef wyciągnął dłoń po miecz, który przekuł na nowo, i rzucił wprawnym okiem na jego krawędzie. Teraz była to całkiem niezła broń. Ale z tym, co miał do dyspozycji w wioskowej kuźni w Ditmarsh, nie mógł osiągnąć zbyt wiele. Broń w dalszym ciągu zrobiona była z jednego kawałka metalu, a nie na przemian z warstw miękkich i twardych, które w przypadku lepszych mieczy nadawały im sprężystość i wytrzymałość. Shef nie był również w stanie dospawać utwardzonych stalowych krawędzi, jakimi cechowała się broń najwyższej klasy - nie posiadał odpowiedniego metalu ani kuźni, w której mógłby rozgrzać żelazo do tak wysokiej temperatury. Tak więc teraz, kiedy opuścili wioskę, za każdym razem gdy fechtował się z Karlim, używając włóczni "Gungnir" jako halabardy, na żelaznych krawędziach lichego miecza pojawiały się szczyrby, które musiał usuwać za pomocą młota i pilnika. Ale dzięki tym usterekom też można się czegoś nauczyć. Jeśli klinga szczyrbiła się pod właściwym kątem, znaczyło to, że Karli walczył jak należy. Przy nieudolnych próbach parowania ciosów metal był wyszczerbiony pod wszelkimi możliwymi kątami. Ale nie teraz.

Shef zwrócił miecz.

- Gdybyś spotkał prawdziwego mistrza, takiego jak ten, który mnie uczył, już byś nie żył - powiedział. - Ja zresztą też. Ale w armii wikingów służy wielu chłopskich synów. Możesz spotkać jednego z nich. I nie zapomnij - dodał - jeśli stajesz do walki z prawdziwym mistrzem, nie musisz walczyć czysto.

- Ty tak zrobiłeś - domyślił się Karli.

Shef skinął głową.

- Robiłeś wiele rzeczy, o których mi nie opowiadałeś, Shef.

- Gdybym ci nawet opowiedział, nie uwierzyłbyś.

Karli schował z powrotem swój miecz do drewnianej, wykładanej wełną pochwy, którą wspólnie zrobili, gdyż jedynie wełna skutecznie chroniła ostrze przed rdzą w wilgotnym klimacie Ditmarsh. Odwrócili się obaj i spojrzeli w stronę obozowiska na odległej o trzydzieści jardów polanie, skąd dym z płonących ognisk wzbijał się posepnie w zasnute mgłą niebo.

-Nie powiedziałeś mi także, co masz zamiar zrobić teraz- ciągnął

Karli. - Czy zamierzasz tak po prostu pójść na targ niewolników i pozwolić, żeby Nikko cię sprzedał, jak kiedyś mówiłeś?

- Na targ niewolników w Hedeby pójde na pewno - powiedział

Shef. - A potem będzie, co ma być. Ale ani myślę skończyć jako niewolnik. Powiedz mi lepiej, Karli, jak ja sobie radzę?

Miał na myśli długie godziny, podczas których Karli, by odwdziżyć się za lekcje szermierki, uczył go, jak zaciskać dłonie w pięści, jak uderzać prosto bez wymachiwania rękami na boki, jak atakować i wkładać cały ciężar ciała w uderzenie, jak blokować ciosy dłońmi i robić uniki głową.

Znajomy uśmiech ponownie zagościł na twarzy Karliego.

- Mniej więcej tak samo jak ja. Jeśli spotkasz prawdziwego mistrza, pięściarza z bagien, już jest po tobie. Ale powinieneś sobie poradzić z człowiekiem, który będzie stał nieruchomo.

Shef pokiwał w zamyśleniu głową. To przynajmniej była umiejętność warta nauczania. Dziwne, że tutaj, w tym zapomnianym zakątku świata, tak się wyspecjalizowali w jednej tylko sztuce walki.

Zapewne dlatego, że tak niewiele handlowali i mieli zbyt mało metalu, musieli nauczyć się walczyć gołymi rękami.

Jedynie Nikko zwrócił na nich uwagę, kiedy wrócili do obozu, i obdarzył ich gniewnym spojrzeniem.

- Jutro dotrzemy do Hedeby - powiedział. - Wtedy wasze zabawy się skończą. Powiedziałem, że wasze zabawy się skończą! - powtórzył, podnosząc głos do krzyku, kiedy Shef zignorował go. - Pan, którego spotkasz w Hedeby, nie pozwoli ci więcej błaznować i udawać, że jesteś mistrzem miecza. Od rana do nocy tylko praca, i bity, jeśli będziesz się lenił! Już to zresztą poznałeś, widziałem cię rozebranego! Nie jesteś wojownikiem, któremu się nie poszczęściło, ale zwykłym zbiegiem!

Karli cisnął garść błota w sam środek ogniska Nikka i krzyki natychmiast zmieniły się we wściekle pomruki.

- To nasza ostatnia noc - powiedział Karli, zniżając głos. - Coś mi przyszło do głowy. Widzisz, opuszczamy Ditmarsh. Jutro będziemy już na gościńcu i zacznie się suchy kraj, gdzie mieszkają

Duńczycy. Ty możesz z nimi rozmawiać, aleja nie jestem w tym zbyt dobry. Lecz pół mili stąd jest wioska, gdzie dziewczęta mówią jeszcze całkiem niezłe w języku bagien, jak ja - a nawet ty. Wc.aż mówisz jak Fryz, ale rozumieją cię. Dlaczego więc nie mielibyśmy po prostu się wymknąć i zobaczyć, czy któryś z nich nie znudził się już czasem mąż z wiecznie zabłoconymi nogami?

Shef spojrział na Karliego z mieszaniną irytacji i czułości. W ciągu tygodnia, spędzonego w nadmorskiej wiosce w Ditmarsh, zdał sobie sprawę, że Karli, pełen radości, otwarty i nieco

bezmysłny, należy do tego rodzaju mężczyzn, którzy nieodmiennie podobają się kobietom. Działo na niego jego wesołe usposobienie i beztroska.

Próbował chyba szczęścia z każdą niewiastą w rodzinnej wiosce, i zwykle z powodzeniem. Niektórzy mężowie i ojcowie wiedzieli o tym, niektórzy woleli nie wiedzieć, nikt nie miał ochoty sprowokować Karliego i zaznajomić się z jego pięściami. Ale kiedy Nikko wraz z innymi wyruszał w sprawach handlowych do Hedeby, wszyscy mieszkańcy wioski, bez względu na to, czy uważali Shefa za towar do sprzedania, czy też nie, zgodzili się bez wahania, by Karli również pojechał. Ich ostatnią noc w chacie, którą Karli dzielił z rodzicami, przerywały nieustannie odgłosy skrobienia w drewniane okiennice i ukradkowe wypadki Karliego w pobliskie zarośla.

Nie były to kobiety Shefa, nie miał więc powodu do zdenerwowania. Mimo to postępowanie Karliego obudziło drzemiący w nim gdzieś głęboko niepokój. Za młodu, kiedy pracował w kuźni w Emneth na moczarach i jeździł do pobliskich wiosek, wykonując różne zlecenia, Shef przeżył kilka intymnych przygód z dziewczętami córkami churlów, a nawet z córkami niewolników, nie z młodymi damami, których dziewictwo było cenione i strzeżone, lecz z wioskowymi dziewczętami, które dość chętnie zgadzały się uzupełnić jego wiedzę w tej dziedzinie. Co prawda nigdy nie uganiały się za nim tak jak za Karlim, być może odstręczał je brak widoków na przyszłość z kimś takim jak on, może czuły jego tłumione pasje, ale przynajmniej nie miał powodu myśleć, że czegoś mu brakuje, że coś z nim jest nie tak.

A potem przyszli wikingowie. Złupili Emneth, okaleczyli okrutnie jego ojczyma i uprowadzili Godivę, którą on później uwolnił.

Wspominał ich wspólne chwile w małej chacie na skraju zagajnika, tamtego letniego ranka, kiedy stał się pierwszym kochankiem Godivy i myślał, że osiągnął szczyt swoich pragnień. I od tamtej pory nie miał już do czynienia z żadną kobietą, nawet z Godivą, kiedy znów ją odzyskał, ani potem, gdy włożyli mu na głowę złoty królewski diadem i połowa dziewczek publicznych w Anglii była na jego usługi. Shef zastanawiał się chwilami, czy nie stało się tak za przyczyną groźby Ivara, który przysięgał, że go wykastruje. Nadal był w pełni mężczyzną- ale Ivar też nim był, tak przynajmniej utrzymywał Hund, a mimo to nazywano go "Bez Kości". Czy człowiek, którego zabił, mógł obdarzyć go swoją impotencją? Czy może to jego przyrodni brat, mąż

Godivy, przeklął go, nim został powieszony?

Shef wiedział, że przyczyna tkwi w jego umyśle, nie w ciele.

Musiało to mieć związek z tym, że kobiety, które kochał, wykorzystywał jako przynętę albo łapówkę, a także z jego wewnętrzną zgodą na to, że Godiva odrzuciła go i poślubiła Alfreda, najbardziej godnego zaufania człowieka, jakiego Shef kiedykolwiek spotkał.

Niezależnie jednak od tego, jaka była przyczyna tej słabości, Shef nie znał na nią lekarstwa. Gdyby poszedł z Karlim, mógł narazić się tylko na upokorzenie. Jutro znajdzie się na targu niewolników, a pojutrze być może zostanie wykastrowany.

- Czy myślisz, że mam jakieś szansę? - spytał, dotykając swojej twarzy i pustego oczodołu.

Karli rozpromienił się w zachwycie.

- Jasne! Jesteś silnym i wysokim mężczyzną, masz mięśnie jak u kowala. Mówisz z obcym akcentem, to bardzo tajemnicze. Musisz pamiętać o jednym: tutejsze dziewczęta są znudzone. Nic się tu nigdy nie dzieje. Nie wolno im kręcić się w pobliżu drogi, bo mogłyby zostać porwane. Nikt nigdy nie przychodzi na bagna. Od dnia urodzin do śmierci widzą ciągle te same twarze. Mówię ci... - Karli zaczął roztaczać przed nim fantastyczne wizje, jak to dziewczęta z Ditmarsh wprost nie mogą się doczekać, by spotkać pięknego obcego przybysza - lub, dajmy na to, brzydkiego obcego przybysza a w tym czasie Shef mieszał w kociołku i nadziewał na gałazki kulki surowego ciasta, które zamierzał upiec w ognisku. Nie sądził, by plan Karliego się powiódł, w każdym razie jeśli chodzi o niego.

Wyruszył na morską wyprawę właściwie z jednego tylko powodu: chciał otrząsnąć się z przygnębienia po zaślubinach Godivy i Alfreda. Skorzystałby z każdej okazji, byle tylko przełamać zły czar. Wiele sobie jednak nie obiecywał. Potrzebował czegoś więcej, niż prostej dziewczki z bagien, by ukoić wspomnienia.

Kilka godzin później Shef ponownie zdumiał się własną beztróską, gdy ciemną nocą wracał przez bagna do obozu. Prawie wszystko działo się tak, jak przewidywał: przybyli do wioski dokładnie o tej porze, kiedy mieszkańcy wychodzą z domów i przechadzają się po okolicy. Kilka razy przystanęli, by porozmawiać i usłyszeć najświeższe wieści, Karli zerkał znacząco na jedną lub drugą przysłuchującą się dziewczynę, zamieniając z nią niekiedy kilka słów, a w tym czasie Shef odwracał uwagę ich opiekunów. Ostentacyjnie opuścili wioskę tuż po zmierzchu, po to tylko, by zaraz wrócić ukradkiem do wierzbowego zagajnika nad pobliskim stawem. Niebawem zjawiły się również dziewczęta, zadyszane, wystraszone i podniecone zarazem.

Dziewczyna Shefa była przyjemnie pulchna i nieco nadąsana.

Z początku próbowała flirtować, potem jej twarz przybrała wyraz pogardy. Wreszcie, gdy spostrzegła, iż Shef nie robił sobie wielkich nadziei i nie jest rozgniewany swoją porażką, zaniepokoiła się. Poglaskała go po zniszczonej twarzy, dotknęła blizn na plecach pod tuniką.

- Przeżyłeś ciężkie chwile? - tylko w połowie było to pytanie.

- Cięższe, niż wskazują na to blizny - odparł.

- Nam, kobietom, też jest czasem ciężko, zresztą sam wiesz powiedziała. Shef przypomniał sobie, co widział w czasie oblężenia Yorku i pośród zgłiszcz Emneth, wspomniawszy matkę i koleje jej życia, Godivę, Alfgara i krwawe chłosty, opowieści o Warze Ragnarssonie i o tym, co robił z kobietami; przypomniał sobie w końcu kości młodych niewolnic, pogrzebanych za życia z przetrąconym karkiem, na które natknął się niegdyś w starym królewskim grobowcu, i nic nie powiedział. Potem leżeli jeszcze przez chwilę w milczeniu, a w tym czasie natarczywe dźwięki, dochodzące z chaszczy, w których zniknął Karli ze swoją towarzyszką, ucichły nagle, by zaraz rozbrzmieć na nowo.

- Nikomu nie powiem - wyszeptała dziewczyna, kiedy mokra i ubłocona para wyłoniła się wreszcie ze swego ustronia. Shef pomyślał, że już nigdy więcej jej nie zobaczy.

Właściwie powinno go to martwić, uświadomił sobie, że nie sprawdzał się jako mężczyzna. Ale, nie wiedząc czemu, wcale go nie martwiło. Przystanął i końcem włóczni zbadał, czy grunt przed nim jest grząski. Na bagnach coś zabulgotało i chlupnęło w ciemności, Karli wyciągnął swój miecz i wstrzymał oddech.

- To tylko wydra - powiedział Shef.

- Być może. Nie wiesz, że na bagnach są różne rzeczy?

- Na przykład?

Karli zawahał się.

- Mówimy na nie: strzygi.

- Tak, my też. Wielkie, ogromne stwory, żyjące w błocie i porywające dzieci, które bawią się zbyt blisko. Olbrzymie kobiety z zielonymi zębami. Mają ramiona porośnięte długą szarą sierścią wciągając pod wodę łodzie rybaków - dodał Shef, upiększając nieco jedną z opowieści, które usłyszał od Branda. - I wodniki, które zaczajają się i żerują na...

Karli chwycił go za ramię.

- Cicho! Nie mów takich rzeczy. Mogą usłyszeć, że je wzywasz i przyjdą tu.

- One nie istnieją - powiedział Shef. Znów wyczuł skrawek twardego podłoża między dwoma trzęsawiskami. - Ludzie wymyślają takie historie, żeby wyjaśnić, dlaczego wędrowcy czasem nie wracają. Na bagnach takich jak te niepotrzebne są strzygi, żebyś przepadł na zawsze. Spójrz, za tymi olchami widać obóz.

Karli spojrział na niego. Dochodzili właśnie do skraju polany, gdzie leżały nieruchome kształty, owinięte derkami.

- Nie rozumiem cię - powiedział. - Jesteś zawsze pewien, że wiesz wszystko najlepiej. Ale zachowujesz się jak lunatyk. Czy zesłali cię tu bogowie?

Shef spostrzegł, że Nikko nie śpi i w milczeniu obserwuje ich z cienia.

- Jeśli tak - powiedział - to mam nadzieję, że pomogą mi jutro.

We śnie, który nawiedził Shefa tej nocy, poczuł, że chwytają go za kark twarde jak stal palce, zmuszające, by patrzył raz w jedną, raz w drugą stronę.

Pierwsza scena, jaką zobaczył, rozegrała się na spustoszonej równinie. Stał tam młody wojownik, z trudem trzymając się na nogach.

Czarna, zakrzepła krew pokrywała jego zbroję, a jeszcze więcej krwi sączyło się spod kolczugi i spływało po udach. W dłoni ścisnął kurczowo złamany miecz, a u jego stóp leżał inny martwy rycerz. Z oddali Shef usłyszał głos, śpiewający pieśń: Szesnaście ran mi zadano, mój pancerz rozpruty, Opadły me powieki, więc nie widzę drogi.

Prosto w serce ugodził mnie miecz Angantyra, To ostrze krew obmywa, trucizna hartuje.

Nie można zahartować miecza w truciźnie, pomyślał Shef. Hartując żelazo, trzeba je najpierw rozgrzać, a potem gwałtownie ochłodzić. Dlaczego woda nie chłodzi dostatecznie szybko? Może z powodu pary, która się z niej unosi. A czym, tak naprawdę, jest para?

Palce na jego szyi zacisnęły się nagle, jakby chciały zwrócić na coś uwagę. Shef ujrzał krążące nad równiną drapieżne ptaki, a głos zaśpiewał ponownie: Już nadciąga z Południa wygłodniały kruk, W ślad za bratem podąża białopióra wrona.

Dziś po raz ostatni zastawiam im stół.

Dziś ma krew utuczy strasznych biesiadników.

Gdy ptaki przeleciały, Shefowi zdawało się przez chwilę, że widział kobiety, ich postacie szybujące z wiatrem, a jeszcze dalej niewyraźny zarys wielkich, rozwierających się wrót, które widział już wcześniej, wrót do Valhalli.

Tak umierają bohaterowie, powiedział ktoś inny, nie ten, który śpiewał. Nawet w sennym odrętwieniu Shef poczuł lodowaty chłód, kiedy rozpoznał ów drwiący, a zarazem groźny głos: należał do jego opiekuna, boga Riga, którego drabinę nosił na szyi. To śmierć

Hjalmara Wielkodusznego, mówił dalej niewidzialny. Stoczył walkę ze szwedzkim berserkiem, i tak oto mój ojciec Odyn zyskał jeszcze dwóch wojowników.

Scena zniknęła, a Shef poczuł, że jego wzrok kieruje się wbrew jego woli w inną stronę. Za chwilę pojawiła się kolejna wizja. Shef spoglądał w dół, na wąskie łożo stojące na gołej ziemi. Nie była to żadna z głównych komnat, raczej ślepy, nieuczyszczony korytarz, zimny i ponury. Na łóżku leżała stara kobieta, przeciągając się ostrożnie, boleśnie. Oświadczone jej właśnie, że musi umrzeć, powiedział to medyk, albo znachor, albo lekarz-potwór. Nie z powodu choroby płuc, która zimą zabiera wielu starych ludzi, ale dlatego, że gdzieś wewnątrz niej rosło jakieś zło. Czowała straszliwy ból, ale nie odważyła się o tym mówić. Nie został jej nikt bliski, jeśli miała kiedyś męża lub synów, wszyscy oni umarli albo odeszli, więc żyła teraz na wątpliwej łasce obcych ludzi. Gdyby sprawiała kłopoty, mogła stracić nawet to łóżko i chleb. Nie była nikomu potrzebna.

Była tą samą dziewczyną, którą zostawił na bagnach, dożywającą kresu swoich dni. Lub mogła nią być. Mogła być jeszcze kimś innym: Shef pomyślał o matce Godivy, irlandzkiej niewolnicy, którą Wulfgar, jego przybrany ojciec, uczynił swoją nałożnicą, a następnie sprzedał, zostawiając sobie jej dziecko, gdyż jego żona stała się zazdrosna. Lecz były też inne, wiele, wiele innych. Świat pełen był zrozpaczonych starych kobiet, a także starych mężczyzn, którzy ze wszystkich sił starali się umrzeć spokojnie, by nie zwracać na siebie niczyjej uwagi. Potem mogli już tylko wczłgać się do swoich mogił i zniknąć z ludzkiej pamięci. Kiedyś wszyscy oni byli młodzi.

Na widok tej sceny Shefa ogarnęło poczucie tak wielkiej beznadziei, jakiej dotąd nie mógł sobie nawet wyobrazić. Lecz mimo wszystko było w tym jeszcze coś bardzo dziwnego. To powolne umieranie mogło mieć miejsce w przyszłości, tak przynajmniej sądził na początku, kiedy wydawało mu się, że rozpoznaje kobietę. Ale mogło się zdarzyć również w przeszłości. W każdym razie, przez krótką chwilę, Shef wiedział jedno: stara kobieta na łóżku, która modliła się już tylko o cichą śmierć, była nim. Czy może to on był nią?

Shef obudził się raptownie, z drżeniem, a jednocześnie z poczuciem ulgi. Wokół niego ludzie leżeli bez ruchu, otuleni swoimi derkami. Powoli wypuścił powietrze z płuc i rozluźnił napięte mięśnie.

Następnego ranka opuścili krainę bagien, które nagle po prostu się skończyły. W jednej chwili wędrowali jeszcze z mozołem przez czarne rozlewiska i płytkie strumienie, płynące, zdawało się, donikąd w oparach rzadkiej zimnej mgły. Już za moment ziemia pod ich stopami zaczęła się wznosić, porastała ją teraz miękka murawa. Mgła zniknęła, i zaledwie o milę dalej Shef dostrzegł Wielki

Gościńiec, ginący za horyzontem, i zdążających nim w obie strony podróżnych. Obejrzał się i stwierdził, że spoza mglistej kurtyny nie widać już wcale Ditmarsh. Opar podniesie się nieco w słońcu i znów opadnie wraz z nadejściem nocy. Nic dziwnego, że mieszkańcy bagien żyli z dnia na dzień i rzadko widywali u siebie intruzów.

Shef zdumiał się również, spostrzegłszy, jakiej przemianie ulegli jego towarzysze, gdy tylko wyszli na drogę. Wśród swoich bagien byli spokojni, pewni siebie, gotowi szydzić z otaczającego świata i wszystkich sąsiadów. Tu natomiast zwiesili nisko głowy, jakby mieli nadzieję przemknąć się bez zwracania na siebie uwagi. Shef stwierdził, że podczas gdy on stoi prosto i rozgląda się bacznie wokół, pozostali garbią się, zbici w ciasną, wystraszoną gromadkę. Niebawem zrównała się z nimi grupa jeźdźców, dziesięciu lub dwunastu ludzi na koniach, którzy prowadzili ze sobą także juczne zwierzęta, zdążając szlakiem solnym na północ, w głąb

Półwyspu Jutlandzkiego. Kiedy mijali mieszkańców Ditmarsh, Shef usłyszał, jak wymieniają między sobą głośnie uwagi w narzeczu ludzi Północy.

- Hej, spójrzcie na tych płetwonogich z bagien. Ciekawe, po co tu przyszli? Patrzcie, tam jest jeden wysoki, pewnie mamusia miała przygodę na boku. Hej, błotniaku, czego tu szukasz? Może lekarstwa na cętkowany brzuch?

Shef uśmiechnął się w odpowiedzi na gromki wybuch śmiechu i odkrzyknął płynnie w języku, którego nauczył się od Thorvina, a następnie od Branda i jego załogi.

- Co ty mógłbyś o tym wiedzieć, Jutlandczyku? - Naśladował przesadnie chrapliwe, gardłowe dźwięki dialektu, którym mówili. Czy to język Północy, czy masz chore gardło? Spróbuj dodać miodu do piwa, a może ci przejdzie.

Kupcy wstrzymali konie i spojrzeli na niego bacznie.

-Nie jesteś z Ditmarsh - powiedział jeden z nich. -Nie mówisz również jak Duńczyk. Skąd pochodzisz?

- Enzkr em - odparł krótko Shef. - Jestem Anglikiem.

- Mówisz jak Norweg, i to z jakiegoś zapadłego krańca swojej ziemi. Słyszałem ludzi, którzy mówili tak jak ty. Handlowali futrami.

- Jestem Anglikiem - powtórzył Shef. -I nie futrami handluję.

Ci ludzie i ja idziemy na targ niewolników w Hedeby, gdzie mają nadzieję mnie sprzedać. - Wyciągnął swój amulet, spojrzął prosto na Duńczyków i mrugnął swoim jednym okiem. - Nie ma potrzeby trzymać tego w tajemnicy. Bądź co bądź, muszę znaleźć nabywcę.

Duńczycy spojrzeli po sobie i odjechali, zostawiając na gościńcu bardzo zadowolonego Shefa. Anglik, a do tego jednooki i ze srebrnym amuletem w kształcie drabiny na szyi. Wystarczyłoby teraz, gdyby usłyszał o tym któryś z przyjaciół Branda albo wyznawca Drogi, lub choćby jeden z jego kapitanów z zeszłorocznej wyprawy, który wrócił do domu wypocząć po trudach, a Shef zdołałby chyba zapewnić sobie przejazd do Anglii, mimo że nie miał specjalnej ochoty wsiadać na statek w Hedeby nad Morzem Bałtyckim.

Nikko spojrział na niego wilkiem, czując, że traci panowanie nad sytuacją.

- Chcę dostać twoją włócznię, zanim dojdziemy do rynku.

Shef uniósł rzeczoną włócznię i wskazał jej końcem drewnianą palisadę wokół Hedeby, która właśnie ukazała się ich oczom.

Gdy Shef włókł się ociężale wzdłuż składu towarów, które miały być wystawione na sprzedaż następnego dnia, poczuł, że serce bije mu mocniej. Nadal zachowywał wewnętrzny spokój - a może była to obojętność? - który nie opuszczał go od dnia, kiedy obudził się tamtego poranka, już niejako król, w chacie Karliego. Pamiętał, co zamierzał uczynić, nie bardzo tylko wiedział, jak ma to zrobić. Wszystko zależało w dużej mierze od tego, jakimi prawami rządzą się tu ludzie. Na targu niewolników w Hedeby, zważywszy na to, co on i jego przyjaciele chcieli osiągnąć, sprawa przedstawiała się dosyć obiecująco.

Samo targowisko było niczym więcej, jak tylko kawałkiem pustej przestrzeni nad brzegiem morza z niewysokim pagórkiem pośrodku, gdzie kupcy mogli wystawiać swoje towary. Nieco dalej łagodne fale Bałtyku obmywały leniwie wąski pas piaszczystego wybrzeża. Z jednej strony drewniany pomost wybiegał daleko w płytką wodę, by szerokie, płaskodenne knory mogły łatwo przyplwać i odpływać ze swoim ładunkiem. Cały teren otaczała gruba palisada z okrągłych bali, dosyć licha w porównaniu z rzymskimi umocnieniami w odległym Yorku, ale dobrze utrzymana i silnie obsadzona przez strażę. Shef słyszał co nieco o wyczynach króla Hrorika, który władał w Hedeby oraz nad całą tą krainą aż do Duńskiej Rubieży trzydzieści mil na południe od miasta. Ale królewskie dochody zależały głównie od ceł i opłat handlowych, które pobierano od kupców, toteż na równi strzegł on portu, jak i rządził nim mocną i twardą ręką. Shef od czasu do czasu spoglądał na szubienice, wzniesione w dobrze widocznym miejscu na wysuniętym nabrzeżu, z których zwisało kilku brodatych mężczyzn. Hrorik gorąco pragnął upewnić kupców, że zamierza strzec ich praw. Wątpliwości Shefa dotyczyły między innymi tego, czy jego plan nie zostanie uznany za zakłócenie handlu. W każdym razie, w miarę jak upływał poranek i długa kolejka oczekujących kupców posuwała się do przodu, jego nastrój stawał się coraz bardziej ponury.

W owej chwili wystawiano na sprzedaż sześć kobiet, które przyprowadziło kilku szczerzących zęby w radosnym uśmiechu wikingów. Każdy trzymał jedną z nich za ramię, podczas gdy przywódca chodził wokół wzgórza, wychwalając kolejno zalety niewolnic. Shef spostrzegł, że są to same młode dziewczęta. Podczas tej prezentacji ściągnięto z nich płaszcze, stały więc odziane jedynie w krótkie tuniki, z nogami odsłoniętymi nad kolana, a ich jasna skóra, niemal biała w świetle słonecznym, przyciągała łakome spojrzenia. Zewsząd rozbrzmiewały okrzyki, wśród tłumu wymieniano prośne uwagi.

- Skąd one pochodzą? - zapytał Shef uzbrojonego strażnika, który zatrzymał się nie opodal ustawionych w szeregu niewolników. Człowiek ów zerknął ciekawie na Shefa, oceniając jego budowę i sylwetkę, po czym udzielił mrukliwej odpowiedzi.

- Z kraju Wenedów. Spójrz na ich białą skórę i rude włosy.

Schwytali je na południowym wybrzeżu Bałtyku.

- A kim są nabywcy? - Shef dopiero teraz zobaczył grupę ciemnoskórych mężczyzn w dziwnych szatach, którzy przecisnęli się przez tłum, by dokładniej przyjrzeć się kobietom. Na głowach nosili płócienne zawoje, a zakrzywione sztylety przy ich pasach błyszczały szlachetnym metalem. Niektórzy z nich co chwila spoglądali w dal, jakby w obawie przed niespodziewanym atakiem.

- Ludzie z Południa. Czczą jakiegoś boga, który jest rywalem boga-Chrystusa. Kupują wiele kobiet i płacą złotem. W tym roku muszą płacić drogo.

- Dlaczego?

Strażnik znów obrzucił go zdziwionym spojrzeniem.

- Mówisz w języku Północy, a mimo to nic nie wiesz? Ceny kobiet wzrosły, od kiedy rynek angielski się popsuł. Zwykle dobre dziewczyny pochodziły z Anglii.

Arabowie z Kordoby zadawali teraz pytania, korzystając z pomocy tłumacza. Jeden ze stojących w pobliżu gapiów powtarzał je tłumowi.

- Chce wiedzieć, czy wszystkie są dziewczynami.

Rozległ się ryk śmiechu, a jakiś donośny męski głos zakrzyknął: - Ta wysoka nie jest, prawda Alfr? Widziałem, co robiłeś z nią wczoraj koło swojego szałas.

Przywódca rozejrzał się wokół ze złością, próbując spojrzeniem uciszyć żartownisiów. Arabowie przywołali tłumacza i chwilę naradzali się na uboczu. Następnie złożona została oferta. Sprzedający z oburzeniem ją odrzucili, jednak nie podali swojej ceny. Wreszcie układ stanął - a gdy błysnęły pieniądze, Shef aż zaniemówił z wrażenia, nie było to bowiem srebro, lecz złote dinary. Licytator zainkasował swoją opłatę, czuwający nad wszystkim jarl króla Hrorika również, nabywcy zaś pospiesznie odprowadzili kobiety, tym razem szczerze opatulone.

Wówczas oczom wszystkich ukazała się osobliwa postać, mężczyzna w średnim wieku, odziany w mocno wystrzępiony czarny habit. W pierwszej chwili wydawało się, że ma łysinę, jednak czubek jego głowy porastał delikatny czarny puszek. Duchowny chrześcijański, domyślił się Shef, z tonsurą, która nie była ostatnio golona. Kiedy wystąpił naprzód, inny mężczyzna utorował sobie drogę w tłumie i wyglądało na to, że zamierza go objąć: także duchowny, także w czarnym habitcie, z tonsurą tym razem gładko wygoloną!

Strażnik odepchnął go i rozpoczęła się licytacja.

Pierwsza propozycja padła z gromady wysokich mężczyzn, potężnie zbudowanych i okutanych w futra, mimo że wiosenne słońce mocno przygrzewało. Szwedzi, pomyślał Shef, przypominając sobie akcent Guthmunda Chciwego i kilku innych wojowników, z którymi zetknął się, gdy służył w Wielkiej Armii Ragnarssonów.

Oferowali osiem uncji srebra. Jeden z nich wyciągnął sakiewkę zza pasa i cisnął ją na ziemię, aby pokazać, że nie rzuca słów na wiatr.

Odepchnięty wcześniej duchowny zdołał tymczasem wymknąć się strażom i wrócił, wznosząc do góry ramiona i krzycząc zapalczywie.

- Czego on chce? - zamruczał strażnik obok Shefa.

- Próbuje nie dopuścić do sprzedaży - odparł Shef, który tylko po części rozumiał zbitkę narzecza Północy i dolnogermańskiego, jaką posługiwał się duchowny. - Mówi, że nie mają prawa sprzedawać kapłana prawdziwego Boga.

- Jeżeli nie zamilknie, jego także sprzedadzą- powiedział strażnik.

I rzeczywiście, Szwedzi rzucili na ziemię następną sakiewkę, zamienili kilka słów z licytатorem i podeszli do obu księży, niezmiernie zadowoleni z obrotu sprawy.

W tym momencie z tłumu wystąpił jeszcze jeden człowiek, a w miejsce zadowolenia na twarzach kupujących pojawił się rozważny namysł. Shef, który potrafił oceniać zalety wojowników, od razu domyślił się, dlaczego.

Mężczyzna nie był wysoki, górował nad nim nawet najniższy ze

Szwedów. Miał za to niezwykle szerokie ramiona. Co więcej, poruszał się z pewnością siebie, która kazała ludziom ustępować mu z drogi. Odziany był w podbity włosiem skórzany kaftan, znoszony, z doszytymi tu i ówdzie kawałkami skóry innego koloru. Jego lewa dłoń spoczywała na głowicy długiego miecza. Jasne włosy sterczały do góry niczym gęsta szczotka, wieńcząc pociągłą, gładko ogoloną twarz o rysach twardych jak kamień. Ale uśmiechniętą.

Jasnowłosa mężczyzna dotknął czubkiem buta jednej z sakiewek i kopnął ją pod nogi wpatrzonych w niego Szwedów. Następnie uczynił to samo z drugą sakiewką.

- Nie możecie go kupić. - Nie mówił zbyt płynnie narzeczem

Północy, lecz w ciszy, jaka nagle zapadła, jego głos brzmiał donośnie. - Żadnego z nich. Są kapłanami Chrystusa i znajdują się pod moją opieką. Pod opieką des Lanzenordens. - Nagle zawołał coś podniesionym głosem i zatoczył wokół ramieniem. Shef uświadomił sobie, że w pobliżu stoi około tuzina uzbrojonych wojowników w kolczugach. Było ich więcej niż Szwedów. Lecz zającui przyglądało się też ze dwustu ludzi Północy, również uzbrojonych. Jeśli zachowają się tak jak zwykle, gdy mieli do czynienia z chrześcijanami... Lub jeśli straż króla Hrorika zdecydują się wystąpić w obronie handlu i rynku...

- Zapłacimy za jednego z nich - zawołał pojednawczo jasnowłosa. - Osiem uncji. Chrześcijańskie pieniądze są tak samo dobre, jak pogańskie.

- Dziesięć uncji - powiedział przywódca Szwedów.

Licytator spojrział pytająco na jasnowłosego mężczyznę - Dwanaście uncji - powiedział jasnowłosa niskim, stanowczym głosem. - Dwanaście uncji i nie będę dociekał, jakim sposobem znalazł się tu

chrześcijański kapłan. - Zwrócił się w stronę Szwedów. - I do czego wam są potrzebni chrześcijańscy kapłani. Dwanaście uncji i możecie uważać, że mieliście szczęście.

Szwed zacisnął dłoń na stylisku topora i splunął na ziemię.

- Dwanaście uncji - powiedział. - A pieniądze Odyna dźwięczą lepiej niż pieniądze jakiegoś gładkoliciego chrześcijańskiego wałacha.

Shef spostrzegł, że strażnik obok niego poruszył się niespokojnie, a jarl króla Hrorika również zaczął przepychać się przez ciżbę.

Kiedy Szwed skończył mówić, podrzucił w rękę swój topór i uniósł go do uderzenia. Ale nim ktokolwiek zdążył się poruszyć, coś błysnęło w powietrzu, rozległ się głuchy odgłos, a potem stłumiony jęk.

Zdumiony Szwed wpatrywał się w mosięzną rękojeść, która sterczała mu spomiędzy żeber. Shef zdał sobie sprawę, że jasnowłosa mężczyzna nawet nie dobył miecza, lecz wyszarpnął zza pasa ciężki nóż i rzucił nim od dołu, spod ręki. Ledwie to pomyślał, a jasnowłosa już postąpił trzy kroki naprzód, obnażył miecz i przytknął jego ostrze do grdyki sprzedającego.

_ Dobiliśmy targu? - spytał gromkim głosem, spoglądając na jarla, który stał z boku, wyraźnie niezdecydowany.

Sprzedający powoli, ostrożnie skinął głową.

Jasnowłosa mężczyzna schował miecz.

- To tylko prywatne nieporozumienie - oznajmił jarlowi. - Nie zakłóci normalnego handlu. A z jego przyjaciółmi chętnie spotkamy się gdzieś poza miastem.

Jarl zawahał się, a potem również skinął głową, nie zważając na wściekłe wrzaski Szwedów, pochylonych nad ciałem przywódcy.

- Zapłać i zabierz swoich ludzi. A wy tam, uciszcie się. Skoro obrażacie innych, to musicie nauczyć się szybciej sięgać po broń.

Jeśli żywicie urazę, możecie walczyć. Ale nie tutaj. To źle wpływa na interesy. Dalej, dawać tu następnego.

Chrześcijańscy kapłani padli sobie w objęcia, jasnowłosa mężczyzna dołączył do swych uzbrojonych po zęby towarzyszy, Shef natomiast uświadomił sobie nagle, że ktoś popycha go w stronę pagórka. Na chwilę wpadł w panikę, jak wędrowny aktor, który nie wie, co odpowiedzieć na nieoczekiwaną replikę. Potem jednak, kiedy Nikko pospieszenie wystąpił naprzód, Shef spojrział na zmartwioną twarz stojącego obok Karliego i przypomniał sobie, co ma robić.

Powoli zaczął zdejmować zgrzebną wełnianą tunikę.

- Cóż więc tu mamy? - zakrzyknął licytator. - Silny młody mężczyzna, zdatny do pracy w kuźni, wystawiony na sprzedaż przez...

przez jakiegoś pletwonogiego, kogo to zresztą obchodzi.

Shef rzucił tunikę na ziemię, poprawił amulet Riga na piersi i naprężył mięśnie, przedrzeźniając pozy szukających zatrudnienia najemnych parobków na jarmarkach. Blask słońca padł na stare blizny, znaczące jego plecy po chłostach, które otrzymał przed laty od swego ojczyma.

- Czy aby jest posłuszny? - ozwał się jakiś głos. - Bo jakoś na to nie wygląda.

- Można sprawić, że niewolnik będzie posłuszny - zawołał Nikko, stając obok licytatora.

Shef w zadumie pokiwał głową i podszedł do nich. Idąc rozprostował najpierw powoli palce lewej dłoni, a następnie zwinął ją w ciasną pięść, z kciukiem na zewnątrz, dokładnie tak, jak pokazał mu

Karli. Musiał zrobić z tego dobre przedstawienie. Nie bezładną szamotaninę.

Nadal pomny wskazówek Karliego, wysunął do przodu lewą stopę, a lewym ramieniem zatoczył krótki łuk, którego przedłużenie wypadało na wysokości jego prawego barku. Nie zapominał przy tym, by włożyć w uderzenie cały ciężar ciała. Lewy sierpowy trafił Nikka nie w szczękę - Karl i odradzał to początkującym - ale w prawą skroń.

Krępy mężczyzna, kompletnie zaskoczony, osunął się na kolana.

Shef natychmiast złapał go za kołnierz, mocnym szarpnięciem postawił na nogi i zwrócił się do tłumu.

- Jeden pletwonogi - krzyknął w narzeczu Północy. - Dużo gada.

Nic więcej nie potrafi. Ile za niego dostanę?

- Myślałem, że to on sprzedaje ciebie - zawołał ktoś.

Shef wzruszył ramionami.

- Zmieniłem zdanie. - Popatrzył na zebrany tłum, starając się przetrzymać wszystkie spojrzenia swym jedynym okiem. - Kto jest dobrym thralliem? Przede wszystkim ten, kto pogodził się ze swoim losem. Nieposłuszny niewolnik, który oddaje ciosy, może zostać zabity, ale nie jest nic wart. - Shef spostrzegł, że na skraju targowiska doszło do małego zamieszania, kiedy syn Nikka oraz jego bratanek usiłowali przyjść mu z pomocą i natknęli się na Karliego, który zagroził im drogę ze wzniesionymi pięściami.

- Dosyć, dosyć - warknął jarl nad samym uchem Shefa. - Rozumiem, że wy dwaj nie jesteście na sprzedaż. Ale powiem wam jedno - musicie wnieść opłatę za licytację, a jeśli nie zapłacicie, to ją z was wydobędę, choćbym miał sprzedać was obu.

Shef rozejrzał się wokół. Nadeszła krytyczna chwila. Miał nadzieję, że Duńczycy opowiedzieli o spotkaniu na drodze i że w związku z tym dojrzy w tłumie znajomą twarz. Będzie jednak musiał dogadać się z chciwym jarlem sam. Posiadał tylko dwie rzeczy. Jedną ręką dotknął srebrnego amuletu - to była ostateczność. A gdzie jego druga własność?

Włócznia "Gungnir" wbiła się w murawę u jego stóp. Rozpromieniony Karli, który właśnie rozcierał sobie knykcie, pomachał do niego radośnie. Shef wyciągnął włócznię, by pokazać nadętemu jarlowi runy i spróbować dobić z nim targu.

- Jeśli on jest na sprzedaż, ten jednooki - rozległ się nagle czyjś głos - to chętnie go kupię. Znam kogoś, kto bardzo chciałby go mieć.

Tknięty strasznym przeczuciem, Shef odwrócił się w stronę, z której dobiegał głos. Miał nadzieję, że rozpozna go przyjaciel.

Liczył się z możliwością napotkania wroga, ale zakładał, iż wszyscy stronnicy Ragnarssonów, ci, których niegdyś znał spośród Wielkiej Armii, i którzy przeżyli, będą teraz na morzu z flotą Ragnarssonów, daleko stąd. Nie wziął jednak pod uwagę zmieniających się sojuszy, łatwo zawieranych i równie łatwo zrywanych, co w świecie wikingów zdarzało się bez przerwy.

Rozpoznał go Skuli Łysy. W ubiegłym roku, kiedy Shef forsował mury Yorku, Skuli dowodził wieżą oblężniczą, potem jednak odszedł od Ragnarssonów, którzy oszukali armię. Zbliżał się teraz do Shefa, a za nim zwartym szeregiem kroczyła załoga jego statku.

W tej samej chwili wewnętrzny głos ostrzegł Shefa, że ktoś jeszcze uporczywie się w niego wpatruje. Odwrócił się i napotkał spojrzenie pary czarnych nieprzejednanych oczu. Rozpoznał je natychmiast. Czarny diakon Erkenbert. Po raz pierwszy Shef zobaczył go w dniu śmierci Ragnara, którego wrzucono do jamy pełnej żmij, po raz ostatni zaś, kiedy mnich wsiadał na pokład okrętu po klęsce chrześcijańskiej krucjaty pod Hastings. Teraz stał obok ocalonego kapłana w wystrzępionym habicie i gwałtownie tłumaczył coś jasnowłosemu germańskiemu rycerzowi, wskazując przy tym palcem na Shefa.

- Skjef Sigvarthsson, pogromca Ivara - powiedział Skuli, szczerząc w uśmiechu zęby, zaledwie kilka stóp od Shefa. - Jestem gotów dać za ciebie więcej niż wynosi twoja cena rynkowa. Sądzę, że bracia

Wara zapłacą mi twoją wagę w srebrze, kiedy im ciebie dostarczę.

- Jeśli ci w ogóle zapłacą - warknął Shef i zaczął się wycofywać, zerkając nerwowo przez ramię w poszukiwaniu ściany, o którą mógłby się oprzeć. Zdał sobie sprawę, że jest z nim Karli. Chłopak wyciągnął miecz i pokrzykiwał dziarsko wśród rosnącej wrzawy. Shef natychmiast zauważył, że Karli zapomniał wszystkie jego nauki i trzymał swój oręż, jakby miał zamiar ciąć trzcinę na pokrycie dachu. Gdyby doszło do poważniejszej bitki, zginąłby w ciągu kilku pierwszych sekund.

W zasięgu wzroku Shefa znalazł się również jasnowłosy germański wojownik, też z obnażonym mieczem, a jego ludzie usiłowali właśnie stworzyć zaporę pomiędzy Shefem a Skulim. On także krzyczał coś o cenie. Kupcy i niewolnicy rozbiegli się na wszystkie strony, niektórzy próbowali czym prędzej się oddalić, inni porwali za broń, jakby chcieli dołączyć do jednej lub drugiej frakcji. Straż króla Hrorika, zaskoczona nagłym zamieszaniem, czyniła spóźnione wysiłki, by wkroczyć zwartym klinem na plac spodziewanej bitwy i opanować sytuację.

Shef wziął głęboki oddech i ścisnął mocniej włócznię. Miał zamiar od razu załatwić sprawę ze Skulim, a potem ruszyć wprost na

Erkenberta i pozostałych chrześcijan. Ale najpierw akt miłosierdzia. Odwrócił się, aby drzewcem włóczni ogłuszyć nic nie podejrzewającego Karliego. Kiedy znajdzie się bez czucia na ziemi, być może nikt go nie zabije, co z pewnością nastąpi, jeżeli Karli rzuci się w wir walki.

Jakiś ciężar uwiesił się na włóczni Shefa i przygiął ją do ziemi, krępując mu ruchy. W chwilę potem coś spadło mu na twarz i nagle zrobiło się ciemno. Kiedy wściekle szarpał się z derką, próbując ją z siebie zrzucić, poczuł miękkie uderzenie w podstawę czaszki i opadł na jedno kolano. Wciąż walczył, za wszelką cenę chciał wstać, chciał widzieć. Gdyby stracił teraz przytomność, to następną rzeczą, jaką by zobaczył, mogła być twarz Ragnarssona wypruwającego mu wnętrzności.

Ktoś podciął go mocnym kopnięciem i Shef uderzył głową o ziemię.

Rozdział ósmy

L rzepraszam za to. - Z przeciwległego krańca stołu spoglądały na niego oczy, tkwiące w nalanym tłuszczem obliczu. - Gdybym usłyszał o tobie wcześniej, osobiście wykupiłbym cię od twoich przyjaciół z Ditmarsh i nikt by o niczym nie wiedział. Ale będąc królem, z pewnością wiesz, jak to jest. Nawet król nie może być mądrzejszy od innych, jeśli w porę nie otrzymuje wieści.

Shef patrzył w kierunku, z którego dochodził głos, lecz wzrok wziął mu się mącił. Potrząsnął głową, aby rozwiać mgłę i skrzywił się z bólu.

- No właśnie - powiedziała tłusta twarz. - Czy usłyszałeś choć słowo z tego, co mówiłem? Gdzie cię boli?

Shef potarł lewą skroń i jednocześnie zdał sobie sprawę, że guz na czaszce znajduje się z prawej strony. Dłoń przesunęła się szybko przed jego oczami, domyślił się, że nieznany rozmówca sprawdza, czyjego ośpienie minęło.

- Guz po jednej stronie, ból po drugiej. Zastanawiasz się pewnie, czy mózg nie obłuzował się wewnątrz czaszki, nieprawdaż? - mówiła dalej twarz tonem swobodnej pogawędki. - To dlatego właśnie wielu wysłużonych wojowników zachowuje się, hmm, nieco dziwnie. Nazywamy to vithrhogg, wtórne uderzenie. Ale widzę, że już dochodzisz do siebie. Pozwól zatem, że przypomnę ci pokrótce, o czym mówiłem. Jestem Hrorik, król Hedeby i południowej Jutlandii. A ty?

Shef uśmiechnął się nagle, gdyż dotarła do niego rzecz najistotniejsza.

- Podobnie jak ty, jestem królem. Shef, król wschodniej i środkowej Anglii.

- Doskonale. Cieszę się, że wróciła ci pamięć. Wiesz, takie burdy na rynku zdarzają się dosyć często i chłopcy umieją już sobie radzić w podobnych wypadkach. Wystarczy zarzucić płótno żaglowe na głowę, a potem ogłuszyć każdego, kto próbuje sięgnąć po broń. Nie lubimy tracić zbyt wielu klientów.

Wielka dłoń naląła wina do stojącego przed Shefem kielicha.

Kielich, jak zorientował się Shef, był złoty.

- Dolej trochę wody i wkrótce poczujesz się lepiej.

- Dzisiaj straciliście klienta - zauważył Shef, przypomniawszy sobie nóż, wbity w serce Szweda.

- Tak, to przykra sprawa. Ale mój jarl doniósł mi, że ten człowiek szukał zaczepki. Poza tym...

Thusty palec wyciągnął amulet Shefa spod tuniki. Shef zdał sobie sprawę, że ktoś musiał podnieść ją z ziemi i ubrać go.

- Jesteś człowiekiem Drogi, tak? Zatem nie lubisz specjalnie chrześcijan. Nawet wcaJe, z tego co słyszałem o twoim zwycięstwie nad Frankami, a śmiem twierdzić, że oni lubią cię jeszcze mniej.

Aleja też muszę bardzo na nich uważać. Tylko Duńska Rubież dzieli mnie od Odyn jeden wie ilu ciężkobrajnych germańskich rycerzy.

To prawda, że cały czas walczą między sobą, i prawdajest również, że bardziej boją się nas niż ja ich. Lecz mimo to wolałbym uniknąć jakichkolwiek zatargów, a zwłaszcza w kwestii wiary. Tak więc pozwalam, by chrześcijanie przysyłali tu swoich misjonarzy w poszukiwaniu nowych wyznawców i nigdy nie oponuję, gdy zaczynają chrzczyć niewolników i kobiety. Oczywiście, jeżeli ci nieszczęśnicy zapuszczą się w głąb kraju i zostaną sprzedani w niewolę albo wrzuceni do trzęsawiska na cześć innych bogów, nic nie mogę na to poradzić. Utrzymuję porządek w Hedeby i wzdłuż szlaków handlowych, a także rozsądzam spory na thingu. Mówię swoim poddanym w co mają wierzyć i kogo zostawić w spokoju... Sam wiesz, jak bardzo może to być ryzykowne. - Thuścioch zaśmiał się, sapnął i mówił dalej.

- Ale pojawiło się coś nowego. Tej wiosny, kiedy misjonarze przybyli na Północ z Hamburga, trzech albo czterech, każdy miał ze sobą zbrojną asystę. Nie tak dużą, żeby nazwać ją armią, nawet nie na tyle liczną, by mogła stanowić poważne zagrożenie. Poza rym mieli mnóstwo pieniędzy na opłaty drogowe. Pozwoliłem więc im przejechać. Ale powiem ci coś - twarz pochyliła się nad stołem w stronę Shefa -jak król królowi. To bardzo niebezpieczni ludzie.

Bardzo wartościowi ludzie. Chętnie sam bym wynajął z pół tuzina takich. Ten, którego widziałeś, blondyn z włosami jak szczotka to, jak twierdzi kapitan mojej straży, najszybszy człowiek, jakiego w życiu spotkał. A także bardzo sprytny.

- Szybszy niż Ivar Ragnarsson? - spytał Shef.

- Ivar Bez Kości? Zapomniałem, przecież go przechytrzyłeś.

Na skutek działania wina wzrok Shefa nieco się poprawił, widział więc teraz wyraźniej ogromnego mężczyznę, który odchylił się na drewnianym krześle, aż zatrzęszczało masywne oparcie. Jego głowę zdobił złoty diadem, na szyi nosił ciężki złoty łańcuch i grube bransolety na ramionach. Emanował dobroduszną prostotą, niczym właściciel spokojnej miejskiej tawerny. Lecz przenikliwe oczy pod grubymi brwiami spoglądały ostro, a umięśnione prawe przedramię pokrywała gęsto sieć blizn, świadczących, że stoczył wiele pojedynków. I to zwycięskich, ponieważ przegrani nie żyją na tyle długo, by ich rany zdążyły się zabliznić.

- No cóż. Muszę przyznać, że wyświadczyłeś mi niemałą przysługę. Ivar bardzo mnie nękał, a jego bracia czynią to nadal. - Westchnął ciężko. - Niełatwo być tutaj królem. Z jednej strony Cesarstwo i chrześcijanie, którzy ujadają coraz głośniej z za Duńskiej

Rubieży, a na północy pięćdziesięciu morskich królików kłóci się nieustannie, który z nich ma zostać królem nad wszystkimi pozostałymi. Chrześcijanie powiadają, że teraz potrzebny im jest cesarz.

Czasami myślę, że nam również. Ba! Skoro o tym myślimy, to powinniśmy się też zastanowić, kto mógłby nim zostać. Może ja. Może ty. A może Sigurth Ragnarsson. Gdyby to miał być on, to ani ty, ani ja nie dożylibyśmy owego dnia, a pewnie byśmy nawet nie chcieli.

- Hrorik znów sapnął i zmienił temat.

- Ale chyba się zapominam. Masz za sobą ciężkie chwile, jak widzę, i z pewnością posłużyłaby ci porządna kolacja. A może spędziłbyś resztę popołudnia, wygrzewając się gdzieś na słońcu, póki nie przyjdzie pora na wieczorny posiłek? Zadbam o twoje bezpieczeństwo.

- Jestem winien pieniądze - powiedział Shef. - Człowiek, którego uderzyłem na targu niewolników, przywiózł mnie tu, a przedtem karmił przez cały tydzień. Powinienem mu zapłacić. Potrzebuję też pieniędzy na podróż do domu. Jeżeli w porcie są angielscy kupcy, mógłbym pożyczyć od nich, na rachunek mój własny, a także króla

Alfreda.

Hrorik podniósł upierścienioną dłoń.

- Zadbałem już o to, wszyscy zostali spłaceni. Twoi przyjaciele z Ditmarsh odjechali stąd bardzo szczęśliwi. Zawsze staram się żyć z nimi w zgodzie, są nader uciążliwi, kiedy się rozżłoszczą. Tylko jeden młody człowiek nalegał, żeby tu zostać. Nie dziękuj, zawsze możesz mi to zwrócić. A co się tyczy podróży do domu... No cóż, jeszcze nie teraz.

Shef spojrział na pooraną, dobroduszną twarz. W kącie, oparty o ścianę, stał "Gungnir". Shef nie robił sobie najmniejszych złudzeń, że uda mu się sięgnąć po włócznię.

- Mam zostać tu z tobą?

- Sprzedałem cię, żeby postawić sprawę jasno -powiedział Hrorik i mrugnął.

- Sprzedałeś? Komu?

-Nie obawiaj się. Nie Skuliemu. Proponował mi pięć funtów srebra. Chrześcijanie dawali dziesięć, a oprócz tego odpuszczenie wszystkich grzechów przez papieża, spisane fioletowym atramentem.

- Więc komu?

Hrorik znowu mrugnął.

-Twoim przyjaciółom z Kaupangu. Kolegium kapłanów Drogi.

Złożyli mi tak korzystną ofertę, że nie mogłem odmówić. Wspominali coś o rozprawie. To chyba lepsze, niż gdyby miał cię sądzić

Sigurth Wężooki, nie uważasz?

Z grubym pętem krwawej kieszki za pasem, długim bochenkiem czarnego chleba pod pachą i woreczkiem soli w ręku odbywał Shef swój spacer w promieniach gorącego, popołudniowego słońca. Jak radził mu król Hrorik, miał zamiar odpoczywać aż do kolacji. Otaczało go pół tuzina uzbrojonych strażników, których zadaniem było czuwać, aby z jednej strony nikt mu się nie naprzykrzał, z drugiej zaś aby nie przyszła mu czasem ochota uciec z miasta. Towarzyszył im nieco strapiony, chyba po raz pierwszy w życiu, Karli; u jego pasa ciągle zwisał miecz, a on sam niósł na ramieniu włócznię Shefa.

Początkowo maszerowali przez zatłoczone ulice Hedeby, wśród straganów, gdzie sprzedawano bursztyn, miód, wino z południa, wyśmienitą broń, kościane grzebienie, buty, nie obrabione żelazo i w ogóle wszystko, czym tylko można handlować w samej Skandynawii lub poza nią. Później, kiedy Shef poczuł się zmęczony ciągłym poszturchiwaniem i przepychaniem się przez tłum kupujących, wypatrzył niewysoki, zielony pagórek, jeszcze w obrębie miejskiej palisady, lecz mimo to zupełnie pusty, nie zabudowany i bezludny.

Wskazał nań bez słowa i ruszył w tamtym kierunku. Ból głowy minął, ale Shef wciąż szedł wolno i ostrożnie, bojąc się wywołać go ponownie jakimś gwałtownym poruszeniem. Czuł również, że wszystkie zewnętrzne wrażenia docierają do niego bardzo powoli, zupełnie jakby znajdował się pod wodą. A było tyle spraw, które musiał sobie poukładać i przemyśleć.

Wspiął się na pagórek i usiadł na jego szczycie. Widział stąd zatokę Schlei i ciągnące się dalej na północ zielone pola. Karli zawahał się, następnie wetknął tylec włóczni w miękką darń i również usiadł. Strażnicy wymienili spojrzenia.

-Nie boicie się ducha kurhanu? - spytał jeden z nich.

- Byłem już kiedyś w kurhanie - odparł Shef. Zauważył, że nóż, który zwykle nosił za pasem, zniknął; najwyraźniej Hrorik wolał nie kusić losu. Wręczył więc kieszkę Karliemu, by ten ją pokroił, a sam zaczął łamać chleb. Strażnicy ostrożnie usiedli lub przykucnęli w pobliżu.

Po chwili, gdy już napełnił brzuch, a słońce przyjemnie grzało mu plecy, Shef wskazał na żyzny krajobraz poza obrębem miasta.

Od północy omijała je rzeka Schlei, a na przeciwległym brzegu dostrzegał ogrodzone pola, oraczy poganiających woły, brunatne, zaorane bruzdy wśród zieleni i wijące się tu i ówdzie pomiędzy drzewami smużki dymu z kominów. W oczach Anglika ziemie wikingów były zawsze krainą mordy i pożogi, której mieszkańcy trudnią się piractwem i rozbojem, nie zaś uprawą ziemi i wypalaniem węgla drzewnego. A tutaj, w samym sercu krwawej wikińskiej zawieruchy, kraj wyglądał bardziej sielsko niż Suffolk w letni dzień.

- Słyszałem, że stąd właśnie wyruszyli niegdyś moi pobratymcy-zagadnął Shef siedzącego najbliższej strażnika.-Czy w dalszym ciągu żyją tu jacyś Anglicy?

- Nie - odparł strażnik. - Tylko Duńczycy. Niektórzy nazywają siebie Jutami, jeśli nie chcą się przyznać do związków z władcami mórz z wysp. Ale mówią językiem duńskim, tak jak ty. Chociaż 'en skrawek ziemi w dalszym ciągu nazywa się Angel, Róg. Bo leży jakby w rogu pomiędzy rzeką Schlei a fiordem Flensborg. Sądzę, że naprawdę żyli tu kiedyś Anglicy.

Shef pogрузył się w rozmyślaniach. Tak oto rozwiały się jego niewczesne nadzieje na przyjsie z pomocą cierpiącym pod duńskim jarzmem Anglikom, tutaj, w Danii. Mimo wszystko to dziwne, że mieszkańcy Ditmarsh nie mówią językiem Duńczyków, skoro mieszkają w ich bezpośrednim sąsiedztwie. Dziwny jest również sam język, jakim się posługują: nie jest to angielski ani duński, nie jest to nawet ten dziwny język, zapewne germański, którym przemawiał tego ranka chrześcijański kapłan. Ich mowa w jakiś sposób łączyła w sobie elementy wszystkich tych języków i chyba najbardziej przypominała fryzyjski, do którego Shef zdążył już przywyknąć, słuchając mieszkańców przybrzeżnych wysp, które mijali po drodze. Niegdyś te pograniczne ziemie były prawdziwym tygłem, mieszały się tu ze sobą najróżniejsze plemiona. Obecnie granice przebiegały o wiele bardziej wyraźnie: chrześcijanie z tej strony, poganie z tamtej, tu słycać mowę germańską, tam język Pomocy.

Lecz upłynie jeszcze sporo czasu, nim proces ten się zakończy. Strażnik nazwał swój język duńskim, *donsk tunga*, inni określają go mianem języka Północy, *norsk mai*. Ci sami ludzie nazywają siebie raz

Duńczykami, a raz Jutami. Shef był królem wschodnich Angłów, Alfred zaś zachodnich Sasów, i jedni i drudzy zgodziliby się jednak, że są Anglikami. Plemiona germańskie rządzone były przez tę samą królewską dynastię i uznawały tego samego papieża, co plemiona frankijskie, a mimo to nie myślały one o sobie jako o jedności. Szwedzi i Goci, Norwegowie i Goidelowie. Pewnego dnia ustala się ostateczne podziały i wszystko stanie się jasne. Istniała nagła potrzeba, by nastąpiło to już. Kto jednak potrafiłby wytyczyć granice i ustanowić zasady podziału według norm wyższych niż podstawowa troska Hrorika, by nic nie przeszkadzało w prowadzeniu "dobrych interesów"?

Shef niespecjalnie się zdziwił, gdy spostrzegł, że od strony miasta zbliża się ku nim jasnowłosy germański wojownik, człowiek, który tego ranka zabił Szweda i nie pozwolił, aby sprzedano w niewolę chrześcijańskiego kapłana. Straże Hrorika również go zobaczyły i wpadły w lekki popłoch nie licujący z rycerskim stanem.

Przybyszowi zagrodiło natychmiast drogę dwóch zbrojnych z obnażonymi mieczami i wzniesionymi tarczami, pozostali czterej wycelowali swoje oszczepy z bezpieczniejszej odległości dziesięciu stóp. Jasnowłosy uśmiechnął się, z przesadną wręcz ostrożnością, unikając gwałtownych ruchów, odpiął swój pas z mieczem i rzucił go na ziemię. Na rozkaz dowódcy straży zdjął również skórzany kaftan i wyciągnął z rękawa ciężki nóż - a także drugi, krótszy, z cholewy buta. Wówczas jeden ze strażników podszedł i przeszukał go, brutalnie i dokładnie. W końcu niechętnie się rozstąpili i pozwolili mu przejść, choć oszczepy nadal pozostały wzniesione. Kiedy stanął przed Shefem, również Karli wyciągnął swój miecz i patrząc podejrzliwie przybrał wojowniczą postawę.

Jasnowłosy przyjrzał się, w jaki sposób Karli trzyma miecz, westchnął, i usiadł na wprost Shefa ze skrzyżowanymi nogami. Jego uśmiech stał się teraz porozumiewawczy i nieco tajemniczy.

- Mam na imię Bruno - powiedział. - Przybyłem do kraju Duńczyków z misją arcybiskupa Hamburga-Bremy. Wykupujemy z niewoli naszych ludzi, jak zresztą wiesz. Ty zaś, jak mi powiedziano, jesteś słynnym Shefem Sigvarthssonem, pogromcajeszcze słynniejszego Wara. - Mówił w języku Północy z twardym akcentem, toteż imię "Sigvarth" zabrzmiało niemal jak "Zygfyrd".

- Kto ci o tym powiedział?

Znów porozumiewawczy uśmiech.

- Cóż. Jak się zapewne domyślasz, uczynił to twój rodak, diakon

Erkenbert. To bardzo zapalczywy mały człowieczek, który nie mówi o tobie nic dobrego. A jednak nawet on nie może zaprzeczyć, że pokonałeś Ragnarssona w walce na miecze.

- Miecz przeciwko halabardzie - poprawił Shef. Nie zdradził dalszych szczegółów.

- Ach tak. Nieczęsto wygrywa się w takiej walce. Ale masz bardzo niezwykłą broń. Czy mogę spojrzeć na twoją włócznię? - Bruno wstał i dokładnie obejrzał włócznię, wetkniętą w trawę obok

Shefa. Uważał przy tym, aby jej nie dotknąć, na wszelki wypadek założył więc ręce do tyłu.

- Wspaniała broń. Żeleźce nowo wykute, jak widzę. Bardzo ciekawią mnie włócznie. Inne rzeczy zresztą też. Czy mogę zobaczyć, conosisz na szyi?

Nie zważając na ostrzegawczy pomruk Karliego, Shef wyciągnął spod tuniki srebrny znak Riga i pozwolił by Bruno, który tymczasem znowu usiadł, obejrzał amulet.

- A cóż to właściwie jest?

- To kraki- odparł Shef. - Drabina. W środku słup, po obu stronach szczeble. To symbol mojego boga.

- Ale z tego, co wiem, zostałeś chyba ochrzczony jako chrześcijanin? Co za wstyd, ten, kto należy do prawdziwego Boga, winien porzucić pogańskiego bożka. Czy nie czujesz, że należałoby to uczynić? Być może mógłbyś, gdyby nie pewne... przeszkody... które stoją ci na drodze?

Shef uśmiechnął się, po raz pierwszy w trakcie tej rozmowy.

Potem przypomniał sobie wszystkie okropności, jakie spotkały jego i innych ze strony czarnych mnichów, Wulfgara i biskupa Daniela.

Potrząsnął głową.

- Nie oczekiwałem, że zmienisz zdanie natychmiast, gdy ci to.

zapropnuję. Ale pozwól, że dam ci dwie rzeczy pod rozwagę ciągnął jasnowłosa. - Oto pierwsza. Nie wątpię, że cały ten zamęt może wywołać wrażenie, jakoby chodziło jedynie o ziemię i pieniądze. I tak jest w istocie! Hrorik nie oddał mi ciebie, ponieważ sądzi, że zrobi lepszy interes gdzie indziej, a ponadto żadną miarą nie chce nas wzmacniać. Wiem, że zdobyłeś królestwa Anglii dla swojej herezji - wolności dla wszystkich bogów, ponieważ zniósłeś dziesięcinę, którą ludzie winni płacić Kościołowi. Ale prócz tej walki, i jestem pewien, że doskonale o tym wiesz, gdzieś głębiej też toczą się zmagania. Ale nie wdają się w to ludzie, lecz inne potęgi.

Shef przypomniał sobie swoje dziwaczne wizje, spierające się głosy swych opiekunów oraz innych bogów w upiornym świetle

Asgard, który odwiedzał we śnie, i powoli skinął głową.

- Są potęgi, z którymi człowiek nie powinien się wiązać, gdyż nie wyjdzie mu to na dobre. Nasz Kościół nazywa je diabłami i demonami, a ty oczywiście możesz sądzić, że to tylko uprzedzenie

Kościół, który zazdrośnie strzeże swojej -jak to się mówi? - swojej wyłączności w dziele zbawienia duszy. Tak, ja też znam naszych pasterzy i też pogardzam nimi za ich pazerność, za to, że kupują i sprzedają rzeczy, należące do Boga. Ale powiadam ci, Shefie Siegfriedssonie, jak jeden wojownik drugiemu: nadchodzi wielka zmiana, i nadchodzi Ten, który to sprawi. A wówczas upadną królestwa i zostaną uformowane na nowo, kapłani zaś -tak, i arcybiskupi i papież, którym się zdaje, że mogą wyrokować o wszystkim - sami zostaną osądzeni. Obyś nie znalazł się owego dnia po złej stronie.

- A jak się dowiemy, która strona jest dobra? - spytał Shef, dostrzegłszy płomień żarliwości na surowej, kamiennej twarzy. Słyszając spiżowe tony w głosie Bruna, strażnicy podeszli bliżej, jakby oczekiwali z jego strony nagłego aktu przemocy.

Ale na twarzy Bruna znów pojawił się niespodziewany i osobliwie ujmujący uśmiech.

- Och, otrzymamy znak. Coś nieomylnego, jak przypuszczam.

Cud, relikwie, coś, co Bóg da światu wraz z wybranym przywódcą, który będzie wiedział, jak tego użyć. - Wstał, gotując się do odejścia.

- Wspomniałeś, że chcesz mi wyjawic dwie rzeczy - przypomniał Shef. - Mam być po właściwej stronie, kiedy królestwa zadrżą w posiadach, to jedna. A druga?

_ A, tak. Prawda. Muszę ci powiedzieć, że częściowo się mylisz co do swojego znaku. Mam nadzieję, że inne rozpoznasz lepiej. To, co nosisz na szyi - możesz nazywać to kraki w narzeczu Północy, albo "drabiną" w twoim i moim języku. Po łacinie zaś - słyszałeś, jak kapłani mówią po łacinie? No właśnie, oni nazwaliby to graduale. Od gradus, stopień, rozumiesz.

Shef czekał, nie bardzo pewien, do czego zmierza Bruno.

- Są tacy, którzy wierzą w Sanctum Graduale. Frankowie nazywają to Świętym Graalem. Swoją drogą, to straszne, jak Frankowie posługują się łaciną - czy możesz wyobrazić sobie język, w którym aqua zmienia się w eaul No tak, Graduale albo Grail, to właśnie masz na szyi. Świętemu Graalowi towarzyszy zwykle Święta Włócznia, jak powiadają.

Bruno podszedł do sterty swojej odzieży i broni i powoli wszystko pozbierał, nadal pod czujnym okiem strażników, trzymających wzniesione oszczepy. Potem spojrzął na Shefa, skinął mu głową na pożegnanie i wolnym krokiem odszedł w stronę miasta i rynku.

- Czego on właściwie chciał? - spytał Karli podejrzliwie. Shef nie odpowiedział. Jeszcze silniej owładnęło nim uczucie, że znajduje się pod wodą, na głębokości co najmniej kilku sążni, lecz woda była przejrzysta i wszystko widział wyraźnie. Nadal patrzył na sielski krajobraz Angel, jednak znajomy ucisk na szyi świadczył, że ktoś kieruje tam jego wzrok. Pośród zielonych pól, zaoranych skib i snujących się leniwie po niebie warkoczy dymu, zaczęły się nagle pojawiać inne obrazy.

W dalszym ciągu spoglądał na ten sam pejzaż, ale zniknęły gdzieś zabudowania miasta Hedeby, więcej też było drzew, mniej zaoranych pól. Tak wyglądała kraina Angel, kiedy opuścili ją

Anglicy, powiedział mu wewnętrzny głos. Do ujścia rzeki Schleipodpłynęło dziesięć długich łodzi, podobnych nieco do statków Sigur 'ha

Ragnarssona, lecz prostszych w konstrukcji: bez masztu i żagla, poruszanych jedynie wiosłami, o surowych i bardziej wywrotnych kadłubach niż zgrabne, pełnomorskie statki wikingów. Przypominały raczej czółna z dulkami na wiosła. Shef śledził je wzrokiem, gdy mknęły w górę rzeki, znalazły wąski przesmyk i wpłynęły przezeń na małe, płytkie jezioro. Wojownicy zeskoczyli do wody, która nie sięgała im wyżej niż do połowy uda, i rozproszyli się po okolicy. Zaczęli powracać, kiedy dzień miał się już ku końcowi, obładowani metalem, sakwami i baryłkami, gnali przed sobą bydło i kobiety. Rozłożyli się obozem przy statkach, rozpalili ogniska, kiedy zapadła noc, zarzynali krowy i gwałcili kobiety. Shef przyglądał się temu nieporuszony: w rzeczywistości widział znacznie gorsze rzeczy, w dodatku patrzył na nie wtedy z bliska.

Mieszkańcy tej krainy nie odeszli daleko, rozpierzchli się tylko, by poszukać broni i zebrać większe siły. Wybrali także przywódcę.

Kiedy łodzie wpłynęły na wody jeziora, zwalili drzewa, odcinając łupieżcom drogą odwrotu. A potem ruszyli w stronę obozu, skąd dobiegały odgłosy hałaśliwej zabawy i gwałtów. Z drzew posypały się strzały. Najeźdźcy porzucili swoje rozrywki, chwycili za broń i zwarli szeregi, by odeprzeć atak. Kilka kobiet uciekło, skryły się w ciemnościach lub w czarnych wodach jeziora. Inne padły, rażone strzałami, lub pod ciosami rozwścieczonych piratów.

Tubylcy ruszyli naprzód szeroką ławą, ze wzniesionymi tarczami. Najeźdźcy starli się z nimi, przez kilka minut obie strony walczyły zażarcie, zadając ciosy ponad żółtymi tarczami z lipowego drzewa, wreszcie tubylcy odstępili. Z drzew znów posypały się strzały.

Jakiś głos ozwał się z ciemnego lasu, zapowiadając, że wszyscy napastnicy zostaną ofiarowani bogu wojny i powieszani na drzewach jako żer dla ptaków. Najeźdźcy spuścili łodzie na wodę i o zmroku spróbowali wymknąć się tą samą drogą, którą przybyli, natknęli się jednak na zapórę ze splątanych konarami drzew. Rankiem znów rozgorzała długa walka. Shef zobaczył - wszystko działo się tak szybko, jakby walczyły ze sobą dwie armie mrówek - że agresorzy zostali tym razem pokonani, rozproszeni, a na głowy i broń niedobitków zarzucano ciężkie derki i przygniatało ich tarczami do ziemi. Kiedy skończyła się bitwa, na mulistym brzegu pozostały kadłuby dziesięciu mocno porąbanych łodzi, a nie opodal nich stało lub leżało stu dwudziestu jeńców z ponurymi twarzami.

Zwycięzcy uprzątnęli ciała zabitych i broń i wrzucili wszystko do zdobytych statków, ponaglani przez swego przywódcę. Shef oczekiwał, że zaczną teraz obdzierać jeńców ze zbroi i kosztowności, by później podzielić łupy. Zamiast tego wyrąbali dziury w kadłubach łodzi. Wbili zdobyte włócznie w pnie drzew i wygięli je tak, by żelazne groty stały się bezużyteczne. Potrzaskali łuki i strzały, przebili brązowe hełmy, a następnie zebrali wszystkie miecze, rozgrzali klingi w ogniu i kowalskimi obcęgi zwinęli je w spirale. W końcu zajęli się także jeńcami. Każdy z nich klękał kolejno nad miedzianym kotłem, a krew z poderżniętych gardeł spływała doń niczym krew świń zarzynanych w dniu świętego Michała. Ciała zostały również wrzucone do łodzi, które puszczono na jezioro, aby zatoneły, natomiast potrzaskana broń pozostała na bagnistym brzegu.

Potem wszyscy odeszli. Przez lata nic się tu nie zmieniało, ludzie unikali tego miejsca, czasem tylko przychodził ktoś, kto musiał, lub bardziej odważne dzieci. Łodzie, broń i ciała, toczone przez robaki, pogrążyły się powoli w czarnym mule. Powoli wysychało też jezioro. Teraz pasły się tutaj krowy, a pamięć minionych wydarzeń dawno już zaginęła, zarówno wśród zwycięskich Anglów,

których potomkowie żyli obecnie daleko za morzem, jak i wśród ludzi z wysp, do których nie dotarły nawet słuchy o losach zaginionej wyprawy.

Ale dlaczego to zrobili? - zadawał sobie pytanie Shef. Zmieniła się skala tego, co oglądał, w dodatku nie patrzył już na prawdziwą ziemię, na prawdziwe zdarzenia, lecz jakby na ogromne malowidło, które się poruszało. Ponad nagą równiną wstawało słońce. Tylko że nie było to słońce, lecz ognista kula na rydwanie zaprzężonym w konie. Konie pędziły w popłochu, z pianą na pyskach. Za nimi gnały po niebie ogromne wilki z wywieszonymi jęzorami, za wszelką cenę chciały dopaść koni i pożreć słońce. Kiedy słońce się chowa, lub kiedy znika księżyc, powiedział mu wewnętrzny głos, oznacza to, że pada na nie cień wilka. Któregoś dnia wilki dopędzą konie, a wówczas spadnie na ziemię krwawy deszcz.

Na równinie wyrosło wielkie drzewo, dając powietrze, cień i życie wszystkim światom w zasięgu jego konarów. Shef przyjrzał się dokładniej i spostrzegł, że drzewo wije się z bólu. Podziemia wśród korzeni, zobaczył olbrzymiego węża, który wgryzał się w nie, a jego zęby ociekały jadem. W morzu pływał wąż jeszcze większy, wynurzając się od czasu do czasu, by jednym kłapięciem szczęk wciągnąć w toń statek pod pełnymi żaglami. W otchłani, znacznie głębiej niż żył wąż drzewa i wąż oceanu, Shef ujrzał nową wizję, zamglone kształtyjeszcze potworniejszego stworzenia, przykutego łańcuchem do podstawy świata, które wilo się z bólu, aż ziemia drżała w posadach. Torturowane, miało się wściekle, lecz pewnego dnia miało się uwolnić i tchnąć nowe siły w wilki na niebie i węża w oceanie.

Oto świat, jaki znają poganie, pomyślał Shef. Nic dziwnego, że nienawidzą i boją się swoich bogów i pragną jedynie przebłągać ich własnym okrucieństwem. Ich bogowie również się boją nawet

Odyn Wszechojciec boi się, że nadejdzie Ragnarók, lecz nie wie, jak powstrzymać ten dzień. Gdyby istniała dla pogan lepsza droga, wybraliby ją. Wspomniał nauki Thorvina o Drodze do Asgardu. Pomyślał też o Białym Chrystusie, o cierpiącej twarzy pod koroną cierniową, którą widział kiedyś na drewnianej figurze w Katedrze w Ely, i o królu Edmundzie, który umarł męczeńską śmiercią z ręki Ivara.

Ale nie jest to cała historia, powiedział mu głos. To tylko jej część.

Być może nadejdzie dzień, kiedy spojrzysz na świat tak, jak widzą go chrześcijanie. Lecz zanim to nastąpi, pamiętaj. Pamiętaj o wilkach na niebie i wężu w oceanie.

Shef nie czuł już na plecach przyjemnego ciepła. Powoli wracała mu zdolność normalnego widzenia i zdał sobie sprawę, że wciąż patrzy na rzekę Schlei, powieki ma szeroko rozwarte i nie mruga.

Za rzeką nadal rozpościerały się zielone pola, ale popołudniowe słońce zniknęło, zasłonięte chmurami. Strażnicy cofnęli się, mrużąc trwożnie do siebie i spoglądając na niego.

Tuż przed nim nieznajomy mężczyzna przyklęknął na jedno kolano, wpatrując się uważnie w jego twarz. Po białych szatach i naszyjniku z owoców jarzębiny Shef rozpoznał w nim kapłana Drogi, zauważył też srebrną łódź, świadczącą, że jest kapłanem Njortha, boga mórz.

- Jestem Hagbarth - powiedział kapłan. - Przybywam, by zabrać cię do Kaupangu. Moi towarzysze nie mogli się już na ciebie doczekać, bardzo pragną spotkać się z tobą i porozmawiać. Szczęśliwie się składa, że dotarłeś tu z Anglii. - Zawahał się. - Czy powiesz mi, co przed chwilą widziałeś?

- Jedynie świat, takim jaki jest - powiedział Shef.

- Widzieć rzeczy, jakimi istotnie są, to rzadka umiejętność odparł Hagbarth. - Tym bardziej, gdy zdarza się to w świetle dnia.

Być może jesteś prawdziwym prorokiem, jak twierdzi Thorvin, a nie podstępny wysłannik Lokiego, jak chcą inni. Będę świadczył za tobą. Musimy już iść.

- Do dworu Hrorika?

- I dalej, do Kaupangu.

Shef wstał, zdziwiony, że aż tak bardzo ścierpł i zeszywniał.

Kiedy zszedł z trudem ze wzgórza i ruszył w kierunku Hedeby, rozmyślał o tym, co zobaczył. Czy to jego własny umysł domagał się, by przyjął propozycję, którą złożył mu chrześcijanin Bruno? Czy może było to ostrzeżenie, prawdziwy obraz świata, w który właśnie wkraczał, świata władców mórz, kształtowanego od wielu pokoleń przez krew i strach?

Kiedy dotarli do obrzeży miasta, ukazał się ich oczom długi korowód pędzonych na targ niewolników. Shef patrzył na nich, zdziwiony, że ktokolwiek mógłby chcieć kupić tak żałośnie wyglądających ludzi: starych mężczyzn, stare, powłóczące nogami kobiety, na twarzach których odcisnęły się trudy i znoje całego życia. Wszyscy oni przypominali raczej obciążone skórą szkielety, lub spracowane woły, zdatne już tylko na rzeź.

- Czy opłaca się prowadzić ich na targ? - spytał.

- Szwedzi kupują ich i składają w ofierze w Uppsali - wyjaśnił jeden ze strażników. - Dwa razy do roku, latem i zimą, poświęcają bogom i wieszają w alei wielkich dębów w Uppsali setkę wołów, setkę koni, a także setkę mężczyzn i kobiet. Mówią, że bez tego królestwo Szwedów upadnie, a niebo zwali się im na głowy. Jeśli nie możesz już nic wycisnąć ze swego niewolnika, zawsze możesz jeszcze zarobić na nim w ten sposób.

Inny spośród strażników roześmiał się.

- Thrallowie wiedzą o tym, więc starają się jak mogą. Być może to my powinniśmy płacić Szwedom.

Rozdział dziewiąty

Na tle niewiarygodnie błękitnego nieba potężne pasmo górskie rysowało się olśniewającą bielą. Spiętrzony masyw opadał, uskok za uskokiem, aż do czarnej wody u jego podstawy - czarnej jedynie tam, gdzie spadająca z gór rzeka zdołała wyżłobić sobie czyste koryto. Poza tym gruby lód pokrywał szczelnie płytkie wody zatoki, łącząc stały ląd z łańcuchem wysp, ciągnącym się wzdłuż wybrzeża. Delikatny puch świeżego śniegu oprószył drzewa na wyspach i lód pomiędzy nimi. Lecz

tam, gdzie wiatr zdmuchnął śnieg, lód wydawał się przezroczysty; nadal był gruby na stopę, przybierał jednak kolor wody, którą krył pod swoją skorupą.

Shef i Karli, stojąc na dziobie łodzi, chłonęli ten widok przejęci grozą. Tam, skąd przybyli, wiosna była już w pełnym rozkwicie, pąki wystrzelały w górę, ptaki śpiewały i wiły sobie gniazda. Tutaj nie widzieli świeżej zieleni, tylko posępny mrok drzew iglastych, a jasne słońce zdawało się świecić blaskiem odbitym od śniegu. Łódź sunęła teraz wolno, poruszana jedynie krótkimi pociągnięciami wiosel. Hagbarth zwinął w nocy żagiel, kiedy tylko dojrzał majaczący w ciemnościach zarys lądu i zorientował się, że wpłynęli do głębokiej zatoki, na której odległym krańcu leżało Oslo. Od czasu do czasu słyszeli, jak ostre płaty kry lodowej poszturchują wątle poszycie łodzi. Nad nimi, na samej krawędzi burty, wsparty jedną ręką o sterzącą dziobnicę, stał jeden z członków załogi, wykrzykując krótkie komendy do sternika przy długim wiosle sterowym, który zręcznie omijał wielkie bryły lodu, a raczej małe lodowe wysepki, dryfujące z prądem od strony wybrzeża.

- Teraz, późną wiosną, lód nie jest aż tak niebezpieczny - powiedział Hagbarth, widząc jak jego pasażerowie z południa skoczyli na równe nogi przy pierwszym silniejszym uderzeniu w dno łodzi.
- Ale mimo wszystko nie będziemy ryzykować.

Shef był niezmiernie rad, a Karli nawet jeszcze bardziej, kiedy zmniejszyli prędkość, i to nie tylko dlatego, że obawiali się, co czeka ich u kresu podróży. Jak dotąd żaden z nich, nawet Shef, nie płynął tak daleko i tak szybko długą łodzią wikingów. Było to zupełnie inne doświadczenie, jak przekonał się Shef, niż podróż kołyszającym się ociężałe "Norfolkiem" wzdłuż wybrzeży duńskich, inne nawet niż przygotowujące o mdłości harce łodzią rybacką z Yorkshire.

Długa łódź wikingów, w tym przypadku był to należący do Hagbartha "Aurvendill", zdawała się ślizgać po wodzie niczym wielki, sprężysty wąż. Każda nadciągająca fala wznosiła się wysoko ponad okrężnicę, jakby chciała zajrzeć do wnętrza nie osłoniętego pokładem kadłuba, oni zaś byli pewni, że lada chwila spadnie na nich niszcząca, pochłaniająca wszystko nawałnicą. Za każdym razem jednak dziób wznosił się, wspinał uparcie niczym rozumne stworzenie, które, pchane przemożną ciekawością, musi dowiedzieć się, co jest po drugiej stronie, a potem znów się przechylał, podczas gdy rufa nadal pięła się do góry. Po jakimś czasie Shef, który zdołał już nieco ochłonąć, stwierdził, że przerażony Karli siedzi bez ruchu, wpatrzony w deski poniżej linii wodnej. Wyginały się nieustannie, odchodząc od wręg kadłuba, po czym wracały na swoje miejsce, przytrzymywane jedynie przez skręcone konopne sznury lub zwierzęce ścięgna. Powstałe w ten sposób szczeliny były często wystarczająco duże, by pomieścić ludzką stopę, rękę, a nawet głowę. Wydawało się w takich chwilach, że tylko jakiś kaprys trzyma jeszcze w całości szkielet łodzi. Karli i Shef usiedli obok siebie ze wzrokiem wbitym w deski poszycia i z płynącą głęboko z trzewi niezachwianą pewnością, że jeśli ich czujność osłabnie choć na chwilę, wówczas czar pryśnie i morze natychmiast pochłonie wątlą łódź wraz z załogą na pokładzie.

Biorąc pod uwagę wszystko, co musiała wytrzymać ich krucha łupina, myśl ta była na dłuższą metę nie do zniesienia. Shef spytał kiedyś Hagbartha, czy ludzie Północy przewożą w ten sposób konie lub woły, a jeśli tak, to jak udaje im się sprawić, by zwierzęta nie miały się na oślepie w panice. Hagbarth roześmiał się.

- Jeśli wprowadzisz konia na mojego "Aurvendilla" - powiedział - to zobaczysz, że każdy, nawet najbardziej narowisty ogier, najpierw rozejrzy się uważnie wokół siebie, a potem będzie stał bardzo, bardzo spokojnie.

Shef potrafił to zrozumieć.

Lecz mimo to musieli się spieszyć, więc nie zważając na lód, mknęli pod rozwiniętymi żaglami dopóki starczało dnia, z prędkością trochę tylko mniejszą niż koń w pełnym galopie lub pędzący na złamanie karku człowiek, do tego młody, lekko odziany i mający do przebycia nie więcej niż ćwierć mili. Płynęli tak całymi godzinami. Pierwszego dnia, po dwunastu godzinach żeglugi, Shef był pewien, że przebyli co najmniej sto pięćdziesiąt mil, choć po prawdzie nieustannie halsowali, zatem w linii prostej wypadło to znacznie mniej. Tak czy inaczej, w ciągu dwóch dni i dwu nocy podróży pokonali zapewne około czterystu mil - taka bowiem odległość dzieliła wiosnę na równinach Danii od trzaskających mrozów Norwegii i jej gór.

Hagbarth, aby wyjaśnić ten pośpiech, przez całą drogę tłumaczył im, jakie bezpośrednie zagrożenie czyha na nich z tej albo z tamtej strony. Statki króla Hrorika przez pierwszą noc eskortowały ich wzdłuż wybrzeża południowej Jutlandii i przez Wielki Pas, cieśninę pomiędzy duńskim stałym lądem a Fyn, wyspą Odyna. Niewiele im tam groziło, jak twierdził Hagbarth, ponieważ Hrorik związany był przymierzem z królem Gamlim z Fyn. Lecz o świcie wypłynęli na otwarte morze i eskorta króla Hrorika zawróciła. Na tych wodach panował król Arnodd z Aalborg, wyjaśnił Hagbarth. Nie był wrogo usposobiony - prowadził interesy, jak wszyscy. Ale interesy owe polegały między innymi na łupieniu statków. Mogło to spotkać każdego, kto płynął tędy bez jego zezwolenia, nie był spokrewniony z nim samym względnie z którymś z jego jądów, lub był po prostu zbyt słaby, żeby stawić opór. Obecnie jednak Arnodd czuł się zagrożony i musiał dbać o swoje dobre imię.

- Kto mu zagraża? - spytał Shef, który zastanawiał się właśnie, czy nabyta przezeń wprawa w chodzeniu po dnie rozkołysanej łodzi uchroni go przed morską chorobą, jeśli "Aurvendill" nie zaprzestanie swojego dzikiego tańca na falach. Hagbarth splunął ostrożnie obok wymiotującego Karliego i wysunął kciuk w kierunku sterburty, wskazując na zamglone kontury Fyn i mającego dalej Sjaellandu - Prawdziwi dranie - stwierdził krótko. - Twoi starzy znajomi, Ragnarssonowie. Gnieźdzą się tam, w Braethraborgu, i nawet sam cesarz Greków nie chciałby spotkać się z nimi na morzu. Nie obawiaj się - dodał. - Z tego, co wiemy, Wężooki wyruszył z całą flotą na południe, aby dopaść ciebie, i jak dotąd nie powrócił. A jeśli wrócił, to wyłoni się zza tego cypla, który mijamy teraz z prawej burty - Chyba że rozciągnął swoje okręty w długą linię od brzegu do brzegu i zaczął się gdzieś przed nami.

Nawet gdy minęli już niebezpieczną cieśninę Skaggerak i żeglowali z bocznym wiatrem w odległości dziesięciu mil od wybrzeży kraju południowych Szwedów, Hagbarth wciąż uzupełniał długą listę ludzi, którzy mogli im jeszcze zagrozić: był zatem Teit, król wschodnich Gotów, Vifil, król zachodnich Gotów, nie uznający niczyjej władzy piraci z wysp Weder, flota wyrzutków z Małego Kraju, która grasowała u wybrzeży Norwegii, choć mogły to być jedynie pogłoski, ponadto król Hjalti z Nizin oraz, na pierwszym miejscu i zawsze - tak przynajmniej twierdził Hagbarth, choć

Shef zaczął już podejrzewać, że kapłan chce ich po prostu nastraszyć - okrutni królowie z Zachodnich Fiordów. Zazwyczaj najeżdżali oni wyspy na Atlantyku lub wyprawiali się przeciwko

Irom, czasem jednak nekali też dla odmiany Szwedów, których szczerze nienawidzili.

- Czy w twoim kraju - spytał pewnego razu Karli, błądzący na skutek choroby oraz ze strachu - każdy może nazwać się królem?

- Nie każdy - odparł z całą powagą Hagbarth. - Ale masz spore szansę, jeśli potrafisz dowieść, że jesteś potomkiem bogów, a są ludzie, którzy umieją to sprawdzić. Chociażby my, kapłani Drogi. Niektórzy są zbyt dumni, aby kłamać na temat swoich przodków, jak choćby jarlowie z Hlathir-jeżeli w ogóle od kogoś się wywodzą, to chyba od trolli. Na ogół jednak, jeśli jesteś w stanie zbudować flotę, powiedzmy sześćdziesiąt statków lub coś koło tego, znaleźć sobie bazę na lądzie, nawet gdyby miała liczyć tylko kilka mil kwadratowych, jak na przykład

Braethrabort - Ragnarssonowie dostali tę ziemię od starego króla

Kolfinna ze Sjaellandu i nie pozwolili się już stamtąd usunąć wtedy możesz ogłosić się królem. Królem mórz, jak to się zwykle mówi. I - A jak to się dzieje, że zostajesz królem czegośkolwiek? Na przykład Nizin, albo Małego Kraju, albo Sterty Gnoju, albo Krowiej

Obory? - spytał Shef, którego złość podsycił dodatkowo strach.

- Powinien cię uznać thing* - odparł Hagbarth krótko. - Zwykle musisz po prostu stanąć na polanie i oznajmić, że od tej pory jesteś królem i nakładasz na wszystkich daninę. Jeśli wyjdiesz stamtąd żywy, to prawdopodobnie zostałeś królem. Czy jesteś potomkiem bogów, czy też nie.

Napięcie spadło dopiero o świcie, kiedy Hagbarth, rozglądając się bacznie dokoła w pierwszych promieniach brzasku, oświadczył, że wpłynęli na wody norweskich królów, Olafa i Halvdana.

- Królowie Norwegii? - zdumiał się Shef.

- Królowie Zachodniego i Wschodniego Kraju - wyjaśnił Hagbarth. - Każdy włada swoją częścią, a razem rządzą całością. I nie patrz tak na mnie. A ty i Alfred? Nie jesteście nawet braćmi. Jedyne szwagrami, czyż nie?

Dalszy spór przerwało nagle pojawienie się okrętów wojennych z długimi proporcami na masztach. Każdy z nich był dwa razy większy od "Aurvendilla", posiadał też liczną załogę. Shef nabrał już na tyle doświadczenia, by poznać, że są to tylko okręty obrony wybrzeża, z powodu zbyt słabych kilów niezdatne do dalekomorskiej żeglugi ani do stawienia czoła gwałtownym sztormom, zdolne za to przewieźć setki wojowników na niewielką odległość, gdy nie zachodzi potrzeba zabierania na pokład zapasów żywności i wody.

W miarę jak pas czystych wód pomiędzy napierającym z obu stron lodem zwężał się coraz bardziej, okręty zmieniały ustawienie, by uformować w końcu szyk torowy, a ich ciężkie kadłuby kołysały się łagodnie na falach wzniesionych przez wiosła, uderzające rytmicznie w ciemne wody zatoki.

Obszar, który Shef ujrzał przed sobą, przywodził na myśl zamożny folwark - wiele solidnych budynków z okrągłych bali i unoszący się ponad nimi dym. W środku wznosił się wielki dwór, szczyt jego dachu oraz kalenice zdobiły sterczące groźnie rogi. Dalej, ponad zabudowaniami, lecz jeszcze poniżej podstawy gór, jego jedyne oko dostrzegło zespół większych budowli, czasem o dziwnych kształtach, ukrytych częściowo za konarami jodeł. Tam, gdzie budynki dochodziły do morza, przy drewnianych nabrzeżach leżało kilka tuzinów łodzi najróżniejszych rozmiarów, wyciągniętych na brzeg. Na największym zaś i najdłuższym moło wzrok Shefa padł na coś, co moż*) Thing (starogerm.) - wiec, zgromadzenie ludowe (przyp. tłum.).

na było uznać za orszak powitalny. Albo za grupę strażników więziennych. Shef spojrział tęsknie na wyspy, rozsiane gęsto przy brzegu, z lewej burty. Od lodowej pokrywy dzieliło ich zaledwie pięćdziesiąt jardów, potem jeszcze kilkaset jardów do stałego lądu. Na każdej wyspie unosiły się pióropusze dymu, świadczące, że mógłby znaleźć tam schronienie i gościnę. Jeśli tylko jego serce nie przestanie bić przy zetknięciu z lodowatą wodą i jeśli nie zamarznie na kość, nim zdoła się z niej wydostać.

Niezależnie od tego, do której części kraju przybyli, panowali tu pospołu dwaj królowie.

Shef poniewczasie zdał sobie sprawę, że on sam raczej nie wygląda w tej chwili na króla. Miał na sobie ciągle tę samą tunikę, spodnie i skórzane buty, w których wyszedł na brzeg w Ditmarsh dwa tygodnie temu: ubłocone, przesiąknięte solą i krwią - jego własną oraz zabitego na piaskach wikinga. Do tego dochodziły jeszcze plamy po smole, wylanym bulionie, i dużej ilości potu.

Nie wyglądał gorzej niż za swoich chłopięcych lat, spędzonych wśród bagien w Norfolk, lecz wikingowie, jak się już zorientował, byli czystszy od Anglików, a przynajmniej od angielskich churlów. Jedyne Karli siadał obok niego, gdy przychodziła pora na posiłek. Kiedy wypłynęli dalej na północ, a morski wiatr stał się bardziej przenikliwy, Hagbarth rzucił każdemu z nich po grubej derce, w które się teraz opatulili.

Na molo Shef dojrzał kontrastujące jaskrawo z nędznym wyglądem ich obu szkarłatne peleryny, błyszczące zbroje, wypolerowane do połysku tarcze, w których odbijały się promienie słońca, a na samym skraju pomostu świetlicie białe, bielsze nawet od śniegu, szaty stojących w zwartej grupie kapłanów Drogi. Shef przesunął dłonią po włosach, próbując pozbyć się dokuczliwej wszy, potem dał za wygraną i bezradnie popatrzył na Hagbartha. Kiedy znów spojrzął na molo, jego twarz rozjaśniła się nieoczekiwaną radością.

Jedna z postaci na brzegu zdecydowanie górowała wzrostem nad pozostałymi. To chyba - tak, to musi być Brand. Shef szybko przebiegł wzrokiem po nabrzeżu i dostrzegł jeszcze kilka znajomych sylwetek, wyraźnie mniejszych od reszty zgromadzonych tu ludzi. Jedna z owych drobnych postaci stała odziana w połyskliwy szkarłat Shef rozpoznał jedwabną tunikę, którą były niewolnik Cwicca zakładał na wielkie okazje. Teraz, kiedy wiedział już, czego szuka, poszło mu o wiele łatwiej. Na czele stał Brand, tuż za nim Guthmund Chciwy, a w ich cieniu, nieco z tyłu, Cwicca i Osmod wraz z grupą swoich majtków. Shef spojrzął jeszcze raz na białe tuniki i płaszcze kapłanów Drogi, oczekujących na samym skraju nabrzeża. Tak, dostrzegał między nimi Thorvina, a także Skaldfinna i Hunda, lecz w gronie kapłanów zwracała uwagę przede wszystkim jedna niezwykła postać, która mogła się równać posturą nawet z Brandem.

Była tam jeszcze jedna grupa, trzymająca się wyraźnie na uboczu, w pewnej odległości zarówno od kapłanów, jak i od Branda oraz jego przyjaciół. Silniejszy podmuch wiatru z gór rozpostarł proporce, trzymane przez chorążych, i przez krótką chwilę Shef zobaczył Młot Drogi, biały na czarnym tle, a ponad nieznaną grupą niebieską chorągiew z dziwnym godłem, którego nie rozpoznał.

Spojrzął na Hagbartha z niemym pytaniem.

- To Spętana Bestia - powiedział Hagbarth, zniżając głos, gdyż od nabrzeża dzieliło ich już zaledwie pięćdziesiąt jardów.

- Króla Halvdana? Czy króla Olafa?

- Żadnego z nich - odparł Hagbarth z nutą zawziętości w głosie. - Królowej Ragnhildy.

Wioślarze unieśli w pozdrowieniu wiosła, po czym cisnęli je z trzaskiem na dno łodzi. Z dziobu i rufy poleciały na pomost liny. Przywiązano je do drewnianych pachołków i "Aurvendill" przycumował łagodnie do przystani. W chwilę potem z pokładu przerzucono trap.

Shef zawahał się, świadom swego opłakanego wyglądu. Tuż nad nim stał ogromny, nieznajomy kapłan; spoglądał w dół, a na jego twarzy zdawała się malować pogarda połączona z nieufnością. Shef przypomniał sobie żywo ową chwilę, kiedy również stał twarzą w twarz z wrogiem na wąskim pomoście: zabił wówczas Ivara, mistrza Północy. Nikt więcej nie mógł tego o sobie powiedzieć. Zrzucił z siebie derkę, chwycił włócznie "Gungnir", którą podał mu Karli, po czym wszedł zdecydowanym krokiem na trap, chcąc zmusić kapłana, by usunął mu się z drogi.

Dochodził już do krawędzi pomostu, kiedy potężne ramię, grube jak podstawa masztu, delikatnie odsunęło kapłana na bok, a na to miejsce wepchnął się Brand, trzymając ogromny futrzany płaszcz ze skóry białego niedźwiedzia, ze złotą zapinką na ciężkim, również złotym, łańcuchu. Natychmiast zarzucił płaszcz na ramiona

Shefa i zapiął złotą broszę. Następnie przyklęknął na jedno kolano, przy czym jego twarz znalazła się tylko trochę niżej od twarzy

Shefa.

- Bądź pozdrowiony, królu wschodniej i środkowej Anglii - zawołał. Na ten sygnał Cwicca i jego majtkowie oraz stojące nieco dalej załogi "Morsa" i "Mewy" wydały gromki okrzyk i zaszczeły bronią.

Brand, który jeszcze nigdy w życiu przed nikim nie klęczał, mrugnął jednym okiem i wykonał ledwie dostrzegalny ruch głową w kierunku innych osób na pomoście. Shef zrozumiał ten gest i odwrócił się do Hagbartha, idącego w ślad za nim po trapie.

_ Możesz przedstawić mi swoich towarzyszy - powiedział władczym tonem.

-Jak to, przecież... hmm... królu Shefie, pozwól, że ci przedstawię Valgrima Mądrego, głowę Kolegium Drogi i kapłana Odyna.

Valgrimie, to jest...

Valgrim nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. Popatrzył chmurnie na Branda, wyciągnął rękę, złapał trzymaną przez Shefa włócznie i wykręcił ją tak, by mógł odczytać wyryte na niej runy.

Po chwili puścił włócznie, odwrócił się i odszedł bez słowa.

- "Nie spodobało mu się to - mruknął Brand. - Co znaczą te runy?"

- Gungnir. Ale to nie moja włócznia. Zabrałem ją Sigurthowi

Ragnarssonowi.

Większość kapłanów Drogi poszła za przykładem swego przywódcy, pozostawiając na pomoście Thorvina i Hunda. Kiedy odeszli, Shef zobaczył, że zbliża się do nich grupa pod błękitno-srebrnym sztandarem. Przyjrzał mu się baczniej: osobliwe godło, potwór z groźnie wyszczerzonym pyskiem, dławiący się za gardło jedną łapą, a drugą ściskający kurczowo własną goleń. Opuścił wzrok, by stwierdzić, że patrzy prosto w oczy najbardziej fascynującej kobiety, jaką kiedykolwiek widział.

Nie pomyślałby, że jest piękna, gdyby ktoś mu ją opisał. Od dzieciństwa pojęcie piękna ukształtowała u Shefa Godiva: wysoka, lecz o wiotkiej figurze, z brązowymi włosami, szarymi oczami i przepiękną cerą, którą odziedziczyła po matce, irlandzkiej konkubinie-niewolnicy. Jeśli Godiva była zwinnym lampartem, to ta kobieta przypominała raczej tygrysa: wysoka jak Shef, o wydatnych kościach policzkowych i szeroko rozstawionych zielonych oczach. Jej piersi falowały pod opiętym, ciemnozielonym materiałem sukni, a szerokie biodra kołysały się przy każdym kroku.

Włosy, splecione w dwa długie warkocze opadające na ramiona, spinała nisko nad czołem masywna złota obręcz. Nie była też młoda, z czego Shef zdał sobie sprawę dopiero po chwili; dwa razy starsza od niego i Godivy. U jej boku kroczył chłopiec, może dziesięcioletni.

Zakłopotany przenikliwym spojrzeniem kobiety, Shef przyklęknął i popatrzył na chłopca.

-A kim ty jesteś?

- Jestem Harald, syn króla Halvdana i królowej Ragnhildy. Co się stało z twoim okiem?

- Ktoś wyłupił mi je rozgrzaną igłą.

- Bolało?

- Zemlałem zanim jeszcze skończyli.

Chłopiec spojrział na niego z pogardą.

- To nie było drengiligr. Wojownicy nie mdleją. Czy zabiłeś człowieka, który to zrobił?

- Zabiłem człowieka, który kazał to uczynić. Ten, który to zrobił, stoi tam, jak również ten, który mnie wtedy trzymał. Są moimi przyjaciółmi.

Chłopiec wydawał się zakłopotany.

- Jak mogą być twoimi przyjaciółmi, skoro cię oślepiłi?

- Czasami przyjmujesz od przyjaciół to, czego nie przyjąłbyś od wrogów.

Poniewczasie Shef zorientował się, że udo chłopca znajduje się tylko kilka cali od jego pustego oczodołu. Poderwał się na nogi, świadom nagle bliskości i ciepła kobiecego ciała. Tutaj, na przystani, w obecności tuzinów innych mężczyzn, poczuł, że jego członek sztywnieje, chociaż wcześniej opierał się skutecznie wszystkim wysiłkom dziewczyny z Ditmarsh. W innej sytuacji nie zdołałby chyba przezwyciężyć gwałtownego pragnienia, by rzucić tę kobietę na deski pokładu - o ile miałby na to dość siły, w co wątpił.

Królowa spojrziała na niego badawczo, najwyraźniej zdając sobie sprawę, jakie uczucia nim targają.

- Przyjdiesz, kiedy cię zawezwę - powiedziała, po czym odwróciła się i odeszła.

- Większość mężczyzn przychodzi - mruknął znowu Brand wprost do ucha Shefa.

W momencie, kiedy patrzył w ślad za zieloną suknią oddalającą się majestatycznie po śniegu, Shef usłyszał dźwięk, który rozpoznałby bezbłędnie nawet w największym zgiełku: miarowe kling-kling, bach-bach lekkich i ciężkich młotów, dobiegające z kuźni.

Słyszał też inne dźwięki, ale nie potrafił ich z niczym powiązać.

- Mamy ci wiele do pokazania- powiedział Thorvin, kiedy wreszcie zdołał się precyzyjnie do swego byłego ucznia.

- Racja - przyznał Brand. - Ale najpierw łaźnia. Ma pełno wszy

We włosach, a ten widok mnie mierzi, nawet jeśli podoba się królowej Ragnhildzie.

_ Wyszedł dumnie na brzeg ze swoim jednym okiem i włócznią w dłoni, włócznią z runicznym napisem "Gungnir"! - ryknął Valgrim. - Co jeszcze musi zrobić, żeby ogłosić się Odynem? Dosiąść ośmionogiego rumaka? To bluźnierca!

- Wielu ludzi ma tylko jedno oko - odparł Thorvin. - A co do napisu "Gungnir", to nie on go wrył. Ma tę włócznię tylko dlatego, że Sigurth

Węzooki rzucił nią niego. Jeżeli ktoś jest bluźnierca, to raczej Sigurth.

- Sam przecież mówiłeś, że kiedy po raz pierwszy przyszedł do ciebie nie wiadomo skąd dwie zimy temu, to powiedział, że przychodzi z Północy.

- Tak, ale miał na myśli jedynie to, że przychodzi z północy swojego królestwa.

- Ty jednak przedstawiłeś nam owo zdarzenie tak, jakby miało stanowić dowód, iż jest on Tym, którego oczekujemy. Tym, który nadejdzie z Północy, by pokonać chrześcijan i skierować świat na lepszą drogę. Skoro to podszywanie się pod Odyna jest przypadkiem, to tamte słowa też wypowiedział bezwiednie. Ale jeśli to, co ci wówczas oznajmił, było znakiem od bogów, w takim razie również to jest znakiem. Podaje się za Odyna. Ja zaś, kapłan Odyna w tym kolegium, ja powiadam, że ktoś taki nie może cieszyć się jego względami. Czyż nie odmówił Odynowi ofiary, kiedy armia chrześcijańska była zdana na jego łaskę?

Thorvin umilkł, nie mogąc znaleźć luki w rozumowaniu Valgrima.

- A ja wam mówię, że ma prorocze wizje - wtrącił Hagbarth. I to nie tylko we śnie.

Przysłuchujący się kapłani, a zebrało się ich całkiem sporo, spojrzeli na niego z zainteresowaniem. Nie utworzyli świętego kręgu ani nie położyli świętej jarzębiny wokół włóczni i ofiarnego ognia: wszystko, co tutaj mówili, nie miało dostatecznej mocy, bowiem ich zebranie nie odbywało się pod auspicjami bogów. Lecz mimo to wolno im było rozprawiać o rzeczach świętych.

- Skąd wiesz? - warknął Valgrim.

- Widziałem go w Hedeby. Usiadł na wzgórzu za miastem, na starym królewskim kurhanie. Powiedziano mi, że skierował się tam samorzutnie.

- To nic nie znaczy - powiedział Valgrim. Drwiącym tonem zacytował urywek starego ludowego wierszyka: Gdy książęta podzielili lupy, wtedy Bękart usiadł na kurhanie.

- Bękart czy nie - upierał się Hagbarth - ale ja przy nim byłem.

Oczy miał szeroko otwarte, chociaż nic nie widział i nie odpowiadał na pytania. Kiedy trans minął, zapytałem go, co zobaczył. Odparł, że widział rzeczy takimi, jakimi naprawdę są.

- Jak wyglądał, kiedy był w transie? - chciał wiedzieć kapłan z amuletem Ulla, boga myśliwych, na szyi.

- Tak jak on - Hagbarth wskazał kciukiem najbardziej szanowanego kapłana w zgromadzeniu, Vigleika znanego z wizji, który siedział w milczeniu przy końcu stołu.

Vigleik powoli uniósł głowę.

- Musimy pamiętać o jednym - powiedział. - O świadectwie naszego brata Farmana, kapłana Freya, który nadal przebywa w Anglii. Mówił mi, że dwie zimy temu przybył do obozu Ragnarssonów w poszukiwaniu nowej wiedzy, chciał się bowiem przekonać, czy czasem wśród plemienia Lokiego nie objawi się Ten, którego oczekujemy. Widział tam ucznia Thorvina, którego teraz nazywają królem Shefem, ale nic o nim nie wiedział, sądził, że jest on po prostu angielskim zbiegiem. Jednak nazajutrz po wielkiej bitwie z królem

Jatmundem Farman również miał wizję, i to w świetle dnia. Wizję kuźni bogów. Zobaczył tam ucznia Thorvina pod postacią Volunda, ułomnego kowala. A Odyn przemawiał do niego, lecz, jak opowiadał mi Farman, nie wziął go pod swoją opiekę. Tak więc być może

Valgrim, jako kapłan Odyna, ma rację, że się go obawia. Inni bogowie też mają swoje plany, nie tylko Odyn.

Pierś Valgrima uniosła się w gniewie. Rozwścieczył go zarówno sprzeciw wobec planów Odyna, jak i myśl, że mógłby odczuwać strach. Nie śmiał jednak przeciwstawić się Vigleikowi. Wśród kapłanów przybyłych do kolegium z całej Norwegii i z innych krajów

Skandynawii więcej było takich, którzy słyszeli o Vigleiku Wizjonerze niż o Valgrimie Mądrym - mądrym na sposób królów, biegłym w sztuce rządzenia. A sztuka rządzenia polegała również na tym, by milczeć i czekać na stosowny moment.

- Być może otrzymamy wskazówkę - powiedział pojednawczo.

- Od kogo? - spytał kapłan z Ranrike na dalekiej Północy.

_ Od naszego świętego kręgu, kiedy nadejdzie czas, by go utworzyć.

_ A także - dodał Vigleik - jeśli nam się powiedzie, od króla

Olafa. Jest on najmądrszym spośród władców na tej ziemi, choć może nie najszcześniejszym. Proponuję zaprosić go do naszego zgromadzenia i wyznaczyć mu miejsce poza kręgiem. Nie jest on Tym, na którego czekamy, jak niegdyś sądziliśmy. Jeśli jednak ktoś może rozpoznać prawdziwego króla, to właśnie on.

_ Myślałem, że Olaf Elf z Geirstath nie żyje - mruknął kapłan z Ranrike do jednego ze swych rodaków.

Umyty od stóp do głów w wielkiej balii z gorącą wodą, ostrzyżony i raz jeszcze wyszorowany dokładnie ługiem, Shef stąpał ostrożnie po twardym, ubitym śniegu na dziedzińcu kolegium Drogi. Zdjęto z niego stare ubranie, ale otrzymał w zamian czystą lnianą koszulę i ciasno opięte wełniane kalessy, na to zaś włożył grubą wełnianą tunikę i także spodnie. Brand odebrał mu futrzany płaszcz, mrużąc pod nosem, że jeśli znajdzie w nim choć jedną wesz, to Shef będzie musiał upolować następnego niedźwiedzia, lecz zdobył dla niego długą opończę z najlepszej przędzy. Shef znów miał na ramionach złote bransolety, odmówił jednak przyozdobienia ogolonej głowy złotym królewskim diademem. Kroczył niezgrabnie w grubych zimowych butach, wyłożonych dodatkowo gałganami, które pożyczył od Guthmunda. Pomimo mrozu i śniegu, po raz pierwszy od dłuższego czasu było mu ciepło.

Udd, maleńki stalmistrz, starał się dotrzymać mu kroku. Shef, gdy już wypełnił szorstkie dyspozycje Branda i doprowadził do porządku swój wygląd, poszedł przywitać się z Cwiccą i resztą wiernych towarzyszy. Przedstawił im Karliego, który spoglądał nieufnie spode łba, i przykazał, aby uważali go za nowego i wartościowego wojownika.

I nagle uświadomił sobie, że w kącie stoi Udd, jak zawsze cichy i milczący. Inni zdawali sobie sprawę z istnienia Udda jedynie wówczas, gdy miał on coś do powiedzenia lub do pokazania. Coś, co ponad wszelką wątpliwość związane było z metalem. Shef przypomniał sobie odgłosy dochodzące z kuźni na przystani, klepnął Udda w ramię i, udzieliwszy im ostatniego ostrzeżenia, by zachowywali się jak należy w stosunku do Karliego, wyszedł za Uddem na podwórze.

Cwicca i pozostali angielscy wyzwolenicy, którzy przybyli do tego nieznanego kraju na Północy, bezzwłocznie zatrzasnęli z hukiem drzwi, zatkali wszystkie widoczne szpary i zgodnie ze swoim starym zwyczajem zasiedli zbitą gromadą wokół ognia.

Udd nie skierował się tam, skąd dobiegały znajome odgłosy młotów, lecz w stronę małego budynku, położonego nieco na uboczu, z dala od pomieszczeń mieszkalnych. Kiedy szli, przemknęła nagle obok nich jakaś postać, z prędkością, jakiej na pewno nie mógłby osiągnąć żaden człowiek. Shef odskoczył na bok, sięgając po miecz u pasa, ale postać już mknęła po stoku w dół, ku dworskim zabudowaniom na wybrzeżu.

- Co to było? ~ spytał prawie bez tchu. - Łyżwy? Na śniegu?

W górach?

- Nazywają to nartami - powiedział Udd. - Albo coś w tym rodzaju. Drewniane deski, które przywiązuje się do stóp. Wszyscy ich tu używają. Dziwni ludzie. Ale teraz popatrz lepiej na to. - Otworzył drzwi i wprowadził Shefa do pustej szopy.

Początkowo Shef nic nie widział, ponieważ w środku było bardzo ciemno. Potem, kiedy Udd otworzył okiennice, zobaczył wielkie kamienne koło, leżące na środku szopy. Gdy jego wzrok

przyzwyczał się do ciemności, Shef zdał sobie sprawę, że były tam właściwie dwa koła, jedno nad drugim. Zapewne jakaś maszyna.

- Do czego służą? - spytał

Udd podniósł drewnianą klapę i pokazał mu kanał, przebiegający pod szopą.

- Kiedy śnieg topnieje, przepływa tędy strumień. Widzisz to koło, tam, w dole? To z łopatkami? Woda przepływa i obraca łopatki. Oś tego koła porusza te dwa na górze. Na stykających się powierzchniach są wyżłobione rowki. Wsypujesz tu ziarno. I masz mąkę.

Shef skinął głową, przypomniawszy sobie jednostajne uderzenia tłuczka, kiedy stara kobieta męła ziarno w chacie w Ditmarsh, wykonując pracę, która zdawała się nie mieć końca i której nienawidzili wszyscy wojownicy.

- Koła robią to o wiele szybciej niż kobieta ze starym tłuczkiem i móżdżkiem - dodał Udd. - Na razie wszystko jest zmarznięte na kość. Ale mówią, że kiedy urządzenie pracuje, miele tyle ziarna, co czterdzieści kobiet przez cały dzień. Ludzie przychodzą tu z miasta i płacą kapłanom za korzystanie z niego.

Shef znów pokiwał głową. Nie wątpił, że mnisi od św. Jana lub św. Piotra z pewnością nie pogardziliby takim dodatkiem do swoich dochodów. Potrafił docenić możliwości urządzenia. Ale nie mógł zrozumieć, dlaczego zainteresował się nim Udd: wiadomo było, że małego człowieczka nie obchodzi nic z wyjątkiem metalu. Lepiej jednak go nie ponaglać.

Milczący Udd poprowadził swego króla po zboczach do następnej szopy.

- To jest jak drugi szczebel - powiedział, patrząc na amulet Shefa w kształcie drabiny. - I jest to nasza zasługa. Widzisz, już od roku tutejsi kapłani byli zafascynowani tym, co słyszeli o naszych katapultach. Cwicca i jego majtkowie zbudowali dwie takie, żeby im pokazać, jak to robimy. Trafiła do nich zwłaszcza idea naszych kół, wiesz, kół zębatach. Kapłan, który pracuje przy młynie, wpadł na pomysł, jak wykorzystać prawdziwe, duże koła zębata, nie do naciągania katapulty, ale do budowy zupełnie nowego młyna.

Weszli do drugiego budynku. Na jednej ze ścian Shef zobaczył następne koło z łopatkami, takie samo jak pierwsze, tylko drewniane i ustawione pionowo, nie zaś poziomo, w zasypanym śniegiem wąwozie. Oczywiście w ten sposób woda będzie obracała łopatkami znacznie lepiej, z większą siłą. Ale jaki z tego pożytek, skoro oba kamienie młyńskie też muszą być ustawione pionowo? Ziarno po prostu przesypane się przez nie i w ogóle nie zostanie zmielone.

To przecież ciężar kamienia umożliwia mielenie ziarna.

Udd, ciągle bez słowa, wprowadził Shefa w głąb szopy i wskazał mechanizm napędowy. Na końcu osi koła młyńskiego znajdowało się, umieszczone oczywiście pionowo, ogromne żelazne koło zębata. Wprawiało ono w ruch inne koło zębata, osadzone poziomo na grubej dębowej osi. Niżej, na tej samej osi, obracały się dwa młyńskie kamienie. Ponad nimi Shef dostrzegł zbiornik, zdolny pomieścić kilka worków ziarna.

- Tak, panie, to jest coś. Ale chciałem powiedzieć, że powinniśmy zająć się czymś, o czym ci ludzie jak dotąd nie pomyśleli. Spójrz, panie-Udd zniżył głos, chociaż w promieniu wielu jardów nie było nikogo. - Jaki jest nasz podstawowy problem z żelazem? Z jego uzyskaniem?

- Wykucie go - odparł Shef.

- Ile dni potrzeba, by uzyskać pięćdziesiąt funtów żelaza z, powiedzmy, pięciokrotnie większej ilości rudy?

Shef gwizdnął, przypomniawszy sobie, ile godzin zajęło mu wykucie pierwszego w swym życiu miecza.

- Dziesięć - zaryzykował. - Zależy od tego, jak silny jest kowal.

- Dlatego właśnie kowale muszą być silni - zgodził się Udd, spoglądając na swoje wątle członki. - Ja nie mógłbym zostać kowalem. Ale pomyślałem sobie, że jeśli ten młyn wykonuje pracę czterdziestu niewolnic, to czy nie mógłby wykonywać pracy, powiedzmy, dwudziestu kowali?

Shef poczuł znajome, ostrzegawcze swędzenie pod czaszką.

Współpracowało tu ze sobą wiele umysłów, tak samo jak przy wymyślaniu katapulty czy naciąganej kołowrotom kuszy. Niektórzy z kapłanów Drogi pomyśleli o wodnym młynie. Wymarli przed wiekami Rzymianie pozostawili po sobie zębate koła. Shef i jego ludzie zbudowali na nowo katapultę. A z tego, co właśnie usłyszał, inni kapłani potrafili wykorzystać siłę nurtu rzeki do wykonania pożytecznej pracy. Teraz znowu Udd zamierzał spożytkować ten pomysł, by wcielić w życie własną obsesję. Było to tak, jakby również ludzie stanowili układ zębatach kół, z których jedno doskonale pasuje do drugiego, a jeden umysł zmusza do działania następnego.

- W jaki sposób kamienne koła mogłyby wykuwać żelazo? spytał ostrożnie.

- Cóż, panie, przyszło mi na myśl coś takiego. - Udd zniżył głos jeszcze bardziej. - Jak do tej pory, wszyscy rozumowali tak samo, że koło obraca koło. Ale ja pomyślałem sobie, a gdyby nie? A gdyby koło poruszało coś o innym kształcie? I znacznie, znacznie większego? Widzisz, tutaj obraca się oś. Razem z osią kręci się to, co jest na niej umieszczone. Cały czas się obraca i podnosi duży ciężar, taki jak koło młyńskie. Ale to nie koło młyńskie, tylko młot. A kiedy dotrze do tego punktu - przestaje się podnosić. I wtedy młot opada. Naprawdę ciężki młot, którego nie podniosłoby sześciu kowali, nawet tak silnych, jak Brand! I uderzałby tak szybko, jak szybko obraca się ta oś. Ile czasu by wtedy zabrało wykucie pięćdziesięciu funtów żelaza? Albo pięciuset funtów?

Twarz małego człowieczka płonęła podnieceniem, malowała się na niej pasja wynalazcy. Shefowi udzielił się ten nastrój, poczuł, jak na samą myśl o pracy świerzbą go ręce.

- Posłuchaj, Udd - powiedział, próbując zachować spokój. - Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli, kiedy mówisz o tym czymś, co jest umieszczone na osi, i ma się podnosić i opuszczać.

Udd energicznie pokręcił głową.

- Myślałem o tym każdej nocy, leżąc na koi. Potrzebne nam będzie, jak sądzę, coś takiego...

Na podłodze szopy, pokrytej cienką warstwą śniegu, który wiatr nawiał do środka przez wypaczone drzwi, Udd zaczął rysować skomplikowany układ poruszających się tam i z powrotem przekładni.

Shef przyglądał się temu przez jakiś czas, a potem również złapał za słomkę i zaczął rysować.

„Jeśli obracałoby się w ten sposób - powiedział - musiałbyś umieścić blokadę przy trzonku młota, żeby nie odskakiwał. Ale czy to musi mieć kształt młota?”

Kiedy godzinę później Thorvin, kapłan-kowal, wrócił z bezowocnego zebrania kolegium, zobaczył wysokiego króla i maleńkiego wyzwolenca, którzy spacerowali zaśnieżoną aleją i wymachiwali gwałtownie rękami, projektując swe wymaginowane maszyny.

W jednej chwili zrozumiał wszystkie wątpliwości Valgrima. Farman i Vigleik mogli zobaczyć Jedynego Króla w swoich wizjach.

Żadna jednak wizja czy proroctwo nie zawierały ani słowa, tego był pewien, na temat chudych, przybyłych z daleka, zrodzonych w niewoli kowalskich czeladników.

Rozdział dziesiąty

W osiemset sześćdziesiątym siódmym roku od narodzenia Pana

Naszego we wszystkich krajach skandynawskich ludzie byli mniej więcej tacy sami, choć poszczególne kraje znacznie się pomiędzy sobą różniły. Mimo odwiecznych kłótni, zawiści i wojen, Duńczycy, Szwedzi i Norwegowie byli bardziej podobni do siebie nawzajem niż do kogokolwiek innego. Istniały jednak zasadnicze różnice między żyznymi pastwiskami wysp duńskich i Półwyspu Jutlandzkiego lub długim wybrzeżem Szwecji nad osłoniętym bezpyłowym Bałtykiem, a pociętym fiordami, otwartym na Atlantyk obszarem Norwegii, z jej ogromnymi i prawie niedostępnymi grzbietami górskimi w potężnym masywie Kil. Już wtedy Norwegowie zwykli mawiać, że tylko Duńczycy, posiadając wysoki ledwie na tysiąc osiemset stóp pagórek, stanowiący najwyższy położony punkt w ich królestwie, mogą nazwać go Himinbjergiem, Niebiańską Górą. Duńczycy mawiali z kolei, że gdyby zebrać w jednym miejscu dziesięciu Norwegów, jedenastu natychmiast obwoła się królami i poprowadzi piętnaście armii na wojnę przeciwko wszystkim pozostałym. Żarty owe opierały się jednak na faktach, geografii i historii. Norwegowie mogli odbywać podróże, ponieważ na wybrzeżu z jego tysiącami wysepek znajdowały się liczne dogodne przejścia, a podczas długiej norweskiej zimy narciarz biegł po śniegu szybciej niż koń w pełnym galopie. Mimo to mniej trudności nastroczało odbycie dwudniowej podróży morskiej wokół wybrzeży, niż przekroczenie masywów górskich, wznoszących się stromo nawysokość dziesięciu tysięcy stóp. W Norwegii łatwiej było się podzielić niż zjednoczyć. Nietrudno było także w kraju, gdzie każdy z tysiąca fiordów stanowił naturalną przystań, zebrać flotę i zaciągnąć załogi spośród młodszych synów chłopów, którzy wielkość swych gospodarstw mierzyli w ułamkach akra.

W owym kraju maleńkich królestw i nietrwałych sojuszy panował przed czterdziestu laty władca imieniem Guthroth. Był królem

Zachodniego Kraju, czyli ziem leżących na zachód od wielkiego fiordu, który ciągnie się aż do Oslo i oddziela główny masyw Norwegii od szwedzkich rubieży. Nie był królem ani lepszym, ani gorszym od swoich sąsiadów i rywalizujących z nim władców Wschodniego Kraju, Ranrike, Raumrike, Hedemarku, Hedelandu, Toten, Akershus i wielu innych. Jego poddani, wszystkiego

razem kilka tysięcy, a zatem ilość ledwie wystarczająca, by zaludnić skromne angielskie hrabstwo, nazywali go Myśliwym, a to z powodu jego namiętności, jaką było polowanie na kobiety - niebezpieczna i trudna rozrywka, nawet dla króla, i to jeszcze w kraju, gdzie każdy kerl miał w chacie włócznię, topór, nie mówiąc już o doświadczeniu, nabytym podczas kilku łupieskich wypraw wikingów.

Lecz Guthroth nie ustawał w wysiłkach. Gdy jego pierwsza żona, Thurith, córka króla Rogalanda, umarła od nadmiaru trosk, spadających na nią z powodu niewierności męża oraz kłopotów i wydatków, jakie pociągały za sobą jego przygody, Guthroth natychmiast pomyślał o znalezieniu kogoś na jej miejsce. Upatrzył sobie dziewczę niedoścignionej urody, Asę, córkę Hunthjofa Mocnego, króla małego królestwa Agdir, na które składało się zaledwie jedno miasto oraz kilka okolicznych wiosek. Guthroth sądził, iż jej wdzięki zdołają przywrócić mu młodość, która zdawała się już przemijać.

Ale Hunthjof Mocny odrzucił oświadczenia Guthrotha, mówiąc, że jego córka nie będzie wahać łóżek innych kobiet, by przekonać się, czy nie gościł tam przypadkiem jej małżonek. Dotknięty zniewagą i odmową, Guthroth poważił się na jedyny w swym życiu wielki czyn, czyli zrobił to, czego zwykle oczekuje się od królów bitnych ludów: zebrał zbrojną drużynę i poprowadził ją na wroga, na nartach, w ciemną zimową noc, tuż po wielkim święcie płodności i urodzaju, gdy wszyscy w Agdir spali, upojeni świątecznym piwem.

Zabił Hunthjofa Mocnego w uczciwej walce przy drzwiach jego sypialni. Należy jednak zgodnie z prawdą dodać, że Guthroth był całkiem przytomny i w pełnej zbroi, Hunthjof zaś na wpół pijany i całkiem nagi. Potem kochliwy monarcha schwycił Asę, wrzucił związaną do sań i uwiózł do Zachodniego Kraju. Tam kapłani Guthrotha ogłosili zaślubiny i Asa, chcąc nie chcąc, została zaciągnięta do królewskiej łóżnicy.

Jej wdzięki zaspokoili oczekiwania Guthrotha i w dziewięć miesięcy później Asa powiła syna Halvdana, nazwanego potem Czarnym, zarówno z powodu koloru włosów, jak i napadów niepohamowanej furii. Guthroth z czasem porzucił środki ostrożności i poniechał przywiązywania Asy za nadgarstki do wezgi łoża każdej nocy, kiedy już kładł się spać. Uważał bowiem, że kobieta, która ma pod opieką dziecko, nabierze nieco rozsądku i stanie się bardziej uległa niż dotąd. Nadal upewniał się tylko, czy jej nóż do obierania jabłek jest wystarczająco tępy i nie przekroi niczego, oprócz delikatnego sera.

Zapomniał jednak, że kobieta, która naprawdę czegoś chce, potrafi z łatwością wykorzystać do swych celów innych mężczyzn.

Pewnego ciemnego wieczoru, tuż po święcie płodności, dokładnie w rocznicę śmierci ojca Asy, Guthroth napił się piwa z wielkiego rogu żubra, który należało opróżnić jednym łykiem, bowiem ów puchar w żaden sposób nie dawał się odstawić. Niebawem wyszedł chwiejnym krokiem na podwórzec, aby się wysikać na śniegu. Nim zdążył opróżnić pęczek, a ręce miał wciąż zajęte przytrzymywaniem spodni, zza węgła królewskiego dworu wyłonił się urodziwy młodzian, wbił w brzuch Guthrotha włócznię o szerokim ostrzu i pospiesznie oddalił się na nartach. Guthroth żył jeszcze wystarczająco długo, by powtórzyć słowa, które wypowiedział do niego zabójca: "Kto morduje pijanych, powinien zawsze pozostawać trzeźwy", po czym umarł, próbując mimo wszystko wysikać się do końca.

Guthroth miał pierwotnego syna z prawego łoża, dorodnego młodzieńca imieniem Olaf, liczącego sobie osiemnaście zim, którego począł ze swą pierwszą żoną Thurith. Oczekiwano

powszechnie, że syn zadośćuczyni duchowi ojca, zamykając Asę wraz z ciałem króla w grobowcu, i za jednym zamachem pozbędzie się przyrodniego brata Halvdana, porzuciwszy go w lesie na pożarcie wilkom.

Nie uczynił tego. Zapytany, dlaczego tak postąpił - najwidoczniej ludzie nie bali się go tak bardzo, jak powinni bać się swego króla, skoro ważyli się pytać - odparł, że nawiedził go sen. We śnie ujrzał wyrastające z łona macochy ogromne drzewo o krwistoczerwonych korzeniach, białym pniu i zielonych liściach, które rozrastało się konarami na całą Norwegię, a nawet dalej, na cały świat. Zrozumiał wtedy, że dziecko Asy czeka wielkie przeznaczenie, nie chciał więc stawać na drodze planom bogów, by nie sprowadzić na wszystkich nieszczęścia.

Olaf oszczędził zatem macochę i chronił przyrodniego brata, ale od tego czasu nie wiodło mu się najlepiej, a ludzie powiadali, że odrzucił własne szczęście. W następnych latach przyrodni brat, syn

Asy, przyćmił go wojenną sławą i zdobył dla siebie królestwo za wielkim fiordem, we Wschodnią Kraju. Jedyne zaś syn Olafa, Rognvald, z powodu wielkiej odwagi oraz hojności wobec poetów nazywany Wspaniałym, zmarł, kiedy zwyczajne draśnięcie odniesione w drobnej potyczce zaczęło się jątrzyć i nawet medycy kapłanów Drogi nie zdołali uratować chłopca.

Halvdan natomiast nie tylko zyskał dla siebie nowe królestwo we Wschodnim Kraju, którym podzielił się lojalnie ze swym niegdyś protektorem, oraz objął dziadkowe królestwo Agdir, ale również znalazł żonę, cieszącą się szacunkiem nawet władczej królowej Asy, choć ta zwykła raczej pogardzać innymi kobietami.

Była to Ragnhilda, córka króla Sigurtha Jelenia z Ringerike. Podobnie jak Asa, ona również uprowadzona została z domu swego ojca, lecz nie przez Halvdana. Podczas przeprawy przez góry ojciec jej wpadł w zasadzkę, którą zastawił na niego herszt zbójceckiej bandy, człowiek okrutny i dziki, berserk imieniem Haki. Przed walką wstępował w niego berserksgangr bitewny szal, lecz mimo to Sigurth, nim został zabity, zranił Hakiego trzykrotnie i odrąbał mu lewe ramię. Haki nie wstawał ze swego posłania przez całą długą zimę i nie mógł nacieszyć się dziewiczą narzeczoną. Właśnie kiedy uznał, że wydobrzał na tyle, by zakosztować wdzięków nadobnej panny, Halvdan uczynił to, co niegdyś jego ojciec. Ruszył w góry na czele pięćdziesięciu ludzi i podpalił nocą dwór Hakiego. Ragnhilda wybiegła, by powitać swych wybawicieli, a wówczas Halvdan pochwycił ją i uwiózł przez zamrożone jezioro. Gdy pogoń dotarła nad brzeg jeziora, zaprzężone w renifery sanie zniknęły właśnie w oddali. Haki zrozumiał, że nigdy ich nie złapie, a wstyd z powodu utraty zarówno ramienia, jak i narzeczonej nie pozwoli mu żyć. Rzucił się więc na własny miecz, aby bez swego kalectwa odrodzić się w Valhalli. I w taki oto sposób Halvdan zdobył najpiękniejszą narzeczoną na Północy, a także jedyną kobietę, która siłą charakteru mogła równać się z jego matką. A w dodatku uczynił to w samą porę, by wbrew wszystkim okolicznościom nacieszyć się jeszcze jej dziewictwem; przynajmniej zawsze w to wierzył. Niebawem ona również powiła

I syna, Haralda, którego w odróżnieniu od ojca nazywano Pięknowłosym.

Ci właśnie ludzie władali Zachodnim Krajem w czasie, gdy przybyli tam kapłani Drogi i uczynili handlowe miasteczko Kaupang siedzibą swego zgromadzenia: najpierw król Guthroth, potem król

Olaf, potem król Olaf wspólnie z królem Halvdanem, a także Harald Pięknowłosy, jedyny syn, który miał dziedziczyć po nich obu.

Oraz, co najmniej dorównujące znaczeniem mężczyznom, królowa

Asa, matka Halvdana, i królowa Ragnhilda, matka Haralda.

Zasiadłszy na ławie przed otwartym oknem w Hedeby, diakon

Erkenbert pograżył się w głębokiej zadumie, której przedmiotem byli obaj królowie, Halvdan (Czarny) i Olaf (Elf z Geirstath, cokolwiek to mogło znaczyć) oraz ich królestwo bądź królestwa: Wschodni

Kraj i Zachodni Kraj, oba stanowiące część większego obszaru, nazywanego Northr Vegr, Norwegią. Nie sądził, by któryś z nich miał się okazać poszukiwanym przez niego człowiekiem. Olaf Elf z pewnością nie. Z zapisków Erkenberta wynikało, że liczył on sobie ponad pięćdziesiąt lat i padał nieustannie ofiarą złośliwych kaprysów losu, co najwyraźniej nie przeszkodziło mu w utrzymaniu swego królestwa. Nie pojawiał się jednak na żadnej z list sporządzonych przez Erkenberta - co prawda nie w pełni wiarygodnych, bo opartych na zawodnej ludzkiej pamięci - zawierających imiona ludzi, którzy brali i którzy nie brali udziału w wielkim najeździe na Hamburg, kiedy to zaginęła Święta Włócznia Longinusa.

Jeśli chodzi o Halvdana, sprawa przedstawiała się nieco lepiej.

Wzbudzał powszechny strach i szacunek, będąc, jak na deprimująco skromne warunki krajów północnych, kimś w rodzaju zdobywcy. Powiadano, że jest główną przeszkodą na drodze Ragnarssonów do rozszerzenia zasięgu ich panowania. Jego statki pływały szybko i trzymały natrętów w należytej odległości. Mimo to Erkenbert nie uważał, by Halvdan spełniał konieczne warunki. Kiedy Bruno obarczył go zadaniem zebrania wszelkich dostępnych informacji o królach, wodzach i jadał całej Skandynawii, by następnie wyłonić spośród nich tego, który mógłby być w posiadaniu Świętej Włóczni, przykazał mu zwracać uwagę na trzy zasadnicze aspekty sprawy. Po pierwsze: powodzenie. Po drugie: udział w złupieniu Hamburga. Po trzecie: nagła odmiana losu. Porażka, która nieoczekiwanie zmienia się w zwycięstwo, wskazuje na boski wpływ wielkiej relikwii pewniej niż cokolwiek innego. Nie dotyczyło to jednak

Halvdana. Wydawało się, że jego droga do władzy była pasmem nieustannych sukcesów już od urodzenia, a przynajmniej od wczesnej młodości.

Trochę wbrew własnej woli - ponieważ wcale nie chciał wyruszyć z misją na Północ, wolałby raczej zostać w Kolonii, w Trewirze, a nawet w Hamburgu lub w Bremie, gdzie mógłby zgłębiać coraz to nowe tajniki władzy - Erkenbert uświadomił sobie, że problem, jaki postawił przed nim Bruno, syn markgrafta, zaczyna stawać się dla niego intelektualnym wyzwaniem.

- Ktoś musi znać odpowiedź - powiedział Bruno. - Po prostu nie zdają sobie sprawy, że wiedzą. Pytaj każdego, kogo spotkamy, o wszystko. Zapisuj wszystkie odpowiedzi. I patrz, jaki wyłania się obraz.

I Erkenbert to właśnie robił, poczynając od przesłuchania kilku świeżo nawróconych chrześcijan w Hedeby - głównie słabo zorientowanych kobiet i thrallów, którzy mało co słyszeli o wyczynach wielkich tego świata, a często nie wiedzieli nawet o ich istnieniu.

Następnie wypytał uratowanych chrześcijańskich kapłanów, później tych spośród strażników króla Hrorika, którzy przez grzeczność zgodzili się z nim rozmawiać, a w końcu, zapłaciwszy słony rachunek za wypite przez nich wino z Południa, kapitanów i sterników ze stojących w porcie łodzi,

którzy niejednokrotnie sami byli słynnymi wojownikami, drażliwymi jak kurwy na punkcie swojej reputacji.

Jakiś cień przesłonił nagle drzwi i do izby, ledwie przecisnąwszy przez framugę swoje niewiarygodnie szerokie ramiona, wszedł pierwszy rycerz Zakonu Włóczni, Bruno we własnej osobie.

Uśmiechnął się, co przychodziło mu zawsze z łatwością.

- Jak dzisiejsze zakłady? - spytał. - Sajacyś faworyci w naszym małym wyścigu?

Erkenbert potrząsnął głową.

- Jeśli nawet w tym co już wiemy, kryje się odpowiedź, tak jak sugerowałeś, to ja nie mogę jej odgadnąć - powiedział. - Do twojego obrazu nadal najbardziej pasuje ów młody człowiek, który zabił

Ivara i pokonał Karola. Przyszedł znikąd. Wszyscy mówią o jego czynach i szczęściu, jakie mu sprzyja. Jego bliskim przyjacie'em jest Viga-Brand, Brand Zabójca, który z całą pewnością brał udział w splądrowaniu Hamburga.

Bruno z żalem pokręcił głową.

- Ja też tak sądziłem - powiedział. - Dopóki z nim nie porozmawiałem. To dziwny człowiek, i myślę, że może mieć z tym coś wspólnego. Miał tylko jeden oręż, i chociaż była to włócznia, z pewnością jednak nie ta, której szukamy. Zbyt nowa, nie ten kształt, z pogańskimi runami, choć, co prawda, nie mogłem ich odczytać. Wydaje mi się, że nie możesz przestać o nim myśleć i dlatego upierasz się przy jego osobie. Być może to nie pozwala ci rozpoznać właściwego człowieka. Powiedz mi coś więcej o tych pogańskich królach.

Erkenbert wzruszył ramionami i ponownie sięgnął po oprawione arkusze pergaminu.

- Opowiedziałem ci już o królach Danii i Norwegii - rzekł. W Szwecji i Gotlandii jest ich jeszcze ze dwudziestu. I tak, idąc od północy, król Vikar z Roslagen; ma pięćdziesiąt lat, został wybrany na thingu w Ros przed dwudziestu laty, podobno jest bogaty, ale nastawiony pokojowo, pobiera daninę od Finów i nigdy nie wyprawia się na południe.

Bruno potrząsnął głową.

-A co z królem Ormem z Upplandu? Władca wielkim Królestwem

Dębów i kręgiem ofiarnym w Uppsali, mówią, że jest potężny, ale sam niechętnie bierze udział w walce. Zagarnął królestwo siłą dwadzieścia lat temu.

- Bardziej pasuje, ale nie do końca. Będziemy na niego uważać.

Wiesz - zamyślił się Bruno - mimo wszystkich klęsk, jakie ponieśli, zastanawiam się, czy Sigurth Ragnarsson lub któryś z jego braci nie jest naszym człowiekiem. W końcu nawet Karol Wielki doznał kilku porażek, kiedy wyprawiał się przeciwko Sasom.

Erkenbert wzdrygnął się mimo woli.

- Sądzę, że będziemy musieli sami się tam udać, aby zyskać pewność... - rzekł Bruno.

W chacie, oddanej do dyspozycji przybyszów w obrębie kolegium w Kaupangu, angielscy wyzwolenicy oraz Karli z Ditmarsh siedzieli przy ogniu i opowiadali sobie rozmaite historie o Ludzie Ukrytym.

W ciepłej, szczelnie zamkniętej izbie panował bardzo towarzyski nastrój. Hama, jeden z majtków obsługujących katapulty, miał rozciętą wargę. Cwicca boleśnie mrużył opuchnięte oko. Karli hołubił naderwane ucho, miał również na głowie sporego guza, w miejscu gdzie

Osmo, widząc jak wszyscy po kolei wałą się na ziemię pod ciosami pięści Karliego, uderzył go ciężkim polanem, wyjętym ze sterty drewna opałowego. Obecnie przestali już kpić z siebie nawzajem i ze swojego akcentu, a co więcej, odnaleźli płaszczyznę porozumienia, zajmąwszy się wyjaśnianiem tajemnic otaczającego ich świata.

- Wierzymy w stwory, zwane strzygami - oznajmił Karli.

_ My też - przyznał Cwicca, który wychował się na moczarach. Mieszkają w norach wśród bagien. Jeśli wybrałeś się łodzią na dzikie kaczki, musisz uważać, żeby nie wetknąć bosaka do gniazda jakiejś starej strzygi. Nikt, kto to zrobi, nie wraca.

- Skąd one się biorą? - spytał ktoś.

- Znikąd, zawsze tam były.

_ A ja słyszałem - powiedział Cwicca - że było tak. Wiecie, że podobno pochodzimy od Adama i Ewy. Otóż pewnego dnia Pan

Bóg zszedł na ziemię i poprosił Ewę, by pokazała mu swoje dzieci.

Cóż, pokazała mu tylko niektóre, ponieważ była leniwym flejtuchem, i nie wszystkie były umyte; brudnym kazała się schować.

Wtedy Pan Bóg powiedział: "Dzieci, które schowałeś przede mną, niech na zawsze pozostaną w ukryciu". I od tej pory my, ponieważ pochodzimy od tych dzieci Ewy, które Pan Bóg widział, jesteśmy ludźmi, a ci, którzy pochodzą od tamtych schowanych, są Ludem

Ukrytym, który żyje w bagnach i na wrzosowiskach.

Historia została gruntownie przemyślana, ale specjalnie się nie spodobała. Wszyscy obecni, z wyjątkiem Karliego, byli niegdyś niewolnikami Kościoła. Zwerbowani następnie do armii Drogi, zostali w końcu obdarzeni wolnością przez Shefa. Znali chrześcijańską doktrynę, ale kojarzyła im się z niewolnictwem.

-Nie rozumiem, co to ma wspólnego z tym, co pojawia się tutaj powiedział ktoś. - Nie ma strzyg, bo nie ma tu bagien. Mają tylko rusalki. W wodzie. Ale wody też nie ma, bo teraz wszystko jest zamrożone.

- Sajeszcze trolle - wtrącił ktoś inny.

- Nigdy o nich nie słyszałem - przyznał Osmod. - Co to są trolle?

- Wielkie szare stwory, które żyją w skałach. Nazywają je trollami, ponieważ turlają się po zboczu i skaczą na ciebie.

- Jeden z tutejszych opowiedział mi taką historię - wtrącił Hama z rozciętą wargą. - W górach żył sobie człowiek, nazywał się Lafi.

Pewnego dnia, kiedy polował, złapały go dwa trolle, trolle-baby, rozumiecie, i zawlokły go do swojego legowiska w górach, żeby mieć z nim dzieci. Nie miały na sobie nic, tylko niewyprawione końskie skóry, a żywiły się jedynie mięsem i rybami. Czasem było to mięso konia lub owcy, a czasem inne, nie chciały mu zdradzić, skąd je wzięły, ale i tak musiał je jeść. Po pewnym czasie udał, że zachorował, i kiedy młodsza baba-troll wyszła na polowanie, ta druga spytała, co mogłoby go wyleczyć. A on powiedział, że nic innego tylko zepsute mięso, które leżało w ziemi przez pięć lat. Wtedy ona odrzekła, że wie, skąd je wziąć, i poszła. A ponieważ myślała, że jest zbyt chory, aby wstać z łóżka, nie przywaliła dokładnie wejścia do jaskini wielkim kamieniem. Wtedy wydostał się stamtąd i uciekł.

Wywęszyły jego trop i ruszyły za nim, ale on poczuł dym drzewny i biegł tak długo, aż dotarł do obozu smolarzy, którzy porwali za broń i odpędzili trolle. A potem wszyscy zeszli z gór i byli już bezpieczni. Ale dziewięć miesięcy później, kiedy wyszedł z domu, znalazł na progu dziecko, całe obrośnięte szarą sierścią. Od tej pory już zawsze bał się wychodzić nocą. Nie wiem, co stało się z dzieckiem.

-To znaczy, że one nie są zwierzętami. Mogą mieć z nami dzieci - zadumał się Osmod. - Może jest trochę prawdy w tym, co mówi

Cwicca.

- Lepiej trzymajmy Karliego z daleka od kobiet-trolli - padła propozycja.

- Tak, a kiedy będzie jakiś problem ze starym trollem-tatusiem, Karli po prostu mu przyłoży.

Na podwórzu, nie zważając na gromki śmiech, dochodzący z wnętrza chaty, Brand próbował odbyć z Shefem poważną rozmowę.

- Ostrzegam cię - powiedział. - Ona jest niebezpieczna. Śmiertelnie niebezpieczna. Jesteś najbardziej zagrożony od czasu, gdy wszedłeś na trap, by zmierzyć się z Warem. Kiedy stanąłeś przed nim, on już wiedział, że kiedyś musi przegrać. Ona tak nie uważa.

Ma jeszcze o co grać.

- Nie rozumiem, czemu tak się martwisz - odparł Shef. - Jak dotąd, tylko z nią rozmawiałem.

- Widziałem, jak na nią patrzysz. A ona na ciebie. Musisz sobie uświadomić, że interesuje ją tylko jedna rzecz, jej syn Harald. Są przepowiednie z nim związane. Z początku ludzie myśleli, że dotyczącego ojca. Potem jednak zaczęli sądzić, że dotyczą syna. Ragnhilda z pewnością tak właśnie

uważa. A teraz zjawili się ty i ludzie zaczęli mówić, że być może jesteś tym jedynym, wielkim królem, na którego wszyscy czekali, tym, który będzie rządził całą Norwegią.

- Nigdy bym nawet nie przybył do Norwegii, gdyby kapłani nie wykupili mnie z rąk Hrorika i nie sprowadzili tutaj.

- Cóż, ale teraz tu jesteś. A ludzie tacy jak Thorvin - on nie chce ci zaszkodzić, ale część odpowiedzialności i tak spada na niego - opowiadają wszystkim, że jesteś synem bogów, tym jedynym, który przyszedł z Północy, i nie wiadomo, co jeszcze. Miałeś wizje, inni mieli wizje o tobie, Hagbarth mówi jedno, a Vagleik drugie. A ludzie tego słuchają, i musisz się z tym liczyć. Poza tym są też rzeczy, z których nikt nie może się tak po prostu śmiać, jak z głędzenia starych bab: jesteś niewolnikiem, który został królem, trudno temu zaprzeczyć. Ja sam to widziałem. Usunął w cień Alfreda, a on był przecież potomkiem bogów, zesłanym przez Odyna, nawet Anglicy to przyznają.

Upokorzyłeś króla Franków. Cóż znaczą przepowiednie jakichś staruchów w porównaniu z tym? Ragnhilda uważa, że jesteś niebezpieczny, to oczywiste. I dlatego ona też jest dla ciebie niebezpieczna.

- Co stanie się jutro? - spytał Shef.

- Kapłani Drogi zasiądą w świętym kręgu. Muszą zdecydować, co z tobą począć. Ciebie tam nie wpuszczą. Ani mnie.

- Co będzie, jeśli zdecydują, że Thorvin się myli? Z pewnością dojdą wtedy do wniosku, że nic tu po mnie, i pozwolą mi odejść. Przecież zawsze wspierałem Drogę, noszę jej znak, pomogłem im umocnić się na ziemi chrześcijan. Ich kapłani mogą przybywać do mojego królestwa kiedy tylko zechcą, by szukać nowej wiedzy. Zawsze będą tam mile widziani - dodał Shef, myśląc o swojej rozmowie z Uddem.

- A jeśli zdecydują inaczej, że jesteś tym, którego szukają?

Shef wzruszył ramionami.

- Jeśli świat ma się zmienić, jest bardziej prawdopodobne, że zacznie się to w Anglii, nie tutaj, na tym odludziu, gdzie prawie nikt nie zagląda.

Brand zmarszczył brwi na tę lekceważącą wzmiankę o Norwegii.

- A co, jeśli zdecydują, że nie jesteś tym, którego szukają, a jedynie podszywasz się pod niego? Albo, co nawet bardziej możliwe, że nie jesteś tym, którego szukają, lecz jego rywalem i wrogiem?

Tak uważa Valgrim Mądry, i ma na to argumenty. Jest pewien, że wielka przemiana w świecie, która zniszczy chrześcijańską potęgę, musi przyjść od Odyna. Tymczasem wszyscy są zgodni co do tego, że nie jesteś wysłannikiem Odyna.

Popukał Shefa w pierś swym wielkim palcem wskazującym.

- Choć biegał dookoła i zachowywał się tak, jakbyś ni*o był, z jednym okiem i z tą przeklętą włócznią. Valgrim uważa, że możesz pokrzyżować plan Ody. Postara się, żebyś został za to ukarany.

- Tak więc Valgrim sądzi, że jestem zagrożeniem dla planu Ody. A Ragnhilda myśli, że jestem zagrożeniem dla przyszłości jej syna. Wszystko dlatego, że nauczyłem się budować katapulty i kusze, skręcać liny, wykuwać koła zębate i giąć stal. Powinni sobie zdać sprawę, że prawdziwe niebezpieczeństwo stanowi Udd.

- Udd ma tylko pięć stóp wzrostu - parsknął Brand. - Ludzie nie sądzą, że należy się go bać, ponieważ nawet nie wiedzą, że on tu jest.

- W takim razie tobie grozi prawdziwe niebezpieczeństwo - odparł Shef. Potem zamyślił się na chwilę i powtórzył słowa, których nauczył się od Thorvina: Ilekroć przekraczasz bramę, Patrz wokół, spojrzysz wokół.

Bacz, by cię nikt nie dojrzał, Bo nieprzyjaciel czeka

W każdej sieni.

Wysoko na zboczu góry, w ciemnościach, usiadł człowiek, który postradał szczęście rodzinne, i czuł, że opuściło go już na zawsze.

Niektórzy powiadają, że można zobaczyć szczęście, haming/a, czy to rodziny, ziemi, czy królestwa: przyjmuje zwykle postać ogromnej kobiety w pełnej zbroi. Olaf nie widział niczego podobnego. Ale i tak czuł, jak opuszcza go łaska losu. Postradał ją, ponieważ utracił syna, Rognvalda Wspaniałego. I to on, ojciec, go zabił.

A teraz musiał zdecydować, czy ofiara, którą złożył, nie była czasem daremna. Bo oto pojawił się ktoś nowy. Jednooki. Olaf przyglądał mu się bacznie, gdy schodził na brzeg, witany przez kapłanów Drogi i tę podstępna sukę, jego szwagierkę. Nawet z oddali

Olaf czuł otaczający przybysza nimb szczęścia. Było tak wielkie, że przewyższało nawet pomyślność zrodzonych z Ody królów Wessex. I z łatwością mogło zachwiać również przeznaczeniem, jakiego Olaf życzył rodzinie swego przyrodniego brata. Ponieważ przyszłość, o czym Olaf doskonale wiedział, nie była ustalona raz na zawsze. Przyszłość była spletem możliwych do przewidzenia okoliczności. A okoliczności mogą się czasem zmieniać.

Czy powinien w to ingerować? Przed laty Olaf sprowadził do

Zachodniego Kraju wyznawców Drogi, ponieważ żywił głęboki podziw zarówno dla jej potęgi materialnej, osiągniętej dzięki wiedzy, jak i mocy duchowej jej wizjonerów i wieszczów. Co do potęgi materialnej, nie miał w tej kwestii wiele do powiedzenia. Co do siły mistycznej - nawet bardzo wiele. Gdyby nie był królem, mógłby rywalizować z Vigleikiem w dziedzinie proroczych wizji. Vigleik widział rzeczy, które już się zdarzyły, lub które się właśnie zdarzały. Olaf widział to, co dopiero miało się stać. Gdyby tak mógł oprzeć się tej pokusie!

Olaf zastanawiał się w milczeniu, po czyjej stronie powinien stanąć rankiem, kiedy kapłani Drogi utworzą swój krąg i wezwą go, jak to się z pewnością stanie, by usiadł na zewnątrz kręgu, słuchał i udzielał rad. Wiedział, że jeśli zdecyduje się zgnieść jednookiego, to zyska głosy większości i

odbuduje plan, dla którego poświęcił własne życie i życie swego syna. Lecz gdyby to zrobił, poświęciłby inną przyszłość.

Gdzieś z bardzo daleka doszło do niego delikatne mrowienie, jakiś inny umysł szukał jego umysłu, szukał tego, co on już wiedział, i podobnie jak on próbował odnaleźć drogę wśród wielu poplątanych wskazówek. To chrześcijańscy kapłani, równie jak on wytrwali w swych poszukiwaniach. Ale spóźnili się: on już wiedział to, czego oni wciąż szukali, i zbliżał się do punktu krytycznego.

Kiedy słońce skryło się już zupełnie, mężczyzna w zagajniku odnalazł swoje narty, wyszedł spod osłony drzew na ubity śnieg i zaczął zjeżdżać ze stoku góry. Za nim rozległo się wycie wilków.

Narty sunęły z sykiem po śniegu, gdy przemykał obok pierwszych zagród, a wówczas spostrzegli go wieśniacy i mruknęli do swych żon: "To król-elf. Znów był w kamiennym kręgu, w Geir-stath, aby poradzić się bogów".

Rozdział jedenasty

W wielkiej sali, sklepionej w kształcie łodzi, kapłani Drogi zasiedli w świętym kręgu. Od świata zewnętrznego oddzielały ich białe sznury z zawieszonymi na nich gałązkami świętej jarzębiny - jagody już nieco wyblakły, gdyż wraz z nadejściem wiosny zniknęła ich jesienna purpura. Wewnątrz kręgu usiadło razem ponad czterdziestu kapłanów; było to najliczniejsze konklawe, o jakim do tej pory słyszano. Zjechali na nie przede wszystkim kapłani z Norwegii, gdyż tam Droga zawsze była silna, ale także z Danii, ze Szwecji, nieliczni konwertyci i misjonarze z wysp na Atlantyku, oraz z Irlandii i z Fryzji, gdzie prawie dwa wieki temu narodziła się Droga. Jeden przybył nawet z Anglii, a mianowicie medyk Hund, który tydzień wcześniej polecił się oficjalnie opiece swego mistrza Ingulfa.

W jednym końcu kręgu stała srebrna włócznia Odyna, w drugim zaś płonął ofiarny ogień Lokiego. Zgodnie z tradycją, gdy konklawe rozpoczęło już obrady, ognia tego nie wolno było podsycać, a zebranie należało zakończyć wraz z zagaśnięciem ostatniej iskry w popiele.

Valgrim Mądry stał obok włóczni Odyna, nie dotykając jej, albowiem żaden człowiek nie miał prawa utrzymywać, że boski oręż należy do niego. Przypominał im jednak w ten sposób, że jest jedynym kapłanem, który odważył się wziąć na siebie niebezpieczny obowiązek służenia Odynowi. Poświęcił się Bogu Powieszonych, Zdrajcy Wojowników, a nie któremuś z bardziej przyjaznych i opiekuńczych bogów, jak choćby Thorowi, wspomagającemu rolników, czy Freyi, zapewniającej płodność ludziom i zwierzętom.

Dziesięć kroków za nim, ledwie widoczne w półmroku zamkniętej sali, stało rzeźbione drewniane krzesło z wysokimi poręczami i baldachimem, który zdobił wzór ze splatających się ogonami smoków.

Z głębokiego cienia spoglądała blada, zmęczona twarz, złoty diadem nad brwiami połyskiwał czerwono w blasku ognia Lokiego: siedział tam król Olaf, który zapewnił Drodze gościnę i obronę, zaproszony, by śledzić przebieg obrad i w razie potrzeby służyć swą radą, nie posiadający jednak prawa do głosowania.

Szuranie taboretów i ciche rozmowy zamierały z wolna. Valgrim poczekał, aż nastanie cisza i przyjdzie jego czas; wiedział, że ma przeciwników, i aby ich pokonać, musiał wykorzystać każdą

przewagę. On jedyny spośród zebranych stał. Rozejrzał się wokół, póki wszystkie oczy nie skierowały się na niego.

- Droga dotarła do niebezpiecznego punktu - powiedział nagle i znów chwilę odczekał. - Mamy naszego pierwszego fałszywego proroka.

Jesteśmy tu po to, aby o tym właśnie rozstrzygnąć, pomyślał

Thorvin. Ale pozwolił Vaigrimowi mówić dalej. Niech wszystko będzie jasne już na wstępie.

- Droga rozwijała się przez sto pięćdziesiąt lat. Z początku powoli, i tylko tutaj, na Północy, gdzie słowo księcia Radboda zapuściło korzenie. Teraz zaczynamy mieć wyznawców w wielu miejscach. Nawet ludzi obcej krwi i języka. Nawet takich, którzy jako dzieci zostali ochrzczeni w imię boga-Chrystusa. I któż mógłby wątpić, że to jest dobre?

Dlatego musimy pamiętać o naszym zadaniu i celu. O tak, i o naszej wizji. Książę Radbod doskonale rozumiał, że my, którzy czcimy prawdziwych bogów, zostaniemy zmieceni przez boga-Chrystusa, jeśli nie będziemy czynić tego, co czynią jego wyznawcy: nauczać i głosić słowo, nieść posłanie, dostarczać wieści stamtąd, dokąd wędruje nasz duch, i skąd powraca. Ale my powinniśmy robić coś jeszcze, czego oni nie robią: pozwalać, aby każde słowo i każde posłanie zostało wysłuchane, a nie mówić, jak głoszą ześcijańscy kapłani, że ci, którzy nie podporządkują się im w zupełności, będą cierpieli przez wieczność za jeden jedyny grzech nieposłuszeństwa.

Takie było nasze pierwsze zadanie. Ustrzec nas samych, naszych wyznawców oraz nasze nauki przed tymi, którzy chcieli zniszczyć to wszystko bez litości. A gdy zadanie zostało spełnione, nadeszła wizja. Ja sam jej nie miałem, lecz są wśród nas tacy, którzy widzieli.

Różni ludzie - Valgrim rozejrzał się wokół, kiwając głową w stronę tej lub tamtej twarzy, by pokazać wszystkim, że dokładnie wie, kogo ma na myśli, że wizjonerzy owi są tu obecni i mogliby zaprzeczyć, gdyby się z nim nie zgadzali. - Różni ludzie, a mimo to nawiedziła ich ta sama wizja.

Jest to obraz innego świata niż ten, który nas otacza. Świata, gdzie wszystkie znane nam kraje, w tym również nasz, oddają się chrześcijańskiemu bogu. Ale ludzie żyją tam jak bestie, zniewoleni, stłoczeni tak, że ledwie mogą oddychać, rządzeni przez władców, których nigdy nie oglądają, i posyłani na wojnę jak świnie do rzeźni.

I dzieją się tam jeszcze gorsze rzeczy. Nasi mędrcy i wizjonerzy nazywają ten świat światem Skuld, i kraina ziemską taką właśnie będzie, jeżeli tego nie powstrzymamy.

Ale możemy temu zapobiec! Jest inny świat, który widzieli mędrcy. O tak, i ja też go zobaczyłem - gęsta siwa broda Valgrima trzęsła się, kiedy kiwał w podnieceniu głową. - Jest on tak dziwny, że widzimy go tylko we fragmentach, a w dodatku nie wszystkie możemy zrozumieć. Widziałem ludzi szybujących w czerni bezwietrznego morza, gdzieś pomiędzy światami, i myślałem z początku, że to najohydniejsi ze wszystkich grzeszników, wypędzeni ze wszystkich ziem, ponieważ nawet Nithhogg brzydził się ogryzać ich kości. Ale wtedy zobaczyłem ich twarze i zdumiałem się, bo były to oblicza istot, które spotyka jakaś wielka przygoda, a kilka z nich to byli ludzie naszej krwi i języka, podróżnicy po światach, tak wielcy, że każdy z żyjących dzisiaj kapitanów wydałby się przy nich zaledwie dzieckiem. Nie wiem, jak to się stało, albo jak się to stanie, ale wiem, że to jest prawdziwa droga dla prawdziwych ludzi, nie droga zastraszonych czcicieli Chrystusa. Mogę więc rzec, że do końca swoich dni zgłębiałem nową wiedzę.

Wiem jeszcze jedno, wiem, dlaczego musimy obrać tę drogę. Nie tylko dlatego, że pragniemy wiedzy, potęgi i chwały, ale dlatego, że nie jesteśmy sami.

Valgrim popatrzył raz jeszcze po twarzach zebranych, chcąc podkreślić wagę ostatnich słów, utwierdzić we własnym przekonaniu tych, którzy musieli przecież zgadzać się ze wszystkim, co do tej pory powiedział.

- Każdy wie, że wokół nas żyje Ukryty Lud. Nie jest on niebezpieczny dla nas, tutaj, w naszych osiedlach, co najwyżej dla myśliwych w górach i dzieci, bawiących się nad wodą. Ale nie jest to jedyny Ukryty Lud. Gdzieś tam, jak wszyscy wiemy, są stworzenia o potędze prawie równej bogom, nie trolle czy rusałki, ale prawdziwi iótnar, nieprzyjaciele bogów i ludzi. A także plemię Lokiego, ci, którzy przyoblekają się w różne skóry, przybierają różne kształty, na wpół ludzie, na wpół smoki, albo na wpół wieloryby.

Kiedyś, wierzymy w to, nadejdzie ów wielki dzień, kiedy staną naprzeciw siebie do walki bogowie i ludzie z jednej strony, a olbrzymy i Ukryty Lud z drugiej - a po tej drugiej stronie znajdzie się także wielu czcicieli Chrystusa, odstępców. Tych, którzy zbłądzili.

To dlatego właśnie Odyn zabiera do siebie wojowników, aby utworzyć armię, która wyruszy z Valhalli w dniu Ragnarok. Nadciągną też inne armie, Thora z Thruthvangaru i Heimdalla z Himinbjorgu, i jeszcze inne, żeglarzy i narciarzy, medyków i łuczników. Ale armia Odyna będzie największa i najpotężniejsza, i w niej przede wszystkim pokładamy nadzieję na zwycięstwo.

Nie ośmielimy się podzielić naszych sił. Wynik bitwy nie jest jeszcze pewny. Jeśli Droga skieruje się teraz w złą stronę, zostaniemy podzieleni i przegramy. Powiadam przeto, że jednooki Anglik, który dzierży włócznię Odyna, ale nie składa Odynowi hołdu, jest fałszywym prorokiem, który wiedzie nas w złą stronę.

Musimy go zatem odrzucić, by wypełniło się nasze prawdziwe przeznaczenie: winniśmy odnaleźć Jedynego Króla, który, jak mówią nasze przepowiednie, przybędzie z Północy. Jedynego

Króla, który odmieni świat i zamieni klęskę w zwycięstwo w dniu

Ragnarok.

Valgrim skończył i poprawił amulet w kształcie włóczni, połyskujący na jego szerokiej piersi. Wiedział, że spotka się ze sprzeciwem, i był na to przygotowany.

Atak nadszedł z nieoczekiwanej strony, Valgrim spodziewał się stamtąd raczej poparcia. Vagleik - wizjoner poruszył się na swoim taborecie, popatrzył na nietypowy amulet, który nosił na piersi, puchar Suttunga, przynoszącego natchnienie patrona miodu, i przemówił.

- To, co prawisz o wizjach, może być prawdą, Valgrimie, pytanie tylko, na ile potrafimy zrozumieć to, co widzimy. Powiedziałem ci to już wcześniej, i jeśli temu nie zaprzeczysz, musisz wytłumaczyć mi, co to oznacza. Wiemy, że nasz brat Farman widział jednookiego Anglika, gdy ten miał jeszcze dwoje oczu. W swojej wizji zobaczył go w Asgardzie, domu bogów, gdzie zajmował miejsce

Vólunda, ułomnego boskiego kowala. I Farman widział, jak przemawia do niego Wszechojciec. Żaden z nas nie ujrzał w podobnej sytuacji innego śmiertelnika. Dlaczego więc nie mogę myśleć, że ten człowiek ma do wypełnienia boską misję?

Valgrim skinął głową.

- Wiem, że twoje wizje są prawdziwe, Vigleiku, i wizje Farmana również. Przed miesiącem widziałeś śmierć tyranów, a wieści, które przywiozły nam statki handlowe, potwierdziły, że zdarzyło się to naprawdę. Tak więc jednooki mógł być widziany pod postacią

Volunda. Ale, jak sam powiedziałaś, zobaczyć coś, to jedno, a zrozumieć - to zupełnie inna sprawa. Cóż bowiem mówi nam historia o Vólundzie?

Rozejrzał się ponownie dookoła i stwierdził, że wszyscy słuchają go z najwyższą uwagą, żywo zainteresowani historią swoich świętych mitów.

- Jak wszyscy wiemy, żona Volunda była walkirią, lecz po tym, jak go opuściła, został on pojmany przez Nithhada, króla ludu Njar.

Nithhad podziwiał kowalski kunszt Vólunda, ale obawiał się, by jego więzień nie uciekł, i dlatego przeciął mu nożem ścięgna pod kolanami i wysłał go do pracy w kuźni na wyspie Saevarstath. A cóż robił tam Vólund?

Głos Valgrima przeszedł w głęboki zaśpiew kapłanów Drogi: - Usiadł, snu nie zaznał, nie odkładał młota.

Wciąż obmyślał chytre rzeczy dla Nithhada.

Sporządził dla niego piękne bransolety i naszyjniki ze złota i drogich kamieni. Zrobił puchary do piwa i piękne płozy do sań. Wykuwał miecze, które mogły przeciąć włos, gdyż tak były ostre, i kowadło, bo tak były twarde. Lecz kiedy dwaj synowie Nithhada przyszli oglądać te wspaniałości, co wtedy zrobił? Zwabił ich do swej kuźni, obiecał, że zobaczą cudowne rzeczy i pokazał im skrzynię.

Głos Valgrima ponownie nabrał śpiewnych tonów: - Podeszli do skrzyni, błagali o klucze.

Uwolnili chciwość, gdy podnieśli wieko.

Zabił ich, zakopał ciała pod kuźnią, z ich zębów zrobił naszyjniki, z czaszek puchary, z błyszczących oczu przepiękne brosze.

Wszystko to podarował Nithhadowi. A kiedy córka Nithhada przyszła do Vólunda prosić o naprawienie pierścienia, co zrobił? Oszłomił ją piwem, zgwałcił i przegnał precz.

Z płaczem opowiedziała o wszystkim ojcu. Nithhad popędził do kuźni po głowę Vólunda. A Vólund - miał przecież podcięte ścięgna- przypiął sobie skrzydła, które wykuł w swojej kuźni, i odleciał.

Jaką to chytrą rzecz obmyślił więc Vólund dla Nithhada? Swoją zemstę. Dlatego właśnie nosi takie imię, Volund. Od chytryści, vel.

Zgromadzeni siedzieli w milczeniu, rozpamiętując historię, którą doskonale znali.

- A teraz pytam was - ciągnął Valgrim - kto jest bohaterem tej historii? Volund, z uwagi na swój spryt, jak się zwykle sądzi?

Czy Nithhad, który próbował go powstrzymać? Powiadam ci, Vagleiku, jeśli chodzi o Anglika, to jest on V6lundem, bez wątplenia. A my jesteśmy Nithhadem! On zabije naszych synów i zgwałci nasze córki. To znaczy, pozbawi nas owoców naszej pracy i posłuży się nami, by osiągnąć własny cel. Nithhad popełnił tylko jeden błąd: próbował wykorzystać umiejętności Volunda i sądził, że będzie bezpieczny, kiedy go okulał. A powinien był go zabić! Ponieważ ludzie tacy jak Volund i Anglik, choć okaleczeni, nadal są niebezpieczni. Są dokładnie tacy sami, jak żona

V6lunda, walkiria w łabędzim przebraniu: przywdziewają różne skóry. Ale to nie w łabędzia przemieni się Anglik, o nie. Prędkiej w smoka lub w upiora kurhanu, mieszkańca podziemi. Pytam cię, Hagbarcie, czy nie słyszałeś, jak mówił, że był już wcześniej w kurhanie?

Sala rozbrzmiała szmerem wielu podnieconych głosów, do zebranych przemówiło nieoczekiwane wyjaśnienie Valgrima. Zobaczyli, jak Hagbarth skinął powoli głową, niechętnie przyznając Valgrimowi rację.

Z odpowiedzią pospieszył Thorvin, czego Valgrim się zresztą spodziewał.

- Wszystko to pięknie, Valgrimie, lecz ty jedynie bawisz się słowami. Oczywiście, że chłopak był kiedyś w kurhanie - zabrał stamtąd skarb starego króla. Wykopał sobie wejście oskardem, a potem odnalazł drogę powrotną, jak bohater. Ale nie mieszkał w kurhanie.

Może miał zostawić kosztowności w ziemi? Viga-Brand wyśmiałby cię, gdyby to usłyszał. Proszę was wszystkich, spójrzcie, co kryje się za słowami. Spójrzcie na czyny. Shef Sigvarthsson, nazywajmy go jego właściwym imieniem, przeciągnął cały kraj na stronę

Drogi. Wypleniał kościół Chrystusa. Ci spośród kapłanów Chrystusa, którym pozwolił zostać, muszą sami zarabiać na siebie i pracować dla swoich wyznawców, zupełnie jak my. Zabił Wara Ragnarssona. I czyż można wątpić, że jest wytrwałym poszukiwaczem wiedzy, który oddałby wszystko, aby tę wiedzę zdobyć? - Thorvin podniósł rękę, nakazując wszystkim milczenie. - Jeśli mi nie wierzycie, posłuchajcie.

Na zewnątrz, całkiem niedaleko, rozbrzmiewały znajome dźwięki, choć kapłani chyba nie spodziewali się ich usłyszeć, nie teraz, kiedy zebrali się na konklawe. Przez dziedziniec kolegium niosło się wyraźnie po ubitym śniegu miarowe kling-kling ciężkiego młota na tle głuchego posapywania miechów. Ludzie pracowali w kuźni.

Shef właśnie zakończył przekuwanie i ostrzenie miecza, który podarował Karliemu. Odstawił go teraz, by ostygł, nim ponownie można będzie połączyć w jedną całość klingę, jelec, rękojeść i głowicę. Do pracy przystąpił z kolei Udd. Mały człowieczek stał obok paleniska, wydając polecenia, podczas gdy Shef, ubrany jedynie w spodnie i ochronny skórzany fartuch, podnosił szczypcami kawałki żelaza i stali. Cwicca przyklęknął na jedno kolano i bez wytchnienia tłoczył powietrze w skórzane miechy, które podsycaly ogień w opalonym węglem drzewnym palenisku. Jego podwładni z załogi katapulty, Hama, Osmo i inni, w sumie siedmiu oraz Karli jako ósmy, przysiedli na piętach pod ścianą, ciesząc się ciepłem i wygłaszając swoje komentarze.

- Wystarczy - powiedział Udd. - Są rozgrzane do czerwoności.

Weź pierwszy z brzegu i odłóż go na bok.

Shef ujął rozżarzony żelazny trzpień, nie obrobiony jeszcze materiał na sztylet lub grot włóczni, i położył go ostrożnie na krawędzi ceramicznego naczynia, uważając, by nie dotknął zamrożonej ziemi.

- Weź następny i włóż do wody.

Shef podniósł szczypcami pasek żelaza i zanurzył rozgrzany metal w skórzanym worku z topniejącym śniegiem, zebrany kilka minut wcześniej na dworze. Rozległ się głośny syk, a w powietrzu wzbily się kłęby pary.

- Kiedy metal ostygnie, wyjmij go i zegnij w rękach.

Shef odczekał minutę lub dwie, wyciągnął żelazo i sprawdził ostrożnie, czy nie jest zbyt gorące. A potem je zgiał. Wiedział doskonale, co się stanie, pozwolił jednak Uddowi prowadzić ten pokaz jego własną metodą. Mięśnie na przedramionach Shefa naprężyły się z wysiłku i nagle pasek metalu pękł na dwoje.

- A teraz spróbuj z tym.

Shef ujął trzpień przez szmaty, gdyż nadal był dosyć ciepły pomimo mrozu. Tym razem nie musiał się wysilać. Metal wygiął się w jego dłoniach jak drut i pozostał zgięty nawet kiedy go puścił.

_ Ten sam metal - tłumaczył Udd. - Jeśli go ochłodzisz, staje się twardy i łamliwy - zachowuje swój kształt, ale nie nabiera wytrzymałości. A jeśli po prostu pozwolisz mu wystygnać, wygina się. Nie jest ani twardy, ani mocny.

- Tyle z niego pożytku, co ze starego fajfusa - podsunął jeden z majtków usłudźnie.

- Więcej pożytku niż z twojego - zakpił Karli.

- Zamknijcie się - powiedział Udd, który tylko w kuźni robił się zuchwały. - A teraz, Shef, to znaczy, panie mój, weź ten zgięty.

Znów go wyprostuj. Włóż go z powrotem do ognia i jeszcze raz rozgrzej do czerwoności.

- Teraz go ostudź. - Ponownie rozległo się syczenie i wzbil się obłok pary. - I włóż z powrotem do ognia. Ale tym razem nie rozgrzewaj do czerwoności. Ogrzewaj ostrożnie - dmij powoli, Cwicca. Niech nabierze koloru słomy.

Udd przyglądał się z bliska, niezwykle przejęty.

- Dobrze, wystarczy. Wyjmij i niech powoli ostygnie.

Shef spełniał posłusznie polecenia Odda, już nie tak pewny, jaki będzie rezultat. Jako doświadczony kowal, znał dobrze zalety hartowania i niebezpieczeństwo przegrzania żelaza. Lecz

metoda, którą stosował, by otrzymać produkt końcowy jednocześnie twardy, giętki i wytrzymały, nie zawsze sprawdzała się w przypadku łączenia ze sobą kilku warstw metalu. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że można coś jeszcze zrobić z przegrzanego żelaza. Nie rozumiał też, jakie znaczenie ma trzecie, łagodne ogrzewanie. Metal stygł, a on przyjrzał się nie bez satysfakcji swoim pokrytym pęcherzami dłoniom. Stały się stanowczo zbyt delikatne, kiedy bawił się w króla.

- Dobrze - powiedział Udd. - Spróbuj teraz.

Shef podniósł żelazny pręt i wygiął go w dłoniach. Żelazo poddawało się posłusznie, potem jednak wracało do poprzedniego kształtu.

- To w taki sposób robisz listwy do kusz - domyślił się.

- Tak, panie, mniej więcej. Ale to coś zupełnie innego. - Udd zniżył głos z niekłamanym szacunkiem. - To najlepsze żelazo, jakie kiedykolwiek widziałem. Rude, z której pochodzi, obrabia się dwa, a nawet cztery razy szybciej niż tę, jaką zwykle dysponujemy. Ile czasu zabiera w Anglii wykucie dziesięciu funtów żelaza?

- Dwa dni - zgadywał Shef.

- Tutaj uzyskalibyś czterdzieści, w takim samym czasie i przy takim samym nakładzie pracy. Myślę, że to jeden z powodów, dlaczego wikingowie są tak dobrze uzbrojeni. Ich żelazo jest lepsze.

Jego obróbka wymaga mniej czasu i węgla. Tak więc każdy może mieć żelazne narzędzia i broń, a nie tylko bogaci. Żelazo pochodzi z Jarnberalandu, daleko na wschodzie, za górami. Kapłani Drogi mówią, że mają tam kopalnię i ludzi, którzy w niej pracują. Ale odkryliśmy coś jeszcze, panie.

W samym środku kuźni zalegała warstwa popiołu. Posługując się długimi szczypcami, Udd odgarnął ją, usunął pokrywę z żużlu i odsłonił metalową płytę.

- Była w ogniu przez wiele godzin, od zeszłej nocy. Podtrzymałem ogień przez cały czas, kiedy reszta z was spała.

- Karli nie spał, wyszedł poszukać kobiet.

- Zamknij się, Fritha. Ta płyta została wykonana tak jak pręt, przez ochładzanie, ponowne ogrzewanie i hartowanie, jest zatem mocna i sprężysta. Potem rozgrzałem ją jeszcze raz i trzymałem w ogniu, przez cały czas sypiąc na nią węgiel. Teraz, panie, kiedy trochę ostygnie, chciałbym, żebyś dźgnął w nią tą swoją wielką włócznią, którą zabrałeś Wężookiemu.

Shef uniósł brwi ze zdziwienia. Potężny grot włóczni "Gungnir" wykuty był z najlepszej stali, jaką kiedykolwiek widział.

Płyta, nad którą pracował Udd, miała może jedną ósmą cala grubości, tyle ile ma zwykle metalowa osłona dłoni wojownika pośrodku tarczy. Nie może być grubsza, gdyż wówczas tarcza stałaby się zbyt ciężka. Ale Shef nie miał wątpliwości, że stalowy grot przebije płytę na wylot.

Kiedy płyta ostygła, Udd oparł ją starannie o drewnianą ścianę kuźni.

- Możesz już uderzać, panie.

Shef cofnął się, zważył w dłoni drzewce i wyobraził sobie, że stoi twarzą w twarz ze śmiertelnym wrogiem. Wysunął nieco lewą stopę i zrobił lekki zwrot, odchylając do tyłu ramię i bark. Chciał przebić płytę razem ze ścianą, aby ostrze wyszło na stopę z drugiej strony, tak jak uczył go Brand.

Drzewce zawibrowało mu w dłoniach, a stalowy grot odskoczył do tyłu. Shef spojrział z niedowierzaniem na cienką płytę.

Nie pozostał na niej nawet ślad. Nawet najmniejsza rysa. Obejrzał raz jeszcze grot włóczni. Trójkątne ostrze spłaszczyło się na pół cala.

- To hartowana stal - powiedział z mocą Udd. - Myślałem, że będzie dobrym materiałem na kolczugę. Ale nie można jej obrobić.

Nie daje się wygiąć. Gdyby natomiast zrobić kolczugę, a dopiero potem ją zahartować...

-Albo gdyby zrobić cienkie płytki, a następnie przyszyć je do...

Pełną skupienia ciszę przerwał jeden z majtków.

- Nie rozumiem tylko, w jaki sposób można zrobić to wszystko z tego samego metalu. Raz jest twardy i kruchy, to znów miękki i giętki, czasami sprężysty, a czasami tak twardy, że nie sposób go zadrasnąć. Co powoduje takie różnice? Czy to coś w wodzie?

- Niektórzy z wikingów tak myślą- powiedział Udd. - Uważają, że do końcowego hartowania najlepiej użyć krwi niewolnika.

Byli niewolnicy spojrzeli po sobie, rozmyślając nad losem, którego udało im się uniknąć.

- Niektórzy próbują oleju. Może i ma to jakiś sens. Z powodu pary. Widzieliście, jak plama wilgoci znika z rozgrzanego ostrza?

To woda próbuje uciec od gorącego metalu, a kiedy hartujecie żelazo, nie chcecie, by woda uciekała. Tak więc olej może być lepszy.

Ale nie sądzę, że o to właśnie chodzi. To kwestia ogrzewania i chłodzenia. I myślę, że ma to coś wspólnego również z węglem drzewnym. Kiedy metal przez dłuższy czas dotyka węgla, coś się między nimi dzieje. Tak uważam.

Shef podszedł do drzwi i spojrział na fiord oraz na pobliskie wyspy, nadal uwięzione w lodowej pułapce. Wiedział, że gdzieś tam, na jednej z najdalszych, na wyspie zwanej Drottningsholmem, Wyspą Królewską, przebywa kobieta, którą spotkał tu przystani pierwszego dnia, królowa Ragnhilda, tylko z synem, gdyż jej mąż wyjechał do Wschodniego Kraju dopilnować ściągnięcia podatków. Obserwował swój oddech, gęstniejący w mroźnym powietrzu, i rozmyślał o wilgoci na rozgrzanym metalu, o żelazie, które skwierczy w lodowatej wodzie, o ludziach, chuchających w dłonie, gdy chcieli je ogrzać, o parze unoszącej się z gorących ciał w zimowy dzień. Co to jest para? - zastanawiał się.

Ujrzał dwóch ludzi. Szli w jego stronę po śniegu, niosąc wiadro, kołyszące się pomiędzy nimi na tyczce. Zdziwiło go to. Wydawałoby się, że podobne zajęcia powierza się niewolnikom, a ci ludzie

z pewnością nie byli niewolnikami: wysocy, dobrze odziani, z mieczami u pasa. Shef usłyszał, jak za jego plecami Cwicca nakazuje Karliemu stanąć przy miechach, a sam podchodzi do paleniska, by pomóc Uddowi. Potem dotarł do niego odgłos niewprawnych uderzeń młota i coraz głośniejsze skrzypienie skórzanych butów na śniegu.

Mężczyźni podeszli do drzwi kuźni i ostrożnie opuścili wiadro na ziemię. Shef zdał sobie sprawę, że musi zadzierać głowę do góry, jeśli chce patrzeć im w oczy. Norwegowie na ogół bywali wysocy.

- Jestem Stein, ze straży królowej Ragnhildy - powiedział jeden z przybyłych.

- Nie wiedziałem, że straż nosi wiadra - zauważył Shef.

Stein spojrział na niego wilkiem. Odgłosy w kuźni zamarły, kiedy wewnątrz usłyszano rozmowę, Shef wiedział, że wszyscy stłoczyli się przy drzwiach, gotowi w razie potrzeby przyjść mu z pomocą.

- To szczególne wiadro - powiedział Stein, tłumiąc gniew. Prezent od królowej dla ciebie, pogromco Wara. Zimowe piwo. Czy wiesz, co to jest, człowieku z Południa? Warzymy nasze najmocniejsze piwo, a potem, w najcieńsze mrozy, wystawiamy kadzie na zewnątrz. Gdy woda w piwie zamara, kruszymy lód na wierzchu i wyrzucamy go. Im dłużej się to robi, tym piwo traci więcej wody i staje się mocniejsze. To napój bohaterów - takich jak ty, skoro jesteś zabójcą Wara.

Wyraz twarzy Steina wskazywał jednak, że poważnie w to wątpi, a jego niedowierzenie wzrosło jeszcze, kiedy Cwicca i inni przepchnęli się, by spojrzeć na brunatny płyn. Żaden z Anglików nie sięgał Norwegom wyżej niż do ramienia i nawet krępy Karli wydawał się przy nich karłowaty.

Stein szukał czegoś za pasem.

_ Królowa kazała mi także powtórzyć te słowa. Napój jest dla ciebie i twoich ludzi, jak zdecydujesz. Lecz królowa widziała, że kiedy zszedłeś na brzeg, nie miałeś ze sobą nic, więc przysłała ci puchar. Puchar jest dla ciebie. Tylko dla ciebie.

Wydobył wreszcie to, co nosił za pasem i podał Shefowi. Shef obracał przedmiot w dłoniach, niepomiernie zdziwiony. Słyszając przemowę Steina, spodziewał się, że będzie to kielich ze złota lub srebra, coś drogiego. Tymczasem otrzymał zwykły kubek z bukowego drewna, z którego mógłby pić każdy churl. Kiedy go odwrócił, zobaczył wyryte na spodzie znaki. Runy. Wiadomość.

Wypełniwszy zlecenie, Stein odwrócił się i odszedł wraz z towarzyszem, nie czekając na podziękowania. Shef oprzytomniał.

- No dalej, wnieśmy to do środka, zamiast stać na mrozie - zawołał rażno. - Fritha, biegnij do chaty i przynieś kubki. I czerpak, jeśli coś takiego znajdziesz. Napijemy się wszyscy. A ty, Udd, rozgrzej kilka gwoździ, zobaczymy, jak smakuje grzane piwo. Może zrobimy coś dla tego kraju. Hama, bierz się do miechów, Osmođ, dorzuć do ognia.

Gdy dawni niewolnicy zakrzętnęli się w kuźni, Shef wyszedł, by w promieniach zimnego, jasnego słońca odczytać runy. Przypominały pismo, którego nauczył się od Thorvina, chociaż nie do końca.

Powoli domyślił się ich sensu.

- Bru er varthat, en iss er thykk - przeczytał. - "Most jest strzeżony, ale lód jest gruby".

Jaki most? Shef znów popatrzył na fiord. Spod lodowej skorupy wyłaniały się wyspy. Teraz, gdy wiedział, czego szukać, dostrzegł bez trudu długie kładki z drewnianych bali, biegnące od jednej wyspy do drugiej, opuszczane każdej jesieni do wody, by tam zamarzyły. Najdalsza wyspa to Drottningholm. Powiedziała: "Przyjdiesz, kiedy cię wezwę". A teraz go wezwała. Shef spostrzegł, że Karli przygląda mu się, unosząc pytająco brwi.

Tylko dla niego, tak powiedziała. Ale skoro ma wyruszyć na łowy jak dziki kot, lepiej będzie wziąć ze sobą doświadczonego towarzysza.

W sali, gdzie zebrało się konklawe, napięcie sięgało szczytu.

Wszyscy byli świadomi, że zbliża się moment, gdy będą musieli podjąć ostateczną decyzję. Święty ogień już od dawna nie płonął, tlił się zaledwie, a teraz, w ciemnościach, żarzyło się jedynie kilka węgla. Ogień nie mógł być podsycany, a zebranie należało zakończyć, gdy zgaśnie ostatnia iskra.

- A zatem co proponujesz? - zwrócił się Valgrim do Thorvina.

Od dłuższego czasu przemawiali już właściwie tylko oni, przywódcy wrogich obozów, występujący przeciwko sobie coraz bardziej gwałtownie. Za Thorvinem opowiadała się większość kapłanów

Thora, NjóTtha i Ithun, ludzie praktyczni, oddani bez reszty swemu konkretnemu powołaniu: kowalstwu, żeglarstwu, budowaniu statków, medycynie i chirurgii. Ci ludzie doceniali doświadczenie Shefa, który stworzył królestwo Drogi, widzieli płynące z tego faktu korzyści i byli zdecydowani kontynuować jego wysiłki. Wśród zwolenników Thorvina znajdowali się również obcy kapłani, Fryzowie, dla których język Północy nie był językiem rodzimym. Stanowisko przeciwne zajmował oczywiście Valgrim, jedyny kapłan Odyńa, a popierała go większość kapłanów Frey i oraz Ullra, Heimdalla, Tyra i innych, pomniejszych bogów. Ich kult był najsilniejszy w samej

Norwegii, a także wśród wyznawców Drogi, zamieszkujących rzadko odwiedzane, odseparowane od świata rejony.

-Niech chłopak wraca do Anglii - odparł niezwłocznie Thorvin.

- Ci z nas, którzy zechcą, mogą z nim odpłynąć. Uczyńmy tam najsilniejsze spośród królestw Północy, które przysporzy nam potęgi i stronników. W ten sposób rzucimy wyzwanie bogu-Christusowi.

Nigdy dotąd nie odbieraliśmy mu zwolenników, to zawsze jego kapłani rozpełzali się po naszych krajach i zabierali wyznawców nam.

Udało nam się odnieść pierwszy prawdziwy sukces, więc umocnijmy go.

- A jakie jest twoje zdanie, Va!grimie?

Wysoki kapłan odpowiedział równie szybko.

- Powieśmy go na drzewie w ofierze dla Odyna. Przygotujmy największą flotę, jaką zdołamy zebrać z pomocą króla Halvdana i króla Olafa, i popłynmy, by przejąć jego królestwo, nim Anglicy dowiedzą się, co się z nim stało. A potem uczynimy jak rzekłeś, Thorvinie. Tylko niech rządy obejmą kapłani Drogi, nie jakiś nieznany przybłęda.

- Jeśli powiesz go na drzewie, odrzucisz wysłannika bogów!

- On nie może być wysłannikiem bogów. Nie jest Norwegiem, nie jest nawet Duńczykiem. Jeszcze rzecz najważniejsza, Thorvinie, i ty sam to przyznałeś. Może nosić amulet, może mieć wizje, ale nie ma wiary. Nie jest prawdziwym wyznawcą!

- Mówisz jak chrześcijanin!

Twarz Valgrima okryła się purpurą, kapłan ruszył w kierunku

Thorvina, którego dłoń ścisnęła mocniej trzonek ceremonialnego młota. Kiedy pozostali kapłani zaczęli powstawać ze swych miejsc, by odgradzić od siebie obu adwersarzy, w chłodnym powietrzu zabrzmiał nowy głos, głos człowieka, który podczas całej gniewnej debaty nie przemówił ani razu: Vigleika znanego z wizji.

- Mówiłeś o wystawieniu floty, Valgrimie, a ty o ustanowieniu królestwa, Thorvinie. Być może nadszedł już czas, nim święty ogień zgaśnie, aby poprosić o radę króla i wodza. Słyszałeś nasze słowa, królu Olafie, Elfie z Geirstath. Jaką mądrością chciałbyś się z nami podzielić?

Człowiek siedzący dotąd w cieniu podniósł się z rzeźbionego krzesła i podszedł do samego skraju obwiedzonego sznurem kręgu. Twarz miał chmurną, zatroskaną. Bił z niej jakiś majestat, nie mający wszakże nic wspólnego ze zdecydowaniem, które maluje się zwykle na twarzach wikingów: jądów i kapitanów, nie mówiąc już o królach. Wydawało się, że jego oczy patrzą na wskroś przez otaczające go przedmioty, jakby szukały czegoś, co kryje się w głębi, zdarzeń lub możliwości.

- Czy wolno mi przemówić? - spytał Olaf. Poczekał na zgodny pomruk aprobaty i zaczął. - Oto co mam do powiedzenia po wysłuchaniu wszystkich racji obu stron. Każdy z was, jak sądzę, wie, choć może nie zechce powiedzieć mi tego wprost, że jestem człowiekiem, który stracił szczęście. Pomyślność własną i swego rodu.

Mogę wam jednak powiedzieć, że nie straciłem jej, ani nie oddałem. Wiedziałem tylko, że kiedyś odejdzie, i czułem, jak odchodzi. Od innych ludzi różnię się tylko tym, że odkryłem to wcześniej, zamiast dużo później lub nigdy. Wiem bardzo wiele o przychylności losu.

Niektórzy powiedzą wam, że szczęście rodziny, hamingja, jak mówimy, to ogromna kobieta w pełnej zbroi, i że jej wybrańcy mogą ją zobaczyć, tak jak widzą duchy ziemi. Znamy opowieści o ludziach, którzy zobaczyli, jak duch opiekuńczy opuszcza ich i idzie do kogoś innego. Może to prawda. Ale ja tego nie widziałem.

W istocie nic nie widziałem - z wyjątkiem snu o wielkim drzewie, który bez wątplenia znacie.

To, co czułem, było jak zapach unoszący się w powietrzu, zanim przetnie je błyskawica. Wiedziałem, że nastąpi błysk, że szczęście przejdzie ode mnie do kogoś innego. Wiedziałem, że

będzie to ktoś z linii mojego brata. Gdy byłem młody, myślałem, że jest nim właśnie mój brat, Halvdan. Teraz już wiem, że nie. Jeszcze kilka dni temu sądziłem, że to syn mego brata, Harald, którego zwał Pięknowłosym.

Dziś znowu nie jestem tego pewien, ponieważ ponownie mam przeczucie, które poprzedza błysk. I zdaje mi się, że szczęście znów się odmieni, być może w ogóle opuści mój ród - i przejdzie na tego młodzieńca, Shefa.

Sluchacze drgnęli, a stronnicy Valgrima spojrzeli po sobie niepewnie.

- Kiedyś myliłem się co do Halvdana. Być może znowu się mylę.

Ale myślę, że nie do końca. W miarę jak się starzeję, coraz częściej wydaje mi się, że szczęście to nie jest coś, co się ma lub nie, jak młodość albo siłę. Jest raczej podobne do światła, a kiedy słabsze światło zostanie przyćmione przez mocniejsze, wówczas tracimy je z oczu, ale to nie znaczy, że przestało płonąć. Tak jak świeca, która ciągle się pali w słonecznym pokoju.

Słyszałem historię tego młodzieńca, Shefa. Sprowadził nieszczęście na swego króla, Jatmunda. Nie cofnął się przed Warem. Został uratowany, jak mi powiedziano, przez potomka bogów, króla Alfreda, zesłanego przez Odyna. Wkrótce król stał się żebrakiem i sam potrzebował ratunku. Myślę, że ten młody człowiek odbiera szczęście innym. Kiedy się zjawia, pomyślność odchodzi. Może nawet odebrać ją mojej krwi, z którą, jak wierzyłem, związane jest szczęście Norwegii - i rzeczywiście tak było, póki nie sprowadziliście tu jego, aby to odwrócił.

- To tylko słowa - zagrzemiał Valgrim. - Musimy mieć dowód.

- Nie ma dowodu bez próby. Sprawdźmy jego szczęście przeciwko szczęściu Haralda i Halvdana, a także królowych Asy i Ragnhildy.

- Jak to zrobimy?

- Zgódźcie się na próbę, a powiem wam. Ale decydujcie się szybko, nim ogień zgaśnie.

Czterdziestu kapłanów spojrzało na ostatnią maleńką iskrę, jaka jeszcze się tliła, po czym rozległ się chóralny pomruk zgody. Powoli, z namysłem, Thorvin i Valgrim też skinęli głowami. Kiedy kapłan Tyra ukląkł i delikatnie dmuchnął w ostatni żarzący się punkcik, król Olaf zaczął mówić. Nim skończył, Valgrim już kręcił głową, wyraźnie niezadowolony.

- To zbyt niepewne - burknął. - Potrzebuję jasnego znaku.

-Możesz uzyskać jaśniejszy znak niż sobie życzysz, Valgrimie.

Mówiłem o świetle i o szczęściu. Jest inny sposób, by się o tym przekonać. Niektórzy z was wierzą, że nić naszego życia przedą trzy boginie: Urth, Verthandi i Skuld. Ale snują one nie pojedyncze nitki, lecz raczej wielką pajęczynę, gdzie wątki przecinają się nawzajem. A kiedy nitki się krzyżują, walczą ze sobą. Strzeż się człowieka z mocną nitką życia, Valgrimie. Zwłaszcza gdy jego nić przecina twoją.

Vigleik poruszył się i przemówił.

- Widziałem Prządki - powiedział. - Ich krosnami są czaszki, członkami miecze i włócznie, a tkaniną ludzkie jelita.

- Tak jest w świecie Skuld - powiedział Thorvin cicho. - To właśnie zamierzamy zmienić.

Rozdział dwunasty .Dwaj ludzie przemykali ostrożnie ciemnym lasem w kierunku skraju lodowej tafli. Śnieg bardzo im przeszkadzał, zalegał wszystkie odsłonięte miejsca głębokimi zaspami, musieli więc przedzierać się przez splątane gałęzie jodeł. Mimo to nie odważyli się korzystać z leśnych ścieżek - gdyby ktoś ich zobaczył, mógłby nabrać jakichś podejrzeń, a chociaż wolno im było wychodzić nocą, to woleli jednak nie zwracać na siebie uwagi. Z początku Karli nie przestawał zrzędzić, zwłaszcza gdy śnieg z drzew spadał mu za kołnierz, i powtarzał raz po raz, że zna wiele miejsc, gdzie można znaleźć życzliwą kobietę bez narażania się na te wszystkie kłopoty. Umilkł jednak w końcu, widząc nieustępliwość Shefa, i pogodził się z losem uznawszy, że owej dziwacznej skłonności do jednej szczególnej kobiety może czasem ulec nawet najzdrowszy na umyśle mężczyzna. A poza tym będzie to nie lada wyczyn, powiedział sobie, uwieść królową. Być może i dla niego znajdzie się jakaś księżniczka.

Tam, gdzie las dochodził do samej granicy lodu, śnieg kończył się nagle, zmieciony przez wiatr lub roztopiony promieniami słońca, które docierały tu przez coraz rzadsze gałęzie drzew jodłowych podczas wydłużających się dni. Shef i Karli szli teraz szybciej, aż wreszcie przystanęli na kilka chwil nad brzegiem, by rozejrzeć się po okolicy i wybrać drogę.

Obeszli wielkim łukiem kolegium i położone dalej miasto, i znajdowali się teraz na końcu długiego cypla po zachodniej stronie zatoki. Z przeciwległego jej krańca, może ćwierć mili dalej, wychodził łańcuch wysp, ciągnący się do Drottningholmu. Nie było księżyca, a niebo zasnuwały gęste chmury, które przywiał tu silny wiatr z południowego zachodu, ale i tak widzieli porośniętą drzewami najbliższą wyspę, czarny kształt na tle ciemnego morza i nieba. Ze stałego lądu na wyspę wiodła ledwie widoczna długa kładka z drewnianych bali. Nie zauważyli przy niej straży, ale z całą pewnością tam byli. Pytanie tylko, czy strażę dostrzegą dwie ciemniejsze sylwetki, przemykające po lodzie?

- Wiatr zmiótł śnieg - wyszeptał Shef do Karliego. - Na białym tle nie mielibyśmy szans.

- Ale dlaczego lód też nie jest biały? - spytał Karli.

Obaj ukłękli i przyjrzelisi bacznie lodowej pokrywie u ich stóp.

Lód wydawał się czarny i wyglądał groźnie, lecz mimo to był gruby jak ściany katedry, zmarznięty aż do błotnistego dna. Shef zrobił jeden niepewny krok, a potem podskoczył wysoko w swych butach na skórzanej podeszwie. Obwiązali buty surową skórą, aby się nie ślizgały i robiły mniej hałasu.

-Jest mocny. Uda nam się. A jeśli lód jest czarny, tym lepiej dla nas.

Ruszyli ostrożnie w stronę wyspy. Kulili się przy tym, jakby w ten sposób mogli stać się mniej widocznymi. Przy każdym kroku stawiali stopy uważnie i delikatnie, choć wydawało się mało prawdopodobne, by lód zaczął nagle pękać przy silniejszym wstrząsie.

Co jakiś czas któryś z nich zastęwał w bezruchu, porażony myślą, że wyczuł pierwsze drżenie lodowej skorupy. Potem ruszali dalej.

Shef trzymał w dłoni swoją włócznię, której grot został starannie wyklepany i znów był ostry jak igła. Karli wyciągnął zza pasa drewnianą pochwę z mieczem, aby się o nianie potknąć, i teraz ścisnął ją oburącz, jakby była to tyczka, pomagająca utrzymać ciało w równowadze.

Kiedy z mroku wyłoniła się wyspa, obaj odetchnęli swobodniej. W tej samej chwili zdali sobie sprawę, że są zupełnie odsłonięci. Przed nimi, wśród ciemnej gęstwiny drzew, czaiła się niewiadoma groźba, a oni tkwili na otwartej płaskiej przestrzeni, bez możliwości ukrycia się. Rozsądek podpowiadał, że okrywa ich czarna noc i niskie chmury, i że nie ma księżyca na niebie, który mógłby zalać ich nagle swym blaskiem. A jednak, skoro widzieli wyspę, to czemu straż z wyspy nie miałyby dojrzeć ich? Kiedy wyszli na brzeg, przyspieszyli obaj kroku i skryli się czym prędzej w cień drzew.

Usiedli na chwilę z bijącym sercem, czekając na odgłos kroków lub nawoływania straży. Lecz wokół panowała cisza. Tylko wiatr świszczął przeciągle wśród drzew.

Shef odwrócił się do Karliego i mruknął: - Pójdziemy wokół wyspy, trzymając się brzegu. Kiedy zobaczymy następny most, zdecydujemy, co robić dalej.

Zajęło im to kilka minut. Raz poczuli wyraźnie dym i zamarli w bezruchu. Ale nikt nie wyszedł spośród drzew, a znajdująca się w pobliżu przystań też pozostała pusta. Ruszyli dalej, powłócząc nogami.

Most, prowadzący do następnej wyspy, objawił się im nagle, prawie na niego wpadli. Okrążyli właśnie niewielki cypel i ujrzeni go tuż przed sobą, nie dalej niż o dwadzieścia jardów. Stało przy nim dwóch wysokich strażników, którzy prowadzili cichą rozmowę, wsparci na swoich oszczepach. Dwaj intruzi szybko wycofali się w cień.

- Możemy zrobić tylko jedno - wyszeptał Shef. - Pójść prosto przed siebie, w morze, i obejść ich z daleka.

- Nie podoba mi się to - mruknął Karli. - Chcę się trzymać brzegu, gdzie lód jest gruby.

-Gdyby nie był wystarczająco gruby, nie wysłałaby nam zaproszenia.

- Kobiety są dziwne. A ona mogła się pomylić. Bądź co bądź, to nie ona stoi tu teraz, mając pięćdziesiąt stóp zimnej wody pod nogami.

Shef myślał przez chwilę.

- Zróbmy więc tak. Odejdziemy stąd i będziemy trzymać się mostu, gdzie woda jest naj płytsza, a lód najgrubszy. Ale musimy się czołgać. Połóż się płasko, to może nas nie zobaczą. W każdym razie powinni obserwować most, a nie lód.

Kiedy ruszyli, pełznąć niezgrabnie w ciężkich ubraniach i niemal szorując brodą po tafli, Karli zaczął się zastanawiać. Skoro lód jest taki gruby, to dlaczego ci Norwegowie pilnują tylko mostów? Po co w ogóle ich pilnują? Czy są po prostu głupi? Czy może królowa...?

Jego przyjaciel wyprzedzał go o całe jardy, sunął do przodu jak rozjuszona żmija. Nie ma czasu na rozmyślanie. A lód wydawał się mimo wszystko gruby. Karli czołgał się szybko, by nie zostawać

za bardzo w tyle, starał się przy tym nie patrzeć na most z bali, kuszący obietnicą bezpieczeństwa, od którego dzieliło go tak niewiele.

Gdy ujrzeli przed sobą następną wyspę, odpełzli na bok, aby ominąć most, skryli się za jedną z licznych ostróg, wcinających się głębiej w morze, wstali i znów pomknęli w cień drzew, dysząc ciężko. Chłód bijący od lodu przenikał przez warstwy wełny i skóry. Odłożyli broń, zdjęli rękawice z owczej wełny, które podarował im Brand, i czas jakiś chuchali w zmarznięte dłonie. Shef odczepił zawieszoną u pasa skórzaną butelkę i otworzył ją.

- Zimowe piwo - mruknął. - Trochę jeszcze zostało.

Wypili po dużym łyku.

- Smakuje jak piwo - stwierdził Karli - ale działa inaczej. Czujesz, jak rozgrzewa ci przełyk, nawet kiedy jest zimne. Szkoda, że nie umiemy robić czegoś takiego u nas.

Shef przytaknął, znów pomyślał przez chwilę o wodzie, zamarzającej w piwie, i o parze, skraplającej się na rozgrzanym ostrzu.

Ale nie było czasu, by zgłębiać teraz ten problem.

- Następna wyspa to już Drottningholm - powiedział. - Wiemy, że król wyjechał, więc nikomu tam nie wolno spać tej nocy.

Jeszcze jedna przeprawa...

- I wpadniemy jak dwa koguty do kurnika - dokończył Karli.

- Przynajmniej dowiemy się, czego chce od nas królowa.

Wiem, czego chce od ciebie, pomyślał Karli, ale nie powiedział tego głośno. Podjęli swój żmudny marsz wzdłuż wybrzeża.

Tym razem most był doskonale widoczny z daleka, ale za to odległy od miejsca, skąd po raz pierwszy zobaczyli Drottningholm.

Przystanęli wśród drzew, rozglądając się po okolicy i rozważając swoje szansę. Znajdowali się na zachodnim cyplu kolejnej małej zatoczki, a od Drottningholmu dzieliło ich dobre dwieście jardów, podobnie jak od cypla wschodniego, którego przedłużeniem był most, prowadzący do następnej wyspy.

- Równie dobrze możemy wyruszyć stąd, zamiast potem obchodzić wartowników przy moście - powiedział Shef. - I nie musimy się czołgać. Jesteśmy wystarczająco daleko od posterunku straży, i cały czas będziemy się od niego oddalać.

- Niech będzie - powiedział Karli. - Przypuszczam, że gdyby lód miał się załamać, to do tej pory już by się dawno załamał. Nie widzieliśmy na nim pęknięć. Nie trzeszczał ani nic takiego.

Shef uścisnął go za ramię, ujął włócznię w obie dłonie i ruszył przodem przez płaskie, czarne, smagane wiatrem lodowe pustkowie.

- No dobra, gdzie on jest? - Brand stał w drzwiach cuchnącej chaty, spoglądając groźnie na wylęknięte twarze ośmiu Anglików. Przez cały wieczór, aby stłumić niepokój, pił w portowej karczmie w Kaupangu wraz z Guthmundem i ludźmi z ich załóg, i tam też zastała go wieść, że kapłani Drogi zakończyli swoje obrady. Po krótkiej rozmowie z Thorvinem udał się prosto do kwatery, którą Shef dzielił z Karlim, traktowanym obecnie jako jego przyboczna straż. Nie zastał tam żadnego z nich, skierował się więc do chaty zajmowanej wspólnie przez angielskich majtków.

Ujrawszy rozzłoszczonego olbrzyma, mierzącego sobie bez mała siedem stóp, byli niewolnicy powrócili do swoich dawnych nawyków. Przeszępując z nogi na nogę, zbili się w ciasną grupkę za plecami Osmoda i Cwicci, najroślejszych i najbardziej pewnych siebie z nich wszystkich. Na ich twarzach malował się tępy wyraz kompletnej ignorancji.

- Gdzie jest kto? - spytał Osmod, aby zyskać na czasie.

Ogromne pięści Branda rozwarły się i ponownie zacisnęły.

- Gdzie - jest - twój - pan - Shef? - wycedził.

- Nie wiem - odparł Cwicca. - A nie ma go u siebie?

Brand postąpił krok naprzód, jego oczy płonęły żądzą mordy.

Potem spostrzegł Osmoda, niegdyś kapitana halabardników, rzucił szybkie spojrzenie w stronę stojaków na broń, odwrócił się i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Na zewnątrz, w chrzęszczącym śniegu, czekał cierpliwie Hund, przyjaciel Shefa z dzieciństwa, obecnie zaś wierny kapłan bogini

Ithun.

- Ze mną nie będą rozmawiać - warknął Brand. - Ty jesteś Anglikiem. W dodatku wiesz, że jesteś jego przyjacielem. Może tobie uda się czegoś dowiedzieć.

Hund wszedł do chaty. Dobięgl stamtąd szmer wielu głosów, rozmawiających po angielsku w ochryłym dialekcie z Norfolk, który znali wszyscy. Wreszcie w drzwiach pojawił się Hund i gestem zaprosił Branda do środka.

- Mówią, że nie wiedzą na pewno - przetłumaczył. - Ale skojarzyli ze sobą różne rzeczy i są prawie pewni, że dostał jakąś wiadomość. Podejrzewają, że poszedł złożyć wizytę królowej Ragnhildzie w Drottningsholmie. Zabrał ze sobą Karliego.

Brand wybałuszył oczy.

_ Poszedł do Drottningsholmu? Ale nikomu nie pozwalają wchodzić tam nocą. A wszystkie mosty są strzeżone.

Cwicca odsłonił w uśmiechu wyszczerbione zęby.

_ Zgadza się, kapitanie. - Mówił zlepkim języka Północy i angielskiego, którym w Anglii posługiwała się armia Drogi. -Nie jesteśmy tacy głupi. Wiemy o tym. Jeśli poszedł, będzie się ślizgał po lodzie, rozumiesz? Obejrzelśmy sobie ten lód dziś po południu. Jest jeszcze całkiem gruby, nie ma śladu pęknięć.

Brand wpatrywał się w Cwiccę, na jego twarzy malował się wyraz niekłamanego przerażenia. Chciał coś powiedzieć, lecz głos uwiązł mu w gardle, odchrząknął więc i spróbował znowu.

- Co wy, angielscy głupcy, w ogóle wiecie? - powiedział ochryplym szeptem. - W fiordach o tej porze roku lód nie pęka. Nasiąka od spodu wodą. I nagle, któregoś ranka, już go nie ma. Nie pęka. Po prostu tonie!

Shef i Karli pokonali już spory kawałek ostatniego odcinka drogi, gdy nagle, zupełnie jakby wyszli spod jakiejś niewidzialnej osłony, wiatr uderzył w nich z podwójną siłą. Razem z wiatrem nadszedł zacinający z ukosa deszcz. Shef cofnął się, kiedy pierwsze krople uderzyły go w twarz, pewien, że to ostry grad lub burza lodowa. Potem dotknął dłonią kropli, ściekających mu po policzkach, i zdumiał się. Deszcz. W takim razie mróz zelżał. Czy będą zatem w stanie wrócić tą samą drogą?

Nie było czasu, by teraz się o to martwić. A w deszczu przynajmniej nie musieli się obawiać, że zobaczą ich strażę przy moście.

- Posłuchaj - zwrócił się do Karliego. - Nie podoba mi się ten deszcz. Lód może się załamać. Obaj umiemy pływać. Ale najważniejsza rzecz to trzymać głowę ponad lodem. Jeżeli dostaniesz się pod lód, to już spod niego nie wyjdiesz. Jeśli znajdziemy się w wodzie, płyn do krawędzi lodu i połóż się na nim. Jeśli nie wytrzyma, płyn dalej i próbuj aż do skutku. Kiedy trafimy na lód wystarczająco mocny, by zdołał nas utrzymać, wyczołgamy się i będziemy pelzać. I, Karli, schowaj miecz z powrotem za pas. Możesz potrzebować obu rąk.

Karli niechętnie usłuchał, natomiast Shef, wiedziony jakimś impulsem, spojrział w kierunku ciemnego brzegu, oddalonego wciąż o setki jardów. Ścisnął mocno włącznię "Gungnir", pobiegł kilka kroków, zamachnął się i rzucił włącznię przed siebie. Patrzył, jak szybuje w powietrzu, spada i sunie dalej po lodzie z cichym klekotem, niknącym w szumie deszczu.

Kiedy zrobił następny krok, poczuł, że lód ustępuje. Obaj zamarli raptownie, nasłuchując. Nic. Nie usłyszeli najmniejszego trzasku i nadal mieli mocne oparcie pod stopami.

- Może po prostu oderwał się od brzegu - wymamrotał Karli.

Ruszyli dalej, powoli, stawiając stopy z największą ostrożnością.

Jeden krok. Drugi.

Shef poczuł przenikliwy chłód w bucie. Woda. Kałuża na lodzie?

Woda w drugim bucie. Nagle zimno dotarło do kolan, później do ud, potem jego jądra skurczyły się raptownie. Shef rozejrzał się, szukając szczeliny w lodzie, ale nic nie zobaczył, wciąż miał oparcie pod stopami, tylko że lód się zapadał...

Twarz Shefa znalazła się tuż nad czarnym lustrem wody. Zaczął walczyć desperacko, aby utrzymać się na powierzchni. Czyjeś dłonie zaciskały się wokół jego szyi, chwyciły go kurczowo od tyłu, to były dłonie Wara, który powrócił ze świata umarłych.

Shef wił się wściekle w uścisku Karliego, póki nie znaleźli się twarzą w twarz; zdołał jakoś uwolnić obie dłonie, złączył je razem i uderzył chłopca w nasadę nosa. Wzniósł się ponad wodę i znowu uderzył, poczuł, jak chrząstka ustępuje pod jego ciosem. Odbił się, by uderzyć jeszcze raz, i wtedy duszący chwyt zelżał.

- Przepraszam, już w porządku. Ze mną wszystko w porządku. Karli puścił go i zaczął brnąć po dryfującym pod powierzchnią lodzie. W tym momencie Shef poczuł mordercze zimno wody. Pływał dosyć często, na bagnach, dla sportu, albo kiedy chciał przedostać się przez rzekę i nie mógł znaleźć mostu. Ale to było coś zupełnie innego. Zimno przenikało na wskroś przez ubranie, które miał na sobie, wypełniało je, z każdą upływającą chwilą wysysając siły z jego ciała. Lodowaty chłód, nasączona wodą wełna i skóra, wszystko to ciągnęło go w dół, na dno.

J zupełnie stracił poczucie kierunku. Wyskakiwał z wody tak wysoko, jak tylko zdołał, omiatając wzrokiem morze wokół w poszukiwaniu wyspy lub jakiegokolwiek innego brzegu, albo twardego lodu, do którego mogliby popłynąć. Ale w pobliżu nie było nic.

A tam? Cóż to za czarny cień pośród nocy? Shef dostrzegł zarysy Drottningsholmu na tle nieba, złapał Karliego za ramię i pociągnął go w tamtym kierunku. Rzucili się naprzód z nowymi siłami, które wyzwaliał w nich paniczny strach. Początkowo rozgarniali wodę niezgrabnymi uderzeniami ramion, a potem, kiedy przemoczzone ubrania zaczęły ściągać ich w dół, pracowali łokciami i torsem. Nogi wlokły się pod nimi bezwładnie. Zrzucił buty z nóg, pomyślał Shef. Zawsze mu to mówili, zrzuć buty. Ale moje są obwiązane skórą. I w ogóle jest na to zimno. Muszę się stąd wydostać albo umrzeć.

Spróbował stanąć, kiedy tylko poczuł opór pod stopami, lecz jego głowa natychmiast znalazła się pod wodą. Rzucił się w górę i znów zaczął machać rękami, póki brzuchem nie dotknął mułu. Wstał chwiejnie, pośliznął się, złapał za wystający korzeń drzewa i wciągnął się po nim na brzeg. Za sobą usłyszał ciężkie sapanie i plusk.

Odwrócił się, wszedł z powrotem do wody, złapał Karliego i resztką sił zdołał pociągnąć go kilka jardów. Jedną ręką chwycił ponownie korzeń, drugą złapał Karliego za kręcone włosy i cisnął nim na zamarznięty piasek. Obaj podnieśli się na kolana, krztusząc się i łapiąc gwałtownie powietrze.

Shef miał niezbitą pewność, że jeśli natychmiast czegoś nie zrobią, to umrą tu z zimna w czasie krótszym niż potrzebuje go niedbały kapłan na odprawienie mszy. Woda paliła jak ogień. Teraz, kiedy wydostali się na powietrze, było im jeszcze zimniej. Ale już ogarniało go to osobliwe wrażenie, kiedy ból ustępuje, a ciało zalewa fala przyjemnego otepienia.

- Rozbierz się - burknął do Karliego. - Zdejmij ubranie. Wykręć je.

On sam zabrał się do rozpinania płaszcza, lecz jego odrętwiałe dłonie nie mogły się z tym uporać. Karli jakimś sposobem wyciągnął pochwę zza pasa, wyjął z niej miecz i obciął nim klamery z własnego okrycia. Podał miecz Shefowi, który wypuścił go z odrętwiałych dłoni. Potem, w desperackiej ciszy, walczyli przez jakiś czas z własnymi ubraniami, ściągając z siebie kolejne warstwy odzieży.

Wreszcie, całkiem nadzy, stanęli na wietrze, który przybrał tymczasem na sile, mieli więc wrażenie, że lada chwila obłupi ich ze skóry.

Ale ulewa już przeszła i ostry wiatr wysuszył ich w mgnieniu oka.

Shef po omacku poszukał swojej tuniki, wycisnął z niej wodę, złożył na pół i wyjął ponownie, wytrząsając z niej zamrożone grudki soli. Kiedy znowu włożył ją na siebie, przez krótką chwilę odczuwał złudzenie względnego ciepła.

Lecz było to tylko złudzenie. Tak czy owak, umrą na tym brzegu zanim nastanie dzień. Ale przynajmniej zyskali trochę czasu na zebranie myśli.

Gdy Shef szukał w ciemnościach spodni, dostrzegł ruch wśród drzew. To nie mogli być ludzie. Straże królowej narobiłyby o wiele więcej hałasu. Zwierzęce kształty podpełzły bliżej, z brzuchami tuż przy ziemi, a rozchylone wargi odsłaniały sterczące kły. Ale nie były to również wilki, lecz dobermany królowej, kupione za bajeczną sumę na targu w Dublinie i spuszczone na noc ze smyczy, by strzec jej bezpieczeństwa.

Tylko pas lodowatej wody uchronił ich przed impetem pierwszego ataku, gdyż wiedzeni jakimś pierwotnym instynktem, zeszli z brzegu z powrotem do morza, aby psy nie mogły rzucić się na nich ze wszystkich stron. Kiedy ogromny przywódca sfory wbiegł cicho do wody, Karli, który mimo pośpiechu zdążył złapać swój miecz, zamachnął się z całej siły, mierząc w psi łeb. Ale trzymane niewprawną dłonią ostrze ześliznęło się po czaszce i bestia zatopiła kły w nadgarstku Karliego.

Karli, choć słabo władał mieczem, miał jednak szybki refleks.

Błyskawicznie wbił lewy kciuk prosto w pałające oko, strząsnął z siebie oszalałego z bólu psa i odrzucił miecz do Shefa, krzycząc coś bez związku. Shef bosą stopą kopnął pierwszego napastnika w gardło, chwycił nadlatujący miecz i przygotował się.

Kiedy pies skoczył powtórnie, wzniesione nagle ostrze przebiło mu serce.

Oślepiiony bólem przywódca rzucił się na innego psa i teraz oba kotłowały się na brzegu, walcząc zajadle. Krążący wokół nich czwarty brytan, wielkości cielaka, zdecydował się wreszcie i skoczył Karliemu do gardła. Karli zareagował tak, jakby była to zwyczajna bijatyka w Ditmarsh: odchylił głowę, by uderzyć nią przeciwnika w zęby, po czym złapał psa obiema rękami, starając się połamać mu żebra i rozerwać wątrobę. Pies upadł, na chwilę stracił równowagę, zaraz jednak poderwał się i sprężył do następnego skoku.

Wówczas Shef pochylił się i ciął go w przednią łapę na wysokości stawu, potem błysnął ostrzem w rozarty groźnie pysk, zadał następny cios, wymierzony tym razem w walczące na brzegu psy, i znów skierował miecz w stronę najbliższego zwierzęcia. Nie zabijaj, pomyślał. Zrań go tylko. Psy nie są tak niebezpieczne jak ludzie, ponieważ należy obawiać się jedynie ich zębów.

Jeden pies był martwy, drugi włókł za sobą zranioną łapę. Na wpół ślepy przywódca miał rozcięty bok i gardło rozdarte przez psa, którego zaatakował. Teraz cofał się, wciąż warcząc ostrzegawczo, ale najwyraźniej stracił już ochotę do walki. Pozostał jeszcze jeden; szczyrzył kły, to ruszał gwałtownie do przodu, to znowu się cofał na widok wzniesionego groźnie miecza. Karli, któremu

krew płynęła z głowy i z nadgarstka, poszukał w wodzie kamienia, znalazł jeden odpowiednich rozmiarów i rzucił nim z furią z odległości trzech stóp.

Pies, trafiony w kark, parsknął z pogardą, odwrócił się i zniknął w zaroślach.

Shef i Karli, ślaniający się na nogach, niemal nadzy, powlekli się na brzeg, gdzie leżały ich ubrania, na wpół zamrożony stos skóry i wełny. Resztkami sił zaczęli je wyzymać i z wysiłkiem wkładać na siebie. Gdy minęło już podniecenie spowodowane walką, Shef zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie poruszać palcami. Mógł od biedy coś nimi podnieść, ale zasznurowanie butów, czy zawiązanie pasa przekraczało jego możliwości.

Z najwyższym trudem zgiął palce na rękojeści miecza i ukląkł przy ciele zabitego psa. Zatopił ostrze w jego brzuchu i pociągnął do siebie. Ostry odór rozprutych jelit uderzył go w nozdrza. Shef puścił miecz, zagłębił zmarznięte ręce w psich wnętrznościach i zaczął je rozgarniać w poszukiwaniu serca.

Temperatura ciała psa jest wyższa od ludzkiej. Gorąca krew zalała palce Shefa jak płynny ogień, który zdawał się rozgrzewać również inne członki. Wsunął ręce głębiej, aż po łokcie, żalując, że nie może wpełznąć tam cały. Karli, widząc, co robi Shef i dlaczego, przywłókł się niezdarnie, usiadł ciężko obok i poszedł za jego przykładem.

Kiedy wróciło mu czucie, Shef wstał, włożył spodnie, które wciąż były wilgotne, ale już nie ociekały wodą, zawiązał pas i wcisnął się w przemoczony skórzany płaszcz. Jego wełniana czapka pływała gdzieś po wodach fiordu, a rękawice z owczej wełny przepadły w ciemnościach. Zdołał ogrzać trochę dłonie, lecz stopy przypominały bryły lodu. Czy miał rozpruć brzuch następnego psa? Wiedział, że tylko absolutna konieczność mogłaby go do tego skłonić.

Wylał wodę z butów i włożył je na nogi; miał wrażenie, że zaraz zaczną odpadać mu palce stóp. Nie zadał sobie trudu, aby na powrót przywiązać odcięte rzemienie do butów i płaszcza.

- Co teraz zrobimy? - spytał Karli. Podał Shefowi miecz, zostawiając dla siebie drewnianą pochwę, której w razie potrzeby mógł użyć jako maczugi.

- Pójdziemy złożyć wizytę królowej - odparł Shef.

Karli już otworzył usta, by zaprotestować, ale zaraz je zamknął.

Ta kobieta zwabiła ich w pułapkę, to oczywiste. A może za wszystkim krył się jej mąż? Karli znał podobne przypadki. Ale dwór królowej był jedynym bezpiecznym schronieniem na wyspie. Jeśli nie znajdą ciepłego przytuliska i ognia, do świtu obaj umrą. Karli ruszył za Shefem przez jodłową gęstwiny, mając nadzieję, że trafią w ciemnościach na ścieżkę. Wcześniej marzyła mu się księżniczka. Teraz zadowoliliby się zwyczajną, brudną dziewczynką kuchenną, z którą mogłby się zaszyć w jakimś kącie, przy ogniu, opatulony w ciepły koc.

W narożnej izbie dworu królowej na wyspie Drottningholm dwie kobiety zasiadły naprzeciw siebie w blasku płonącego ognia. Obydwie siedziały prosto na twardych drewnianych krzesłach, obydwie miały na sobie bogate szaty, połyskujące złotem ozdób, obydwie sprawiały wrażenie kobiet, które nie przywykły do tego, że się im odmawia, i którym bezpieczniej jest nie odmawiać. Poza tym zupełnie nie były do siebie podobne. Nienawidziły się wzajemnie od chwili swego pierwszego spotkania.

Królowa Asa, wdowa po królu Guthrocie, którego zamordowała, matka króla Halvdana, wszystkie swoje nadzieje wiązała z jedynym synem. Lecz od kiedy Halvdan wyrósł z wieku dziecięcego, zaczął się jej obawiać i nie ufał jej. Czyż nie zabiła jego ojca?

W młodości uganiał się za kobietami jak ojciec, nie zważając na urażone uczucia matki, jako mężczyzna zaś stał się wikingiem i spędzał każde lato na wojennych wyprawach, a każdą zimę na planowaniu kolejnych lub utrwalaniu rezultatów poprzednich wypraw.

Doznany zawód zniszczył Asę, zmieniając ją w kobietę posepną, zimną i okrutną.

Królowa Ragnhilda, żona króla Halvdana, nie darzyła sympatią ani swojej teściowej, ani jej syna, z którym coraz rzadziej dzieliła łóżko. Zastanawiała się często, kogo ona by wybrała, gdyby jej ojciec żył i pozwolił jej decydować o własnym małżeństwie. Chwilami myślała, że nawet Haki, jednoręki berserk, stanowiłby lepszą partię, chociaż był tylko górskim trollem. Kiedy doszła już do pełni władzy i wpływów, pocieszała się od czasu do czasu w ramionach któregoś z rosnących młodzieńców ze swojej straży. Jej mąż dbał o to, aby żaden mężczyzna nie pozostawał nocą na jej wyspie. Czynił to w trosce o swoje dobre imię oraz przez wzgląd na ich jedyne dziecko, którego prawe pochodzenie nie powinno budzić żadnych wątpliwości. Ale w ciągu dnia też mogło się wiele wydarzyć. Ragnhilda była podobna do Asy pod jednym jeszcze względem: ona też poświęciła się całkowicie jednemu synowi, Haraldowi. Gdyby

Ragnhilda pozwoliła na to, babka mogłaby przenieść część swojej zawiedzionej miłości z syna na wnuka. To była jedyna kwestia, w której ich interesy stawały się zbieżne.

Dłuższy czas siedziały przy ogniu w całkowitym milczeniu. Przerwała je Ragnhilda.

- Już północ - powiedziała. - Nie przyjdzie.

- A może nie raczył nawet spróbować.

- Mężczyźni nie odrzucają mojego zaproszenia. Doskonale wiedziałam, o czym myśli, kiedy stał na brzegu. Nie oparłby mi się.

Zachowywał się jak moje psy na widok goniącej się suki.

- Doskonale porównanie. Ale mogłaś osiągnąć to samo bez odgrywania komedii. Suka, którą rzeczywiście jesteś, mogła wysłać swojego psa, Steina, który by go zagryzł.

- Jego przyjaciele, ludzie Drogi, obroniliby go. Mam na myśli również Olafa.

- Olaf! - Stara królowa o mało nie zadławiła się tym imieniem.

Tylko wyrozumiałości pasierba zawdzięczała życie zarówno swoje, jak i swego dziecka. Nienawidziła go z każdym dniem mocniej, tym bardziej, że jej syn nie podzielał tego uczucia, okazując starszemu przyrodniemu bratu szacunek i poważanie, mimo wszystkich nieszczęść, które spotkały Olafa, i mimo swoich własnych sukcesów.

- Twój syn, a mój mąż, też poparłby swego brata - dodała Ragnhilda, dobrze wiedząc, że wbija głębiej ostrze, które już tkwiło w ranie. - Mój sposób był lepszy. Jego ciało znajdą w ciągu

tygodnia, kiedy nabrzmieje i wypłynie, a ludzie będą mówić, jakimi głupcami są Enzkir, skoro spacerują po topniejącym lodzie.

- Mogłaś zostawić go w spokoju - powiedziała Asa, zdecydowana odegrać się na synowej. - Nie stanowił żadnego zagrożenia.

Jednooki wyrostek z dalekiego kraju, z kraju niewolników. Cóż to za pomysł, że taki człowiek miałby zagrozić prawdziwemu królowi, takiemu jak Halvdan? Albo nawet twojemu słabowitemu Haral dowi? Powinnaś się raczej obawiać tego pół-trolla, Vigi-Brand.

- To nie wzrost czyni króla - odparła Ragnhilda. - Albo mężczyznę.

- Przekonasz się - syknęła Asa.

Ragnhilda uśmiechnęła się pogardliwie.

- Jednooki miał szczęście - powiedziała. - Dlatego był niebezpieczny. Ale szczęście trwa tylko do momentu, kiedy spotyka na swej drodze silniejsze szczęście. Takie, które jest udziałem mojej krwi, szczęście Hartingów. To z nas zrodzi się Jedyny Król Północy.

Drzwi za ich plecami otworzyły się z głośnym skrzypieniem i do izby wdarł się strumień mroźnego powietrza. Obie kobiety poderwały się na nogi, Ragnhilda chwyciła żelazny pręt, za pomocą którego wzywała swoich niewolników. Przez drzwi wtoczyli się do środka dwaj mężczyźni, wysoki i niski. Miski zamknął za sobą drzwi na klamkę, a potem zasunął skobel, aby nie dało się ich otworzyć od zewnątrz.

Shef wyprostował się i przeszedł chwiejnym krokiem przez pokój, wciąż ściskając w ręku miecz. Musiał powstrzymać się ze wszystkich sił, by nie paść w podzięcie na kolana przed zbawczym, skrzącym się żarem. Jego twarz ginęła niemal zupełnie pod warstwą błota i brudu, na rękach miał zaschniętą krew i szlam, przeświecająca tu i ówdzie skóra była sina z zimna, a czoło i nos znaczyły plamy śmiertelnej bieli.

- Wysłałaś mi wiadomość, pani - powiedział. - Ostrzegłaś mnie przed strażnikami na moście, ale skłamałaś, jeśli chodzi o lód. Natknąłem się także na wybrzeżu na twoje psy. Spójrz, to jest krew z ich serc.

Ragnhilda podniosła pręt, który ściskała w dłoni, i uderzyła nim w żelazny trójkąt, wiszący nad ogniem. Kiedy Shef ruszył w jej stronę z podniesionym mieczem, stanęła nieruchomo.

Niewolnice, ponieważ jeszcze nie pozwolono im odejść, ułożyły się i przysnęły na siennikach w sąsiedniej izbie. Cztery z nich, przecierając oczy i wciągając na siebie koszule, pojawiły się w drzwiach prowadzących na główny korytarz. Niezależnie od pory, nie było mądrze ociągać się, kiedy wzywała jedna z królowych. Jak często mawiała Asa, już wkrótce nadejdzie czas, by spocząć w grobowcu, a ona nie wybrała jeszcze tych, które będą jej towarzyszyły po śmierci. Kobiety, młode lub w średnim wieku, ale wszystkie z piętnem wielu trosk na twarzy, ustawiły się pospiesznie w szeregu, ledwie ośmielając się obrzucić ukradkowym spojrzeniem dwóch obcych mężczyzn. Mężczyźni? Czy morskie potwory z głębin? Królowa Ragnhilda potrafi zmusić nawet krakena, aby jej służył.

- Gorące kamienie do łaźni! - warknęła Ragnhilda. - Dorzucić do ognia. Przyniescie gorącą wodę w miednicach i ręczniki. I dwa koce - niejeden koc dla tego tutaj i mój płaszcz z gronostajów dla angielskiego króla. Dziewczęta! - Kobiety, które rzuciły się wypełniać polecenia, zatrzymały się posłusznie. - Jeśli usłyszę, że ktoś się o tym dowiedział, nie będę pytała, która z was ma za długi język. Zawsze jest w porcie jakiś szwedzki statek i zawsze znajdzie się miejsce na świętych drzewach w Uppsali.

Kobiety wybiegły. Ragnhilda spojrzała z góry na Shefa, który nadal stał przed nią z wyrazem niezdecydowania na twarzy, a potem popatrzyła na Ase.

- Nie można walczyć z kimś, kto ma większe szczęście - powiedziała. - Ale można się do niego przyłączyć.

Rozdział trzynasty

Ohef usiadł na szerokiej drewnianej ławie, która prawie wypełniała wąski, ciemny pokój, oświetlony tylko jednym knotem, płonącym w naczyniu z wielorybim łojem. Od dołu, z wypełnionej gorącymi kamieniami, osłoniętej pokrywą rynny, promieniowało na niego ciepło, a raczej palący żar, który wysuszał usta i parzył nos ostrym zapachem sosnowej żywicy, bijącym od drewnianych ścian. Rozkoszował się tym żarem, czuł, jak wysysa z jego ciała chłód, którym przeniknął aż do kości.

Czuł również, jak opuszcza go potrzeba podjęcia natychmiastowych decyzji. Znalazł się teraz w rękach innych. Nie był odpowiedzialny nawet za Karliego. Nie wiedział, dokąd go zabrano.

Wypełniając polecenia królowej, niewolnice wyprowadziły go z pokoju i zdjęły z niego cuchnące, wilgotne ubranie. Jedna z nich energicznie natarła mu twarz śniegiem, przyniesionym z podwórza, z szybko topniejących zasp, aby uchronić ją przed odmrożeniem, którego pierwsze objawy już się pojawiły. Inne polewały go gorącą wodą, czyściły ługiem, zeskrobywały brud i krew oraz zwierzęcy tłuszcz z jego dłoni. Uświadamiał sobie mętnie, że zabrały mu także miecz, że coś podobnego zapewne dzieje się w tej chwili z Karlim, ale ta nagła fala gorąca zupełnie go ogłupiała. Później zaprowadziły go do łaźni i tam zostawiły.

Przez chwilę siedział na ławie, nie tyle nawet pocąc się w nieznośnym upale, co po prostu pozwalając, by obezwładniające ciepło wnikało w jego na wpół zamrożony szpik kostny. Potem ogarnęło go znużenie, odprężył się więc, wspierając głowę o drewnianą belkę, i zapadł w niespokojny sen na jawie.

Gdzieś w ciemnościach ponad nim decydowano o jego losie. Słyszał znajome już dudnienie potężnych głosów, jeden, jak sobie uświadomił, przemawiał za nim, jeden przeciwko niemu.

- Powinien był umrzeć na lodzie - powiedział wrogi głos - zimny, władczy, nienawykły do sprzeciwu, głos nie tylko Ojca, ale także

Władcy bogów i ludzi.

- Nie należy winić człowieka za to, że się uratował - sprzeciwił się drugi. Shef słyszał go wiele razy, rozpoznał w nim więc głos swego patrona, a może i ojca, przebiegłego Riga.

- Odrzucił włócznie z moimi runami. Odmówił mi ofiary. Nie podąża drogą bohaterów.

- Tym mniej jest powodów, byś zabrał go do siebie. Nie ma dla niego miejsca w Yalhalli, nie byłby karnym żołnierzem w twojej Einheriar.

Pierwszy głos wyraźnie się wahał.

- A jednak... Jest sprytny. Niewielu spośród moich mistrzów posiada tę cechę. Może to właśnie jest umiejętność, której będę potrzebował w dniu Ragnarók.

-Ale na razie jej nie potrzebujesz. Pozwól mu chodzić po ziemi, zobaczymy, dokąd zaprowadzi go jego szczęście. Może ci służyć na swój własny sposób.

Drugi głos kłamał, Shef doskonale to wiedział, świadczyła o tym lepka słodycz, jaką ociekały wypowiedziane przed chwilą słowa.

Starał się zyskać na czasie.

-Szczęście!-powiedział ten pierwszy, nagle rozbawiony. -A zatem zobaczymy. Jeśli ma szczęście, to tylko swoje własne, ponieważ moje odrzucił. A będzie potrzebował wielkiego szczęścia, żeby ująć cało z Drottningsholmu. Przyjrzyjmy się temu.

Dwa głosy oddaliły się, pogodzone.

Shef oprzytomniał w jednej chwili. Jak długo spał? Niezbyt długo, stwierdził. Jest zbyt gorąco, by dało się tu naprawdę zasnąć.

Zaczął się pocić, a ławka, na której siedział, była wilgotna. Czas wstać i pomyśleć o sobie. Przypomniał sobie wersy poematu, który usłyszał niegdyś od Thorvina: Bacz, by cię nikt nie dojrzał, Bo nieprzyjaciół czeka

W każdej sieni.

Wstał, kiedy drzwi maleńkiej izdebki otworzyły się ze skrzypieniem. W sąsiednim pomieszczeniu płonął ogień, którego blask padał na stojącą w drzwiach postać. Shef rozpoznał ją: królowa Ragnhilda. Nie widział jednak, co ma na sobie. Zamknęła drzwi i znalazła się tuż obok niego.

- Zdjęłaś swoje klejnoty, królowo - powiedział ze ściśniętym gardłem. Przeszedł go dreszcz podniecenia, kiedy poczuł silny zapach kobiecego ciała, silniejszy nawet niż zapach sosnowej żywicy.

-Nikt nie nosi złota tam, gdzie są rozgrzane kamienie - odparła. - Mogłoby poparzyć. Tak więc zdjęłam swoje pierścienie i bransolety. Widzisz, nie mam nawet zapinki.

Chwyła jego rękę, przycisnęła do sukni i przeciągnęła nimi wzdłuż wyłogów. Materiał rozchylił się, a dłonie Shefa przykryły jej ciężkie, nabrzmiałe piersi. Zdał sobie sprawę, że poza tą cienką tkaniną nie miała na sobie nic. Objął ją, jego dłonie zjechały wzdłuż pochyłości umięśnionych pleców i zacisnęły się mocno na jej pośladkach. Napała na niego brzuchem, popychając go jednocześnie do tyłu. Brzeg ławki podciął mu kolana, usiadł z głuchym plaśnięciem.

Pot zaczął spływać obficie z jego ciała, gdy królowa stanęła nad nim z rozchyłonymi nogami, a potem opadła wprost na jego wyprężony członek. Po raz pierwszy odkąd posiadał Godivę, dwa lata temu, w lesie w Suffolk, Shef poczuł wewnętrzne ciepło ciała kobiety. Było to tak, jakby ktoś zdjął z niego zły czar. Nieco zdumiony własnymi możliwościami, zdarł z niej suknię, chwycił królową za biodra i zaczął poruszać się gwałtownie, wciąż siedząc.

Ragnhilda, wsparta na jego ramionach, roześmiała się.

- Nigdy nie widziałam, by mężczyzna miał tyle energii w tym pokoju - powiedziała. - Z powodu gorąca są zwykle powolni jak wykastrowane woły. Rozumiem, że tym razem nie będę potrzebowała brzożowych różeg.

Nieco później Shef podszedł do drzwi, prowadzących na zewnątrz, uchylił je i ostrożnie wyjrzał. Przed sobą, na wschodzie, widział ciekłą smugę światła nad wzgórzami Wschodniego Kraju, hen, po drugiej stronie fiordu. Ragnhilda spojrzała ponad jego ramieniem.

- Świt - powiedziała. - Wkrótce zjawi się Stein ze swoją strażą.

Będziesz musiał się ukryć.

Shef otworzył drzwi na oścież i pozwolił, by zimny strumień powietrza owiał jego nagie ciało. Przez kilka ostatnich godzin był najpierw przemarznięty, a potem aż nadto rozgrzany. Teraz czuł jedynie przyjemny, orzeźwiający chłód. Wziął kilka głębokich wdechów, zdawało mu się, że wiatr niósł zapach trawy, budzącej się do życia pod topniejącym śniegiem. Wiosna przychodziła do Norwegii późno, ale potem rośliny, zwierzęta i ludzie robili wszystko, by nadrobić stracony czas. Od czasu, gdy był małym chłopcem, nie czuł się taki rześki i żwawy. Zapomniał o niebezpieczeństwie, przed którym przestrzegali go sen.

Odwrócił się, znów wziął w ramiona Ragnhildę i zaczął popychać ją na podłogę. Opierała się ze śmiechem.

- Zaraz tu będą moi ludzie. Jesteś nienasycony. Nigdy przedtem nie miałeś kobiety? Dobrze, przyrzekam - zakosztujesz tego ponownie dziś w nocy. Teraz musimy cię ukryć. Dziewczeta nic nie powiedzą, a mężczyźni nie będą szukać. Nie są na tyle głupi. Ale nie możemy dawać Halvdanowi żadnego pretekstu. Mógłbyś mieć później kłopoty.

Odciągnęła nagiego Shefa od drzwi.

Karli zastanawiał się, gdzie też może podziewać się jego przyjaciel - choć podejrzewał, że teraz powinien nazywać go raczej swoim panem. Jemu przypadł słomiany materac i izba na poddaszu, do której wchodziło się po drabinie z sypialni niewolnic.

Małe, nie osłonięte okienko dawało trochę światła, ale upomniano go, by przez nie nie wyglądał, dla własnego dobra. Jego pokiereszowany nadgarstek i głowa zostały opatrzone, dostał też ciepły koc.

Usłyszał skrzypienie drabiny i sięgnął po miecz, który zdążył złapać, kiedy oddzielono go od Shefa. Ale były to tylko dwie niewolnice. Nie znał ich imion: dosyć zwyczajne kobiety o brązowych włosach, jedna w jego wieku, druga o dziesięć lat starsza, z głębokimi zmarszczkami na

twarży. Przyniosły jego rzeczy, wyprane i wysuszone przy ogniu, bochenek twardego chleba, gliniany garnek z piwem i garnek zsiadłego mleka.

Karli usiadł, wyszczerzył zęby w uśmiechu i z wdzięcznością sięgnął po piwo.

- Wstałbym i podziękował wam jak należy, moje panie - oznajmił. - Ale mam na sobie tylko ten koc, a to, co jest pod nim, mogłoby was przerazić.

Młodsza uśmiechnęła się nieśmiało, starsza potrząsnęła głową.

-Niełatwo jest przerazić mieszkańców tej wyspy - powiedziała.

- Jak to?

- Są inne rzeczy, których musimy się obawiać. Królowe prowadzą swoje gry z mężczyznami, z królem i z tym chłopcem, Haraldem. W końcu jedna z nich przegra, i drogo za to zapłaci, będzie musiała przenieść się do grobowca. Królowa Asa już zaczęła odkładać rzeczy, które zabierze ze sobą- sianie, wozy, kosztowności i piękne szaty. Ale ani ona, ani Ragnhilda nie pójdą tam same. Wezmą ze sobą osoby do towarzystwa-jedną, może dwie. Ja jestem najmniej warta, zapewne Asa zabierze mnie, albo Ragnhilda każe mi z nią pójść. Edith jest tutaj najmłodsza. Może Ragnhilda będzie zazdrosna i wyśle ją.

- Edith - powtórzył Karli. - To nie jest północne imię.

- Jestem Angielką- powiedziała młodsza dziewczyna. - Martha jest Fryzyjką. Porwali ją z jej wyspy we mgle. Mnie złapali handlarze niewolników i sprzedali na targu w Hedeby.

Karli przyjrzał się im uważnie. Wszyscy troje rozmawiali w języku Północy, kobiety posługiwały się nim całkiem płynnie, Karliemu nadal sprawiał on kłopoty. Teraz zaczął mówić w języku Ditmarsh, który przypominał trochę fryzyjski i angielski, i który Shef bez trudu rozumiał.

- Czy wiecie, że mój przyjaciel i ja też nie jesteśmy ludźmi Północy? On jest królem Anglii. Ale mówią, że kiedyś byłłhrallem, jak wy. I próbowali sprzedać go w Hedeby tydzień temu.

- Próbowali?

- Uderzył człowieka, który twierdził, że jest jego panem, i zagroził tamtemu, że go sprzeda. Dobry żart i niezły cios. Ale słuchajcie - znam mojego druha i wiem, że nie kocha handlarzy niewolników. Kiedy wrócimy do naszych przyjaciół, czy mam go poprosić, żeby kupił was od królowych? Zrobiłby to, gdyby się dowiedział, że jesteście Angielką, Edith, i wzięłby również Marthę.

- Nie wróćcie do swoich przyjaciół - powiedziała Martha obojętnie. - Słyszałyśmy to i owo. Królowa Ragnhilda boi się twojego towarzysza. Sądzi, że mógłby zająć miejsce, na którym ona pragnie widzieć swego syna. Miała zamiar zabić was obu zeszłej nocy. Teraz chce wykorzystać męskość twojego przyjaciela, mieć z nim dziecko, na wypadek, gdyby to jego krew była przeznaczona do rządzenia. Kiedy już zajdzie z nim w ciążę, twój druh dostanie czarne ziele w owsiance. I ty też.

Karli popatrzył niepewnie na nadgryziony bochenek.

- Nie - ciągnęła kobieta. - Na razie jesteś bezpieczny. Tak samo bezpieczny, jak my. Do czasu, kiedy nie uzyska tego, czego chce.

- A długo to potrwa?

Martha roześmiała się po raz pierwszy, zabrzmiało to jak krótki, suchy kaszel.

- Zrobienie dziecka kobiecie? Jesteś mężczyzną, powinieneś wiedzieć. Tyle czasu, ile zabiera przebycie jednej mili? Mniej, jeśli chodzi o większość z was.

-Więcej, jeśli chodzi o mnie-mruknął Karli. Jego dłoń powędrowała bezwiednie w okolice kolana Edith, która nie protestowała.

Valgrim Mądry obejrzał uważnie ociekającą wodą włócznię, której żeleźce zaczęła już pokrywać rdza. Odczytał runy na stalowym grocie.

- Gdzie to znalazłeś? - spytał.

- Na brzegu Drottningsholmu - odparł Stein, strażnik królowej. - Kiedy wróciliśmy na wyspę dziś rano, tak jak zwykle wysłałem ludzi po psy, zawsze to robię. Nie mogli ich znaleźć, a królowa

Ragnhilda powiedziała mi, że przeszkadzało jej ich wycie, więc poleciła służącym, aby je przyprowadziły. Kiedy zacząłem zadawać pytania, wpadła we wściekłość i wrzasnęła, że jeśli się natychmiast nie wyniosę, to każe obciąć mi uszy. Domyśliłem się, że coś jest nie tak, a ponieważ nie ma już lodu, kazałem strażnikom wziąć łódź i popłynąć wzdłuż wybrzeża. Znaleźli tę włócznię.

- Pływała?

-Nie, grot jest zbyt ciężki. Była niedaleko od brzegu, trzy stopy pod wodą. Grot zarył w dno, ale koniec drzewca unosił się na powierzchni.

- Jak sądzisz, co to oznacza?

- Mogli utonąć na zmurszałym lodzie - wyraził przypuszczenie Stein.

- Łódź zapadł się dosyć nagle, zeszłego wieczoru, kiedy spadł deszcz.

- Ale ty tak nie myślisz?

- To przez te psy - powiedział Stein. - Bardzo podejrzana sprawa, a Ragnhilda coś ukrywa.

- Może mężczyznę?

- Prawdopodobnie mężczyznę.

Obaj odwrócili się w stronę trzeciego z obecnych, zatopionego w myślach niezłomnego króla Olafa.

- Wydaje się, że godzi to w dobre imię twojej rodziny - powiedział Valgrim, odrobinę niepewnie.

Król uśmiechnął się.

- Myślicie także o tym, że jest to dobry sprawdzian królewskiego szczęścia. Jeśli król Shef znajdował się zeszłej nocy na zmurszałym łodzi i ocalał, to przeszedł pomyślnie pierwszą próbę. Jeśli poradził sobie z psami, przeszedł również drugą. Chcecie, żebyśmy wymyślił dla niego trzecią?

- Trzecia zadecyduje o wszystkim - powiedział Stein.

- Zgadzam się. Trzecia próba i na tym koniec, więcej nie będziemy go sprawdzać, ani ja, ani wy. Zgoda.

Valgrim niechętnie skinął głową, w jego oczach pojawiło się wyrachowanie.

- W takim razie wyślę wiadomość mojemu bratu, że coś złego dzieje się w Drottningsholmie. Nigdy dotąd tego nie robiłem i mój brat wie, że nie postąpiłbym tak bez wyraźnego powodu. Uwierzy mi zatem i pozwoli na dokładne przeszukanie wyspy i całego dworu. Musisz pomyśleć, jak się za to zabrać, Stein. A jeśli znajdziesz tam ukrywających się intruzów, staną przed królewskim sądem. Sąd na pewno będzie surowy, jeśli mój brat uzna, że w grę wchodzi dobre imię jego syna, Haralda.

Do tego czasu, Stein, każ podwoić strażę przy mostach, z Drottningsholmu na drugą wyspę, z drugiej na trzecią i stamtąd na stały ląd. Odważny człowiek mógłby również przepłynąć od wyspy do wyspy, więc wyślij tam łodzie ze strażnikami. Nie muszę ci chyba mówić, abyś się upewnił, czy nie można ukraść jakiejś łodzi.

Jeśli ma to być sprawdzian, waszą rzeczą jest stworzyć wszelkie możliwe trudności. Nie przychodźcie potem do mnie i nie mówcie, że próba nie została przeprowadzona rzetelnie, bo ktoś mógł się wymknąć. Musicie się upewnić, że jedyny sposób ucieczki to sposób V8lunda, drogą powietrzną. Jeśli nawet wówczas król Shef ucieknie, będziemy wiedzieli, że jest V8lundem, niezależnie od tego, jaką przybrał postać.

Stein i Valgrim przytaknęli ponownie.

- I ani słowa jego przyjaciółom - dodał Valgrim. Przez okno wysokiego pokoju, w którym siedzieli, dostrzegł Thorvina, spacerującego po dziedzińcu kolegium z Brandem u boku. Obaj wyglądali na mocno zaniepokojonych.

- Ani słowa jego przyjaciółom - zgodził się Olaf. - Będę postępował uczciwie, Valgrimie. Mam nadzieję, że ty również. W przeciwnym razie unieważnimy próbę.

Gdy król odwrócił się i odszedł, Valgrim i Stein spojrzeli po sobie.

- Powiedział, że próba powinna być trudna - rzekł Stein. - Mógłbym sprawić, by stała się nawet trudniejsza niż on sądzi.

- Uczyń tak - powiedział Valgrim, patrząc znów na runy "Gungnir", wyryte na grocie włóczni. - Nigdy dość surowości dla człowieka, który głosi, że jest wysłannikiem Wszechojca.

- A jeśli jego szczęście rzeczywiście przeważy?

Valgrim ścisnął włócznię i potrząsnął nią, jakby chciał zadać cios.

- Myślę, że już go opuściło. Nienawidziłem go dotąd za podszywanie się pod mojego pana Odyna. Teraz, kiedy odrzucił znak mego pana, nienawidzę go jeszcze bardziej.

Ukryty w cieniu wielkiej sali, Karli patrzył z zadumą na swego przyjaciela i pana. A przecież wskazywały na to wszelkie oznaki, pomyślał. Powinienem być zorientować się wcześniej.

Niemal od chwili ich pierwszego spotkania - a już na pewno od pierwszej rozmowy - Karli przyjął za niezbyty pewnik, że Shef, który jest od niego starszy, musi być także mądrzejszy, oczywiście lepiej zna świat i lepiej włada bronią. Karli nie czuł się przez to kimś gorszym. Jego zwierzęce instynkty były na to zbyt silnie rozwinięte. Niezmiennie ufał, że potrafi powalić gołymi pięściami każdego mężczyznę i przespać się z każdą kobietą, a przynajmniej z taką, która doceni jego dobroduszne usposobienie. Wcale nie czuł się gorszy od Shefa. Ale nieświadomie założył, że Shef wie przynajmniej tyle, co on.

To był błąd. Powinien od razu zdać sobie sprawę, że gdy wchodzi w grę kobiety, ten wysoki, pokryty bliznami wojownik i wspaniały przyjaciel ciągle jeszcze jest tylko małym chłopcem. Teraz też zachowywał się jak mały chłopiec, który spotkał pierwszą w swoim życiu kobietę. Karli nie wiedział, co Shef i królowa Ragnhilda robili przez cały dzień, ale teraz, kiedy zapadła noc i strażę odeszły, jego przyjaciel ani na chwilę nie mógł oderwać od niej wzroku, nie mówiąc już o rękach. Kiedy podnosił do ust łyżkę z mocno przesolonym gulaszem, jego lewa dłoń spoczywała na nagim ramieniu królowej, głaszcząc je delikatnie. Za każdym razem, gdy otwierała usta, nachylał się ku niej, śmiał się, nie przepuszczał żadnej okazji, by dotknąć jej znowu. Karli słyszał różne historie o wiedzmach, które wysysają z mężczyzn ich męską siłę.

Lecz z doświadczenia wiedział, że nie są do tego potrzebne żadne tajemne praktyki. Kunszt w sztuce miłosnej, umiejętnie wykorzystany, działał na każdego mężczyznę - przynajmniej za pierwszym razem. Dopiero kiedy uświadomisz sobie, że w morzu jest więcej ryb, niż kiedykolwiek uda ci się złowić, możesz się przed tym obronić. Ale Shef jeszcze tego nie wiedział. I nie ma sposobu, aby mu o tym powiedzieć. Kiedy Karli przyszedł do niego ze swojego poddasza, Shef ucieszył się na jego widok, ale zachowywał się powściągliwie, mówił niewiele i niechętnie snuł jakiegokolwiek plany, nawet nie zastanawiał się nad tym, co się im przytrafiło. Nie był już dawnym Shefem.

Karli będzie więc musiał zająć się wszystkim sam. Ani przez chwilę nie wątpił, że chociaż zostali ogrzani, nakarmieni i otoczeni troskliwą opieką, on i Shef znajdują się w większym niebezpieczeństwie niż podczas wędrówki po lodzie. To, co usłyszał od Edith i Marthy oraz ich dwóch przyjaciółek, wstrząsnęło nim do głębi. Shef był przeciwny niewolnictwu, ponieważ sam o mały włos nie został niewolnikiem. Karli podzielał jego zdanie, gdyż nigdy się z czymś podobnym nie zetknął. W niecywilizowanym i ubogim Ditmarsh nie było ani dosyć miejsca dla niewolników, ani odpowiedniej dla nich pracy. Mogli sprzedawać pojmanych ludzi z rozbitych statków obcym handlarzom, ale sami nie trzymali thrallów. Ciągły strach, w jakim żyli niewolnicy, jak Edith czy Martha, był dla niego czymś nie do pojęcia.

A strach jest dobrym nauczycielem. Aby pozostać przy życiu, należy wiedzieć, co może się zdarzyć, i podjąć te żalosne środki ostrożności, jakimi dysponuje niewolnik. Tak więc Martha nie tylko znosiła pogardę i razy ze strony norweskiej ochmistryni, która przychodziła ze strażami każdego ranka i odchodziła z nimi każdej nocy. Wręcz zachęcała do tego, popełniając błędy i prowokując w ten sposób bicie i wyzwiska. Kiedy Martha upuściła rondel, usłyszała od zwałistej

Vigdis, że nadchodzi już czas na gnuśne flądry. Tak jest, a może nie tylko na nie. No bo niby dlaczego podwoili strażę? - mówiła. - I nie myśl tylko, że odpłyniesz sobie, tak jak ten oślizły węgorz, twój ojciec. Kanałów pomiędzy wyspami pilnują łodzie. Niebawem powróci król, a wtedy zobaczymy, kto dobrze pracuje i będzie mógł dalej żyć, a kto nadaje się już tylko do pogrzebowego orszaku.

Vigdis oczywiście nie wiedziała, dlaczego wzmocniono strażę, i upatrywała w tym jakąś królewską intrygę: być może król Halvdan zmęczył się czekaniem na śmierć swej matki, a może znudziła mu się nazbyt niezależna żona. Ale niewolnice doskonale wiedziały.

Psy, mówiły. Uzbrojeni ludzie kręcili się bez przerwy koło wybiegu dla psów, pytali, gdzie są pozostałe, dlaczego nie wszystkie wróciły, dlaczego nie słyszą ich ujadania, jeżeli zabłąkały się gdzieś na wyspie. Uprzątnęłyśmy ciała przed pierwszym brzaskiem, powiedziała Edith, a deszcz zmył krew, ale w miękkim gruncie i tak zostało mnóstwo śladów.

Została nam noc lub dwie, pomyślał Karli, nadal obserwując Ragnhildę i Shefa, a także królową Ase, która z kwaśną miną przyglądała im się z drugiego końca stołu. Ja to wiem. Wiedzą też służące.

Shef nie będzie mnie słuchał. A Vigdis nie powiedziała królowym o wzmocnieniu straży. Tak, jedno jest pewne. Nie zauważą, jeżeli stąd zniknę. Cichutko przeszedł przez drzwi do małego pokoju kredensowego, gdzie czekały usługujące do stołu niewolnice.

- Myślałeś już, co zrobisz? - szepnęła Edith.

Karli uszczypnął ją w pośladek.

- Pochodzę z Ditmarsh - powiedział. - Wiem co nieco o wodzie.

Muszę zbudować - zawahał się, szukając właściwego słowa - łódź?

-Na wyspie nie ma łodzi. Nie ma desek, nie ma narzędzi. Ścięcie drzewa zabrałoby kilka tygodni. A poza tym wszyscy by cię słyszeli.' -Nie myślałem o zwykłej łodzi - odparł Karli. - Myślałem o... zwrócił się do Marthy, kobiety z Fryzji - ...nazywamy topunt.

- Do polowania na kaczki - Martha kiwnęła głową. - A czego potrzebujesz, żeby zrobić coś takiego?

Kilka godzin później Karli pocił się nad konstrukcją, którą składał na brzegu od strony pełnego morza, w miejscu najbardziej oddalonym od posterunków straży. Płaskie dno stanowiły po prostu drzwi. Były to jedyne drzwi, których brak nie zostanie wykryty zaraz następnego dnia - prowadziły do cuchnącego ustępu dla niewolnic. Prawdopodobnie ani strażę, ani tym bardziej królowe nie wiedziały nawet, że w ogóle istnieje takie miejsce, nie mówiąc już o tym, czy są tam jakiegokolwiek drzwi. Karli po prostu wyjął je z zawiasów i wyniósł. Mógłby stać na samych drzwiach i odpychać się od dna, gdyby trzymał się płytkich wód. Ale wiedział, że potrzebuje czegoś lepszego, musiał bowiem odpłynąć dalej od wyspy, w morze, i dopiero potem skierować się do brzegu. Powinien więc stać w miarę pewnie, aby każda fala nie zmywała go do wody. I, oczywiście, powinien mieć coś w rodzaju wiosła. Wszystko to należało zrobić bez narzędzi i bez hałasu.

Powoli i z mozolem odciął jeden brzeg drzwi krawędzią swego miecza, ostrą, chociaż nie ząbkowaną. Żelazne szpikulce, wyniesione z kuchni, posłużyły mu do umocowania na rufie dwóch polan drewna opałowego, które przybił kamieniem, owiniętym w wełnianą koszulę. Na nich umieścił płaską drewnianą tacę, używając do tego czterech gwoździ, które obluzował palcami i niepostrzeżenie wyciągnął z ozdobnej drewnianej boazerii na tyłach dworu.

Miał nadzieję, że jutro rano nikt nie zauważy uszkodzenia. Na koniec, coraz bardziej zniecierpliwiony, położył na ziemi wyciągniętą z boazerii deskę i złamał ją o kolano. Teraz musiał jeszcze przebić deskę trzema gwoździami i przytwierdzić ją do obciętego brzegu drzwi, aby uzyskać niezgrabny, kanciasty dziób. Kiedy skończył, miał przed sobą namiastkę łodzi, jakich mieszkańcy

Ditmarsh używali do polowania na dzikie ptactwo pośród bezkresnych moczarów. Nie będzie ani wiosłować, ani odpychać się drągiem, ale sterować pojedynczym wiosłem, umieszczonym na rufie - sporządził je z następnej deski, którą zaklinował w rozwidlonej jodłowej gałęzi. Powinno się udać, jeśli tylko morze będzie spokojne. Jeśli nie zobaczą go strażnicy na łodzi, ani nie natknie się na któryś z wielkich statków straży przybrzeżnej króla. I jeśli żaden potwór nie wynurzy się z głębin.

Na tę ostatnią myśl włosy zjeżyły mu się na głowie. Gdzieś w środku bał się i wiedział o tym. Nie morza ani nie ludzi. Spędził zbyt wiele godzin z angielskimi marynarzami, kiedy to opowiadali sobie historie o potworach i porównywali je z tym, co usłyszeli od wikingów. W swoim rodzinnym kraju Karli bał się strzyg, mieszkających na moczarach. Anglicy bali się upiórów, wiedźm i chochlików. Wikingowie też mieli o nich coś do powiedzenia, a także o innych, znacznie gorszych stworzeniach, remorach i wodnikach, krakenach i trollach ze skalistych wysepek. Kto mógł wiedzieć, co jeszcze można spotkać daleko na morzu, w ciemnościach? Na przykład wynurzy się nagle z odmętów porośnięta szarymi włosami ręka i chwyci go za kostkę, kiedy będzie wiosłował, zaledwie sześć cali nad powierzchnią wody. A potem na dnie morza odbędzie się uczta.

Karli wzdrygnął się, przybił ostatni gwóźdź płaskim kamieniem i wstał.

Głos rozległ się tuż nad jego uchem.

- Wybierasz się na ryby?

Karli, już i tak dostatecznie przerażony, przeskoczył przez łódź, wykonał obrót w powietrzu i stanął skulony, gotów natychmiast rzucić się do ucieczki przed tym czymś strasznym, co wypełzło nagle nie wiadomo skąd. Prawie odetchnął z ulgą, kiedy zobaczył kpiący, pogardliwy uśmiezek na twarzy Steina, kapitana straży, który stał przed nim w pełnej zbroi i niedbałej pozie, wetknąwszy kciuki za pas.

- Jesteś zdziwiony, że mnie widzisz? - spytał Stein. - Myślałeś, że wrócę dopiero rano? Cóż, a ja pomyślałem, że odrobina dodatkowej czujności nie zawadzi. Poza tym, skoro mężczyznom nie wolno przebywać w Drottningsholmie po zmroku, ciebie też to dotyczy. He? A teraz powiedz mi, krótkonogi, gdzie jest twój wysoki przyjaciel? Zabawia się w ogiera na dworze królowej? Straci coś więcej niż oko, kiedy dostarczymy go królowi Halvdanowi.

Chciałbyś pójść z nim?

Karli spojrział na miecz, który Shef ponownie dla niego zahartował; nadal leżał na ziemi, tam, gdzie się nim posłużył. Karli rzucił się do przodu, schwycił rękojeść i przyjął odpowiednią postawę.

Przerażenie minęło. Nie była to wiedźma z głębin. To tylko człowiek. Najwyraźniej jest sam. W hełmie i kolczudze, ale bez tarczy.

Stein położył dłoń na rękojeści własnego miecza, dobył go i okrążył łódź. Karli nie był ułomkiem, ale Stein przewyższał go o głowę i ważył o pięćdziesiąt funtów więcej. Pytanie tylko, jak jest szybki? W armiach wikingów służy wielu chłopskich synów, powiedział mu kiedyś Shef.

Karli uniósł łokieć i cały ciężar ciała włożył w cios, nie w głowę, bo łatwo się przed nim uchylić, ale w punkt, gdzie szyja łączy się z ramieniem, tak jak uczył go Shef.

Stein śledził bacznie jego poruszenia, wiedział więc, gdzie opadnie miecz, zanim jeszcze Karli zdążył się zamierzyć. Miał aż zbyt dużo czasu na ripostę. Jednym płynnym ruchem obrócił w dłoni swój oręż, wznosił do góry nadgarstek i przyjął cios nasadą klingi. Ostrza szczęknęły o siebie tylko raz. Miecz wypadł z niewprawnej dłoni

Karliego i poszybował w powietrzu. Kolejny obrót nadgarstka i Stein przyłożył Karliemu sztych do gardła.

A więc nie jest to chłopski syn, pomyślał Karli z rezygnacją. Na twarzy Steina pojawił się wyraz niesmaku. Skierował ostrze ku ziemi.

- Skóra nie czyni niedźwiedzia - zauważył. - A miecz wojownika. Dość tego, ty mały piegowaty bękartie, mów, albo potnę cię na przynętę dla ryb.

Pochylił się do przodu, wysuwając podbródek. Karli nie stał już w pozycji szermierczej, przyjął inną, do której bardziej przywykł.

Wykonał przypadkowy ruch lewą ręką i w tej samej chwili wyprowadził potężny prawy sierpowy, mierząc w szczękę.

Tym razem ćwiczony przez lata refleks zawiódł Steina zupełnie. Stał całkiem nieruchomo, kiedy dosięgnął go cios. Uniósł miecz, by przejść do morderczego kontrataku, ale wtedy spadł kolejny cios, po którym głowa odskoczyła mu do tyłu, i zaraz po tym pięść trafiła go w skroń. Ruszył chwiejnie naprzód, lecz Karli uskoczył na bok i kantem dłoni uderzył go z tyłu w szyję; w uczciwej walce w Ditmarsh byłoby to niedopuszczalne, choć całkowicie dozwolone w przypadku natknięcia się nocą na zazdrosnego męża lub nieoczekiwanego rywala. Rosły wojownik rozciągnął się na ziemi u stóp Karliego.

Z cienia drzew wyszła na brzeg Martha, niewolnica w średnim wieku. Spojrzała z przerażeniem na leżącego mężczyznę.

- Chciałam zobaczyć, czy już odpłynąłeś. To kapitan Stein. Po raz pierwszy przyszedł węszyć nocą. Muszą wiedzieć, że tu jesteście! Czy on nie żyje?

Karli pokręcił głową.

- Pomóż mi go związać, zanim się ocknie.

- Związać go? Oszalałeś? Nie możemy trzymać go tu przez wieczność ani zmusić do milczenia.

- No to... Co z nim zrobimy?

- Poderżniemy mu gardło, oczywiście. Zrób to teraz, szybko.

Potem włóż ciało do łodzi i wyrzuć do morza. Minie wiele dni, zanim go znajdą.

Karli podniósł swój miecz i popatrzył na nieprzytomnego człowieka.

- Ale ja jeszcze nigdy nikogo nie zabiłem. On... On nie zrobił mi nic złego.

Martha zacisnęła usta, podeszła i pochyliła się nad mężczyzną, który próbował właśnie podnieść się z ziemi. Wyciągnęła zza paska krótki nóż, sprawdziła, czy jest ostry, zerwała z głowy Steina hełm i złapała go za włosy. Ścisnęła mocno nóż, wbiła ostrze głęboko tuż pod lewym uchem i wykonała szybki półkolisty ruch. Z rozdartych arterii trysnęła krew, Stein krzyknął, lecz jego głos przeszedł zaraz w stłumiony świst, dobywający się z przeciętej tchawicy.

Martha puściła jego głowę, podniosła się znad bezwładnego ciała i machinalnie wytarła nóż o połę brudnego fartucha - Mężczyźni - parsknęła. - To tak, jak zabić świnię. Tylko że świnię nie porywają w niewolę innych świń. Nie grzebią ich żywcem. Nie zrobił ci nic złego! A jak wiele zła on i jemu podobni wyrządzili mnie? I nie tylko mnie? No nie stój tak, człowieku! Znikaj stąd. I zabierz ze sobą to ścierwo. Jeśli nie wrócisz w przeciągu dwóch dni, wszystkie do niego dołączymy. Gdziekolwiek teraz jest.

Odwróciła się i znowu zniknęła w ciemnościach. Karli stał chwilę z wyschniętym gardłem, starając się opanować mdłości. Potem zepchnął na płytką wodę swój niezgrabny stateczek i wrócił na brzeg po ciało Steina.

Rozdział czternasty (j)Todzinę później Karli wetknął ostrożnie pomiędzy uda swoje jedyne wiosło, stanął niepewnie na rozkołysanym st[^]ieczku i przeciągnął się, by rozluźnić zeszytywniałe mięśnie. Gdy tylko odbił od brzegu, natychmiast zdał sobie sprawę, jak bardzo różni się morze, nawet w otoczonych łądem fiordach, od płytkich, błotnistych przesmyków wodnych wśród moczarów. Przy najłżejszej fali jego drzwiami rzucało na wszystkie strony. Aby w ogóle utrzymać równowagę, przez cały czas musiał stać w rozkroku jak najbliżej środka ciężkości, toteż jego ławka wiosłarza znajdowała się za nim, a nie tam, gdzie jej potrzebował. Metodą prób i błędów znalazł sobie wreszcie najdogodniejszą pozycję; jedną stopę wysunął daleko w przód, a drugą opierał o krawędź drewnianej tacy. Na szczęście zrobił wystarczająco długie wiosło, by nawet stojąc mógł nim dosięgnąć wody.

Istniały dwa sposoby pływania po bagnach Ditmarsh, łatwy i trudny. Łatwiej było wiosłować obiema rękami, z jedną nogą wysuniętą do przodu i wiosłem opartym w zgięciu drugiego kolana. Ale problemy z zachowaniem równowagi wykluczały tę metodę. Musiał zatem wybrać trudniejszy sposób: trzymał wiosło pod jedną pachą, wiosłował zaś drugim ramieniem, na przemian z lewej i z prawej, do góry i na dół, zataczając jodłową gałęzią zamaszyste ósemki.

Karli, choć ważył nie tak znowu wiele, potrafił znakomicie utrzymać równowagę, odznaczał się też niezwykłą siłą. Mogło mu się udać. Byłe spokojnie i powoli.

Jak dotąd, nikt go nie zobaczył. Najpierw skierował się na głębszą wodę i z prawdziwą ulgą zepchnął martwe ciało do morza. Jego statek od razu podskoczył dziarsko na fali. Ciężar kolczugi pociągnął zwłoki na dno. Niebawem mogły znowu wypłynąć, ale do tego czasu Shef zostanie uratowany, albo Karli dołączy do Steina na tamtym świecie.

Następnie powiosłował w poprzek fiordu, byle dalej od wyspy, w kierunku czarnych zarysów wzgórz Wschodniego Kraju, majaczących w ciemnościach. Pięćset męczących uderzeń wiosłem przy jednoczesnych staraniach o utrzymanie chwiejnej równowagi. Potem odwrócił się i spojrzał uważnie w stronę Drottningsholmu i pozostałych wysp. Widział je, ale niewyraźnie. Nie podejrzewał, by w pochmurną, bezksiężycową noc któryś z posterunków zdołał wypatrzeć skulonego mężczyznę na małej tratwie na tle czarnego morza.

Odwrócił się i popłynął na północ, w stronę portu w Kaupangu.

Sprzyjały mu wiatr i przyływ. Kiedy się zmęczył, zmieniał ręce.

Nie widział przed sobą nic, żadnych świateł, czegoś, co pozwalałoby stwierdzić, że posuwa się naprzód. Było to trochę deprymujące.

Równie dobrze mógł znajdować się na otwartym morzu, wiosłując znikąd donikąd.

Jak dotąd był sam. W pewnym momencie jednak, wśród świstu wiatru i szumu morza, Karli zdał sobie sprawę, że słyszy coś jeszcze. Miarowe skrzypienie, któremu towarzyszył rytmiczny, głośny plusk. Obejrzał się, zdjęty nagłą trwogą, że to jakaś straszliwa morska wiedźma wybrała się na łowy i teraz płynie za nim, zwietrzywszy łatwy łup.

Gorzej. Na tle czarnego morza i nieba sterczał znajomy kształt, niczym wzniesiony groźnie łeb morskiego potwora, czyhającego na lekkomyślnych pływaków. Smoczy dziób jednego z olbrzymich okrętów wojennych króla Halvdana, które wypłynęły z portów wraz z nadejściem wiosny i patrolowały te wody dniami i nocami. Karli widział białe bryzgi piany, wzbijanej uderzeniami wiosła, słyszał rytmiczne skrzypienie dulek i zgodny pomruk świetnie wyszkolonych wiosłarzy. Wiosłowali bardzo powoli, oszczędzając siły, bowiem okręt nie zmierzał do żadnego konkretnego celu. Na dziobie i rufie stali obserwatorzy, wypatrując statków handlowych, których kapitanowie chcieliby uniknąć ceł króla Halvdana, albo piratów przekradających się chyłkiem w łupieskim rajdzie na wybrzeża Wschodniego bądź

Zachodniego Kraju. Karli położył się płasko na tratwie, nie bacząc na zalewającą go wodę. Wtulił twarz w deski, schował dłonie w rękawach, ciałem przykrył wiosło. Wielokrotnie musiał unikać rozwścieczonych mężów lub ojców, wiedział zatem, że w ciemną noc zdradzić go może przede wszystkim biała skóra. Miał nadzieję, że jego stateczek wygląda jak pływający szczątek wraku, i trząś się cały, gdy wyobrażał sobie biorących go na cel łuczników.

Wiosła grzmotnęły w wodę tuż nad jego uchem, a drzwi zakołysały się gwałtownie, gdy w pobliżu przeszła fala dziobowa wielkiego okrętu. Nikt do niego nie wołał, nikt nie strzelał. Kątem oka dostrzegł przepływającą płetwę sterową, usłyszał okrzyk obserwatora i niewyraźną odpowiedź. Nadal nikt go nie wołał. Okrzyk nie dotyczył jego.

Wstał ostrożnie, drżąc na całym ciele, podniósł wiosło i powoli popłynął w ślad za znikającym sterem. Ponownie zaczął liczyć uderzenia wiosłem i nagle poczuł, jak drzwi pod jego stopami znów się podnoszą. Następna fala dziobowa? Nie, coś większego, dużo bliżej, jego niezgrabny statek

omal się nie wyrócił. Karli opadł na kolana, chwycił krawędź drzwi, a wówczas, jakieś sześć stóp dalej, rozległo się głośnie parsknięcie.

Obok jego tratwy przepłynęła powoli wielka płetwa grzbietowa, stercząca z wody niemal pod kątem prostym. Tuż pod powierzchnią przetoczyło się ogromne błyszczące cielsko. Potem płetwa skręciła i skierowała się wprost na niego. Z wody wychynęła potężnych rozmiarów paszcza, wystarczająco szeroka, by przegryźć jego drzwi jednym kłapinięciem. Karli dostrzegł w ciemnościach błysk bieli i ujrzał, że wpatruje się w niego bystre, rozumne oko.

Śmiertelnie niebezpieczna orka, ogromny samiec, który zapuścił się aż tutaj, by zapolować na foki, rozważał przez chwilę, czy nie stracić ludzkiej istoty z jej kry i nie rozszarpać na kawałki w wodzie, ale rozmyślił się. Człowiek to marna zdobycz, powiedział orce jakiś łagodny, lecz nieodparty głos. Polowanie na człowieka nie jest emocjonujące. Czasem za statkami ludzi płyną morświny, a morświny to bardzo łakomy kąsek. Ale nie tej nocy. Orka zdecydowała, że podaży za wielkim okrętem, zignorowała człowieka na krze i odплыnęła pospiesznie, by dołączyć do swych towarzyszy.

Karli podniósł się z klęczek, poczuł dziwne ciepło w okolicy ud i uświadomił sobie, że nasikał w spodnie. Drżał jeszcze, kiedy chwycił wiosło i ponownie zaczął liczyć uderzenia. To bardzo niebezpieczny kraj, uznał. Wszystko tu jest za duże, ludzie i zwierzęta.

W swojej chacie angielscy majtkowie przygotowywali śniadanie i jednocześnie sprawdzali broń. Na niebie pojawił się dopiero pierwszy brzask, lecz byli niewolnicy wstawali wcześniej, po prostu z nawyku. Poza tym, chociaż wszyscy nosili amulety, chociaż przebywali w najważniejszym ośrodku wybranej przez siebie religii, byli niespokojni, czuli się wyobcowani, brakowało im poczucia bezpieczeństwa. Ich przywódca zniknął, nikt nie wiedział, gdzie przepadł.

Otaczali ich ludzie obcej mowy, których zachowanie trudno było przewidzieć. W głębi serca czuli, że większość ludzi Północy uważa cudzoziemców za doskonały materiał na niewolników i tylko czeka, aby ich pojmać. Przybyli do Kaupangu jako żołnierze zwycięskiej armii. Lecz ich status zmieniał się powoli. Gdyby odebrano im broń, wróciliby do uprawiania ziemi i pasania kóz, a bat znów zaświszczałby im nad głową. Nikt z nich o tym nie mówił, wszyscy jednak żywili głębokie przekonanie, że to nie może się stać. Jeśli zajdzie taka potrzeba, wyrwą się stąd. Ale jak?

W armii Drogi w Anglii istniały trzy główne specjalności: łucznicy, halabardnicy i załogi katapult. Nikt nawet nie próbował nauczyć ich sztuki władania mieczem, chociaż każdy z nich nosił u pasa scramasax, szeroki nóż o jednym ostrzu, przydatny zarówno do wycinania zarośli na ognisko, jak i w walce. Lecz Udd zadbał też o to, by każdy, niezależnie od swej specjalności, miał ulepszoną przez niego kuszę i potrafił się nią posłużyć. Stalowej cięciwy nie napinało się już przy pomocy zawieszonoego u pasa haka, zamiast tego drewniane łoże wyposażone zostało w długą jednoramienną dźwignię.

Zaczepona była pod cięciwą i umocowana do łoża czopami. Wystarczyło teraz wsunąć stopę w umieszczone na końcu kuszy strzemię i napiąć cięciwę jednym silnym pociągnięciem dźwigni. Osmo i trzej inni wyzwolenicy nosili również nieporęczne halabardy, stanowiące połączenie bojowego topora i włóczni. Oręż ten wymyślił niegdyś dla siebie Shef, by powetować sobie niedostateczną wagę ciała i braki w wyszkoleniu.

Ale ich najważniejsza broń stała przed chatą: muł, miotająca kamienie katapulta, którą zdjęli z pokładu "Norfolka" i załadowali na "Morsa" Branda. Od momentu ich przybycia muł budził żywe

zainteresowanie kapłanów Thora, którzy obchodzili katapultę ze wszystkich stron, przyglądali się strzelaniu, wreszcie polecili im zbudować dwa inne rodzaje machin, jakie znali Anglicy: balistę, wyrzucającą oszczepy dzięki sile sprężystości skręconej liny, oraz nieco prostszą rutę, służącą do miotania niewielkich kamieni. Obie te konstrukcje armia Drogi zastosowała trzykrotnie na polach bitew. Mówiono, że król Halvdan polecił przeprowadzić próby z umieszczeniem mułów na pokładach swoich okrętów ochrony wybrzeża, wystarczająco dużych, by udźwignąć maszyny, choć o zbyt słabym kilu, by zdołał wytrzymać potężny wstrząs przy strzale. Jak na razie jednak muł stojący przed chatą był jedynym tego typu urządzeniem na

Północy.

Kolejnej innowacji nie mieli jeszcze okazji wypróbować. Odkryty przez Udda proces powierzchniowego hartowania stali wydawał się nie mieć żadnego zastosowania. Materiał raz zahartowany stawał się tak twardy, że nie byli w stanie obrobić go jakimikolwiek narzędziami. Udd proponował zahartowanie grotów strzał do kusz, ale, jak stwierdzili inni, strzały, którymi obecnie dysponują, i tak przebijają każdy znany pancerz, po cóż więc się trudzić? W końcu

Udd wykonał z nowej stali jedną cienką okrągłą płytkę o średnicy dwóch stóp i przytwierdził ją do zwykłej okrągłej tarczy z drewna lipowego. Tylko nieliczni rycerze posiadali żelazne tarcze. Ważyły tak dużo, że nie sposób ich było długo utrzymać w ręce. Zamiast tego używano więc lekkich tarczy lipowych z żelaznym guzem pośrodku, służącym jako ochrona dłoni. Płyta, którą sporządził Udd, była tak cienka, że gdyby wykonano ją ze zwykłego żelaza, nie dawałaby żadnej osłony. Ale powierzchniowo zahartowana stal mogła skutecznie zatrzymać zwykły miecz, włócznię czy strzałę, i nie ważyła więcej niż druga warstwa drewna. Ani Udd, ani nikt z jego towarzyszy nie wiedział jednak, jak wielki będzie pożytek z nowej tarczy - prawdopodobnie żaden, przy dotychczasowych metodach walki. Był to jeden z tych przypadków, kiedy nowa technika nie znajduje jeszcze dla siebie zastosowania.

Początkowo, w porannym zgiełku, nikt nie usłyszał cichego skrobania w drzwi. Potem, kiedy dźwięk się powtórzył, Cwicca uniósł rękę i wszyscy zamilkli. Fritha i Hama porwali za kusze i naciągnęli je. Osmód podszedł do wejścia i stanął przy framudze, ściskając halabardę. Cwicca wyjął skobel, nacisnął klamkę i raptownie otworzył drzwi.

Karli upadł na kolana, podpierając się rękoma; nie mógł utrzymać się na nogach. Siedmiu Anglików popatrzyło na niego ze zdumieniem, potem zatrasnęli drzwi i skoczyli na pomoc.

- Posadźcie go na stołku - powiedział Osmód. - Zupełnie przemókł. Ha, i to nie tylko wodą! Rozbierzcie go, niech ktoś przyniesie koc. Rozetrzyj mu ręce, Cwicca, jest na wpół zamarznięty.

Karli, siedząc już na stołku, wskazał ręką na kubek. Osmód nalał mu mocnego, grzanego piwa i patrzył, jak płyn znika w kilku haustach. Gdy Karli skończył pić, złapał oddech i usiadł prosto.

- Już dobrze. Zaraz dojdę do siebie. Jestem po prostu zamarznięty, mokry i śmiertelnie zmęczony. Ale mam wieści.

Po pierwsze, Shef żyje, jest w Drottningholmie. Wiadomość, którą otrzymał, to była pułapka, ale dotarliśmy tam, mimo wszystko. Tak więc jest na wyspie, żyje, ale nie pożyje długo, jeśli tam pozostanie. Kłopot w tym, że ta ich królowa zupełnie go omotała, pieprzy się z nim na okrągło i on nie odejdzie od niej. Musimy tam iść i wydostać go. Ale on nie pójdzie z własnej woli, a przy mostach są wzmocnione straże. I nie tylko jego musimy ratować...

W miarę jak Karli opowiadał swoją historię, skupieni wokół niego słuchacze posepniali coraz bardziej. W końcu Osmod w milczeniu wręczył mu ponownie napełniony kubek i spojrzał na Cwiccę, który, jako dowódca załogi katapulty, przewodził im pod nieobecność Shefa.

- Musimy go stamtąd wydostać. Moglibyśmy zrobić to sami, ale nie uda nam się opuścić potem wyspy. Dlatego trzeba to wszystko dobrze przemyśleć. Komu jeszcze możemy ufać?

- Co z medykiem Hundem? - spytał Cwicca.

Osmod zastanawiał się przez chwilę.

- Tak, chciałbym, żeby przyłączył się do nas. Jest Anglikiem i najlepszym przyjacielem naszego pana, a do tego kapłanem Drogi.

- Więc może również kapłan Thorvin? - zaproponował ten, który nosił amulet w kształcie młota. Lecz pozostałe twarze wyrażały wątpliwość. Cwicca potrząsnął głową.

- Jest bardziej lojalny wobec Drogi niż wobec króla Shefa. A to jest w jakiś sposób sprawa Drogi. Trudno przewidzieć, co zrobi.

- A może któryś z tych wikingów zasługuje na zaufanie? - spytał ktoś.

- Chyba Brand.

Rozważali to jakiś czas w milczeniu. Wreszcie Osmod skinął głową.

- Tak, chyba Brand.

-Cóż, jeśli pójdzie z nami, sprawa będzie prosta. Ma prawie siedem stóp wzrostu i jest zbudowany jak kamienna ściana. Jest także mistrzem czegoś-tam, nie? Przejdzie przez ich strażę, jakby sikał w śnieg.

- Nie byłbym taki pewien - mruknął Osmod. - W zeszłym roku został ranny w brzuch. Połatali go, zgoda. Ale to w nim ciągle siedzi, w jego głowie, znaczy się. Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek będzie mistrzem czegośkolwiek.

- Chcesz powiedzieć, że tchórz go obleciał?- spytał z niedowierzaniem Fritha.

-Nie. Mówię tylko, że stał się trochę zbyt ostrożny, a nigdy taki nie był. W tym kraju pełnym berserków, czy jak ich tam zwą, to prawie na jedno wychodzi.

- Ale nadal myślisz, że mógłby pomóc?

- Jeśli nie będziemy prosić o zbyt wiele. - Osmod rozejrzał się wokół i zmarszczył brwi. - Jest nas tu siedmiu, i Karli. Gdzie Udd?

- A jak myślisz? Teraz, kiedy wody ruszyły, siedzi bez przerwy przy młynach, przygląda się, jak pracują. Wziął kromkę chleba i poszedł o pierwszym brzasku.

- Dobra, niech ktoś pójdzie po niego. A wy słuchajcie. Zrobimy tak....

- ...Taki mamy plan - zakończył Osmod, spoglądając ponuro na Branda, siedzącego w drugim końcu stołu. - I to zamierzamy zrobić. Jedyne pytanie, jakie chcemy ci zadać, to czy jesteś z nami, czy nie?

Brand popatrzył z namysłem w dół. Mimo że obaj siedzieli, twarz

Branda znajdowała się o stopę wyżej od twarzy Anglika. To prawdziwa niespodzianka, pomyślał, jak ci ludzie Shefa się zmienili. Wewnętrzne przekonanie, wiedza i doświadczenie życiowe Branda mówiły mu zawsze, że niewolnik pozostaje niewolnikiem, a wojownik wojownikiem, i nie ma sposobu, aby to zmienić. Wojownik nie mógł zostać obrócony w niewolnika - a jeśli nawet, to przy zachowaniu szczególnych środków ostrożności, jak te, które przedsięwziął król

Nithhad w przypadku V5lunda, i spójrzcie, dokąd go to zaprowadziło. A niewolnicy nigdy nie mogą stać się wojownikami. Nie tylko dlatego, że brakuje im umiejętności, brakuje im również ducha. Podczas bitew staczanych w Anglii w ubiegłym roku Brand musiał zrewidować tę opinię, no, do pewnego stopnia. Byli niewolnicy przydają się, uznał, na przykład do obsługiwanie machin wojennych, ponieważ sami stają się częścią takiej maszyny, robią, co im się każe, ciągną za liny i na rozkaz zwalniają zaczepy. Nic więcej.

A teraz siedział przed nim jeden z nich i nie tylko przedstawiał mu ułożony przez siebie plan, nie tylko mówił mu, że ma zamiar wcielić go w życie, ale jeszcze twierdził, że on, Brand, nie może go powstrzymać. Ogromny Helgolandczyk patrzył na niego z mieszanymi uczuciami irytacji, rozbawienia i czegoś jakby... niepokoju?

Przenigdy nie przyznałby się, że mógłby odczuwać strach.

- Tak, jestem z wami - powiedział. - Ale nie chcę, żeby moja załoga była w to zamieszana. I nie chcę stracić łodzi.

- Chcemy użyć twojego statku, aby tam się dostać - powiedział

Osmod. - A potem wrócić do Anglii.

Brand pokręcił głową.

- Nie uda się - odparł. - Blokada króla Halvdana jest ciasna jak tyłek żaby. A "Mors" nie może walczyć ze statkami patrolowymi, są dwa razy większe od niego.

- Użyjemy muła.

- Nie mamy tyle czasu. Wiesz, że nie wystarczy go po prostu przenieść, trzeba go jeszcze odpowiednio umocować. Poza tym każdy statek, który nie jest zaprojektowany specjalnie do tego celu, rozleci się na kawałki, gdy tylko zaczniecie strzelać.

- To jak się stąd wydostaniemy, kiedy już porwiemy króla Shefa z Drottningholmu? Czy chcesz powiedzieć, że to się nie uda?

Brand przygryzł wargę.

- Uda się. Prawdopodobnie. Ale nie morzem. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli zrobimy tak. Wymyślę jakiś pretekst i oddalę się stąd powiem, że idę w góry rozruszać się trochę, uwierzą, w końcu tkwiliśmy tu przez całą zimę. Kupię dla was wszystkich konie. Kiedy zrobicie swoje, spotkamy się w wyznaczonym przeze mnie miejscu. Stamtąd będziemy musieli gnać na złamanie karku, dopóki nie opuścimy ziem Halvdana i Olafa. Potem pojedziemy prosto do fiordu Gula. Co dalej, to już zależy od mojego sternika, Steinulfa. Przypuszczam jednak, że mając po swojej stronie Droge, a w każdym razie Thorvina i Skaldfinna oraz ich przyjaciół, będzie w stanie wymknąć się "Morsem" i popłynąć wzdłuż wybrzeża, żeby spotkać się z nami. Guthmund też nie powinien mieć większych kłopotów z wypłynięciem swoją "Mewą". Wszyscy spotkamy się w Gula i wrócimy do Anglii, tak jak powiedziałeś.

- Nie chcesz atakować z nami?

Brand w milczeniu potrząsnął głową. Teraz Osmod przyjrzał mu się uważnie z drugiego końca stołu. On też zawsze wierzył, że niewolnik i wojownik to dwie różne rasy, tak różne jak owce i wilki.

W tej chwili jednak, kiedy miał powód do walki i nadzieję na zwycięstwo, sam poczuł się wilkiem. Patrzył na siedzącego przed nim olbrzyma i zastanawiał się. To był człowiek słynny nawet wśród dzikich, wojowniczych, zawsze skorych do współzawodnictwa bohaterów Północy. Dlaczego teraz trzymał się na uboczu? Zostawiał niebezpieczne zadanie dla innych? Czyżby było prawdą, że ten, kto raz stanął u wrót śmierci, już nigdy nie będzie tym samym człowiekiem? A on stał przecież w tych wrotach i czuł na sobie chłodny powiew wiatru...

- Więc zostaw to nam - powiedział Osmod. - Nam, Anglikom dodał z naciskiem. - Czy myślisz, że potrafimy tego dokonać?

- Myślę, że potraficie tego dokonać, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem - odparł Brand. - Wy, Anglicy. Co mnie martwi, to przeprawa przez góry po drodze do fiordu Gula. Jak dotąd, poznaliście tylko cywilizowanych Norwegów. Ci, którzy żyją daleko w górach, przez które będziemy przejeżdżać, są inni.

- Jeśli poradzimy sobie ze strażą króla Halvdana, uporamy się również z nimi. A co z tobą? Jesteś mistrzem ludzi z Helgolandu, może nie?

- Myślę, że trzeba być prawdziwym mistrzem, żeby przeprowadzić takich karłów przez całą Norwegię. Będę się czuł jak pies, wiodący stado myszy przez krainę kotów. Uznają was tam za darmowy obiad.

Osmod zacisnął wargi.

- Pokaż mi zatem, gdzie będziesz czekał na nas z końmi, panie psie. Ja i inne myszy dotrzemy tam. Może przyniesiemy ci kilka kocich skór.

Niewielki konwój, zdążający w stronę mostu i położonych dalej wysp, wyglądał nader żałośnie i zdecydowanie niegroźnie. Na przedzie człapał stary chłopski koń, ciągnąc bardzo sponiewierany wóz, a idący obok człowiek zachęcał zwierzę do dalszego wysiłku głośnym cmokaniem. Ładunek nie był widoczny, przykrywała go w całości płachta brudnego płótna, a jeden jej koniec trzepotał luźno na wietrze. Po drugiej stronie wozu szedł Udd, najmniejszy z wyzwolenców, wbijając

krótkowzroczne spojrzenie w końskie chomąto, wynalazek Norwegów, który oprócz nich miało okazję oglądać bardzo niewielu Anglików. Dzięki tej innowacji koń ciągnął dwa razy większy ciężar, niż zaprzężony do tradycyjnego dyszla wół, a Udd, w bardzo dla siebie charakterystyczny sposób, zapomniał zupełnie o celu ich podróży, zafascynowany nowym odkryciem.

Za wozem wlokło się ociężałe ośmiu ludzi: pozostałych sześciu angielskich majtków, medyk Hund, który białe szaty kapłana ukrył pod szarym płaszczem, oraz Karli. Żaden z nich nie miał przy sobie innej broni oprócz zatkniętego za pas noża. Halabardy przytwierdzone zostały gwoździami do boków wozu. Kusze, naciągnięte i załadowane, leżały pod płótnem.

Kiedy wóz wtoczył się na brzeg, dwaj strażnicy przy moście poderwali się na nogi i sięgnęli po wbite w ziemię oszczepy.

- Most jest zamknięty - zawołał jeden ze strażników. - Nikomu nie wolno przebywać na wyspie. Nie widzicie, że słońce zachodzi?

Osmod wystąpił naprzód, krzyżąc coś niewyraźnie w łamanym języku Północy. Wiedział, że na posterunku jest sześciu ludzi. Chciał sprawić, by wszyscy wyszli. Człowiek prowadzący konia zrównał się z Osmodem i nadal zmierzał w stronę mostu.

Strażnik stracił cierpliwość. Odskoczył, wznosił oszczep i krzyknął ile sił w płucach. Z drewnianej chaty wybiegła reszta strażników, ściskając w dłoniach topory i przypinając tarcze. Czterech, policzył cicho Osmod. To dobrze. Odwrócił się i uniósł kciuk w kierunku skupionych wokół wozu towarzyszy.

W ich rękach pojawiły się nagle wycelowane kusze. Sześć, bowiem Udd dopiero biegł po swoją.

- Pokażcie im - rzucił zwięźle Osmod.

Fritha, wyborowy strzelec grupy, wstrzymał oddech i zwolnił spust. Rozległ się krótki brzęk, a zaraz potem głuchy odgłos. Jeden ze strażników jęknął, pobił gwałtownie i spojrzał w dół, na żelazny belt, który przeszedł na wylot przez tarczę i utkwiał głęboko w ramieniu. Fritha opuścił kuszę, wsunął stopę w strzemię, szarpnął dźwignię w kształcie koziej nóżki i założył następną strzałę.

- Wzięliśmy was na cel - zawołał Osmod. - Te belty przebiją każdą tarczę i pancerz. Nie pokonacie nas. Możecie tylko zginąć.

Rzućcie to wszystko na ziemię i wracajcie do chaty.

Strażnicy spojrzeli po sobie. Byli to dzielni ludzie, lecz zbił ich z tropu fakt, że przeciwnik nie chce zmierzyć się z nimi twarzą w twarz, a jedynie grozi im z daleka.

- Możecie zatrzymać miecze - zaoferował Osmod. - Rzućcie tylko oszczepy. I wejdźcie do chaty.

Rzucili wreszcie oszczepy i wycofali się tyłem, nie spuszczać wzroku z nieprzyjaciół. Dwaj Anglicy podbiegli do chaty z deskami, młotkami i gwoździami, szybko i byle jak zabili nimi drzwi i j' dynę okno.

- Nauczyliśmy się czegoś od króla Shefa - zauważył Cwicca. Zanim coś zrobisz, musisz dokładnie wiedzieć, co chcesz zrobić.

- Wkrótce się uwolnią- powiedział Karli.

- A wtedy dojdą do wniosku, że złapali nas w pułapkę. Zyskamy trochę więcej czasu.

Wóz zaturkotał na moście, którego drewniane bale zimą unieruchamiał lód, latem zaś, obciążone, zanurzały się w wodzie. Wyzwoleńcy nieśli teraz kusze i halabardy, wcale się z tym nie kryjąc.

Zmierzch na Północy trwał długo, więc broń musiała być doskonale widoczna. Ale nie powinni nikogo spotkać, póki nie dotrą na przeciwległy kraniec wyspy, do następnego mostu.

Dwaj strażnicy przy drugim moście, słysząc zbliżający się wóz, którego z całą pewnością powinno tu być, zostali ostrzeżeni wcześniej i mieli więcej czasu na ocenę sytuacji. Na widok wycelowanych kusz jeden z nich podjął szybką i rozsądną decyzję - rzucił się do ucieczki z zamiarem wezwania pomocy. Fritha wymierzył starannie i posłał mu strzałę w udo, kładąc go na miejscu. Drugi strażnik ostrożnie położył broń na ziemi, obdarzywszy ich przy tym nienawistnym spojrzeniem.

Hund wystąpił naprzód, by rzucić okiem na ranę, którą zadał bełt, i cmoknął językiem, widząc tryskającą krew. Grot trafił prosto w kość.

Osmoś dołączył do niego.

- Ktoś się zdrowo namęczy, żeby to usunąć - zauważył. - Mimo to lepiej jest żyć niż umrzeć, a kolegium w Kaupangu ma najlepszych medyków na świecie.

Hund przytaknął.

- Ty zaś, bracie, kiedy zabierzesz go do mistrza Ingulfa, który wyleczy tę nogę, przekaz mu pozdrowienia od kapłana Hunda i powiedz, że Anglicy oszczędzili tego człowieka na moją prośbę. A na razie podwiąż mu ranę, to powinno zatamować krwawienie. - Pokazał swój srebrny amulet w kształcie jabłka - znak Ithun, bogini lekarzy, i odwrócił się.

Wóz potoczył się po drugim moście, a potem przez drugą wyspę, w kierunku ostatniej już przeprawy przed Drottningsholmem.

Wyzwoleńcy szli teraz zwartą grupą, spoglądając od czasu do czasu za siebie, czy nikt ich nie ściga. Wiedzieli, że tym razem nie obejdzie się bez walki.

Trzeci posterunek był najsilniejszy, ostatniego mostu strzegło dwunastu ludzi. Mieli za sobą męczący dzień, wszystkim udzielił się niepokój spowodowany zaginięciem kapitana Steina. Przetrzęsnęli całą wyspę z wyjątkiem komnat królowych, bez skutku. Teraz czekali na pozwolenie od króla Halvdana, by przeszukać również dwór królowej, ale nie obiecywali sobie po tym zbyt wiele. Byli pewni, że w pobliżu czają się wrogowie, może zwyczajni mordercy, a może potwory z morskich głębin. Niektórzy widzieli krążące wokół wyspy orki, ich wielkie płetwy grzbietowe, i zastanawiali się, czy Stein mógł być na tyle głupi, by wejść do wody. Odległe krzyki i jakieś dziwne dźwięki dochodzące z północy zaniepokoiły ich jeszcze bardziej. Kiedy w polu ich

widzenia znalazł się wóz i jego eskorta, wbiegli na most, by zablokować przejazd. Czterech zbrojnych ustawiło się w pierwszej linii, trzech dalszych w głębi.

Z drugiego szeregu wypuszczono strzałę, wymierzoną w koński łeb. Niezależnie od tego, co było na wozie, strażnicy za wszelką cenę chcieli go zatrzymać. Wilfi, który prowadził konia, miał teraz w ręku nową tarczę, pokrytą warstwą hartowanej stali. Podniósł ją, a strzała odbiła się od niej i spadła na ziemię. Grot był mocno spłaszczony.

Cwicca, Osmo i Lulla postąpili naprzód z nastawionymi halabardami, przyklękli najedno kolano i skierowali ostrza w stronę stojących czterdzieści stóp dalej Norwegów. Za tą osłoną ustawiło się czterech kuszników.

- Rzućcie broń! - krzyknął Osmo. Nie miał wielkiej nadziei, że to zrobią. Dwunastu doświadczonych wojowników miałyby skapitulować przed mniejszą liczbą jakichś obcych przybyszów? Matki chyba wyparłyby się ich. Lecz Osmo poczuł się odrobinę nieswojo na myśl o zabiciu ludzi, bezbronych wobec broni, której nie znali. Począł, aż napiął łuki i wycelują oszczepy, nim krzyknął ponownie.

- Strzelać!

Cztery kusze brzęknęły jednocześnie. Strzelali z odległości czterdziestu stóp do nieruchomych celów, więc nikt nie mógł chybić.

Pierwsza linia wikingów runęła, jednego z nich impet pędzącej strzały dosłownie uniósł w powietrze. Wojownik w drugiej linii westchnął i osunął się na ziemię, kiedy strzała przeszła na wylot jego towarzysza i utkwiała mu w piersi.

Inny wiking przeskoczył przez stertę trupów u swoich stóp i runął naprzód, z mieczem wzniesionym do jednego, potężnego uderzenia. Jego wasy okryły się pianą podczas tego szaleńczego biegu, pragnął zadać tylko jeden cios i umrzeć w chwale. Biegąc wzywał chrapliwie Ody. Strzała z kuszy posłana przez krótkowidza Uda świsnęła mu koło ucha, następna, którą wystrzelił niedoświadczony

Karli, przeszła nad jego głową.

Kiedy zbliżył się na odległość trzech kroków, Osmo powstał z klęczek, chwycił mocno drzewce długiej halabardy i zadał nią od dołu mocne pchnięcie. Atakujący wojownik i adział się w biegu na wyostrzony szpic, który przebił mu serce, i parł jeszcze do przodu ostatkiem sił, póki nie zatrzymało go rozszerzające się w bojowy topór żeleźce. Wydając ostatnie tchnienie, patrzył prosto przed siebie zdumionym wzrokiem.

Miecz wypadł mu z ręki i wiking skonał. Osmo wyszarpnął drzewce, wytarł skrwawione ostrze, cofnął się i znowu przyklękął.

Za jego plecami szczęknęły napinane ponownie kusze.

Sześciu pozostałych przy życiu strażników złamało szyk i rzuciło się do ucieczki; czterej pobiegli wzdłuż wybrzeża, dwaj przez most, w stronę Drottningsholmu. Osmo wskazał na nich ręką.

- Połóżcie tych dwóch - powiedział. - Reszta niech ucieka.

Usunęli z drogi ciała i wóz potoczył się dalej, pr*zeż ostatni już most. Koń pobiegł teraz klusem, kilku Anglików szło w straży tylnej za wozem, na wypadek pościgu. Osmoś i Cwicca ruszyli przodem, wypatrując w półmroku czegoś, co zgodnie z ich informacjami powinno tu być.

- Jest - powiedział Cwicca, wskazując przed siebie. - Powiedz

Uddowi i Hundowi, żeby zajęli się łodzią, i tak niewielki z nich będzie pożytek. Muszą tylko zepchnąć ją na wodę i opłynąć cypel.

Osmoś wydał rozkazy i dwaj wyzwolenicy pobiegli w kierunku łodzi.

- Wy, reszta, oprzyjcie się o wóz, wepchniemy go na to wzgórze. Dwór jest po drugiej stronie, a teraz musimy się już śpieszyć.

Koń i ludzie naparli wspólnymi siłami na wóz, który wspiął się na niewielką pochyłość, minął jodłowy zagajnik i wyjechał na rozległą polanę. Na samym jej środku wznosił się dwór obu królowych, ze spadzistym dachem, ozdobnymi szczytami i rogami jeleni nad główną bramą. Nie zdradzał oznak życia, tylko jedna wystraszona twarz spoglądała zza okiennicy, a z jednego z kominów ulatywał w górę dym.

Wyzwolenicy obrócili wóz tyłem do dworu, zrzucili brudną płachtę, zdjęli pokrowiec i przypadli do pękatego cielska muła, osadzonego na platformie.

- Nie tam! - zawołał Karli. - To pokój niewolników. Shefa trzymają w osobnej komnacie. Obróćcie muła sześć stóp w prawo!

Podniesienie ważącego tonę i ćwierć muła nawet nie wchodziło w rachubę. Zamiast tego Wilfi ostrożnie poprowadził konia, cal po calu obracając wsparty na potężnych osiach wóz.

- Ładować! - powiedział ochryple Cwicca, dając ręką znak swojej świetnie wyszkolonej załodze. Fritha podniósł z platformy dwudziestofuntowy, wygładzony przez wodę głaz i umieścił go w kieszeni procy. Wszyscy z wyjątkiem Cwicci i Hamy, który zwalniał mechanizm spustowy, zeskoczyli z wozu. Nie strzelali nigdy z tak małej platformy, nie byli więc pewni, jaki efekt spowoduje potężne kopnięcie muła.

Cwicca raz jeszcze spojrzął na swój cel, a potem opuścił ramię, dając sygnał do strzału.

Shef leżał w puchowej pościeli na wielkim rzeźbionym łożu, całkowicie odprężony. Jeszcze nigdy w życiu nie spędzał tyle czasu w łóżku, może tylko raz, dawno temu, kiedy powaliła go bagienna gorączka. Człowiek, który przebudził się już ze snu, powinien pracować albo jeść, lub oddawać się przyjemnościom. Tak uważali wszyscy, których znał. Idea odpoczynku była im obca.

Lecz wszyscy oni byli w błędzie. Obecnie, czy to w dzień, czy w nocy, Shef prawie nie wstawał z wielkiego łoża, chyba jedynie po to, by zjeść posiłek. Ale czasami posiłki też jadał w łóżku, również te, które niewolnice przynosiły mu w ciągu dnia. Nigdy nie czuł się lepiej.

Być może sprawiała to królowa. Przychodziła do niego często, nawet bardzo często, nigdy dotąd nie wyobrażał sobie, że coś takiego jest w ogóle możliwe. W surowym i ponurym domu Shefa, gdzie rządził jego nabożny, surowy ojczym Wulfgar, wszelkie formy zmysłowości były zakazane

w niedziele, w przeddzień niedzieli, podczas Wielkiego Postu, Adwentu i innych świąt kościelnych. Służba oczywiście nie stosowała się do tych zakazów, a tym mniej wieśniacy, ale zmysłowość nabierała przez to aury tajemniczości, stając się czymś, co trzeba chwycić ukradkiem, w chwilach wolnych od pracy lub nocą, między zaśnięciem a przebudzeniem. Kobieta taka, jak królowa Ragnhilda, była postacią ze snów, kimś przekraczającym wszelkie wyobrażenia wiejskiego młokosa.

Lecz to, co przeżywał obecnie, też przerastało jego wyobraźnię.

Zdumiony Shef stwierdził, że na samą myśl o tym, co przed chwilą widział i czego doświadczył, jego członek znowu robi się twardy

Ale królowa nie wróci prędko, powiedziała, że idzie pospacerować po wybrzeżu. Lepiej więc oszczędzać siły. Niedawno jadł, mógłby się więc znów przespać. Kiedy zamknął oczy i położył głowę w zagłębieniu poduszki, przypomniał mu się Karli. Ciekawe, co teraz robi. Któraś z niewolnic na pewno będzie wiedziała. Nie spytał nawet o ich imiona. Dziwne. Chyba wreszcie zaczął zachowywać się jak król.

We śnie Shef znalazł się w kuźni, tak jak raz się to już zdarzyło.

Nie była to wielka kuźnia bogów w Asgardzie, którą kiedyś odwiedził, ale trochę ją przypominała. Wszędzie wokół poniewierały się skrzynie, drewniane kłocze, odrapane stoły. Do ścian w wielu miejscach przybite były poręcze.

To dlatego, przypomniał sobie Shef, że kowal jest kulawy. Przebywał teraz w jego ciele, więc doskonale pamiętał przeszywający ból, kiedy nóż przecinał mu ścięgna, i roześmianą twarz swego wroga, Nithhada, a także obietnicę, jaką złożył mu Nithhad.

- Teraz, kiedy masz przecięte ścięgna, nie uciekniesz daleko, Vólundzie, ani na własnych nogach, ani na nartach. A przecięte ścięgno nigdy się na powrót nie zrasta. Ale nadal masz sprawne ręce i nadal masz oczy. Pracuj więc, Vólundzie, potężny kowalu! Pracuj dla mnie, Nithhada, dniami i nocami rób dla mnie nowe cuda. Ponieważ nie ma stąd dla ciebie ucieczki ani lądem, ani wodą. A ja obiecuję ci, chociaż jesteś mężem Walkirii: jeśli nie zapracujesz codziennie na swój chleb, poczujesz bat na grzbiecie, jak najnędrniejszy fiński pies spośród moich niewolników!

A potem Nithhad kazał go związać i na dowód, że nie żartuje, wychłostał go rzemiennym pejczem. Vólund do tej pory pamiętał ból w plecach, swój wstyd i błyszczące oczy królowej, żony Nithhada, która na to patrzyła. Na palcu królowej połyskiwał pierścień jego żony, ponieważ nie tylko go okaleczyli, ale również okradli.

Shef-który-był-teraz- Yólundem uderzał wściekle młotem w rozpalone żelazo, gdy nachodziły go takie wspomnienia. W tym stanie ducha wołał nie pracować nad miedzią czy srebrem, a zwłaszcza czerwonym złotem, którego najbardziej pożądał Nithhad.

Kiedy kuśtykał po swojej kuźni, kołysząc się z boku na bok, spostrzegł, że przyglądają mu się jasne oczy. Czworo oczu. Dwaj synowie Nithhada, młodzi chłopcy, przyszedli posłuchać dźwięku młota, popatrzeć na ogień i błyszczące klejnoty. Vólund przerwał pracę i spojrzał na nich. Nithhad pozwalał im tu przychodzić, pewien, że jego niewolnik nigdy stąd nie ucieknie, a skoro nie ucieknie, nie będzie się również mścił, bo choć owładnięty jest szaleńczym pragnieniem zemsty,

nie zdołałby uniknąć kary. W myśl zasad ludzi Północy nie byłoby to ani mądre, ani honorowe. Zemsta naprawdę godna tego miana, to zemsta doskonała.

Wysoko, pod samym stropem - musiał podciągać się na swych silnych ramionach kowala, aby tam sięgnąć - leżały na krokwiach skrzydła Vólunda, magiczne skrzydła, które dla siebie sporządził i dzięki którym mógł się stąd wydostać. Ale najpierw dokona aktu zemsty doskonałej.

- Chodźcie popatrzeć - zawołał Vólund do przyglądających się chłopców. - Zobaczcie, co mam w tej skrzyni.

Sięgnął do środka i pokazał im łańcuch ze złotych ogniów, wysadzany drogimi kamieniami, czerwonymi, niebieskimi i zielonymi, które układały się w misterny wzór. - Albo spójrzcie na to. - Na króciutką chwilę wyjął ze skrzyni rzeźbione pudełko z kości morsa, inkrustowane srebrem. - Chodźcie, w skrzyni jest jeszcze mnóstwo rzeczy. Zerknijcie chociaż, jeżeli się nie boicie.

Dwaj chłopcy powoli podeszli do ognia, trzymając się za ręce.

Jeden miał sześć lat, drugi zaledwie cztery, byli dziećmi Nithhada i jego drugiej żony, znacznie młodszymi od swej przyrodniej siostry, dziewiczej Bóthvildy, która czasem również przychodziła do kuźni, by przyglądać się pracującemu Vólundowi, ukryta w cieniu. Tych miłych, subtelnych i bardzo nieśmiałych chłopców nie zepsuła jeszcze chciwość ich ojca i przebiegłość matki. Jeden z nich dzień wcześniej dał Vólundowi jabłko; zostawił je specjalnie dla niego, z własnej kolacji.

Vólund kiwnął na nich i otworzył skrzynię. Podpierał masywne wieko jedną ręką uważając, aby trzymać za uchwyt. Spędził przedtem wiele godzin, rezygnując nawet ze snu, by przyspawać do wieka skrzyni długie żelazne ostrze. Żaden wykuty przez niego miecz nie miał tak ostrej krawędzi. To były dobre dzieci i nie chciał zadawać im bólu.

- Chodźcie, zobaczcie! - zachęcił ich znowu. Zajrzeli do środka, piszcząc z podniecenia jak myszy. Ich szyje opierały się o żelazną krawędź skrzyni. Vólund, choć okrutny był z niego człowiek, odwrócił oczy, gdy szykował się do zatrześnięcia pokrywy...

Nie chcę być w jego ciele, pomyślał Shef, wijąc się w mocnym uścisku palców boga, by nie oglądać tej sceny. Nawet jeśli ma to być dla mnie lekcja, nie chcę się jej nauczyć.

Kiedy w jakiś sposób zdołał się uwolnić, ujrzał następną wizję, głęboko pod kuźnią, gdzieś w skalistych trzewiach ziemi, nie w Śródziemiu, ale pośród ścian otaczających Dziewięć Światów, gdzie żyją ludzie, bogowie i olbrzymy. Zobaczył wielką postać, okrutne, nieprzeniknione oblicze boga, przywiązane potężnymi pętami do podstawy Wszechświata. Wielki wąż syczał tuż obok niego i pluł mu jadem w twarz wykrzywioną cierpieniem, ale nadal świadomą, myślącą nadal wypatrującą czegoś w dali, gdzie nie sięgał ból.

Shef zdał sobie sprawę, że ów spętany bóg to Loki, który, jak wierzyli kapłani Drogi, został przykuty do skały i skazany na męki przez swego ojca Odyna za zamordowanie brata, Baldera. Lecz gdy nadejdzie Ostatni Dzień, uwolni się i powróci, by wraz ze swym straszliwym potomstwem szukać pomsty na bogach i ludziach. Shef ujrzał, że jeden z olbrzymich łańcuchów jest już prawie wyrwany ze skały. Kiedy Loki uwolni jedną rękę, zdoła zadusić torturującego go węża, którego zesłał jego ojciec, Odyn. Już oswobodził się na tyle, by dawać ręką znaki, przyzywać swych towarzyszy, potworne plemię, przyczajone w lasach i w głębinach mórz. Przez moment wściekle oczy więźnia zdawały się patrzeć wprost na Shefa.

Kiedy Shef raz jeszcze spróbował się wyrwać z koszmaru, znów poczuł strumień myśli Vólunda.

Zrób, co masz zrobić, płynęły ku niemu myśli. Zrób to teraz. A potem usuń mózgi z czaszek i rzeźbij w nich, tak jak w kości morsa, wypoleruj zęby, aż staną się podobne do pereł, wyjmij błyszczące oczy z ich orbit...

Wracając do własnego ciała, Shef zobaczył jeszcze przez mgnienie, jak ostre wieko opada, usłyszał straszliwy huk.

Usłyszał huk naprawdę. Nadal czuł, jak jego łóżko drży. Jednym kopnięciem wyswobodził stopy z lnianego prześcieradła i wełnianego koca, wyczołgał się z pościeli, zaczął szukać tuniki, spodni i butów. Czy to królewski małżonek przychodził po niego?

Drzwi otworzyły się ze skrzypieniem i do pokoju wbiegł chłopiec, Harald.

- Matko! Matko! - Zatrzymał się, spostrzegłszy, że na łóżku jego matki siedzi tylko Shef. Bez chwili namysłu wyciągnął zza pasa swój mały nóż i rzucił się na Shefa, chcąc przebić mu gardło.

Shef sparował cios, złapał chłopca za cienki nadgarstek i wytrącił mu nóż, ignorując wściekłe kopniaki i uderzenia pięścią wolnej ręki.

- Spokojnie, spokojnie - powiedział. - Po prostu tu czekam. Co się dzieje?

_ Nie wiem. Ludzie i... i coś, co ciska skałami. Jedna ściana jest zupełnie strzaskana.

Shef pozwolił chłopcu odejść i wybiegł z sypialni do komnaty królowej. Ledwie zdążył tam wejść, kiedy drzwi prowadzące na główny korytarz runęły i do środka wpadła gromada ludzi z nożami i wycelowanymi kuszami. Zobaczyli, że to on, w tym samym momencie, gdy Shef rozpoznał Cwicę i ruszył ku nim, machając gwałtownie rękami.

Karli przepchnął się do przodu; krzyczał coś, czego w gwarze podnieconych głosów nie można było zrozumieć.

- Nie musieliście tego robić! - wrzasnął Shef w odpowiedzi. Nic mi nie jest. Powiedz im, żeby przestali.

Karli położył mu dłoń na ramieniu, próbując pociągnąć go w stronę drzwi. Shef z wściekłością odtrącił jego rękę i nagle zdał sobie sprawę, że Karli ma zamiar powalić go na ziemię bez przytomności, tak jak to już raz zrobił. Uskoczył przed lewym prostym, podniósł ramię akurat w samą porę, by zablokować prawy sierpowy, uderzył głową w złamany nos Karliego i złapał go za ramiona, starając się uniemożliwić mu wyprowadzenie czystego ciosu. Gdy walczyli ze sobą, Shef poczuł, że inne ręce chwytają go za ramiona i nogi, usiłując podnieść go do góry i wynieść niczym pakunek. Nad samym uchem usłyszał zdyszany głos.

- Uderz go workiem z piaskiem, Cwicca, on nie pójdzie dobrowolnie.

Shef puścił Karliego, odepchnął ludzi trzymających go za ramiona, stratował tych, którzy uczepili się jego nóg i nabrał powietrza przed następnym rykiem.

Nie widział, że do pokoju weszła też królowa Asa. Jeden z angielskich wyzwolenców stał nieco z boku i śledził bezradnym wzrokiem szamotaninę na podłodze. Nie potrafił zmusić się do tego, by podnieść rękę na swego pana. Stara królowa chwyciła żelazny drąg, służący do wzywiania niewolników, uderzyła go zniecierpliwiona w głowę, a kiedy upadł, wyjęła mu zza pasa scramasax. Lekko utykając ruszyła w kierunku Shefa, który zrobił rogiaczka z jej syna i zagrażał jej wnukowi. Nadal nieświadomy niczego Shef odwrócony był do niej plecami.

W tej samej chwili mały Harald, również przypatrujący się wściekle, poczuł, jak zagrała w nim krew wielu pokoleń przodków-wojowników. Z przenikliwym krzykiem wznosił swój nóż i rzucił się na najeźdźców, którzy wdarli się na jego dwór. Shef zdołał złapać chłopca w biegu i przytulił go mocno do siebie, by uniknąć jego ciosów. Ponownie wrzasnął.

- Niech nikt nie rusza się z miejsca!

Na twarzach stojących przed nim ludzi malował się przestach, wszyscy zaczęli biec w jego stronę. Z szybkością, której nauczył się na zapaśniczej arenie, Shef odwrócił się, wciąż przyciskając do siebie Haralda.

Królowa Asa uderzyła z furją nożem o szeroki ostrze. Shef usłyszał stłumiony jęk, poczuł ukłucie nad zębem. Spojrzał na chłopca w swoich objęciach. Zobaczył, jak Harald unosi ku niemu zdumioną twarz, a w jego oczach maluje się nieme pytanie. Zobaczył nóż, który przeszedł przez ciało chłopca, przebijając po drodze serce. Nóż w dłoniach jego babki.

Shef usłyszał, jak gdzieś w oddali znów trzasnęło wieko. A potem trzasnęło jeszcze raz i jeszcze raz.

W pokoju zrobiło się nagle zupełnie cicho. Shef rozluźnił uścisk i powoli ułożył na podłodze małe ciało.

Gdy patrzył w dół, miał przez chwilę wrażenie, jakby wzrok zasnuła mu mgła. Zdawało mu się, że patrzy nie na drobną sylwetkę dziesięcioletniego chłopca, lecz na dorosłego mężczyznę, wysokiego i silnego, z grzywą bujnych włosów i gęstą brodą.

To był Harald Pięknowłosa, powiedział zimny, rozbawiony, znajomy głos. Harald Pięknowłosa tak właśnie by kiedyś wyglądał. Jesteś teraz jego spadkobiercą. Odziedziczyłeś po królu Edmundzie jego skarby, i zapłaciłeś za nie swoją młodością. Odziedziczyłeś szczęście po królu Alfredzie, i zapłaciłeś swoją miłością. Teraz dziedziczysz przeznaczenie po królu Haraldzie. Czym zapłacisz tym razem? I nie próbuj więcej odwracać się od moich wizji.

Trwało to tylko chwilę. Shef znów stał w tym samym pokoju, patrząc na zakrwawione ciało. Harald nie żył. Shef czuł, jak z chłopca uchodziło życie. Ktoś znów położył dłonie na ramionach Shefa, ciągnąc go do wyjścia, i tym razem Shef już się nie opierał. Widział, jak królowa Asa powoli, krok po kroku, podchodzi do ciała swego wnuka, trwożnie wyciągając przed siebie trzęsącą się dłoń. Stracił ją z oczu, kiedy pociągnęli go za sobą na korytarz, a potem wyprowadzili przez główną bramę, roztrzaskaną kamieniem z katapulty, na otwartą przestrzeń.

Gdy wydostali się na zewnątrz, znów zapanował zgiełk, ktoś krzyczał: "Ale ona ciągle ma mój nóż!", inni warczeli na niego.

Osmoś liczył: "Siedem, osiem, dziewięć, w porządku, wszyscy, ruszajmy". Nie wiadomo skąd pojawił się Cwicca z płonącą głownią i barylką drewnianych szczap na podpałkę, wrzucił jedno i drugie na platformę wozu, puścił konia wolno i patrzył, jak wóz obejmują płomienie.

- Nie dostaną naszego muła - zawołał.

- Co tu robią te kobiety? - krzyknął Osmoś na widok Karliego, który prowadził ze sobą dwie niewolnice. Za nim biegły jeszcze dwie, bardzo wystraszone.

- Idą z nami.

- Łódź jest sześćoosobowa, nie ma dla nich miejsca.

- Muszą iść. Zwłaszcza teraz, kiedy chłopiec nie żyje. Poderżną im gardła na jego pogrzebie.

Osmoś, były niewolnik, nie sprzeczał się dłużej.

- W porządku, ruszamy.

Pobiegli bezładną gromadą, dziewięciu mężczyzn i cztery kobiety, kierując się w stronę małej plaży, gdzie Martha zabiła Steina zeszłego wieczoru. Cwicca i Osmoś, z napiętymi kuszami, ubezpieczali tyły. W połowie drogi Shef usłyszał przeraźliwy, rozdzierający krzyk, wiedział, że to Ragnhilda wróciła ze swego spaceru nad morzem. Dobięły ich też męskie głosy, choć o wiele cichsze.

Strażnicy, których obezwładnili po drodze, ściągnęli posiłki i gnali teraz za nimi, pałając żądzą odwetu.

Nie biegli już, pędzili na złamanie karku, nie oglądając się na innych, aby tylko jak najszybciej dotrzeć do plaży, gdzie czekała na nich łódź, z Uddem i Hundem przy wiosłach, gotowa do natychmiastowego wypłynięcia. Mężczyźni i kobiety wskoczyli do niej hurmem, potykając się o ławki, jedni chwyтали za wiosła, innych odpychano, by nie przeszkadzali. Nadmiernie obciążona łódź szorowała o kamieniste dno, więc Shef i Karli znów wskoczyli do wody i odepchnęli ją od brzegu, sześć stóp, dziesięć, aż dno zaczęło opadać, a wówczas wciągnięto ich na pokład przez burty, wystające zaledwie o kilka cali nad powierzchnię morza. Sześciu mężczyzn usiadło przy wiosłach, zaparli się nogami, pociągnęli mocno raz, potem drugi, a Osmoś ochryłym głosem zaczął podawać tempo.

Wóz na wzgórzu płonął teraz jasnym płomieniem i w jego migotliwym świetle Shef zobaczył wysoką postać królowej Ragnhildy, która schodziła na brzeg, wyciągając przed siebie ramiona. Strzały wypuszczane przez biegnących za nią ludzi upadały w wodę tuż obok łodzi, ale Shef nie zwracał na nie uwagi, zniecierpliwionym gestem każąc też opuścić przygotowane do strzału kusze.

- Złodzieju szczęścia! - krzyczała Ragnhilda. - Morderco mojego syna! Obyś sprowadził zgubę na wszystkich, którzy cię otaczają! Obyś nigdy więcej nie zaznał kobiety! Obyś nigdy nie doczekał się następcy! .

- To nie była jego wina - mruknął Wilfi, siedzący na dziobie łodzi, i dotknął obolałego miejsca na głowie, gdzie trafił go żelazny drag - To ta stara wariatka, która zabrała mi nóż.

- Nic nie mów o swoim nożu - warknął Fritha. - Trzeba go było lepiej pilnować.

Sprzecjali się dalej, a łódź, popychana miarowymi uderzeniami wiosł, pogrążała się w coraz gęstszym mroku. Najpierw muszą oddalić się od wyspy, nim zawrócą w stronę stałego lądu, by uniknąć okrętów wojennych króla HaWdana, które rzadko pływały blisko wybrzeży.

Shef siedział na rufie i patrzył na rozpaczającą na brzegu kobietę, póki nie skryła jej ciemność.

Rozdział piętnasty /Ylfred, król Zachodnich Sasów, który wraz z nieobecnym królem

Shefem sprawował władzę nad wszystkimi angielskimi hrabstwami na południe od Trentu, z lekkim niepokojem patrzył na swoją młodą żonę, kiedy wchodziła na szczyt wzgórza wznoszącego się nad

Winchesterem. Istniała taka możliwość - medycy nie byli jeszcze pewni - iż Godiva nosi jego dziecko, wołałby więc, aby unikała niepotrzebnego wysiłku. Wiedział jednak, że jego żonę irytująprzejawy nadmiernej troski, gryzł się zatem język w język i milczał.

Weszła na sam wierzchołek, odwróciła się i spojrzała na rozległą równinę. O tej porze roku okolica tonała w bieli kwitnących drzew owocowych, ponieważ w całym Hampshire churlowie hodowali jabłonie, aby móc potem robić swój ukochany jabłecznik. Po drugiej stronie otoczonego palisadą miasta ciągnął się szeroki pas uprawnych pól, trwała tam właśnie orka. Wieśniacy prowadzili tam i z powrotem powolne zaprzęgi wołów, zostawiając za sobą długie, ciemne bruzdy zaoranej ziemi: bardzo długie bruzdy, ponieważ zaprzęg składał się z ośmiu zwierząt i wykręcić nim nie było wcale łatwo. Alfred podążył wzrokiem w tę stronę, gdzie patrzyła Godiva.

- Spójrz - powiedział. - Tam orze zaprzęg złożony z czterec.i koni, zamiast z ośmiu wołów. Na twojej własnej ziemi. Szeryf

Wonred widział chomąta, których używa armia Drogi do przewożenia swoich katapult, i był bardzo ciekaw, jak spiszą się w polu.

Mówi, że konie jedzą więcej niż woły, ale za to są silniejsze, szybsze i wykonują więcej pracy. Chciałby zająć się hodowlą koni, dużych i krzepkich. Jest jeszcze jedna korzyść, o której nikt jak dotąd nie pomyślał. Wyprowadzenie wołów w jarzmie na pole i powrót z nimi do domu zabiera churlom większą część dnia. Jeśli woły zastąpi się końmi, wieśniacy będą mieli więcej czasu na pracę w polu.

- I więcej czasu na odpoczynek, mam nadzieję - powiedziała

Godiva. - Churlowie żyją tak krótko również dlatego, że odpoczywają tylko w niedzielę, a Kościół i tak im to zabiera.

- Zabierał - poprawił Alfred. - Teraz to zależy od nich samych.

Zawahał się na chwilę i objął ją delikatnie ramieniem.

- Przyznasz, że to się nam udało - powiedział. - Nie sędzę, aby ktokolwiek zdawał sobie sprawę, jak bogaty może stać się kraj, jeśli ludziom pozwoli się pracować w spokoju, bez panów. Lub z panem, który otacza troską swoich podwładnych. Ale dobre wieści nadchodzą codziennie. To, co

powiedział mi król Shef, twój brat, to szczerą prawdą. Zawsze jest ktoś, kto zna właściwą odpowiedź, tylko nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby go zapytać. Wczoraj przyszli do mnie górnicy z kopalni ołowiu na wzgórzach. Kopalnie były kiedyś własnością mnichów z Winchcombe. Teraz mnisi odeszli i górnicy prowadzą je sami, dla mojego szeryfa i erla z Gloucester.

Powiedzieli mi, że Rzymianie wydobywali kiedyś w tych górach srebro, i myślą, że oni też mogliby spróbować.

- Srebro - zadumał się. - Gdyby czarni mnisi o tym wiedzieli, zapędziliby swoich niewolników w góry batem, wielu by pewnie umarło, szukając tego kruszcu. Niewolnicy więc nic im nie powiedzieli. Przyszli z tym do mnie, ponieważ wiedzą, że się z nimi podzielę. Ostatnio biliśmy coraz gorsze monety, i wkrótce pieniądź z Canterbury byłby tak samo zły, jak z Yorku. Teraz, kiedy zabrałem srebro, które gromadził Kościół, moneta z Wessex jest tak dobra, jak w kraju Franków czy w krajach Germanów. I kupcy ściągają do nas zewsząd, z Dorestad i z Compostelli, a nawet z kraju Franków, jeśli tylko zdołają ominąć blokadę swego króla. Wszyscy płacą cła, a ja mogę wynagradzać moich górników. Kupcy są zadowoleni, górnicy są zadowoleni, i ja też jestem zadowolony.

Widzisz więc, Godivo, że wszystko zmierza ku lepszemu, nawet dla churlów. Może się zdawać, że to mało, ale koń i pełny brzuch, nawet podczas Wielkiego Postu, to dla wielu szczęście, o jakim wcześniej nie mogli nawet marzyć.

W starej katedrze w mieście u stóp wzgórza zaczął bić dzwon, jego dźwięczne tony rozbrzmiały nad rozległą równiną. Dzwonił prawdopodobnie na wesele: kapłani, którzy pozostali w Wessex, przekonali się, że jeśli chcą zdobyć wiernych dla Białego Chrystusa, muszą posługiwać się swoją wspaniałą muzyką i rytuałami, które nadal wywierały większe wrażenie niż dziwaczne opowieści misjonarzy Drogi z Północy.

- Ale to wszystko nadal służy wojnie - odparła.

Alfred przytaknął.

__ Zawsze tak było. Kiedy byłem chłopcem, ta równina przypominała wypaloną pustynię. Wikingowie zdobyli miasto i spalili wszystkie domy, z wyjątkiem kamiennej katedry. Zwaliliby ją, gdyby starczyło im czasu. Walczyliśmy z nimi wtedy i walczymy teraz.

Różnica polega na tym, że obecnie walczymy z nimi na morzu, a nasza ziemia jest bezpieczna. Im dłużej tak będzie, tym my stajemy się silniejsi, a oni słabsi.

Znów się zawahał.

- Czy tęsknisz za... za swoim bratem? Dobrze wiem, ile mu zawdzięczam. Gdyby nie on, już dawno bym nie żył, albo byłbym jakimś nędznym banitą, a w najlepszym razie marionetką w ręku biskupa Daniela. A może jarłem wśród wikingów, kto wie? Zawdzięczam mu wszystko. - Poglądził jej dłoń. - Nawet ciebie.

Godiva spuściła wzrok. Jej mąż zawsze, a w każdym razie ostatnio, nazywał Shefa jej bratem, choć doskonale wiedział, była tego pewna, że nie łączą ich żadne więzy krwi. Czasem zastanawiała się, czy Alfred nie domyślił się prawdy o ich wzajemnych związkach, być może wiedział także, iż jej pierwszy mąż był w rzeczywistości jej przyrodnim bratem. Lecz nawet jeśli coś podejrzewał, to z

wrodzoną sobie delikatnością nie zadawał żadnych pytań. Nie wiedział jednak, że w czasie pierwszego małżeństwa dwukrotnie już poroniła, celowo, pijąc wywar z trującego ziele. Gdyby wierzyła w jakiegokolwiek boga, czy to w boga chrześcijan, czy w któregoś z dziwacznych bogów Drogi, modliłaby się teraz do niego lub do nich, aby dziecko, które chyba znów nosiła w łonie, urodziło się szczęśliwie.

- Mam nadzieję, że żyje.

-Nikt, jak dotąd, nie widział go martwego. Wszyscy kupcy wiedzą, że za wieści o nim wyznaczono nagrodę. Jeszcze większą dostanie ten, kto sprowadzi go z powrotem do Anglii.

- Nie każdy król byłby skłonny zapłacić za powrót rywala.

- On nie jest moim rywalem. Prawdziwi wrogowie siedzą za

Kanałem lub na Północy, ci, którzy knują intrygi i sieją niezgodę.

Stoimy na tym wzgórzu, patrząc na zaorane pola, i wydaje nam się, że jesteśmy bezpieczni. Ale powiadam ci, czułbym się o wiele bezpieczniej, gdyby Shef powrócił do Anglii. W nim nasza największa nadzieja. Churlowie nazywają go sigesaelig, to znaczy Zwycięski, wiesz.

Godiva uściśnęła ramię męża.

- Ciebie nazywają Alfredem Łaskawym, esteadig. To lepszy przydomek.

W innym miejscu, odległym o wiele dni marszu i wiele dni żeglugi na północ, w wielkim pasiastym namiocie toczyła się inna rozmowa, nie tak spokojna. Namiot ustawiony był tyłem do wiatru, a jego przednią ścianę zwinięto, aby nie przesłaniała widoku znajdującym się wewnątrz ludziom. Spoglądali od czasu do czasu na . pośępny bagnisty pejzaż, bijące tu i ówdzie w niebo słupy dymu, * oraz grupy zbrojnych mężczyzn, którzy uganiaли się po okolicy między skupiskami nędznych chałup, rozproszonych wśród wrzosowisk.

Trzej pozostali przy życiu Ragnarssonowie zasiedli na swych obozowych krzesłach, trzymając w dłoniach rogi napełnione mocnym piwem. Broń, włócznie i długie topory, zatknęli w ziemię obok siebie, każdy z nich miał również u pasa miecz. Już dwukrotnie tej wiosny, od czasu bitwy u ujścia Łaby, ten czy ów jarl ośmielał się rzucić im wyzwanie i zakwestionować ich przywództwo. Wyczuleni jak koty na najmniejszy choćby uszczerbek swojej bojowej sławy, na której przecież opiera się władza, wszyscy trzej zdawali sobie sprawę, że muszą zaoferować coś swoim zwolennikom. Przekupić ich. Przedstawić im dobry plan. W przeciwnym razie każdej nocy zwijane będą coraz to nowe namioty, okręty nie stawiają się na następne wezwanie, ludzie odejdą, by spróbować szczęścia w służbie innego króla mórz, dla którego los jest bardziej łaskawy.

- W ten sposób chłopcy mają zajęcie - powiedział siwowłosy

Ubbi, wskazując na słupy dymu. - Dobra wołowina, dobra baranina, trochę kobiet do zabawy. I żadnych poważnych strat własnych.

-1 żadnego złota - dokończył Halvdan. - Ani sławy.

Sigurth Wężooki wiedział, że nie są to zwykłe utyskiwania, bracia po prostu przedstawiali mu problem, z którym należało się uporać. Nigdy nie skakali sobie do oczu, rzadko się też kłócili. Ich wzajemne stosunki nie uległy zmianie nawet po śmierci nieźrównoważonego Wara. Ubbi i Halvdan czekali teraz, co on powie.

- Jeśli wyruszymy na południe - rzekł - znowu natkniemy się na te miotacze kamieni. Jesteśmy od nich szybsi, zgoda. Ale teraz mają doskonałą sposobność. Wiedzą, że utkwiliśmy w Szkocji, ponieważ zagrodzili nam drogę przez Kanał. Muszą tylko zacząć się gdzieś przy brzegu u swoich północnych granic, w wybranym przez siebie miejscu. Jeśli popłyniemy wzdłuż wybrzeża, uderzą na nas. Jeśli ich ominiemy - a nie mamy pojęcia, gdzie teraz są - dowiedzą się o tym, ruszą za nami i dopadną nas w jakiejś zatoce. Czy spotkamy ich na morzu, czy roztrzaskają nasze okręty, kiedy zjedziemy na ląd - ryzyko jest równie wielkie.

Skończy się na tym, że będziemy zmuszeni wyrąbać sobie drogę powrotną. A nie sędzę, by nasi ludzie, chociaż wszyscy samocni w gębie, mieli ochotę znów natknąć się na morzu na miotacze kamieni. Nie można walczyć, stojąc na kupie połamanych desek.

- A więc już po nas - mruknął Ubbi. Wszyscy trzej roześmiali się.

- Może nam też przydałyby się miotacze kamieni - zadumał się

Halvdan. - Tak uważał Ivar. Zmusił tego małego czarnego skurwiela, jak mu tam było? Erkinbjart? Zmusił go więc, żeby zrobił dla niego podobne. Szkoda, że ten mały sukinsyn uciekł.

- Możemy o tym pomyśleć dopiero w przyszłym roku - powiedział Sigurth. - Nie zmienia się koni na środku rzeki, toteż na razie musimy radzić sobie z tym, co mamy. W tym roku rozpuścimy wieści na targach niewolników, że gotowi jesteśmy sporo zapłacić za ludzi, którzy potrafią strzelać z takich miotaczy. Paru na pewno się znajdzie. A jeśli potrafią z nich strzelać, potrafią je również konstruować. Potrzebny nam jeszcze ktoś, kto naprawdę zna się na okrętach, a zbudujemy coś znacznie lepszego, niż te nieruchawe angielskie balie.

- Na razie potrzebujemy czegoś, co napelni serca naszych chłopców otuchą, a ich kieszenie srebrem. Musimy im dać choćby nadzieję na zdobycie srebra.

- Irlandia - rzucił Halvdan.

- Musielibyśmy skierować się na północ i opłynąć całą Szkocję

Norwegowie złupią już wszystko, zanim tam dotrzemy.

- Fryzja? - powiedział bez przekonania Ubbi.

- Tak samo biedna jak Szkocja, tylko płaska.

- Mówisz o wyspach. A co ze stałym lądem? Może moglibyśmy znów spróbować szczęścia w Hamburgu. Lub w Bremie.

- Na tych wodach szczęście nie dopisało nam w tym roku - powiedział Sigurth. Jego bracia pokiwali głowami, szczerząc zęby w kwaśnym uśmiechu. Pamiętali jeszcze upokorzenie, jakie spotkało ich na piaszczystej ławicy, i powrót z bezowocnych łowów, kiedy to nie schwyтали

zwierzyny, natomiast stracili człowieka. Upokorzenie związane ze świadomością, że zostali przechytrzeni, nie podjęli wyzwania, które rzucił im samotny przeciwnik.

- Myślę jednak, że idea jest słuszna - ciągnął Sigurth. - Albo prawie słuszna. Damy tu chłopcom zajęcie jeszcze przez kilka tygodni, obrócimy cały ten kraj w perzynę. Ale powiedzcie im, że to tylko tak dla zabawy, bo szykuje się coś większego. Potem popłyniemy z powrotem, przez Morze Północne, w stronę granitowych wysp.

Jego bracia skinęli głowami; wiedzieli, że chodzi mu o wyspy

Północnej Fryzji, Ditmarsh, Fohr, Amrum i Sylt, zupełnie jałowe, tylko skały i piasek.

- Potem opłyniemy ujście Eideru i uderzymy na Hedeby.

Halvdan i Ubbi spojrzeli po sobie, rozważając ten projekt.

- To nasi ludzie - powiedział w końcu Halvdan. - Tak jakby.

Duńczycy, w każdym razie.

- Cóż z tego? Jesteśmy im coś winni? Ten tłusty król handlarzy, Hrorik, nawet nie sprzedał Skuliemu człowieka, którego chcieliśmy dostać. Pozwolił, by kapłani Drogi zabrali go do swojej zabitej dziury.

- Może zamiast tego powinniśmy uderzyć na nich?

- Słusznie. Ponieważ uważam - rzekł Sigurth - że skoro Anglia jest dla nas niedostępna, przynajmniej na razie, to z lepszym skutkiem powetujemy to sobie u nas, niż łupiąc te wszystkie biedne kraje. To bardziej ryzykowne, wiem. Lecz jeśli weźmiemy Hedeby i zdobędziemy złoto Hrorika, bez trudu zbierzemy ludzi na wyprawę przeciwko Halvdanowi i jego przygłupiastemu bratu, Olafowi.

Oczywiście, zawsze ktoś się wyłamie, kto ma brata w Kaupangu lub ojca w Hedeby. Lecz wielu pozostanie. A ci, których pobijemy w jednym miejscu, następnym razem pójdą z nami.

- Najpierw podbijemy Północ - powiedział Halvdan. - Ustanowimy tam ciebie Jedynym Królem wszystkich krajów Północy. A potem ruszymy na południe.

- Mając tysiąc okrętów i miotacze kamieni - dodał Ubbi.

- Aby raz na zawsze skończyć z chrześcijanami...

- Aby wywiązać się z naszej starej przysięgi...

- Aby pomścić Ivara.

Halvdan wstał, opróżnił swój róg i sięgnął po wbity w ziemię topór.

- Obejdę namioty - powiedział. - Szepnę ludziom słowo. Powiem, że mamy plan i że padną trupem, kiedy dowiedzą się wszystkiego. To ich powinno uciszyć na kilka najbliższych tygodni.

Diakon Erkenbert stał wewnątrz starożytnego kręgu z ogromnych kamieni. Był to pradawny krąg sądowy ludzi ze Smaalandu, Małego

Kraju, leżącego pomiędzy duńską prowincją Skaane a terytorium potężnego związku plemiennego Szwedów. Ciągnęło się ono setki mil na północ, zajmując ogromny obszar, rządzony przez wielu zwalczających się nawzajem królów, z których każdy pragnął podporządkować sobie pozostałych i ustanowić Sveariki, cesarstwo Szwedów.

W kamiennym kręgu odbywało się właśnie wiosenne zgromadzenie

Smaalandczyków, którzy wyszli ze swoich przysypanych śniegiem chat, by przygotować się na nadejście krótkiego lata.

Erkenbert ufarbował starannie swój znoszony habit, który lśnił teraz pośród otaczających go futer i wełnianych okryć intensywną czernią. Erkenbert miał również świeżo wygoloną tonsurę, na czubku jego głowy błyszczał jasny, łysy placek, wyróżniając go z tłumu jeszcze bardziej. "Nie chcemy się kryć, powiedział mu wcześniej

Bruno. Tak postępowaliśmy kiedyś, by nie drażnić ludzi, licząc na ich tolerancję. Chcemy, aby nas widzieli. Będziemy kłuć ich w oczy naszym chrześcijaństwem".

Erkenbert zastanawiał się nad ciętą ripostą, mając zamiar przypomnieć Brunowi o cnocie pokory, zrezygnował jednak. Nie tylko dlatego, że mało kto ważył się ostatnio rozmawiać w ten sposób z Mistrzem Zakonu Włóczni, den Meister des Lanzenordens, jak ludzie zaczęli go nazywać. Również dlatego, że uznawał zasadność takiego postępowania.

Smaalandczycy sprzedawali niewolników, jak zwykle. Większość sprawiała żalosne wrażenie, sama skóra i kości, głodowali w ciągu długiej zimy i wydawało się mocno wątpliwe, by latem byli zdolni do ciężkiej pracy. Wysłannicy króla Orma z Uppsali kupowali najtańszych, również jak zwykle. Nie zwracaj sobie nimi głowy, powiedział Bruno. Nie mamy już czym płacić. Ale tego jednego musiał mieć.

Do środka kręgu, gdy nadeszła jego kolej, wszedł krzepki wieśniak, ciągnąc za sobą jakąś wynędzniałą postać. Niewolnik odziany był w strzępy łachmanów, dygotał z zimna. Przez okrywające go szmaty można było policzyć wszystkie żebra. Co chwila wstrząsały nim ataki kaszlu, cuchnął gnojem, w którym spał, aby się ogrzać.

Sprzedawcę powitał chór szyderczych okrzyków.

- Ile za niego chcesz, Arni? Gdyby to był kurczak, nadałby się przynajmniej na zupę. Nawet Szwedzi go nie wezmą. Umrze, zanim przyjdzie czas składania ofiar.

Arni toczył wokoło oburzonym spojrzeniem. Jego wzrok padł nagle na Erkenberta, który kroczył statecznie przez środek placu targowego. Erkenbert podszedł do wychudzonego mężczyzny, objął go ramionami i uścisnął.

-Nie martw się, bracie, słyszeliśmy o tobie, jesteśmy tu po to, by cię ocalić.

Smród uderzył w nozdrza Erkenberta, lecz diakon zniósł to mężnie, przypomniawszy sobie Księgę Hioba. Żywy szkielet wybuchnął płaczem, a wówczas wśród tłumu rozległy się nowe szyderstwa i gwizdy.

- Nie możesz mnie ocalić, ciebie też zabiorą, to są zwierzęta, za nic mają prawa boskie...

Erkenbert puścił go delikatnie i wskazał ręką za siebie, w kierunku, z którego przyszedł. Stało tam w podwójnym szeregu dziesięciu rycerzy Zakonu Włóczni, w kolczugach, hełmach, połyskujących metalem rękawicach. Każdy z nich ścisnął w dłoni krótką pikę, wbijał drzewcem w ziemię, pochylone do przodu groty tworzyły idealnie prostą linię. Ci ludzie są dobrymi wojownikami, wyjaśnił mu Bruno. Ale nie mają pojęcia, co to jest dyscyplina. Więc im pokazemy. To ich trochę ostudzi.

- Ile chcesz za tego człowieka? - spytał Erkenbert głośno, tak aby słyszeli go gapie.

Arni, wierny wyznawca Freya, splunął na ziemię.

- Jak dla ciebie, chrześcijański przybłędo, dwadzieścia uncji srebra.

Tłum ryknął śmiechem. Osiem uncji to była dobra cena za mężczyznę w pełni sił, dwanaście kosztowała ładna dziewczyna.

- Dam ci cztery - krzyknął Erkenbert, wciąż na użytek tłumu. Przez zimę zaoszczędziłeś szesnaście uncji na jedzeniu i ubraniu dla niego.

Arni nie poznał się na dowcipie. Jego twarz okryła się purpurą, przyjął groźną postawę i ruszył w stronę małego człowieczka.

_ Ty ogolony łbie! Cztery uncje! Nie masz tu nic do gadania. Według praw Smaalandczyków każdy, kto złapie chrześcijańskiego kapłana, może uczynić go swoim niewolnikiem. Nie wiem, co mnie powstrzymuje, żeby wziąć sobie ciebie razem z twoim srebrem.

- Masz prawo uczynić niewolnikiem chrześcijańskiego kapłana - odparł nieporuszony Erkenbert. - A czy masz na to dość siły?

W owym precyzyjnie wybranym momencie z tłumu wyłonił się

Bruno, po drugiej stronie kręgu, dokładnie naprzeciwko zwartego szeregu swoich rycerzy. Szedł, roztrzaskując gapiów potężnymi ramionami. Ubrany był tak samo jak jego ludzie, nie miał jedynie piki. Lewą dłoń wsparł na głowicy długiego, oburęcznego miecza.

Arni obejrzał się, zaskoczony nagłą ciszą, zorientował się w sytuacji i natychmiast uświadomił sobie, że wszyscy czekają, co teraz zrobi. Spróbował przeciągnąć widzów na swoją stronę.

- Czy będziemy to znosić? Czy pozwolimy, aby ci ludzie pętali się tu i kradli naszych niewolników?

- Płacą srebrem - zauważył ktoś.

- A co zrobią z ludźmi, których nam zabiorą? Takimi jak ten... Arni, nie panując nad sobą z wściekłości, odwrócił się i zadał niewolnikowi potężny cios w głowę. Wychudzony mężczyzna padł z płaczem na ziemię. - Tacy jak ten powinni zawisnąć na dębach w Uppsali, ku czci prawdziwych bogów, bo inaczej znów zaczną opowiadać te swoje łągarstwa o synach zrodzonych z dziewic i o zmartwychwsta...

Głos uwiązał mu w gardle. Ostatnie cztery dzielące ich kroki Bruno pokonał z szybkością atakującego rysia. Nikt nie widział błyskawicznego ruchu jego ręki. Ale potem wszyscy zobaczyli połyskującą rękawicę, zaciśniętą na grdyce Smaalandczykajak stalowe kleszcze. Bruno uniósł ramię, więc Arni dotykał ziemi jedynie czubkami palców.

- Ty śmieciu - powiedział Bruno. - Podniosłeś rękę na sługę żywego Boga. Mówiłeś bluźnierstwa przeciwko naszej wierze. Nie zabiję cię w kręgu sądowym, gdzie nie wolno przelewać krwi. Ale może chciałbyś spotkać się ze mną na ubitej ziemi? Możemy walczyć na miecze i tarcze albo włócznie i topory, lub inną broń, cokolwiek sobie zdytycT>/sz.

Arni nie mógł wykrztusić słowa ani się poruszyć, więc tylko wytrzeszczył bezradnie oczy.

- Przypuszczam, że nie staniesz do walki. - Bruno puścił go, wykonał w tył zwrot i warknął krótką komendę. Jednym doskonale wyćwiczonym ruchem pierwszy szereg jego rycerzy uniósł piki, postąpił trzy kroki do przodu i znów zamarł w bezruchu. - Targujcie się dalej.

- Cztery uncje - powtórzył Erkenbert. Nie możemy ich okraść, powiedział Bruno, bo nas zaatakują. Ale nie musimy też płacić za wszystkich. Trzeba uratować księdza Eilifa. Tylko on wie coś o królach ziem na północ od Birki. Pomoże nam w naszych poszukiwaniach. Chcę dowiedzieć się czegoś więcej o tym królu Kjallaku, o którym tyle się słyszy, a którego królestwo graniczy z Ziemią Rodzącą Żelazo.

Rozcierając obolałe gardło, Arni zastanawiał się przez chwilę, czy powinien się dalej targować, ale napotkał nieprzyjazne spojrzenie ciemnych oczu Erkenberta i uznał, że nie. Kiwnął głową.

Erkenbert cisnął mu pod nogi małą sakiewkę, delikatnie ujął księdza Eilifa pod ramię i odprowadził go w stronę ustawionych w dwuszereg rycerzy, do których teraz dołączył Bruno. Ksiądz i diakon ustawili się pomiędzy nimi, Bruno znów wydał szczekliwąkomendę, a zbrojny oddział zarzucił piki na ramię i pomaszerował, stawiając ciężkie kroki w równym rytmie, tak równym, jak gdyby szedł jeden człowiek.

Szwedzi i Smaalandczycy patrzyli przez chwilę w ślad za nimi, po czym wrócili do przerwanych interesów.

- Co o tym sądzisz? - zwrócił się rosły Szwed do swego towarzysza.

- Niby o czym? To ten sam drań, który zabił jednego z ludzi króla Orma w Hedeby. Chyba zaczyna mu to wchodzić w zwyczaj.

Nie wiem, czego on chce, ale powiem ci jedno. To jakiś zupełnie nowy rodzaj chrześcijan.

Pierwszy Szwed pokiwał w zadumie głową i zerknął szybko na boki, czy nikt nie przysłuchuje się rozmowie.

- Jeśli to zupełnie nowy rodzaj chrześcijan, to może potrzebujemy też nowego króla, aby sobie z nimi poradzić.

Rozdział szesnasty

Ujrzawszy wysiadające z łodzi kobiety, Brand zaprotestował ostro i gniewnie. Mamy za mało koni, oświadczył. Nie możemy ich zabrać. Kiedy jednak usłyszał, co wydarzyło się w Drottningsholmie, nie nalegał więcej.

- Lepiej wynośmy się stąd - powiedział tylko. - Teraz, gdy Harald nie żyje, król Halvdan nie spocznie, póki wszyscy zamieszani w śmierć jego syna także nie umrą. Albo sam zginie. Nie sądzę, żeby mścił się na mojej załodze, chyba że skojarzy moją nieobecność z waszym zniknięciem. Ale musimy uciekać z Zachodniego

Kraju tak szybko, jak jeszcze nikt nigdy nie uciekał. Kto nie będzie nadążał, tego zostawimy.

Shef nie odezwał się ani słowem. Szedł w ponurym milczeniu, potykał się co chwila, a myślami wciąż przebywał na wyspie. I przy martwym chłopcu. Jakaś jego część pozostała tam nadal, uwięziona przez potężne, gorące uda i wielkie, rozkołysane piersi.

Droga, którą szli, prowadziła w góry, wijąc się ostrymi zakosami przez nie kończący się, mroczny sosnowo-jodłowy las. Dziesięciu

Anglików, cztery kobiety, Karli i Brand, a na nich wszystkich przypadało tylko dwanaście koni. Rankiem zaś bez wątplenia ruszy za nimi nieubłagany pościg.

Mimo to już niemal na samym początku okazało się, że obawy

Branda są, przynajmniej po części, bezpodstawne. Jeden z wyzwolenców, Wilfi, był swego czasu gońcem. Gdy jego pan podróżował, wysyłano go przodem, by zadbał o nocleg i pożywienie na każdym postoju. Przebiec czterdzieści mil dziennie, oświadczył, to dla niego tyle, co dla innych przejść wolnym krokiem dwadzieścia. Nie potrzebuje konia. Kobiety jechały po dwie, lub też jedna jechała, a mężczyźni na zmianę biegli obok, trzymając się siodła.

Nocna jazda zdawała się nie mieć końca, wreszcie jednak zaczęło świtać. O pierwszym brzasku Brand zarządził postój, mogli więc ugotować posiłek, napoić konie w strumieniu i pozwolić górskim kucykom, aby skubnęły nieco świeżej, szybko rosnącej trawy. Niewolnice pospiesznie rozpały ognisko, rozgniotły ziarno i przygotowały nieodłącznąowsiankę. Niebawem byli gotowi znowu ruszyć w drogę, tylko Brand nadal jęczał i rozcierał obolałe mięśnie ud.

Gdy spojrzął ze zdziwieniem na uformowaną już kolumnę, Osmód oznajmił mu nie bez satysfakcji: - Zapomniałeś, panie. Niewolnik musi iść, chce tego, czy nie. To wolnego człowieka trzeba przekonywać, kiedy myśli, że pęcherz na nodze, głód lub pragnienie to wystarczająca wymówka, by się zatrzymać.

Wikingowie, chociaż poruszali się bardzo szybko w porównaniu z powolnymi armiami chrześcijańskiego Zachodu, byli jednak przede wszystkim żeglarzami lub narciarzami, nie zaś jeźdźcami. To właśnie Brand, nieustannie przynaglający do pośpiechu, opóźniał marsz całej grupy. Żaden koń nie mógł długo dźwigać na swym grzbiecie takiego ciężaru. W trakcie nie kończącego się dnia, który nastąpił po nie kończącej się nocy, Osmód wziął wreszcie sprawy w swoje ręce i

ustalił nowy porządek zmian. Odtąd wszyscy, mężczyźni i kobiety, na przemian jechali lub biegli, natomiast Brand dostał dwa konie: jednego z nich dosiadał, a drugiego prowadził luzem, lub też, na płaskich i szerszych odcinkach, biegł pomiędzy nimi, trzymając się łąków siodła.

- Uda nam się? - spytał w końcu Cwicca, kiedy zatrzymali się po raz drugi na niewielkiej polance porośniętej gęstą trawą, by konie mogły wypocząć. Reszta czekała z niepokojem na odpowiedź.

Brand rozejrzył się, próbując ustalić ich obecne położenie i ocenić przebytą drogę.

- Tak myślę - odparł. - Posuwamy się szybciej niż przypuszczałem. Do tej pory mieliśmy przewagę, ponieważ Halvdan nie wie, jaki obraliśmy kierunek.

- Ale dowie się? - indagował Cwicca.

- Niebawem wyruszą gońcy, by powiadomić go, kto przejeżdża przez jego terytorium. Ale muszą dotrzeć do niego, odebrać rozkazy, wrócić i spróbować je wykonać. A przez cały ten czas my będziemy posuwali się naprzód. Pokonaliśmy już dwa etapy, jeszcze trzy i opuścimy Zachodni Kraj. Nie powstrzyma to Halvdana przed wysłaniem za nami zabójców, ale nie uda mu się już zablokować dróg.

- Lecz my nie będziemy ryzykować - dodał Osmođ. - Jak tylko konie najedzą się do syta, ruszamy.

- Czasami musimy spać - zaprotestował Brand.

- Jeszcze przez kilka dni nie możemy sobie na to pozwolić. Kiedy ludzie zaczną spadać z koni, wtedy będziemy spać. Albo przywiążemy ich do siodła.

Ruszyli w dalszą drogę, znużeni i głodni. Ale nikt się nie skarżył. Kobiety szły przodem, gniewnymi spojrzeniami przynaglając pozostałych do szybszego marszu.

Zwolna jednak zaczęli zdawać sobie sprawę, że prawdziwe niebezpieczeństwo czai się przed nimi, nie za nimi. Na górzystych, trudno dostępnych obszarach Norwegii wszystkie drogi i ścieżki wytyczono, rzecz zrozumiała, tak, by nie omijały żadnego przysiółka na szlaku. Dzięki temu żyjący na pełnym odludziu wieśniacy mieli okazję usłyszeć lub przekazać najnowsze wieści, a wędrowni kramarze mogli sprzedawać im swoje sukno, wino czy sól. Od początku podróży w każdej zagrodzie, którą mijali, Brand usiłował nabyć dodatkowe konie, kupując jednego tu, dwa tam, niebawem więc dysponowali dostateczną liczbą zwierząt pod wierzch. Chociaż jednak płacił bez ociągania w dobrej srebrnej monecie, gospodarze zdawali się odnosić do owych transakcji nader niechętnie.

- Za bardzo mi się spieszy - wyjaśnił Brand swym towarzyszom. Chcą, żebym nachodził ich i targował się przez pół dnia. Prawie nic się tutaj nie dzieje, lubią więc przeciągać w nieskończoność każdą rzecz. Zapłacić żadaną cenę i odjechać - to wydaje im się nieuczciwe. Poza tym to zrozumiałe, że zastanawiają się, kim jesteśmy. Dziesięciu karłów, którzy nie znają dobrze języka, cztery kobiety ubrane jak niewolnice, jeden śpiący na jawie - wskazał na pogrążonego w milczeniu Shefa - i ja. Muszą być bardzo zaniepokojeni. Mówiłem wam, prowadzę stado myszy przez krainę kotów.

Kłopoty zaczęły się tego samego dnia, gdy Brand oznajmił, że minęli już granice Zachodniego Kraju. Przemierzali właśnie zlewisko wód i zapuścili się w podmokłą dolinę. Z obydwu jej stoków

spływały w dół strumieniem, a zwierzęta wypuszczone z zimowych zagród skubały ochoczo zieleniące się tu i ówdzie kępy świeżej trawy. Podjechali, jak wiele razy przedtem, do chłopskiego gospodarstwa, na które składała się grupa zabudowań ustawionych w nierówny kwadrat. Mężczyźni natychmiast oderwali się od swoich zajęć, by przyjrzeć się podróżnym, zamienić kilka słów z Brandem, przywołać kobiety i dzieci. Shef, choć wciąż nie mógł przestać myśleć o małym chłopcu, który umarł w jego ramionach, powoli zdał sobie sprawę, że tutejsi ludzie patrzą na nich jakoś inaczej.

Wieśniacy nie byli tak zwyczajnie zaniepokojeni i podejrzliwi, wydawali się rozbawieni. Najwyraźniej doszli właśnie do jakiegoś wniosku. Shef rozejrzał się nieco baczniej. Ilu ich tu jest? Czy nadal tyłu, co na początku? A jak liczny jest jego oddział?

Zza krowiej obory dobiegł nagle rozpaczliwy krzyk. Ktoś wołał coś po angielsku. Poznali głos Edith, najmłodszej i najładniejszej z kobiet. Cwicca, Osmod i pozostali wyzwoleńcy bez słowa chwycili za kusze i pobiegli w tamtą stronę, a w ślad za nimi Brand, Shef oraz miejscowi wieśniacy.

Kiedy okrążyli stodołę, ujrzeni dwóch Norwegów szarpiących się z Edith. Jeden trzymał ją od tyłu, usiłując zakryć jej usta dłonią.

Jego kompan złapał ją za jedną nogę i próbował właśnie zręcznym chwytem unieruchomić drugą. Kiedy usłyszał za sobą tupot wielu stóp, puścił dziewczynę i odwrócił się.

- Przywykła do tego - powiedział. - Spójrzcie tylko na nią. Zwykła kurwa, niewolnica. Robi to przez cały czas. Dlaczego i my nie mielibyśmy trochę się zabawić?

- Ona nie jest niewolnicą- warknął Osmod. - I nigdy nie była twój ą niewolnicą.

- Co ty powiesz? - Inni ludzie z wioski, jakieś pół tuzina, otoczyli go kołem, a tamten drugi mężczyzna nadal trzymał Edith. Ona nie ma tu żadnych praw. Ani ty. Jeśli powiem, że jesteś niewolnikiem, to wkrótce nim będziesz.

Shef przepchnął się do przodu i spojrzał Norwegowi prosto w oczy. Wiedział, że nie grozi im tu większe niebezpieczeństwo, przynajmniej na razie. Słyszał brzęk napinanych cięciw, a chociaż

Norwegowie mieli topory i noże, zostaliby podziurawieni strzałami, nim zdążyliby się poruszyć. Miał jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie. Bo nawet gdyby zabili wszystkich mężczyzn, a także kobiety i dzieci, tak jak czynili to wikingowie w Anglii, wieści rozeszłyby się szybko i wkrótce cała okolica ruszyłaby za nimi śladem, jak za zbrodniarzami. Należy skłonić tych ludzi, aby zeszli im z drogi. Lecz wieśniacy bezmyślnie uznali, że mają do czynienia z gorszymi od siebie.

_ Zostawcie ją nam - zaproponował Norweg - a reszta może jechać.

Edith krzyczała i szarpała się w uścisku mężczyzny, który nadal próbował zakryć jej usta ręką. Ona sądzi, że moglibyśmy to zrobić, pomyślał Shef.

Zza jego pleców wystąpił Brand, ściskając w ogromnej dłoni odczepiony od siodła topór. Była to potężna broń, wygięte półkolistie żeleźce długości jednej stopy osadzone na trzystopowym jesionowym trzonku. Żelazną głowicę zdobiły węzowe sploty, platerowane srebrem, zgrzewane stalowe ostrze błyszczało jasno na tle ciemniejszego żelaza. Symetrycznie względem ostrza sterczał

z tyłu głowicy długi kolec, służący zarówno dla zrównoważenia ciężaru, jak i do zadawania ciosów. Słowem, była to broń mistrza.

- Puśćcie ją- powiedział. - Chyba że chcecie ze mną walczyć.

Wszyscy naraz albo po kolei. Mnie to obojętne.

Norweg, który przemówił pierwszy, podniósł głowę, aby mu się przyjrzeć. Nie dorównywał posturą Brandowi - Shef nie widział jeszcze drugiego takiego giganta, ale po raz kolejny miał okazję się przekonać, jakimi olbrzymami są ci ludzie. Norweg był przynajmniej o cztery cale wyższy od Shefa, znacznie szerszy w ramionach i cięższy. Zastanawia się, czy przyjąć wyzwanie, uświadomił sobie

Shef. Co można na tym zyskać? Czy warto ryzykować?

Podrzucony przez Branda topór śmignął w powietrzu i zakreślił w górze dwa pełne obroty, nim Brand ponownie go złapał, nawet nie patrząc.

Norweg powoli skinął głową.

- Niech ci będzie. Thorgeir, puść ją. Nie jest tego warta. Tym razem ci się udało. Ale ktoś cię dopadnie, zanim wydostaniesz się z gór, wielkoludzie. A wtedy przekonamy się, dlaczego prowadzisz tych ludzi przez Buskerud. Może w twoich żyłach też płynie krew thralla.

Shef zobaczył, jak knykcie Branda zbieleły, zaciśnięte na stylisku topora, lecz olbrzym nie zareagował na zniewagę. Uwolniona

Edith natychmiast ruszyła pędem, by skryć się za plecami Anglików, którzy ani przez chwilę nie spuszczała z niej wzroku, zbici w ciasną gromadę, z załadowanymi kuszami w pogotowiu. Powoli, rozglądając się czujnie na wszystkie strony, kobiety, Anglicy i Brand wycofali się do swoich wierzchowców i w milczeniu sprawdzili, czy niczego nie brakuje. Okazało się, że dwa konie zostały skradzione podczas zajścia.

- Tylko nie róbcie o to hałasu - mruknął Brand. - Po prostu znikajmy stąd jak najszybciej.

Kawalkada ruszyła, lawirując pomiędzy budynkami i stertami odpadków. Jedno z dzieci rzuciło za nimi grudką ziemi, reszta przyłączyła się do niego, toteż w ślad za odjeżdżającymi posypało się błoto i kamienie, a także szyderstwa i gwizdy, które towarzyszyły im przez pół mili.

Tę noc spędzili nieco wygodniej niż do tej pory. Rozpostarli na ziemi kilka posiadanych koców, ugotowali też solone mięso i wysuszoną cebulę z zakupionych dzień wcześniej zapasów. Ale posiłek jedli w pełnej napięcia ciszy. Wartownik nieustannie przechadzał się tam i z powrotem, obserwując szlak za nimi i przed nimi.

Kiedy inni ułożyli się do snu, Osmoś wraz z Cwicą podeszli i usiedli obok Shefa i pogrążonego w milczeniu Branda.

- W ten sposób nie zajedziemy daleko - stwierdził Osmoś. Wieści nas wyprzedzą, ci ludzie znają ścieżki, o których my nie mamy pojęcia. W każdej zagrodzie czekają nas kłopoty. Jeśli natkniemy się na wioskę lub miasto, może być jeszcze gorzej.

- Mówiłem ci już - odparł Brand. - Przeprowadzam gromadę myszy przez krainę kotów.

- Polegaliśmy na naszym psie - powiedział Cwicca.

Shef spojrział na Branda z nagłą trwogą. Podczas kampanii zimowej, w obozach nie opodal Yorku i w East Anglii nie raz już widział, jak rzucano wielkoludowi wyzwanie lub zaczepiano go. Prowokowali go ludzie bez porównania groźniejsi niż Cwicca, i do tego w znacznie bardziej zawołowany sposób. Za każdym razem odpowiedzią był natychmiastowy cios, a czasem walka: śmiałek walił się bez czucia na ziemię lub musiał kurować złamaną rękę. Teraz jednak Brand siedział bez ruchu, zatopiony we własnych myślach.

- Tak - powiedział w końcu. - Polegaliście na mnie. Nadal możecie na mnie polegać. Dałem słowo, że przeprowadzę was do fiordu Gula, i zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby słowa dotrzymać. Ale jest coś, o czym powinniście wiedzieć. Ja sam już to wiem, być może przeczuwałem to nawet wcześniej.

Byłem wojownikiem przez dwadzieścia pięć zim. Gdybym miał zliczyć ludzi, których zabiłem, i bitwy, które widziałem - cóż, brzmiałoby to jak opowieść jednego z mistrzów króla Hrolfa, albo samego starego Ragnara Włochate Portki. I nikt nie może powiedzieć, że przez cały ten czas kiedykolwiek podwinąłem ogon pod siebie, czy chowałem się za plecami innych, kiedy wokół furkotały włócznie. - Popatrzył na nich z udręką. - Widzieliście to! Nie muszę się przed wami chęścić.

Ale po walce z Warem coś mi się stało. Odniosłem wiele ran, i więcej niż raz zostawiano mnie wśród poległych. Nigdy jednak w głębi serca nie wierzyłem, że umieram. Kiedy Ivar uchylił się przed moim ciosem i przeszył mnie jego miecz, kiedy poczułem, jak ostrze rozdziera mi wnętrzności, wówczas wiedziałem, że jeśli mimo wszystko wyliżę się z tego i przeżyję ten dzień, to i tak wkrótce umrę. Trwało to krócej niż uderzenie serca, ale nigdy nie zdołałem o tym zapomnieć. Nawet kiedy Hund pozszywał moje rozdarte kiszki, pielęgnował mnie w gorączce i spuszczał ze mnie ropę. Jestem teraz tak samo silny jak zawsze. Ale nie mogę zapomnieć tego, co wtedy czułem. - Spojrzął na nich ponownie. - Widzicie, cały kłopot w tym, że tutaj, w górach, gdzie każdy region ma swojego mistrza, nieustannie odbywa się manjafnathr, współzawodnictwo, wszyscy porównując się ze wszystkimi, sprawdzają, kto jest najgroźniejszy, więc mogą wyczuć, co we mnie tkwi. Ten człowiek dzisiaj uznał, że nie jest dla mnie przeciwnikiem - wiedział, że zabiłem z tuzin takich parobków jak on, zanim jeszcze wyrosła mi broda.

Ale mógł się również połapać, że brakuje mi ducha do walki. Gdyby miał trochę więcej czasu do namysłu, może by zaryzykował.

-Nadal jesteś tak silny jak kiedyś - powiedział Osmođ. - Zabiłbyś go. Byłoby lepiej dla nas wszystkich, gdybyś to zrobił.

- Przypuszczam, że zabiłbym go - zgodził się Brand. - Był kogutem tylko na własnej kupie gnoju. Ale kiedy człowiek traci serce, dzieją się zabawne rzeczy. Widziałem wielkich wojowników, którzy stali bez ruchu i szczali w portki, póki nie dosięgła ich śmierć.

Po prostu zamierali, a Walkirie, córki Odyna, które wybierają poległych, zarzucały na nich pęta strachu.

Anglicy słuchali w milczeniu. Wreszcie znów odezwał się Osmod.

- A więc to tak. Od tej pory, kiedy będziemy zbliżać się do ludzkich siedzib, musimy jechać w zwartej grupie, przygotowani na wszystko. Halabardy w rękach, kusze załadowane. Szkoda, że ci durnie nie widzieli, co potrafi kusza. Mieliby się bardziej na baczności. Ale nie możemy zabić kogoś tylko po to, żeby im to pokazać.

- Jest jeszcze coś - dodał. - Wiecie, Edith nie poszła za tę stodołę ze zwykłej głupoty. Ktoś ją zawołał. Kobieta, która mówiła po angielsku, nie w języku Północy. Musiała słyszeć, jak rozmawiamy między sobą. Niewolnica. Jest tu od dwudziestu lat.

Brand przytaknął niechętnie.

- Porywają ludzi z Anglii już od pięćdziesięciu lat. Przypuszczam, że w każdym gospodarstwie na całej Północy miełe ziarno angielska niewolnica, albo nawet kilka, a mężczyźni wykonują najcięższe prace w polu. Czego ona chciała?

- Żebyśmy zabrali jąze sobą, to chyba jasne. Edith wydała jej się miła, więc zaczęła z nią rozmawiać. I wtedy zjawili się ci ludzie, musieli ją obserwować.

- Rozmawiałaś z tąd niewolnicą? - spytał Shef, przerywając wreszcie swoje wewnętrzne zmagania. - Co jej powiedziałaś?

- Powiedziałem, że nie może pójść z nami. Że oznaczałoby to dla nas duże kłopoty. Powinienem był powiedzieć to samo Edith i pozostałym, nawet gdyby miano poderznąć im gardła nad grobem jakiegoś małego książątka.

- Ta kobieta pochodzi z Norfolk - dodał Osmod. - Porwali ją zNorwich przed dwudziestu laty, gdy była młodą dziewczyną. Teraz zestarzeje się tutaj i umrze.

Obaj z Cwiccą wstali i poszli zawinąć się w swoje koce.

Shef spojrział na Branda, ale nie śmiał się odezwać. To, co olbrzym powiedział przed chwilą, musiało kosztować go wiele bólu i wstydu. Ktoś słabszy od niego czułby się pewnie podobnie, gdyby wybuchnął przy ludziach płaczem. Shef rozmyślał o tym, jakim człowiekiem stanie się Brand w przyszłości. Czy kiedykolwiek uda się uleczyć jego duszę, tak jak Hund wyleczył ciało olbrzyma? Wszyscy z wyjątkiem wartownika już dawno usnęli, a zamyślony, ponury Brand jeszcze długo siedział samotnie przy ogniu, łamiąc patyki i rzucając je w płomień.

Następnego dnia, kiedy przemierzali kłusem sosnowy las, porastający stoki gór, już bez szaleńczego pośpiechu, do jakiego byli zmuszeni opuszczając królestwo Halvdana, Shef spostrzegł, że tuż obok niego jedzie Udd. Obrzucił go zdumionym spojrzeniem. Zwykle Udd miał niewiele do powiedzenia albo zgoła nic, a kiedy już się odzywał, dotyczyło to zawsze spraw związanych z kuźnią i kowalstwem.

- Myślałem o tych kamieniach młyńskich - powiedział Udd. Nie mają z nich tutaj wielkiego pożytku, ponieważ woda płynie tylko przez połowę roku. A nawet kiedy płynie, wygląda to przeważnie tak. - Wskazał na górski potok, rwący głębokim, wąskim korytem po urwistym stoku. - Potrzebują czegoś więcej, z czego mogliby korzystać przez cały czas.

- To znaczy?

Udd poślinił palec i chwilę trzymał go w górze.

- Nie brakuje tu wiatru, prawda?

Shef roześmiał się. Sam pomyślał, że wiatr, coś, czego nikt nie był w stanie zobaczyć, zmierzyć, zważyć ani nawet złapać, mógłby wprawiać w ruch najpotężniejszy z wytworów człowieka, ogromne kamienie młyńskie, wydawał mu się niedorzeczny.

- Wiatr może poruszyć statek, prawda? - powiedział Udd, jakby czytał w myślach swego pana. - A jeśli może wprawić w ruch statek o wadze dziesięciu ton, to dlaczego nie kamień, który waży zaledwie jedną tonę?

- Wiatr to nie woda - odparł Shef. - Wieje z różnych stron.

- Nie przeszkadza to jednak żeglarzom, prawda? Pomyślałem więc sobie tak...

W miarę jak posuwali się naprzód, Udd zaczął roztaczać przed

Shefem swoją wizję młyna zaopatrzonego w żagiel, umieszczony na obrotowej konstrukcji, który można by ustawiać do wiatru za pomocą urządzenia, przypominającego okrętowy ster. Shef zgłaszał rozliczne wątpliwości, słuchał wyjaśnień, dodawał własne spostrzeżenia, aż wreszcie uświadomił sobie, że w coraz większym stopniu udziela mu się owo przemożne, trudne do określenia podniecenie wynalazcy. Jadący za nimi Cwicca trącił Karliego łokciem.

- Sprawił, że Shef zaczął mówić. Czas najwyższy. Byłem już poważnie zaniepokojony. Jedziemy przez obcy kraj, przewodzi nam dwóch ludzi, a każdy z nich przebywa w innym świecie. Zastanawiam się, co zrobić z nim. - Wskazał na wielką postać Branda, który włókł się na czele kolumny, wsparty jedną ręką o siodło.

- Z nim możemy mieć większy kłopot - wtrącił z tyłu Hund. Chciałbym, żeby znalazł się wreszcie na statku.

Tego dnia, jak również następnego, minęli po drodze wiele go» spodarstw, lecz nikt ich nie zaczepiał, wszędzie witały ich tylko wbite w ziemię spojrzenia i milczenie mężczyzn, stojących przy stodołach i oborach. Shef, który wiedział już, czego szukać, rozglądał się bacznie po każdej zagrodzie. Dwa razy udało mu się dostrzec drobne twarze za nie domkniętymi okiennicami: kobiety, oczekujące cudu, lub po prostu przyjaznego słowa we własnym języku. We śnie słyszał, jak ze zgrzytliwą monotonią obracają się żarna, nieustannie, przez dwadzieścia, trzydzieści lat, odmierzając czas życia, wypełnionego beznadziejnym mozołem.

Lecz górskie sioła nie były duże, zajmowały niewielką przestrzeń i zwykle mieszkało tam nie więcej niż dziesięciu lub dwunastu mężczyzn i chłopców w różnym wieku, którzy nie mieli wielkiej ochoty mierzyć swych sił z dobrze uzbrojonymi ludźmi, dorównującymi im liczbą, nawet jeśli obcy wyglądali na niewolników, a dowodził nimi wątpliwy mistrz. Kiedy jednak górską drogą zagłębiła się w rozległą kotlinę, przechodzącą dalej w dwie następne, podróżni ujrzeli przed sobą skupisko domów, wzniesionych w widłach zbiegających się strumieni, a także górującą nad nimi piętrową budowlę, której szczyty i kalenice zdobiły fantastyczne, rzeźbione głowy smoków.

Brand wstrzymał konia i odwrócił się do swych towarzyszy.

- To Flaa - powiedział. - Główne miasto prowincji Hallingdal.

Mają tu nawet świątynię. Po prostu przejedźmy tędy jak przez kolejną chłopską zagrodę.

Kiedy przecinali niewielki rynek w samym środku osady, mając po lewej stronie drewniany portal świątyni, pomiędzy domów wyłoniła się nagle spora gromada mężczyzn, zagradzając im drogę, tak do przodu, jak w tył i na boki. Byli silnie uzbrojeni, większość we włócznie i tarcze, natomiast młodszy, a także stojący za plecami wojowników chłopcy, trzymali w dłoniach łuki. Shef usłyszał trzask napinanych kusz. Każda ze strzał zabije lub okaleczy jednego z napastników, nie wątpił w to. Lecz potem zostanie ich jeszcze ze trzydziestu lub czterdziestu, marne szansę. Uderzyć w jednym kierunku i przebić się?

Ruszył ku nim tylko jeden człowiek. Nie dobył broni, uniósł za to prawą rękę na znak, że chce rozmawiać. Stał naprzeciwko Branda i obaj patrzyli na siebie przez chwilę.

- Cóż, Vigdjarfie - rzekł Brand. - Nie widzieliśmy się od czasów Hamburga. Czy może od najazdu na Orkady?

- To były Orkady - odparł Vigdjarf. Był niższy od Branda, ale mocno zbudowany, miał gruby kark i zaczynał łysieć. Mięśnie potężnych ramion przeżyły się pod złotymi bransoletami: i jedno i drugie nie wróżyło dobrze. Ten człowiek czerpał z czegoś duże zyski, a tutaj, w biednych rejonach górskich, nie wzbogaciłby się z pewnością, wypasając bydło.

Vigdjarf obrzucił nieprzychylnym spojrzeniem amulet w kształcie młota na piersi Branda, a następnie popatrzył na konie i na dosiadających je mężczyzn i kobiety.

- Przebywasz w osobliwym towarzystwie - stwierdził. - A może to wcale nie takie dziwne. Kiedy ludzie zaczynają nosić na szyi różne rzeczy, to zawsze myślę, że niebawem staną się chrześcijanami.

A wówczas co? Wdają się w pogawędki z thrallami i pomagają im w ucieczce. I w końcu sami stają się niewolnikami. Czy jest już z tobą tak źle? Czy może zostało coś jeszcze z dawnego Vigi-Branda?

Brand zeskoczył z kucyka na ziemię i ruszył naprzód, ściskając w rękę topór.

- Za dużo mówisz, Vigdjarfie - powiedział. - Kiedy widzieliśmy się ostatnio, nie byłeś takim gadułą. Teraz ci się zdaje, że jesteś kimś.

No dobra, o co tu chodzi? Czy ty i twoi krewniacy zamierzacie nas zatrzymać? Bo jeśli tak, to wielu z was zginie, zapewniam cię.

Za jego plecami Osmoð wzniósł kuszę, wycelował w grube dębowe drzwi świątyni i przycisnął spust, zwalniający zapadkę. Nastąpił krótki błysk, a potem głuchy odgłos rozniósł się echem po cichym placu. Osmoð bez pośpiechu załadował kuszę; cztery wyćwiczone ruchy, szcęk i następny żelazny bełt spoczął w wyżłobieniu łoża.

- Spróbuj go wyciągnąć - powiedział Brand. - A może masz inny pomysł? Tylko ty i ja, jeden na jednego.

- Tylko ty i ja - zgodził się Vigdjarf.

-A jeśli zwyciężę?

- Będziecie mogli odjechać, wszyscy.

- A jeśli zwyciężysz ty, Vigdjarfie?

- Zabieramy wszystko. Konie, mężczyzn i kobiety. Znajdzie się miejsce dla kobiet. Dla mężczyzn nie. Thrallowie, którzy włączą się na wolności i wydaje im się, że są ludźmi, miewają głupie pomysły. Zawisną na świętym drzewie, dla kruków Odyna. Być może zatrzymamy kilku, jeśli uznamy, że nie są niebezpieczni. Ale wiesz, jak obchodzimy się tutaj ze zbiegami. Jeśli nawet ich nie zabijemy, to zostaną wykastrowani i napiętnowani. To jedyny bezpieczny sposób. Ale masz inne wyjście, Brandzie. To znaczy ty sam. Po prostu zostaw ich. Co cię z nimi łączy? Przystań do nas, oddaj nam ich, oszczędzimy sobie kłopotów, nawet podzielimy się z tobą zyskiem.

- Nic z tego - odparł Brand. Podrzucił do góry topór i złapał go oburącz. - Tu i teraz?

Vigdjarf potrząsnął głową.

- Wielu ludzi chciałoby to zobaczyć. Powiedziałem im, że tak właśnie odpowiesz. Teraz schodzą się ze wszystkich zagród w trzech dolinach. Spotkamy się nad rzeką. Jutro rano. Ty i ja.

Kiedy Shef przysłuchiwał się rozmowie, która mogła oznaczać dla niego okaleczenie, piętno i obręcz niewolnika, poczuł nagle na karku znajomy ucisk, co świadczyło, że zbliża się wizja. Tym razem nie próbował odwracać wzroku. Tak samo jak wówczas, gdy siedział na kurhanie w Hedeby, jego oko pozostało otwarte, nadal widział mały błotnisty plac, drewnianą świątynię, uzbrojonych mężczyzn, czekających w napięciu. Ale na ten obraz nałożyła się inna wizja, która wypełniła jego umysł, tak wyraźna, jakby wydarte mu niegdyś drugie oko przeniosło się w jakieś odległe miejsce i nadal przekazywało do mózgu to, co widzi.

Zobaczył wielki młyn, taki sam jak ten, który Udd pokazał mu kiedyś w Kaupangu, dwa ogromne kamienie, umieszczone jeden nad drugim, i sypiące się z góry ziarno. Ale nigdzie nie dostrzegł kół zębatych, nie płynęła też woda. Powietrze w młynie było tak suche, jak w środku upalnego lata, wszędzie unosił się duszący kurz, lecz nie opadał, bowiem nie zraszała go nawet jedna kropla wody.

W kurzu poruszał się człowiek, samotna postać, napierająca w powolnym, jednostajnym rytmie na dyszel. Dług, gruby jak wiosło sterowe okrętu wojennego, osadzony był w górnym kamieniu, i kiedy mężczyzna napierał nań ze wszystkich sił, obracał się również kamień. Mężczyzna pchał i pchał, zataczając wytrwale kolejne kręgi, nigdy nie odpoczywał, nie przystawał ani na chwilę, nigdy nie opuszczał tego miejsca i nie widział nic, poza wypełnionym kurzem wnętrzem młyna.

Tak naprawdę, w ogóle nic nie widział. Shef zdał sobie sprawę, że człowiek ten jest niewidomy, jego oczodoły zieją pustymi jamami.

Mężczyzna zwolnił na chwilę, by uzyskać lepsze oparcie dla stóp.

Natychmiast świsnął bat i nagie, brudne plecy przecięła czerwona pręga. Ślepiec obejrzał się, jakby dokuczala mu jakaś natrętna mucha, której nie mógł się pozbyć: jego dłonie były przykute do dyszla żelaznymi łańcuchami. Kiedy znów napał całym ciałem na drąg, Shef zobaczył, jak na jego ramionach i plecach napinają się potężne mięśnie. Wydawało się, że oprócz mięśni pod skórą nie ma już nic więcej. Ten człowiek był silny jak Brand i muskularny jak Shef.

Długie czarne włosy opadały mu na ramiona.

Taki sposób mielenia ziarna nie przyszedł Uddowi do głowy, pomyślał Shef. Jego wizja zaczęła się rozmywać, a on sam z wolna przychodził do siebie. Jeden człowiek zamiast wołu, konia, lub tuzina niewolnic z ręcznymi żarnami. A le mój opiekun w Asgardzie chyba nie pokazał mi tego obrazu, bym nauczył się mielenia mąki, wizję

Yólunda też zesłał mi nie po to, by ostrzec mnie przed otwartymi skrzyniami. Chciał mi wówczas powiedzieć, że chłopiec musi umrzeć.

A trzask zamykanego wieka to był strzał z katapulty. Teraz kamień młyński... To oznacza coś zupełnie innego niż koła zębate czy przekładnie.

- Jutro rano - powiedział Brand, powtarzając ostatnie słowa Vigdjarfa. - Ja i ty.

Shef spał konia i podjechał kawałek, póki nie zrównał się z Brandem.

- Jutro rano - powiedział, spoglądając z siodła na barczystego

Vigdjarfa. - Ale nie ty i on. Nasz mistrz przeciwko waszemu. Wojownik popatrzył na kusze i już otwierał usta, by zaprotestować, gdy Shef dodał pospiesznie: - Wasz mistrz może wybrać broń.

Vigdjarf rozważał to przez chwilę, obrzucił małą grupkę za plecami Branda podejrzliwym spojrzeniem, wreszcie skinął głową.

Shef usłyszał, jak gdzieś, całkiem niedaleko-a może mu się tylko zdawało? - z posępnym zgrzytem obraca się powoli młyńskie koło.

Rozdział siedemnasty

Ohef spostrzegł, że do skraju ogrodzonego pastwiska, gdzie za zgodą całej wioski podróżni rozłożyli się obozem, zbliża się samotny mężczyzna. Szedł raczej niepewnie, nie wydawał się żywić wrogich czy agresywnych zamiarów. I rzeczywiście, kiedy dotarł do obozowiska, przystanął, po czym złożył coś na kształt niezgrabnego ukłonu -jak gdyby słyszał, że istnieje taki zwyczaj, ale nie miał okazji widzieć czegoś podobnego na własne oczy. Jego wzrok spoczął na białych szatach Hunda, obecnie mocno zabrudzonych, i na jabłku bogini Ithun, które kapłan nosił na szyi.

- Jesteś lekarzem - powiedział.

Hund skinął głową, nadal siedząc.

- W wiosce jest wielu chorych, a także rannych, których nie leczono jak należy. Mój syn złamał nogę, przewiązaliśmy ją, ale zrosła się krzywo, nie może na niej ustać. Moja matka ma chore oczy.

Są inni - kobiety z brzuchem rozdartym podczas porodu, mężczyźni, którzy od lat mają bóle w szczęce, chociaż wyrwaliśmy im połowę zębów... Lekarze nigdy tu nie przyjeżdżają. Czy obejrzysz ich?

- Dlaczego miałbym to robić? - spytał Hund. Kapłani Drogi nie wierzyli w miłosierdzie i nigdy nie słyszeli o Hipokratesie. - Jeśli nasz mistrz jutro przegra, powiesicie nas, albo okaleczycie i uczynicie niewolnikami. Dlaczego miałbym dzisiaj leczyć waszych chorych, skoro wy jutro mnie napiętnujecie?

Przybysz spojrział niepewnie na pozostałych.

- Vigdjarf nie wiedział, że jesteś lekarzem. Z pewnością... Cokolwiek się stanie... Nie miał na myśli ciebie.

Hund wzruszył ramionami.

- Miał na myśli moich towarzyszy.

Shef wstał, spojrział z góry na Hunda i mrugnął ledwie dostrzegalnie swoim jedynym okiem. Hund, który znał Shefa od dziecka, rozumiał go doskonale, lecz odwrócił wzrok, a jego twarz przybrała nieodgadniony wyraz.

- Przyjdzie - powiedział Shef. - Kiedy rozpakuje swoje narzędzia. Czekać na niego.

Gdy tylko mężczyzna odszedł, Shef zwrócił się do Hunda półgłosem, ale stanowczo.

-Zajmij się tymi, których ci wskaże. Potem nalegaj, by obejrzeć też innych. Nawet niewolników. Pytaj każdego, kto wyda ci się godny zaufania, o młyn. Ten młyn, którego skrzypienie wciąż słyszymy.

I bez względu na wszystko, wróć o zmierzchu.

Słoneczny dysk już prawie zniknął za postrzępioną linią górskich szczytów, kiedy zmęczony Hund wrócił do obozu. Na rękawach jego tuniki widniały brązowe plamy zakrzepłej krwi. Przez całe popołudnie słyszeli krzyki bólu, towarzyszące pracy lekarza; w takim miejscu jak to nie było pod ręką maku ani innych odurzających ziół.

- Jest tu mnóstwo roboty - powiedział Hund, kiedy już usiadł przy ogniu z pełną miską, którą wręczył mu Shef. - Musiałem jeszcze raz złamać nogę temu dziecku i nastawić jajak należy. Na świecie jest tyle bólu. Tyle niepotrzebnego bólu. Ciepła woda i ług uratowałyby połowę z tych kobiet, które umierają w czasie porodu.

- A co z młynem? - chciał wiedzieć Shef.

- Potem przyprowadzili do mnie niewolnicę. Nie chcieli, mówili, że to na nic się nie zda i że ona też już do niczego się nie nadaje. Mieli rację. Nic nie mogłem zrobić. To była wewnętrzna narośl i nawet w Kaupangu, z pomocnikami i najlepszymi lekami, wątpię, czy zdołałbym ją uratować. Ale spróbowałem złagodzić jej ból. To znaczy ból w jej ciele. Nie ma sposobu, żeby uleczyć jej duszę. Pochodzi z Irlandii, porwano ją z domu, kiedy miała piętnaście lat, czyli czterdzieści lat temu.

Została sprzedana komuś stąd. Od tamtej pory nie słyszała słowa w swoim języku, miała pięcioro dzieci z różnymi właścicielami, wszystkie jej zabrano.

Teraz jej synowie są wikingami i sami porywają kobiety. Nie zastanawiałaś się nigdy, dlaczego jest tak wielu wikingów, tak wiele armii wikingów? Każdy mężczyzna płodzi z niewolnicami tylu synów, ilu tylko zdoła. W taki właśnie sposób rosną ich szeregi.

- Młyn - upierał się Shef.

- Powiedziała mi, że jest tu młyn, tak jak mówiłaś. Stoi zaledwie od roku, a zbudował go kapłan Drogi, jeden z przyjaciół Valgrima, kiedy zawędrował w te strony. Również w zeszłym roku sprowadzili tu człowieka do pracy w młynie. Nie wiem, jak jeden człowiek może obracać koło młyńskie.

- Ja wiem - odparł Shef, przypomniawszy sobie boską wizję. Mów dalej.

- Ona twierdzi, że ten człowiek jest Anglikiem. Przez cały czas jest tam zamknięty. Dwa razy zdołał się uwolnić i zbiegł w góry.

Dwa razy go złapali. Za pierwszym razem wychłostali go przed świątynią. Ona mówi, że to widziała i że to bardzo silny mężczyzna. Bili go bardzo długo, a on nawet nie krzyknął, złorzeczył im tylko. Kiedy uciekł po raz drugi... zrobili coś innego.

- Co takiego? - spytał Brand, przysłuchujący się z uwagą.

- Kiedy kastruje się niewolników, zwykle odcina się im jądra, jak bykowi czy ogierowi. W ten sposób stają się ulegli i posłuszni.

Z nim postąpili inaczej. Odcieśli mu członek, natomiast zostawili jądra. Nadal jest silny jak byk i tak samo dziki. Ma również pragnienia mężczyzny, ale nie może ich zaspokoić.

Wszyscy spojrzeli po sobie, zastanawiając się, jaki los zgotuje im następny poranek.

- Powiem wam jedno - oświadczył stanowczo Cwicca. - Mogą nam obiecywać, co chcą. Jeśli Brand jutro przegra - a niechaj Thor sprawi, aby tak się nie stało - ten, kto go pokona, dostanie ode mnie strzałę. I wtedy wszyscy zaczniemy strzelać. Pewnie nie uda nam się stąd wyrwać, ale nie zamierzam być tutaj niewolnikiem. Te górskie trolle nie są lepsze od czarnych mnichów.

Wszyscy, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, wydali głośny pomruk zgody.

- Powiedziała coś jeszcze - ciągnął Hund. - Powiedziała, że on jest szalony.

Shef pokiwał w zadumie głową.

- Szalony Anglik - rzekł. - Dziki i silny jak byk. Uwolnimy go dzisiejszej nocy. Wiem, że pilnują nas wartownicy, ale spodziewają się raczej, że spróbujemy się wymknąć, zabierając konie. Kiedy słońce zajdzie, zaczniemy chodzić pojedynczo do latryny. Trzech z nas ukryje się za nią i poczeka, aż zapadnie zmrok. Ja, Ty, Karli. I ty, Udd. Włóż pod tunikę narzędzia kowalskie, Udd. I butelkę tłuszczu z dna kociołka. A teraz, Hund, narysuj nam możliwie dokładny plan wioski...

Kilka godzin później, w gęstym mroku, którego nie mogła rozproszyc blada poświata gwiazd, podkradli się we trzech do prostej szopy na peryferiach wioski: tutaj właśnie mieścił się młyn.

Shef spojrział w stronę pobliskich, tonących w ciemnościach domów i skinął na Udda. Ciężkie drzwi blokowała antaba, wzmocniona solidnym żelaznym rygłem. Ale bez kłódki. Chodziło w końcu tylko o to, aby drzwi nie dawały się otworzyć od środka. Jak dotąd, nie musieli korzystać ze zdolności Udda. Mały człowieczek odsunął rygiel, podniósł antabę i czekał na znak do otwarcia drzwi.

Shef wydobyl z zanadrza lampę i krzesiwo, skrzesał iskry, dmuchając jednocześnie na hubkę, aż w końcu udało mu się zapalić knot, zanurzony w naczyniu z wielorybim tłuszczem, i nakryć go cienutką rogową osłoną, która przepuszczała światło, ale skutecznie chroniła płomień przed wiatrem. Zapalenie tu lampy, jakkolwiek dokładnie zasłaniał ją tuniką i ciałem, stanowiło niemałe ryzyko. Ale jeśli Hund miał rację, znacznie większym ryzykiem byłoby wejście do legowiska bestii po ciemku.

Kiedy knot wreszcie zapłonął, Shef dał sygnał Uddowi, który jednym szarpnięciem otworzył drzwi. Shef wśliznął się do środka jak wąż, Udd i Karli tuż za nim. Usłyszał, jak drzwi zamknęły się delikatnie, i w tej samej chwili jego wzrok padł na wielkie żarna.

I na skulony kształt, leżący pod workami kilka stóp dalej, przy ścianie. Postąpił jeden krok w tamtą stronę, potem drugi, wpatrując się w sterczący ze środka górnego kamienia potężny dyszel. Z dyszla zwisał gruby łańcuch, który prowadził do...

Błyskawiczny ruch i coś otarło się o jego kostkę. Shef wyskoczył w powietrze, wciąż trzymając lampę w wyciągniętej ręce, i opadł na ziemię trzy stopy dalej.

Dłoń minęła jego kostkę o cal. Rozległ się mrozący krew w żyłach dźwięk. Shef uświadomił sobie, że w migotliwym świetle lampy patrzy prosto w błyszczące, szeroko otwarte oczy. Przerażliwy dźwięk spowodował napięty raptownie łańcuch, przytwierdzony do obręczy wokół grubej szyi. W błyszczących oczach nie było bólu, tylko wściekłość i gorycz porażki.

Shef spojrział na łańcuch. Tak, od dyszla do obręczy. I drugi, od obręczy do wbitego w ścianę haka. Ręce też były skute i połączone łańcuchem z obręczą, więzień mógł sięgnąć co najwyżej od pasa do ust. Po co to wszystko? - zdumiał się Shef, lecz potem uświadomił sobie, że skutego w ten sposób człowieka można było wlec od ściany do dyszla i od dyszla do ściany, nie wchodząc przy tym w zasięg jego ciosów. W pomieszczeniu cuchnęło. Shef dostrzegł wiadro na odchody. Wątpliwe jednak, by ten człowiek z niego korzystał. Miska z wodą. Z niej musiał korzystać. Żadnego jedzenia, żadnego światła, tylko sterta worków, którymi mógł się przykrywać podczas chłodnej górskiej wiosny. Ale jak zdołał przeżyć zimę? Miał na sobie tylko wystrzępioną tunikę, tak zetlałą, że prześwitywała przez nią owłosiona pierś.

Mężczyzna w łańcuchach wciąż czekał, wciąż patrzył, nie mrugnawszy ani razu powieką. Cekał na cios. Z nadzieją, że prześladowca podejdzie zbyt blisko. Potem cofnął się, udając, w swoim mniemaniu bardzo chytrze, że się boi. Starał się zwabić Shefa w zasięg łańcucha.

Coś poruszyło się w pamięci Shefa. Ten człowiek, choć brudny i zarośnięty, gdyż zarówno włosy, jak i brodę przycinano mu tylko wówczas, gdy opadały już na obracający żarna dyszel, wydawał mu się znajomy. A, co dziwniejsze, on chyba również rozpoznał Shefa, bo w jego oczach pojawił się czujny namysł.

Shef usiadł na ziemi w bezpiecznej odległości.

- Jesteśmy Anglikami - powiedział. - A ja cię już gdzieś widziałem.

- Ja ciebie też - odparł mężczyzna. Głos miał zgrzytliwy, jakby nie odzywał się od bardzo dawna. - Spotkaliśmy się w Yorku. Próbowaliśmy cię zabić, jednooki. Wdarłeś się do miasta jako pierwszy.

Obok ciebie biegł jeden z tych psów, wikingów, prawdziwy olbrzym.

Natarłem na niego, a ty odbiłeś mój cios. Położyłbym go następnym uderzeniem, a zaraz potem ciebie. Ale rozdzielono nas. A teraz zjawileś się w ziemi wikingów, żeby sztydzić ze mnie, zdrajco. Jego twarz zeszcpecił grymas. - Lecz Bóg ulituje się nade mną, tak jak ulitował się nad moim królem Ellą. W końcu umrę. Boże, uwolnij moje ręce, zanim to nastąpi!

-Nie jestem zdrajcą- powiedział Shef. -Nie zdradziłem twojego króla Elli. Oddałem mu przysługę, nim umarł. Mogę coś zrobić także dla ciebie. Ja dla ciebie, a ty dla mnie, przysługa za przysługę.

Ale najpierw powiedz mi, kim jesteś.

Twarc znów wykrzywiła się gwałtownie, jak u człowieka w rozpacz, który za nic w świecie nie chce uронić nawet jednej łzy.

- Kiedyś byłem Cuthredem, kapitanem straży przybocznej króla

Elli, najlepszym z jego wybranych mistrzów. Byłem najsłynniejszym wojownikiem od Humberu do rzeki Tyne. Ludzie Ragnarssonów przygnietli mnie tarczami, kiedy już położyłem z dziesięciu. Zakuli mnie w łańcuchy i sprzedali, ponieważ jestem silny.

Cuthred zaśmiał się cicho, odrzucając głowę do tyłu niczym wilk.

-Ale nie wiedzieli jednego, a nie żałowaliby złota, żeby się tego dowiedzieć.

- Wiem - powiedział Shef. - Wrzuciłeś ich ojca do jamy pełnej żmij, aby tam umarł. Byłem przy tym i tam właśnie widziałem ciebie. I wiem jeszcze coś. To nie był twój pomysł, lecz diakona Erkenberta. Król Ella wypuściłby Ragnara. - Pochylił się do przodu, ale nie za blisko. - Widziałem, jak rzuciłeś na stół paznokiec Ragnara. Stałem za krzesłem mojego ojczyma Wulfgara, z którego wikingowie zrobili potem żywego trupa. To on sprowadził Ragnara do Yorku.

W wypełnionych szaleństwem oczach malowało się zdumienie i niedowierzenie.

- Chyba jesteś diabłem - mruknął Cuthred. - Zjawileś się, aby wodzić mnie na pokuszenie.

-Nie. Jestem twoim aniołem stróżem, jeśli nadal wierzysz w Białego Chrystusa. Mamy zamiar cię uwolnić, jeśli obiecasz, że coś dla nas zrobisz.

- Cóż takiego?

- Stoczysz jutro walkę z mistrzem Vigdjarfem.

Cuthred znów zadarł głowę jak wilk, a w jego oczach pojawił się wyraz dzikiej radości.

- Ach, Vigdjarf- powtórzył chrapliwie. - To on mnie okaleczył, kiedy uciekłem po raz drugi. Już nigdy więcej się do mnie nie zbliżył. Ale uważa się za odważnego. Może nie ulęknie się stanąć przede mną. Raz. Jeden raz mi wystarczy.

- Musisz pozwolić nam podejść, jeśli mamy zdjąć ci łańcuchy.

I obręcz.

Shef znów skinął na Udda. Mały człowieczek z tobołkiem narzędzi w ręku ruszył wolniutko naprzód, jak mysz, która podkrada się do kota. Zrobił pierwszy ostrożny krok, potem następny. Znalazł się w zasięgu łańcucha. I Cuthred już go miał, jednym potężnym łapskiem zatkał mu usta, drugim chwycił go za szyję, gotów złamać mu kark.

- Vigdjarf- przypomniał Shef.

Cuthred powoli puścił Udda i popatrzył na własne ręce, jakby im nie dowierzał. Karli schował miecz. Udd, który trząsał się cały, znów ruszył naprzód, obejrzał z bliska żelazny hak i zabrał się do roboty.

Potem wrócił do Cuthreda i popatrzył na obręcz.

-Najlepiej byłoby ją przepiłować, panie. Narobię trochę hałasu.

I mogę też sprawić mu ból.

- Natrzyj pilnik tłuszczem. Słyszałeś, Cuthredzie? To może zabołec. Nie szarp się. Oszczędzaj siły na Vigdjarfa.

Twarz człowieka z Yorkshire drgnęła, lecz siedział nieruchomo, podczas gdy Udd piłował, oliwił i znowu piłował. Tłuszcz w lampie wypalił się i płomień zaczął przygasać. Wreszcie Udd skończył.

- Gotowe, panie. Trzeba tylko odgiąć.

Shef zbliżył się ostrożnie, a Karli znów uniósł miecz. Cuthred machnął niecierpliwie ręką, wyszczerzył zęby i złapał w obie dłonie grubą obręcz, wciąż zaciśniętą na jego szyi. Pociągnął. Shef patrzył z podziwem, jak tors i mięśnie ramion Cuthreda napinają się niczym okrętowe liny. Mocne, twarde żelazo wygięło się w łuk jak odarta z kory gałązka. Cuthred, już wolny, postąpił ku nim, obręcz i łańcuchy opadły z brzękiem na ziemię. Przyklęknął, ujął dłonie Shefa w swoje, położył je sobie na głowie, a głowę oparł o jego kolana.

-Należę do ciebie - powiedział.

Lampa zgasła. W ciemnościach czterej mężczyźni otworzyli ostrożnie drzwi i wyszli pod rozgwieżdżone niebo. Jak cienie przemknęli przez wioskę i zakradli się do obozu, kryjąc się za kołniami przed norweskimi wartownikami. Ogień nadal płonął, podsycany przez czuwającą Edith.

Na widok kobiety Cuthred wydał z siebie zdławiony jęk. Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby chciał się na nią rzucić.

- Ona też jest Angielką- szepnął Shef. - Edith, daj mu jeść, daj mu wszystko, co mamy. Mów do niego łagodnie, po angielsku. - Spostrzegłszy, że inni wiercą się na swych posłaniach, podpełzł do Cwicci. - Ty też z nim porozmawiaj, Cwicca. Daj mu piwa, jeżeli jeszcze coś zostało. Ale najpierw, po cichu, załaduj kuszę. Gdyby rzucił się na kogoś, zastrzel go. Ja mam zamiar spać aż do świtu.

Shef obudził się, co prawda nie o pierwszym brzasku, ale gdy tylko słońce wyszło zza wierzchołków gór, które z obu stron zamykały dolinę. Było zimno, a cienki koc pokrywała rosa. Początkowo Shef nie miał ochoty wstawać, by nie naruszyć delikatnej warstewki ciepła, jaką wytworzyło w nocy jego ciało. A potem przypomniał sobie płonące oblędem oczy Cuthreda i poderwał się raptownie.

Cuthred jeszcze spał, z otwartymi szeroko ustami. Leżał owinięty w koc, złożywszy głowę na piersiach Edtheow, najstarszej spośród niewolnic. Obudziła się już, lecz nadal leżała bez ruchu, w macierzyńskim geście obejmując ramieniem głowę Cuthreda.

Ocknął się w jednej chwili. Otworzył szeroko oczy, spojrzął na przyglądającego mu się Shefa, potem na pozostałych, patrzył przez chwilę, jak rozpalają ogniska, zwijają koce, idą kolejno do latryny.

A potem jego wzrok padł na Branda, który stał nie opodal i również się w niego wpatrywał.

Shef nie zobaczył, jak Cuthred wstaje. Ujrzał tylko odlatujący na bok koc i w tej samej chwili, nim zdążył odwrócić głowę, usłyszał łoskot padających ciał i zduszony jęk, kiedy Cuthred poderwał się błyskawicznie na nogi i runął na Branda. Teraz obaj leżeli na ziemi, tarzając się we wściekłych zapasach. Shef spostrzegł, jak Cuthred uniósł kciuki, by wbić je Brandowi w oczy, lecz Brand chwycił go ogromnymi dłońmi za nadgarstki i oderwał jego ręce od swojej twarzy. Na chwilę zwarli się w uścisku, Cuthred przygniatał Branda, jednak żaden z nich nie był w stanie uzyskać przewagi. Wreszcie

Cuthred zdołał uwolnić ręce, wyszarpnął Brandowi nóż z pasa i wciąż z tą samą niewiarygodną szybkością skoczył na równe nogi.

Brand też usiłował wstać, lecz Cuthred już zadawał śmiertelny cios, wymierzony w krtań przeciwnika.

Osmod uwiesił się na jego przedramieniu i nóż chybił. Potem

Osmod potoczył się po ziemi, uderzony ręką Shefa. Shef skoczył i złapał Cuthreda za lewe ramię, miał zamiar założyć dźwignię i złamać mu rękę. Wyglądało to tak, jakby próbował zatrzymać konia w biegu, chwytając go za pęcinę. Kiedy Cwicca wisiał na jednym ramieniu Cuthreda, a Shef szarpał się z drugim, podszedł do nich Karli. Na jego twarzy malowało się ożywienie.

- Ja go uspokoję! - wrzasnął. Przesząpił z nogi na nogę, rozluźnił ramiona, a potem nagle posypały się ciosy, lewy-prawy-lewy, wymierzone w nieosłonięty brzuch Cuthreda, pod żebra i w okolice wątroby.

Cuthred jedną ręką podniósł Shefa do góry, trzasnął go łokciem w skroń i oswobodził ramię. Pięść jak maczuga spadła na głowę

Karliego, a Cuthred przydepnął stopy Cwicci, który nadal ścisnął kurczowo jego nadgarstek, i lewą ręką sięgnął po nóż.

Shef zdołał tymczasem wstać i ujrzał, jak Udd podnosi kuszę i starannie celuje; już otworzył usta, by krzyknąć: "Nie!", kiedy zdał sobie sprawę, co za chwilę nastąpi. Albo Cuthred wypatroszy Cwicce, albo Udd zastrzeli Cuthreda.

Nagle pojawił się Brand i stanął pomiędzy Cuthredem a Uddem i jego kuszą. Nie odezwał się ani słowem, nie zrobił nic, by powstrzymać szalonego wojownika. Zamiast tego wyciągnął przed siebie obie ręce, trzymając w nich swój bojowy topór.

Cuthred spojrzał nań, natychmiast zapomniał o nożu i sięgnął po topór. Zawahał się. Cwicca westchnął, puścił go i wycofał się na bezpieczną odległość. W Cuthreda mierzyło teraz pół tuzina kusz.

Nie zwracał na to uwagi, patrzył jedynie na topór. Ujął go ostrożnie, zważył w dłoni i zamachnął się kilka razy w przód i w tył.

- Teraz pamiętam - mruknął po angielsku w chrapliwym dialekcie z Northumbrii. - Chcecie, żebym zabił Vigdjarfa. Ha! - Podrzucił topór nad głowę i nim ponownie go złapał, ostrze zawiroowało kilka razy w powietrzu, łowiąc blask słońca lśniąca krawędzią. - Zabiję

Vigdjarfa! - Rozejrzał się wokoło, wypatrując przeciwnika, a kiedy go nie znalazł, ruszył w stronę wioski niczym górską lawina.

Brand zastąpił mu drogę, rozłożywszy szeroko ręce, i zaczął krzyczeć do niego, z trudem składając nieporadne angielskie zdania.

- Tak, tak, zabij Vigdjarfa. Nie teraz. Dzisiaj. Wszyscy będą patrzeć. Teraz zjedz. Przygotuj się. Wybierz broń.

Cuthred uśmiechnął się, ukazując dziąsła z resztkami zębów.

- Jeść - zgodził się. - Kiedyś próbowałem cię zabić, wielkoludzie, w Yorku. Spróbuję znowu. Najpierw zabiję Vigdjarfa. Teraz zjem. - Wbił ostrze topora w pień ściętego drzewa, rozejrzał się, zobaczył, że Edtheow idzie ku niemu z pajdą chleba, wziął chleb i zaczął żuć. Uspokajała go łagodnie, jak narowistego konia, gładząc jego ramię przez brudny materiał tuniki.

- O, tak - powiedział Brand do Shefa, któremu nadal szumiało w uchu. - On mi się podoba. Trafił się nam prawdziwy berserk. To bardzo użyteczni ludzie. Trzeba im tylko dobrze wytłumaczyć, co mają robić.

Niebawem wszyscy w obozie zajęli się Cuthredem, skacząc wokół niego, jakby był koniem wyścigowym, ściśle według wskazówek Branda. Przede wszystkim należało go nakarmić. Kiedy uporał się już z chlebem od Edtheow, byli niewolnicy przyrządzili mu miskę owsianki i zaczęli podgrzewać wczorajszy gulasz z lekkomyślnych kurcząt, które zapuściły się zbyt blisko obozu, przyprawiony obficie cebulą i czosnkiem. Cuthred jadł nieprzerwanie pod czujnym okiem Branda i Hunda. Karmili go niewielkimi porcjami, za każdym razem czekając, aż wylizze do czysta drewnianą miskę, i dopiero wtedy wręczali mu następną.

- Musi jeść, zęby nabrać sił - mruknął Brand. - Ale żołądek mu się skurczył. Nie strawi tak dużo na raz. Dajcie mu piwa, to trochę zwolni. I zdejmijcie z niego tę tunikę. Mam zamiar go umyć i natrzeć oliwą.

Podkomendni Cwicci przynieśli gorące kamienie z ogniska, wrzucili je do skórzanego wiadra z wodą i patrzyli, jak unoszą się z niego kłęby pary. Lecz kiedy Shef podszedł do Cuthreda i pokazał mu gestem, że powinien zdjąć tunikę, Cuthred nachmurzył się i gwałtownie potrząsnął głową. Spojrzał na kobiety. Był okaleczony i wstydził się.

Shef odprawił niewiasty, zdjął tunikę i odwrócił się, tak by Cuthred mógł zobaczyć na jego plecach blizny po chłostach, których nie szczędził mu ojczym, a potem znowu się ubrał. Fritha i Cwicca rozpostarli na trawie koc, a kiedy Cuthred położył się na nim, twarzą do ziemi, za pomocą noży zdjęli z niego tunikę, odrywając materiał od ciała.

Na widok jego pleców byli niewolnicy znów spojrzeli po sobie. W tych miejscach, gdzie bat zdarł ciało aż do kości, kręgosłup okrywała tylko cienka, poprzecinana bliznami skóra. Nie żałując ługu i gorącej wody, Fritha zaczął zmywać z niego płyty martwego naskórka i warstwę brudu, jaka narosła przez zimę.

Kiedy skończył, Brand wręczył Cuthredowi parę własnych spodni i gestem polecił mu je włożyć. Na chwilę wszyscy zapatrzili się gdzieś w dal. Potem posadzili go na pniu, a Fritha umył mu ramiona, tors i twarz.

W trakcie tych zabiegów Shef uważnie przyglądał się Cuthredowi. Był on naprawdę wielkim mężczyzną, znacznie potężniejszym od każdego z wyzwoleńców, a także od Shefa. Choć nie tak wielkim jak

Brand - spodnie były na niego o wiele za długie i zwisały zbyt luźno, należącym zaś do Branda pasem Cuthred mógłby owinać się dwukrotnie. Ale różnił się od większości znanych Shefowi mężczyzn, wojowników z załogi Branda lub z Wielkiej Armii. Brand nie był gruby ani ocieżały od nadmiaru piwa, ale odżywiał się dobrze, a jego mięśnie okrywała cienka warstewka tłuszczu, chroniąca przed chłodem. Gdy siadał, na jego brzuchu pojawiały się wyraźne fałdy.

W porównaniu z Cuthredem Brand wydawał się niezdamny. Cuthred został zamknięty w młynie, gdzie obracał ogromny ciężar, pracując rękami, nogami, plecami i brzuchem, godzina po godzinie, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, żyjąc jedynie chlebem i wodą, toteż jego mięśnie sterczały, jakby wyrysowano je na papierze mocną linią. Zupełnie jak u ślepeca, którego Shef zobaczył w swojej ulotnej wizji. To właśnie owo połączenie siły i zwinności sprawiało, że Cuthred był tak niewiarygodnie szybki. To, oraz jego szaleństwo.

- Zajmij się jego rękami i stopami - polecił Brand. - Popatrz, jego paznokcie przypominają szpony niedźwiedzia. Obetnij je, bo nie założymy mu butów. Potrzebuje butów, żeby mieć lepsze oparcie. Niech ryo spojrzę na jego ręce.

Obracał dłonie Cuthreda na wszystkie strony, sprawdzając czy są wystarczająco giętkie.

- Strasznie twarde - mruknął. - To dobrze dla żeglarza, źle dla wojownika. Dajcie mi trochę oliwy, spróbuję je natrzeć.

Przez cały czas Cuthred siedział nieruchomo, niepomny na chłód, najwidoczniej uznawszy, że należą mu się te wszystkie przejawy troski. Zapewne przywykł do tego w swoim dawnym życiu, pomyślał

Shef. Był kapitanem straży króla Northumbrii, a drogę do takiej funkcji mógł utorować sobie tylko mieczem. Cuthred musiał stoczyć tyle pojedynków, że pewnie nawet wszystkich nie pamiętał. Oprócz śladów tortur na jego ciele widniały też stare blizny, częściowo ukryte pod gęstymi włosami. Podczas górskiej zimy, spędzonej w nie ogrzewanej szopie, porósł sierścią, zupełnie jak koń. Właśnie zaczęli przycinać mu brodę i włosy jedynymi nożyczkami, jakie posiadali.

- Nie powinny opadać mu na twarz - wyjaśnił Brand.

Shef miał w bagażu jeszcze jedną tunikę, przepiękną, z farbowanej na zielono wełny. Cuthred założył ją i wetknął jej brzeg w spodnie, z braku pasa przewiązane sznurem. Kiedy przyszli go uwolnić, strach było na niego patrzeć. Shef zadawał sobie pytanie, jak będzie wyglądał umyty, ostrzyżony i ubrany.

Wyglądał dokładnie tak samo. Każdy rozumny człowiek, spotkawszy na swej drodze Cuthreda, uciekłby przed nim w popłochu na najbliższe drzewo, tak jak przed niedźwiedziem lub watahą wilków. Był równie szalony i równie niebezpieczny jak Ivar Bez Kości albo jego ojciec, Ragnar Włochate Portki. Nawet przypomina Ragnara, pomyślał Shef. Jest coś w jego postawie i w bezlitosnym spojrzeniu.

Brand pokazał Cuthredowi znajdującą się w ich posiadaniu broń.

Właściwie nie było w czym wybierać. Cuthred popatrzył na ukochany miecz Karliego, parsknął i bez słowa zgiął go o kolano. Uniósł głowę, wyraźnie zaciekawiony, kiedy Karli wydał z siebie jęk przerażenia i rozpachy, chwilę nasłuchiwał, czy ten odgłos się nie powtórzy, a potem spojrzął na Karliego i wyszczerzył radośnie zęby. Krótkie miecze wyzwolenców odrzucił z pogardą na bok. Zainteresowała go natomiast halabarda Osmoda; czas jakiś fechtował nią najedną ręką, wywijając ciężkim, okutym drzewcem jak wierzbową gałązką. Była jednak źle wyważona i nie mogła służyć jako jednoręczna broń. Odłożył ją więc i zaczął oglądać z uwagą cenny, platerowany srebrem topór Branda.

- Jak się nazywa? - spytał.

- Rimmugygr - odparł Brand. - To znaczy "Waleczny troll".

- Och - powiedział Cuthred, oglądając broń ze wszystkich stron. Trolle. Schodzą zimą z gór i zaglądają przez szpary do samotnego człowieka w łańcuchach. To nie jest broń dla mnie. A ty, wodzu zwrócił się do Shefa - nosisz złoto na ramionach. Z pewnością masz sławny miecz, który mi pożyczysz.

Shef potrząsnął głową. Po bitwie pod Hastings jego tanowie upierali się, że jako król powinien mieć wspaniałą broń, i wybrali dla niego miecz z najlepszej szwedzkiej stali, ze złotą rękojeścią i wyrytą na klindze nazwą: "Atlaneat". Ale zostawił go w skarbcu i na okręcie nosił tylko prosty marynarski kord. Ten również zostawił przed wyprawą na Drottningsholm, zabrał ze sobą tylko włócznię "Gungnir". Lecz Cwicca przyniósł mu kord, kiedy przyszli po niego, więc teraz Shef miał go znowu u pasa. Wyciągnął broń i podał

Cuthredowi. Cuthred skrzywił się tak samo, jak na widok miecza

Karliego. Była to ciężka jednosieczna klinga, lekko zakrzywiona, ze zwykłego żelaza, choć Shef dospawał do niej stalową krawędź.

Nie nadawała się do fechtowania, co najwyżej do cięcia.

- Nie można nim uderzać od siebie - mruknął Cuthred. - Ale jest mocny. Wezmę go.

Pchnięty nagłym impulsem, Shef dał mu również tarczę, którą zrobił Udd, drewnianą, lecz pokrytą warstwą hartowanej stali. Cuthred spojrzał z uwagą na cienki metal, zaintrygowany jego niezwykłym kolorem, i spróbował przytrzymać sobie tarczę do ręki. Lecz musieli przewiercić w rzemiennym pasku dodatkowy otwór, gdyż inaczej sprzączka nie dopinała się na przedramieniu. Cuthred wstał, trzymając w jednym ręku obnażony miecz, w drugim tarczę. Jego wykrzywiona twarz przypominała pysk głodnego wilka.

- Dobrze - powiedział. - Yigdjarf.

Rozdział osiemnasty

JN a skraju obozu stał mężczyzna w pełnej zbroi, z krótką laską w ręku: sędzia, który przyszedł wezwać ich na miejsce walki. Shef podniósł się, zasłaniając sobą Cuthreda, i skinął głową Brandowi, aby mówił w ich imieniu.

- Jesteście gotowi? - zawołał sędzia.

- Gotowi. Powtórzmy jeszcze raz zasady pojedynku.

Wszyscy nadstawili uszu, kiedy Brand i sędzia omawiali po kolei uzgodnione uprzednio warunki: tylko sieczna broń, mistrz przeciwko mistrzowi, wolny przejazd dla całej grupy, albo ci spośród podróżnych, którzy byli przedtem niewolnikami, stają się własnością zwycięzcy. Shef czuł, jak z każdym wypowiedzianym słowem rośnie napięcie wśród Anglików, zarówno mężczyzn, jak i kobiet.

- Wygra czy przegra, nas to nie dotyczy - mruknął Osmod. Niech wszyscy mają kusze i halabardy pod ręką. Kobiety czekają przy koniach. Jeśli nasz człowiek padnie - co, oczywiście, nie nastąpi - dodał pospiesznie Osmod, zerkając na Cuthreda - spróbujemy wyrąbać sobie drogę siłą.

Nie uszło uwagi Shefa, że Brand najeżył się cały, zgorzony tak niehonorowym postawieniem sprawy przez Osmoda, ale kontynuował rozmowę. Sędzia, który w ogóle nie mówił po angielsku, niczego nie zauważył. Cuthred uśmiechnął się jeszcze szerzej. Jak dotąd, zachowywał się zdumiewająco powściągliwie, siedział na pniu i nie próbował się pokazywać. Albo udzielił mu się znajomy, uroczysty nastrój przed pojedynkiem, albo też rozkoszował się myślą o niespodziance, jaką przygotowali dla Vigdjarfa.

Sędzia odszedł, a Brand wrócił do swoich, którzy tymczasem szykowali się do odjazdu, siodłali konie i pakowali juki. W ostatniej chwili Cuthred dojrzał niewielką siekierę, którą rąbali drwa na ognisko. Wyszarpnął ją z rzemiennego strzemiączka i podał Uddowi.

- Naostrz ją swoim pilnikiem - polecił.

Weszli w krótką uliczkę, niemal całkowicie wyludnioną.

Wszyscy mieszkańcy małej osady, a także mężczyźni, kobiety i dzieci z całej doliny, stłoczyli się na niewielkim placu przed świątynią, aby przyglądać się zmaganiom mistrzów. Jedną ulicę zostawili pustą, lecz kiedy przeszedł tamtędy Brand i jego towarzysze, uzbrojeni we włócznie i tarcze mężczyźni zablokowali również to przejście. Osmod rozglądał się czujnie dookoła, szukając słabych punktów w otaczającym ich pierścieniu. Nie znalazł żadnych.

Przed wejściem do świątyni już czekał na nich Vigdjarf i jego dwaj sekundanci, wszyscy w szkarłatnych płaszczach. Brand przyjrzał się bacznie Cuthredowi, po czym skinął na Osmoda i Cwicę, by stanęli obok niego.

- Czekajcie - powiedział, unosząc ostrzegawczo palec. - Czekajcie na wezwanie.

Cuthred nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Dostał swoją naostrzoną siekierę i trzymał ją w lewej dłoni, razem z rzemieniem tarczy. Drugą ręką podrzucał w powietrze źle wyważony kord Shefa i chwycił go ponownie za nie osłoniętą jęczmieniem rękę. W tłumie podniósł się szmer, gdy ludzie rozpoznali niewolnika z młyna i poczęli snuć domysły, co też może oznaczać jego obecność.

Brand ruszył przez plac z Shefem u boku.

- Chyba powinniśmy dać mu jakąś zbroję - mruknął Shef. Twoją kolczugę? Albo hełm? Może przynajmniej skórzany kaftan?

Vigdjarf ma wszystko.

- To zbyt cenne w przypadku berserka - odparł krótko Brand. Sam zobaczysz.

Zatrzymał się siedem kroków od grupki przed świątynią i podniósł głos, zarówno na użytek tłumy, jak i przeciwników, którym rzucał wyzwanie.

- Jesteś gotów spróbować szczęścia, Vigdjarfie? Mogłeś walczyć ze mną przed laty, wiesz o tym. Ale wówczas nie miałeś na to wielkiej ochoty.

- A ty nie masz na to ochoty teraz - odciął się Vigdjarf, szczerząc zęby. - Czy już zdecydowałeś, kto się ze mną zmierzy? Ty?

Czy twój jednooki, nieuzbrojony przyjaciel?

Brand wskazał kciukiem za siebie.

- Postanowiliśmy, że z naszej strony dotrzyma ci placu ten w zielonej tunice. Aż się pali do walki z tobą. Naprawdę ma na to ochotę.

Vigdjarf skierował spojrzenie na drugą stronę rynku i uśmiech zniknął z jego twarzy. Cuthred stał teraz na widoku, z dala od innych, wciąż podrzucał i łapał swój miecz. Zaczął też bawić się siekierą, przerzucając ją z ręki do ręki, kiedy kord szybował w powietrzu.

- Nie może ze mną walczyć - powiedział Vigdjarf. - To mój niewolnik. Musieliście go wykraść w nocy. Nie będę walczył z własnym niewolnikiem. Zwracam się do sędziów. - Popatrzył na dwóch uzbrojonych mężczyzn w kolczugach, stojących po obu stronach placu.

- Łatwo ci przychodzi nazywać ludzi niewolnikami - zauważył

Shef. - Najpierw mówisz, że jacyś obcy podróżni są thrallami i muszą tobą walczyć, by udowodnić, że nimi nie są. A kiedy ktoś chce z tobą walczyć, to powiadasz, że on także jest thrallem. Może byłoby prościej, gdybyś wszystkich nazwał niewolnikami. Wtedy musiałbyś tylko sprawić, żeby zachowywali się jak niewolnicy. Bo dopóki tego nie robią - nie są nimi.

- Nie będę z nim walczył - powiedział stanowczo Vigdjarf. Jest moją własnością, skradziono mi go w nocy, a wy jesteście złodziejami. - Znow zwrócił się do sędziów, by złożyć kolejny protest.

Brand obejrzał się przez ramię.

- Cóż, jeśli nie chcesz z nim walczyć, to twoja rzecz - stwierdził. Ale możesz być pewien jednego. On chce walczyć z tobą. I z każdym, kto stanie mu na drodze.

Z chrapliwym rykiem Cuthred wystąpił pomiędzy swoich sekundantów i ruszył przez plac. Patrzył prosto przed siebie, nie mrugał, a idąc zaczął śpiewać. Shef, który występował niegdyś jako minstrel, rozpoznał tę pieśń. Była to stara northumbryjska ballada o bitwie nad jeziorem Nechtans, gdzie angielska armia została wycięta w pień przez Piktów. Cuthred śpiewał ten fragment, gdzie mężczyźni obrońcy odmówili poddania się i utworzyli mur z tarcz, by walczyć do ostatniego wojownika. Brand i Shef czym prędzej usunęli mu się z drogi i patrzyli, jak przechodzi obok nich, zrazu wolno, lecz z każdym krokiem coraz szybciej.

Vigdjarf spojrział na niego, chwycił jednego z sekundantów za płaszcz, znow popatrzył na sędziów i stwierdził, że wszyscy się cofnęli, zostawiając go sam na sam z rozwścieczonym człowiekiem, którego okaleczył.

Zbliżywszy się na odległość pięciu kroków, Cuthred zaatakował. Bez uników, bez podchodzenia przeciwnika. Był to atak rozjuszonego churla, świnio-pasa albo parobka, a nie królewskiego mistrza. Pierwszy cios, zadany z potężnego zamachu, przy którym koniec zakrzywionego miecza prawie dotykał pleców Cuthreda, spadł szerokim łukiem na hełm Vigdjarfa. Przed takim uderzeniem tylko sparaliżowany starzec nie zdołałby się obronić. Vigdjarf, wciąż krzycząc do sędziów, odruchowo unióś ramię i przyjął cios środkiem tarczy.

Siła ciosu rzuciła go niemal na kolana. Miecz znowu był w powietrzu, uderzył po raz drugi i trzeci. Zapominając w ogóle o obronie, Cuthred tańczył wokół swego przeciwnika i ciął ze wszystkich stron. Z lipowej, obramowanej żelazem tarczy sypały się drzazgi, chwilami zdawało się, że Vigdjarf trzyma już tylko porąbany szczątek. Donośny szczęk rozniósł się echem po placu, kiedy Vigdjarf zdołał wreszcie wydobyć miecz i odparować pierwszy cios.

- Nie sędzę, by to długo potrwało - powiedział Brand. - A kiedy będzie po wszystkim, zrobi się naprawdę paskudnie. Wszyscy na koń. Shef, daj mi jakąś linę.

Ataki Cuthreda ani przez moment nie traciły na sile, lecz Vigdjarf, stary weteran, zdołał się już jakoś pozbierać. Odbijał teraz ciosy mieczem oraz pogruchotaną połową tarczy, jaka mu jeszcze została. Zdał sobie także sprawę, że Cuthred w ogóle się nie osłania, nawet nie przybiera

odpowiedniej postawy. Tarcza w jego ręku służyła mu chyba tylko do zachowania równowagi. Vigdjarf dwa razy pod rząd spróbował pchnięcia, mierząc w twarz przeciwnika.

Cuthred dwa razy uskoczył, składając się do kolejnego ciosu.

- Zaraz zostanie trafiony - mruknął Brand. - A wtedy...

Cuthred, któremu jakby wrócił rozsądek, nagle zmienił taktykę; zamiast młócić na oślep w głowę i korpus, pochylił się i ciął na wysokości kolan przeciwnika. Vigdjarf widział podobny manewr wiele razy, znacznie częściej niż wściekły atak, który dopiero co udało mu się przetrwać. Przeskoczył nad tnącym płasko ostrzem, spadł na ziemię przykucnięty i sam wyprowadził cios.

Jęk przerażenia wyrwał się z piersi obserwujących walkę Anglików, gdy miecz Vigdjarfa rozorał udo Cuthreda. Czekali na fontannę krwi z przeciętych arterii, ostatni, zadany resztkami sił cios, łatwy do sparowania, upadek i śmiertelne pchnięcie. Tak się to zwykle kończyło. Vigdjarf wyszczerzył zęby i czekał, aż Cuthred osunie się na ziemię.

Nie doczekał się. Cuthred skoczył, wznosił miecz i w tym samym momencie zamachnął się toporkiem, trzymany w drugim ręku. Rozległ się pojedynczy, głuchy odgłos, gdy ostrze siekiery przebiło hełm i uderzyło w czaszkę.

Cuthred puścił siekiere i złapał Vigdjarfa za rękę, w której ten dzierżył miecz. Kiedy Vigdjarf rozpaczliwie i daremnie okładał go strzaskaną tarczą, Cuthred zamierzył się, wbił kord pod kolczugę i kilka razy przeciągnął ostrze w przód i w tył, jakby piłował drzewo. Vigdjarf zaczął krzyczeć; wypuścił miecz i spróbował wyszarpnąć z ciała kord. Cuthred mówił coś do niego, unosząc go w górę, wrzeszczał jakieś słowa prosto w wykrzywioną w agonii twarz.

Sędziowie i jeden z sekundantów Vigdjarfa, porażeni grozą, nie tyle na widok śmierci, ile ponizenia swego mistrza, rzucili się w tamtą stronę. Shef spostrzegł, że co bardziej przewidujący gapie odprowadzają pospiesznie kobiety i dzieci i zamykają je w domach. On sam, wciąż nie uzbrojony, ruszył naprzód, wołając do sędziów, aby się cofnęli.

Cuthred rzucił na ziemię broczące krwią ciało swego przeciwnika i bez ostrzeżenia zaatakował znowu. Jeden z sędziów, który nadal trzymał w ręku laskę i próbował coś krzyczeć, padł, cięty przez szyję aż po mostek. Kiedy żelazo zgrzytnęło o kość, Cuthred po raz pierwszy użył tarczy, by odepchnąć nią drugiego z sędziów, następnie wyrwał miecz z dłoni umierającego i odrąbał sekundantowi nogę w kolanie. Potem, bez wytchnienia, bez chwili wahania, rzucił się na tłum stronników Vigdjarfa, zgromadzony przed świątynią.

Na jego spotkanie poleciała ciężka, okuta żelazem bojowa włócznia, ciśnięta z całą siłą z odległości dziesięciu stóp. Cuthred osłonił pierś tarczą hartowanej stali. Włócznia uderzyła w nią, ale nie wbiła się, odskoczyła do tyłu zupełnie jak "Gungnir", kiedy Shef po raz pierwszy sprawdzał wytrzymałość nowego metalu.

Rozległ się jęk zdumienia i przerażenia, po czym w jednej chwili wszyscy rzucili się do ucieczki, a Cuthred gnał za nimi, ciął, ludzie padali, inni pędzili dalej, zewsząd dobiegał okrzyk: "Berserk!", "Berserk!" - No cóż - powiedział Brand, rozglądając się po opustoszałym nagle placu. - Myślę, że teraz po prostu stąd odjedziemy, bardzo, bardzo powoli... Może tylko zabierzemy parę użytecznych drobiazków, które się tu walają, jak na przykład ten miecz - nie będzie ci już potrzebny, prawda,

Vigdjarfie? Zawsze miałeś zbyt ciężką rękę dla niewolnic, to nie było całkiem dreng, jak na mój gust. Ale śmierć też miałeś nielekka.

- Nie zabierzemy ze sobą biednego Cuthreda? - spytała oburzona Edtheow. - Przecież nas uratował.

Brand z odrazą potrząsnął głową.

- Sądzę, że będzie lepiej dla nas wszystkich, jeśli go już nigdy nie spotkamy.

Cuthred leżał nieruchomo w błocie pięćdziesiąt jardów od wylotu ulicy, która wyprowadziła ich z miasta, w rękę ścisnął za włosy dwie odcięte głowy. Hund odepchnął Shefa i wpatrywał się jak urzeczony w lewe udo Cuthreda, rozplątane przez miecz

Vigdjarfa.

Było to bardzo głębokie cięcie o długości sześciu cali, na dnie rany połyskiwała biała kość. Ale dostrzegli niewielką tylko ilość krwi.

- Jak to możliwe? - dziwił się Hund. - Dlaczego taka rana nie krwawi? I jak on mógł iść z rozciętymi mięśniami?

- Nie wiem - odparł Brand. - Ale widywałem już takie rzeczy.

Tak to właśnie bywa z berserkami. Powiadają, że żadna stal się ich nie ima. Och, ima się, jeszcze jak. Tylko że tego nie czują. Do czasu. Co ty robisz?

Hund wyciągnął z zanadru igłę oraz nić z baraniego jelita i zaczął zszywać brzegi wielkiej rany, najpierw z grubsza, potem bardzo dokładnie, drobnym, precyzyjnym ścięciem, zupełnie jak krawiec. Dopiero wtedy z rany pociekła krew, i to bardzo obficie. Hund skończył, zabandażował nogę, odwrócił swego pacjenta na plecy i obejrzał jego źrenice. Potrząsnął głową, nie mogąc wyjść ze zdumienia.

- Połóżcie go na konia - polecił. - Powinien już nie żyć. Ale wydaje mi się, że po prostu zasnął.

Musiał odciąć nożem trochę włosów, by wyrwać odrąbane głowy z zaciśniętych palców Cuthreda.

- No tak - powiedział z zadumą Brand. - Jest wiele różnych teorii na temat berserków. Ja osobiście uważam, że na ogół są niewiele warte.

Od kilku dni jechali grzbietem grani, która początkowo pięła się zakosami w górę, potem przez jakiś czas biegła płasko, obecnie zaś na coraz dłuższych odcinkach teren wyraźnie się obniżał.

Na prawo od nich ciągnęły się rozległe doliny, poznaczone tu i ówdzie połyskującymi nitkami strumieni i jasną zielenią świeżej trawy. Po lewej urwisty stok opadał stromo w gęstwinę świerków i sosen. Przed sobą widzieli jedynie skalisty grzbiet, a w dali kolejne łańcuchy błękitnych gór. Powietrze było zimne i ostre, lecz wypełniało płuca ożywczą rzeźkością i przenikliwym zapachem sosnowej żywicy.

Na czele jechali Brand z Shefem, tuż za nimi przysłuchujący się z uwagą rozmowie Hund, a dalej, rozciągnięta w cienką linię długości ponad stu jardów, podążała reszta, pieszo lub konno. Grupa

była teraz o wiele liczniejsza niż przed tygodniem, kiedy opuszczali Flaa. W miarę jak przemierzali bezludne okolice, które pustoszały na wieść o ich przybyciu, dołączało do nich coraz więcej mężczyzn i kobiet. Wyłaniali się nagle spośród drzew, lub podkradali cicho do obozowych ognisk: zbiegli niewolnicy, jeszcze z obręczami na szyjach, w większości mówiący po angielsku. Przyciągały ich pogłoski o wolnych ludziach, wędrujących przez góry, których prowadził olbrzym i jednooki król, a strzegł szalony berserk z ich rodzinnego kraju. Przeważnie napływali mężczyźni, nie zawsze będący thrallami lub churlami z urodzenia. Ucieczka od pana we wrogim kraju wymagała niemałej determinacji i odwagi, a wikingowie bardzo chętnie porywali w niewolę tanów lub wojowników, cenionych dla ich wielkiej siły. Po krótkiej debacie Shef zdecydował, że przyjmą wszystkich nowo przybyłych, nie będą jednak najeżdzać okolicznych gospodarstw i przeganiać właścicieli, aby oswojzić cały kraj. Kobiety, a zwłaszcza mężczyźni, którym powiodła się ucieczka, wzmacniali poważnie ich szeregi.

I tak rozwiały się już nadzieje, że uda im się przejechać niepostrzeżenie.

- Niektórzy twierdzą, że słowo to oznacza naprawdę "bare-sarks" ciągnął Brand. - Czyli "same koszule", ponieważ walczą jedynie w koszulach, bez zbroi. Widziałeś zresztą naszego szalonego przyjaciela - wskazał kciukiem za siebie. Cuthred, rzecz zdumiewająca, poczuł się już na tyle dobrze, by dosiąść konia. Jechał na końcu orszaku, pod silną eskortą złożoną z osób, których obecność zdawał się tolerować. - W ogóle się nie zasłaniał, nie dbał o to. Gdybyśmy nawet włożyli mu zbroję, to jestem przekonany, że by ją zrzucił. Tak więc określenie "bare-sarks" ma trochę sensu.

Inni natomiast utrzymują, że chodzi raczej o "bear-sarks", czyli "niedźwiedzie skóry", ponieważ zachowują się jak niedźwiedzie, których nie sposób odstraszyć. Naprawdę jednak znaczy to, że są, no wiesz... - Brand rozejrzał się ukradkiem i ściszył głos ...ludźmi o wielu wcieleniach, jak Ivar. Zmieniają postać, kiedy ogarnia ich szal.

- Chcesz powiedzieć, że są wilkołakami - domyślił się Shef.

- Tak, coś w tym rodzaju - zgodził się Brand. - Ale to się nie trzyma kupy. Przede wszystkim zmiana postaci to cecha rodzinna, przechodzi z pokolenia na pokolenie. A berserkim może być każdy.

- Czy taki stan można osiągnąć pod wpływem leków? - spytał

Hund. - Istnieją rozmaite środki, które sprawiają, że człowiek przestaje być sobą i wydaje mu się, że jest, dajmy na to, niedźwiedziem.

Na przykład sok z wilczej jagody, oczywiście w małych dawkach, bo to śmiertelna trucizna. Ale można go mieszać ze świńskim sadłem i nacierać się tym jak maścią. Ludziom wydaje się wtedy, że opuszczają swoje ciało. Są jeszcze inne rośliny, które działają podobnie.

- Być może - odparł Brand. - Ale to nie dotyczy naszego przyjaciela, jak doskonale wiesz. Jadł tylko to, co dostał od nas, a szalony był już wcześniej. Nie, myślę, że to bardzo trudno zrozumieć. Niektórzy ludzie lubią walczyć. Na przykład ja - choć, co prawda, już nie tak jak dawniej. Ale jeśli to lubisz i jesteś w tym dobry, podczas walki wpadasz w podniecenie, czujesz jak wzbiera w tobie moc, aż stajesz się dwa razy silniejszy i dwa razy szybszy niż zwykle, robisz różne rzeczy, sam o tym nie wiedząc. Coś takiego właśnie dzieje się z berserkim, tylko w znacznie większym stopniu. I myślę, że trzeba mieć jakiś szczególny powód, aby osiągnąć ten stan. Ponieważ większość ludzi

nawet w podnieceniu zdaje sobie sprawę, co to znaczy zostać trafionym. Nie chcą wracać do domu w kawałkach, pamiętają zabitych przyjaciół. Wkładają więc zbroje i używają tarcz.

Berserk zapomina o tym wszystkim. Jeżeli jesteś berserkiem, to znaczy, że tak naprawdę nie chcesz żyć. Nienawidzisz siebie. Znałem kilku takich ludzi, tacy się urodzili, albo takimi się stali. Wiemy, dlaczego Cuthred nienawidzi samego siebie i nie chce żyć. Nie może znieść wstydu z powodu tego, co mu zrobili. Jest szczęśliwy tylko wtedy, kiedy zadaje ból komuś innemu.

- Więc myślisz, że z innymi berserkami, których znałeś, też coś było nie tak - powiedział Shef. - Choć niekoniecznie z ich ciałem.

- To by się zgadzało w przypadku Wara Ragnarssona - przyznał

Hund. - Nazywali go Bez Kości, ponieważ był impotentem. Choć niczego mu nie brakowało, widziałem to na własne oczy. Nienawidził kobiet z powodu swojej niemocy, i nienawidził mężczyzn, że mogą robić to, do czego on nie jest zdolny. Może tak samo jest z naszym Cuthredem, chociaż przyczyna tkwi w tym, co mu uczyniono, a nie w nim samym. Nie przestaje mnie zdumiewać, jak szybko wyzdrowiał. Ten cios rozplątał mu udo aż do kości. Ale nie krwawił, dopóki nie zacząłem go zszywać, a rana zagoiła się jak powierzchowne skaleczenie. Powinienem spróbować, jaki smak ma jego krew, być może jest w niej coś dziwnego - dodał z zadumą.

Brand i Shef spojrzeli po sobie, zaniepokojeni. Potem coś innego przyciągnęło ich uwagę. Górską ścieżką skręcała gwałtownie w lewo wokół usypiska kamieni, a kiedy je ominęli, krajobraz przed nimi nagle się zmienił.

Daleko w dole ujrzeli głęboką dolinę, a na jej odległym krańcu połyskiwała srebrzysta wstęga. Zbyt szeroka jak na górski strumień, których mnóstwo widzieli do tej pory, ciągnęła się bowiem aż po horyzont. Tam zaś bystre oczy żeglarza wypatrzyły małe kolorowe plamki.

- Morze - wymamrotał Brand i ścisnął Shefa za ramię. - Morze.

I spójrz, statki na kotwicy. To fiord Gula, a statki stoją u wejścia do wielkiego portu Gula Thing. Jeśli zdołamy tam dotrzeć, to jest szansa, że będzie na nas czekał mój "Mors", o ile król Halvdan go nie zagarnął. Chyba jednak... to wprawdzie bardzo daleko, ale wydaje mi się, że on tam jest.

- Nie możesz rozpoznać statku z odległości dziesięciu mil stwierdził kategorycznie Hund.

- Kapitan rozpozna swój statek z każdej odległości, nawet w gęstej mgle - odciął się Brand. Ścisnął piętami boki swego utrudzonego kucyka i zaczął zjeżdżać w dół po zboczu. Shef podążył za nim, dając znaki pozostałym, aby się pospieszyli.

Nadmiernie obciążony kucyk nie wytrzymał długo ostrego tempa, toteż niebawem dogonili Branda i z pewnym trudem przekonali go, że powinni zatrzymać się na noc, chociaż jeszcze kilka mil dzieliło ich od portu i zatoki Gula Thing. Kiedy następnego ranka dotarli do rozrzuconego na obszarze pół mili skupiska namiotów, krytych darnią szałasów i naprędce skleconych chałup, z których w podmuchach atlantyckiej bryzy unosiły się w niebo smużki dymu, wyszła im na spotkanie mała grupka mężczyzn: nie wojowników w ciężkich, paradnych zbrojach, lecz starszych ludzi, a nawet siwobrodego starca. Byli to przedstawiciele tutejszej społeczności, okręgów reprezentowanych na thingu oraz pomniejszych królów i jarłów, którzy zapewnić mieli pokój podczas trwania wiecu.

- Doszło do nas, że jesteście rozbójnikami i złodziejami powiedział jeden z nich bez żadnych wstępów. - Jeśli tak jest w istocie, zostaniecie pojmاني i zabici za zgodą wszystkich wolnych ludzi, którzy przybyli na thing, a mir wiecowy was nie obejmuje.

- Niczego nie ukradliśmy - odparł Shef. To nie była prawda wiedział, że jego ludzie kradli kurczęta we wszystkich okolicznych zagrodach i bez skrupułów zarzynali owce na gulasz, nie sądził jednak, by te drobne występki stanowiły jakikolwiek problem. Jak powiedział Osmód, płaciliby za żywność, gdyby tylko tutejsi kmiecie chcieli im ją sprzedawać.

- Porywaliście ludzi.

- Ci ludzie niegdyś sami zostali porwani. Przyszli do nas z własnej woli - nie zachęcaliśmy ich do tego. A jeśli nie chcieli być dłużej niewolnikami i uciekli, czy można ich za to winić?

Starcy z Gula spojrzeli po sobie niepewnie. Brand postanowił włączyć się do rozmowy i przybrał bardziej pojednawczy ton.

-Nie ukradniemy niczego w świętym kręgu Thingu i uszanujemy mir wiecowy. Widzicie, mamy srebro, dużo srebra. A także złoto - Poklepał juki i wskazał na błyszczące ozdoby przy uprzęży swego konia, a także konia Shefa.

- Przrzekasz, że nie będziecie porywać thrallów?

-Nie będziemy porywać niewolników ani przygarniać zbiegów odparł stanowczo Brand, gestem nakazując Shefowi milczenie. Ale jeśli ktokolwiek zechce utrzymywać, że któryś z naszych ludzi jest albo był jego thrallem, wtedy oskarżymy go o trzymanie w niewoli wolnego człowieka wbrew prawu i sprawiedliwości i zażądamy odszkodowania za wszelkie krzywdy, zniewagi i upokorzenia, jakich ten człowiek doznał. A także za każdy rok, spędzony przez niego w niewoli, oraz za pracę, którą w tym czasie wykonał, pozbawiony godziwej zapłaty. Co więcej...

Znając zamiłowanie wikingów do drobiazgowego roztrząsania nawet najbardziej błahych kwestii prawnych, Shef uciął ten wywód.

- Rozstrzygną to wyznaczeni mistrzowie drogą pojedynku - powiedział.

Norwegowie znów wymienili pełne wątpliwości spojrzenia.

- Co więcej, mamy zamiar odjechać stąd możliwie szybko - zapewnił Brand.

- Zgoda. Ale pamiętajcie. Jeśli ktokolwiek z was nie dotrzyma warunków - starzec spojrzął ponad ramieniem Shefa na Cuthreda, który siedział na swoim kucyku w ociążałej pozie, jego twarz nie wyrażała nic dobrego, a Martha i Edtheow głaskały go delikatnie po rękach - to wszyscy za to odpowiecie. Jest tu pięć setek ludzi.

Poradzimy sobie z wami, jeżeli będziemy musieli.

- Zgoda - powiedział ze swej strony Shef. - Wskażcie nam miejsce na obóz, zaprowadźcie nas do wody i pozwólcie kupić coś do jedzenia. Chciałbym też wynająć kuźnię na cały dzień.

Przedstawiciele starszyny rozstąpili się i pozwolili im przejechać.

Dobre srebrne pensy króla Alfreda spotkały się z uznaniem wśród przybyłych na thing, tak więc kilka godzin później Shef, obnażony do pasa i ubrany w skórzany fartuch ochronny, pracował w wynajętej kuźni, posługując się pożyczonymi narzędziami. Brand udał się w kierunku odległej o milę zatoki, reszcie zaś przykazano ogrodzić teren obozu rozpiętą na palikach liną i nie ruszać się stamtąd nawet na krok. Nad Cuthredem roztoczyła pieczę starannie dobrana grupa opiekunów. Jego sympatie i antypatie były już wszystkim doskonale znane. Z jakiegoś powodu lgnął do Udda, zapewne dlatego, że malutki człowieczek nie przedstawiał sobą najmniejszego zagrożenia; Cuthred godzinami potrafił słuchać przeraźliwie nudnych monologów Udda na temat obróbki metalu. Lubił matczyną troskę starszych i brzydszych kobiet, natomiast jakikolwiek przejaw zmysłowości lub poufałości ze strony młodych dziewcząt, nawet przypadkowy ruch biodra lub powłóczyście spojrzenie, zapalał w jego oczach mordercze błyski. Tolerował najslabszych niewolników i wyzwolenców, słuchał Shefa, szydził z Branda, jeżył się na widok innych mężczyzn. Jeśli tylko w pobliżu pojawiał się Karli, młody, silny, mający powodzenie u kobiet, Cuthred nie przestawał wodzić za nim wzrokiem. Shef, spostrzegłszy to, przykazał Karliemu, aby trzymał się od Cuthreda jak najdalej. Również na jego polecenie Cwicca i Osmód wystawiali warty: dwóch ludzi z kuszami nieustannie miało baczenie na Cuthreda, w taki sposób jednak, by on ich nie widział. Posiadanie oswojonego berserka wiązało się ze znacznymi korzyściami, szczególnie podczas wędrówki przez wrogi kraj. Problem w tym, że nie ma oswojonych berserków.

Aby zapewnić jakąś ochronę licznej rzeszy zbiegów, Shef zaczął od wykucia tuzina amuletów Drogi. Co prawda tylko z żelaza, ponieważ srebro, które woleli ludzie Drogi, obecnie mogło im się przydać do innych celów. Ale przynajmniej będą stanowić charakterystyczny element. Aby wyróżniały się jeszcze bardziej, Shef wykonał wszystkie na wzór własnego znaku, drabiny Riga. Żaden z uratowanych przez nich ludzi nie miał pojęcia, co to znaczy, będą zatem nosić amulet, traktując go jak talizman.

Następnie zatroszczył się o to, aby wszyscy wyposażeni zostali w jakąś broń: nie do walki, a w każdym razie taką miał nadzieję, lecz raczej dla podniesienia swego prestiżu w świecie, gdzie każdy wolny człowiek nosił przy sobie przynajmniej włócznię i nóż. Shef kupił wcześniej wiązkę dziesięcioćalowych prętów, służących do spajania grubych belek w miejscach, gdzie nie wystarczały do tego drewniane sworznie, i przekuł je na groty włóczni. Osadzone na jesionowych drzewcach i przywiązane rzemieniami z namoczonej, niewyprawionej skóry, stanowić będą broń nowo przybyłych. Wyzwolenicy z załogi katapult wciąż mieli swoje halabardy, noże i kusze.

Shef odebrał od Cuthreda swój kord oraz ponownie zahartował tani, lichej miecz Karlego. Po walce we Flaa wpadło w ich ręce trochę innej broni, między innymi miecz Vigdjarfa, który ofiarowali Cuthredowi.

Kiedy Shef wykuł już ostatni grot, pozostało mu do wykonania jeszcze jedno zadanie: chciał przekształcić wzmocnioną stalą tarczę w groźną broń dla Cuthreda. Choć wydawało się, że Cuthred utracił nabytą wcześniej biegłość w trudnej sztuce posługiwania się mieczem i tarczą jednocześnie, to jednak zatrzymał tarczę i nie rozstawał się z nią ani na chwilę. Z najwyższym trudem udało się go nakłonić, aby ją oddał. Przez cały czas stał w pobliżu i patrzył, jak

Shef, przypomniawszy sobie Muirtacha i doborowy oddział Ivara, usunął podwójną skórzaną pętlę na dłoń i przedramię, zastępując je prostym uchwytem, umieszczonym pośrodku tarczy. Cuthred chrząknął, jak się zdaje, na znak aprobaty, a potem, nader niechętnie, pozwolił zabrać tarczę do kuźni, gdzie Shef przytwierdził do niej dziesięćcalowy kolec. Nie było sposobu, aby przewiercić

otwór w hartowanej stali, nie niszcząc przy tym narzędzi, tak więc Shef przyspawał po prostu kolec do metalu po zewnętrznej stronie tarczy.

Trudna to była robota, wymagająca desperackich wysiłków ze strony dmących w miechy pomocników, którzy musieli rozgrzać metal prawie do białości.

Shef odszedł wreszcie od paleniska, podniósł tarczę lewą ręką, obrócił ją na wszystkie strony i uświadomił sobie, że to, co jemu, nawet z jego kowalską krzepą, przychodziło z trudem, nie sprawi najmniejszego kłopotu Cuthredowi. Odłożył tarczę, wyszedł z wynajętej kuźni i znalazł się twarzą w twarz z nowym przybyszem. Otarł załzawione od dymu oczy, zamrugał w świetle słonecznym i rozpoznał uśmiechniętą twarz Thorvina, któremu towarzyszył Brand.

- Widzę, że znów jesteś sobą - powiedział Thorvin, ściskając jego rękę. - Właśnie mówiłem Brandowi, że jeśli naprawę masz się dobrze, to powinniśmy szukać cię tam, skąd dochodzi dźwięk młota.

Rozdział dziewiętnasty

JWiedy król Halvdan dowiedział się o śmierci swego syna - opowiadał Thorvin godzinę później, siedząc na obozowym stołku z kuflem piwa w dłoni - wpadł w straszliwy gniew. Oznajmił matce, iż żyła już zbyt długo, zarzucił jej sznur na szyję i kazał, aby wbiła sobie nóż w serce i powiesiła się jednocześnie w ofierze dla Odyna, aby mały Harald mógł dołączyć do wojowników w Valhalli. Uczyniła to chętnie, tak przynajmniej słyszałem.

Potem odkrył nieobecność Branda, a także ludzi Shefa, toteż postanowił zająć statek Branda i zemścić się na jego załodze. Lecz oni zamknęli się w gmachu kolegium i zawołali nas na pomoc. Valgrim stanął po stronie Halvdana, wielu jego zwolenników również, był więc taki moment, kiedy wydawało się, że w kolegium Drogi rozpęta się bratobójcza walka.

Halvdan jednak zrobił coś innego. Pobyt Shefa na wyspie Drottningsholm wyszedł oczywiście na jaw, a jeden ze strażników Steina wyznał królowi, że Shef został tam zaproszony. Zatem Halvdan obarczył winą również Ragnhildę i zapowiedział, że wyśle ją w ślad za matką do grobu za zdradę i zaniedbanie opieki nad synem.

- Cóż. - Thorvin upił następny łyk piwa. - Następnego dnia już nie żył. Znalezione go martwego w łóżku. Wyglądał jak zmarły z wycieńczenia thrall.

- Co było przyczyną śmierci? - spytał Hund, siedzący nie opodal na ziemi.

- Zatrucie czarnym zieleń, tak powiedział Ingulf.

Karli, któremu również pozwolono wziąć udział w naradzie, wytrzeszczył oczy, otworzył usta, aby coś powiedzieć, lecz zauważywszy spojrzenie Thorvina zamknął je znowu - Powstało ogólne zamieszanie, tworzyły się różne kliki i wszyscy krzyczeli o zemście. Mówiło się, iż ziemie podbite przez króla

Halvdana zyskały szansę wyzwolenia się spod władzy Zachodniego Kraju. Oczekiwano, że królowa Ragnhilda wróci do swego ludu, zaciągnie armię i pośle ją za mordercami syna. Kapitanowie okrętów obrony wybrzeża zawinęli do portu, by bronić własnych interesów. Załoga Branda wróciła na pokład "Morsa" i spytała mnie, czy chcę uciekać z nimi.

- Ale ty odmówiłeś? - domyślił się Shef.

Thorvin potrząsnął głową.

-Najpierw należało zająć się sprawami Drogi. Poza tym wszystko się nagle uspokoiło. Król Olaf pokazał wtedy, na co go stać. Czy zastanawialiście się kiedykolwiek - spytał Thorvin - dlaczego nazywają króla Olafa Geirstatha-alf, Elfem z Geirstath?

Słuchacze w milczeniu potrząsnęli głowami. Po chwili odezwał się Cwicca.

- Alfr to u nas alf. Jak w imieniu Alfred lub Alfwyn. To Lud Ukryty, ale nie brzydki i złośliwy, jak strzygi z bagien, czy górskie trolle.

Kobiety-elfy wiążą się czasem ze zwykłymi mężczyznami, i na odwrót, tak przynajmniej mówią. Elfy są rozumne, ale nie mają duszy.

- Więc co się z nimi dzieje, kiedy umrą? - spytał Thorvin. Rozejrzał się wokół, lecz jego słuchacze tylko wzruszali ramionami lub kręcili głową. - Nikt tego nie wie, choć niektórzy powiadają, że odchodzą do własnego świata, jednego z dziewięciu światów, który położony jest najbliżej środka. Lecz inni twierdzą, że elfy umierają, a potem wracają. Mówi się też, że to samo spotyka czasem zwykłych śmiertelników. A oto co myśli o sobie król Olaf. Uważa, że żył już kiedyś na tej ziemi i że jeszcze powróci pod postacią osoby własnej krwi. A jeśli nie - ponieważ rody jego i brata właśnie wygasły - życie króla przejdzie na kogoś innego.

Powiedział, że razem z Valgrimem poddali cię próbie, Shef, i że przeszedłeś ją zwycięsko. Stwierdził też, iż zabrałeś ze sobą pomyślność jego rodu i że od tej pory jego szczęście i duch połączą się z twoimi. Polecił mi wreszcie, abym ci powtórzył, że teraz, kiedy próbę masz już za sobą, zatrzyma dla ciebie Wschodni i Zachodni Kraj, jako podległy tobie król.

Thorvin wstał, podszedł do siedzącego Shefa i z namaszczeniem nakrył jego dłońmi swoje.

_ Król Olaf przykazał mi, abym w jego imieniu oddał się pod twoją opiekę. Uznaje w tobie prawowitego króla, Tego, który ma przyjść z Północy, i prosi cię, żebyś wrócił i zajął należne ci miejsce w jego królestwie i w kolegium Drogi.

Shef popatrzył na otaczające go, zdumione twarze. Sama idea podległego króla nie bardzo mieściła się w pojęciu zarówno ludzi

Północy, jak i Anglików. Król, z definicji, nie uznawał nad sobą żadnej władzy. A jeśli uznawał, to nie był królem, lecz zwykłym jarlem lub hersirem.

- Jak jego poddani to przyjęli? - spytał ostrożnie Shef. - Olaf przez wiele lat był wspierany przez brata, prawda? Mówiono, że oddał mu swoje szczęście. Jeżeli prowincje myślą o buncie, to Olaf nie poradzi sobie z nimi. Zwłaszcza teraz, kiedy uznał nad sobą władzę obcego przybysza.

Thorvin uśmiechnął się.

-Nikt nie miał czasu, żeby cokolwiek powiedzieć. Po latach bezczynności Olaf uderzył jak Ragnarsson. Spalił brata Ragnhildy w jego dworze, nim ten zdążył się zorientować, co się święci.

Wszystkich dostojników ze Wschodniego Kraju, którzy choćby wspomnieli o buncie i niezależności, przywleczono do niego na arkanie, w samych tylko koszulach, a on kazał im błagać o darowanie życia.

Zwołał wszystkich kapłanów Drogi na konklawe, przy płonącym ogniu, a Valgrim musiał opowiedzieć, jakiej poddano cię próbie i jak ją przeszedłeś. Nikt nie ośmielił się mu przeciwstawić. A teraz wyjechał, jeździ od thingu do thingu i przekonuje ludzi we wszystkich prowincjach, aby uznali jego władzę - i twoją.

- A co z Ragnhildą? - spytał Shef. - Co Olaf z nią zrobił?

Thorvin westchnął.

- Wyjechała. Wróciła do kraju swego ojca. Przypuszczam, że

Valgrim pojechał razem z nią. Olaf przekonał jego stronników, większość z nich, ale Valgrim zbyt cię nienawidzi. Uważa, że zrobiłeś z niego głupca.

- A więc tak. Nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy wrócili do

Kaupangu, a potem do Anglii. Jak szybko możemy wyruszyć?

Brand podrapał się w głowę.

- Mamy dwa statki, "Morsa" i "Mewę" Guthmunda. Ale przyłączyło się do nas po drodze mnóstwo ludzi, musimy wziąć odpowiednie zaopatrzenie. Za dwa dni licząc od jutra, - Zatem postanowione - zdecydował Shef. - Wracamy na południe za dwa dni.

- Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy - rzekł Thorvin - powiedziałaś, że przybywasz z północy. Teraz bardzo ci spieszo wracać na południe. Jesteś pewien, że zaszedłeś już wystarczająco daleko Drogą na Północ, northr vegr?

- Chcesz powiedzieć, że można iść jeszcze dalej? - mruknął po angielsku ktoś spośród słuchaczy. - Myślałem, że dalej na północ żyją już tylko trolle.

Wiele setek mil na południe, w wielkim pałacu arcybiskupa Kolonii, spiskowcy, którzy usunęli papieża Mikołaja, spotkali się ponownie. Nie stawili się jednak w komplecie: brakowało Hinkmara z Reims, zatrzymały go jakieś własne sprawy. Lecz jego nieobecność kompensowała zawiązka cizba pomniejszych prałatów, biskupów tudzież opatów, przybyłych tłumnie ze wszystkich krajów germańskich i ożywionych pragnieniem przyłączenia się do założycieli, a zarazem zwierzchników słynnego Lanzenordens. Arcybiskup Gunther spoglądał na nich z mieszanymi uczuciami zadowolenia i pogardy. Zdobycie tylu zwolenników samo w sobie stanowiło nader pomyślną okoliczność, a fakt, że uczestniczyli tak licznie w zgromadzeniu, które stary papież Mikołaj uznałby, w najlepszym razie, za podejrzane, był widomą oznaką słabości nowego papieża. Choć jednak rosły szeregi, słabła stanowczość w dążeniu do celu. Tych ludzi przyciągnął sukces przedsięwzięcia. Pragnęli mieć w nim swój udział. Na szczęście triumf był tak wielki, że powinno wystarczyć dla wszystkich.

Arno, kapelan i sekretarz Gunthera, kończył właśnie składać sprawozdanie.

- Tak więc - podsumował - Lanzenorden nie może narzekać na brak ochotników. Grupy złożone z kapłanów i rycerzy dotarły do wszystkich krajów Północy. Liczni jeńcy zostali uratowani bądź wykupieni, a następnie odesłani do domu. Wśród nich znalazło się wielu naszych braci w Chrystusie, którzy przez całe lata cierpieli niewolę u pogan. A podczas gdy my docieramy bez przeszkód do krajów pogan, ich ataki na nas i na naszych frankijskich braci ustały, lub znacznie osłabły.

Ponieważ bojąc się żeglować przez Kanał, pomyślał Gunther ponuro. Obawiają się angielskich heretyków, nie nas. Jednak nie pokazał po sobie, że dręcząco wątpliwości, i przyłączył się do ogólnego aplauzu. Kiedy oklaski ucichły, ktoś inny zmącił nastrój zadowolenia, wywołany słowami kapelana: ascetyczny Rimberty, arcybiskup Hamburga-Bremy, główny sprawca sukcesów nowego Zakonu.

- Jednakowoż - rzekł - pomimo napływu ochotników i pieniędzy, pomimo uwolnienia jeńców, prawdziwy cel Zakonu wydaje się nadal tak samo odległy. Nie znaleźliśmy Włóczni, świętej relikwii Karola Wielkiego. A bez niej wszystkie nasze osiągnięcia to jeno puste przechwałki. Tak czcze jak wstążki na sukni ladacznicy.

Gunther zamknął na chwilę oczy, usłyszawszy ten zgrzytliwy głos, a kiedy znów je otworzył, ujrzał niepokój, malujący się na wielu twarzach. Bo jeśli nawet świątobliwy Rimberty nie wierzył we własne dzieło, to kto miał uwierzyć?

- Istotnie - odparł Arno, szeleszcząc papierami. - To prawda.

Lecz mam tu raporty od naszych ludzi, wysłanych z misją do krajów pogańskich, a także raport sporządzony przez angielskiego diakona Erkenberta, oby Pan dodał mu siłę, na polecenie jego zwierzchnika Bruna, syna Reginbalda.

Gunther zauważył, że na samo wspomnienie imienia Bruna w słuchaczy wstąpiła otucha. Nawet Rimberty pokiwał z uznaniem głową, powstrzymując się od wysuwania dalszych zarzutów.

- Uczony diakon Erkenbert donosi, że wraz z Brunem zapuścili się na czele swoich ludzi daleko w głąb kraju pogan, nie bacząc na groźące niebezpieczeństwa. We wszystkich królestwach szukali przejawów cudownej mocy Włóczni, ale bez rezultatu. Mimo to, powiada uczony Erkenbert, nie wolno nam zapominać, że wiemy coraz więcej, nawet gdy nie dowiadujemy się niczego.

Arno podniósł wzrok nad papierów i zorientował się, że ta ostatnia myśl z trudem trafia do jego słuchaczy. Spróbował więc znowu.

Przemawiał do audytorium, teoretycznie przynajmniej, wykształconego, postanowił zatem posłużyć się znanym im przykładem.

- Chodzi mu o to, że mamy przed sobą listę imion, jak na przykład spis osób, które poświadczają przywilej, składając kolejno podpisy. Jak dotąd, większość biskupów i opatów przytakiwała ze zrozumieniem. - Jeśli teraz zaczniemy wykreślać poszczególne imiona, nasz wykaz będzie coraz krótszy. Jeśli wykreślimy wszystkie, oprócz jednego, zostanie nam ta osoba, której szukamy. Tak więc, jak widzicie, nawet negatywny rezultat przybliży nas do celu.

Odpowiedzią na ten wywód była cisza. Słuchacze w żaden sposób nie wydawali się przekonani. Wreszcie odezwał się arcybiskup

Rimbert.

- Wysiłki naszych braci w krajach pogańskich są godne najwyższej pochwały - rzekł. - Nie przestaniemy wspierać ich ludźmi i pieniędzmi. - Potoczył wokół wyzywającym spojrzeniem. - Powiedziałem, ludźmi i pieniędzmi! Lecz mimo to nie sądzę, by Włócznia Longinusa, Włócznia Karola Wielkiego, Włócznia przyszłego cesarza, mogła ujrzeć światło dzienne za sprawą samego tylko człowieka.

Podczas gdy Brand i Guthmund zajęli się kwestią odpowiedniego zaopatrzenia statków przed wyprawą na południe, Shef spędzał większość czasu, włócząc się po terenie wielkiego zgromadzenia, w połowie drogi pomiędzy kręgiem sądowym a placem letnich jarmarków, i obserwując, jak ludzie Północy załatwiają swoje sprawy.

Ci spośród jego podopiecznych, którym zezwalał na wycieczki poza obóz, robili to samo, lecz było ich bardzo niewiele - Cuthred przez cały czas pozostawał pod strażą, a zbiegli niewolnicy nigdy nie opuszczali wyznaczonego przez Shefa, ogrodzonego obszaru, chodzili tylko w grupach do wspólnej latryny, nadzorowani przez Branda lub Guthmunda.

Shef doszedł do wniosku, że thing to dziwny obyczaj. Co prawda właściwy wiec jeszcze się nie rozpoczął. Miało to nastąpić dopiero za kilka tygodni, w dzień przesilenia letniego, jak się to już utarło w przypadku thingów w Gula. Trzydziestu sześciu mędrców wybranych z trzech reprezentowanych na thingu ziem, Sognu, Hordu i Fiordów, zajmie się wówczas rozsądzaniem niezliczonych spornych spraw. Z tych właśnie obszarów rekrutowali się liczni piraci, których hordy wyruszały na południe każdego lata. Dlatego też w wielu wypadkach trudno było wszcząć postępowanie o zabójstwo, o ustalenie ojcostwa, lub rozstrzygnąć zatarg o ziemię w środku lata, kiedy pozwany wypłynął lub udawał, że wypłynął w siną dal. W tej sytuacji pomniejszy sąd zbierał się przez cały czas, starając się nakłonić zwaśnione strony do ugody, bez konieczności odkładania sprawy do ostatecznej decyzji mędrców. Przy okazji oczywiście handlowano i zawierano najróżniejsze transakcje, a statki nieustannie zawijały do portu.

Shef był zdumiony otaczającą go na każdym kroku zamożnością.

Anglia to bardzo bogaty kraj, obfitujący w ziemię uprawną i żywność, jak zdążył zdać sobie sprawę przez krótki okres swych rządów nad częścią jej terytorium. Ale do krajów wikingów srebro, a nawet złoto, płynęły szerokim strumieniem od co najmniej dwóch pokoleń.

Najbogatsi płacili wysokie ceny za luksusowe towary, które sprowadzano z południa, nie bacząc na zagrożenie ze strony piratów z Rogalandu. A wśród towarów pochodzących z północy Shef zobaczył rzeczy, o jakich mu się dotąd nawet nie śniło. Był teraz bogatym człowiekiem, część pieniędzy z podatków zebranych w East Anglii Brand trzymał na jego użytek na pokładzie "Morsa". Pod wpływem nalegań

Branda Shef kupił sobie płaszcz z najlepszej foczej skóry, którego kaptur, podbity wilczym futrem, utrzymywał ciepło nawet w największe mrozy. Nabył także obosieczny miecz z doskonałej szwedzkiej stali, o rękojeści z rzeźbionego rogu jakiegoś mitycznego potwora z północnych mórz, nazywanego przez Branda narwalem, oraz śpiwór, również z foczej skóry, od wewnątrz wełniany, wypchany ponadto grubą warstwą ptasiego puchu. Shef, nieskory do wydawania pieniędzy, których nigdy nie uważał za swoje, spędził już tyle nocy, trzęsąc się z zimna pod cienkim kocem, że w tym przypadku wyzbył się wszelkich oporów. Podziwiał niezwykły kunszt, z jakim wykonane zostały te

wszystkie dobra, zastanawiał się zwłaszcza, ile czasu zajęło schwytnie i oskubanie owych rzadkich ptaków, dostarczających najlepszego i najcieplejszego na świecie puchu. Lecz kiedy o tym wspomniał, Brand roześmiał się.

- My ich nie łapiemy - powiedział. - Robią to Finowie.

- Finowie? - Shef nigdy przedtem nie słyszał tej nazwy.

- Daleko na północy - Brand wskazał ręką - gdzie kończą się

Szwecja i Norwegia, za Helgolandem, skąd pochodzę, jest ziemia, na której nie rośnie nic do jedzenia, ani żyto, ani jęczmień, ani nawet owies. Świnie umierają z zimna, a krowy trzeba trzymać w oborach przez całą zimę. Tam mieszkają Finowie, nie w domach, ale w namiotach ze skór; wędrują z miejsca na miejsce wraz ze swymi stadami reniferów. Nakładamy na nich trybut, Finn-skatt, fińską daninę. Każdy z nich musi ją składać co roku, w skórach, w futrach, w puchu. Ponieważ nieustannie polują i łowią ryby, łatwo im to przychodzi. To, co upolują poza tym, kupujemy od nich i sprzedajemy tutejszym kupcom albo jeszcze dalej na południe. Królowie na całym świecie ubierają się w futra, dostarczone przez moich Finów, a w dodatku płacą za to królewskie ceny! A ja kupuję to wszystko za masło i ser. Żaden Fin nie umie wydoić krowy, ale nie potrafi przejść spokojnie obok kubka mleka. To dobry interes.

Dobry dla ciebie, pomyślał Shef. Bardzo trudno wywiązać się z takiej daniny.

Dokonawszy zakupów, Shef udał się na plac, gdzie rozstrzygano spory. Przez większość czasu ludzie po prostu stali tam w grupkach, w pełnym uzbrojeniu, wsparci na włóczniach, ale uważnie przy tym słuchali, co mają do powiedzenia ich przyjaciele lub przeciwnicy, a także mędrcy z ich prowincji. Thing w Gula rządził się twardymi prawami, lecz mało kto je znał, nigdy bowiem nie zostały spisane.

Nauczenie się obowiązujących praw było zadaniem mędrców, jeśli chcieli wydawać wyroki i ogłaszać je zwaśnionym stronom. Czasem mogli uciekać się do podstępów i wykrętów, próbowali znaleźć inne prawa, bardziej odpowiednie dla rozsądnych przypadków, czy w końcu zmusić strony, aby podporządkowały się niekorzystnej decyzji, ale nie mogli łamać istniejących praw.

Zdarzało się jednak, zwłaszcza gdy w grę wchodziło uwiedzenie, gwałt, cudzołóstwo lub porwanie kobiety, że prawo było zupełnie jasne, lecz namiętności i tak brały górę. Kilka razy w ciągu ostatnich dwóch dni Shef miał okazję słyszeć wzburzone głosy i szcęk broni. Dwukrotnie wzywano Hunda, by szył i opatrywał rany, a raz opuścili plac milczący, nachmurzeni ludzie, uwożąc ze sobą ciało krewniaka, przerzucone przez koński grzbiet.

- Ktoś zostanie za to spalony - zauważył Brand. - Żyją tu twardzi ludzie, potrafią czekać na bardziej stosowną chwilę zemsty. Potem zbiorą się sąsiedzi i podpalą dom mordercy. Zabiją każdego, kto będzie próbował uciec. Bardzo skuteczny sposób, nawet w przypadku berserków. Tak jak w wierszu: Mądry to człowiek, który własną waleczność ceni, Lecz nie wpada w pychę.

Inaczej biada mu, gdy spotka bardziej zawziętego wroga: Nikt nie jest niepokonany.

Drugiego dnia po południu, gdy Shef przechadzał się w promieniach wiosennego słońca, ujrzał Guthmunda, targującego się zawzięcie o dwie baryłki solonej wieprzowiny - jego metoda prowadzenia interesów budziła powszechny podziw, nawet wśród nieszczęsnych kupców, którzy

utrzymywali zgodnie, że to wprost nie do wiary, aby słynny łupieżca kościołów wyklócał się z taką pasją o każdego opiłowanego pensa. Nagle Shef spostrzegł, że zainteresowanie stopniowo słabnie, głowy odwracają się w inną stronę, a coraz więcej ludzi zmierza w kierunku kamiennego kręgu. Guthmund urwał w pół słowa, puścił kołnierz handlarza wieprzowiną, rzucił mu pieniądze i przyłączył się do ludzkiego strumienia.

Shef pospieszył za nim.

- Co się dzieje? - spytał.

Guthmund wyłowił z tłumu strzępy rozmów.

- Dwóch ludzi zamierza rozstrzygnąć swój spór po rogalandzku.

- Po rogalandzku? Co to znaczy?

- Rogalandczycy są biedni, do niedawna jeszcze nie stać ich było na porządne miecze, nosili kordy, takie jak twój, albo zwyczajne siekiery. Ale w sprawach honorowych nie żartują. Kiedy chcą stoczyć pojedynek, nie jest to zwykły holmgang, w jakim sam brałeś kiedyś udział, na placu wytyczonym gałazkami leszczyny. Oni rozciągają na ziemi byczą skórę i stają na niej. Nie wolno im z niej zejść. A potem walczą na noże.

- Nie brzmi to zbyt groźnie - zauważył Shef.

- Najpierw związuje się razem ich lewe nadgarstki.

Tego rodzaju pojedynki odbywają się w zagłębieniach terenu, aby ludzie mogli oglądać walkę z góry. Shef i Guthmund wybrali sobie wysoko położone miejsce. Bycza skóra już leżała na ziemi, właśnie przyprowadzono przeciwników. Kapłan Drogi wypowiedział słowa, których nie usłyszeli, a obaj mężczyźni powoli zdjęli koszule i stanęli na skórze w samych tylko spodniach. Każdy z nich trzymał w prawej dłoni długi, szeroki nóż, przypominający trochę saksy wyzwoleńców Shefa, ale o prostej kłindze i ostrym sztychu - broń zarówno do cięcia, jak i do zadawania pchnięć. Lewy nadgarstek najpierw jednego, potem drugiego, obwiązany został skórzaną liną. Shef zauważył, że rzemień miał ze trzy stopy luzu.

Każdy z przeciwników chwycił linę w połowie długości, rozpoczęli zatem walkę, dotykając się zaciśniętymi pięściami. Jeden był młody, wysoki, długie jasne włosy opadały mu na plecy. Drugi, o dwadzieścia lat starszy, krępy i łysy, zaciskał usta w ponurym gniewie.

- O co im poszło? - spytał cicho Shef.

- Ten młody zrobił dziecko córce tego drugiego. Mówi, że za jej zgodą, ojciec zaś twierdzi, że zgwałcił ją na polu.

- A co mówi ona? - chciał wiedzieć Shef, przypomniawszy sobie podobne przypadki, które sam musiał kiedyś rozsądzać.

- Nie sędzę, by ktokolwiek ją pytał.

Shef już otwierał usta, by jeszcze coś powiedzieć, lecz zdał sobie sprawę, że jest już za późno. Padła zwyczajowa propozycja pokojowego rozstrzygnięcia sporu, obecnie nie do przyjęcia bez plamy na honorze. Obaj rywale potrząsnęli w milczeniu głowami. Znaczący opuszczył pospiesznie byczą skórę i dał znak.

Dwaj mężczyźni ruszyli natychmiast, starając się wykorzystać zaskoczenie. Kiedy tylko sędzia uniósł rękę, ojciec zadał pierwsze pchnięcie, mierząc nisko, pod związane nadgarstki. Lecz w tym samym momencie młodzieniec rozwarł pięść i odskoczył do tyłu na całą długość liny.

Ojciec rzucił się naprzód, próbując złapać linę przy nadgarstku przeciwnika. Gdyby mu się to udało, mógłby przyciągnąć młodego mężczyznę do siebie, na tyle blisko, by skutecznie uderzyć. Lecz nie można zadać śmiertelnego ciosu, nie wystawiając się zarazem na równie śmiertelną kontrę. W tego typu pojedynku bardzo łatwo jest zabić przeciwnika. Trzeba tylko podjąć ryzyko, że samemu zostanie się zabitym.

Starszy mężczyzna chybił, młodszy skutecznie odskakiwał, trzymając się samego skraju skóry. Nagle zaatakował, jego nóż dosięgnął ramienia rywala. Na widok krwi wśród gapiów rozległ się szmer; ranny parsknął z pogardą w odpowiedzi.

- W takim pojedynku nietrudno o draśnięcie - zauważył Guthmund. - Ale zranienie o niczym nie przesądza. Gdyby to trwało dłużej, nastąpiłaby utrata krwi, ale nigdy tak się nie zdarza.

Przez jakiś czas walka toczyła się według utartego wzoru. Starszy z przeciwników starał się zbliżyć, uderzał od dołu, próbował skrócić linę. Młody napinał rzemień, odskakiwał, zadawał szybkie ciosy w ramiona lub nogi, unikając pchnięć, które mogłyby unieruchomić na chwilę jego nóż.

Zrobił to o jeden raz za dużo. Łysy ojciec, krwawiący już z tuzina mniejszych ran, został ponownie cięty w lewy biceps. Lecz wówczas zdołał chwycić cofającą się rękę swoją uwiązaną lewą dłonią.

Wykręcił ją gwałtownie, krzyząc coś, czego Shef w ogólnym hałasie nie dosłyszał. Uwodziciel miotał się rozpaczliwie, też usiłował złapać przeciwnika za prawy nadgarstek. Lecz starszy mężczyzna ustawił się bokiem, markował ciosy od dołu i od góry, trzymając przy tym nóż poza zasięgiem lewej ręki młodzieńca i przez cały czas wykręcając jego prawą rękę.

Znalazłszy się w pułapce, młody człowiek podjął jeszcze jedną próbę. Wyskoczył w górę, by nożycowym chwytem ścisnąć nogami uda przeciwnika i podciąć go. Gdy obaj upadli na ziemię, Shef zobaczył tryskającą krew i usłyszał jęk stojących najbliżej widzów.

Podszedł sędzia, chcąc rozdzielić walczących. Shef dostrzegł nóż, wbity głęboko w pierś młodzieńca. Kiedy odwrócono ciało, ujrzał rękę drugiego noża, sterczącą z oka starszego mężczyzny.

Kobiety z krzykiem rzuciły się ku zabitym. Shef odwrócił się do

Guthmunda, gotów potępić zasadę, która dopuszcza, by za jednym zamachem kobieta traciła męża i ojca, a dziecko ojca i dziadka. Lecz słowa uwięzły mu w gardle.

Na miejsce walki sadył wielkimi krokami Cuthred, z kolczastą tarcząw jednej ręce i obnażonym mieczem w drugiej. W ślad zanim pędzili Fritha i Osmód, kilka kroków dalej Udd; wszyscy trzej

nieśli kusze, lecz sprawiali wrażenie zupełnie bezradnych. Gdy Shef zaczął przepychać się do przodu, usłyszał brzmiały szaleństwem głos Cuthreda, krzyczącego w łamanym języku Północy.

- Niedojdy! Śmierdzie! Musicie być związani, żeby nie uciekać. Musicie trzymać człowieka, żeby go okaleczyć. Stańcie do walki z Anglikiem, no, dalej, z takim, który ma wolne ręce. Lub jedną rękę skrepowaną, jak wolicie. Tchorze, synowie ładacznic! Tak, wy, do was mówię.

Na usta wystąpiła mu biała piana. Krąg patrzących cofał się powoli, zostawiając go samego z dwoma martwymi ciałami u stóp.

Cuthred spojrzął pod nogi, uniósł nagle miecz i potężnym ciosem rozplątał twarz jednego z zabitych. Potem ruszył przed siebie, dysząc ciężko, gotów zaatakować cały tłum.

Shef zastąpił mu drogę i poczekał, aż w oczach szaleńca pojawi się przytomniejszy błysk. Wreszcie, jakby z ociąganiem, Cuthred rozpoznał go.

- Oni nie będą walczyć - mówił powoli Shef. - Znajdziemy lepszą okazję. A kaleczenie zwłok to haniebny uczynek, Cuthredzie.

Taki ordwiga, herecempa, frumgar, królewski mistrz jak ty, powinien to rozumieć. Oszczędzaj siły na Ragnarssonów, morderców twojego króla Elli.

Twarz Cuthreda drgała, kiedy słuchał z uwagą wszystkich tych zaszczytnych tytułów, na które z pewnością zasłużył w swym dawnym życiu kapitana straży przybocznej króla Northumbrii. Spojrzął na zakrwawiony miecz, potem na okaleczone ciało, cisnął broń na ziemię i wybuchnął rozzłością płaczem. Udd i Osmod podeszli do niego z dwóch stron, ujęli go pod ramiona i wyprowadzili.

Shef otarł pot z czoła, odwrócił się i stanął twarzą w twarz ze zgorszonym sędzią pojedynku, znawcą prawa.

- Kaleczenie zwłok - powiedział Norweg - jest karane grzywną wysokości...

- Zapłacimy - przerwał mu Shef. - Zapłacimy. Ale ktoś powinien zapłacić również za to, co uczyniono z żywym człowiekiem.

Następnego ranka Shef stał przed wąskim trapem, prowadzącym na pokład "Morsa", ukochanego statku Branda. "Mewa" Guthmunda, już odcumowana, kołysała się na falach dwadzieścia jardów dalej, rządy twarzy wychylała się sponad niskiej okrężnicy. Zaokrętowanie tylu pasażerów nie było prostą sprawą. Każdy ze statków miał z jednej burty osiemnaście wioseł, a załoga liczyła zwykle czterdziestu ludzi. Do tego należało dodać jeszcze Shefa, Hunda, Karliego i Thorvina, ośmiu majtków z obsługi katapulty, cztery uratowane z Drottningsholmu kobiety, Cuthreda oraz wszystkich zbiegów, którzy dołączyli do nich po drodze przez Upland i Sogn - prawie trzydzieści osób, całkiem sporo, biorąc pod uwagę rozmiary dwóch wąskich statków.

Nie wszyscy jednak stawili się na przystani: trzech podkomendni

Cwicci, Lulla, Fritha i Edwi, zniknęli. Czyżby ktoś zatrzymał ich siłą? Czy ukryto ich gdzieś na terenie thingu, dla zysku, z zemsty, czy nawet na ofiarę? Na samą myśl, że jego ludzie mogą

zawisnąć na drzewach przed świątynią w jakiejś zapadłej, leśnej dziurze, Shef poczuł, jak wzbiera w nim gniew.

- Wszyscy na ląd! - krzyknął do Branda. - Ty też, Guthmundzie. Musimy zebrać stu ludzi. Obejdziemy cały teren i przetrząśniemy każdy namiot, póki ich nie znajdziemy. Komu się to nie spodoba, dostanie strzałę w brzuch.

Shef zdał sobie sprawę, że Cwicca i inni nie przyjęli tej propozycji z takim entuzjazmem, jakiego się spodziewał. Ich twarze przybrały znajomy, nieprzenikniony wyraz, widomy znak, że wiedzą coś, co boją się ujawnić.

- No dobra - powiedział Shef. - Co z tymi trzema?

Jak zwykle w trudnych sytuacjach, Osmoð przemówił w imieniu wszystkich.

- To było tak - zaczął. - Spacerowaliśmy sobie, kilku z nas, i oglądaliśmy różne rzeczy. A wszyscy tutaj gadają tylko o katapultach i o kuszach, i o takich rzeczach. Dużo o nich słyszeli, ale nigdy nie widzieli, jak działają. Powiedzieliśmy więc, że wiemy wszystko o katapultach, a co do kusz, to właściwie Udd je wynalazł.

A oni na to - do tego czasu już zdążyli postawić nam kolejkę czy dwie - no więc mówią nam: "To bardzo ciekawe, a czy wy, ludzie, wiecie, co się dzieje na południu?" "Nie", odpowiadamy, rzecz jasna, no bo naprawdę nie wiemy. A oni mówią...

- Pospiesz się! - ryknął Shef.

- ... że płacą duże pieniądze ludziom obeznanym z katapultami, którzy wiedzą, jak je budować i jak z nich strzelać. Duże pieniądze.

Sądzimy, że Lulla, Edwi i Fritha zdecydowali się na to pójść.

Shef patrzył na niego przez chwilę, nie wiedząc, co powiedzieć.

Obdarzył tych ludzi wolnością. W Anglii wszyscy mieli majątki ziemskie. Jak mogli tak po prostu odejść i przyjąć służbę u kogoś innego, porzucając swego pana? Ale przecież byli wolnymi ludźmi, ponieważ on sam obdarzył ich wolnością...

- W porządku - powiedział. - Brand, odwołuję rozkaz. Osmoð i reszta, dziękuję wam, że mimo wszystko zostaliście. Mam nadzieję, że nie będziecie tego żałować. Wszyscy na pokład i ruszamy. Za dwa tygodnie ujrzymy brzegi Anglii, jeśli Thor ześle nam pomyślne wiatry.

Nie zesłał, choć początkowo mogło się tak wydawać. Na wodach wielkiego fiordu, gdy płynęli wzdłuż wybrzeży Guli i Sognu, kierując się na otwarte morze, oba statki, choć zanurzone głęboko pod ciężarem dodatkowych pasażerów i zaopatrzenia, dziarsko pruły fale w mocnych podmuchach bryzy. Brand często wymieniał wiosłarzy, sadzając do wiosła zarówno swoich ludzi, jak i zabranych na pokład mężczyźni.

- Gdy opłyniemy przylądek - stwierdził - złapiemy wiatr od burty.

Będziemy mogli odłożyć wiosła i pożeglować prosto na południe.

A cóż to takiego?

Zza cypla, strzegącego wejścia do fiordu Gula, mniej więcej pół mili przed nimi, wyłonił się statek. Dziwny statek, zupełnie inny niż handlowe knory lub rybackie łodzie, które często mijali po drodze.

Żagiel w białe i błękitne pasy wydymał się na wietrze, na maszcie powiewał proporzec skierowany w ich stronę, widzieli go więc w całości jedynie wtedy, gdy jakiś kapryśny powiew rozpościerał go na całą szerokość. Ten żagiel był niepokojący. Rozmiary statku też były niepokojące.

- Niech Thor czuwa nad nami - odezwał się Brand, stojący przy wiosle sterowym. - To jeden z okrętów obrony wybrzeża króla

Halvdana. Ale ma dwa żagle. Ma również dwa maszty. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem. Po co mu dwa maszty?

Bystre oko Shefa padło na proporzec z godłem Spętanej Bestii.

- Zawracaj - powiedział. - Wynośmy się stąd. To królowa Ragnhilda. I chyba ma wobec nas złe zamiary.

- To wielki statek, ale mamy przewagę dwa do jednego, możemy walczyć...

- Zawracaj! - wrzasnął Shef, dostrzegłszy dziwnie znajomą krzątaninę na pokładzie.

Brand zauważył to w tym samym momencie; napał na ster i obrócił "Morsa" tak gwałtownie, że wiosłarze omal nie pospadali z ławek.

- Sterburta cała wstecz! - krzyknął. - Bakburta cała naprzód!

Teraz wszyscy razem. Zanurzać wiosła, trzymać tempo. I postawić żagiel, wy tam, na śródkręciu, Narr, Ansgeir, pomóżcie im. Guthmundzie... - Jego głos niósł się po wodzie w stronę "Mewy", która guzdrała się o całe sto jardów za nimi. "Mors" złapał wiatr od rufy i pomknął z powrotem w głąb fiordu.

Shef zobaczył, że ścigający ich statek zmienia kurs i ustawia się do nich bokiem. Tego się właśnie spodziewał.

- Kiedy powiem, skreć ostro w prawo - zakomenderował półgłosem. - Teraz.

"Mors" wykonał raptowny zwrot. Brand rozkazał załodze unieść wiosła i statek płynął teraz na samym żaglu. Coś świsnęło w powietrzu, a trzech wyrzuceni z ławek wiosłarze potoczyli się po pokładzie, klnąc, i jęcząc. Potrzaskane szczątki wiosła wyleciały w górę, a potem wolno opadły do morza. Wystrzelony z muła kamień przeleciał tuż nad ich głowami, uderzył w wodę i odbił się trzy razy od fal, nim w końcu zatonął.

- Myśleli o tym już od dawna - powiedział Brand. - Tylko bali się, że statek nie wytrzyma odrzutu. Musieli chyba wzmocnić konstrukcję, skoro ustawili dwa maszty.

- Ale kto obsługuje muła? - zastanawiał się Shef, wciąż obserwując płynący za nimi statek, który za wszelką cenę starał się zmniejszyć dzielącą ich odległość, by znowu zmienić kurs i zająć pozycję do strzału. Na szczęście ludzie Ragnhildy nie mogli strzelać przez dziób. - Zdrajcy spośród nas? Skąd by się tam wzięli?

- Droga bardzo interesowała się tym, co robisz - wtrącił Thorvin, stając obok Branda. - Zbudowali kopie wszystkich twoich machin. Valgrim mógłby zbudować muła i znaleźć ludzi do jego obsługi. Wśród jego przyjaciół są kapłani Njortha, którzy potrafiliby przebudować statek. Co robimy? Płyniemy z powrotem do fiordu Gula i próbujemy walczyć z nimi na lądzie?

Shef znów przyglądał się z uwagą krzątaninie na dziobie podążającego ich śladem okrętu. Stracił trochę prędkość, robiąc zwrot na burtę, a teraz, gdy "Mors" i "Mewa" płynęły pod żaglami, odległość między nimi a pościgiem stale rosła. Na początku wynosiła około pół mili, obecnie z pewnością znacznie więcej. Lecz Shef był przekonany, że nawet z tak daleka potrafi rozpoznać stojącą na dziobie okrętu wysoką kobiecą postać z długimi, rozwianymi na wietrze włosami. Ścigała go królowa Ragnhilda. I nie mogli się jej wymknąć, chociaż płynęli szybciej, ponieważ zapędziła ich w głąb zamkniętego fiordu. A na dziobie tamtego statku z całą pewnością działo się coś dziwnego. Czyżby zbudowali muła, który nie musiał być osadzony nisko na śródokręciu?

Za Ragnhilda rozbłysło nagle światło, ogień buchający jasnym płomieniem. I wówczas Shef zobaczył, co robią ci ludzie. Jeszcze nigdy nie stał przed nakręcaną katapultą, a oni właśnie ją nakręcali czy, mówiąc ściślej, nakręcili, ponieważ nagle uskoczyli na boki, by nie zasłaniać strzelającemu pola widzenia, zupełnie jak podkomendni Cwicci. Nie był to jednak muł, tylko jeden z wielkich miotaczy oszczepów, jakich Shef sam używał przeciwko armii Wara

Ragnarssona. Podobnym miotaczem posłużył się też, by skrócić cierpienia króla Elli.

Gdy Shef odwrócił się, by wydać Brandowi kolejną komendę, zobaczył, że płomień z niewiarygodną szybkością lecj. wprost na niego, kołysząc się lekko zaledwie sześć stóp nad falami. Mimo woli skulił się ze strachu. Przykucnął i objął rękami brzuch, pewien, że wystrzelony oszczep przeszyje go na wylot.

Zatoczył się do tyłu, kiedy pocisk ugodził w rufę tuż obok niego.

Poczuł swąd płonącej smoły i palącego się drewna. Brand krzyczał coś ochryple; w pewnym momencie wypuścił wiosło sterowe, a wówczas statek nagle się przechylił. Ktoś odepchnął Shefa, wokół niego biegali ludzie z wiadrami, przewieszali się przez burty, aby nabrać wody i ugasić ognistą strzałę, która dosięgła "Morsa" i wbiła się w pomost rufowy trzy stopy przed Shefem. Płomienie lizały już pokład i ławki wiosłarzy.

- Brać pitną wodę! - krzyknął Brand. Jego ludzie z trudem mogli dosięgnąć fal i te niewielkie ilości morskiej wody, którymi polewali owinięty nasmołowanymi pakułami oszczep, nie przynosiły widocznych efektów. Ogień rozprzestrzeniał się. Jeżeli dojdzie do żagla... Ktoś pobiegł do beczki u podstawy masztu, napełnił wiadro, pośliznął się i upadł, zawartość wiadra rozlała się po pokładzie.

Inni stanęli bezradnie, nie wiedząc, czy mają dalej czerpać morską wodę, czy pędzić do beczki na śródokręciu.

Cuthred podniósł się ciężko ze swego miejsca na dziobie. Nikt nie ośmielił się posadzić go do wiosła. W dłoni trzymał siekiere.

Wszedł na pomost rufowy, trzema uderzeniami rozrąbał delikatne poszycie "Morsa", pochylił się i wbił oszczep głębiej, póki płonący grot nie przeszedł na wylot przez burtę statku. Znów się zamachnął i jednym uderzeniem siekiery przeciął grube drzewce. Podniósł odcięty grot i nie zważając na płomienie, pełzające mu po ręku, wyrzucił go za burtę. Kiedy Cuthred szydlerczo wyszczerzył zęby do Branda, Shef spostrzegł, że statek za nimi ponownie zmienia kurs.

Zmechanizowana wojna, pomyślał zrezygnowany. Wszystko dzieje się zbyt szybko. Nawet odważny człowiek chciałby czasem odpocząć, krzyknąć: "Poczekajcie, aż będę gotów!" Patrzył bezradnie, jak wystrzelony z muła kamień mknie w jego stronę. Tym razem też pocisk zdawał się wycelowany nie w statek, ale prosto w niego, mierzył w klatkę piersiową, by pogruchotać mu żebra i zmiażdżyć serce.

Kamień uderzył w wodę trzydzieści jardów za rufą, odbił się jak puszczone przez dziecko kaczką, raz jeszcze podskoczył i spadł na pokład "Morsa" niczym młot, tuż za wiosłem sterowym. Deski poszycia pękły, ławka wiosłarza wyskoczyła ze swego gniazda, do wnętrza kadłuba wdarła się zielona woda. Lecz kamień wybił jedynie dziurę; gdyby trafił w kil lub w osadę masztu, statek rozleciałby się na kawałki.

Kiedyś byłeś królem, powiedział sobie Shef. Teraz mówią, że jesteś kimś więcej niż królem. A co ty robisz? Kulisz się ze strachu. Czekasz jak głupiec, aż ktoś ci pomoże. Wódz tak nie postępuje. Zabijałeś już ludzi na odległość. Ale nigdy nie przyszło ci do głowy, jak sam byś się zachował, gdyby to przeciwnik posiadał maszyny bojowe.

Shef znów stanął na rufie, zostawiając innym łatanie przeciekającego kadłuba. Okręt Ragnhildy wciąż płynął za nimi, jego załoga nakręcała maszyny, przygotowując się do następnych strzałów. W końcu ich zatopiają, jeśli tylko nauczą się trzymać ręce przy sobie, póki nie podejną dostatecznie blisko. Tymczasem "Mors" zbliżał się pod pełnymi żaglami do przystani. Shef widział zgromadzony na brzegu tłum, który przyglądał się walce. Na wprost wyłaniała się z wody mała wysepka, Gula-ey, tam właśnie w dawnych czasach zbierał się thing.

Shef wypatrzył wąski przesmyk pomiędzy wyspą a brzegiem, ocenił rozmiary okrętu wojennego króla Halvdana i przypomniał sobie sztuczkę, na którą nabrał go Sigurth Wężooki. Nie sądził jednak, aby doświadczony kapitan wikingów dał się tak podejść.

Chwycił Branda za ramię i pokazał mu ręką kierunek.

- Przeprowadź nas tamtędy.

Brand już otworzył usta, by zaprotestować, ale szybko je zamknął.

Ton głosu Shefa nie skłaniał do dyskusji. W milczeniu napał na ster, wprowadził statek pomiędzy skały i gestem nakazał Guthmundowi zrobić to samo. Dopiero po chwili zaryzykował komentarz.

- Na jakiś czas stracimy prędkość.

- Nie szkodzi. - Shef obserwował ścigający ich okręt. Tak jak się spodziewał, tamci zmienili kurs. Nie popłynęli za nimi. Zamierzali okrążyć wyspę z drugiej strony i przeciąć im drogę. Złapać boczny wiatr, zwiększyć prędkość, wyprzedzić oba uciekające statki i zniszczyć je z bliskiej

odległości. Prawdopodobnie ich kapitan sądzi, że chcą dobić do brzegu i uciec lądem. Ragnhilda była przygotowana i na taką ewentualność.

Lecz za chwilę miała ich rozdzielić wyspa.

- Kiedy dam rozkaz - powiedział cicho Shef- zwijamy żagiel, zawracamy i wiosłujemy z powrotem najszybciej jak się da. To będzie wiosłarski wyścig. Przy ich rozmiarach i obciążeniu musimy wygrać.

- Chyba że właśnie się przyczaili i czekają na nas. Wypłyniemy prosto pod katapulty.

Shef skinął głową.

-Zawracaj.

"Mors" i "Mewa" wykonały zwrot jednocześnie, załogi naparły na wiosła w śmiertelnej ciszy. Jedynym dźwiękiem, jaki słyszał Shef, był dochodzący z odległego o sto jardów brzegu szmer głosów. Ufał, że wyciągnięte palce gapiów nie zdradzą przeciwnikowi jego zamiarów. Brand miał rację. To tak, jakby dzieci ganiały się dookoła kuchennego stołu. Jeśli ścigający nagle się zatrzymał, ścigany wpadał prosto na niego. Ale Shef był przekonany, że pcjgon się nie zatrzyma. Tamtym statkiem, niezależnie od doświadczenia kapitana, dowodziła Ragnhilda. Ona z pewnością nie straci chwili, by rozważyć sytuację. Za bardzo chciała go dopaść. Poza tym widział tamtych ludzi, wychylali się przez burty, potrząsali bronią i wznosili bojowe okrzyki. Mieli maszyny, ale nie nauczyli się jeszcze nimi posługiwać. Instynkt i wyszkolenie mówiły im, że należy się zbliżyć i zaatakować, przełamać linie wroga masą i siłą, a nie przyczać się i strzelać na odległość, wykorzystując zasięg swojej broni.

" Kiedy "Mors" wydostał się z cieśniny i pomknął w stronę przystani, Shef omiótł wzrokiem morze z prawej burty. Owładnęło nim uczucie ulgi. Kapitan Halvdana zapędził się aż za wyspę, ponieważ zorientował się w sytuacji i dopiero teraz zaczął zawracać.

Refowane żagle łopotały na wietrze, okręt wykonywał manewr opieszale. Kapitan i załoga najwyraźniej nie radzili sobie jeszcze z podwójnym ożaglowaniem. Dzieliła ich teraz odległość prawie całej mili i dalszy pościg był bezcelowy. Wiosłarze Branda pracowali energicznie, jeden z nich śpiewał, reszta podchwytywała refren, kiedy pióra wiosel wynurzały się z wody. Trzej członkowie załogi naprawiali poszycie i zatykali szczeliny foczą skórą i żaglowym płótnem. Droga na pełne morze i dalej, na południe, stała przed nimi otworem.

Karli trącił Shefa w ramię i wyciągnął rękę. Od strony portu płynęło ku nim małe, jednoosobowe czółno.

- To Fritha - powiedział Karli. - Musiał zmienić zdanie.

Shef zmarszczył brwi i ruszył na dziób, biorąc po drodze linę.

Kiedy "Mors" zbliżył się do czółna, rzucił za burtę jeden koniec liny. Fritha złapał ją, lecz nie próbował uwiązać swojej małej łódki.

Cisnął wiosła, wskoczył do wody, ucepiony liny dotarł do "Morsa" i przytrzymał się okężnicy. Shef chwycił go za kołnierz, wciągnął na pokład i popatrzył na niego z góry surowym wzrokiem.

- Co się stało? Za mało ci zapłacili?

Fritha westchnął i wstał z pokładu, ociekając wodą.

- Nie, panie. Muszę ci o czymś powiedzieć. Cały thing o tym mówi. Przyplłynął statek. Wiedzieliśmy wcześniej od ciebie, że zbliża się królowa Ragnhilda. Ale statek przywiózł też inne wieści. Kiedy płynęła wzdłuż wybrzeża - królowa, znaczy się - kazała ogłaszać w każdym porcie, że jeśli jej uciekniesz, wyznaczy nagrodę za twoją głowę. Wielką nagrodę, całe swoje dziedzictwo. Szukają cię teraz wszyscy piraci z Rogalandu. Na całym wybrzeżu długości dwustu mil.

Rogalandczycy są biedni, przypomniał sobie Shef, ale nie żartują. Spojrzał na Thorvina.

- Wygląda na to, że droga na południe jest odcięta. Więc jednak będę tym, który przychodzi z Północy.

- Wypowiadamy słowa - rzekł Thorvin. - Ale to bogowie wkładają nam je w usta.

Rozdział dwudziesty

L-i pewnością ruszą za nami - powiedział Brand. W rękę trzymał płetwę foki. Podniósł ją do ust, ogryzł starannie kość, wysłał hałaśliwie tran i wrzucił resztki do morza. Potem wytarł tłuste palce o brodę, wstał i ruszył ociężale w stronę przystani na wybrzeżu Hrafnsey, swojej rodzinnej wyspy. - Ale nas nie znajdą! - zawołał przez ramię. - A jeśli nawet, to my zobaczymy ich wcześniej.

Shef patrzył za oddalającą się postacią olbrzyma. Brand niepokoił go coraz bardziej. Shef znał go od prawie dwóch lat i nigdy nie uważał, że jego sposób bycia mógłby służyć za wzór dworskiej etykiety. Do tej pory jednak, biorąc pod uwagę zwyczaje, panujące w armiach wikingów, zachowywał się względnie normalnie: był szorstki, gwałtowny i hałaśliwy, lecz mimo to zdolny/do bardziej subtelnych uczuć, a nawet do żartów z własnej osotjy. Na ślubie

Alfreda i Godivy Brand zaprezentował się wspaniale'. Kiedy Shef przybył do Kaupangu, Brand znakomicie wcielił się w rolę dworzanina, witającego z czcią swego króla. Zawsze był czysty i dbał o higienę w obozie.

Lecz kiedy mknęli z wiatrem coraz dalej i dalej na północ, wzdłuż zdających się ciągnąć bez końca wybrzeży Norwegii, mając z prawej burty poszarpaną linię brzegową, z lewej zaś niezliczone ilości raf, wysp i podwodnych skał, które oddzielały ich od Atlantyku, w zachowaniu Branda zachodziły stopniowe zmiany. Zmieniał się też jego akcent, jak również akcent jego helgolandzkiej załogi. Zawsze mówili oni nieco dziwnie w porównaniu z innymi Norwegami, lecz w miarę jak zbliżali się do granicy wiecznych lodów, ich wymowa stawała się jeszcze twardsza, głosy brzmiały coraz bardziej ochryple, a oni sami znajdowali szczególne upodobanie w oliwie i tłuszczu. Swoje racje chleba maczali w foczym łożu i posypywali obficie solą. Złowione ryby jedli na surowo, a czasem nawet pożerali je żywcem: Shef widział raz, jak jeden z ludzi Branda wyciągnął z morza śledzia i natychmiast zatopił w nim zęby, chociaż ryba trzepotała jeszcze w jego palcach. Pewnego dnia Brand zrefował żagiel, zaczął wypatrywać czegoś na wybrzeżu i w końcu posterował w stronę lądu. Jego załoga z krzykiem wyskoczyła z łodzi, zanim jeszcze zdążyli dobić do brzegu, pobiegła do usypanego z piasku kopca i zaczęła ryć pod nim zawzięcie. Odór, jaki stamtąd dolatywał, zmusił Shefa i angielskich majtków do wycofania się na bezpieczną odległość, gdzie niebawem dołączył do nich Guthmund oraz jego Szwedzi, którzy tym razem stanęli zdecydowanie po stronie

Anglików przeciwko Norwegom.

- Co wy tam, na Hel, macie? - krzyknął Shef, krążąc w pobliżu ogniska i wdychając głęboko w nozdrza drzewny dym.

- Zginią wątrobę rekina - krzyknął Brand w odpowiedzi. - Zakopaliśmy ją tutaj kiedyś, żeby trochę doszła. Chcecie po kawałku?

Szwedzi i Anglicy jak jeden mąż odeszli jeszcze pięćdziesiąt jardów dalej, ścigani drwinami i śmiechem.

- Dobrze wam to zrobi! Chroni przed zimnem! Ugryź rekina, a on nie ugryzie ciebie!

Kiedy dotarli do Hrafnsey, sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót. Sama wyspa miała około pięciu mil długości, dwie mile szerokości i była względnie płaska. Większa jej część nadawała się na pastwiska dla bydła, a nawet pod uprawę. Za to pobliski ląd przedstawiał sobą najbardziej ponury widok, jaki Shef kiedykolwiek miał okazję oglądać; nawet pasma górskie otaczające fiord nie opodał

Oslo nie sprawiały tak groźnego i odpychającego wrażenia. Mimo pełni lata wszędzie zalegał śnieg. Góry wyrastały wprost z lodowatej wody, tu i ówdzie, na występach i półkach skalnych, można było dostrzec jaśniejsze plamki zieleni, miejsca te zdawały się jednak zupełnie niedostępne, zarówno z morza, jak i od strony dzikich górskich szczytów. Shef długo nie przestawał się zdumiewać, jakim cudem ktokolwiek może tutaj żyć i przeżyć. Ale ludzie Branda zapadli w to skaliste pustkowie jak woda wsiąkająca w piasek, odpływając po dwóch, po czterech, w wiosłowych czółnach lub małych żaglowych łodziach. Wygadało na to, że w każdym z niewielkich fiordów znaleźć można spore gospodarstwo, a przynajmniej skupisko chat lub prostych budynków z nie ociosanego kamienia, krytych darnią.

Rzecz w tym, uświadomił sobie Shef, że ci ludzie, choć zdarza im się uprawiać owies i jęczmień, są mimo to przede wszystkim mięsożerni. Zamarzające wody obfitowały w ryby, które łatwo zasolić na zimę. Foki też były wszędzie, w dodatku rywalizowały z ludźmi w łowieniu ryb, ich zabijanie przynosiło więc podwójną korzyść. Rosła tu wystarczająca ilość trawy, by latem wypasać krowy i owce, a także zebrać dla nich dość siana na zimę. Kozy wypędzano w góry, gdzie same szukały dla siebie pożywienia. Ci Norwegowie z najdalszej Północy niezmiernie cenili sobie mleko i masło, jak również serwatkę, twaróg i ser. Dwa razy dziennie przez całe lato doili wszystkie swoje zwierzęta, nawet owce i kozy, i nauczyli się przechowywać to, czego nie mogli zjeść od razu. W istocie mieszkali w bogatym kraju, choć na pierwszy rzut oka nie było tu niczego prócz skał. Ale przeżycie tutaj wymagało szczególnych umiejętności. Ludzie Branda zabrali Karlego, człowieka z równin

Ditmarsh, oraz kilku Szwedów Guthmunda na poszukiwanie ptasich jaj, które w sezonie lęgowym po prostu zalegały rozpadliny skalne i przybrzeżne rafy. Wrócili po kilku godzinach, krztusząc się ze śmiechu, kiedy z przesadną troską eskortowali swoich trupiobladych towarzyszy na piaszczysty brzeg. Tylko ktoś, kto w ogóle nie miał nerwów i nigdy w życiu nie cierpiał na zawroty głowy, mógł wspinać się na urwiste skały, czepiając się ich jedynie końcami palców. Brand wyjaśnił Shefowi, że mężczyźni z Hrafnsey dopiero wówczas wolno było się ożenić, kiedy wszedł na rozphybotany głaz dwieście stóp ponad poziomem morza, przechylił się przez jego krawędź, dotknął dłońmi palców u nóg, a następnie wysikał się do morza. Od czasów młodości jego dziadka

nikt nigdy się stamtąd nie ześliznął: w rodzinie Branda oraz wśród jego sąsiadów lęk wysokości był uczuciem nieznanym.

Jednak nie ułatwiało to współżycia z Helgolandczykami. Początkowo Shef martwił się, jak uda im się stąd wydostać. Potem, na wypadek, gdyby mimo wszystko zostali - Brand najwyraźniej zamierzał czekać tutaj na pościg, zamiast samemu urządzić zasadzkę lub uciec - Shef zaczął się martwić, w jaki sposób przeżyją zimę, mając do wykarmienia taką gromadę nieprzywykłych do tutejszych warunków ludzi. Anglicy i Szwedzi nie potrafili polować z harpunem na fokę ani wspinać się na skały, nie byli też w stanie przelknąć wykopanej z piasku wątroby rekina. "Łapcie więcej ryb", poradził mu Brand. Zdawał się nie przejmować absolutnie niczym, cieszył się z powrotu do tego straszego miejsca, które nazywał domem, a jeśli zaprzętał sobie czymś głowę, to tylko fińską daniną.

Shef zaś martwił się nie tylko z powodu Branda. Nie mógł spać a krótkie letnie noce wypełniały mu niewesołe rozmyślenia. Po pierwsze, podczas długiej podróży na północ miał okazję porozmawiać ze swoimi ludźmi, z Cwiccą, Hamą, Uddem, Osmodem i innymi, którzy wcześniej włączyli się po całym thingu w Gula, starając się zebrać jak najwięcej plotek. Norwescy uczestnicy thingu okazali się zdumiewająco dobrze poinformowani - choć zważywszy, że trudnili się głównie handlem i wojennym rzemiosłem, nie było to wcale takie dziwne. Składając w jedną całość wszystko, co usłyszał, Shef zdał sobie sprawę, że jego poczynania wywołały w krajach skandynawskich o wiele dalej idące reperkusje, niż do tej pory sądził. Cały świat, mówiący językiem Północy, był żywo zainteresowany nowymi rodzajami broni, które umożliwiły rozgromienie

Franków i Ragnarssonów. Dlatego właśnie obeznanym z machinami ludziom oferowano pokaźne sumy. Szczególnie silne wrażenie wywarły wieści o bitwie morskiej u ujścia Łaby, a prace nad wyposażeniem okrętów w katapulty szybko posuwały się naprzód. Nie ma sensu wyprawiać się obecnie na południe, powiadali niektórzy, dopóki wikingowie znów nie zdobędą przewagi na morzu nad Anglikami.

Wiele się także mówiło o spodziewanym odwecie Ragnarssonów.

Jak twierdził Osmod, najbardziej wiarygodny informator, panowało głębokie przekonanie, że Ragnarssonowie będą musieli coś zrobić. Ponieśli klęskę w Northumbrii, nie zdołali pomścić śmierci ojca.

Jeden z braci zginął i jego też nie pomścili. Ich wielka wyprawa odwetowa została rozbita już w pierwszym starciu, a kiedy człowiek uważany przez nich za sprawcę wszystkich niepowodzeń został wystawiony na sprzedaż na targu niewolników, nie udało im się go kupić. Historia ta była doskonale znana, twierdził Osmod, a gawieź śmiała się w głos, kiedy o tym opowiadano. Ale mądrzy ludzie uważali, że Ragnarssonowie muszą coś przedsięwziąć. Nie dalej jak rok temu mówiło się powszechnie, iż Sigurth Wężooki zamierza posadzić swoich braci na tronach Anglii i Irlandii, po czym przy ich pomocy zjednoczyć pod swoim panowaniem całą Danię, czego nikomu nie udało się dokonać od czasów legendarnych Skjöldungów.

A co mówiono o nim teraz? Że nie potrafi schwytać samotnego człowieka na piaskowej łasze w czasie przyływu. Wielu się śmiało, powtarzał Osmod, ale inni twierdzili, że jedna rzecz nie ulega wątpliwości: Ragnarssonowie powrócą ze Szkocji gotowi do podjęcia jakichś desperackich kroków. Rozsądniejsi królowie duńscy zabronili swoim poddanym łupieskich wypraw, gromadząc floty i armie do obrony własnych granic.

No i jeszcze to wielkie poruszenie wśród chrześcijan. Na ten temat najwięcej do powiedzenia miał Thorvin, który jeszcze przed rokiem nie posiadał się z radości na myśl o chrześcijańskich królach, przyjmujących u siebie misjonarzy Drogi. Teraz, mówił, sytuacja zmieniła się radykalnie. Zawszęd dochodziły wieści o osobliwych wypadkach na targach niewolników i thingach w całej południowej Skandynawii. Od dziesiątków lat chrześcijańscy kapłani próbowali zdobywać nowych wiernych wśród niewolników, biedoty i kobiet. Spotykali się zwykle z szyderstwami, a nierzadko sami kończyli jako niewolnicy. Obecnie zachowują się butnie, przychodzą ze zbrojną asystą, odpowiadają zniewagą na zniewagę i przemocą na przemoc, wykupują niewoli swoich ludzi. A także zadają pytania. Pytają o najazd na Hamburg szesnaście lat temu. Pytają o królów. Zapisują skrętnie odpowiedzi. Nie próbują już zbawiać dusz, o nie, najwyraźniej czegoś szukają. Thorvin słyszał też często, i zawsze w słowach pełnych najwyższego podziwu, o człowieku imieniem Bruno.

Tu akurat Shef mógł opowiedzieć Thorvinowi o tym, co sam widział na targu w Hedeby, i o rozmowie, jaka miała miejsce potem. Najbardziej jednak zdumiewało go nie to, że Bruno zrobił na wikingach ogromne wrażenie - ktoś tak szybki i zręczny musiał spotkać się wśród nich z uznaniem - ale że z Hedeby dotarł aż do kraju

Szwedów, do księstw Smaalandu i dwóch prowincji Gotlandii, leżących na południe od wielkich szwedzkich jezior.

Thorvin wyjawiał mu jeszcze coś, o czym Shef nie miał dotąd pojęcia.

- Czy wiesz, dlaczego tak wielu spośród nas nosi imię Eirik? spytał Thorvin. - Powodem jest Eiriksgata, a właściwie powinno się mówić Ein-riks-gata. Droga króla. Powiedziane jest., że nikt nie może zostać królem wszystkich Szwedów, dopóki nie przejdzie tą drogą. Prowadzi przez wszystkie thingi we wszystkich prowincjach.

Prawdziwy król musi przybyć na każdy thing, ogłosić się królem i podjąć każde wyzwanie. Dopiero kiedy to zrobi, staje się władcą wszystkich Szwedów.

- A kto był ostatnim, który tego dokonał? - spytał Shef, przypomniawszy sobie, co mówił na ten temat Hagbarth kilka miesięcy temu, chociaż miał wówczas na myśli zaledwie króla Wschodniego

Kraju albo Fiordów, albo, jak dodał szyderczo Shef, Sterty Gnoju lub Krowiej Obory.

Thorvin ściągnął usta i wolno pokiwał głową, przypominając sobie dzieje tak dawne, że już legendarne.

- Chyba król Ali - rzekł w końcu. - Ali Szalony, wuj króla Athilsa.

Szwedzi mówią, że panował nad całą Szwecją, łącznie z Gotlandią i Skaane. Ale nie utrzymał tych ziem długo -jego bratanek został upokorzony przez króla Hrolfa z Fyrisvellir. Zresztą sam wiesz.

Widziałeś to - dodał, przypominając Shefowi jedną z jego wizji.

Shef zastanawiał się czasem, czy Bruno o szerokich ramionach nie pojechał do Skandynawii, by samemu wstąpić na Einrikskata i narzucić wszędzie chrześcijaństwo, siłą, nie przez stopniowe nawracanie. Jeśli tak, to zwycięstwo Drogi w Anglii - w East Anglii i w królestwie Alfreda -

zostanie usunięte w cień przez zwycięstwo chrześcijan na Północy. Nie sądził jednak, by tak się stało. Mimo to drażnił go brak dalszych wiadomości, kiedy przetrwał już wszystko, czego dowiedział się od własnych ludzi. Jeszcze bardziej drażnił go fakt, że musi tkwić tutaj, na samym krańcu zamieszkanego świata, zdaleka od miejsc, gdzie dzieją się wielkie rzeczy. Ugrzązł w krainie ptasich jaj i wątroby rekina, a tymczasem na południu maszerowały armie.

Armie rzeczywiście maszerowały, a floty wypływały w morze.

Kiedy Shef i jego ludzie skręcali liny i ociosywali drewno, budując katapulty, muły i miotacze oszczepów, by zabezpieczyć wszystkie podejścia do Hrafnsey przed atakiem Ragnhildy, Ragnarssonowie spadli jak grom na Ditmarsh i wyspy Północnej Fryzji. Król Hrorik zaczął w popłochu zaciągać wojska i gromadzić zapasy na wypadek oblężenia Hedeby. Arcybiskup Hamburga-Bremy, świętobliwy

Rimbert, pod wpływem coraz bardziej niepokojących doniesień z Północy podwoił siły Rycerzy Świętej Włóczni i wyprawił ich na statkach przez Bałtyk, wspierany gorąco w tym przedsięwzięciu przez swych braci z Kolonii, Moguncji i Trewiru. Frankijscy potomkowie Karola Wielkiego wciąż walczyli między sobą o sukcesję po Karolu Łysym, a nowy papież- Papieżątko, jak nazywali go ludzie - udzielał swego błogosławieństwa coraz to innemu spośród kandydatów. Za to Anglia zyskała nieoczekiwanie okres wyjątkowego spokoju. Dziecko Godivy rosło w jej łonie, a jej królewski małżonek przyjmował poselstwa od licznych angielskich hrabstw, nie uznających dotąd jego władzy, które też pragnęły cieszyć się pomyślnością nowego Złotego Wieku bez Kościoła i bez pogańskich najazdów.

Tymczasem Shef, odcięty od wieści ze świata, czekał, aż coś się wydarzy, kojąc swoje rozterki w kuźni, pośród miejscowych kowali.

Cwicca i jego szajka uparli się, by zakosztować latem zimowego wina. Mocny trunek, którym poczęstowano ich w Kaupangu, zapadł im głęboko w pamięć, a potem, na thingu w Gula, udało im się kupić niewielką baryłkę. Już dawno ją opróżnili, mieli za to masę czasu, a Udd miał nową teorię i nie omieszkiał ich z nią zapoznać.

- Kiedy robi się zimowe wino - wyjaśnił - wystawia się je na mróz, a kiedy woda zamarza, to, co zostaje, jest mocniejsze.

Przytaknęli zgodnie.

- A para to przecież też woda. - Ta kwestia wzbudziła więcej wątpliwości, chociaż wszyscy widzieli opar, unoszący się nad podmokłymi terenami, i wodę, zamieniającą się w parę przy zetknięciu z rozgrzanym żelazem. - Więc jeśli podgrzejemy piwo, aż uniesie się z niego para, to pozbawimy je wody, tak jak byśmy je zamrozili. To nie będzie zimowe wino. To będzie letnie piwo, coś w tym rodzaju.

- Ale będzie mocniejsze? - upewnił się Cwicca, by wyjaśnić zasadniczą kwestię.

- Zgadza się.

Mieli beczułkę piwa - rosący na Hrafnsey jęczmień przerabiano raczej na słód niż na mąkę - włali więc połowę do największego miedzianego kociołka, jaki udało im się pożyczyć i podgrzewali ostrożnie nad ogniem, tak aby nie przepalić dno. Wreszcie gęsty płyn zabulgotał i uniosła się z niego

para. W niskiej chacie z grubych bierwion stłoczyła się razem spora liczba mężczyzn i pół tuzina kobiet - obsługa katapulty oraz ludzie uratowani podczas wędrówki przez Upland.

Udd, kierujący eksperymentem, czuwał, by kociołek się nie przegrzewał, i odpędzał wielką chochłą z bukowego drewna amatorów przedwczesnego próbowania. W końcu spojrzął na poziom płynu i stwierdził, że wyparowała już połowa. Zdjęli kociołek z ognia i czekali, aż ostygnie jego zawartość.

Przez ostatnie miesiące Udd nabrał nieco towarzyskiej oglady, na tyle w każdym razie, by prawem do pierwszej degustacji uhonorować kogoś innego, kogoś, kto będzie umiał to docenić. Pomiął

Cwicę i Osmoda, naturalnych przywódców grupy, wybrał natomiast jednego z nowych, wielkiego, małowównego mężczyznę, który był tanem króla Burgreda, zanim uprowadzili go wikingowie. Tak przynajmniej podejrzewali uwolnieni, lecz wciąż myślący kategoriami stanowymi Anglicy.

- Ceolwulfie! - zawołał. - Przypuszczam, że znasz się na dobrych trunkach. Chodź więc i spróbuj tego.

Niegdysiejszy tan postąpił naprzód, przyjął drewniany kubek i powąchał znajdujący się w nim płyn. Następnie upił duży łyk, chwilę przetrzymał go w ustach, wreszcie przełknął.

- Jak to smakuje? - spytał z przejęciem Karli. - Czy jest tak dobre, jak ostatnim razem?

Ceolwulf milczał przez chwilę dla nadania odpowiedniej wagi swoim słowom.

- Smakuje to - rzekł - jak woda, w której płukano spleśniałe ziarno. Albo jak bardzo, bardzo wodnista stara owsianka.

Cwicca z niedowierzaniem wziął od niego kubek i sam pociągnął łyk.

- Mylisz się, Ceolwulfie - powiedział. - Smakuje to jak szczyzny komara.

Inni zanurzali kolejno kubek w kociołku i potwierdzali osąd, Udd zaś wpatrywał się z otwartymi ustami to w kociołek, to w ogień, to znów w parę, skroploną na przesłaniającej okno błonie.

- Było mocne - mruzczał. - A teraz nie jest. Moc musiała ulecieć wraz z parą. Kiedy piwo zamarza, nabiera lepszego smaku. Lód i para to nie to samo. Lód to woda. A więc para - to coś innego.

Wyciągnął na próbę palec, przejechał nim po błonie i oblizał go.

- Moc nie została w piwie - powtórzył. - Tylko uleciała z parą.

Ale jak ją zebrać? - Popatrzył z namysłem na miedziany kociołek.

Shef, zmęczony i zły, postanowił spędzić popołudnie w łaźni parowej. Była to mała, drewniana chata na końcu falochronu, do której przylegał pomost, zawieszony nad głębokimi wodami fiordu.

Każdego dnia mężczyźni znosili tu rozgrzane przez noc kamienie, które promieniowały zarem jeszcze przez wiele godzin. Kto nie miał akurat nic innego do roboty, albo też chciał odetchnąć po ciężkiej pracy, przychodził tu zwykle na godzinę lub dłużej, by posiedzieć w kłębach pary, lejąc

wodę na gorące kamienie, a kiedy poczuł się znużony, mógł od czasu do czasu wyjść na pomost i zanurzyć się w lodowatej toni.

Gdy Shef znalazł się w ciemnym wnętrzu chaty, zdał sobie sprawę, że jest tam ktoś jeszcze, rozparty na jednej z ław. Przez otwarte drzwi padała do wnętrza smuga światła, po chwili zdołał więc rozpoznać Cuthreda. Cuthred nie był nagi, jak wszyscy przychodzący do łaźni mężczyźni; miał na sobie podarte, wełniane kalessy. Shef zawahał się, ale wszedł do środka. Chyba nikt oprócz niego nie chciałby siedzieć w ciemnościach sam na sam z Cuthredem, coś mu jednak mówiło, że nie ma się czego bać. Cuthred nie zapomniał, kto uwolnił go z młyna, pamiętał o tym nawet w napadach szału, berserkerangr. Cuthred powiedział mu jeszcze coś. Shef był świadkiem zdarzenia, od którego wszystko się zaczęło: pojmania Ragnara. Ich losy, zapewnił go Cuthred, kiedy się o tym dowiedział, są ze sobą związane.

Siedzieli przez jakiś czas w ciemnościach, nim Shef zdał sobie sprawę, że Cuthred zaczął mówić, bardzo cicho, jakby do siebie.

Mówił, jak się okazało, o Brandzie.

- Potężny gość, nie ma co - mruzczał Cuthred. - Ale wzrost to jeszcze nic. Znałem paru równie wielkich, a nawet jednego czy dwóch wyższych. Zabiłem kiedyś Szkota, który miał siedem stóp, zmierzyłem go potem. Co z tego, skoro miał kruche kości. Nie, to nie wzrost tego sukinsyna mnie niepokoi, z nim jest coś nie tak.

Z jego kośćmi też. Popatrz na jego ręce, są dwa razy większe od moich. I jego oczy. To, co nad oczami.

Cuthred wyciągnął rękę i dotknął brwi Shefa, nie przestając mamrotać, j - Popatrz. Zwykle ludzie nie mają pod brwiami nic, tylko oczodół. A ja nie widziałem jego brwi, nie mogłem podejść dość blisko, ale patrzyłem uważnie. On ma tam wypukłą kość, jego brwi sterczą do przodu. A jego zęby.

Znów wyciągnął rękę i odchylił dolną wargę Shefa.

- Zobacz, u większości ludzi, prawie u wszystkich, górne zęby zachodzą na dolne. Kiedy gryziesz przednimi zębami, to są one jak nożyczki, jeden ząb ociera o drugi. Jego zęby są inne. Przyglądałem się długo i zauważyłem, że stykają się krawędziami, w ogóle na siebie nie zachodzą. Kiedy gryzie, to jakby uderzał siekierą w pień drzewa. A jego zęby trzonowe to muszą być prawdziwe żarna. Jest w nim coś bardzo dziwnego. On sam jest dziwny. Nie tylko on, większość tych ludzi. Wszyscy jego kuzyni. Ale on jest najgorszy.

I jeszcze jedna rzecz. On coś ukrywa. Wiesz, panie... - Po raz pierwszy Cuthred przyznał, że zdaje sobie sprawę, do kogo mówi. Wiesz, że ostatnio sporo wiosłowałem.

Shef przytaknął w ciemnościach. Rzeczywiście, Cuthred często wypływał w morze małą, dwuosobową łódką, którą pożyczął albo po prostu zabierał. Wszyscy czuli ulgę, kiedy znikał, przynajmniej na jakiś czas.

- Za pierwszym razem okrążyłem wyspę, potem popłynąłem kawałek wzdłuż brzegu na południe, a potem trochę na północ, nie bardzo daleko, bo tego dnia późno wyruszyłem. Ale kiedy wracałem, czekali na mnie na przystani, Brand i chyba ze czterech jego kuzynów, wszyscy mieli włócznie, topory i broje, jakby spodziewali się jakichś kłopotów.

Cóż, jestem trochę szalony. Ale nie tak szalony, jak im się zdaje.

Myślę, że tego dnia chcieli, abym się wściekł. Ale ja wysiadłem z łodzi i podszedłem do Branda, bardzo blisko, gdyby coś się zaczęło, zdążyłbym go dopaść - i on o tym wiedział.

"Posłuchaj, powiada, bardzo ostrożnie. -Nie miej mi tego za złe, ale muszę cię ostrzec. Pływaj łodzią. Proszę bardzo. Pływaj, gdzie chcesz - wokół wyspy, do foczych skał, wszędzie, byle na południe. Nie na północ".

"Właśnie byłem na północy, powiadam. - Nic strasznego tam nie ma".

"Nie mogłeś być daleko, mówi on. - Dopłynąłeś najwyżej do

Naestifjorth, tak się nazywa ten duży fiord na północ stąd. Jest bezpieczny. Na ogół. Następny to Midfjorth. Nie spodobałoby ci się tam".

"A jeszcze w następnym? - pytam, żeby go trochę rozdrażnić.

Cóż, zęby mu kłapnęły jak potrzask na wilki. W końcu powiada: Lepiej nie pytaj. Zresztą to nie twoja rzecz. Ale radzę ci uważać".

- To dziwne - powiedział Shef. - Przecież pływają na północ dosyć często, wszyscy, żeby spotkać się z Finami i zebrać fińską daninę. Mówią, że dalej nie ma już żadnych Norwegów, tylko Finowie. Ale muszą znać drogę.

- Kiedy statki wyruszają na północ - odparł Cuthred - zawsze płyną po tamtej stronie przybrzeżnych skał. Trochę rozpytywałem tu i tam, a Martha zgodziła się popytać wśród miejscowych kobiet.

Dalej w tamtą stronę, na wybrzeże, nikt się nie zapuszcza. Ciekawe, dlaczego. Oni coś ukrywają. Kiedy odchodziłem, słyszałem, jak jeden z kuzynów powiedział coś do Branda, żeby go uspokoić. "Niech sobie płynie, powiedział. Niewielka strata". Więc Brand naprawdę chciał mnie ostrzec, tam jest coś, czego oni się boją. Ale nie chcą o tym mówić.

Cuthred dalej mamrotał pod nosem. Teraz zaczął wyliczać wszystkie zniewagi i krzywdy, których mu nie szczędzono, kiedy pracował w młynie. Opowiadał, jak mężczyźni i kobiety naigrawali się z niego, jak zimą cierpiał przeraźliwy chłód, jak próbował uszczelnić okiennice własnymi odchodami, ale okna bez przerwy się otwierały, zaglądały przez nie złośliwe twarze i coś waliło do drzwi w ciemnościach, żeby go dopaść...

Panujące w łaźni gorąco rozleniwiło Shefa; jego rozbiegane myśli stopniowo przestały krążyć wokół Bruna, Alfreda, Sigurtha i Olafa, martwego Haralda i Ragnhildy, na chwilę zapomniał nawet o Godivie. Wcisnął się w kąt, oparł głowę o pachnące sosnową żywicą drewniane ściany i zapadł w niespokojny sen.

Nadal otaczała go ciemność, ale zupełnie inna -już nie ciepła, wonna i przytulna, lecz zimna i martwa, pachnąca ziemią i wilgotną pleśnią. Nie przebywał też w zamkniętej przestrzeni. Był na drodze, siedział na grzbiecie konia, który unosił go w dal niezwykajnym, rozkołysanym krokiem, jakby miał więcej nóg, niż to przystoi temu zwierzęciu.

Ten koń to Sleipnir, ósmionogi wierzchowiec ojca bogów, uświadomił sobie Shef. Lecz on, a raczej jeździec, któremu towarzyszył w swoim śnie, nie był Wszechojcem. Shef czuł naturę tej osoby i wiedział, że nie jest to bóg, lecz człowiek. A do tego szalony jak Cuthred, choć pozbawiony rozsądku Cuthreda. Owładnięty jednym uczuciem - nie opuszczało go ani na chwilę - dziką radością, jaką daje napotykanie i pokonywanie przeciwności. Jego wspomnienia były wirującym kłębem walk, ciosów i pogoni, przerywanych okresami pijackiej niepamięci. Nie stronił od miodu Odyna. Jeździec dosiadający Sleipnira, powiedział Shefowi jakiś głos, to Hermoth. Słyszał już kiedyś to imię. Wykrzykiwali je z podziwem mistrzowie po całym dniu bitewnych zmagania w Yalhalli. Następnie armia Odyna, Einheriar, wracała do dworu, mistrz dnia na czele, śmiertelne rany cudownie się goiły, a wojownicy spędzali wieczór na hulankach, by następnego dnia znów ruszyć na plac boju. Hermoth zwyciężał częściej niż inni bohaterowie, częściej niż Sigurth Fafnisbani czy Bóthvar Bjarki. Tak więc on został wybrany do tego zadania, najważniejszego, jakie Odyn kiedykolwiek powierzył któremuś ze swych bohaterów.

Miał sprowadzić Baldera ze świata umarłych. Shef, który jakąś częścią swego umysłu obserwował to wszystko, wiedział co nieco o umarłym bogu, Balderze, słyszał tę opowieść od Thorvina. Teraz wróciła do niego, jako seria ulotnych obrazów. Balder, syn Odyna, najpiękniejszy z bogów. Shef nie widział żadnej jego podobizny, ale umysł Hermotha przeszła błyskawica olśniewającego światła, jakim zdawało się mienić ciało boga.

Bogowie, bojąc się stracić pięknego Baldera, kazali wszystkim stworzonym przez siebie rzeczom składać przysięgę, że nigdy nie wyrządzą mu najmniejszej krzywdy. Przysięgało żelazo, ogień, choroby, starość, nawet plemię olbrzymów nie mogło oprzeć się jego pięknu, a także ryby, węże i zwierzęta ziemskie, i wszystkie drzewa w lesie. Przysięgi nie złożył tylko mały, wąty, zielony krzew jemioli, rosnący w cieniu wielkiego dębu. Nie mógłby nikogo skrzywdzić, nawet gdyby chciał - tak przynajmniej sądzili bogowie.

Od tej pory Balder był niewrażliwy na ciosy, a bogowie, których rozrywki nie różnią się specjalnie od ucieszek zwykłych śmiertelników, zabawiali się, ciskając w Baldera wszelką bronią jaka wpadła im w ręce. Jeden tylko bóg nie mógł przyłączyć się do zabawy Hoth, ślepy brat Baldera. Lecz pewnego dnia w otaczających go ciemnościach usłyszał głos pytający, czy też nie chciałby wziąć udziału w zabawie. Tak, odparł Hoth, ale przecież jestem ślepy. A głos powiedział: poprowadzę cię i pokieruję twoim ramieniem. Rzuć tym.

I wcisnął mu do ręki włócznię z gałązek jemioli, które za sprawą czarów stały się twarde.

Głos należał do Lokiego, boga-szydery, nieprzyjaciela bogów i ludzi, ojca potwornego plemienia. Hoth przyjął włócznię i rzucił.

W uszach Hermotha wciąż jeszcze brzmiał krzyk wielkiej żałości, kiedy bogowie dowiedzieli się, że Balder nie żyje, a dowiedzieli się o tym, ponieważ cała światłość w jednej chwili odeszła z Wszechświata, tak więc wszystkie rzeczy stały się pospolite, wyblakłe i posępne i miały takimi pozostać już na zawsze. Oczyma duszy Hermoth wciąż widział stos, na którym Odyn położył swego syna, i żałobny okręt, który miał zabrać go do świata Hel. Na pogrzeb zaproszono nawet olbrzymów, a oni przyszli. Hermoth widział, jak olbrzymka Hyrrokkin z płaczem spycha okręt na wodę - był jednym z czterech asystujących jej mistrzów, wybrano ich, by trzymali za cugle ze zmij jej ogromnego wierzchowca-wilka. Widział też że kiedy łódź zjeżdżała w dół po pochylni, Odyn pochylił się i szepnął coś do ucha swego martwego syna.

Cóż to było za słowo? Nie wiedział. A teraz obarczono go zadaniem, aby pojechał do świata Hel i sprowadził stamtąd Baldera.

Koń właśnie zbliżał się do murów Hel, stukając kopytami po wielkim, zawieszonym w powietrzu moście -jakie powietrze będzie tam, na dole, tego Hermoth nie wiedział. Mijał po drodze duchy, cienie, które spozierały na niego z lękiem, wystraszone stukotem podków, gdyż one same poruszały się bezgłośnie. To były mało znaczące zjawy, bladzi mężczyźni, kobiety i dzieci, nie duchy wybrane do Valhalli lub do gajów Freya. A na końcu podniebnego mostu zobaczył wrota.

Gdy Sleipnir popędził w tamtym kierunku, wrota powoli się zamknęły. Hermoth zatrzymał się i wyszeptał słowa zachęty do ucha swego wierzchowca.

Koń potrząsnął łbem i skoczył, skoczył wysoko, zdawało się, że dosięgną samego dna Hel. Brama została w dole, zdumieni strażnicy patrzyli w ślad za nimi.

Za pierwszym murem pojawił się nagle następny, wyrósł aż pod niebo, którego tam nie było. Pozostała jedynie wąska szczelina, zbyt mała dla Sleipnira, zbyt mała dla Hermotha. Hermoth od razu wiedział, że to czary. Ściągnął cugle, zatrzymał się, zsiadł z konia. Zaczął tłuc w kamienną ścianę potężnymi pięściami tak długo, aż na knykciach pojawiła się krew. Nie zważał na ból, bo do niego przywykł.

Zza muru ozwał się głos.

- Inaczej pukają zwykle blade duchy Hel. Kim jesteś, że się tu dobijasz?

- Jestem Hermoth, sługa i posłaniec Odyna. Chcę mówić z Balderem.

Rozległ się inny głos, słaby, zmęczony i cichy, jaHby usta mówiącego wypełniała ziemia.

- Odejdź stąd, Hermocie, i powiedz im: nie mogę wyjść, póki świat cały nie zapłacze po mnie. Ja wiem. Jedno tylko stworzenie mogło mnie skrzywdzić i jedno stworzenie nie będzie mnie opłakiwać. Powtórz im to. - Głos rozplynał się, jakby stłumił go długi, wypełniony kurzem korytarz.

Hermoth nie wahał się i nie zwlekał, gdyż nie leżało to w jego naturze. Wiedział, co ma robić, gdy tylko usłyszał głos. Nie bał się także wracać z tak niepomysłną wieścią. Dosiadł konia i ruszył w drogę powrotną. Pomyślał chwilę. Sięgnął pod tunikę, gdzie trzymał czarnego koguta z Asgardu, chowu samego Odyna.

Wydobył nóż zza pasa, odciął kogutowi głowę i z dokładnością właściwą wielkim mężom przrzucił najpierw głowę, a następnie tułów przez wąską szczelinę pomiędzy ścianą a niebem.

W chwilę potem za kamienną ścianą rozległ się dźwięk tak potężny, że aż mur zdawał się drzeć. Piał kogut. Zwiastował świt, nowe życie, zmartwychwstanie.

Zdumiony Hermoth zawrócił, przejechał przez bramę Hel, a potem przez most Giallar, który oddziela świat Hel od pozostałych ośmiu światów. Nie wiedział, co to może znaczyć, nie sądził jednak, by miało być niespodzianką dla Odyna.

Czy to właśnie wyszeptał Odyn do ucha swego syna na pogrzebowym stosie?

Shef poderwał się nagle, świadom, że na zewnątrz coś się dzieje.

Był zlany potem, spał zbyt długo. Słyszac krzyki, pomyslał w pierwszej chwili, że przybyła Ragnhilda. Już raz to zrobiła, kiedy zasnął w łaźni. Ale głosy ludzi brzmiały radością i uniesieniem, nie trwogą. Coś krzyczeli. Cóż to było? "Łuk, łuk"?

Cuthred był już przy drzwiach i szarpał za klamkę. Drzwi się zacięły z powodu gorąca, co zdarzało się dosyć często, a Shef poczuł, jak wali mu serce - okropna śmierć, ugotować się w łaźni, a słyszał o takich przypadkach. Drzwi otworzyły się z trzaskiem, do środka wpadł blask słońca i strumień zimnego powietrza.

Cuthred wziął rozbieg i skoczył przez poręcz do wody. Shef poszedł w jego ślady. Przeszedł go dreszcz, gdy zanurzył się z głową w lodowato zimną wodę. Do tej pory sądził, że po swoich przeżyciach na łodzi nigdy nie wejdzie z własnej woli do zimnej wody, ale zaparowane wnętrza łaźni zachwiało jego postanowieniem. Popłynęli obaj w stronę prowadzącej na pomost drabiny, gdzie rozwiesili wcześniej swoje ubrania, wspięli się po niej i czas jakiś patrzyli na tłum biegnących mężczyzn, który pojawił się nagle nie wiadomo skąd.

Wszyscy biegli na brzeg, do łodzi. Nie do pełnomorskich statków, "Morsa" i "Mewy", ale do małych, płaskodennych łodzi wiosłowych. Shef nigdy dotąd nie widział tu tylu łodzi. Jeszcze więcej przyplęnęło z fiordów, wszystkie mknęły ile sił w wiosłach w stronę zatoki, mężczyźni bez przerwy krzyczeli. Krzyczeli wciąż to samo słowo i tym razem Shef usłyszał je wyraźnie. Nie łuk.

Włók! Włók!

Shef i Cuthred spojrzeli po sobie. Zaczęli wycierać się do sucha i wtedy dostrzegł ich stojący na brzegu Brand. Złożył dłonie w trąbkę i zawołał do nich.

- Zostawiamy waszych ludzi! Nie mamy miejsca dla niedołęgów, kiedy zbliża się stado! Wy dwaj chodźcie, jeżeli chcecie coś zobaczyć.

Odwrócił się, wskoczył do łodzi i stanął na dziobie z wielką włócznią w dłoni.

Cuthred wskazał na małą łódkę, którą pożyczył, uwiązaną do pala dziesięć stóp dalej. Shef skinął głową, poszukał swego miecza o rękojeści z rogu narwala i przypomniał sobie, że jak zwykle zostawił go przy łóżku. Szkoda czasu, by po niego wracać; miał nóż, uwiązany przy pasie. Cuthred chwycił wiosła, jego miecz i kolczasta tarcza, z którymi się nie rozstawał, leżały na dnie łodzi. Kiedy płynęli długim fiordem ku otwartemu morzu, Shef zobaczył angielskich majtków, stali przy machinach, strzegących teraz wejścia do zatoki.

Krzyczeli: "Co?! Co się stało?!" Shef mógł tylko bezradnie rozłożyć ręce, a Cuthred wiosłował dalej.

Rozdział dwudziesty pierwszy

JWiedy Cuthred mocnymi pociągnięciami wiosłał popychał małą łódkę w stronę ujścia fiordu, Shef spostrzegł, że po skalistym zboczu zbiega ku nim młody chłopak, mieszkający widać w którejś z odległych zagród, machając do nich zawzięcie, aby go zabrali. Shef gestem nakazał Cuthredowi skręcić.

- Może on nam powie, co tu się dzieje.

Młodzieniec stapał ostrożnie po ostrych wierzchołkach skał, nie spuszczać z oka rozchybotanej łodzi, a potem skoczył na dziób ze zwinnością foki. Uśmiechał się szeroko.

- Dzięki, przyjaciele - powiedział. - Włók nie zdarza się częściej niż co pięć lat. Tym razem nie chciałbym tego przepuścić.

- Co to jest włók? - spytał Shef, uciszając ruchem ręki rozwścieczonego Cuthreda.

- Włók? - powtórzył chłopak, jakby nie wierzył własnym uszom. Włók? No - po prostu przyplývają wieloryby, cała gromada, stado. Wpływają pomiędzy rafy a stały ląd. A my zapędzamy je na brzeg. Zabijamy.

Tran. Tłuszcz. Mięso na całą zimę.-Odślonił zęby w radosnym uśmiechu.

- Zabijacie stado wielorybów? - zdumiał się Shef. - Ile ich tam jest?

- Pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt.

- Zabijają sześćdziesiąt wielorybów - parsknął Cuthred. - Nawet gdyby to było możliwe, ty kłamliwy pomocie morsa, to nie zjedlibyście ich nawet do sądnego dnia.

- To małe wieloryby - wyjaśnił młodzieniec, wyraźnie dotknięty. - Nie walenie, czy wielkie kaszaloty. Długie najwyżej na dziesięć, dwanaście łokci.

To jakieś piętnaście, osiemnaście stóp, pomyślał Shef. Może to i prawda.

- Czym je zabijacie? - spytał.

Chłopak znów się uśmiechnął.

- Długimi włóczniami - odparł. - Albo tym. - Wyciągnął zza pasa nóż, długi, szeroki, zjedną tnącą krawędzią, za to na końcu wygięty haczykowato i, jak zauważył Shef, wyostrzony z obu stron.

- Nóż do zarzynania - powiedział chłopak z twardym akcentem. Grindar-knoivur. Wyskakujesz z łodzi do płytkiej wody, dosiadasz wieloryba, wbijasz nóż pod kręgi. Ciągniesz. Rozcinasz mu grzbiet.

Ha! Dużo mięsa, dużo tłuszczu na zimę.

Kiedy łódź znalazła się u wylotu fiordu, chłopak rozejrzał się, zobaczył chmurę łodzi, zdążających w pośpiechu na północ. Bez słowa usiadł na ławce obok Cuthreda, odebrał mu jedno wiosło i zaczął wiosłować razem z nim. Shef był zaskoczony, ujrawszy kwaśny uśmiech na twarzy Cuthreda, którego najwidoczniej rozbawił młody Norweg i jego przypuszczenie, że potężny berserk mógłby potrzebować pomocy.

Wyprzedzające ich łodzie zatrzymały się wreszcie i ustawiły w szerokim kręgu. A wówczas, jakieś pół mili dalej, Shef po raz pierwszy ujrzał stado wielorybów, które ścigali: ponad szarą toń morza

wytrysnęła nagle biała fontanna, potem następna, a potem bardzo wiele jednocześnie. Niżej, tuż nad falami, prześlizgiwał się od czasu do czasu zwinny czarny grzbiet, zaledwie ciemna smuga na tle jaśniejszej wody.

Ludzie na łodziach również to widzieli, gdyż poderwali się wszyscy, potrząsając długimi włóczniami i krzycząc w podnieceniu.

Nawet z tej odległości dochodził uszu Shefa grzmiący głos Branda, który uciszał ich gniewnie i wydawał zwięzłe rozkazy.

- Zawsze musi być włók-kapitan - wyjaśnił młody człowiek pomiędzy jednym a drugim pociągnięciem wiosła. - Jeżeli łodzie nie współpracują ze sobą, wieloryby mogą się wymknąć. Wszyscy pracują razem, a potem dzielimy się równo. Jedna część dla każdego, jedna część na każdą łódź, dwie części dla kapitana.

Dotarli do zgrupowania dokładnie w momencie, kiedy łodzie zaczęły się rozdzielać. W ostatniej chwili młody człowiek wstał, powitał krewniaków i dołączył do nich, przeskakując z burty na burtę z tą samą co wcześniej zwinnością, znalazłszy jeszcze czas, by wymienić po drodze radosne pozdrowienia. Potem wszystkie łodzie, w większości cztero- lub sześciowiosłowe, ustawiły się w rozciągniętą, nierówną linię. Brand, wybrawszy dla siebie miejsce w samym środku szyku, odwrócił się do Shefa i krzyknął ponad falami: - Wy dwaj! Trzymajcie się z tyłu i nic nie róbcie. Poradzimy sobie bez was.

Przez dłuższy czas Cuthred napierał z determinacją na wiosła, utrzymując pozycję na końcu linii. Wygląda na to, pomyślał Shef, patrząc na jego spoconą twarz, że w ciągu kilku ostatnich tygodni stał się jeszcze silniejszy, gdyż dzięki solidnym posiłkom warstwa tłuszczu pokryła jego suche, twarde mięśnie niewolnika. Mimo to, jednemu człowiekowi nie było łatwo dotrzymać tempa czterowiosłowym łodziom, prowadzonym przez doświadczonych żeglarzy.

Cuthred zawział się. Co prawda, w tej chwili wielorybnicze łodzie nie płynęły z maksymalną prędkością. W miarę trwania pościgu Shef zdał sobie sprawę, że jest w tym metoda, przemyślane działanie.

Na początek Brand postawił sobie za cel wprowadzenie swojej flotylli pomiędzy wieloryby a pas przybrzeżnych skał, odgradzających wybrzeże od Atlantyku. Gdy mu się to udało, spróbował zapędzić stado na brzeg. Łodzie podpływały możliwie blisko, a ich załogi wychylały się przez burty i biły wiosłami o wodę. Któż to może wiedzieć, jak brzmiał ten dźwięk dla wielorybich uszu. Lecz wielorybom najwyraźniej się nie podobał, miały się na boki, próbując przed nim uciec. Czasem przyspieszały, by opłynąć wydłużoną linię łodzi. Wówczas któraś z załóg przecinała im drogę i uderzeniami wiosła zmuszała do powrotu. W pewnym momencie przewodnik stada zdecydował się popłynąć na południe, wprost na Shefa i Cuthreda, trzymających się końca szeregu. W wodzie zakotłowało się na kilka minut od miotających się na wszystkie strony czarnych grzbietów; niektóre płynęły prosto, inne zawracały. A wtedy wszystkie załogi ruszyły jednocześnie, wśród krzyków i bicia wiosłami, by skierować stado w stronę skalistych płycizn, których wieloryby się bały.

Brand liczy również na panikę wśród stada, zdał sobie sprawę

Shef, obserwując przebieg wydarzeń. Wybrał też jakieś konkretne miejsce. Nie wystarczy zapędzić wieloryby na wybrzeże. Gdyby do tego doszło, mogłyby zawrócić i przebić się przez pierścien

łodzi siłą. Powinny znaleźć się w pułapce bez wyjścia; najlepiej na brzegu, ale równie dobrze w małej zatoczce, której wylot da się łatwo zamknąć. I to w czasie najwyższego przypływu, by cofające się morze unieruchomiło bestie na mieliźnie.

Brand urn iejętnie manewrował łodziom i i wreszcie zagnał swoje stado tam, gdzie chciał. Wieloryby w skłębionej masie skupiły się u wejścia do niewielkiej zatoki, zamkniętej od cypla do cypla przez ustawione półokręgiem łodzie. Brand dał znak włócznią i obława ruszyła.

Pierwszą sztukę zabił sam Brand. Oparł jedną stopę o burzę, a gdy jego łódź podeszła bokiem do płynącej wolno samicy, wychylił się i wbił długą włócznię o haczykowatym grocie głęboko pod płetwę grzbietową. Z odległości pięćdziesięciu jardów Shef i Cuthred widzieli doskonale, jak trysnął do wody strumień ciemnej krwi, a morze zakotłowało się od wściekłych uderzeń wielkiego ogona.

Konające zwierzę musiało chyba wydać pod wodą bezgłośny ryk agonii, ponieważ resztę stada natychmiast ogarnęła panika; wieloryby rzuciły się naprzód, uciekając przed groźącym z tyłu niebezpieczeństwem. I od razu ugrzęzły na mieliźnie, szorując brzuchami po kamienistym dnie i młócąc ogonami wodę w daremnym wysiłku uwolnienia się z potrzasku. Inne łodzie ruszyły niemal jednocześnie, ludzie krzyczeli, zachęcali się nawzajem do działania, wybierali najlepsze cele dla swych włóczni.

Shef zobaczył, jak pierwszy człowiek wskakuje do wody ściskając w dłoni wielki nóż. Mógł to być ten sam chłopak, który zabrał się razem z nimi. Shef nie był jednak pewien, bo za nim ruszyli następni. Bez wahania dopadli wielkich cielsk, chwyтали za płetwy, wspinali się na grzbiety swych ofiar. Błysnęły wzniesione noże, ciosy spadały raz za razem, mężczyźni starali się trafić w czuły punkt pomiędzy kręgami i jednym szarpnięciem zakrzywionego ostrza rozerwać rdzeń kręgowy, powodując w ten sposób natychmiastową śmierć. Wieloryby rzucały się rozpaczliwie. Nie mogły walczyć, nie mogły odpłynąć, próbowały jedynie nie dać się zabić swoim dręczycielom.

- To chyba dość niebezpieczne - mruknął Shef.

- Wcale nie. - W głosie Cuthreda zabrzmiała nuta niesmaku. Nie bardziej niż zabicie owcy. Te bydlęta w ogóle się nie bronią, zdaje się, że nawet nie mają zębów. Gdybyś wpadł pomiędzy dwa walczące wieloryby, mogłyby cię zmiażdżyć, tylko że one nigdy ze sobą nie walczą.

Kilku ludzi dopadło jednego wieloryba, zaczęli wlec go na brzeg, ciągnąc za płetwy i za sterczące z jego grzbietu włócznie. Zostawili wijące się z bólu cielsko i pobiegli do wody po następnego. Niebawem woda w zatoce zabarwiła się na czerwono od tryskającej z przebitych serc wielorybiej krwi. W ogólnej kotłowaniu Shef dojrzał nagle młodego wieloryba, który zdołał uwolnić się z mielizny. Ledwie na sześć stóp długi, wydostał się na głębszą wodę i ruszył w stronę otwartego morza, zostawiając konającą matkę. Łódź przecięła mu drogę, ktoś wskoczył na jego grzbiet, spadł zakrzywiony nóż.

Strumień krwi chlusnął na łódź, ochlapując wioślarzy. Shef usłyszał, jak ryknęli śmiechem. Na brzegu ujrzał inną grupę, która zaczęła właśnie wytaczać tran z dogorywającego wieloryba. Wlewali sobie do ust tłustą ciecz, krzycząc w obłądnej radości.

- Myślę, że zobaczyłem już dosyć - powiedział Cuthred. - Nikt nigdy nie nazwał mnie delikatnym, ale jeżeli krzywdzę ludzi, to dlatego, że ich nie lubię. Natomiast nie mam nic przeciwko wielorybom. Nawet nie smakuje mi ich mięso.

Chwycił wiosła i za milczącą zgodą Shefa wyprowadził łódź z zatoki, gdzie odbywała się rzeź. Norwegowie mieli co innego do roboty, więc nie zwrócili na nich uwagi. A kiedy po jakimś czasie

Brand zaczął się za nimi rozglądać, ich już nie było.

Kiedy wypłynęli z zatoki, Shef zdziwił się, jak daleko zawędrowało już słońce. O tej porze roku pod tą szerokością geograficzną trudno było uznać, że zapada prawdziwa noc. Niebo zawsze jarzyło się bladą poświatą. A jednak słońce codziennie znikało za horyzontem, chociaż na bardzo krótki czas. W tej chwili prawie już zaszło, ciemny czerwony dysk poniżej warstwy chmur kładł długie cienie na gładkiej powierzchni morza. Cuthred raźno wziął się do wiosł, mieli przed sobą daleką drogę powrotną, przy końcu której czekało na nich łóżko i blask płonącego ognia. Shef uświadomił sobie nagle, że od wielu godzin nic nie jadł i nie pił, a w dodatku wyruszył na tę wyprawę odwodniony po kąpieli parowej w łaźni.

- Czy masz w łodzi coś do jedzenia? - spytał.

Cuthred chrząknął twierdząco.

-Zawsze coś trzymam w schowku na rufie. Masło i ser, dzbanek mleka, świeżą wodę. Odpłynemy trochę dalej, a potem możemy na zmianę wiosłować i jeść.

Shef odszukał na rufie skrzynkę z zapasami Cuthreda i wyciągnął ją. Było tam sporo różnego prowiantu, ale na razie Shef zadowolił się wodą, a potem sięgnął po pomarszczone jabłko, przechowywane od zeszłej jesieni.

- Wiesz - zauważył pomiędzy jednym kęsem a drugim - to jest właśnie to miejsce, przed którym ostrzegał cię Brand. Wewnątrz pasa skał, na północ od wyspy. Sądząc z tego, co mówił, rzadko tu bywają. Ale dzisiaj byli zajęci stadem i nie zwracali za bardzo uwagi, gdzie są. A jeśli jest tu coś niebezpiecznego, prawdopodobnie wołało trzymać się z daleka od takiej masy łodzi.

- Co innego dwóch samotnych ludzi o zachodzie słońca - dokończył Cuthred. Odslonił zęby w nieprzyjemnym grymasie. - Cóż, zaryzykujemy.

Shef wyrzucił ogryzek za burtę, zapatrzył się w rozkołysane na powierzchni morza długie cienie, potem nagle pochylił się i położył rękę na muskularnym ramieniu Cuthreda. Wskazał mu coś bez słowa.

Mniej więcej ćwierć mili przed nimi wyłoniła się z fal ogromna płetwa, prawie wysokości człowieka, stercząca z wody pod kątem prostym. Niżej mignął czarny grzbiet. A potem pojawiły się następne płetwy, grzbiety przewalały się i zanurzały niby wierzchołki jakichś ogromnych kół.

- Orki - stwierdził Cuthred spokojnie. Widywali je dosyć często podczas podróży na północ na pokładzie "Morsa", a za każdym razem Brand podchodził do burty i uważnie się im przyglądał. "Nigdy nie słyszałem, by zaatakowały statek, mówił. Nie słyszałem też, by zaatakowały łódź. To, oczywiście, nic nie znaczy. Gdyby wywróciły łódź, nikt nie uszedłby z życiem, by o tym opowiedzieć.

Polują głównie na foki. Ludzie na pewno przypominają im foki.

Nigdy nie wchodzę do wody, jeśli w pobliżu kręci się miecznik".

Wielka płetwa skręciła i zaczęła szybko zbliżać się do nich. Cuthred natychmiast obrócił łódź i skierował ją w stronę odległego o sto jardów skalistego wybrzeża. Zejście na ląd w tym miejscu było niemożliwe, urwiste zbocze opadało do wody zbyt stromo, ale rafy i skały powinny odstraszyć groźną bestię. Z pewnością je widziała lub rozpoznawała w jakiś inny sposób. Płetwa sunęła wprost na nich, w ślad za nią ciągnęła się po wodzie biała grzywa piany.

Orki wyczuły krew, spływającą w ogromnych ilościach do morza. Być może podążały za stadem wielorybów i same miały ochotę na nie zapolować. Czy takie stworzenia mogły czuć się zawiedzione, że ktoś pokrzyżował ich plany? Urażone, że pozbawiono je spodziewanej zdobyczy? Wściekle na dwunogie istoty, które z taką łatwością i tak bezwzględnie tępiły ród wielorybów? A może była to tylko reakcja na krew i chęć dania nauczki ludziom, zbyt ufnie zapuszczającym się w obcy im żywioł. Ogromny miecznik szarżował na maleńką łódź, każde jego poruszenie zwiastowało nadciągającą groźbę. Shef natychmiast zrozumiał, że bestia ma zamiar wywrócić łódź, dopaść ludzi w wodzie i rozszarpać ich na kawałki kilkoma kłapanieciami zębatej paszczy.

- Naprzód! - krzyknął do Cuthreda. - Pod same skały!

Łódź podpłynęła do stromej ściany, obaj mężczyźni chwycili się skalnych występów, by przyciągnąć jajesz jeszcze bliżej, z niemiłą świadomością, że o kilka stóp dalej zaczyna się głębia. Płetwa zniknęła, by zaraz wynurzyć się znowu, jej ostry koniec sterczał ponad wodą wyżej niż głowa siedzącego na ławce Shefa, obły kształt śmignął tuż obok nich, niemal ocierając się o burtę łodzi. Shef dostrzegł białe plamy na czarnym cielsku, usłyszał ostre sapnięcie, na krótką chwilę ujrzał wpatrujące się w niego oko, zimne i uważne. Ogon uderzył w wodę i orka zawróciła, szykując się do następnego podejścia.

Shef chwycił wiosło, zaparł się nim o skałę i popchnął łódź o kilka jardów. Zaledwie stopy dzieliły ich od wejścia do zatoczki, a raczej skalnej niecki, zbyt małej, by można nazwać ją fiordem. Była tak ciasna, że pozbawiony odpowiedniej przestrzeni do manewrowania miecznik mógł dać za wygraną. Reszta stada już nadciągnęła, lecz trzymała się nieco dalej niż samiec-przewodnik; z nozdrzy strzelały w górę spienione fontanny.

Cuthred odepchnął się zbyt mocno i łódź odbiła od skał. Przewodnik stada już przy nich był, jakby tylko na to czekał. Shef machał wiosłem, kierując dziób z powrotem w stronę skalnej niecki.

Jednocześnie osadzili wiosła w dulkach i napaarli na nie ze wszystkich sił, by jak najszybciej znaleźć się na spokojnych wodach zatoczki.

Nagle łódź podskoczyła gwałtownie, wznosząc się niemal nad powierzchnię morza, i zaczęła przewracać się na burtę. Shef wiedział, że jeśli znajdzie się w wodzie, będzie po nim, potężne szczęki przetną go na pół. Rzucił się w bok, kopiąc wściekle w powietrze, i spadł-jedną nogą do wody, drugą na maleńki skalny występ. Podciągnął się i jakoś zdołał wgramolić do wąskiej niszy w skale.

Podważona przez orkę łódź przewróciła się w powietrze, Cuthred spadł do wody głową w dół, w ślad za nim poleciały wysypujące się z łodzi przedmioty. Kolczasta tarcza z powłoką z hartowanej stali spadła tuż obok stóp Shefa. Przyglądał się, skamieniały, jak

Cuthred upada w wodę, a orka zawraca w jego kierunku.

Cuthred wstał, znalazł dno pod stopami i cofnął się w stronę wybrzeża. Zatrzymał się o sześć stóp od przykucniętego Shefa, wciąż po kolana w wodzie. W jego ręku jakimś cudem znalazł się miecz, Cuthred skierował go ostrzem ku pędzącej wprost na niego czarno-białej paszczy. Orka skręciła, a wówczas Cuthred, robiąc wypad ramieniem i ciałem, zadał klasyczne, proste pchnięcie.

Głuchy odgłos, szamoczący się czarny grzbiet, strumień wody spod tłukącego wściekle ogona. A potem orka odpłynęła, ciągnąc za sobą cienką smugę krwi. Wokół unosiły się szczątki roztrzaskanej łodzi.

Cuthred wyprostował się powoli, wytarł miecz o mokry rękaw koszuli. Kilka stóp dalej kołysała się na falach skrzynka z zapasami. Cuthred wszedł po pas w wodę, zabrał skrzynkę, odwrócił się i bez pośpiechu ruszył w stronę niszy, gdzie siedział nieruchomo skulony Shef.

- No i jak się stąd wydostaniemy? - spytał. - Nie powiem, żebym miał wielką ochotę płynąć wplaw.

Siedzieli przez kilka minut u podnóża urwistej skały, spoglądając na zatokę. Orki wciąż tam były, krążyły wytrwale w tę i z powrotem. Jedna z nich podpłynęła do steru łodzi, który unosił się na falach dziesięć jardów od brzegu, złapała go od niechcienia w potężne szczęki i przegryzła.

Odwrócili się ostrożnie, by popatrzeć za siebie, na skalną ścianę.

Gdyby chcieli uznać to za jakąś pociechę, nie była zupełnie pionowa, tylko bardzo stroma, bardziej niż spadzisty dach domu, aczkolwiek nierówna, z licznymi występami, które podczas wspinaczki mogły stanowić oparcie dla rąk i nóg. Zdawała się za to w ogóle nie mieć końca, pięła się aż pod niebo bez żadnych widocznych załomów. Wspinaczka na szczyt zajęłaby wiele godzin, a w dodatku po drodze nie było nawet gdzie odpocząć. A jednak nie mieli wyboru.

Powoli i ostrożnie, świadomi czającego się nie opodal zagrożenia, pozbierali swój skąpy dobytek. Cuthred ocalił z łodzi miecz i tarczę, lecz wdrapywać się z nimi na górę było niepodobieństwem. Po namyśle Shef odciął mieczem kawałek rzemieennego sznurowadła, związał razem miecz i tarczę, a następnie pokazał Cuthredowi, jak ma je przewiesić przez plecy. Skrzynkę z prowiantem przytroczył do własnego grzbietu i upewnił się, czy krótki nóż w pochwie nadal tkwi za pasem wraz z nieodłącznym krzesiwem. Poza złotymi bransoletami na ramionach nie posiadał nic więcej i, jeśli nie liczyć noża, właściwie nie był uzbrojony.

Wolno i ostrożnie zaczęli wspinać się po zboczu góry. Przez całą wieczność wpełzali na skałę, czepiając się jej rękami i nogami, omijając sterczące nawisy, szukając łatwiejszych podejść, i ani razu nie znaleźli miejsca gdzie mogliby odpocząć, usiąść lub choćby pewniej stanąć. Niebawem Shefa rozboleły mięśnie ud, a potem zaczęły spazmatycznie dygotać. Czuł, że lada chwila złapie go skurcz.

A wtedy on nie chwyci się dość mocno i spadnie lub zjedzie po kamieniach na sam dół, do wody. Pod sobą widział jedynie nieubłaganą skałę i metalicznie szarą powierzchnię morza, po której wciąż krążyły czarne płetwy. Z najwyższym trudem podciągnął się o kilka stóp. Odepchnął się nogą, jeszcze raz podciągnął i resztką sił zawisł na zeszywniałych ramionach.

Ktoś przemawiał do niego. Znad głowy Shefa dobiegał głos Cuthreda.

- Panie - mówił. - Jeszcze kawałek. Tutaj można odpocząć.

W tym momencie, jakby za sprawą słów Cuthreda, Shef poczuł bolesny skurcz w prawym udzie. Wiedział, że musi przezwyciężyć ból, ale nie miał już sił. Omsknęła mu się noga, rozpaczliwie zacisnął palce na kamiennym występie.

Mocarna ręka chwyciła go za włosy i szarpnęła bezlitośnie ze straszliwą siłą. Shef został uniesiony do góry jak szczeniak i przerzucony przez skalny grzbiet. Chwilę leżał na brzuchu, dysząc ciężko. Potem Cuthred złapał go za spodnie, pociągnął jeszcze kilka stóp dalej, odwrócił i zaczął rozcierać jego udo.

Shef zrobił kilka głębokich wdechów i poczuł, że ból ustępuje.

Otarł łzy i usiadł.

Sądząc z wszelkich oznak, znajdowali się na wąskiej ścieżce, która, choć nie szersza niż półtorej stopy, po wspinaczkę stromym zboczem wydawała się szczytem wygodny. Biegła wzdłuż brzegu zatoki, niknąc im z oczu po kilku jardach. Od strony otwartego morza wyraźnie się rozwidlała, przy czym jedna odnoga wiodła dalej płasko, druga zaś pięła się w górę.

Cuthred wskazał na drugą odnogę.

- Przypuszczam, że prowadzi na sam szczyt cypla - powiedział. Dobry punkt obserwacyjny. Pójdę się rozejrzeć. Może znajdziemy trochę drzewa i rozpalimy ogień. Ci wielorybnicy muszą w końcu tędy wracać.

Jeszcze nieprędko, pomyślał Shef. A jeśli nawet, to będą płynąć poza linią przybrzeżnych skał, jak czyniąto zwykle, kiedy nie ścigają stada. Lecz Cuthred już odszedł, zabierając ze sobą tarczę i miecz.

A swoją drogą, ciekawe, jak powstała ta ścieżka, zastanowił się Shef.

Wydeptały ją kozy? Jakież inne stworzenia mogłyby tu żyć, oprócz górskich kóz? W takim razie to dziwne, że jest taka gładka.

Nagle znowu odezwały się pragnienie i głód, zdjął więc z pleców skrzynkę z prowiantem, wyciągnął z niej dzbanek mleka i długo, powoli pił. Kiedy odstawił dzbanek, poczuł, jak przygnębienie i rozpacz spowijają go niczym ciężki koc.

Przed nim rozciągał się niewymownie ponury widok: szare morze daleko w dole, uderzające niezmordowanie o szary kamienisty brzeg. Wyżej tylko skały i poszarpane piargi, sięgające grani, na której siedział Shef. Jeszcze wyżej kolejna grań, i jeszcze następna, pnące się stromo ku szczytom, pokrytym czapą nigdy nie topniejącego śniegu. Białe śnieg i szara skała zlewały się z niebem, wypranym z wszelkich kolorów. Ani skrawka zieleni, ani skrawka błękitnego nieba, wszędzie jak okiem sięgnąć tylko bezkresna bladość obszarów podbiegunowych. Shef czuł się tak, jakby znalazł się na krańcu świata i za chwilę miał spaść z jego krawędzi w otchłań. Pot wywołany wysiłkiem i bólem wysychał na nim w łagodnych podmuchach wiatru, szepczącego na górskim zboczu, pozostawiając po sobie tylko lepki chłód.

Nawet gdyby tu umarł, kto by się o tym dowiedział? Jego ciało pożarłyby mowy i drapieżne wydrzyki, a kości bieląłyby na wietrze przez całą wieczność. Brand zastanawiałby się, co się stało,

ale niezbyt długo. Może nie zadałby sobie nawet trudu, by przesłać wiadomość na południe, Godivie i Alfredowi. A po kilku miesiącach wszyscy by o nim zapomnieli. Całe jego życie wydało mu się w tej chwili okrutnym pasmem następujących po sobie katastrof. Śmierć Ragnara i bity, których nie szczędził mu ojczym. Uratowanie Godivy i wypalone oko. Bitwy, które stoczył, i cena, jaką za to zapłacił. Piaszczysta łacha, marsz do Hedeby, Hrorik, który sprzedał go kapłanom

Drogi, wyprawa po łodzi, zdrada Ragnhildy i śmierć małego Haralda. Wszystko zawsze działa się tak samo: chwilowy triumf, okupiony bólem i kolejną stratą. A teraz znalazł się tutaj, pozbawiony nadziei na ratunek, w miejscu, gdzie od początku świata żaden człowiek nie postawił stopy. Może byłoby lepiej, gdyby spadł, rozbił się o skalisty brzeg i zniknął na zawsze.

Shef odchylił się w tył, przywarł plecami do skały, obok niego wciąż stała otwarta skrzynka. Poczul, że nadchodzi wizja, biorąc w posiadanie jego zmęczony, omdlały umysł i ciało.

Mówiłem ci już, powiedział głos. Pamiętaj o wilkach na niebie i węzłach w oceanie. To właśnie widzą poganie, kiedy patrzą na świat.

A teraz pokażę ci coś innego.

Shef znalazł się w ciele innego człowieka, podobnie jak on zmęczonego, obolałego, bliskiego rozpacz i jeszcze bliższego śmierci.

Człowiek ten piął się na skaliste zbocze, choć nie tak strome jak to, po którym przed chwilą wspinał się Shef. Ale jego położenie było znacznie gorsze. Jakiś ciężar wpijał mu się w ramię, lecz nie mógł go odłożyć ani przekazać komuś innemu. Ciężar ten ranił mu również plecy, które - przez grzbiet Shefa przeszedł znajomy dreszcz współczucia - paliły żywym ogniem na skutek wymierzonej mu niedawno chłosty, takiej, co przecinaskórę i wrzyna się głęboko w ciało, aż do kości.

A jednak ten człowiek zdawał się cieszyć swoim zmęczeniem i bólem. Dlaczego? Bo wiedział, zdał sobie sprawę Shef, że im bardziej się teraz zmęczy, tym krótsze będą potem jego cierpienia.

Dotarli na miejsce, gdziekolwiek to było. Człowiek zrzucił z pleców brzemię, które dźwigał, ogromną drewnianą belkę. Podnieśli ją teraz inni, ludzie w dziwnych zbrojach, nie w kolczugach, lecz w metalowych pancerzach. Przytwierdzili do niej jeszcze jedną krótszą belkę. Ach tak, pomyślał Shef to jest krzyż. Oglądam ukrzyżowanie. Białego Chrystusa? Dlaczego mój boski opiekun pokazuje mi właśnie to? Nie jesteśmy chrześcijanami. Jesteśmy ich nieprzyjaciółmi.

Rozciągnęli go i zaczęli wbijać gwoździe, najpierw w nadgarstki, nie w dłonie, ponieważ nie wytrzymałyby ciężaru, ale pomiędzy kości przedramienia. A potem w stopy, co nie było łatwe, bo musieli przybić je razem. Szczęśliwie przyglądający się temu Shef nie czuł bólu. Patrzył jedynie surowo na wykonujących niewdzięczną pracę ludzi.

Uwijali się szybko, jakby robili to już mnóstwo razy, rozmawiając między sobą w języku, którego Shef nie rozumiał. Po pewnym czasie zaczął jednak rozpoznawać poszczególne słowa: hamar, mówili, nagał. Ale na krzyż nie mówili rood, jak tego oczekiwał, tylko zupełnie inaczej, brzmiało to jak crouchem. Byli to rzymscy żołnierze, tak przynajmniej zawsze Shefowi mówiono, lecz rozmawiali w jakimś germańskim dialekcie, pomieszonym z zepsutą zniekształconą łaciną.

Człowiek na krzyżu zemdleł, kiedy go podnieśli. Lecz potem znowu otworzył oczy i spojrział, tak jak w tej chwili Shef, tak jak Shef przed laty, kiedy go oślepieno. Wtedy zobaczył w swej wizji Edmunda, umęczonego chrześcijańskiego króla, który zjawił się przed nim, niosąc w ręku własny kręgosłup, a potem odszedł dokądś. Widać u chrześcijan też było takie miejsce, skoro poganie mieli swoją Valhallę.

Słońce zaczęło właśnie zachodzić za Golgotę. Przez kilka krótkich sekund Shef oglądał je oczami umierającego człowieka, czy też boga-człowieka. Niejako rydwan, który ciągną przerażone konie ścigane przez krwiożercze wilki z pogańskich wierzeń. Podobnie ziemia i morze nie były legowiskiem olbrzymich węży, powodowanych jedynym pragnieniem zniszczenia rodzaju ludzkiego. Zamiast tego człowiek na krzyżu zobaczył promienną brodatą twarz, spoglądającą w dół surowo, ale i ze współczuciem. Patrzyła na świat pełen stworzeń wznoszących ku niej ręce w geście błagania o pomoc, przebaczenie i łaskę.

Eloi, eloi, krzyknął umierający człowiek, lama sabachthani. Mój

Boże, mój Boże, czemuś mnie opuścił.

Promienna twarz zaprzeczyła. To nie opuszczenie, to uzdrowienie. Gorzkie lekarstwo na grzechy tego świata, odpowiedź na wzniesione błagalnie ręce. A teraz akt łaski.

Jeden człowiek wystąpił z szeregu stojących u stóp krzyża żołnierzy, jego zbroję okrywał czerwony płaszcz, żelazny hełm wieńczył czerwony pióropusz. Inoh, powiedział w tym samym dialekcie, którym mówili jego podkomendni. Giba me thin lancea. Wystarczy, daj mi swoją włócznię.

Umierający człowiek poczuł przy wargach gąbkę i wpił się w nią chciwie, wysysając kwaśne wino, wydawane codziennie żołnierzom, którzy mieszały je z wodą. Jeszcze nigdy w życiu nic mu tak nie smakowało, a kiedy napój spływał w jego spieczone gardło, niosąc cudowne ukojenie, centurion zdjął gąbkę z włóczni, chwycił mocniej drzewce, wymierzył starannie i wbił grot pod żebra, prosto w serce skazańca.

Popatrzył zdumiony, gdy po jego ręce popłynęła krew i woda.

W tej samej chwili świat wokół niego zawirował nagle, jakby coś odmieniło się na zawsze. Spojrzał w górę i zamiast słońca, które paliło bezlitośnie tę wyschniętą i jałową ziemię, ujrzał uśmiechniętą twarz swego zmarłego ojca. Zdawało mu się, że piasek pod jego stopami zadrżał z radości, a krzyk ulgi wzbił się w niebo ze skał, a także spod skał, z samego Piekła, gdy cierpiący tam ludzie ujrzeli obiecane wybawienie.

Centurion drgnął, otrząsnął się i znów spojrział na zwykłą wojskową włócznię, z której kapłała na jego rękę krew i woda.

Tak właśnie widzą to chrześcijanie, powiedział Shefowi głos jego opiekuna. Widzą przychodzące z zewnątrz wybawienie, podczas gdy pogan czeka jedynie walka, której nie mogą wygrać i nie mają odwagi przegrać. Wszystko to pięknie -jeżeli istnieje wybawca.

Wizja zniknęła, a Shef znów siedział na nagiej skale. Mrugnął i zaczął rozmyślać o tym, co zobaczył. Kłopot w tym, uświadomił sobie, że zachodzi tu zasadnicza sprzeczność. Chrześcijanie ufają boskiej opiece, a więc sami nie walczą o siebie, po prostu pokładają całą wiarę w swoim Kościele. Paganie walczą o zwycięstwo, ale nie mają żadnej nadziei. Zatem grzebią kobiety

żywcem i przywiązują mężczyzn do pochylni swoich okrętów, nie wierzą bowiem, że istnieje na świecie dobro. Droga powinna pogodzić te sprzeczności.

Ofiarować nadzieję, której nie mają poganie: nawet Odyn nie potrafił przywrócić życia swemu zmarłemu synowi Balderowi. Pokazać celowość ludzkich wysiłków, czemu Kościół chrześcijan zaprzecza: dla nich zbawienie jest darem, łaską, człowiek nie może osiągnąć go sam.

Poruszył się niespokojnie, nagle owładnęło nim uczucie, że jest obserwowany. Poszukał wzrokiem Cuthreda, lecz jego towarzysz dotąd nie wrócił. Raz jeszcze sięgnął do skrzynki z zapasami, mając nadzieję, że kiedy się posili i zaspokoją pragnienie, doda mu to nieco otuchy. Trochę mleka, ser i suchary.

Nagle tuż przed nim pojawiła się jakaś postać, wyglądało to tak, jakby wyszła wprost ze skały. Shef, który właśnie zaczął jeść, zamarł z otwartymi szeroko ustami.

Rozdział dwudziesty drugi

JN nie od razu Shef uświadomił sobie, że stoi przed nim mały chłopiec, dziecko. Ponieważ obcy wcale nie był mały. Miał niemal pięć stóp wzrostu, prawie tyle co stalmistrz Udd, i o wiele szersze ramiona. Mógłby z powodzeniem uchodzić za niskiego mężczyznę.

I tylko otaczająca go nieuchwytna aura szczerzej niewinności nasuwała przypuszczenie, że jest bardzo młody.

Poza tym wcale nie wyglądał jak człowiek. Jego ramiona zwisały nisko, a głowa sterczała do przodu na nieprawdopodobnie grubej szyi. Małe oczy patrzyły przenikliwie spod masywnych brwi. Jego strój składał się właściwie z niczego. No, niezupełnie, miał na sobie prostą spódniczkę ze skóry jakiegoś zwierzęcia. Tyle że prawie ginęła pod jego własnym futrem. Dziecko od głowy do stóp porośnięte było długą, szarą sierścią.

Nieruchome oczy wpatrywały się w kawałek sera, który Shef właśnie zaczął podnosić do ust. Włochate nozdrza drgały gwałtownie, podrażnione zapachem, a po brodzie spływała cienka strużka śliny. Shef powoli zdjął ser z suchara, na którym go wcześniej położył, i bez słowa podał dziwnemu chłopcu.

Ten zawahał się, najwyraźniej nie chciał podejść bliżej. W końcu zrobił dwa kroki, powłócząc niezgrabnie nogami, wyciągnął długie, szare ramię i porwał ser z dłoni Shefa. Obwąchał go, nozdrza znów mu zadrgały, a potem cały ser zniknął w jego ustach. Zaczął żuć, mrużąc oczy z rozkoszy, pomiędzy rozchylonymi wąskimi wargami błyskały potężne kły. Szare stopy odtańczyły bezwiednie osobliwy taniec radości.

Finowie nie potrafią przejść spokojnie obok sera, mleka i masła, tak mówił Brand. Shef wątpił, czy to stworzenie jest Finem. Mogło jednak mieć podobne upodobania. Shef, wciąż bardzo powoli, podał mu dzbanek Cuthreda z resztkami mleka. Znów ostrożne obwąchiwanie, potem nagła decyzja i szybki ruch ręki. Stworzenie piło na ugiętych dziwacznie kolanach, przechylając się do tyłu całym ciałem. Nie może odchylić głowy, zdał sobie sprawę Shef.

Skończywszy pić, upuściło dzbanek, który roztrzaskał się na kamieniach. Hałas wyraźnie je stropił, spojrzęło w dół, potem na Shefa. A po chwili, choć trudno w to uwierzyć, przemówiło, powiedziało coś tonem, jakim zwykle mówi się "przepraszam". Tylko że

Shef nie rozumiał ani jednej sylaby.

I nagle zniknęło, odbiegło kilka kroków ścieżką i po prostu przepadło, szara sierść wtopiła się w szarą skałę. Shef wstał i na zeszywniałych nogach podbiegł do miejsca, gdzie widział je po raz ostatni, ale nic tam nie znalazł. Stworzenie rozplynęło się zupełnie jak jego sen.

To był Huldu, pomyślał Shef. Widziałem stworzenie z Ukrytego

Ludu, który żyje w górach. Przypomnił sobie opowieści Branda o stworach, porywających żeglarzy, o szarych włochatych rękach, co wynurzają się z wody, by wciągnąć łódź w głębinę. A także opowieści Cwicci i jego kompanów o ludziach, którzy zostali schwytani w górach przez kobiety-trolle i musieli im służyć. Jedną z takich historii słyszał nie dalej jak zeszłej nocy: o wielkim czarowniku, mędrca, który postawił sobie za cel uwolnić swoją wyspę od trolli i Ukrytego Ludu. Obszedł całą wyspę i magicznymi słowami przepędził owe stworzenia, tak że nie mogły już szkodzić ludziom.

Wreszcie dotarł do skalistego wybrzeża i zaczął opuszczać się w dół po linie, by doprowadzić swe dzieło do końca. Lecz wtedy usłyszał głos, który zdawał się dochodzić z samego wnętrza góry. "Człowieku, powiedział ten ktoś, powinieneś zostawić choć jedno miejsce, bo nawet Ukryty Lud musi gdzieś żyć". I po tych słowach z kamiennej ściany wychyłała szara ręka i zepchnęła mędrca, który roztrzaskał się o przybrzeżne rafy. To nie ma sensu, powiedział im wtedy

Shef. Kto mógł powtórzyć te słowa, jeśli mędrzec, który je usłyszał, w chwilę później roztrzaskał się o skały? Lecz teraz ta historia nabrała sporo sensu.

Cuthreda nadal nie było. Shef już otworzył usta, by go zawołać, ale zaraz je zamknął. A czy to wiadomo, kto mógłby go usłyszeć?

Podniósł odłupany kawałek kamienia i narysował na mchu strzałkę, wskazującą kierunek, w którym miał zamiar się udać w głąb lądu.

Obok postawił skrzynkę z zapasami i ruszył przed siebie wąską ścieżką, tak szybko, jak się dało.

Ścieżka wiała się wzdłuż brzegu zatoki, tylko znacznie wyżej, przez jakieś pół mili, często zwążając się na tyle, że ledwo mógł postawić na niej stopę, ale nigdy nie zniknęła zupełnie. Któryś z ludzi Branda, szukający ptasich gniazd, poszedłby tędy bez wahania. Karli, człowiek z równin, zamarłby ze zgrozy. Shef, także wychowany na równinach, stąpał bardzo ostrożnie, pocił się ze strachu i z wysiłku, starał się nie patrzeć w dół.

I nagle ujrzał przed sobą polanę. Rozejrzał się bacznie w półmroku. Polana? No, w każdym razie płaski teren, porośnięty wątłą trawą i chwastami. Dlaczego z morza nie dostrzegli zieleni? Ponieważ to miejsce było ukryte w skalnym zagłębieniu pomiędzy górami a morzem. Na przeciwległym skraju polany dojrzał wąską smugę światła. Ogień? Chata?

Shef ruszył ostrożnie w tamtym kierunku i stwierdził, że to rzeczywiście chata. Ze ścianami z kamienia, kryta darnią, przytulona do stoku wzgórza, jakby z niego wyrastała. Nawet z odległości pięćdziesięciu jardów nie był do końca pewien, czy naprawdę ją widzi, chociaż przez szpary w ścianach sączyła się słaba poświata.

Ledwie to pomyślał, zdał sobie sprawę, że jego lewa ręka dotyka innej ściany, która wyrosła nagle tuż przed nim. Wszedł prosto na jakiś budynek, lecz mimo to nadal go nie widział. Ale dom tam był, i to duży, podcienie z kamiennych płyt ciągnęło się przez mniej więcej czterdzieści stóp, od skraju ścieżki aż do miejsca, gdzie mogły znajdować się drzwi. Shef nic również nie czuł. Ani dymu, ani zapachu jedzenia.

Wyciągnął nóż i ruszył powoli ku drzwiom, jak myśliwy podkradający się do kryjówki zwierza. Nie były to jednak drzwi, lecz zawieszona nad wejściem skórzana zasłona. Odsunął ją na bok i wśliznął się do środka.

Początkowo nic nie widział. Potem jego wzrok przywykł do ciemności. Słabe światło wpadało przez szpary w ścianach i przez otwór w dachu, pod którym płonął niewielki ogień. Nad ogniem wisiała zwierzęca tusza. Shef zorientował się, że trafił do wędzarni. Pod przeciwległą ścianą dojrzał umieszczone jedna nad drugą żerdzie, a na nich wypatroszone, wędzone i suszone ryby. Bliżej stały beczki z solonymi rybami i mięsem. Tuż obok Shefa zwisała z haka oprawiona foka, a dalej następne, w rzędach przez całą długość pomieszczenia. Wyciągnął rękę. Żerdź była kamienna, a podtrzymujący fokę hak drewniany. Nie wyrzeźbiono go jednak; gałąź została wygięta i rosła, przybierając odpowiedni kształt. Nie dostrzegł tu ani kawałka metalu, jedynie drewno i kamień.

W miarę jak szedł, zaciekawiony, w głąb pomieszczenia, tusze stawały się coraz większe. Foka. Mors, tak wielki, że sięgał od stropu do podłogi. A dalej niedźwiedź. Lecz nie brunatny niedźwiedź z południowych lasów, często spotykany w Norwegii, a nawet występujący jeszcze z rzadkaw gęstych puszczech angielskich. Znacznie większy, tak jak orka większa jest od morświna, o wiele roślejszy od Shefa. Wisiał tam, rozkrojony i wypatroszony, lecz gdzieś tam pozostały jeszcze kłaki białego futra. Był to ogromny biały niedźwiedź, taki jak ten, z którego skóry Brand uszył swoje najlepsze futro i który zabił trzech ludzi, nim udało się go powalić, jeśli wierzyć słowom Branda.

Shef znalazł się już bardzo blisko ognia i padającego spod stropu światła. Cóż to za stworzenie upolował potężny myśliwy z gór? Nie fokę, nie morsa, morświna, czy niedźwiedzia. Nagle zdał sobie sprawę, że nad ogniem, kołysząc się lekko w dymie, wisi na haku człowiek. Rozkrojony, wypatroszony, oprawiony jak świnia, a jednak z całą pewnością człowiek. A nawet wielu ludzi, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, powieszonych niczym połcie słoniny, za gardło lub za nogi. Nagie piersi kobiet zwisały bezwładnie.

Shef dostrzegł też wiele innych rzeczy, ciśniętych beztrąsko w kącie.

Głównie ubrania, porzucane w nieładzie. Tu i ówdzie błyskał metal, srebro, przedmioty pokryte emalią, a także żelazo. Cokolwiek schwytało i zabiło tych ludzi, nie troszczyło się specjalnie o łupy. Wszystko zwalono na stertę, tak jak wyrzuca się rogi, kopyta i inne niejadalne części. Czy była tu broń?

Na dwóch wbitych w ścianę kołkach spoczywał tuzin włóczy o długich grotach. Shef podniósł jedną i natychmiast zdał sobie sprawę, że jest zżarta przez korniki i wygięta od gorąca, w którym leżała przez lata. Zaczął szperać wśród pozostałych, starając się nie narobić zbyt wiele hałasu.

Same rupiecie. Rozszczepione drzewca, powyginane groty, metal pokryty grubą warstwą rdzy. Ale musiał coś wybrać. Miał tylko maleńki nóż, a być może przyjdzie mu zmierzyć się ze stworzeniem, które bez trudu zabija morsy i polarne niedźwiedzie.

No proszę. Tu coś jest. Na samym dnie sterty Shef dojrzał drzewce w całkiem dobrym stanie. Podniósł je, zważył w dłoni i westchnął z ulgą. Nie czuł się już zupełnie bezbronny.

A jednak, nie wiedzieć czemu, sama myśl, by użyć włóczni do zadawania ciosów i zabijania, budziła w nim odrazę. Jakby wewnętrzny głos mówił mu: "Nie. To nie jest narzędzie do takich celów. Równie dobrze mógłbyś podnosić rozgrzany metal młotem, albo kuć żelazo obcęgami".

Zdumiony Shef przyjrzał się znalezisku, od czasu do czasu spoglądając trwożnie w stronę wejścia. Dziwna broń. Dziś się już takiej nie robi. Ostrze w kształcie liścia, zupełnie inne niż masywny, trójkątny grot włóczni Sigurtha, a poniżej długa żelazna tuleja, nasadzona na jesionowe drzewce. Na ostrzu resztki zdobień. Ktoś nawet wyciął żelazo i wypełnił ornamenty złotem. Kiedyś na podstawie grotu znajdowały się dwa złote krzyże. Teraz złoto zniknęło, jego obecność zdradzały tylko drobniutkie cętki, ale cyzelowane krzyże pozostały. Broń służyła do walki, sądząc po żelaznym grocie, i była to włócznia, na co wskazywał jej ciężar. Ale kto ozdabia złotem włócznię, którą ciska się w nieprzyjaciela?

Właściciel bardzo ją cenił, w każdym razie. A teraz wędził się w dymie. Shef raz jeszcze podniósł niepewnie włócznię. Szaleństwem byłoby nie wziąć broni, która zwiększała jego szansę przeżycia w tym strasznym miejscu. Dlaczego więc ją odłożył, opierając ponownie na kołkach w ścianie?

Odwrócił się raptownie, gdyż poczuł za sobą delikatny podmuch powietrza. Nadchodził ktoś, lub coś. Przykucnął i omiół spojrzeniem podłogę pod rządami ludzkich i zwierzęcych tusz.

Ktoś zmierzał w jego kierunku. W przyptywie ulgi Shef rozpoznał obwiązane na krzyż rzemieniem spodnie Cuthreda. Wyszedł z ukrycia, kiwnął na swego towarzysza i wskazał mu bez słowa zwisające z powały trupy.

Cuthred skinął głową. W jednym ręku trzymał obnażony miecz, w drugim tarczę.

- Mówiłem ci - wyszeptał chrapliwie. - Trolle. W górach. Przyglądały mi się przez okna szopy. Waliły nocą w drzwi, żeby dostać się do środka. Czują mięso. W górskich wioskach drzwi zamyka się na mocne rygle. Chociaż nie wszędzie jest to potrzebne.

- Co robimy?

- Dobierzemy się do nich, zanim one dobiorą się do nas. Chata naprzeciwko, widziałeś ją? Chodźmy. Nie masz żadnej broni?

Shef w milczeniu potrząsnął głową.

Cuthred wyminął go, podniósł włócznię, którą Shef przed chwilą odłożył, i wręczył mu ją.

-Masz-powiedział-weź to. No, bierz-ponaglił, widząc opory Shefa - nie należy już do nikogo.

Shef wyciągnął rękę, zawahał się, a potem mocno ścisnął drzewce. W ciepłym, wypełnionym dymem mroku rozległ się słaby, dźwięczny odgłos, jakby metal uderzył o kamień. Shef znowu poczuł ulgę. Nie dlatego, że trzymał w ręku broń, ale dlatego, że została mu ofiarowana. Należała do kogoś, potem zabrał ją właściciel wędzarni, a wreszcie Cuthred, mężczyzna, który nie był mężczyzną. Teraz Shef miał prawo ją wziąć. Może nie po to, żeby ją zatrzymać, czy walczyć nią. Ale wziąć, tak. Na razie.

Wyszli z zadymionego wnętrza na zdumiewająco wonne powietrze.

Przemknęli przez otwartą przestrzeń jak duchy, okrążając ostrożnie zarośla, by uniknąć najbliższych choćby szelestów czy trzasków.

Wystarczy jeden błąd, pomyślał Shef, i oni też będą wędzić się w dymie. Czy mały chłopiec pobiegł ostrzec swoich? Swego ojca? Wydawał się raczej wdzięczny, niż przestraszony lub wrogi. Shef nie miał ochoty go zabijać.

Drzwi chaty, podobnie jak drzwi wędzarni, też były zasłonięte kotarą ze skóry, bodajże końskiej. Czy powinni podnieść ją delikatnie, czy raptownie zerwać i wtargnąć do środka? Cuthred nie żywił podobnych wątpliwości. W milczeniu dał znak Shefowi, by przytrzymał górny brzeg zasłony, a sam podniósł miecz i zaczął po kolei przecinać węzły. Kotara zwisała luźno w rękach Shefa. Cuthred skinął głową.

Kiedy Shef puścił zasłonę, Cuthred wpadł do środka z podniesionym mieczem. I zamarł w bezruchu. Shef podążył za nim. Chata była pusta, ale najwyraźniej zamieszкана. Po lewej stronie od wejścia mieściła się główna izba, na samym jej środku stał stół, a wokół niego krzesła z drewna wyrzuconego przez fale na brzeg. Siedziska były olbrzymie, Shef musiałby się wspinać, żeby usiąść na którymś z nich. W odległym kącie czarny otwór zdawał się prowadzić do wnętrza góry. Pomieszczenie oświetlał knot, płonący w kamiennej misie z oliwą.

Być może mieszkańcy spali. Z pewnością minęła już północ, chociaż niebo pozostawało jasne. Ale Shef zauważył, że w środku lata ludzie Północy tracą poczucie czasu, śpią, kiedy chcą, a w dodatku ich sen trwa bardzo krótko, jakby czekali z tym do nadejścia przerażającej zimy. Lud Huldu mógł mieć podobne zwyczaje.

Po prawej stronie musiała znajdować się sypialnia, do której prowadziło kolejne wąskie wejście. Shef wznosił oszczep i wśliznął się do środka, gotów zadać śmiertelne pchnięcie. Dwa łóżka wyglądały jak półki w skale, dla zachowania ciepła wymoszczono je skórą i futrem. Shef podszedł bliżej, by upewnić się, czy są to tylko futra zwierzęce, a nie szara sierść trolla. Ale nie, łóżka były puste.

Odwrócił się do Cuthreda, a wówczas rozległ się potężny huk, który sprawił, że serce podeszło mu do gardła. Rzucił się naprzód!

by zobaczyć, co się stało. Na środku sąsiedniej izby, obok przewróconego stołu, Cuthred walczył z trollem.

Był to troll płci żeńskiej. Ona też nosiła wokół bioder coś w rodzaju krótkiej spódniczki, ale olbrzymie piersi okrywała tylko szara sierść, a długie włosy opadały jej na plecy niczym końska grzywa.

Przyczaiła się w skalnej spizarni, a kiedy Cuthred podszedł wystarczająco blisko, rzuciła się na niego. Jedną ręką złapała za kolec okrągłej tarczy, drugą unieruchomiła nadgarstek prawej, uzbrojonej w miecz dłoni Cuthreda. Mocowali się teraz zawzięcie. Cuthred próbował zrobić użytek z broni, ona usiłowała mu ją wytrącić. Błysnęły zęby, kiedy warknęła mu gniewnie prosto w twarz.

Shef przyglądał się temu z otwartymi ustami, zdumiony niezwykłą siłą kobiety. Cuthred dawał z siebie wszystko, sapał wściekle w zapasach, a jego potężne mięśnie nabrzmiały z wysiłku. Dwa razy zdołał oderwać ją od ziemi, unosząc bez trudu dwustufuntowy ciężar, ale jej uścisk nie słabł.

Nagle ruszyła naprzód, popychając przed sobą Cuthreda, a kiedy nabrała rozpędu, zahaczyła piętą o jego kostkę i podcięła go.

Upadli oboje, trollica na Cuthreda, miecz i tarcza potoczyły się po podłodze. W chwilę potem wyrwała zza pasa kamienny nóż i przyłożyła go Cuthredowi do gardła. Cuthred złapał ją jedną ręką za nadgarstek i znów zastygli w rozpaczliwej próbie sił.

Nielatwo było użyć oszczepu w wąskim przejściu. Kiedy Shef próbował się ustawić, by zadać pchnięcie przez drzwi sypialni, wpadające z zewnątrz blade światło nagle przygasło. Powrócił pan domu, myśliwy z gór. Wszedł bezgłośnie frontowymi drzwiami, podobny do żywego skalnego bloku, i spostrzegł walczących.

Nawet pochylony, sięgał głową powały. Ręce zwisały mu niemal do podłogi. Ramiona miał zaokrąglone i spadziste, nie proste, jak u człowieka, ale i tak wystarczająco szerokie, by pomiędzy obojczyki weszło całe ostrze miecza. Był odwrócony plecami do Shefa, którego nawet nie zauważył, skupiwszy całą uwagę na Cuthredzie i kobiecie.

Shef uniósł włócznię. Miał szansę zadać jeden niespodziewany cios, w kręgosłup lub w nerki, albo pod żebra, w serce. Nawet olbrzym nie zdołałby tego przeżyć. Przed nim, był tego pewien, stał ludojad.

Kiedy zamierzył się do ciosu, opanowało go nagle uczucie bezmiernego przygnębienia. Doświadczył go już wcześniej, siedząc w niszy na górskiej ścieżce, kiedy otaczający świat wydał mu się bezbarwny, ponury, wrogi. A potem, w przemijającej wizji, zobaczył i poczuł, jak ów świat błaga o ratunek, o wybawienie, a słoneczna twarz obiecała mu to; obiecała coś, czego nie uzyskał ani

Hermoth, ani Balder. Żelazny grot włóczni przy policzku Shefa zdawał się przepęśniać go zarówno ciepłem, jak i zmęczeniem, gwałtownym pragnieniem zaprzestania rzezi. Świat miał już dosyć zabijania. Czas, by to powstrzymać, zmienić.

Trollica siedząca na piersiach Cuthreda przeleciała nagle przez pokój prosto pod nogi ogromnego trolla, który zatoczył się do tyłu, omal nie nadziewając się przy tym na włócznię Shefa. Cuthred mocował się z nią przez jakiś czas, lecz potem raptownie opuścił ręce, złapał kobietę za kostki i przerzucił ją sobie przez głowę. Obrócił się i poderwał na równe nogi, w jego rękę znów błysnął miecz. Wbił w wielkiego trolla wzrok pełen dzikiej furii. Troll zaryczał jak niedźwiedź i odepchnął na bok kobietę.

Shef uderzył końcem włóczni o kamienną podłogę i krzyknął gromkim głosem: - Dosyć!

Oba trolle odwróciły się momentalnie w jego stronę, wodząc oczami od zagrożenia przed nimi do tego, które niespodziewanie wyrosło z tyłu. Shef znowu krzyknął, tym razem do skradającego się Cuthreda.

- Dosyć!

W tej samej chwili mały troll, którego Shef spotkał na ścieżce, przebiegł przez pokój, złapał wielkiego trolla za nogi i wyrzucił z siebie długi potok słów. Shef wyszedł z sypialni, rozłożył szeroko ręce i ostrożnie odstawił włącznik do kąta. Uczynił rozkazujący gest pod adresem Cuthreda, a ten zawahał się i niechętnie opuścił miecz.

No dobrze, a co z trollami? Shef spojrział na nie w mdłym świetle lampy, spojrział znowu, a potem spojrział po raz trzeci na wielkiego mężczyznę, który przyglądał mu się z góry z wyrazem zdziwienia na twarzy. Szare futro, okrągła czaszka, dziwna dolna szczęka i potężne kły. Ale... to wygięcie brwi, kości policzkowe, głowa osadzona na masywnej szyi, znajoma jakby fizjonomia... Shef zbliżył się powoli, ujął w swoją dłoń ogromną rękę mężczyzny. Tak.

Grube palce, a pięść, gdyby była o połowę mniejsza, miałaby rozmiary kwartowego kufla.

- Przypominasz mi kogoś, kogo znam - mruknął Shef niemal niedosłyszalnie.

Ku jego zdumieniu troll uśmiechnął się szeroko, odsłaniając wielkie kły, i odpowiedział w chropawym, lecz zrozumiałym języku

Północy.

- Zapewne spotkałeś mojego drogiego kuzyna Branda.

Zgodnie z tym, co powiedział Echegorgun - Shef często rozmawiał potem na ten temat z Cuthredem przy obozowym ognisku Ukryty Lud zamieszkiwał niegdyś znacznie dalej na południe, w Norwegii i w innych krajach nad Bałtykiem, który Echegorgun nazywał Płytkim Morzem. Lecz w miarę jak zmieniał się klimat i przesuwiała się granica wiecznego lodu, jego pobratymcy podążali na północ, nękani bez przerwy przez Wystające Podbródki, Chudzielców, Wykuwaczy Żelaza - Echegorgun miał dla nich wiele nazw.

Ludzie nie stanowili, oczywiście, żadnego zagrożenia - Echegorgun śmiał się na samą myśl o czymś podobnym, a z jego gardła dobywał się dziwny, zgrzytliwy odgłos. Ale było ich zbyt wielu. Mnożyli się tak szybko jak fokki, mówił, albo jak łososie w okresie tarła.

A w grupach stawali się już niebezpieczni, zwłaszcza gdy zaczęli używać metalu. Wydawało się, że wspomnienia Ukrytego Ludu sięgają bardzo głęboko w przeszłość, do czasów sprzed metalu, kiedy wszystkie dwunogie stworzenia, ludzie i Istoty Ukryte, znały tylko kamień. Lecz kiedy ludzie odkryli metal, najpierw brąz - Echegorgun nazywał go brunatnym żelazem - a potem prawdziwe szare żelazo, odwieczna równowaga pomiędzy gatunkami, jeżeli można je tak nazwać, została naruszona. Echegorgun nigdy tego nie powiedział, ale Shefowi przychodziło niekiedy na myśl, że szybkie rozmnażanie się ludzi, o czym tamten wyrażał się z taką pogardą, uważając to za nierozumne, ma coś wspólnego z metalem. Żelazo nie powstaje z rudy w sposób naturalny, jest to proces oparty na wiedzy, do której dochodzi się metodą prób i błędów, a u jej podstaw leży zawsze szczęśliwy przypadek. Stworzenia żyjące krótko mają niewiele do stracenia, a za to wiele powodów, aby chcieć wyróżniać się czymś spośród licznych konkurentów, są więc bardziej skłonne tracić swój czas na eksperymenty niż długowieczny, rozwijający i rozmnażający się powoli Prawdziwy Lud (jak sam' s>ebie nazywali).

Niezależnie od tego, na ile odpowiadało to prawdzie, w miarę upływu stuleci Prawdziwy Lud stał się Ukrytym Ludem, zamieszkiwał niedostępne góry, utrzymując własne istnienie w tajemnicy.

Nie było to wcale takie trudne, mówił Echegorgun. Chudzielcy nie zdają sobie nawet sprawy, jak wielu jest Prawdziwych Ludzi. Jedni i drudzy nie żyją na tych samych obszarach w tym samym czasie.

Norwegowie z Helgolandu prawie zawsze trzymali się wybrzeży.

Podróżowali drogą morską, Północną Drogą, od której cały kraj wziął swoją nazwę*, budowali swe chaty nad fiordami, latem do wypasania zwierząt starczyły im skrawki łąk. Z rzadka jedynie któryś z nich zapuszczał się dalej niż kilka mil w głąb lądu. Zwłaszcza że taki śmiałek, badacz lub myśliwy, na ogół nie wracał.

Bardziej dokuczliwi bywali Finowie, ponieważ wędrowali zwykle liczną gromadą, ze stadami reniferów, z saniami, jukami i całym dobytkiem. Ale odbywali owe wędrówki głównie latem, i to w ciągu dnia. Zimą trzymali się swoich namiotów, szałasów i stałych terenów łowieckich, nietrudno więc było ich unikać. Śnieg i lód, ciemność i góry, mówił Echegorgun, należą do nas. Jesteśmy ludźmi mroku.

A co z tymi zabitymi, których powiesiłeś w wędzarni, spytał go

Shef tego popołudnia, gdy spotkali się po raz pierwszy. Echegorgun potraktował to pytanie poważnie. Przyczyną kłopotów stały się focze skały, wyjaśnił. Chudzielcy powinni omijać je z daleka, a w każdym razie te, które on uważał za swoją własność. Shef powoli zdał sobie sprawę, że Echegorgun jest stworzeniem ziemnowodnym, podobnie jak cały jego lud, nie różniący się specjalnie pod tym względem od polarnych niedźwiedzi, pływających w najlepsze z dala od lądu. Jego futro chroniło przed zimnem i było wodoodporne, zupełnie jak futro foki. Dorośli bez trudu przepływali kilka mil w lodowatej wodzie, by dostać się do przybrzeżnych skał i zapolować z maczugą na foki lub z harpunem na morsy. Morskie ssa*) Norwegia to po angielsku Norway, dosłownie: Północna Droga North Wety (przyp. tłum.).

ki stanowiły niemalą część ich pożywienia. Nie lubili spotykać tam

Chudzielców i urządzali zasadzki, aby ich zniechęcić. Opowieści o włochatych rękach, które wywracają łodzie, były prawdziwe. A co do wędzenia i zjadania zdobyczy - Echegorgun wzruszył ramionami. Nic w tym złego, że zjadasz to, co upolowałeś. Chudzielcy może j nie jedli Prawdziwych Ludzi, ale zabijali ich z byle powodu, lub nawet bez powodu, a nie dlatego, że Ukryty Lud pozbawiał ich pożywienia. Więc co było gorsze?

W każdym razie dopóki obie strony przestrzegały uznanych reguł, nie istniała potrzeba urządzania zasadzek i zabijania. Problemy mogły się pojawiać w okresach głodu. Kiedy zbiory nie dopisywały - Echegorgun sądził, że zdarza się to mniej więcej raz na trzy lata zrozpaczeni Chudzielcy zaczynali polować na skałach. Nie jedzcie zboża, brzmiała odpowiedź, nie mnożcie się tak szybko, by uzależniać się od niepewnego pożywienia. Ale prawdziwi mieszkańcy Północy, Echegorgun szczególnie to podkreślił, nie dopuszczali, by sprawy zaszły aż tak daleko. Znali swoje miejsce i znali jego.

Ludzie, których zabił, to byli obcy przybysze, naruszający ustalone tradycją granice.

-Na przykład człowiek, który zostawił to? - spytał Shef, podnosząc włócznię.

Echegorgun wziął jądło ręki, obwąchał, parsknął na metal w charakterystyczny dla siebie sposób, wydymając wielkie nozdrza.

- Tak - powiedział. - Pamiętam go. Jarl Trondów, z Trondhjem.

Głupi ludzie. Zawsze chcieli przejąć fińską daninę i fiński handel, odebrać je Brandowi i jego rodzinie. Przybył tu długą łodzią. Śledziłem ich, dopóki nie rozbili obozu na wyspie, a wtedy on i dwaj inni wybrali się na poszukiwanie ptasich jaj. Kiedy zniknął - on i jeszcze paru - reszta przestraszyła się i wróciła do domu.

- Skąd wiesz, że był jarlem? - spytał Shef.

- Lud Huldu wie dużo. Dużo słyszy, jeszcze więcej widzi, w ciemnościach i w ciszy.

Echegorgun nie rozwijał już tego tematu, ale Shef nie wątpił, że on i rodzina Branda mają swoje sposoby, aby się ze sobą porozumieć i ewentualnie znaki pozostawiane na rafach, kamienie układane w wybranych miejscach, kiedy pojawiała się potrzeba nawiązania kontaktu, a następnie przestawiane tak, by wskazywały drogę posłańcowi. Helgolandczycy czerpali zapewne korzyści z sąsiedztwa Ukrytego Ludu, który pomagał im odstraszać nieproszonych gości z południa. W zamian za to Brand i jego krewniacy trzymali się z dala od wyznaczonych obszarów.

Poza tym w grę wchodziły jeszcze uczucia rodzinne. Echegorgun uśmiechnął się oblesnie, kiedy Shef o tym wspominał. Przed laty, powiedział, ojciec Barna, który był ojcem Branda, człowiek imieniem Bjarni, został wyrzucony na brzeg, kiedy jego statek rozbił się o skały. Miał ze sobą jedzenie, dobre jedzenie, mleko i twaróg, i wystawił je jako przynętę na Ukrytych Ludzi. Zobaczyła to dziewczyna z owego plemienia i przynęta zwabiła ją. Nie złapał jej, skąd, jakże Chudzielec mógłby złapać kogoś z Prawdziwego Ludu, choćby była to tylko dziewczyna? Ale pokazał jej, co dla niej ma, a ona dała się skusić. Wy, Chudzielcy, jesteście grubi w jednym miejscu, powiedział Echegorgun, zerkając spod oka na Cuthreda, siedzącego obok kobiety, z którą się wcześniej mocował.

Dziewczyna, ciągnął Echegorgun, jego ciotka, zatrzymała ludzkie dziecko nazwane Barnem, póki nie stało się jasne, że będzie gładkoscórą, zbyt gładkoscórą, by żyć tak, jak żyje Prawdziwy Lud.

Więc zostawiła dziecko pod drzwiami domostwa jego ojca. Ale Bjarni, potem Barn, a wreszcie Brand przypominali sobie o tym pokrewieństwie, gdy zachodziła taka potrzeba.

Shef niewiele już z tego słyszał, ponieważ zaczął niepokoić się o Cuthreda. Chudzielcy mogli być grubi w jednym miejscu, lecz

Cuthred w ogóle nie miał takiego miejsca. Na dalekiej Północy zachowywał się jak dotąd dosyć poprawnie, ale jednej rzeczy Shef był absolutnie pewien: wystarczy najlżejsza wzmianka o jego kalectwie, jakakolwiek manifestacja męskości lub też prowokacja ze strony kobiety, by zmienić Cuthreda w berserka. Lecz to, co zobaczył, zdziwiło go. Cuthred siedział obok kobiety Miltastaray, córki Echegorguna, siostry małego Ekwetarguna, i rozmawiał z nią tak, jak mógłby rozmawiać z Martha lub którąś z mniej atrakcyjnych niewolnic. Być może dlatego, że wcześniej ją pokonał. Być może sprawiała to jej kobiecość, tak odmienna, że oboje ani nie potrzebowali, ani nie oczekiwali od siebie nawzajem żadnej kokieterii. Tak czy inaczej, Cuthred wydawał się spokojny i ufny, przynajmniej na razie.

Shef znów skupił uwagę na opowieści Echegorguna. Pięć istot mężczyźni i kobieta? ludzie? ludzie i nie-ludzie? - zdążyło do tego czasu opuścić chatę i zasiadło w promieniach wschodzącego słońca na małej polance pomiędzy chatą a wędzarnią. Ze swego miejsca mogli oglądać spokojne, szare morze oraz wyłaniające się z niego wyspy, sami jednak pozostawali niewidoczni dla postronnych obserwatorów. Ukryty Lud miał znakomite wyczucie "martwego pola", jak zauważył Shef. Cokolwiek robili, zawsze starali się nie rzucać w oczy i unikali otwartych przestrzeni.

- Wiele widzicie i jeszcze więcej słyszycie? - spytał. - A co wiecie o mnie? O nas?

- O nim - Echegorgun wskazał cofniętym podbródkiem na Cuthreda- dużo. Był thrallem w górach na południe stąd. Nasi ludzie próbowali go stamtąd wydostać. Może by go zjedli, a może nie. Wy, ludzie, jesteście dla siebie bardzo okrutni. Wiem, co mu uczyniono!

Dla nas nie ma to aż tak wielkiego znaczenia. Zaprzatają nas inne rzeczy niż parzenie się.

- Co do ciebie - przenikliwe brązowe oczy spoczęły na Shefie. Nie ma wieści o tobie. Ale ludzie cię ścigają.

Shef roześmiał się.

- To dla mnie nie nowina.

- I nie tylko ludzie. Te orki, które was zaatakowały - czasami to robią, wiem, dla zabawy, albo kiedy coś je rozdrażni. Ale przyjrzałem się im, gdy pływały w pobliżu, one nie są stąd. Przybyły z południa, podobnie jak ty. Może za tobą. A skoro wiesz, że ludzie cię ścigają, nie muszę mówić ci reszty. - Echegorgun rozłożył ogromne ramiona w geście całkowitej obojętności.

- Jakiej reszty? Czy ktoś jeszcze mnie ściga?

- Statek ukrył się w fiordzie Vitazgjafi, pół dnia drogi na południe od domostwa Branda na Hrafnsey. Ostrzegłbym go, ale wyruszył za stadem - wolno mu to robić, jeśli chcesz wiedzieć. Uważał, by nie zapędzić się w te strony. Tak czy owak, nie ma go, a statek czeka. Wielki statek. Ma dwa... dwie tyczki. Takie draży, na których wieszacie płótno. Wysoka jasnowłosa kobieta wydaje rozkazy mężczyznom. - Echegorgun roześmiał się. - Powinna spędzić ze mną zimę, to by ją uspokoiło.

Shef myślał gorączkowo. Kobieta to Ragnhilda, a statek to ten sam, który próbował zatopić ich w fiordzie Gula.

- Jak myślisz, co zamierzają?

Echegorgun popatrzył na niebo.

-Jeśli nie zaatakowali wczoraj o zachodzie słońca, zrobią to dzisiaj. Te dwa statki, które ma Brand, nie będą gotowe do walki. Brand zabierze je do zatoki, gdzie zagnali stado, i załaduje tranem i mięsem.

Obcy zaskoczą pozostałych we śnie. Przy stadzie jest dużo pracy.

-Nie ostrzeżesz ich?

Echegorgun sprawiał wrażenie zaskoczonego, przynajmniej na tyle, na ile jego płaska, porośnięta włosami twarz mogła to wyrazić.

- Ostrzegłbym mojego kuzyna Branda. Co do reszty - im więcej

Chudzielców pozabija się nawzajem, tym lepiej. Wiem, że mnie oszczędziłeś, kiedy mogłeś pchnąć mnie włócznią, więc i ja oszczędzę cię, ponieważ Prawdziwy Lud dotrzymuje swoich zobowiązań, nawet jeśli ich nie składał. Poza tym nakarmiłeś mojego chłopca, Ekwetarguna. Ale postąpiłbym mądrzej, gdybym ukręcił ci głowę i powiesił cię razem z innymi.

Shef zlekceważył groźbę.

- Powiem ci coś, o czym nie wiesz - oświadczył. - Jestem człowiekiem, który ma władzę. W swoim kraju jestem królem. Niektórzy twierdzą, że tu też jestem kimś w rodzaju króla. I mówię w imieniu wielu ludzi. Oto jedna z oznak mojej władzy. - Pokazał drabinę Riga, kraki, noszoną przez siebie na szyi, oraz drugą, którą zrobił dla Cuthreda. - Być może mógłbym uczynić coś dla ciebie i twojego ludu. Sprawić, by ludzie przestali na was polować, pozwolili wam żyć w spokoju, w mniej niegościnnym miejscu. Ale i ty musiałbyś uczynić coś dla mnie. Pomóż mi pokonać tych ludzi z południa, powstrzymać tę kobietę i jej statek.

- Cóż, mógłbym to zrobić - powiedział Echegorgun po namyśle.

Przyjął dziwną, skuloną pozycję, obejmując wielkimi dłońmi bosc stopy.

- Jak? Czy ostrzegłbyś Branda? Czy... walczyłybyś po naszej stronie? Byłbyś niezwycięzonym wojownikiem, gdybyśmy dali ci żelazo.

Echegorgun potrząsnął olbrzymią głową.

-Nie uczynię żadnej z tych rzeczy. Ale mógłbym szepnąć słowo orkom. Są bardzo na ciebie zawzięte. Jeśli będą myśleć, że cię zabiłem, może zechcą mnie wysłuchać. To obce orki, oczywiście. Nie oszukiwałbym swoich sąsiadów.

Rozdział dwudziesty trzeci

J3runo, Haupritter von des Lanzenordens, stał przed frontem ustawionych w dwuszereg, zakutych w zbroje rycerzy, którzy zastygli nieruchomo w postawie na baczność, z pochylonymi pikami, tak jak ich tego nauczył. Śledzili przebieg odbywającej się kilkaset jardów dalej ceremonii. Zobaczyliby więcej, gdyby mogli podejść nieco bliżej, lecz nikt nie potrafił stwierdzić, czy krajowcy nie uznajętego za próbę ingerencji w ich uświęcone zwyczaje. Bruno nie miał nic przeciwko ingerowaniu w barbarzyńskie rytuały krajowców, nie był to jednak właściwy po temu czas.

Z gardeł tysięcy ludzi, zgromadzonych wokół obrzędowego kręgu Gotów, wydobył się donośny ryk, któremu towarzyszył szcęk włóczni, mieczy i toporów, uderzających o tarcze.

- Co to znaczy? - mruknał ktoś z drugiego szeregu. - Podjęli decyzję?

- Cisza w szeregach - rzucił Bruno, chociaż bez gniewu. W Lanzenorden istniało ugruntowane przekonanie o, teoretycznej przynajmniej, równości wszystkich jego członków, którym nie narzucano surowej dyscypliny, jaka panowała w chłopskich armiach. - Tak, spójrzcie, mają króla. Habeunt regem - dodał, parodiując słowa, towarzyszące elekcji papieża.

Ponad tłum wyrosła jakaś postać, machając gwałtownie rękami.

Człowiek, podniesiony na tarczy przez wiernych stronników. Kiedy złapał wreszcie równowagę, rozejrzał się wokół, dobył miecza i wykrzyknął swoje imię oraz tradycyjną formułę proklamacji.

- Jestem królem Gotów. Kto temu zaprzeczy?

Zapadła cisza, a potem znów rozległ się szcęk broni. Jeszcze tydzień temu kilku pomniejszych wodzów z pewnością by zaprzeczyło. Lecz gdyby rozstrzygano tę kwestię zbrojnie, lud Gotów straciłby większość swoich przywódców, zarówno możnych, jak i potomków bogów. Zatem przez wiele dni wiec, Gautalagathing, thing tych, którzy rządili się prawem Gotów, przypominał huczący ul. Krążyli posłańcy i najróżniejsze pogłoski, deklarowano poparcie i wycofywano je, zawierano umowy i składano obietnice. W tej chwili wszystko zostało rozstrzygnięte. Aż do następnej rozgrywki o władzę.

Tłum zaczął się rozchodzić, uczestnicy wiecu ruszyli w stronę obracających się na roznach wołów i wielkich beczek z piwem, które nowy król wliczył w koszty swojej elekcji. Germańscy Ritters przyglądali się im z zazdrością, a zarazem z pogardą. Bruno postanowił przetrzymać swoich ludzi na baczność trochę dłużej, aby mieć pewność, że nikt nie przyłączy się do uczujących i nie da się wciągnąć w bijatykę.

W ich kierunku zmierzał kościsty, odziany na czarno Anglik, Erkenbert. Kiedy podszedł bliżej, Bruno spostrzegł, że blada twarz diakona jest zaczerwieniona z emocji, serce zabiło mu więc żywiej.

Anglik trzymał w ręku jedną ze swych nieodłącznych list.

- Myślisz, że odgadłeś? - spytał Bruno, gdy tylko tamten znalazł się w zasięgu głosu.

- Tak. Przy namiotach spotkałem pewnego starca. Jest zbyt sędziwy, żeby uczestniczyć w elekcji, lecz nie na tyle stary, by niczego sobie nie przypominać. Brał udział w najeździe na Hamburg.

Więcej, był wśród tych, którzy złupili katedrę. Dobrze ich zapamiętał- bardzo dobrze, ponieważ nadal uważa, że został oszukany przy podziale łupów. Wyliczył mi wszystkich obecnych tam wodzów, spośród których siedmiu miało pod swymi rozkazami więcej niż tuzin okrętów, jak twierdzi. A teraz rzecz najważniejsza. O sześciu z nich trochę już wiemy, i wynika z tego, że nie pasują.

- Więc musi to być siódmy?

- Na to wygląda. Nazywa się Bolli. Jest jarlem Trondów.

- A kim, do diabła, są Trondowie? Tkwią w tym zapomnianym przez Boga kraju już od pół roku, poznałem więcej plemion i królów, niż mój ojciec ma świń w chlewie, ale nigdy dotąd nie słyszałem o Trondach.

- Żyją na dalekiej Północy - odparł Erkenbert. - Na Północnej

Drodze, gdzie starają się utrzymać w swych rękach handel futrami.

- Mogą sobie żyć gdzie chcą - mruknął Bruno - ale gdyby miał się wśród nich objawić nowy król albo przyszły cesarz, do tej pory już byśmy o nim usłyszeli. Zaczynam się zastanawiać, czy nasze założenie nie było błędne, lub czy świętobliwy Rimberty też się czasami nie myli? Może nie ma żadnej Świętej Włóczni?

- A może leży gdzieś w skarbcu, zapomniana.

Erkenbert po raz pierwszy zobaczył na twarzy Bruna wyraz zważenia i przygnębienia.

- Bez przerwy mnie to nurtuje - powiedział Bruno. - Ty mówisz, że Włócznia jest w Norwegii. Lecz wiosną, kiedy wyruszaliśmy, w Hedeby w Danii wszyscy mówili tylko o tym, że niebawem rozegra się na Północy wielka walka o władzę. A my jesteśmy tu, objeżdżamy prowincjonalne zgromadzenia w Szwecji.

- W Gotlandii - poprawił Erkenbert.

- Co za różnica. Poszedłem w złym kierunku.

Erkenbert położył dłoń na potężnym ramieniu strapionego rycerza.

- Kogo Bóg kocha, tego doświadcza - powiedział. - Pomyśl o królu Dawidzie na pustyni. Pomyśl o uwięzionym w młynie Samsonie, który w końcu zburzył wielką świątynię Filistynów. Bóg może sprawić cud, kiedy zechce. Czyż nie wyprowadził Józefa z niewoli u Potifara, a Daniela z jaskini lwów? Powtórzę ci święte słowa, które winienesz zapamiętać: Qui perseravabit usque ad finem, Ule sahabitur. Kto wytrwa do końca, zbawion będzie. Zważ jednak, do końca. Nie: prawie do końca.

Twarz Bruna rozpoznała się z wolna. Uścisnął serdecznie dłoń

Erkenberta.

- Dziękuję ci - powiedział. - Dziękuję. Mądre to słowa. Dowiemy się czegoś więcej o tych Trondach. A poza tym ufam, że Bóg wyznaczył mi jakieś zadanie, skoro posłał mnie do tej ziemi.

Hrorik, król Hedeby, skubał z zadumą brodę, słuchając meldunków swoich zwiadowców.

- Na pewno Ragnarssonowie? - spytał.

- Na pewno. Udało nam się podejść na tyle blisko, że widzieliśmy Kruczy Sztandar.

- Te sukinsyny rozwijają go tylko wówczas, kiedy są razem. Cóż, teraz w każdym razie jest o jednego drania mniej. Sto dwadzieścia okrętów, powiadacie, i wylądowali na wybrzeżu naprzeciwko Sylt?

- Hrorik zamyślił się. - Tak, Ragnarssonowie. To kiepska wiadomość, ale mogło być gorzej. Najpierw muszą przedostać się przez bagna, a potem sforsować nasze solidne drewniane wały.

Znam ich tarany i wszystkie sztuczki, których nauczyli się od ojca. Myślę, że uda nam się ich powstrzymać.

Jeden ze zwiadowców odchrząknął.

- Obawiam się, że to jeszcze nie wszystkie złe wieści, panie.

Katapulty. Widzieliśmy, jak je wyladowują. Całkiem spore, ważą przynajmniej tonę, sądząc na oko. Trzy albo cztery.

Na twarzy Hrorika ponownie odmalował się niepokój.

- Katapulty! Jakiego rodzaju? Miotacze kamieni, o których tyle słyszeliśmy, czy miotacze oszczepów, czy jeszcze jakieś inne?

- Nie wiemy. Nie widzieliśmy ich w działaniu. Słyszeliśmy tylko różne opowieści, podobnie jak ty. Głównie od ludzi, których oni pobili.

- Niech Thor czuwa nad nami! Dlatego właśnie potrzebujemy kogoś, kto zna się na tych rzeczach.

Tu wtrącił się komendant portu, jarl Hrorika, obecny przy tej rozmowie.

- Chyba mogę ci pomóc, panie. Otrzymałem wczoraj wiadomość od jednego z kapitanów. Powrócił z Gula, z thingu. Mówi, że było tam sporo zamieszania - opowiem ci innym razem. Ale na koniec wyjawiał mi, że nasi ludzie zwerbowali dwóch Anglików i płynąz nimi na południe. Anglików - dodał z naciskiem. - To prawdziwi znawcy. Ci sami, którzy pokonali Wara, a także króla Franków. Statek powinien tu dotrzeć za kilka dni.

- To dobrze. Zanim Sigurth przeprawi swoją węzową dupę przez bagna, ci ludzie zbudują dla nas maszyny, które zniszczą jego katapulty. To bardzo dobrze. Ale nie zaniedbujmy też innych możliwości. Jeśli Ragnarssonowie wyladowali na zachodnim wybrzeżu, to wschodnie wybrzeże jest czyste. Więc wyślemy statki do króla Arnodda oraz do króla Gamliego i poprosimy ich o każdą pomoc, jakiej mogą nam udzielić. Pozbądźmy się Ragnarssonów, a wszyscy będziemy spać spokojnie.

- Pozbądźmy się Ragnarssonów - powiedział komendant portu a może przyjdzie czas, by Dania miała tylko jednego króla.

- Ale nie powtarzaj tego nikomu - przykazał Hrorik.

O wiele dni żeglugi na północ, z dala od nadciągających burzowych chmur, które miały przesądzić o losach wielu królestw, Shef i Cuthred przycupnęli nieruchomo w cieniu skały. Dwa razy znaleźli sobie miejsce, będące ich zdaniem doskonałą kryjówką. Dwa razy Echegorgun kazał im stamtąd wyjść, mrucząc coś w swoim dziwnym języku.

- Wy, Chudzielcy - powiedział w końcu - nie potraficie się kryć.

I nie umiecie patrzeć. Mógłbym przejść ulicami waszego miasta w biały dzień i też byście mnie nie zobaczyli.

Shef nie uwierzył mu, ale musiał przyznać, że Ukryty Lud posiadał niebывalą umiejętność znikania z oczu, zarówno w dzień, jak i w nocy, lub w bladym półmroku, który nadszedł właśnie po kolejnym, długim dniu snu i oczekiwania.

Echegorgun stał po kolana w wodzie na skraju małej zatoczki.

Przyprowadził ich tutaj prawie niedostępnymi ścieżkami. Część drogi ludzie przebyli na czworakach, podtrzymywani przez Echegorguna lub Miltastaray, a czasem po prostu przenoszani z miejsca na miejsce, lecz i tak kilka razy o mało nie spadli. Wreszcie, kiedy zdołali jako tako się ukryć, Echegorgun polecił im siedzieć bez ruchu i patrzeć, co potrafi prawdziwy człowiek Północy. Mieli zobaczyć coś, czego bezwłosa istota nie ma okazji oglądać zbyt często: jak

Prawdziwy Lud rozmawia ze swymi krewniakami, orkami.

W tej chwili Echegorgun wpatrywał się w otwarte morze. Stojąca wyżej Miltastaray trzymała straż na wypadek, gdyby pojawiły się w pobliżu jakieś łodzie, przewożące ludzi lub mięso pomiędzy miejscem rzezi wielorybów a zagrożonym domem Branda na Hrafnsey. W jednej ręce Echegorgun dzierżył długą, dziwacznie zakrzywioną łopatę, wyciętą pracowicie kamiennymi narzędziami z pnia górskiej osiki. Jej wewnętrzną powierzchnię zdobiły osobliwe zakrętasy. Echegorgun wznosił ją wysoko ponad głowę, dopiero teraz widać było w całej okazałości jego nieprawdopodobnie długie ramię. Nagle z całej siły uderzył łopatą w gładką powierzchnię morza. Dźwięk zdawał się rozbrzmiewać od horyzontu po horyzont, a fale wzburzyły spokojny dotąd bezmiar Atlantyku. Echegorgun uderzył jeszcze raz. I jeszcze raz. Dwaj skuleni mężczyźni zastanawiali się, jak daleko odgłos ten mógł nieść się po wodzie. I jak głęboko pod wodą.

Po pewnym czasie Echegorgun zawrócił i ostrożnie położył łopatę na urwistym brzegu. Wziął za to inny przedmiot, długą, stożkową trąbę, wykonaną ze zwiniętej i sklezionej kory brzozonej.

Wszedł głębiej w wodę, tym razem po pas, zatrzymując się na niewidocznym wyniesieniu gruntu. Cieńszy koniec trąby przyłożył sobie do ust, wylot zaś zanurzył w wodzie.

Z miejsca, gdzie przycupnęli, nawet w wątlej poświacie Shef widział, jak napinają się potężne plecy, niczym miechy w kuźni, kiedy Echegorgun zaczerpnął głęboko powietrza. A potem zadał.

Żaden dźwięk nie dotarł do ludzi na brzegu, ale po kilku chwilach powietrze jakby zadrzało, zmaćcone cichą wibracją. Czyżby powierzchnia morza też zafalowała do wtóru? Shef nie potrafił tego stwierdzić, choć wpatrywał się w półmrok swym jedynym okiem.

Ale nie miał wątpliwości, że również pod wodą wszczął się ogromny niepokój.

Echegorgun nie przestawał trąbić, dał, a jednocześnie, sobie tylko wiadomym sposobem, wciągał do płuc powietrze. Shef nie był pewien, ale niejasno czuł, że dźwięki, które wygrywał Echegorgun, zmieniły się, zgodnie z jakimś nieznanym kluczem. Zastygł w bezruchu, czując jak przenika go podbiegunowy chłód, jak jego mięśnie tężeją, a zimny kamień wrzyna mu się w ciało przez spodnie.

Nie śmiał się poruszyć. Echegorgun powiedział, że przy najmniejszym hałasie przerwie próbę. "Wystarczy jeden spadający kamyk, ostrzegł. Jeżeli orki zorientują się, że je nabieram, nawet obce orki...

Już nigdy nie będę mógł pływać bezpiecznie".

Obok niego Culhred też siedział jak wrośnięty w skałę. Lecz nagle, prawie niedostrzegalnie nawet z tak niewielkiej odległości, przewrócił oczami i uniósł leciutko podbródek, coś pokazując. Pomiedzy brzegiem a skalistymi wyspami ukazała się stercząca pod kątem prostym płetwa orki. Zbliżała się ku nim wolno, rozważnie. Od czasu do czasu pojawiała się również głowa, a także fontanna wody, biała na tle szarych skał. Orka przeprowadzała rozpoznanie. Dalej, dużo dalej, w ślad za zwiadowcą podążała reszta stada.

Płetwa niespiesznie podpłynęła bliżej. Echegorgun zaczął oddychać znacznie spokojniej, jakby wyciszał podwodne dźwięki. Dał teraz w szybszym, bardziej zróżnicowanym rytmie. Płetwa zrównała się z nim, orka przepłynęła wzdłuż brzegu i powoli zawróciła.

Od czasu do czasu łypała okiem na dziwne, szare stworzenie, stojące po pas w wodzie. Na samą myśl o tym, co może się stać, Shefowi ścierpła skóra. Jedno kłapięcie szczęk, jedno uderzenie ogonem i Echegorgun straci grunt pod nogami, albo nawet i nogi. Mimo jego potężnej budowy, orka poradziłaby sobie z nim równie łatwo, jak z foką. Żadne stworzenie nie było bezpieczne w wodzie, jeśli w pobliżu pływały orki: ani mors ze swymi wielkimi kłami, ani polarny niedźwiedź, ani nawet olbrzymie wieloryby, które mieczniki rozrywały żywcem na kawałki.

Echegorgun ostrożnie położył trąbę na skałę. Potem zanurzył się z wolna, póki jego ramiona i głowa nie zniknęły pod wodą, i zaczął płynąć. Orka obserwowała go, usuwając mu się z drogi. Ludzie na brzegu widzieli niewiele, tylko to, co odbywało się ponad powierzchnią. Po chwili jednak stało się jasne, że Echegorgun odgrywa coś w rodzaju pantomimy. To zdawał się naśladować ruchy orki, to znów płynącego człowieka. Raz, o ile wzrok nie mylił Shefa, wystawił stopy z wody i upadł raptownie: łódź wywrócona do góry dnem?

Orka przyłączyła się do niego, przez jakiś czas płynęli razem, poruszając się z prędkością niewiarygodną jak na człowieka, zupełnie przeciętną jak na orkę.

I nagle płetwa skrzyła, potężny ogon uderzył dwukrotnie o wodę, jakby na pożegnanie. Inne płetwy, krążące tam i z powrotem wzdłuż wybrzeża, też zawróciły w tej samej chwili. Całe stado ruszyło na otwarte morze z pełną prędkością, obłe cielska wznosiły się łukiem ponad wodę w skomplikowanym tańcu, jakby w uniesieniu. Pędziły na południe, ku Hrafsey.

Echegorgun pozostał w wodzie dopóki nie zniknęły, płynając tam i z powrotem po zatoce, a Shef widział jedynie jego ramiona i głowę oraz słaby ślad w miejscu, gdzie stopy dotykały powierzchni. Z daleka nietrudno było wziąć go za fokę. W końcu zawrócił, podpłynął do brzegu, wdrapał się na skały i otrząsnął z wody jak pies.

- Zrobione - powiedział w języku Północy. - Wychodźcie, Chudzielcy. Powiedziałem im, że ten, który zranił ich przywódcę, nie żyje. Spytały, co z tym drugim, tym, którego ścigają. Także nie żyje, odparłem. Wydawały się rozczarowane. Nie było trudno im wytłumaczyć, że na statku znajdują więcej swoich wrogów. Na wielkim statku, który właśnie płynie do Hrafsey. Poradzą sobie z nim bez trudu, tak powiedziały.

- Właśnie płynie do Hrafsey? - powtórzył Shef. - Jak się tam dostaniemy?

- Jest droga - powiedział Echegorgun. - Żaden Chudzielec by jej nie znalazł, ale mogę wam ją pokazać. I powiem jeszcze jedno: orki nie odróżniają jednego Chudzielca od drugiego. A w dodatku specjalnie im na tym nie zależy. Każdy, kto wypłynie dzisiaj w morze, sporo ryzykuje.

- Pokaż nam to przejście - poprosił Shef. - Przysięgam, że odwdzięczę ci się za wszystko. Nawet gdybym musiał zostać królem również i tego kraju.

Załoga dwumasztowego statku, płynącego pod częściowo zwiniętymi żaglami w kierunku zatoki Hrafnsey, miała za sobą długą podróż wzdłuż norweskich wybrzeży, podczas której nauczyła się obchodzić z nieznaną bronią i nietypowym takielunkiem. Na pokładzie znajdowali się głównie ludzie z Agdiru, rodzinnego kraju królowej Ragnhildy. W ogólnym zamięszeniu, spowodowanym nagłą śmiercią Halvdana i przejściem władzy przez Olafa, jeden z kapitanów floty zmarłego króla zdecydował, że uczyni najroztropniej, pozostając przy Ragnhildzie, i oddał swój statek pod jej rozkazy.

Większa część jego załogi była innego zdania i zdezerterowała, a jej miejsce zajęli ludzie Ragnhildy. Wraz z nimi zjawił się Valgrim

Mądry, zawiedziony w swych rachubach na podporządkowanie sobie kolegium Drogi i pałający chęcią zemsty na człowieku, który pokrzyżował jego plany. I nie tylko jego. Valgrim pragnął również sprowadzić Drogę i swych zbłąkanych towarzyszy z powrotem na prawdziwą ścieżkę Odyna, wiodącą ku zwycięstwu, nie zaś ku klęsce w dniu Ragnarok. On i jego stronnicy zbudowali katapulty i wyszkolili ich załogi. One też pragnęły wziąć odwet za porażkę w fiordzie Gula.

Lecz główną siłą, popychającą do czynu ich wszystkich, kapitana, załogę, a także Valgrima, była nienawiść, jaką królowa Ragnhilda darzyła człowieka, który zabił jej syna, a w każdym razie stał się przyczyną jego śmierci. A także skradł szczęście, za które dała w zastaw własne życie. Ragnhilda bez mrugnięcia powieką patrzyła, jak jej teściowa, królowa Asa, wstępuje na szafot, i bez chwili wahania otruła swego męża, króla Halvdana. Pewnego dnia, kto wie, może z jej łona zrodzi się nowy królewski ród. Ale przedtem ten angielski żebrak, którego uwiodła, ukryła i zamierzała wykorzystać dla dobra swego syna, musi odejść do krainy Hel, by służyć tam jej synowi przez wieczność.

Gdy wielki okręt wojenny zbliżył się do Hrafnsey, celu swej podróży, zmienił kurs, i zamiast nadal płynąć przy brzegu, skierował się na otwarte wody Atlantyku. Niezbyt daleko jednak, nie na tyle, by stracić z oczu ląd, ku któremu zawrócili ponownie, gdy zaledwie kilka mil dzieliło ich od nieświadomej swego losu ofiary. Tam przyczaili się za bezludną wysepką, jedną z tysięcy rozrzuconych wzdłuż wybrzeża, nie zauważeni przez nikogo. A przynajmniej przez żadnego z ludzi.

Sami nie mogli się jednak uskarżać na brak najświeższych informacji. Kiedy skończyła się rzeź wielorybów, dla ludzi z Helgolandu zaczęła się prawdziwa praca. Przede wszystkim należało pociąć tusze i zasolić tyle mięsa, ile się tylko da. Jeszcze ważniejsze było ustawienie na plaży kotłów i ściągnięcie tranu, po czym rozpoczynała się żmudna praca wytapiania wielorybiego łoju, wprost niezastąpionego do lamp, do ogrzewania chat, a nawet do jedzenia podczas długich zimowych nocy. Rozpalanie pod kotłami nie stanowiło większego problemu. Kiedy łów był już oddzielony od tranu, pozostałe w kotle resztki służyły jako opał przy następnym wytopie.

Natomiast na całym wybrzeżu Helgolandu nie wystarczyłoby zapewne baryłek, aby pomieścić taki zalew wszelakich dóbr, związany z przybyciem stada. Łodzie krążyły we wszystkich kierunkach,

zabierając pełne baryłki, holując za sobą całe sznury pustych, przywożąc pilne wezwania o pomoc. Jedna z łodzi z dwuosobową załogą zabłąkała się w pobliże fiordu, gdzie czekał okręt Ragnhildy, i została natychmiast zagarnięta przez wysłaną z niego szalupę.

Ludzie Północy na ogół (z wyjątkami w rodzaju Ivara Bez Kości lub jego ojca Ragnara) nie dręczą się nawzajem, chociaż bywają okrutni w stosunku do niewolników. Kiedy więźniowie znaleźli się na pokładzie, Ragnhilda oświadczyła im wprost, że mają do wyboru dwie możliwości: albo zostaną natychmiast ścięci, albo opowiedzą jej, jak wygląda sytuacja na Hrafnsey. Rybacy zdecydowali się mówić. Ragnhilda знаła więc topografię zatoki, włączając w to położenie katapult i obu długich łodzi. Wiedziała również, że połowa mężczyzn z okolicy wciąż zajęta jest wytapianiem tranu na plaży, a reszta pada z nóg po wielu godzinach ciężkiej pracy i wiosłowania pomiędzy plażą a zatoką. Nie wiedziała tylko, że Shef i Cuthred zniknęli z wyspy. Jej więźniowie po prostu tego nie spostrzegli, zaprzętnięci zupełnie innymi sprawami.

Zauważyli natomiast i powiedzieli jej o czymś innym, mianowicie o tym, że Brand, rozpaczliwie potrzebujący ludzi, odwołał Anglików z ich posterunków przy katapultach i skierował do pracy na przystani, podobnie jak Szwedów Guthmunda, wobec ich oczywistej nieprzydatności do wszystkiego, co ma jakikolwiek związek z wielorybami. Słuchając jednym uchem protestów Cwicci i Osmoda, którzy domagali się podjęcia poszukiwań ich pana, Shefa, Brand wysłał wartownika na wysunięty cypel zatoki i polecił mu dać w róg, gdyby w pobliżu pojawił się jakiś podejrzany statek. Wartownik usadowił się na miękkiej darni, oparł plecami o skałę i natychmiast zasnął.

Okręt Ragnhildy, "Żuraw", wpłynął do zatoki Hrafnsey na kilka chwil przed tym, jak pierwsze promienie brzasku rozświetliły blade niebo, i nie napotkał najmniejszego oporu. Jego wzmocniona, gotowa do akcji załoga liczyła stu dwudziestu ludzi. Trącałi się nawzajem łokciami, ujrawszy na tle jaśniejącego nieba masywne cielska katapult, nie obsadzonych i niegroźnych.

Brand, który na przystani doglądał rozładunku kolejnej partii baryłek z pokładu swego "Morsa", niczego nie zauważył, aż do chwili, gdy nad wodą zafurkotał pierwszy kamień z katapulty.

Został wystrzelony z nieubłaganą celnością. Załoga "Żurawia" miała dosyć czasu na ćwiczenia i pod dostatkiem okrągłych kamieni. Pocisk, który miał do przebycia odległość zaledwie dwustu jardów, tyle bowiem dzieliło cypel od przystani, ugodził "Morsa" prosto w dziobnicę. Dziobnica złamała się, a osadzone w niej deski odskoczyły na boki. Gdyby statek płynął w tej chwili pod żaglami, poszedłby na dno jak kamień. Teraz zakołysał się tylko i osiadł łagodnie na skałach na głębokości dziesięciu stóp. Jego maszt wciąż sterczał ponad wodą.

Brand przyglądał się temu z otwartymi ustami, nie mogąc pojąć, co się dzieje. Drugi głaz roztrzaskał pomost kilka stóp od niego, a pół tuzina ludzi wpadło do wody. W tej samej chwili na ciemnym pokładzie "Żurawia" rozblęsnął płomień. Załoga miotacza oszczepów też chciała zrobić użytek ze swych ognistych pocisków. Kiedy składali się do strzału, stanęła obok nich Ragnhilda.

- Spokojnie - wycodziła. - Spokojnie. Celujcie w tę wielką beczkę. Z pewnością tym razem uda wam się trafić.

Obrócili nieco swoją broń, raz jeszcze wycelowali i zwolnili dźwignię blokującą. Płonący oszczep poszybował nad wodą, wlokąc za sobą smugę ognia. Uderzył w baryłkę wielorybiego łaju, wyladowaną przed chwilą z pokładu zatopionego "Morsa". Ognisty słup wzbił się w niebo, zalewając wszystko oślepiającym blaskiem. Ludzie na brzegu zamienili się momentalnie w czarne

cienie, krzyczące i biegające w popłochu. Niektórzy rzucili się gasić ogień, inni ruszyli po broń. Anglicy mieli przed sobą długi bieg wokół zatoki, aż na cypel, gdzie czekały ich porzucone katapulty.

Kapitan Ragnhildy uśmiechnął się na ten widok z zadowoleniem.

Miał na imię Kormak, był synem Irlandki i posiadał niemałe doświadczenie, zdobyte na nie kończących się irlandzkich wojnach.

Wiedział, kiedy przeciwnik traci inicjatywę.

- Płyniemy do przystani - rozkazał. - Wy tam, przy miotaczu kamieni, zatopić drugi duży statek, ten szwedzki. Miotacz oszczepów, podpalić resztę beczek, potem budynki. Bosmanie, każ zwinąć żagle, wybierz dwudziestu ludzi do wiosel i cofnij statek o sto jardów, gdy tylko zejdziemy na ląd. Nie chcę, by ktoś próbował wdrzeć się na pokład "Żurawia" kiedy będziemy zajęci czym innym. Wszyscy pozostali, dobijamy do przystani i idziemy prosto do wioski.

-! pamiętajcie - zawołała Ragnhiida - o jednookim. Sześć złotych bransolet na ramię za jednookiego.

Stojący za nią Valgrim zważył w dłoni włócznię "Gungnir", którą dostał od Steina, a Stein znalazł na brzegu, tam, gdzie rzucił ją

Shef. Dobra broń, pomyślał. W sam raz, by wytoczyć krew bluźniercy.

W niezbyt wielkiej odległości, ale i tak za daleko, Shef ujrzał rozświetlającą niebo lunę. Znajdował się na stałym lądzie, zaledwie ćwierć mili od wybrzeży wyspy Hrafnsey. Cóż z tego, skoro nie miał łodzi. Nigdy by nie uwierzył, że zdołają dotrzeć tu tak szybko.

Lecz Echeorgun, Miltastaray i towarzyszący im Ekwetargun poprowadzili ich ścieżkami, których nie znalazłyby nawet kozy, a potem, zdumiewająco łatwym do pokonania zboczem, wprost na brzeg, do miejsca, gdzie teraz stali. Chociaż dwa dni temu wiosłowali przez wiele godzin, by przebyć tę drogę, teraz musieli przejść zaledwie pięć mil, ponieważ przecięli podstawę półwyspu.

- Jak się tam dostaniemy? - spytał.

- Wpław? - zaproponował Echeorgun.

Shef zawahał się. Ćwierć mili to wprawdzie niedaleko, ale woda z pewnością była przeraźliwie zimna. A poza tym - nie potrafił zapomnieć o orkach.

Cuthred trącił go łokciem i wyciągnął rękę. W blasku płonącej na niebie łuny ujrzeli czarną plamkę wielorybniczej łodzi, najpierw jedną, potem następne; wszystkie płynęły od strony plaży. Przewoziły napełnione baryłki albo wracały po świeżą wodę.

- Mnóstwo Chudzielców - powiedział Echeorgun. - Pójdziemy już. Nie mów o nas nikomu, z wyjątkiem mojego kuzyna Branda. Pamiętaj tylko, że jeśli wypłyniesz w morze łodzią, w ogóle z nikim już nie porozmawiasz.

- Zaczekaj! - powstrzymał go Shef. - Czy możesz mi powiedzieć, gdzie są orki?

Echegorgun pokiwał głową.

- Słyszę je w wodzie. Wiem. Są wejścia do zatoki, śledzą obcy statek. Niezadowolone. Woląby przewracać małe łodzie niż taranować wielki statek. Nie wypływaj łodzią.

- Czy możesz nas zawiadomić, kiedy wpłyną do zatoki? Żebyśmy mogli bezpiecznie się przeprowić?

Echegorgun parsknął z powątpiewaniem.

- Usłyszycie głos nurkującego morsa, wtedy wiosłujcie. Przeprowajcie się szybko. - W następnej chwili zniknął, jego ogromna postać jakby wtopiła się w skałę.

- Głos nurkującego morsa? - mruknął Cuthred. - A może czkającego anioła, dlaczegóż by nie...

Shef zignorował go. Wszedł na najwyższą skałę w okolicy i zaczął zataczać szerokie półkola wzniesioną ponad głowę włócznią.

Niebawem spostrzegła go załoga pierwszej łodzi, zawahała się i podpłynęła do brzegu.

- Zatrzymajcie inne łodzie - powiedział Shef. - Róbcie, co mówię. Wiem, że wyspa została zaatakowana. Musimy zjawić się tam wszyscy razem, a nie małymi grupami.

Łodzie zebrały się wreszcie, było ich dziewięć lub dziesięć, i może czterdziestu lub pięćdziesięciu ludzi, śmiałych i doświadczonych żeglarzy, ale bez zbroi i bez broni, jeśli nie liczyć kilku długich włóczni, siekier oraz rzeźnickich noży.

- A teraz posłuchajcie mnie bardzo uważnie - powiedział Shef. Po pierwsze, u wejścia do zatoki czekają orki, a nie chcielibyśmy wpaść w sam środek stada. Po drugie, będziemy wiedzieli, kiedy orki wpłyną do zatoki...

By zagłuszyć szmer niedowierzania, jaki przywitał jego słowa, Shef uderzył końcem włóczni w skałę i podniósł głos.

Kormak zastosował wobec ludzi z Hrafnsy mniej więcej tę samą metodę, jaką oni rozprawili się z wielorybami. Z rozmysłem wzmagał napięcie, by wpadli w popłoch, choć wiedział, że w ich przypadku objawem paniki będzie szaleńczy atak. Kiedy "Żuraw" zbliżał się do przystani, jego muł nie przestawał strzelać, a każdy kamień zmiatał z powierzchni ziemi kolejny dom. Ogniste pociski trafiały w drewno i olej, zmieniając całą osadę w morze płomieni. Zabitych i rannych było niewiele, siła bojowa obrońców pozostała nieuszczerplona. Ale nie miał czasu nawet pomyśleć o obronie. Poza tym, kiedy Brand zobaczył, jak tonie jego ukochany Mors jak ogień pochłania jego zimowe zapasy i składy towarów serce omal nie pękło mu z rozpacz. Nie wdział kolczugi, nie poprowadził ludzi. Stał pośród płomieni z bolesnym grymasem na twarzy ścisnął w dłoni swój topór, "Walecznego Trolla", i czekał, aż napastnicy zejną na ląd.

Kiedy "Żuraw" dotknął burtą przystani, ludzie Kormaka wysypali się na brzeg i ustawili sprawnie w sześć rzędów, tworząc długi opancerzony mur. W tej samej chwili Kormak pochylił się i szepnął coś do swego bosmana. Z pokładu zeskoczyło jeszcze dwóch ludzi, którzy rozciągnęli wzdłuż pomostu linę i przywiązali jej końce do drewnianych wsporników.

Kormak przepchnął się do środka pierwszego szeregu, postąpił jeszcze dwa kroki i zwyczajem wikingów uformował kolumnę w wąski klin. Pomaszerowali z krzykiem naprzód. Kormak czekał na desperacki kontratak, który powinien niebawem nastąpić.

I doczekał się. Brand, widząc postać kroczącą pewnie na czele kolumny, zapomniał o wątpliwościach i lękach, które dręczyły go od czasu pojedynku z Ivarem. Wzniósłtopór i pobiegł, gnany wściekłością i poczuciem straty. Za nim, bezładną gromadą, ruszyli ludzie z Hrafnsey, z taką bronią, jaka wpadła im w ręce.

- Potężny gość - mruknął Kormak do swych towarzyszy w szeregu.

Zasłonił się tarczą i wykrzyknął obelgę, którą zagłuszył ryk płomieni.

Kiedy Brand zbliżył się na dostateczną odległość, ukryty w cieniu bosman napiął linę. Ziemia uciekła Brandowi spod stóp, runął jak długi, aż pomost zatrzęsł się pod jego ciężarem. Z dłoni olbrzyma wypadł "Waleczny Troll". Brand z rykiem zaczął się podnosić, ale w tym samym momencie Kormak uderzył go w skroń, wkładając w ten cios wszystkie siły. Brand potrząsnął głową, lecz nadal usiłował wstać. Kormak, nie wierząc własnym oczom, raz jeszcze zamachnął się płóciennym workiem, wypchanym ołowianymi kulkami. Tym razem olbrzym legł bezwładnie na deskach.

Biegący za nim ludzie zawahali się, niektórzy zdążyli już wpaść na linę. Dwaj biegli dalej, póki nie padli pod gradem oszczepów.

Reszta przystanęła, poszła w rozsypkę i wycofała się pospiesznie w stronę płonącej wioski.

- Związać go! - rzucił Kormak. Poprowadził swych ludzi dalej, zamierzał przegnać resztki obrońców, zabezpieczyć teren, zagarnąć łodzie, żywność i broń. Potem przyjdzie czas na ściganie uciekinierów. Żałował tylko, że jednooki nie zaatakował razem z Brandem.

Ragnhilda będzie się niecierpliwić.

Angielscy wyzwoleńcy, zatrudnieni przy wyładunku na przystani, rzucili się do ucieczki zaraz po pierwszym strzale. Nie mieli ani broni, ani ochoty, by walczyć w obronie wioski. W mroku rozświetlanym blaskiem pożarów biegli, dysząc ciężko, w ślad za Cwiccą.

- Nie powinien zabierać nas od muła - rozległ się w ciemnościach czyjś głos. - Wiedzieliśmy, że się zjawia, mówiliśmy mu, ale nie, musiał...

- Zamknij się - przerwał mu Cwicca. - Jak już tam dotrzemy, obrócimy muła i postrzelamy sobie w ten ich statek. Wrócą na pokład pędem.

- Niedobrze - powiedział Osmođ. - Spójrz.

Wskazał na szalupę "Żurawia", pełną uzbrojonych ludzi, która płynęła właśnie po wodach zatoki, kierując się w stronę dwóch porzuconych katapult. Kormak też o tym pomyślał.

Kormak nie pomyślał natomiast o orkach. Stado od dawna podążało za "Żurawiem", gotowe do ataku, ale przywódca jeszcze zwlekał. Dokładnie wyczuwał kadłub "Żurawia" i wiedział, że to

największy statek, z jakim do tej pory miał do czynienia. Gdyby staranował go głową, może okręt nabrałby wody i zatonął. A może nie.

Rana, którą zadał potężnemu samcowi Cuthred, rozzłościła go, lecz jednocześnie uczyniła ostrożnym. Wolałby inną zabawę. Chciałby wyrócić łódź jak krę lodową, dopaść znajdujących się tam ludzi i rozszarpać ich niczym lekkomyślne foki. Zwlekał więc, a wraz z nim jego stado, krążąc tam i z powrotem u wejścia do zatoki, śledząc nie tylko "Żurawia" i całe zamieszanie na wyspie, lecz również bardzo nęcące wielorybiczne łodzie, które wyczuwał u wybrzeży stałego lądu ćwierć mili dalej.

Potem usłyszał miarowe uderzenia wiosł szalupy i przestał się wahać. Przepelniony okrutną żądzą, silniejszą niż głód, ruszył w kierunku cieśniny niczym lis wkradający się do kurnika, a za nim podążyło jego stado.

- Niedobrze - powtórzył Osmód. - Dobry słodki Jezu. - Przypomniawszy sobie widać czasy dzieciństwa, uczynił odruchowo znak krzyża, by odegnać złe moce, choć najego szyi nadal wisiał młot. Nikt go nie upomniał. Zapatrzeni w szalupę, ujrzeli nagle, jak tuż obok niej wyłania się z morza ogromna płetwa, a w ślad za nią czarno-białe cielsko.

Łódź przewróciła się do góry dnem, zanim ludzie zdążyli choćby krzyknąć. Przez chwilę na powierzchni unosiły się jeszcze głowy. Potem rozpoczął się osobliwy rytuał, płetwy jedna po drugiej rozcinały wodę, jak gdyby orki atakowały wielkiego wieloryba walenia błękitnego, płetwała lub kaszalota. Orka podpływała, zaciskały się potężne szczęki, po czym orka odpływała, robiąc miejsce następnej. Lecz jeśli dorosły miecznik potrafił zaledwie zranić olbrzymiego kaszalota, to człowieka przegryzał na pół jednym kłapięciem paszczy. W kilka chwil było po wszystkim, orki zanurzyły się i zniknęły w głębinie.

- Spotkałem kiedyś taką na morzu - mruknął Karli, biały na twarzy. - Mówię wam, mogła mnie dopaść, zanim bym się obejrzał.

Płetwa była większa ode mnie. Ciekawe, jak duże są ich zęby.

Głos Cwicci wyrwał ich z odretwienia.

- Cóż, niech Thor się nad nimi zlituje. Ale spójrzcie, mamy wolną drogę do mułów. Lepiej się pospieszmy.

Ciągle nie mogąc oderwać wzroku od groźnych, oświetlonych płomieniami wód zatoki, podjęli swój bieg do machin.

Z pokładu "Żurawia" z najwyższą uwagą obserwowano atak i upadek Branda. Nikt nie zauważył zatonięcia szalupy, oprócz dwóch rybaków, przerzuconych przez burtę i przywiązanych do okrężnicy. Popatrzyli na wodę, próbując ocenić jej głębokość.

Ostrożnie, oglądając się co chwila przez ramię, podjęli wzmożone wysiłki, by uwolnić ręce.

Odcięty na stałym lądzie Shef dojrzał kolejny rozbłysk płomieni.

Ludzie w łodziach zaczęli szemrać, nie bardzo mogli uwierzyć w niebezpieczeństwo, grożące ze strony mieczników, za to bardzo chcieli zobaczyć, co dzieje się na ich rodzinnej wyspie. Z tyłu

doszedł go nagle osobliwy dźwięk, jakby przeciągłe, płaczliwe sapanie, a potem plusk uderzającego w wodę ogona.

- Co to było? - spytał.

- Tak jakby nurkujący mors - odpowiedział ktoś. - Ale to niepodobna, nie...

- W porządku - uciął Shef. Uniósł wysoko włócznię i zawołał: Teraz jest bezpiecznie, choć pewnie nie na długo. Wiosłujcie, najszybciej, jak się da, prosto na tę plażę. Nie płynicie do zatoki. Słyszycie, nie płynicie do zatoki. Ruszać!

Usadowił się na dziobie prowadzącej łodzi, Cuthred zajął miejsce na rufie. Wielorybnicy złapali za wiosła i łodzie pomknęły po gładkiej powierzchni morza. Shef rozglądał się na wszystkie strony w obawie, że lada chwila z wody wynurzą się groźne płetwy. Łodzie przebyły już połowę drogi, mieli dobrą prędkość. Kiedy zbliżyli się do brzegu wyspy, z dala od wejścia do zatoki, w odległości około pół mili od największej osady, którą z tej strony zasłaniały wzgórza, Shef poczuł, że zwalniają.

- Dlaczego nie płyniemy do przystani? - zawołał jeden z wiosłarzy.

- Wierz mi - odparł Shef. - Nie spodobałoby ci się tam.

Jego łódź zaryła dziobem w kamieniste dno, większość pozostałych również. Ludzie wskoczyli do wody, wciągnęli łodzie głębiej na brzeg, chwycili za broń, tę, którą mieli pod ręką. Jedna łódź zlekceważyła ostrzeżenia Shefa, pomknęła w kierunku zatoki i niebawem zniknęła za cyplem. Shef pokręcił ze smutkiem głową.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego... - zaczął inny malkontent.

Cuthred, którego cierpliwość nagle się wyczerpała, uderzył go w głowę rękojeścią miecza, złapał za gardło i przyciągnął do siebie.

- Rób, co mówi, i słuchaj rozkazów - warknął. - Mam powtórzyć?

Shef ustawił pięćdziesięciu ludzi w wydłużony, szeroki klin i poprowadził tak sformowany oddział. Utrzymywał szybkie tempo marszu, ale nie pozwalał im biec. Powinni oszczędzać siły, skoro mieli walczyć z dobrze uzbrojonym przeciwnikiem. Zamierzał obejść wzgórze szerokim łukiem, wyjść z ukrycia przy strumieniu, płynącym nie opodal wioski; i zepchnąć napastników z powrotem do morza. Może do tego czasu rozproszą się, aby rabować i gwałcić.

Miał taką nadzieję. Jego jedyną szansą było zaskoczenie.

Wyzwoleńcy dopadli pierwszego muła i naradzali się przez chwilę. Użyć jednego, czy obu? Nawet wliczając Karliego, nie mieli dwóch pełnych załóg.

- Na razie wystarczy jeden - podjął szybką decyzję Cwicca. Ładować.

Odchodząc, poluzowali skręcone liny. Lepiej, by nie pozostawały napięte zbyt długo. Ale korby tkwiły na swoich miejscach, więc od razu wzięli się do nakręcania. W tym samym czasie Cwicca pracował w asyście Karliego. W ciągu ostatnich tygodni wprowadzili jedno usprawnienie. Nigdy

dotąd nie udało im się obrócić maszyny bardziej, niż o kilka cali. Podczas strzelania na morzu zawsze manewrowali okrętem, nie zaś mułem. Lecz teraz, metodą prób i błędów, Udd uporał się i z tym problemem. Osadzili ciężką maszynę na małych, okutych żelazem kółkach, nie po to jednak, by ją przetrzącać, tak jak lżejszy miotacz oszczepów. Małe kółka spoczywały na większym, spoczywającym płasko na ziemi i obwiedzionym metalowym kołnierzem, który zabezpieczał muła przed spadnięciem.

Dwóch silnych ludzi mogło obecnie pochylić ważący ponad tonę ciężar na nieruchomej osi i obrócić go razem z lawetą.

Karli i Cwicca obrócili maszynę, ustawioną pierwotnie w ten sposób, by broniła dostępu do zatoki, i skierowali ją w stronę "Żurawia", który właśnie oddalał się powoli od przystani.

- Jeszcze pół kroku - mruczał Cwicca. - Do tyłu o jedną szerokość dłoni. Dobrze. Pochylić do przodu, klin pod drugi szczebel, nie, trzeci.

Pochylili maszynę do przodu, nieco w dół, ku zatoce. Liny zostały napięte, ramię wyrzutni zabezpieczone dźwignią blokującą. Cwicca umieścił trzydziestofuntowy kamień w procy i sprawdził zaczep, który w odpowiednim momencie zwalniał pętlę.

- Gotowe. Cofnąć sfę. Strzał.

Dźwignia odskoczyła, ramię wyrzutni z niewiarygodną siłą uderzyło w poprzeczkę, skórzana proca zatoczyła łuk, dodając własny impet do sprężystości skręconych powrozów. Głaz śmignął nad wodą po płaskim torze.

I chybił. Pochylili lawetę w przód tak daleko, jak się tylko dało.

Nielatwo jednak ocenić odległość przy strzale skierowanym w dół.

Kamień przeleciał nad pokładem "Żurawia" i uderzył w wodę pomiędzy okrętem a pomostem. Deszcz spadających kropli zmoczył twarz Kormaka, który wracał właśnie na przystań po zwycięskiej potyczce.

- Niech Thor nas strzeże! - zawołał. - Co z szalupą? Mieli się zająć tą maszyną. - A potem zaczął wyszczekiwać rozkazy. Najważniejszą rzeczą było bezpieczeństwo statku, wszystko inne przestawało się liczyć: wygranie bitwy, zdobycie jeńców, nawet ugłaskanie Ragnhildy.

Gdy królowa zdała sobie sprawę, że Kormak nie zamierza przetrząsać wioski, gdzie z pewnością ukrył się zabójca jej syna, by przeczeekać bitwę jak ostatni tchórz, w ataku furii rzuciła się na kapitana.

Odepchnął ją, kiedy uczepiła się jego ramienia, wrzeszcząc i kopiąc.

Przede wszystkim, uświadomił sobie, należało wycofać "Żurawia" w przeciwny kraniec zatoki, tak aby katapulty, ustawione zbyt wysoko, nie mogły go dosięgnąć. Potrzebował na statku więcej ludzi, i to natychmiast. Na kamienistym brzegu wokół przystani wciąż leżało kilkanaście łodzi. Kormak szybko wyznaczył pięćdziesięciu zbrojnych do obrony przystani, reszcie zaś rozkazał zająć miejsce w łodziach, obciążonych w ten sposób do granic możliwości. W ostatniej chwili

zawahał się, rozkazał dwóm ludziom wysiąść i zamiast nich zabrać wciąż chwiejącego się na nogach Branda, z rękami związanymi ciasno na plecach.

- Lepiej go dobrze pilnować - zauważył, wsiadając do tej samej łodzi. Znów odepchnął od siebie rozwścieczoną Ragnhildę. - Pani, wrócimy po ciebie. Jeżeli twój człowiek w ogóle tu jest, to znajduje się gdzieś na wyspie. Proponuję, byś poszukała go sama. Ruszamy - polecił wiosłarzom.

Kiedy następny kamień, wymierzony tym razem w odpływające łodzie, przeleciał nad wodą i znowu chybił, pięćdziesięciu ludzi wzięło się dziarsko do wiosła, by jak najszybciej przebyć dzielące ich od statku sto jardów.

Shef przeprowadził swój oddział przez strumień i wkroczył na jego czele do płonącej wioski. Gdy podążali jedyną błotnistą ulicą, teraz już biegnąc, spomiędzy płomieni wylaniało się coraz więcej ludzi, gotowych przyłączyć się do niego i wesprzeć tę pierwszą, zorganizowaną próbę oporu. Shef czuł, jak obmywa go fala ich dzikiego gniewu. Już nie było sposobu, aby ich powstrzymać. Cokolwiek by powiedział czy zrobił, oni i tak mieli zamiar uderzyć na napastników.

Lecz Helgolandczycy nie mieli zbroi, a jedyna tarcza w oddziale należała do Cuthreda. Przeciwnik był doskonale uzbrojony, Shef widział zwarty szereg, stojący u wejścia na przystań pewnie i bez lęku. Za chwilę będzie musiał poprowadzić atak. Jaka miał szansę go przeżyć? W środku pierwszego szeregu, wystawiony na wszystkie ciosy? Tak to już jest na tym świecie. Spróbował wzbudzić w sobie żądzę walki, jaka owładnęła nim, gdy zabił wikinga Hraniego na piaszczystej łasze. Bez skutku. Włócznia w jego dłoni zdawała się ją tłumić, raczej rozpraszać, niż skupiać. Budziła w nim żal, nie gniew. Ludzie patrzyli na niego, czekając na sygnał do ataku. Shef, gnany jakimś impulsem, machnął włócznią na boki i zatrzymał ich w miejscu.

Za murem z tarcz na przystani pokazało się wschodzące słońce, oświetliło okoliczne wzgórza i po raz pierwszy tego dnia zalało swym blaskiem wody zatoki. W jego promieniach ukazały się płetwy i zwinne cielska orka, które znów wyloniły się z głębin, ośmielone pierwszym sukcesem i zdecydowane go powtórzyć. Wielki krzyk podniósł się nad wodą, kiedy ludzie w łodziach zdali sobie sprawę, co ich czeka.

Dzielni ludzie. Niektórzy chwycili za włócznie i miecze, widząc zbliżające się, czarno-białe kształty. Valgrim Mądry, stojący na dziobie łodzi z wyrazem niedowierzania na twarzy, uniósł włócznię "Gungnir", by użyć jej jako harpuna. Za słabo, za wolno. Łodzie zostały zaatakowane spod wody. Żadna nie wytrzymała uderzenia cielska o wadze kilku ton, pędzącego z prędkością trzydziestu mil na godzinę. Mężczyźni w ciężkim rynsztunku znaleźli się w wodzie, gdzie natychmiast zaczęły ich rozrywać potężne szczęki, orki podpływały i cofały się, stosując swą ulubioną metodę, wypracowaną podczas łowów na fok i morświny. W kilka chwil zatoka zabarwiła się na czerwono. Ale tym razem krwią ludzi, nie wielorybów, krwią kapitana i jego załogi, a także Valgrima Mądrego, kapłana Odyna, złożonego teraz w ofierze zwierzętom Wszechojca.

Nikt nawet nie zauważył, jak włócznia z runicznym napisem "Gungnir" opadła łagodnie na dno: nie przyniosła szczęścia swemu ostatniemu właścicielowi.

Ludzie Shefa złamali zwarty szyk, poruszeni tym, co się dzieje.

Jeszcze nigdy nie oglądali czegoś podobnego. Widząc wahanie na twarzach przeciwników, oddział Kormaka także się odwrócił. Obie strony stały nieruchomo, porażone grozą. Ale nic nie można było zrobić.

Po dłuższej chwili Shef wystąpił naprzód i zwrócił się do człowieka, który wyglądał na dowódcę nieprzyjacielskiego oddziału.

- Złóżcie broń - powiedział. - Darujemy wam życie, nie okaleczymy was, a z czasem umożliwimy wam powrót do domu. Nie zdołacie stąd uciec. A popłynęło już dość krwi.

Poblądły dowódca spojrzął na swoich ludzi, zobaczył ich stężałe, przerażone twarze i uznał, że nie są zdolni do walki. Skinął głową, powoli odłożył miecz i tarczę. Cuthred wystąpił z szeregu, potężnymi ramionami utorował drogę Shefowi i ruszył wraz z nim na skraj pomostu, by popatrzeć na ostatni akt tragedii.

Rozległ się przeraźliwy krzyk i przed nimi wyrosła nagle jakaś postać. Ragnhilda, obojętna na los swoich ludzi, dysząca zemstą, uzbrojona w nóż. Skoczyła na Shefa jak wcielenie furii, błysnęło wzniesione ostrze. Shef patrzył na nią, rozpoznał zielone oczy, które kiedyś całował, włosy, na których zaciskał palce w chwilach uniesienia. Opuścił włócznię, próbował znaleźć słowa pociechy. Krzyczała coś w biegu, usłyszał tylko: "...śmierć mojego syna!". Stał, rozłożył szeroko ramiona, nie był w stanie się poruszyć, wciąż czekał na słowa, które mogłyby wszystko wyjaśnić, na następny cud.

Cuthred zastąpił jej drogę, nóż zazgrzytał o stalową powłokę tarczy. Cuthred odruchowo wznosił tarczę, aby odepchnąć Ragnihildę.

Jej oczy zrobiły się nagle bardzo duże. Potem upadła do tyłu, ciągnąc za sobą tarczę z długim kolcem, który Shef własnoręcznie tam przyspawał. Kolec zagłębił się w ciało tuż pod lewąpiersią i przebił serce.

- Bóg mi świadkiem - rzekł Cuthred - że to był wypadek. Nigdy w życiu nie zabiłem kobiety.

- Zbyt wiele ofiar - powiedział Shef. Pochylił się, szukając oznak życia. Wargi Ragnahildy nadal się poruszały, wciąż go przeklinała.

Potem umilkła, zielone oczy znieruchomiały. Shef wstał, a wtedy

Cuthred postawił stopę na ramieniu Ragnhildy i mocnym szarpnięciem uwolnił tarczę. Potrząsnął głową, ganiać się za ten postępek, i zerknął na Shefa, by się upewnić, czyjego pan nic nie zauważył.

Ale Shef odwrócił wzrok od ciała na przystani i patrzył na czerwoną od krwi, rozkrawaną płetwami wodę. Potem spojrzął z niedowierzaniem na przeciwległy brzeg zatoki. Na płyciźnie, wyraźnie widoczne w coraz jaśniejszym świetle dnia, siedziały dwie postacie. Za jego plecami narastał zdumiony pomruk, inni też zwrócili uwagę na ten niezwykły widok. Po raz drugi w ciągu tego poranka ujrzeli coś, czego nie oglądał jeszcze żaden śmiertelnik. Stworzenie z Ukrytego Ludu.

Echegorgun, który z daleka wyczuwał zamiary mieczników, szybko i bezpiecznie przepłynął wąską cieśninę w ślad za wielorybniczymi łodziami. Widział, jak Shef i jego ludzie lądują na wyspie, jak jedna łódź lekkomyślnie kieruje się do zatoki i zostaje roztrzaskana przez orki. Trzymał się nieco z

tyłu, lecz wpłynął tam za nimi, pewien, że je usłyszy, gdyby zwróciły się przeciwko niemu. Krążył blisko brzegu, a wystający z wody czubek jego głowy wyglądał jak jeszcze jedna szara skała. Obserwował poczynania ludzi z uwagą, lecz bez niepokoju - dopóki nie zobaczył, jak dwaj uzbrojeni mężczyźni prowadzą do łodzi trzeciego. Nie mógł się mylić. Bez trudu rozpoznał charakterystyczną sylwetkę Branda, syna Barna, wnuka

Bjarniego. Wnuka jego ciotki.

Echegorgun doskonale wiedział, co się za chwilę stanie. Miał tylko kilka minut, aby temu przeszkodzić, zapobiec. Zanurkował ze zwinnością fok, na chwilę uczepił się rufy "Żurawia", ocenił odległość pomiędzy statkiem a prowadzącą łodzią z Kormakiem na pokładzie. Podniecone orki już się zbliżały, kilka jardów dalej czuł wibracje potężnych ogonów. Śmignął pod wodę jak wydra.

Brand, który leżał związany na dnie łodzi, czując na piersi ucisk stopy Kormaka, zobaczył tylko wielką, szarą rękę, zaciskającą się na okężnicy. A potem łódź nag'e się przechyliła w kierunku Echegorguna, ułamek sekundy wcześniej, nim zaatakowała pierwsza orka.

Kiedy ludzie zerwali się z krzykiem, sięgając po broń, coś chwyciło

Branda raptownie za tunikę i pociągnęło za burtę, głęboko, daleko od pękających desek i rozrywanych na strzępy ciał.

Na krótką chwilę opadły Branda wszystkie zabobonne lęki jego rasy. Oto został porwany przez trytona, który włókł go na potworną ucztę w morskich głębinach. A potem, w następnym przebłyску, wydało mu się, że chyba rozpoznaje tę rękę. Wstrzymał oddech, nie bronił się, nie poruszał.

Trzymany w mocnym uścisku nieczłowieczej ręki, pozwolił się wlec pod wodą. Pod kilem "Żurawia". Ku brzegom zatoki, na płyciznę. Wreszcie wynurzyli się obaj, chwytając gwałtownie powietrze, i Brand popatrzył na twarz obok siebie. Twarz popatrzyła na niego.

Gdy Echegorgun wydobył z zanadru kamienny nóż i zaczął przecinać sznury na rękach Branda, przyglądali się sobie badawczo, w milczeniu, szukając rodzinnego podobieństwa.

Czas jakiś siedzieli w płytkiej wodzie, nim w końcu Brand przemówił.

- Zostawiałem wiadomości dla ciebie i twojego ludu w naszym sekretnym miejscu - powiedział - i zawsze dotrzymywałem naszej umowy. Ale nigdy nie przypuszczałem, że zobaczę cię tutaj, w białej dzień. To twoich krewnych spotkał kiedyś dziadek Bjarni.

Echegorgun uśmiechnął się, odsłaniając potężne zęby.

- A ty musisz być moim drogim kuzynem Brandem.

Rozdział dwudziesty czwarty

LJ dziełanie ci schronienia to kosztowne przedsięwzięcie - stwierdził cierpko Brand.

Shef nic na to nie odrzekł. Mógłby odpowiedzieć, że czasem jest to również opłacalne, ale musiał brać pod uwagę stan ducha Branda. Nie miał pewności, jak wiele dni minęło od bitwy - na tych obszarach trudno było to stwierdzić. Wszyscy pracowali zaciekle i bez wytchnienia, a gdy nie byli już w stanie pracować, szli spać.

A w dodatku - złowieszczy znak - mrok znów zaczął spowijać niebo. Skończyło się lato, nadchodziła zima. W Helgolandzie następowało to bardzo szybko.

Niezależnie od tego, ile upłynęło dni, wioska wciąż przedstawiała sobą oplakany obraz. Wszystkie trzy znajdujące się w zatoce statki zostały zatopione lub całkowicie zniszczone. Nieszczęśliwym trafem Cwicca i jego ludzie pochyłili maszynę pod odpowiednim kątem, kiedy bitwa była już wygrana, i posłali spory kamień prosto w podstawę masztu "Żurawia". Załoga, gnana panicznym strachem przed orkami, rzuciła się do wiosł i zdołała osadzić statek na brzegu, lecz wydawało się mocno wątpliwe, by jeszcze kiedykolwiek mógł pływać. "Mors" nadal spoczywał na dnie zatoki, a jego maszt sterczał żałośnie ponad wodą. Ogień ogarnął "Mewę", która doszczętnie spłonęła. Choć mieli do dyspozycji sporo mniejszych łodzi różnych rodzajów, nie posiadali statku na tyle dużego, by pożeglowało Trondhjem, najbliższego portu na południu, i wrócił stamtąd z zaopatrzeniem. W swoim czasie można będzie dopiero taki zbudować z ocalonych desek i szczątków - gdyż, oczywiście, ani na jałowym wybrzeżu, ani na smaganych wiatrem wysepkach nie rosła dostateczna liczba odpowiednio dużych drzew. Z tej samej przyczyny odbudowa spalonych chat też postępowwała bardzo powoli, mimo że mieszkańcy wyspy z niemałą wprawą wykorzystywali kamienie i darń. Obfity owoc polowania na wieloryby w większości poszedł z dymem, a przy okazji spłonęły również magazyny i składy, gdzie Brand trzymał nie tylko uzyskane od Finów futra, pierze i skóry, którymi handlował, lecz także mięso, masło i ser na swoje własne potrzeby.

Poza orszakiem Shefa i załogą Guthmunda, przybyło im jeszcze około siedemdziesięciu rozbitków z "Żurawia". Obiecano darować tym ludziom życie i nikt nie myślał o złamaniu tej obietnicy. Lecz oni też musieli jeść. Było oczywiste, że nie wszyscy na wyspie przeżyją nadchodzącą zimę, niezależnie od tego, ile uda im się złowić ryb i fok. Wielu Helgolandczyków po cichu wymknęło się do domów, dając jasno do zrozumienia, że nie interesują ich kłopoty Branda. Mieli zamiar żyć. Niech umierają obcy przybysze oraz ci, którzy okazali się na tyle głupi, by udzielić im gościny.

- Mamy jeszcze złoto i srebro - ciągnął Brand. - To się przynajmniej nie pali. Najlepsze, co możemy zrobić, to sklecić w miarę dużą łódź, wepchnąć do niej jak najwięcej ludzi i wysłać ją na południe. Jeśli będziemy trzymać się blisko brzegu, to może znajdziemy w końcu takie miejsce, gdzie mają na zbyciu żywność. Zostawimy jeńców, kupimy, ile się da, i wrócimy na północ.

Shef ciągle milczał. Gdyby Brand nie był taki zmęczony, sam zobaczyłby wady tego planu. Ludzie Ragnhildy stanowili na tyle pokaźną siłę, że mogli bez trudu obezwładnić strażników, zabrać pieniądze i zostawić wioskę bez środków do życia. Ale przetrzymywanie ich uszczuplało i tak skąpe zapasy. Należało darmożjadów odesłać. Jeśli w ogóle odważą się wyruszyć na morze, teraz, kiedy w pobliżu mogły czaić się orki.

- Przepraszam - mruknął Brand, potrząsając swą wielką głową. Zbyt wiele ostatnio przeżyłem, by wymyślić coś sensownego. Mieć trolla za kuzyna! Wiedziałem o tym, ale teraz wie już każdy. Co ludzie powiedzą?

- Powiedzą, że jesteś szczęściarzem - wtrącił Thorvin. - Jest w Szwecji pewien kapłan Drogi, który szczególną czcią otacza boginie Freyję. Zajmuje się hodowlą zwierząt, krzyżuje je tal, by krowy dawały jak najwięcej mleka, a owce porastały najlepszą wełną.

Często opowiadał mi o mułach, o krzyżówkach psa z wilkiem, i tym podobnych rzeczach. Przybędzie tu, gdy tylko się dowie. Ponieważ wydaje mi się, że my i lud morski jesteśmy raczej jak psy i wilki, niż jak konie i osły. Kiedy twój dziadek Bjarni sparzył się zjedną z ich kobiet, to ona urodziła dziecko, twojego ojca Barna. Ale Barn także miał dziecko, ciebie, a ty jesteś podobny do swego kuzyna, widać to, kiedy stoicie obok siebie. Gdyby Barn był mułem, takim ludzkim mułem, nie mogłby mieć dzieci. Tak więc my i lud morski nie różnimy się tak bardzo. Może jesteśmy ze sobą bliżej spokrewnieni, niż dotąd sądziliśmy.

Shef przytaknął. Podobne myśli przychodziły mu już do głowy, kiedy patrzył na ludzi Północy, na ich masywną budowę, łuki brwiowe, owłosioną skórę i gęste brody. Ale nie wypowiadał tych myśli głośno. Zauważył, że słowo "troll" słyszy się w wiosce coraz rzadziej, zastąpił je "lud morski", jakby inni też zaczęli przypominać sobie swoich przodków.

- A, co tam - powiedział Brand, który nieco poweselał. - Tylko nadal nie mam pojęcia, co robić. Chciałbym, mówię to całkiem szczerze, żeby mój kuzyn udzielił mi dobrej rady.

Lecz Echegorgun zniknął niedługo po tym, jak wyciągnął Branda na brzeg. Przez jakiś czas zdawał się cieszyć, że zwrócił na siebie powszechną uwagę, a z całą pewnością radowała go okazywana mu przez Branda wdzięczność. Potem hałas wyraźnie zaczął go drażnić, więc po prostu zniknął, tak jak tylko Ukryty Lud to potrafił.

Zabrał ze sobą Cuthreda i razem popłynęli na stały ląd. Cuthred wywarł na nim duże wrażenie.

- To nie taki zwykły Chudzielec - powiedział. - W każdym razie silniejszy niż Miltastaray. A te włosy na plecach! Gdyby go dobrze natłuścić, mógłby się też ścigać z fokami. Miltastaray go lubi.

Byłby dla niej dobrą partią.

Shef otworzył szeroko usta na tę ostatnią uwagę, a potem wdał się w wyjaśnienia, nie bardzo wiedząc, jak ma to wyrazić.

- Przecież powiedziałaś, Echegorgunie, że wiesz, co mu się stało. Otóż, stało się to, że inni Chudzielcy, cóż, ucieli mu, no, nie to, co sprawia, że pozostał mężczyzną, ale...

Echegorgun uciął wywody Shefa.

- Wiem. Dla nas nie znaczy to tyle, co dla was. Czy wiesz, dlaczego żyjecie tak krótko? Bo parzycie się przez cały czas, a nie tylko w określonej porze. Im częściej to robicie, tym krócej żyjecie.

Tysiąc razy na jedno poczęte dziecko, słyszałem to pod wieloma oknami! Ha! Miltastaray szuka w mężczyźnie czegoś innego.

A potem odeszli. Shef zdążył jedynie zobowiązać Cuthreda, żeby poprosił Echegorguna, by ten pochował swoje ludzkie ofiary jak człowiek cywilizowany, zamiast wędzić je jak troll.

- Powiedz, że zapłacimy mu za to w świniach - dodał.

- Nie macie żadnych świń - odparł Cuthred. - A poza tym wolę świnie od ludzi.

Być może, nim zima się skończy, nasze spiżarnie będą przypominały spiżarnię Echegorguna, pomyślał Shef. Choć dyskusja pomiędzy Thorvinem, Brandem, Guthmundem i innymi jeszcze się nie skończyła, wstał i odszedł zamyślony. W ręku niósł włócznię, zabraną z wędzarni: czuł się z nią lepiej niż z włócznią "Gungnir", czy z kosztownymi mieczami, które dostawał i tracił. Najlepsza rzecz, jaką można zrobić, kiedy trafiasz na nierozwiązywalny problem, to, jak zdążył się przekonać, pytać każdego, aż w końcu spotka się kogoś, kto będzie znał odpowiedź.

Zastał Cwicę i jego szajkę przy skromnym posiłku, który spożywali podczas przerwy w pracy, polegającej na odzyskiwaniu desek z wraków rozbitych okrętów. Na jego widok powstał z szacunkiem. Shef zastanowił się nad tym. Czasem to robili. Czasem, zmyleni jego akcentem, kiedy mówił po angielsku, zapominali się i traktowali go tak, jakby był jednym z nich. Ale zdarzało się to coraz rzadziej.

- Siadajcie - powiedział, lecz sam stał dalej, wsparty na włóczni. Niewiele jest do jedzenia, jak widzę.

- A będzie jeszcze mniej - zgodził się Cwicca.

- Podobno jeńcy mają być odesłani tym statkiem, kiedy go zbudujemy. Jeśli się uda zbudować dwa, moglibyśmy posłać kogoś na południe, po żywność.

- Jeśli się uda zbudować dwa - wyraził wątpliwość Wilfi.

- Jeśli ktokolwiek zgodzi się popłynąć - dodał Osmód. - W tej chwili wszyscy tak boją się orka, że wpakowaliby statek na mieliznę, słysząc głośniejszy plusk.

- Wcale im się nie dziwię - wtrącił zapalczywie Karli. - Chcę powiedzieć jedną rzecz, panie. Wiesz, że widziałem orkę, wtedy, w fiordzie koło Drottningsholmu? Wynurzyła się z wody, bardzo blisko. Ona tu jest. Ma nadgryzioną płetwę. To ta sama. Wygląda na to, że płyną za nami.

Albo płyną za tobą, pomyślał, lecz nie powiedział tego głośno.

Angielscy wyzwoleńcy opowiadali mu mnóstwo dziwnych historii o swoim panu, którego darzyli głębokim szacunkiem, a jednocześnie byli z nim bardzo zżyci. Karli nie we wszystko wierzył. Teraz jednak zaczął się zastanawiać. Jaka kara spotyka tego, kto uderzeniem pięści powalił na ziemię syna boga? Nie poniósł żadnej kary, przynajmniej dotychczas.

-Cóż, musimy coś zrobić, bo inaczej wszyscy umrzemy z głodu powiedział Shef.

Wyzwoleńcy w milczeniu rozważali tę perspektywę. Nic nowego. Wielu niewolników, a także wielu biedaków, umierało zimą, z chłodu, z głodu, albo z obu tych przyczyn na raz. Wszyscy wiedzieli, że takie rzeczy się zdarzają.

- Mam pomysł - powiedział Udd i urwał, jak zwykle nieśmiały w obecności większej liczby słuchaczy.

- Coś związanego z żelazem? - spytał Shef.

Udd przytaknął skwapliwie, biorąc się w garść.

- Tak, panie. Pamiętasz tę rudę, którą widzieliśmy w kolegium w Kaupangu? Wymaga niewiele pracy, ponieważ zawiera bardzo dużo metalu. Pochodzi z Jarnberalandu, Ziemi Rodzącej Żelazo.

Shef potakiwał, aby go ośmielić, choć nie miał pojęcia, dokąd ten wywód prowadzi. Nie mogli jeść żelaza, ale sarkazm zupełnie zbiłby Udda z tropu.

- Jest także miejsce, które nazywa się Kopparberg. Miedziana

Góra. No tak, rzecz w tym, że to wszystko jest tam. - Udd wskazał ręką skaliste wybrzeże po drugiej stronie cieśniny. - Za tymi górami, znaczy się. Pomyślałem sobie, że skoro nie możemy popłynąć, to możemy pójść. Nie wygląda na to, by nie dało się tędy przejść.

Shef spojrział na poszarpany, niegościnnie brzeg, przypomniał sobie straszną wspinaczkę po zboczu nad zatoczką Echegorguna.

I drogę, którą szli. I łatwe zejście po grani, kiedy Echegorgun prowadził ich na wybrzeże w pobliżu wyspy.

- Dziękuję ci, Udd - powiedział. - Zastanowię się nad tym.

Szedł tak długo, aż spotkał Szweda Guthmunda. Znalazł go w nadspodziewanie dobrym humorze. Guthmund stracił swój statek i miał wszelkie szanse umrzeć z głodu. Z drugiej strony jednak, łupy z "Żurawia" okazały się zdumiewająco bogate. Ragnhilda zabrała połowę rodowych kosztowności, by opłacić ludzi i dokonać zemsty, a skarby te wydobyto z wraku. Co więcej, zabici w walce siłą rzeczy wypadali z podziału. Guthmund przywitał swego młodego dowódcę radosnym uśmiechem. Nazywano go Guthmundem Chciwym. Jego ambicją było zyskać sobie przydomek GuII-Guthmunda, Guthmunda Złotego.

Uśmiech zniknął z jego twarzy, gdy Shef zapytał go o to, co powiedział mu Udd.

- Och, to gdzieś tam jest, na pewno - potwierdził. - Tylko nie wiem dokładnie, gdzie. Wy nawet sobie tego nie wyobrażacie. Szwecja ciągnie się przez tysiące mil, od Skaane do Lapp. Jeśli Skaane to

Szwecja - dodał. - Ja pochodzę z Sodermanlandu, jestem prawdziwym Szwedem. Ale wydaje mi się, że nie musicie iść dalej na północ, by dotrzeć do Jarnberalandu.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- Ze sposobu, w jaki pada cień. Jeśli zmierzysz długość cienia w południe i wiesz, kiedy był środek lata, to wiesz również, jak daleko jesteś na północy. To jedna z umiejętności Drogi, nauczył mnie tego Skaldfinn, kapłan Njórtha.

- Jeśli więc wyruszymy stąd i pójdziemy prosto na wschód, to dotrzemy do Jarnberalandu w kraju Szwedów.

- Może nie będziecie musieli iść przez cały czas - powiedział

Guthmund. - Słyszałem, że w środkowym masywie Kil są jeziora, ciągną się z zachodu na wschód. Mówił mi Brand, że kiedy tutejsi

Finowie chcą napaść na Finów po tamtej stronie gór - nazywają ich

Kvenami - to wsiadają w łodzie z kory i przepływają się przez jeziora.

- Dziękuję ci, Guthmundzie - odparł Shef i ruszył dalej.

Brand popatrzył z niedowierzaniem, kiedy Shef powtórzył jemu i Thorvinowi, czego się dowiedział.

- Nic z tego nie będzie - stwierdził krótko.

- Dlaczego nie?

- Nie o tej porze roku.

- Miesiąc po pełni lata?

Brand westchnął.

- Nic nie rozumiesz. Tutaj lato nie trwa długo. Na wybrzeżu, zgoda, morze powstrzymuje śnieg i lód nieco dłużej, tak się przynajmniej wydaje. Ale tylko pomyśl. Pamiętasz, jak było w Hedeby, wiosna, tak mówiłeś. Dotarłeś do Kaupangu, a tam wszystko ciągle skute lodem. Jak to daleko? Trzysta mil na północ? Tutaj musisz dodać następne sześćset. Kilka mil w głąb lądu - sam nigdy nie zaszedłem dalej, nawet ścigając Finów - i śnieg pokrywa ziemię przez połowę roku. Im wyżej, tym gorzej. Wysoko w górach śnieg nigdy nie topnieje.

- Największą więc przeszkodę stanowi zimno. Ale Udd chyba ma rację, po tamtej stronie gór leży Jarnberaland, jakieś dwieście mil stąd? Dziesięć dni podróży.

- Dwadzieścia dni podróży. W najlepszym razie. Z tego, co wiem, są tam obszary, gdzie na przebycie trzech mil potrzeba całego dnia.

Jeśli nie zabłądzicie i nie zaczniecie chodzić w kółko. Wtedy już po was.

- Ale - wtrącił Thorvin, gładząc palcami brodę - jest coś, o czym mało kto wie. To mianowicie, że w Jarnberalandzie Drogajest bardzo silna. Jesteśmy rzemieślnikami i kowalami, a kowali nęci żelazo. Wśród ludzi, którzy wydobywają rudę, jest wielu kapłanów Drogi. Mówi się nawet, że to jakby drugie kolegium. Valgrimowi się to nie podobało. Uważał, że powinno być tylko jedno kolegium.

A on sam miałby stać na jego czele, pomyślał Shef. Valgrim zapłacił w końcu za swoje błędy. Był w jednej z łodzi, płynących w kierunku "Żurawia", a uratowało się stamtąd jedynie dwóch ludzi, Brand oraz młody chłopak, który kulił się żałością i wydawał słabe okrzyki przerażenia jeszcze długo po tym, jak wyciągnięto go na brzeg.

Ragnhilda też mogła tam umrzeć, zdał sobie sprawę Shef. Po prostu przypadek. Jeden z wielu w jego życiu. Element składowy jego szczęścia, jak powiedziałby Olaf, Elf z Geirstath, a powtórzył za nim

Alfred.

- Kiedy więc przejdziemy przez góry - ciągnął swoje Shef możemy liczyć na pomoc.

- Ale nie przejdziecie przez góry - powtórzył zirytowany Brand. W górach są Finowie i...

- I Ukryty Lud - dokończył za niego Shef. - Dziękuję ci, Brandzie. - Wstał i odszedł, uderzając włócznią o ziemię przy każdym kroku.

Decydujące słowo padło z ust człowieka, którego imienia Shef nie znał, członka załogi "Żurawia", zatrudnionego wraz z towarzyszami przy odbudowie zrujnowanych chałup. Pocili się oni w promieniach bladego słońca, ciągnąc do wioski obładowane kamieniami drewniane płozy, pilnowani z daleka przez uzbrojonych w harpuny Helgolandczyków. Shef, wciąż niezdecydowany, co powinien uczynić, przystanął na chwilę w pobliżu.

Jeden z więźniów, krewny Kormaka, podniósł głowę i popatrzył na niego.

- Dziś my pracujemy, ty nas pilnujesz- powiedział z goryczą. Zostaliśmy pokonani, ale nie przez ludzi, przez orki! Coś takiego już się nie powtórzy. Następnym razem nie będziesz miał obrońców. Rogalandczycy nadal cię szukają, a rodzina Ragnhildy na pewno im to wynagrodzi. A oprócz nich tropią cię Ragnarssonowie. Sigurth też jest gotów za ciebie zapłacić, co najmniej tyle, ile dałaby

Ragnhilda. Jeśli ruszysz na południe, ktoś cię dostanie. Już nigdy nie zobaczysz Anglii, jednooki. Żeby wyjść z tego cało, musiałbyś mieć skórę z żelaza. Jak Sigurth Pogromca Fafnira. A nawet na jego ciele zostało czułe miejsce!

Shef przyglądał mu się z namysłem. Znał historię Sigurtha, który zabił smoka Fafnira -jej część zobaczył nawet w swojej wizji, zobaczył łeb smoka. Sigurth, jak pamiętał, został zdradzony przez kochankę, a następnie zabity przez jej męża i jego krewnych, kiedy dowiedzieli się, że krew smoka, która uodporniła go na wszelkie rany, nie obmyła całej jego skóry, ponieważ w jednym miejscu, na plecach, przylgnął do niej liść. On, Shef, również miał mściwą kochankę, lecz ona już nie żyła, podobnie jak jej mąż. Zabił także smoka, jeżeli Ivar Bez Kości zasługiwał na to miano.

Zbyt wiele tych analogii, aby je lekceważyć, pomyślał Shef. Trudno też zaprzeczyć, że Północna Droga wzdłuż wybrzeża jest zarazem jedyną drogą na południe, którą bardzo łatwo zablokować.

- Słyszałem, co powiedziałaś - odparł. - I dziękuję ci za ostrzeżenie. Ale mówiłeś to w złości. Jeśli nie będziesz miał nic innego do powiedzenia, następnym razem milcz. - Wyciągnął rękę i przytknął koniec włóczni do grdyki rozgniewanego wikinga.

Umysł ludzki jest dziwny. Strach powoduje krwawienie z nosa.

Pod wpływem wstrząsu ludzie przestają się jąkać, a stare, słabe kobiety zrywają się z łóżek w czasie pożaru i podnoszą ciężkie belki, które przywaliły ich synów. Krewny Kormaka wiedział, że mówi zbyt śmiało. Zdawał sobie sprawę, że gdyby jednooki przebił go włócznią, nikt nie miałby mu tego za złe. Kiedy poczuł ostrze na gardle, krtań ścisnęła mu się ze strachu i pozostała w skurczu.

Jeden z jego kompanów poczekał, aż Shef odejdzie, i rzucił półgłosem: - Miałeś szczęście, Svipdag.

Svipdag odwrócił się do niego, oczy prawie wychodziły mu z orbit. Usiłował przemówić. Potem spróbował ponownie, i jeszcze raz.

Z jego gardła dobywał się jedynie cichy gulgot. Inni też ujrzeni przerażone oczy Svipdaga, domyślili się, że chce coś powiedzieć, ale nie może, jakby na jego tchawicy zacisnął się sznur.

Jeńcy popatrzyli w ślad za odchodzącym Shefem. Słyszeli o nim różne historie, o śmierci Wara, o Halvdanie, o tym, jak Olaf oddał temu człowiekowi szczęście swoje i swojej rodziny. Wiedzieli, że nosi na szyi znak nieznanego boga, który jest jego ojcem, jak powiadali niektórzy.

- Powiedział: "Milcz" - mruknął jeden z wikingów. - I proszę, Svipdag zamilkł!

- Mówię wam, to on wezwał orki - rzekł inny.

- Ukryty Lud też mu pomaga.

- Gdybym wiedział o tym wszystkim wcześniej, to Ragnhilda prędzej by ochrypła, niż ja bym wyruszył na tę przeklętą przez bogów wyprawę.

- Nie musisz tego robić, wiesz o tym - powiedział Brand, kiedy

Shef powiadomił go o swoich zamiarach. - Coś wymyślimy. Pozbądźmy się tych żarłoków z "Żurawia", a wszystko odmieni się na lepsze. Możemy posłać paru chłopców na południe łodzią, kupić w Trondhjem żywność i statek, żeby ją przewieźć. Nie musisz iść przez śniegi, nawet jeżeli inni tamtędy chodzą.

- Ale to właśnie mam zamiar zrobić - odparł Shef.

Brand umilkł, zakłopotany. Czuł, że swoimi wcześniejszymi, posępными prognozami sprowokował tę szaloną decyzję. Pamiętał, jak po raz pierwszy zaopiekował się Shefem, kiedy wypalili mu oko.

Nauczył go języka Północy, nauczył całkiem niezłe władać mieczem, pokazał mu, jak powinien postępować dreng, prawdziwy wojownik. A Brand Shefowi też wiele zawdzięczał. To Shef poprowadził go do chwały i bogactwa - bo nawet jeśli teraz brakowało im żywności, opału i statków, to przecież nie pieniędzy.

- Słuchaj, nie znam nikogo, kto był w tych górach i wrócił, nie mówiąc już o przejściu na drugą stronę. Może zapuszczają się tam

Finowie, ale to co innego. Są tam wilki i niedźwiedzie. I mróz. A nawet jeśli ci się uda, to gdzie się znajdziesz? W Szwecji! Albo na szwedzkim pograniczu, w Fińskiej Marchii, czy gdzieś tam. Nie rozumiem, dlaczego to robisz.

Shef myślał przez chwilę, zanim odpowiedział.

- Sądzę, że z dwóch powodów. Oto pierwszy. Od czasu, kiedy wszedłem do katedry tej wiosny, kiedy zobaczyłem, jak Alfred i Godiva biorą ślub, nieustannie czułem, że wszystko wymyka mi się

z rąk. Ludzie mnie popychali, a ja posłusznie szedłem. Robiłem to, co musiałem. Na piaszczystej łące, na targu niewolników, w Kaujjangu, u królowej, podczas podróży przez Upland, aż do tej pory.

Ścigany przez Ragnarssonów i Ragnhildę, i nawet przez orki. Teraz myślę, że dalej nie mogę się już cofnąć. Już czas, żebym wrócił.

Byłem w głębokich ciemnościach, nawet w wędzarni Ukrytego

Ludu. Teraz muszę dotrzeć do światła. A nie zamierzam wracać tą samą drogą, którą przyszedłem.

Brand czekał. Jak większość ludzi Północy, głęboko wierzył w przychylność losu. A Shef mówił mu właśnie, że zamierza odmienić swój los. Niektórzy powiedzieliby, że młody człowiek ma szczęście i może nim szafować. Ale nikt nie potrafi zmierzyć pomyślności innych, to jasne.

- A drugi powód? - przypomniał.

Shef wyciągnął spod tuniki amulet w kształcie drabiny.

- Nie wiem, czy wierzysz, że to cokolwiek znaczy - powiedział. - Czy myślisz, że moim ojcem jest bóg?

Brand milczał.

- Cóż - ciągnął Shef- nadal mam wizje, jak wiesz. Czasem we śnie, czasem na jawie. Wiem, że ktoś próbuje mi coś powiedzieć.

Czasem to bardzo łatwe. Kiedy znaleźliśmy Cuthreda, widziałem człowieka, obracającego wielkie kamienie. A może usłyszałem skrzypienie koła młyńskiego? Sam już nie wiem. Ale wtedy, a także wcześniej, gdy Cwicca zburzył ścianę dworu królowej, dostałem ostrzeżenie. Zobaczyłem coś, co właśnie się działo.

To wszystko jest dość proste. Ale ukazały mi się też inne rzeczy, i to już nie jest takie proste. Widziałem umierającego bohatera i starą kobietę. Widziałem słońce, przemienione w rydwan ścigany przez wilki, i w twarz boga-ojca. Ujrzałem wojownika, który jechał uwolnić Baldera z krainy Hel, i Białego Chrystusa, zabitego przez rzymskich żołnierzy, mówiących naszym językiem. Widziałem bohaterów w Valhalli i przyjrzałem się, jak przyjmują tam tych, którzy nie są bohaterami.

Poprzez te wizje ktoś próbuje mi coś pokazać. Coś bardzo złożonego. Pokazać nie tylko z jednej strony, z punktu widzenia pogan czy chrześcijan. Ktoś usiłuje mi powiedzieć - a może ja mówię to sobie - że coś jest źle, tak myślę, z naszym życiem. Zmierzamy do świata Skuld, jak powiedziałby Thorvin. Utraciliśmy cnotę, my wszyscy, chrześcijanie i poganie. Jeśli ten amulet cokolwiek znaczy, to właśnie to, że muszę ją przywrócić. Krok po kroku, jakbym wspinał się po drabinie.

Brand westchnął.

- Widzę, że jesteś zdecydowany Kto z tobą pójdzie?

-Ty?

Brand potrząsnął głową.

- Zbyt wiele mam do zrobienia tutaj. Nie mogę zostawić swoich krewnych na pastwę głodu i zimna.

- Myślę, że pójdzie Cwicca i jego szajka, i Karli. Wyruszył ze mną przygód. Jeśli kiedykolwiek wróci do Ditmarsh, będzie miał co opowiadać. Na pewno Udd, może Hund, może Thorvin. Muszę jeszcze pomówić z Cuthredem i z twoim kuzynem.

- Jest taka wysepka, gdzie mogę zostawić wiadomość - przyznał niechętnie Brand. - Twoje szansę bardzo wzrosną, jeśli będzie ci towarzyszył. Ale on chyba uważa, że zrobił już dosyć.

- Co z żywnością? Ile możecie nam dać?

-Niewiele. Ale dostaniecie, co mamy najlepszego. - Brand wskazał ręką. -Jeszcze jedno. Dlaczego ciągle nosisz tę włócznię? Wiem, zabrałeś ją z wędzarni, kiedy nie miałeś nic innego, ale przyjrzyj się jej. Jest stara, złoto się wytarło, ma cienki grot, bez poprzeczki. Nie jest nawet w połowie tak dobra, jak "Gungnir" Sigurtha. Daj mi ją, znajdę ci coś lepszego.

Shef z namysłem ważył drzewce w dłoni.

- To dobra broń, która przynosi zwycięstwo - powiedział. - Zatrzymam ją.

Rozdział dwudziesty piąty

LJrużym, którą Shef poprowadził w góry, składała się ostatecznie z dwudziestu trzech osób i tylko trzy spośród nich nie mówiły od urodzenia po angielsku. Cwicca, Osmo, Udd oraz ich trzech towarzysze, Fritha, Hama i Wilfi, przyłączyli się bez wahania, podobnie jak Karli. A także Hund, któremu przecucie podpowiadało, że będą potrzebowali lekarza. Ku zaskoczeniu Shefa Thorvin też zgodził się iść, tłumacząc swoją decyzję tym, że jako kowal chce odwiedzić

Jarnberaland oraz tamtejszą filię kolegium Drogi. Kiedy rozeszły się wieści o planowanej wyprawie, Shef przeżył kolejną niespodziankę, bowiem zjawilo się u niego poselstwo pod przewodnictwem Marthy, kobiety z Fryzji, byłej służebnej królowej Ragnhildy, oraz Ceolwulfa, zbiegłego niewolnika, którego inni podejrzewali o to, że jest tanem.

- Nie chcemy tu zostać - oświadczyli. - Przebywaliśmy już zbyt długo wśród ludzi Północy i chcemy wrócić do domu. W tobie cała nasza nadzieja.

- To słaba nadzieja - ostrzegł ich Shef.

- Do tej pory nie mieliśmy żadnej - odparł twardo Ceolwulf.

Tym sposobem grupa powiększyła się o cztery kobiety i ośmiu mężczyzn. Shef już chciał wysunąć zastrzeżenie, że kobiety nie mają dość sił na taką podróż, ale słowa zamarły mu na ustach. Towarzyszyły im przez całą drogę z Kaupangu do Gula i trzymały się nie gorzej od mężczyzn, a z pewnością lepiej niż wątły Udd czy krótkonogi Osmo. Co do mężczyzn, zbiegłych niewolników, noszących teraz amulety Riga, to Shef nie miał serca ich zostawić. Mogli okazać się użyteczni. Bez wątplenia niektórzy spośród nich, jak choćby groźny Ceolwulf, posiadali cenne umiejętności. W

czasie potyczki z załogą "Żurawia" stawali dzielnie, nawet jeśli krótko: niejeden z ich towarzyszy zginął, owładnięty przemożnym pragnieniem zemsty na ludziach, którzy trzymali ich w niewoli i dręczyli.

Ostatnim uczestnikiem wyprawy był Cuthred. Brand wyszedł pewnego wieczoru w gęstniejący mrok, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie życzy sobie, by go obserwowano ani tym bardziej śledzono. Jak stało się to zwyczajem w jego rodzinie, zostawił wiadomość w sekretnym miejscu, o którym wiedzieli jego krewni z Ukrytego Ludu. Przekazał w niej szyfrem, że zależy mu na spotkaniu. Lecz Echegorgun nie odpowiedział ani się nie zjawił. Za to w dwa dni później wrócił Cuthred. Miał na sobie suche ubranie, niósł także miecz i tarczę, a więc nie przepłynął wąską wąską cieśniną pomiędzy wyspą a stałym lądem. Echegorgun musiał mieć jakąś łódź czy tratwę, lecz Cuthred nie oświecił ich w tym względzie, stał się bowiem tak małomówny, jakby sam należał już do

Ukrytego Ludu.

Wysłuchał tego, co mieli mu do powiedzenia, skinął głową, przesiedział w milczeniu cały dzień i ponownie rozpląnął się w mroku.

Gdy zjawił się po raz drugi, przyniósł mało krzepiącą odpowiedź.

- Echegorgun nie będzie ci towarzyszył - rzekł. - Mówi, że pokazywał się ostatnio zbyt często. Ja mam iść z tobą zamiast niego.

Shef uniósł brwi. Cuthred powiedział to tak, jakby miał lepszy wybór - być może na dobre mógłby przystać do Ukrytego Ludu, jako rodzaj rekompensaty za dziecko imieniem Barn, oddane ludziom przed wielu laty.

- Mówi, że będzie czuwał nad tobą, nad nami - ciągnął Cuthred. - I szepnie słowo swoim krewniakom, żeby nas nie niepokoili.

To odsuwa od nas wielką groźbę. Wiesz, dlaczego większość myśliwych nigdy stamtąd nie wróciła. Skończyli uwędzeni w dymie jak dorsze. Ale sajeszczce niedźwiedzie i wilki. Zimno i głód. I Finowie. Będziemy musieli stawić im czoło.

Shef zgodził się z nim, gdyż nic innego mu nie pozostało, i wrócił do swoich przygotowań. Na samym końcu Brand kazał przemaszerować przed sobą wszystkim uczestnikom wyprawy i sprawdził skrupulatnie ich ekwipunek. Zarówno kobiety jak i mężczyźni mieli mocne i dobrze natłuszczone buty, sięgające do pół łydki, oraz ciepłe getry i grube wełniane spodnie. Ponadto wełniane tuniki, skórzane płaszcze i konopne koszule.

- Pot jest niebezpieczny - wyjaśnił im Brand. - Zamarza na ciebie. Konopie wchłaniają wilgoć lepiej niż wełna. Ale starajcie się nie pocić. Róbcie wszystko w stałym tempie, a odpoczywajcie tylko przy ogniu. To pozwala w pewnym stopniu utrzymać ciepło.

Upewnił się, czy wszyscy mają śpiwory. Niestety, nie tak wyśmienite jak ten, który Shef kupił w Gula, a który spalił się wraz z mnóstwem innego dobytku. Ale ogień nie strawił składu pierza, zaopatrzyli się więc w wełniane bądź skórzane śpiwory, wypchane puchem morskich ptaków. Mieli też rękawice i czapki oraz szaliki na szyję, służące także do osłaniania twarzy podczas śnieżycy. Każdy niósł na plecach worek, a w nim żywność na dziesięć dni, głównie suszone ryby i solone

mięso lub twarde ser z owczego albo koziego mleka. Niewiele, lecz człowiek, który maszeruje przez cały dzień na mrozie, potrzebuje dziennie czterech funtów jedzenia. A im więcej niesie, tym wolniej idzie.

- Jeśli znajdziecie po drodze coś jadalnego, zjadajcie to - powiedział Brand. - Oszczędzajcie zapasy tak długo, jak się tylko da.

Będziecie głodować, nim przejdziecie przez góry.

Broń też została starannie wybrana, bynajmniej nie pod kątem działań wojennych. Anglicy zabrali kusze i długie noże. Nawet

Osmoś musiał rozstać się ze swoją halabardą, zbyt ciężką i nieporęczną. Thorvin miał młot kowalski, Hund nie był uzbrojony. Inni nieśli siekiery do drewna lub włócznie o mocnych drzewcach z poprzeczkami, nie oszczepy czy harpuny.

- To na niedźwiedzie - wyjaśnił Brand. - Nabity na włócznię niedźwiedź mógłby was dopaść, gdyby nie zatrzymał się na po-

przezce.

Ponadto tym, którzy uważali się za dobrych strzelców, rozdano cztery krótkie, myśliwskie łuki. Cuthred niósł miecz Vigdjarfa i kolczastą tarczę. Shef miał swoją włócznię oraz szeroki rogalandzki nóż, zabrany z "Żurawia".

Brand nalegał również, aby dołączyli do bagażu sześć par tych dziwnych desek, na których ślizgali się Norwegowie, czyli nart.

- Nie umiemy na nich jeździć - sprzeciwił się Shef.

- Thorvin umie - odparł Brand.

-Ja też umiem -dodał Ceolwulf. -Nauczyłem się pierwszej zimy.

- Przydadzą się dla zwiadowców - upierał się Brand. Miał na myśli to, że jeśli nawet nie wszyscy przeżyją, to może przynajmniej niektórym się to uda.

Wyruszyli o świcie, mniej więcej czternaście dni po bitwie. Pierwszy odcinek drogi przebyli na pokładzie statku, który ludziom Branda udało się sklecić ze szczątków obu wraków, przy czym za kil posłużyła połowa największej wręgi "Żurawia". Statek był krótki, szeroki i niezgrabny, toteż Brand nazwał go pogardliwie "Kaczątkiem".

Mimo to przy rozwiniętych żaglach osiągał zupełnie przyzwoitą prędkość, zdołał także pomieścić wszystkich uczestników wyprawy oraz sześciuosobową załogę. Powstała drobna kontrowersja, gdzie powinni zejść na brzeg. Brand zaproponował fiord, który wrzynał się głęboko w spiętrzony górski masyw, aby możliwie skrócić pozostały do przejścia dystans. Ale Cuthred stanowczo się temu sprzeciwił.

- Echegorgun powiedział: nie - oznajmił. - Powiedział: pływajcie do fiordu, na końcu którego jest góra o trzech wierzchołkach. Potem idźcie prosto na wschód. W ten sposób trafimy na szlak, prowadzący do wielkich jezior, które ciągną się przez całą masę Kjolena, Kil.

- Szlak czy ścieżkę? - spytał Shef.

- Szlak. Tam nie ma ścieżek. Nawet drożynki Ukrytego Ludu.

Oni nie potrzebują czegoś takiego, kiedy idą wysoko w góry.

O mało co nie powiedział "my", zauważył Shef.

Wreszcie dwadzieścia trzy obciążone bagażami postacie stanęły w przejmujących podmuchach wiatru na samym końcu głębokiego fiordu. Słońce wspięło się już wysoko na niebo, lecz jego blask padał tylko na wierzchołki gór, połowa fiordu nadal leżała w głębokim cieniu. Ośnieżone szczyty przeglądały się w spokojnej wodzie, zmaconej jedynie łagodnymi odkosami spod dziobu odbijającego od brzegu "Kaczątka". Na tle ogromnych, szarych kształtów ludzie wyglądali jak garść rozsypanych patyczków, a leżąca przed nimi ścieżka zdawała się ledwie szczeliną w skale, którą spływał w dół jasny strumyczek.

-Niech Thor was strzeże! - zawołał za nimi Brand.

W odpowiedzi Thorvin uczynił znak młota.

- Prowadź - zwrócił się Shef do Cuthreda.

Dwanaście dni później Shef musiał przyznać, że popełnił błąd.

Robił właśnie dwunaste nacięcie na patyku, który zatknął sobie za pas pierwszego dnia, a reszta patrzyła na niego w milczeniu. Przyglądali mu się, ponieważ trzymał w ręku suchy patyk.

Na tym między innymi polegał błąd. Pierwszy dzień mocno dał im się we znaki, czego zresztą Shef oczekiwał, pamiętał bowiem morderczą wspinaczkę na brzeg, gdzie spotkał Ekwetarguna. Nie musieli piąć się na pionową ścianę, górskie zbocze nie było aż tak strome, lecz nie było też na tyle płaskie, by mogli po prostu iść. Najpierw rozboleły ich mięśnie ud, a wkrótce potem ramiona, ponieważ zaczęli chwytać się skalnych występów i podciągać do góry, by w ten sposób ulżyć zmęczonym nogom. Robili coraz dłuższe postoje, zatrzymywali się coraz częściej, a każdy ponowny wymarsz sprawiał im coraz więcej bólu.

Wszystko to Shef przewidział. W końcu musieli pokonać nie tak znów wielką odległość. Pięć tysięcy stóp załatwi sprawę. Mamy już za sobą trzy, mówił pozostałym. Jeszcze dwa tysiące kroków! Możemy je nawet liczyć. I chociaż mylił się co do liczby, to miał rację, że dotrą w ten sposób do kresu.

Tak więc przez kilka dni nastroje panowały wyśmienite. Stłoczeni tak długo w barakach dla niewolników lub na pokładzie statku, Anglicy upajali się powietrzem, słońcem, bezmiarem przestrzeni, zabawną pustką. Jałowa pustka. To był problem. Nawet

Thorvin wyznał Shefowi, że spodziewał się zobaczyć coś, co Norwegowie nazywali barrskog, kosodrzewiną. Ale znajdowali się znacznie powyżej granicy drzew. Każdej nocy, którą spędzali

bez ognia -jako że nie mieli drewna - mróz zdawał się ścisnąć coraz mocniej. Racjonowali żywność. Nigdy nie jedli do syta. Gdyby dało się rozpałcić ogień i ugotować posiłek, mruclili do siebie nawzajem, to może suszone paski solonego mięsa zdołałyby lepiej zaspokoić głód. Jedzenie ich w obecnej postaci przypominało zucie kawałków skóry. Mijał cały wiek, nim kolejny kęs nadawał się do przełknięcia, a potem wywoływał w żołądku jedynie bolesny skurcz.

Noc po nocy Shef trzął się z zimna w swoim puchowym śpiworze, marząc o chlebie. O chlebie, posmarowanym grubo żółtym masłem.

I miodem! I o piwie, mocnym, ciemnym piwie. Jego organizm gwałtownie się tego domagał. Ciała ich wszystkich, pozbawione prawie warstwy tłuszczu, z której mogłyby czerpać energię, musiały ją jednak skądś czerpać i odbywało się to kosztem mięśni.

Wpatrywali się więc w jego patyk, owładnięci pragnieniem, aby go zastrugał, skrzesał ogień i zapalił suchą, zwiędłą trawę i mech, który porastał z rzadka pofałdowany górski płaskowyż. Było to niemożliwe. Ale wciąż o tym myśleli.

Przynajmniej pokonaliśmy spory kawałek drogi, pomyślał Shef.

Wzgórza i lasy nie opóźniały ich marszu, za to bagna i moczary znacznie go utrudniały. Jednak nie dotarli jeszcze do jeziora, którego Shef wypatrywał z utęsknieniem, a Cuthred powtarzał jedynie, że musi ono znajdować się gdzieś dalej. Jezioro, mówił, a dookoła drzewa i pod dostatkiem kory, nadającej się świetnie na lekkie łodzie. Zapewniał go o tym Echegorgun. Szkoda, że Echegorgun nie przyjdzie i nie pokaże nam tego, chciał powiedzieć Shef, milczał jednak, by nie wystawiać na próbę wątpliwej lojalności Cuthreda.

Przynajmniej wciąż trzymamy się razem, pomyślał sobie kilka dni temu. Wytrzymałość byłych niewolników na trudy okazała się tu niezwykle pomocna. Tam, gdzie dumni wojownicy sprzeczałiby się ze sobą, skakali sobie do oczu i obwiniali się nawzajem, robiąc wielką sprawę z każdego pęcherza czy bólu brzucha, ludzie Shefa zachowywali się w stosunku do siebie... cóż, jak kobiety, musiał przyznać Shef. Gdy pewnego ranka Martha dostała kolki, co mogło opóźnić wymarsz, Wilfi zrobił z siebie błazna i odwrócił uwagę innych. Kiedy Udd, najślabszy z całej grupy, zaczął kuleć i za wszelką cenę starał się to ukryć w obawie, że go zostawią, Ceolwulf zatrzymał pochód, natarł stopę Udda foczym łożem z własnych zapasów, a potem szedł u jego boku, aby go wspierać w razie potrzeby.

A jednak zmęczenie dawało o sobie znać, objawiając się w drobnych sprzeczkach. Zwłaszcza Cuthred robił się coraz bardziej nieznośny. Poprzedniego dnia Karli, który wciąż nie mógł się powstrzymać, gdy chodziło o kobiety, dogonił idącą przodem Edith i pogłaskał ją po pośladkach. Oboje sypiali ze sobą od czasów Drottningsholmu, jeśli tylko nadarzyła się okazja, więc dziewczyna nie protestowała. Cuthred, który szedł tuż za nimi, nic wprawdzie nie powiedział, lecz za to wymierzył Karliemu potężny cios w ucho. W pierwszej chwili Karli chciał mu oddać. Potem zobaczył stojącego w wyzywającej pozie Cuthreda, zrozumiał, że kontra będzie śmiertelna, opuścił rękę i odszedł. Teraz więc Karli czuł się upokorzony. Nie tak, jak wcześniej Cuthred, ale wrogość została zasiana i ludzie zaczęli dzielić się na dwa obozy.

Shef ponownie wetknął swój patyk za pas i popatrzył na mroźne, usiane gwiazdami niebo.

- Teraz śpijcie - powiedział. - Wyruszamy o świcie. Nic lepszego nie możemy zrobić. Jutro znajdziemy drzewa i jezioro Cuthreda.

Kiedy wódz traci siły, armia się zatrzymuje, jak mówi przysłowie. Kiedy wódz musi nadrabiać miną, armia jest już pokonana.

Gdzieś w górze duch czuwał. Spoglądał w dół, na garstkę smutnych ludzi, nękanych przez mróz i głód, słyszał, jak ten i ów łka cicho z bólu. Przypatrywał się z zadowoleniem, powściąganym jedynie przez rozważną kalkulację.

Przetrwał moje orki, myślał. Przetrwał próbę mojego ucznia.

Dzierżył moją włócznię i nadal zdobi go moje piętno, ale nie przynosi mi zaszczytu. Nigdy nie przynosił mi zaszczytu. Ale czymże jest zaszczyt? Najważniejsze, że osłabia mnie i moje zastępy na nadchodzący dzień Ragnarók.

Tak, pomyślał duch-Odyn, niewiele spałem od śmierci mego syna.

Od czasu, gdy zabrano mi Bałdera, a najlepszym spośród moich ludzi, mojej Einheriar, nie udało się sprowadzić go z krainy Hel. Od tamtej chwili świat stał się szary i posepny, i taki już pozostanie aż do dnia Ragnarók. A jeśli nie zwyciężymy owego dnia, to jakaż jeszcze dla nas nadzieja? Ale to stworzenie, ten urodzony w łóżku człowieczek pragnie uczynić świat lepszym, dać ludziom szczęśliwe życie, zanim nadejdzie Ragnarók. A jeśli ta wiara się przyjmie, skąd wezmę bohaterów do mojej Einheriar?

Musi umrzeć, a jego myśl musi umrzeć wraz z nim. I ci, którzy za nim idą. A jednak będzie to strata, mimo wszystko. Ponieważ to stworzenie, jednookiejakja, ma swoją mądrość - i zastanawiam się, kto mu jej użyczył? Niekiedy przypomina mi innego z moich synów. Tak czy owak, przysporzył mi wielkiego mistrza, Ivara Zabójcę Królów, który teraz co dnia stacza boje w Valhalli. A ten, którego prowadzi ze sobą ten okaleczony, także jest wielkim mistrzem. W Valhalli nie ma kobiet, spodoba mu się tutaj. To nic, że został ochrzczony w imię

Białego Chrystusa, już nie ma w nim wiary i może być mój, może zasilić mój zastęp. Musiałby jednak umrzeć z bronią w ręku.

Szkoda byłoby go stracić. A nawet jednookiego, ma wiele sprytu, to doprawdy rzadkość na polach Valhalli. Cóż mam więc zrobić?

Czy zesłać na nich moje wilki?

Nie. Gdyby pożarły ich wilki, to nie byłoby źle. Ale może się zdarzyć, że to oni zjedzą wilki i zasmakują w nich. Nie, orki zawiodły i Valgrim także zawiódł, a stary ióttunn nigdy nie należał do mnie, to raczej plemię Lokiego. Wilki też by zawiodły. Ześlę im więc śnieg.

A wraz ze śniegiem moich Finów.

Małe płatki zaczęły prószyć z nieba wkrótce po zmroku, z początku bardzo powoli, zdawały się raczej krystalizować w powietrzu niż opadać. Z czasem stawały się coraz większe, a niebawem zerwał się północny wiatr i uniósł je ze sobą. Była już głucha noc, kiedy dwaj wartownicy, widząc, że biały całun ściela się wszędzie wokół i przysypuje rozłożone na gołej ziemi śpiwory, zdecydowali się obudzić swych towarzyszy, aby mogli strzepać z siebie śnieg.

W obozie wszczęła się zaspana krzątanina, zmęczeni mężczyźni i kobiety wypełzali niezdarnie na chłodne powietrze, otrząsali śpiwory, przenosili się na nowe miejsce i znowu układali do snu, czując jak twarda ziemia powoli zmienia się w błoto pod wpływem uciekającego z ich ciał ciepła. Wiercili się przez sen, by za śpiworami innych skryć się przed mroźnymi smagnięciami wichury, toteż cały obóz z wolna przesuwiał się z wiatrem coraz dalej i dalej.

Niedługo przed świtem Shef zdał sobie sprawę z tego, co się dzieje, rozkazał więc ułożyć jeden przy drugim podróżne worki i uszczelnić szpary śniegiem, by za tą zaimprovizowaną osłoną wszyscy mogli znaleźć schronienie, najsłabsi w środku, silniejsi po bokach. Prawie nikt nie spał wiele tej nocy. Świt zastał ludzi zmęczonych, głodnych i zziębniętych.

Wszystko zamarło w bezruchu, od kiedy śnieg przestał padać, a przestał już kilka godzin temu. Spoglądali na bezkresną białą równinę pod zasnutym chmurami niebem. Shefa ogarnął nagły przypływ zwątpienia. W ciągu nocy stracił wszelkie poczucie kierunku.

Teraz, kiedy schowało się słońce... Słyszał, że jest taki rodzaj przezroczystej skały, która skupia promienie i pozwala zobaczyć słońce nawet przez warstwę chmur, ale niczego podobnego nie mieli.

Zdołał opanować swój strach. Nie miało już znaczenia, dokąd pójść. Musieli znaleźć drewno i schronienie, a każda droga, która mogła ich tam zaprowadzić, była dobra. Odkopał narty spod śniegu, zdecydował bowiem, że Thorvin i Ceolwulf, jedyni w ich grupie doświadczeni narciarze, rozjadą się w różnych kierunkach i spróbują dotrzeć do krańca płaskowyżu.

Gdy tylko wyruszyli, przyszło mu do głowy, by policzyć ludzi. Brakowało jednej osoby, pięknej, milczącej, smutnej dziewczyny imieniem Godsibb, która szła z nimi przez całą drogę z Drottningsholmu i nigdy nie wypowiedziała słowa skargi. Nawet Karli dał jej spokój.

Ani razu nie zareagowała na jego dobroduszne zaczepki. Znaleźli jej ciało, niewielki garb na śniegu, w zdumiewająco dużej odległości od obozu, co świadczyło, jak daleko przemieścili się w ciągu nocy.

- Dlaczego umarła? - spytał Shef, kiedy rękami odgrzebali zwłoki spod śniegu.

- Z zimna. Z wyczerpania. Z głodu - odparł Hund. - Ludzie mają różny stopień odporności. Była wątłą dziewczyną. Może jej śpiwór przemókł. W nocy nikt nie zwrócił na nią uwagi i po prostu zapadła w śnieżne odrętwienie. To spokojna śmierć, lepsza niż los, który przygotowała dla niej królowa Asa - dodał, by złagodzić wyrzuty sumienia Shefa.

Shef popatrzył na stężoną twarz dziewczyny, zbyt zmęczoną, jak na jej młody wiek.

- Przebyła długą drogę, aby tu umrzeć - powiedział.

A umierając, postawiła go przed kolejnym problemem. Nie mogli przecież pochować jej w zamrożonej ziemi. Czy mieli więc zostawić ją przykrytą śniegiem? Wyglądało to nieźle, gdy stamtąd odchodzili, lecz trudno było nie myśleć o tym, co się stanie, kiedy śnieg stopnieje i odsłoni ciało.

Hund dotknął ramienia Shefa i pokazał mu coś w milczeniu. Na odległym o sto jardów pagórku przystanęło czworonożne stworzenie, patrzyło na nich przez chwilę, a potem usiadło z

wywieszonym jęzorem, decydując się zaczekać. W ślad za nim ukazały się następne, szybko oceniły sytuację i również usiadły lub położyły się w śniegu. Krążyły różne opinie na temat wilków. Niektórzy spośród Anglików widywali je dosyć często i twierdzili, że nie są szczególnie niebezpieczne. Brand zaprzeczał temu z właściwym sobie upodobaniem do skrajności. "Rozerwą was na strzępy, mówił. W ogóle nie boją się ludzi. Oczywiście, że nie zaatakują was, kiedy będziecie wszyscy razem, uzbrojeni. Ale w małych grupkach, w lesie, to co innego".

Pojawienie się wilków oznaczało, że w żadnym razie nie mogą zostawić ciała Godsibb, póki nie znajdą chociaż skrawka ziemi, nie rozpalą ognia, aby ją zmiękczyć, i nie przykryją grobu kamieniami.

Jeśli zaczną ją nieść, osłabną jeszcze bardziej i wkrótce przybędzie im ciał do niesienia...

Shef wyznaczył dwóch ludzi, rozkazał im odkopać śpiwór, przywiązać do niego liny i ciągnąć zwłoki po śniegu. Powstrzymał Frithę, który zaofiarował się ustrzelić wilka z kuszy. Szkoda bełtu.

Przyjdzie czas, kiedy bardziej im się przyda. Zwłaszcza że w nocy zginęły myśliwskie łuki, pozostawione na ziemi i przysypane śniegiem. Shef zebrał ludzi i rozkazał im przetrząsnąć cały teren aż do pierwotnego miejsca postoju. Znaleźli dwa z czterech łuków, ale tylko jeden kołczan strzał, a ponadto kolejną parę nart i czyjś porzucony worek. Do tego czasu zrobiło się już południe, a oni nie posunęli się naprzód nawet o krok. Kiepski początek, jak na pierwszy dzień złej pogody. Shef zmierzył gniewnym spojrzeniem człowieka, który zgubił worek, a potem w szorstkich słowach udzielił im napomnienia.

- Trzymajcie wszystko przy sobie. Lub na sobie. Nie odkładajcie niczego do następnego dnia. Albo nie będzie już następnego dnia. Każdy musi sam troszczyć się o siebie.

Tymczasem wrócili Thorvin i Ceolwulf, rozgrzani i w dobrych humorach po kilku godzinach spędzonych na konkretnym działaniu.

- Musimy iść tędy - powiedział Ceolwulf, wskazując ręką kierunek. - Jest tam spadek i dolina, a kilka mil dalej coś, co wygląda na drzewa.

Shef rozważał to przez chwilę.

- Dobrze - oświadczył. - Słuchajcie. Mamy towarzystwo, we dwóch nie będziecie już bezpieczni. Wybierzcie czterech najmłodszych i pokażcie im, jak posługiwać się nartami. Potem weźcie ich ze sobą i ruszajcie przodem. Nawet nowicjusze pojedą szybciej niż grzęznący w śniegu piechurzy. Kiedy dotrzecie do drzew, połamcie trochę gałęzi i przywieźcie, ile się tylko da. Ogień doda łądziom otuchy, będzie im łatwiej iść. Postaram się poprowadzić ich jak najszybciej. Uważajcie, żeby nie stracić nas z oczu, i wracajcie natychmiast, jeżeli znów zacznie padać śnieg.

Narciarze pomknęli naprzód, Thorvin i Ceolwulf udzielali rad początkującym i pomagali im podnieść się na nogi. Shef i reszta grupy, szesnastu ludzi wlokących jedno ciało, brnęło z wysiłkiem za nimi, od czasu do czasu grzęznąc w zaspach. Śnieg wpadał im do butów i do rękawic.

Fin Piruusi rozkoszował się śniegiem, pierwszym w tym roku, wczesnym i oczekiwanym. Opuścił swój przytulny skórzany namiot o świcie, polał wodą kościane płyzy sań i pozostawił je, by zamrzły, natarł twarz i narty żółtym sadłem renifera i pomknął przed siebie. Miał nadzieję upolować pardwę lub polarnego zająca, lecz równie dobrze mogło to być cokolwiek, a nawet nic.

Zima stanowiła dla Finów czas wyzwolenia, a jeśli przychodziła wcześniej, oznaczało to, że duchy przodków są dla nich łaskawe.

Kiedy mijał namiot starego Pehto, szamana, ten wyszedł na zewnątrz i pozdrowił go. Piruusi przystanął, marszcząc brwi. Pehto 370 miał zbyt wielką władzę nad duchami, aby się z nim drażnić, ale zawsze domagał się uwagi, szacunku, jedzenia i sfermentowanego mleka.

Lecz nie tym razem. Pehto, chociaż kołysał się jak przystało na szamana i potrząsał grzechotką, to jednak przemówił w miarę rozsądnie.

- Na zachód, Piruusi, wielki łowco, panie reniferów, jedź na zachód, coś się zbliża. Ma wielką moc, Piruusi, i rozgniewało boga.

Ej-jaa! - Zaczął tupać nogami w szalonym tańcu, lecz Piruusi zignorował jego występ.

A jednak skręcił nie opodal niskiego pnia brzozy, której liście zbrązowiały na mrozie, i ruszył łagodnym stokiem w dół, na zachód. Narty syczały cichutko na śniegu, a Piruusi poruszał się zwinnie i bez wysiłku, nie myśląc o tym, co robi. Kijki zawiesił sobie na plecach, bo póki nie zjeżdżał naprawdę stromym zboczem, nie potrzebował ich. Za to trzymał w dłoniach napięty łuk, stale gotowy do strzału. Aby przeżyć zimę na dzikim pustkowiu, trzeba polować przy każdej sposobności. Nie marnować żadnej okazji.

Coś tam było, na pewno. Czyżby ten stary oszust naprawdę zobaczył ich w swojej wizji? Pewnie wstał wcześniej i poszedł popatrzeć, bo widać ich stąd wyraźnie, rozrzuconych na białym puchu.

Przodem sunęli mężczyźni na nartach. Mężczyźni! Przewracali się co sto kroków, gorzej niż chłopcy, jak małe dzieci. A dalej bystre oczy Piruusiego dostrzegły większą grupę, ludzie poruszali się ze zręcznością wołów, brnęli z mozołem, co chwila zakopywali się w śniegu. Ciągnęli za sobajakię sanie.

Piruusi nigdy nie składał fińskiej daniny, lecz jego mieszkający bliżej wybrzeża kuzyni byli do tego zmuszeni. Za tę cenę krwiożerczy ludzie morza pozwalali im latem w spokoju łowić ryby i polować na ptaki. Już najwyższy czas, pomyślał Piruusi, by ktoś złożył norweską daninę. Zawrócił w stronę obozowiska, gdzie kobiety gotowały posiłek nad gorącym płomieniem, jaki dawało suszone łajno reniferów, i skrzyknął mężczyzn z nartami i łukami.

Shef i jego ludzie wzmocnili trochę nadwątlone siły, gdy dotarli do pierwszej kępy drzew, zwykłych karłowatych brzóz, lecz jakże mile widzianych. Shef przykazał narciarzom dołączyć do piechurów, uznał bowiem, że nie powinni tracić się nawzajem z oczu.

- Ukryjemy się wśród drzew, poszukamy miejsca na obóz - zawołał. - Rozpalimy ogień i zjemy coś. Przynajmniej nie będziemy rzucać się w oczy.

Jakby w odpowiedzi, wypuszczona zza drzewa strzała ugodziła

Wifertha, który właśnie mocował się z nartami, w podstawę czaszki. Padł na miejscu, był martwy, zanim jeszcze zwałił się na ziemię.

W chwilę potem powietrze świszczało już od strzał, a wokół zaroilo się od przemykających pomiędzy drzewami, ledwie widocznych postaci, nawołujących się w nieznanym języku.

Ludzie Shefa byli w większości zahartowani w bojach. Natychmiast przypadli do ziemi, rozsypali się szerokim kręgiem, kryjąc się, gdzie kto mógł. Ale strzały nadlatywały zewsząd. Nie miały wielkiej siły przebicia - Shef spostrzegł, jak Ceolwulf krzywi się i bez wysiłku wyciąga grot, który utkwił w jego udzie - lecz trafienie w gardło lub w oko i tak oznaczało śmierć. Strzelający podeszli bardzo blisko.

- Fritha - krzyknął Shef- użyj kuszy! Łucznicy, strzelajcie tylko wówczas, kiedy widzicie cel. Kto nie ma łuku, na ziemię.

Szczęknęła napinana kusza. Cuthred, wykazując własną inicjatywę, wyszedł z ukrycia, odbił tarczą nadlatującą strzałę i stanął tuż za Frithą, by osłaniać jego plecy. Fritha wziął na cel drzewo, za którym chował się Fin, i czekał. Gdy Fin wychylił się, mierząc z łuku, Fritha nacisnął spust.

Trafiony z odległości trzydziestu jardów Fin poleciał do tyłu, żelazny bełt wbił się w jego pierś aż po lotki. Stojący nieco dalej

Piruusi obejrzał się, zdumiony. Norwegowie nie są łucznikami! A poza tym nie dostrzegł łuku. Nie był urodzonym wojownikiem, nie pragnął chwały. Walczył jak wilk, jak drapieжник. Kiedy ofiara stawiała opór, odstępował i czekał. Finowie cofnęli się, wciąż krzycząc i wypuszczając strzały.

- Cóż, łatwo poszło - mruknął Shef i wstał.

- To się jeszcze okaże - odparł Cuthred.

Kilka godzin później, gdy zapadający zmierzch przyniósł zawieszenie broni, sytuacja mniej więcej się wyjaśniła. Drużyna Shefa straciła dwóch ludzi - mieli teraz trzy ciała do niesienia - było też pół tuzina lekko rannych. Kusze lub strach przed nimi trzymały Finów w stosownej odległości, ale Shef wątpił, czy więcej niż kilka wystrzelonych bełtów trafiło w cel. Nie mieli ich już zbyt wiele, a Finowie nauczyli się podkładać, strzelać z ukrycia i znikać wśród drzew. Znajdowali się w lesie, a schronienie, za którym tak tęsknili, okazało się pułapką. Na otwartej przestrzeni ich dalekosiężna broń dawałaby im przewagę. Noc nie wróżyła nic dobrego. Czas ściąć kilka drzew i zapewnić sobie lepszą osłonę. Przynajmniej ludzie dostaną obiecany ogień.

Kiedy pierwsza siekiera uderzyła w pień brzozy, Shef dostrzegł wśród gałęzi dziwny, długi pakunek. Złowieszczo długi pakunek.

Pokazał go Thorvinowi, obaj klęczeli w obawie przed strzałami.

- Co to jest?

Thorvin pogładził brodę.

- Słyszałem, że daleko na północy, gdzie ziemia często jest zamarznięta, umarłych kładzie się na drzewach.

- To jakaś świątynia Finów?

- Świątynia może nie. Ale cmentarz, tak.

Shef powstrzymał gestem człowieka z siekierą, popatrzył na korony okolicznych drzew.

- Rozpalić ogień! - zawołał. - Wielki ogień. Może zapłacą nam okup za swoich umarłych.

Piruusi znowu się nachmurzył. Ogień, który rozpalili Norwegowie, wydobywał z mroku ich sylwetki, czyniąc z nich doskonały cel. Ale zdjęli jego babkę z miejsca jej ostatniego spoczynku! Co jeszcze mogli zrobić? Chyba jej nie spala? Jeśli spala zwłoki, duch utraci ciało, które posiada na tamym świecie, i będzie odwiedzał swoich niedbałych krewnych. Babka sprawiała dostatecznie dużo kłopotów za życia.

Już czas, pomyślał Piruusi, na podstęp. Miał zaprzęzone w re- nifery sanie, gdzie ułożyli swoich zabitych, ułamał gałąź, która zachowała jeszcze nieco liści i pomachał nią na znak, że chce pertraktować, gotów w każdej chwili skryć się wśród drzew, gdyby zobaczył wymierzoną w siebie dziwną broń.

Shef patrzył, jak człowiek w skórzanym płaszczu i spodniach wymachuje gałęzią. Nawet w takim momencie poczuł ukłucie zazdrości na widok pięknie wyprawionej skóry - żony Piruusiego żuły ją przez wiele dni, by nadać jej ową niezwykłą miękkość. Zobaczył czujne napięcie w postawie mężczyzny, odsunął na bok Frithe wraz z jego kuszą, również ułamał gałąź i postąpił kilka kroków do przodu.

Fin zbliżył się na odległość mniej więcej dziesięciu jardów. Gdy

Shef zastanawiał się, w jakim języku będą rozmawiać, Fin rozstrzygnął ten problem za niego i przemówił w łamanym, lecz zrozumiałym narzeczu Północy.

- Wy! - krzyknął. - Po co ogień? Po co ścinać drzewa, ruszać starych ludzi? Wy ich spalić? Oni nie robić wam krzywdy.

- Dlaczego wy strzelać do nas? - spytał Shef w tym samym stylu. - My nie robić wam krzywdy. Wy zabić moich przyjaciół.

-Wy zabić moich przyjaciół-odparował Fin. Shef kątem oka dostrzegł niewyraźny ruch, ktoś przemykał wśród drzew na lewo od niego. Na prawo też. Fin znowu krzyczał, usiłując przyciągnąć jego uwagę - a w tym czasie inni zachodzili go z dwóch stron. Fin próbował wziąć jeńca, a nie rozmawiać. Może oni też powinni spróbować... Jeśli Shef zdołałby zatrzymać na jakiś czas dwóch albo trzech przeciwników, Cuthred ruszyłby mu z odsieczą. Gdyby udało się ich porządnie nastraszyć, może pozwoliliby im przejść. Oczywiście on, Shef, mógłby tego nie przeżyć.

Coś jeszcze ruszało się w lesie. Nie z boku, ale na wprost, za plecami podstępного Fina. Zostawił tam swoje sanie i dwa renifery. Zwierzęta stały spokojnie, wyskubując z ziemi jakieś porosty.

Ale z całą pewnością było tam coś jeszcze.

Oniemiały Shef ujrzał, jak zza karłowatej brzozy wyłania się zwalisty kształt. Echegorgun nie mógł ukryć się za drzewem. Pień miał najwyżej stopę grubości, tylko trochę więcej niż ramię Echegorguna. A jednak to był on, stał i patrzył na Shefa, niewątpliwie świadom, że Shef również go dostrzegł. Jeszcze przed chwilą go tam nie było. A przecież, zadumał się zbity z tropu Shef, przez wiele dni i tygodni szli po otwartym terenie, gdzie nie ukryje się żaden ptak i żadne źdźbło

trawy. W jaki sposób Echegorgun podążał za nimi? Nawet renifery zdawały się go nie widzieć. Nadal spokojnie skubały mech.

Fin zauważył zdumiony wzrok Shefa.

- Ho, ho - zadrwił. - Stara sztuczka. "Patrz za siebie, Piruusi, coś tam jest". Ja patrzeć, twoi ludzie strzelać.

Echegorgun podszedł ostrożnie do jednego z pasących się reniferów, ogromnymi dłońmi ujął łeb zwierzęcia i delikatnie skręcił mu kark. Pod reniferem ugięły się nogi, upadł do przodu, podtrzymywany przez Echegorguna. Tak samo delikatnie i bez pośpiechu Echegorgun chwycił za szyję drugiego renifera.

A potem zniknął, rozpląnął się w cieniu karłowatej brzozy, jakby nigdy go tu nie było, zostawiając po sobie jedyny ślad w postaci pary martwych zwierząt.

Piruusi zorientował się nagle, że Shef nie zwraca na niego najmniejszej uwagi, i odwrócił się ze zwinnością węża. Zobaczył leżące nieruchomo na ziemi renifery. Otworzył szeroko oczy, szczęka mu opadła. Znowu spojrzął na Shefa, na jego twarzy malował się strach i niedowierzanie.

Shef, tym razem całkiem otwarcie, popatrzył w prawo i w lewo, zawołał na Fritnę i wskazał mu skradających się Finów. Im z kolei pokazał wycelowane kusze. Potem podszedł do Piruusiego i martwych reniferów.

- Jak ty to zrobić? - spytał Piruusi. Czyżby Pehto nie skłamał, chociaż to stary oszust? Czy ten dziwny człowiek z jednym okiem i starą włóczniarzczywiście miał w sobie jakąś moc? Dotknął skręconych karków swoich ukochanych, bezcennych, szybkożonogich zwierząt i raz jeszcze spytał: - Jak ty to zrobić?

- Nie zrobiłem tego - odparł Shef. - Ale widzisz, mam przyjaciół w tych lasach. Przyjaciół, których nie możesz zobaczyć i których z pewnością nie chciałbyś spotkać. Może o nich słyszałeś?

Fin najwidoczniej słyszał, ponieważ rozejrzał się trwożnie, jakby lada moment za jego plecami miał pojawić się niewiadomy stwór i zacisnąć palce wokół jego szyi. Shef trącił go w ramię końcem włóczni.

- Żadnego więcej strzelania-powiedział. -Żadnych więcej sztuczek. Chcemy się ogrzać, zjeść. Dajemy złoto, srebro. Idziemy do

Jarnberalandu. Znasz Jarnberaland?

W oczach mężczyzny pojawił się błysk zrozumienia, a zarazem wątpliwość.

- Ja pokazać wam Jarnberaland - oświadczył. - Najpierw my razem pić. Pić... - przez chwilę nie mógł znaleźć słowa. - Pić razem napój widzenia. Ty, ja, Pehto.

Shef nie zrozumiał, ale skinął głową na znak zgody.

Rozdział dwudziesty szósty

JN astępnego dnia wieczorem Piruusi przyniósł Pehto zwyczajowe dary: bryłę soli, bukłak cuchnącego, na wpół zjełczałego masła z mleka renifera, krwawą kieszkę wypchaną obficie tłuszczem, i wyprawioną, przeżutą skórę renifera. Dołączył do tego parę miękkich butów z cholewami obwiązywanych ciasno czerwonym rzemieniem, jako dodatkowy upominek. Pehto, jak można było przypuszczać, obejrzał podarunki bez zbytniego zainteresowania i dwukrotnie odmówił ich przyjęcia. Za trzecim razem przesunął dary w stronę wejścia do namiotu i zawołał swą bardzo starą, co najmniej czterdziestoletnią żonę, aby wyszła i zabrała je.

- Dla ilu? - spytał.

- Dla mnie i dla ciebie. Dla przybysza z jednym okiem i jego przyjaciela.

Pehto zamyślił się. Nadeszła jego chwila. Nie chodziło o moc, jaką dysponował - w takim wypadku nie musiałby odmawiać - lecz o to, że znajdował się w centrum uwagi. Postanowił nie wykorzystywać tego do końca. Podarunki, które przyniósł Piruusi, były rzeczywiście cenne - tak cenne, że Pehto sam chciał się dowiedzieć, co skłoniło łowcę do takiej hojności.

- Przyjdźcie, kiedy się ściemni - powiedział.

Piruusi oddalił się, nie wyrzekłszy już ani słowa. Choć szaman utrzymywał, że potrafi sięgać wzrokiem daleko i widzieć rzeczy ukryte, to jednak nie wiedział czegoś, co wiedział Piruusi. Kiedy

Piruusi zażądał odszkodowania za dwa zabite renifery, jednooki zdjął z ramienia złotą bransoletę i wręczył mu ją bez zbędnych ceregieli.

Owszem, zabrał renifery, lecz zwrócił cenne skóry, również bez słowa. Piruusi nieczęsto widywał wcześniej złoto, żółte żelazo, jak mówiło jego plemię, ale dobrze wiedział, jaką wartość przedstawia ono dla Norwegów, z którymi od czasu do czasu handlował. Za bransoletę o takiej wadze mógł kupić wszystko, co posiadali jego pobratymcy, z wyjątkiem ich stad reniferów.

Mimo to dziwny przybysz nie był zupełnie szalony. Kiedy Piruusi zaczął domagać się odszkodowania również za dwóch zabitych strzałami z kuszy, jednooki pokazał mu swoich poległych i nie powiedział nic więcej. Piruusi zauważył także dziki błysk w oczach wielkiego człowieka z kolczastą tarczą i mieczem. Lepiej nie wchodzić w drogę takim ludziom, mającym konszachty z duchami. Pozostawała jeszcze kwestia martwych reniferów. Po namyśle Piruusi doszedł do wniosku, że przybysz jest potężnym szamanem Norwegów, chociaż do tej pory jeszcze nikogo takiego nie spotkał. Musiał posiadać zdolność wcielania się w inną istotę i w tej postaci, zapewne niedźwiedzia, zabił renifery, kiedy jego ludzka powłoka wciąż stała przed Piruusim.

Będą wiedzieli więcej, kiedy wypiją napój widzenia. Piruusi ruszył żwawo do namiotu i przywołał najmłodszą ze swych żon, mając zamiar przyjemnie spędzić czas, dopóki się nie ściemni.

Shef wybrał się na obchód prowizorycznego obozu z Hundem u boku. Dwa zabite renifery zniknęły w ciągu kilku zaledwie godzin, gdyż wygłodniali mężczyźni i kobiety czym prędzej rozpalili ognisko i zaczęli piec nad nim kawałki świeżego mięsa. Kiedy zaspokoił już pierwszy głód, rozgrzali w ogniu kamienie, położyli na nich resztę mięsa i czekali, aż stanie się kruche. Z początku jedli je prawie na surowo. Shef przypomniał sobie pierwszy moment upojenia, prawie jak po zimowym piwie, kiedy przełknął kawałek świeżej wątroby. I jeśli dzień wcześniej marzył o grubej pajdzie chleba z masłem, tak teraz zaczął się zastanawiać, dlaczego nie spróbował zgnieić wątroby rekina, gdy miał po temu okazję.

- Jak oni się czują, twoim zdaniem? - spytał Shef.

- To zdumiewające, jak szybko doszli do siebie - odparł Hund. Jeszcze dwa-dni temu bałem się o Udda. Był bardzo słaby. Już myślałem, że go stracimy, tak jak straciliśmy Godsibb, nie przeżyłby nocy na mrozie. Teraz, kiedy zjadł trzy solidne posiłki i przespał się przy ogniu, może ruszać w dalszą drogę choćby dziś. Jednak martwi mnie co innego. Ludziom otwierają się stare rany, takie, które zabiły się wiele lat temu.

- Dlaczego?

- Kto to wie? Ale to się zdarza pod koniec wiosny, kiedy przez dłuższy czas ludzie jedzą tylko żywność z zimowych zapasów.

Wszyscy lekarze Ithun wiedzą, że jeśli dasz ludziom świeże warzywa, kapustę lub marchew, natychmiast odzyskują siły. Cebula i czosnek też są dobre. Chleb nie.

- To nie jest koniec wiosny, tylko początek zimy, wczesnej zimy.

- To prawda. Ale jak długo żyliśmy na okrętowych racjach? I co jedliśmy na Hrafnsey? Głównie suszone mięso albo suszone ryby.

Musimy mieć świeżą żywność, jeść ją na surowo. Myślę, że surowe, czy na wpół surowe mięso, które jedliśmy wczoraj, dobrze nam zrobiło. Powinniśmy zabrać go ze sobą więcej, póki nie dotrzemy do kopalni Drogi. Będą tam mieli kapustę i cebulę, oczywiście kiszoną.

Shef przytaknął. Wszystko to wydało mu się trochę dziwne, tak jakby żywność nie była tylko rodzajem opału, który się spala, i wystarczy po prostu mieć go pod dostatkiem. Nigdy nie słyszał o krowach, owcach, koniach, albo psach czy wilkach, które chorują tylko dlatego, że jedzą ciągle to samo. Zmienił temat.

- Czy wiesz, co to za napój mamy pić dziś wieczorem z wodzem

Finów?

- Będę wiedział, kiedy go zobaczę, powącham i spróbuję. Ale jeśli wywołuje wizje, to wybór jest niewielki. To może być słaby wywar z czarnego ziela, którym Ragnhilda potraktowała swojego męża, albo z trującej wilczej jagody. Chociaż wątpię, by rosły na takim pustkowiu.

Bardziej prawdopodobne... - cóż, zobaczmy. Coś ci powiem, Shef.

Hund odwrócił się i popatrzył na Shefa z niezwykłą powagą.

- Znamy się już od dawna, więc poznałem cię dobrze. Jesteś upartym człowiekiem, nawet bardzo upartym. Ale pamiętaj, jesteś teraz w obcym kraju, bardziej obcym niż Hedeby, niż Kaupang, niż

Hrafnsey. Mogą cię prosić, abyś robił rzeczy, które wydadzą ci się ponizające. Oni nie chcą cię skrzywdzić. Jeśli wódz coś zrobi, zrób to samo.

-A ty?

- Jestem lekarzem. Moim zadaniem jest siedzieć, patrzeć i czuwać, by nie stało ci się nic złego. Weź kogoś innego, kto będzie z tobą pił, jeżeli tego właśnie oczekują. Ale rób to, czego się po tobie spodziewają.

Shef przypomniał sobie czasy ich wspólnej młodości i przysłowie, które zwykł powtarzać ojciec Andreas.

- Kiedy znajdziesz się w Rzymie, zachowuj się jak Rzymianin, to masz na myśli?

- Można to powiedzieć również inaczej. Jeśli trafisz między wilki, musisz nauczyć się wyć.

Niedługo potem Shef, z włączniaw dłoni, powiodł Hunda i Karliego w kierunku fińskich namiotów, oddalonych o jakieś ćwierć mili od ich własnego obozowiska. Czuł się odprężony, a nawet odrobinę podniecony, jakby udawał się na popijawę w Emneth w czasach swojej młodości, nie zaś szedł odprawiać dziwaczne obrzędy z ludźmi, którzy nie tak dawno próbowali go zabić. Przemyslał swoje odczucia i odgadł, dlaczego tak jest. Nie ciążyła mu przytłaczająca obecność Cuthreda. Ze zrozumiałych względów nie było nawet mowy o tym, by składał wizyty obcym, którzy mogli sprowokować go przez czysty przypadek. Również Karliemu najwyraźniej ulżyło. Przyglądał się bacznie każdemu z Finów, przemykających od czasu do czasu po śniegu na swoich nartach.

- Muszą być wśród nich kobiety - zauważył w pewnym momencie.

Shef poprowadził ich do znanego mu z opisu namiotu czarownika. Jedna poła była odchylona, zasuszony stary człowiek gestem zaprosił ich do środka, gdzie siedział już wódz Piruusi. Na widok trzeciego gościa Piruusi najwyraźniej się zirytował.

- Tylko dwóch - powiedział, unosząc w górę dwa palce. - Nie starczy dla trzech.

- Ja nie będę pił - odparł uprzejmie Hund. - Przyszedłem jedynie popatrzeć.

Piruusi nadal wydawał się niezadowolony, milczał jednak, a w tym czasie stary człowiek pokazał im, by usiedli na skórzanej podłodze i wręczył każdemu brzożową plecionkę pod plecy. Zaintonował monotonną pieśń, potrząsając od czasu do czasu grzechotką.

Gdzieś poza namiotem odezwał się do wtóru mały bębenek.

- Wzywa duchy, aby nas prowadziły - powiedział Piruusi. - Ile reniferów chcesz za tę złotą obręcz na drugim ramieniu? Mogę ci dać dwa, tłuste, chociaż nikt nie dać ci więcej niż jeden.

Shef wyszczerzył zęby i ze swej strony zaproponował trzy srebrne pensy za trzy renifery, jeden pens do zwrotu w zamian za skóry.

Piruusi uświadomił sobie z niejaką ulgą, że jego gość nie jest jednak zupełnie szalony, zarechotał z uznaniem i ponowił ofertę.

Gdy wreszcie dobili targu - dziesięć srebrnych pensów i złoty pierścień na palec za pięć reniferów, skóry do zwrotu, i dwadzieścia funtów ptasiego puchu na śpiwory - Pehto skończył śpiewać. Bez zbędnych ceremonii, a postawa taka zdawała się cechować wszystkich Finów, wychylił się z

namiotu i z rąk, które wcześniej uderzały w bębenek, przyjął okazałych rozmiarów dymiące naczynie.

Napełnił po kolei cztery duże, sosnowe kubki i wręczył po jednym

Piruuśsiemu, Karliemu i Shefowi, czwarty zatrzymując dla siebie.

- Pić - powiedział w języku Północy.

Shef bez słowa wręczył swój kubek Hundowi, który powąchał ostrożnie parujący płyn, a następnie umoczył w nim palec i oblizał go. Oblicze Piruusiego rozjaśniło się. Wreszcie zrozumiał, jaką funkcję pełni trzeci człowiek. Próbuje napojów i pokarmów. Jednooki musi być niezwykle ważną osobistością, skoro ma u swego boku kogoś takiego.

- To woda, w której gotowano muchomory.

-Można ją pić?

- Myślę, że ty możesz. Jesteś przyzwyczajony do takich rzeczy.

Przypuszczam, że Karliemu także nie zaszkodzi.

Shef wznosił kubek, skłonił się uprzejmie gospodarzowi i upił duży łyk. Wszyscy wokół uczynili to samo. Shef zauważył, że do dobrego tonu należy wypić trzecią część, odczekać, znowu wypić trochę, znowu odczekać i dopiero wtedy opróżnić kubek. Gorący płyn smakował pleśnią i miał w sobie odrobinę goryczy: nie był zbyt smaczny, ale i tak lepszy niż wiele rzeczy, które kazał mu połykać

Hund. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, zatopieni we własnych myślach.

Shef poczuł, jak duch opuszcza jego ciało, wylatuje przez usta i przez ścianę namiotu na otwartą przestrzeń, krąży jak ptak ponad czarnym lasem i rozciągającą się wokół wielką białą równiną. Zauważył jezioro, częściowo zamrożone, po drugiej stronie lasu, całkiem niedaleko: Ceolwulf miał rację. Lecz jeśli jego umysł przyglądał się temu z ciekawością to jego duch nie. Mknął w dal, na podobieństwo błyskawicy, kierując się na zachód. Gdy szybował ponad ziemią i morzem, szybki jak myśl, na świecie znów zrobiło się jasno.

Tam, gdzie się unosił, wciąż jeszcze trwał wieczór, nie noc. Wciąż jeszcze jesień, nie zima.

To było Hedeby. Shef rozpoznał wzgórze za murami, gdzie kiedyś siedział i gdzie zobaczył straszną klęskę i krwawą ofiarę, wydarzenia sprzed wielu lat. Ale spokój, jakim tchnęło to miejsce, kiedy oglądał je po raz ostatni, przysł. Nie widział zaoranych pól ani dymiących kominów. Zamiast tego zobaczył namioty, wielki obóz pod murami miasta i ludzi na murach. Przypominało to oblężenie Yorku, który Shef szturmował i zdobył przed dwoma laty.

Z wyjątkiem dwóch rzeczy. Nie były to kamienne rzymskie mury, lecz drewniane wały, a obrońcy nie stali beczynnymi pod ich osłoną.

Wielu wyszło na zewnątrz, potykali się z oblegającymi, walczyli na miecze, włócznie i topory, wybiegali przez bramy i furtki, urządzali wycieczki, po czym wracali w popłochu lub w chwałę za palisadę.

Shef z wolna zdał sobie sprawę, że w owym pozornym zamieszaniu jest jednak wyraźny zamysł. A kiedy już go odkrył, nabrał przekonania, że nie ogląda przeszłości ani mitycznych wydarzeń, ani czegoś, co mogłoby kiedyś nastąpić. To, co widział, rozgrywało się w tym samym momencie, kiedy on siedział w namiocie Fina. Była to wizja, ale wizja rzeczywistości, nie wymagająca interpretacji.

Oblegający próbowali ustawić katapulty - muły na wzgórzu, gdzie kiedyś siedział Shef obrońcy usiłowali im w tym przeszkodzić. Bez skutku. Lecz na razie grali tylko na zwłokę. Rozległ się głos rogu i obrońcy wycofali się. Na wałach, naprzeciwko trzech mułów, które ustawili oblegający, pojawiło się sześć, dziesięć, dwanaście prostych machin, miotaczy kamieni, wynalezionych swego czasu przez

Shef a. Ustawiano je właśnie na platformach, przylegających do palisady.

Załogi, po ośmiu ludzi na każdą maszynę, napięły liny, opuszczały długie ramiona, umieszczały kamienie w procach. Miotacze wystrzeliły wszystkie naraz - prawie jednocześnie, Shef dostrzegł wprawnym okiem błąd niezdyscyplinowanych wikingów - ramiona za mocno szarpały, kieszeń procy odpinała się zbyt wcześnie.

Deszcz kamieni spadł wokół mułów, pociski o wadze dziesięciu funtów nadlatywały łukiem z siłą wystarczającą by wgnieść hełm w czaszkę, a czaszkę w ramiona. Ale wszystkie spadały obok. Cały kłopot z miotaczami kamieni polega na tym, przypominał sobie Shef, że bardzo łatwo strzelać z nich w określonym kierunku, bardzo trudno natomiast wymierzyć precyzyjnie dystans. Pociski wyrzucane są po torze zakrzywionym, nie prostym. Wszystko dobrze, kiedy naprzeciwko stoi armia rozciągnięta w długą kolumnę. Lecz jeśli trzeba trafić w konkretny cel, przypomina to wrzucanie kamieni do wiadra z odległości trzydziestu jardów.

W miarę jak patrzył, dostrzegał coraz więcej szczegółów. Rozpoznał właśnie tłustą, lecz mimo to groźną sylwetką króla Hrorika, który sprzedał go kapłanom Drogi. Hrorik, w srebrnym hełmie na głowie i z pomalowaną tarczą w ręku, stał na wałach i krzyczał w odległym namiocie wśród brzoź z ciała Shefa wyrwał się zdumiony jęk - krzyczał na Lullę, który porzucił swego pana podczas thingu w Gula. A więc to Hrorik tak dobrze placil ludziom obeznanym z maszynami.

Lulla, jak dostrzegł Shef próbował przygotować do strzału muła, a Edwi, następny uciekinier, dziesięć jardów dalej majstrował przy drugiej maszynie. Obaj mieli kłopoty. W odróżnieniu od względnie lekkich miotaczy kamieni, przystosowanych do siły ludzkich mięśni, muły buduje się z ciężkich belek, aby mogły wytrzymać potężny wstrząs, z jakim ramię wyrzutni uderza w poprzeczkę. Trudno było je wciągnąć na pomost przy palisadzie, lecz uporano się z tym za pomocą drewnianych dźwigów, a teraz obaj Anglicy uwijali się wokół machin, próbując samodzielnie zrobić i sprawdzić wszystko, do czego normalnie potrzebna jest ośmioosobowa załoga.

Wyglądało na to, że się spóźnią. Oblegający... Kim byli oblegający? Z uczuciem narastającej grozy Shef rozpoznał powiewający nad polem bitwy Kruczy Sztandar i zebranych wokół swego znaku trzech Ragnarssonów. Nawet z tej odległości niezwykle, białe źrenice Wężookiego zdawały się przewiercać na wskroś wały i umocnienia, a Shef wzdrygnął się, kiedy przenikliwe spojrzenie przeszło i jego. Ragnarssonowie zwoływali ludzi, podrywali ich do ataku, ponieważ wiedzieli...

Ich muły wystrzeliły jako pierwsze. Tylko dwa. Trzeci został trafiony z miotacza kamieni w dźwignią spustową a jego załoga, z wyjątkiem leżących w pobliżu rannych, starała się właśnie wyprostować zgięty metal. Ale dwa w zupełności wystarczyły. Jeden strzelał nisko, jego pocisk uderzył w wał ziemny u podnóża palisady, odbił się i przeleciał ponad częstokołem. Drugi trafił w samą palisadę i wybił w niej otwór o szerokości trzech drewnianych bali. Atakujący rzucili się w tamtą stronę, lecz zostali powstrzymani i zmuszeni do odwrotu.

Lulla przygotował tymczasem swoją machinę i wołał do króla

Hrorika, który krzyknął coś w odpowiedzi i uderzył go w plecy płazem miecza. Lulla przyklęknął za mułem i zaczął wydawać ochryple komendy - wyraźnie zbiły one z tropu jego załogę - korygując kierunek i kąt strzału. Potem, wciąż przynaglany przez spoconego Hrorika, zwolnił spust.

I trafił! Shef usłyszał chór rozradowanych głosów, nie był pewien, czy któryś z nich nie należał przypadkiem do niego. Jeden z nieprzyjacielskich mułów, ugodzony ciężkim pociskiem, rozleciał się na kawałki, a jego załogę powaliły fruujące w powietrzu odłamki i uwolnione raptownie, naprężone liny.

Edwi wystrzelił w chwilę później. Początkowo Shef nie widział pocisku, potem, spostrzegłszy, jak Ragnarssonowa załoga kuli się instynktownie, zdał sobie sprawę, że przeszedł on górą, o stopę za wysoko, i spadł na ziemię pół mili dalej.

Teraz przyszła kolej na Ragnarssonów; ich trzeci muł został tymczasem naprawiony. Shef ujrzał, jak dowódcy załóg wymienili spojrzenia, podnieśli ręce na znak, że są gotowi, i opuścili je w tej samej chwili, dając sygnał do strzału. Opanowali to bardzo dobrze. Kto ich tego nauczył? Inni uciekinierzy? Wielu ludzi znało działanie machin, żołnierze z armii Shefa czy Ivara, a nawet ich pierwsi konstruktorzy, czarni mnisi z Yorku.

Unoszący się pod niebem duch Shefa przez chwilę patrzył na przelatujące w powietrzu kamienie, jak gdyby poruszały się one w gęstym syropie. Mógł przewidzieć ich tor, zobaczyć, gdzie uderzą spróbować posłać ostrzeżenie. Potem czas znów zaczął płynąć z normalną prędkością. Shef zobaczył, jak wystrzelone gązdy przebijają drewniane bale, roztrącają na boki przygotowane do strzału maszyny, jak z wrzaskiem i hukiem sypią się z wałów kawałki drewna, liny, kamienie i ludzie. Na ziemi leżał Lulla. Patrzył w górę, próbując się podnieść, w czym przeszkadzała mu złamana ręka, a wprost na niego spadał zmieciony z pomostu, wazący tonę i ćwierć muł.

Shef odwrócił wzrok, gdy usłyszał głuchy łoskot i trzask pękających żeber. Nigdzie nie widział Edwiego. Siły Ragnarssonów płynęły strumieniem w kierunku wyłomu w wałach. Stał tam król Hrorik, ze wzniesionym mieczem, zwołując ludzi. Za nim inni wznosili naprędce szaniec, bitwa jeszcze nie została przegrana...

W namiocie Shef poderwał się z krzykiem na nogi.

- Wojownicy wokół Hedeby! - Powoli uświadomił sobie, gdzie jest, zobaczył, że inni są zupełnie przytomni i patrzą na niego. Otarł zimny pot z czoła i mruknął: - Widziałem... widziałem oblężenie.

W Danii.

Piruusi zrozumiał słowo "Dania", o której wiedział, że leży bardzo daleko, i uśmiechnął się. Z pewnością ten człowiek był wielkim szamanem Norwegów. Jego duch przemierzał ogromne przestrzenie.

- Co widziałeś? - spytał Shef Karliego.

Karli spuścił wzrok, na jego twarzy malowała się niezwykła konsternacja.

- Och. Dziewczyne - powiedział cicho.

Wódz Finów znał również i to słowo, klepnął Karliego w plecy z radosnym uśmiechem. Powiedział coś, czego Shef nie rozumiał, a potem to powtórzył. Shef spojrzał bezradnie na Hunda.

- Pyta, czy nie chcesz się wysikać?

Shef uświadomił sobie, że w istocie uciska go pęcherz. Kubek mieścił przynajmniej kwartę dziwnego napoju, a on siedział w transie zapewne z godzinę.

- Tak - odparł. - Ee, gdzie?

Stary człowiek wyciągnął następne naczynie, nieco większe, również z wydrążonego pnia sosny. Postawił je na ziemi, uczynił zapraszający gest, a drugie naczynie postawił przed Piruusim, który zaczął mocować się z zasznurowanymi spodniami - miał na sobie zimowe ubranie, więc nie szło mu to łatwo. Shef rozejrzał się, nieco zmieszany, wołałby wyjść na zewnątrz. Najwidoczniej tutaj nie było to przyjęte. Zapewne przez większą część roku można nabawić się odmrożeń, wychodząc w tym celu z namiotu. Wyzbywszy się zahamowań, poszedł za przykładem swoich gospodarzy, podobnie jak

Karli.

Stary Fin podniósł naczynie Piruusiego, przelał parujący płyn do kubka Shefa i wręczył mu go. Shef cofnął się ze wstrętem i odsunął jego rękę. Wywołało to niezrozumiały potok gniewnych słów z ust obu Finów. Potem stary Pehto wziął z kolei naczynie Shefa i wlał jego zawartość do kubka Piruusiego. Piruusi przyjął kubek, uniósł go i bez pośpiechu wypił trzecią część.

- Pamiętaj, co ci mówiłem - powiedział cicho Hund. - Jeśli trafisz między wilki... Myślę, że chodzi o okazanie zaufania. Ty pijesz to, co przeszło przez niego, on pije to, co przeszło przez ciebie, dzielicie się swoimi wizjami.

Piruusi najwidoczniej pojął sens słów małego medyka, ponieważ gorliwie przytaknął.

Shef zobaczył, jak Karli i Pehto wymieniają się kubkami, i zrozumiał, że nie ma wyboru. Powoli uniósł kubek, poczuł mocny, zwierzęcy zapach, opanował mdłości i wypił trzecią część. Usiadł i wypił następną trzecią część. Zgodnie ze zwyczajem odczekał chwilę i wypił resztę.

Tym razem jego duch uleciał szybciej, tak jakby nabrał już wprawy. Lecz choć pomknął daleko, nie zmieniła się pora roku i nie zaświeciło słońce. Otoczył go mrok. Mrok w jakiejś biednej wiosce; Shef widział wiele takich, w Norwegii, w Anglii, w Ditmarsh. Wszystkie wyglądały mniej więcej tak samo: jedna błotnista ulica, bezładne skupisko budynków, w środku domy, na obrzeżach zaś, na skraju otaczającego wioskę lasu, stodoły, obory i chlewy.

Znalazł się we wnętrzu stodoły. Byli tam również jacyś ludzie, klęczeli w równych rzędach na gołej ziemi. Shef bez trudu domyślił się, co robią. Przyjmowali chrześcijańską komunię, ciało i krew swego boga, który kiedyś był także jego bogiem. Tylko że ojciec

Andreas nigdy by nie pozwolił na tak żalosalną ceremonię, w wypełnionej workami stodole, gdzie płonęły jedynie dwie świece. Nie pozwoliłby na to również Wulfgar, ojczym Shefa. Dla niego msza była okazją by policzyć swoich dzierżawców, upewnić się, czy wszyscy są obecni, i biada temu, kto ważyłby się nie przyjść! Była to uroczystość publiczna. Ta odbywała się jakby po kryjomu.

Odprowadził ją wychudły kapłan, którego twarz świadczyła o wielu przeżytych udrękach. Shef nie przypominał go sobie. Lecz za nim, niosąc naczynie z winem, dopełniającym skąpego posiłku z opłatka - szedł diakon Erkenbert. Był zaledwie diakonem, nie mógł więc celebrować mszy. A jednak w niej uczestniczył. To też wydawało się dziwne, ponieważ jego zwierzchnicy, mnisi z Yorku, z pewnością nie pozwoliliby na to, aby jeden z nich brał udział w tak skromnej i pospolitej uroczystości.

Shef zdał sobie sprawę, że wierni są niewolnikami. A mówiąc ściśle, thrallami. Nosili obręcze na szyi, większość z nich. Obręczy nie miały jedynie kobiety. Biedne, stare kobiety. Tak właśnie narodził się chrześcijański kościół, przypomniał sobie Shef. Wśród rzymskich niewolników i wyrzutków.

Niektórzy z obecnych obejrzeni się trwożnie, słysząc dobiegający z zewnątrz odgłos ciężkich kroków i podniesione głosy. Shef zobaczył inny obraz. Wiejską ulicą nadciągało kilkunastu rozwścieczonych mężczyzn, zbliżali się, rozmawiając głośno między sobą. Mówili z twardym, szwedzkim akcentem, jak Guthmund. Byli to więc prawdziwi Szwedzi, z samego serca Szwecji.

- Odrywają moich thrallów od pracy I - krzyknął jeden z nich.

- Zabierają ze sobą kobiety i kto wie, w co się potem zamienia to ich święto miłości!

- Pokażemy im, gdzie jest ich miejsce. I tym klechom też! Zgodnie z prawem powinni nosić obręcze.

Idący na czele mężczyzna podwinął rękaw, odsłaniając muskularne ramię. Niósł ciężki, rzemienny bicz. Na ten widok przez plecy

Shefa przeszedł bolesny skurcz.

Kiedy Szwedzi podeszli do drzwi tymczasowego kościoła, z cienia wyłoniły się dwie postacie. Mężczyźni w zbrojach i głębokich hełmach, z osłonami na policzki. Trzymali w dłoniach krótkie piki, lecz mieli też przy pasane miecze.

- Czy przyszlście do kościoła, aby się modlić? - spytał jeden z nich.

- Jeśli tak, nie będzie wam potrzebny bicz - powiedział drugi.

Szwedzi zawahali się, a potem stanęli ciasnym półkolem. Nie wzięli ze sobą żadnej broni prócz noży, zapewne nie spodziewali się oporu, lecz byli rośli, wściekli, nawykli do rozkazywania i mieli przewagę, sześciu na jednego. Z powodzeniem mogli wdrzeć się do środka.

W ciemnościach nocy czyjś głos szczechnął krótką komendę i zza rogu stodoły wymaszerowali podwójną kolumną ludzie w zbrojach.

Szli równym, miarowym krokiem, ku zdumieniu Shefa, który jeszcze nigdy czegoś podobnego nie widział. Znów padła krótka komenda, zbrojni zatrzymali się i wykonali zwrot w kierunku Szwedów. Potem, już bez dalszych rozkazów, pierwszy szereg wystąpił trzy kroki do przodu, zatrzymał się, a pochylone piki nieomal dotknęły piersi najbliższego Szweda. Zbrojni zamarli w bezruchu.

Spoza nich wyłonił się nagle Bruno, germański wojownik, którego Shef spotkał niegdyś w Hedeby. Wydawał się rozbawiony i uprzejmy, jak zwykle. Dłoń trzymał na rękojeści miecza, wysunął ostrze z pochwy na kilka cali i zaraz ponownie je schował.

- Wolno wam wejść do kościoła, a jakże - powiedział. - Będzie nam miło. Ale musicie zachowywać się jak należy, pamiętajcie o tym.

Jeśli przyszło wam do głowy, że warto sprawdzić, kto jest w środku, by potem zemścić się na tych ludziach... - W jego głosie zabrzmiała twarda nuta. - Nie radzę. Niejaki Thorgisl tak postąpił, mieszkał niedaleko stąd.

- Spalono go w jego domu - powiedział jeden ze Szwedów.

- Właśnie. Spalono na popiół. Ale, czyż to nie dziwne, nikt z jego domowników nie ucierpiał, a wszyscy jego thrallowie uciekli. Musiała w tym być ręka Boga.

Jego dobry nastrój nagle zniknął. Bruno rzucił na ziemię miecz w pochwie i podszedł do człowieka, który wciąż ścisnął w rękę bicz.

- Kiedy wrócisz do domu, bydlaku, powiesz: " Och, oni mieli broń, a my nie ". Ale masz przecież nóż, wieprzu, i ja też. - Błysk, i Bruno już trzymał w dłoni długie, jednosieczne ostrze z mosiężną rękojeścią. - Och, i proszę, masz jeszcze bicz. Więc może zwiążemy sobie nadgarstki, a ja nauczę cię tańczyć!

Bruno popatrzył z dołu na wielkiego mężczyznę i uczynił ruch, jakby chciał złapać go za rękę. Twarz mu drgała, wyglądał zupełnie jak Cuthred. Ale ogromny Szwed miał już dość. Powiedział coś, czego nikt nie usłyszał, odwrócił się i odszedł w głąb ciemnej ulicy. Inni podążyli za nim. Dopiero gdy oddalili się na bezpieczną odległość, ponownie dały się słyszeć ich gniewne głosy. Ze stodoły, zamienionej tymczasowo na kościół, dobiegła nagle pieśń. Shefnie zrozumiał z początku zniekształconych, łacińskich słów, lecz wówczas germańscy Ritters zwarli ciasniej szeregi i też zaczęli śpiewać. *Vexilla regis prodeunt...* Sztandary zwiastują przyjście Króla...

W komnacie, niezbyt odległej od tamtego miejsca, ziemski król w złotej koronie na długich, jasnych, splecionych w warkocze włosach słuchał gromady doradców, którzy otaczali go ciasnym kręgiem. Mieli na sobie bogate szaty, lecz w dłoniach trzymali osobliwe przedmioty: grzechotki, ususzone końskie penisy i białe, lśniące czaszki.

-... żadnego szacunku dla bogów! - krzyčili. - Nieszczęścia spadają na twoje królestwo. Chrześcijanie włóczą się po kraju i nikt ich nie powstrzyma. Odplynęły ławice śledzi, zbiory są marne, a śnieg jeszcze nigdy nie spadł tak wcześnie. Zarządź temu, albo spotka cię los głupiego króla Orma!

Król wznosił rękę.

- Co powinienem uczynić?

- Złóż wielką ofiarę. Prawdziwą ofiarę w Uppsali. Nie dziewięć wołów, dziewięć koni i dziewięć psów. Wypleń wszelkie zło z twego królestwa. Zniszcz całą truciznę. Dziewięćdziesięciu mężczyzn i dziewięćdziesiąt kobiet musi zawisnąć na świętych drzewach, a krew wielu innych wsiąknąć w ziemię. Nie krew starych, niedołączonych, kupowanych za bezcen niewolników, ale prawdziwych złoczyńców.

Chrześcijan, czarownic, czarowników, Finów i kłamliwych kapłanów Drogi do Asgardu! Powieś ich wysoko, a zyskasz łaskę bogów.

Oszczędź ich, a znów będziemy spoglądać na Eiriksgata.

Droga Jedynego Króla, przypomniał sobie Shef słowa Hagbartha. Droga, którą musi przebyć przyszły król Szwedów, przyjmując każde wyzwanie Ten król musiał po niej kroczyć.

- Dobrze więc - rzekł król grzmiącym głosem. - Tak właśnie uczynię.

Shef zobaczył teraz wielkopogańską świątynię w Uppsali, jej ostre, spadziste dachy, spiętrzone wysoko, ozdobione na rogach głowami smoków, a na drzwiach fantastyczne płaskorzeźby z czasów mitycznych królów. Nie opodał wznosił się święty dąb, gdzie Szwedzi od tysiąca lat składali swoje ofiary. Skrzypiały zgięte pod ciężarem gałęzie. Kołysały się na nich ciała mężczyzn, kobiet, psów, a nawet koni.

Wisiały tam, póki nie zgniły i nie spadły, ziejąc pustymi oczodołami, szczerząc obnażone zęby. Nad całą okolicą unosił się święty fetor.

Shef znów był w namiocie, wracała ostrość widzenia. Tym razem nie poderwał się na nogi, zmęczenie i groza przytłaczały go.

- Co ty widzieć? - spytał Piruusi. On też wydawał się zmęczony, jakby zobaczył coś, czego nie chciał oglądać, lecz był nie mniej przejęty.

- Śmierć i niebezpieczeństwo. Dla mnie, dla ciebie. Szwedzi.

Piruusi splunął na podłogę namiotu Pehto.

- Szwedzi zawsze niebezpieczeństwo. Jeśli nas znaleźć. Może ty też to widzieć?

- Jeśli zobaczę to wyraźnie, powiem ci.

- Chcesz więcej sikać?

- Więcej nie.

- Więcej tak. Ty wielki - wielki spamathr. Pić to, co przejść przez nasz spamathr.

Jak to jest po angielsku, zastanawiał się mglście Shef. Mężczyzna mógł być wicca, kobieta wiece. Tęga głowa. Tęgi to gruby, tłusty. Tłusty poleć słoniny. Jak poćwiartowana ludzka tusza, wisząca w wędzarni.

Podniósł się z trudem i stanął nad naczyniem.

Wiedział, że ostatnie dwie sceny rozgrywały się " teraz ". Nie " tutaj ", to znaczy nie w namiocie fińskiego czarownika, ale " tutaj " na świecie. Jego duch przemieszczał się tylko w przestrzeni.

Tym razem nie było to ani " tu ", ani " teraz", nie w tym znaczeniu. Znalazł się innym świecie. Czuł, że przebywa pod ziemią w jakimś miejscu bez światła, gdzie jednak dochodził skądś nikły blask.

Kroczył przez ogromny, sklepiiony most, w dole z hukiem płynęła rwąca rzeka. Dochodził już do końca mostu, lecz coś zagradzało mu drogę. Nie mur. Raczej sieć. To była włók-ściana, która broniła dostępu do Hel. Dziwne, ponieważ "włók" oznaczał także śmierć wielorybów.

Na sieć napierały i patrzyły na Shefa twarze, których nie miał ochoty oglądać. Mimo to szedł dalej. Tak jak się obawiał, pierwsza wykrzywiona nienawiścią twarz należała do Ragnhildy, która wypluwała z siebie pełne goryczy słowa, szarpiąc siecią jakby chciała rzucić się na niego. Ale sieci nie mogła naruszyć ręka człowieka, żywego czy umarłego. Z piersi Ragnhildy kapały ciężkie krople krwi.

Za nią stał mały chłopiec o zdziwionych oczach. Nie było w nich nienawiści, chyba nie rozpoznawał Shefa. Chłopiec odskoczył gwałtownie, kiedy inna postać wyciągnęła ku niemu rękę, aby przycisnąć go do kościstej piersi. Stara królowa Asa, ze sznurem na szyi.

Co oni chcą mi powiedzieć, zastanawiał się Shef. Że ich zabiłem? Sam o tym wiem.

Widma odstąpiły od sieci, niechętnie i gniewnie, jakby wbrew swojej woli. Nadchodził ktoś jeszcze, następna kobieta. Shef rozpoznał zmęczoną twarz Godsibb, która umarła w samotności i którą odgrzebał spod śniegu przed dwoma dniami. Jej twarz wciąż była zmęczona, lecz jakby mniej poryta bruzdami, spokojniejsza. Chciała mówić. Jej głos brzmiał jak pisk nietoperza, więc Shef pochylił się, aby mocją usłyszeć.

- Idź swoją drogą- powiedziała. - Idź. Ja jestem tutaj, w Hel, ponieważ poszłam za tobą. I tak bym się tutaj znalazła. A gdybym za tobą nie poszła, również i tu byłabym niewolnicą - niewolnicą tamtych. - Wskazała na oddalające się widma obu królowych. - Oszczędzono mi tego.

Głos roztopił się, a także ściana, most i ciemność. Shef znów siedział w namiocie, lzy spływały mu po policzkach. Choć miał wrażenie, że wizja trwała bardzo krótko, ocknął się jako ostatni. Inni patrzyli na niego, Hund z troską, Karli ze współczuciem. Obaj Finowie wydawali się zadowoleni i uspokojeni, jakby jego wzruszenie przekonało ich, że jest człowiekiem, istotą z krwi i kości, jak oni.

Shef podniósł się niespiesznie, ujął włócznię stojącą u wejścia do namiotu. Żelazne ostrze pokrył szron, ale jej ciężar zdawał się kość jego niepokój. We trzech zagłębili się w mroźną noc, w ciemny, brzozywy las.

Kiedy brnęli przez śnieg w stronę ognia i obozowych straży, Shef oznajmił swoim towarzyszom: - Musimy pochować Godsibb i innych jak należy, nie spalić czy położyć na drzewie. Będziemy kopać pod ogniskami, gdzie ziemia rozmiękła. Naznosimy kamieni z koryta rzeki i usypimy kopiec.

- Czy umarłym robi to jakąś różnicę? - spytał Hund.

- Myślę, że tak.

Rozdział dwudziesty siódmy

Uwie noce i jeden dzień później byli gotowi do wymarszu. Wstał jasny, bezwietrzny ranek, padał rzadki śnieg. Shef miał wielką ochotę wyruszyć już poprzedniego dnia, ale Hund sprzeciwił się temu.

- Niektórzy są jeszcze zbyt słabi - stwierdził kategorycznie. Jeśli będziesz ich popędzał, to może się zdarzyć, że nie obudzą się rano, tak jak Godsibb.

Shef, którego prześladowało wspomnienie jej oczu za bramą świata Hel, niechętnie ustąpił. Nawet gdy nosił z zamarznętego koryta rzeki kamienie na jej kopiec, obserwowany przez zdumionych i rozbawionych Finów, powtarzał w myślach to, co mu powiedziała: "Idź." - Muszę wydostać się z tego pustkowia - oświadczył Hundowi, próbując go przekonać. - Mówiłem ci, widziałem wojowników wokół Hedeby. Miasto może paść w każdej chwili, a Ragnarssonowie staną się bogatsi i silniejsi. Jeśli będziemy się zbierać w takim tempie, Sigurth zostanie królem całej Danii, zanim tam dojrzymy.

- A twoim obowiązkiem jest go powstrzymać? - Hund popatrzył na swego przyjaciela i zamyślił się. - Cóż, może i tak. Ale nie możesz powstrzymać go tkwiąc tutaj. Będziemy musieli iść tak szybko, jak się da.

- Czy myślisz, że moje wizje są prawdziwe? - spytał Shef. A może po prostu sprawia to napój, tak jak piwo i miód każą ludziom wierzyć, że są silniejsi niż w rzeczywistości? Może moje wizje i wizje Vagleika, i w ogóle wszystko, co widzą ludzie Drogi, to tylko jakiś rodzaj ułudy, oszołomienia.

Hund wahał się przez chwilę, zanim odpowiedział.

- To możliwe - przyznał. - Coś ci powiem, Shef. Te czerwone grzyby z białymi kropkami, muchomor, które ludzie trzymają w domach, aby odstraszyć robactwo, raczej trudno jest zjeść przez pomyłkę. Ale są inne rzeczy, rosnące razem ze zbożem, dojrzewają nim.

Niewykluczone, że trafiają potem do chleba. Albo do owsianki.

Zwłaszcza jeśli w spichlerzach jest wilgoć.

- W spichlerzach w Anglii zawsze jest wilgoć - powiedział Shef. Dlaczego więc wszyscy nie mają wizji przez cały czas?

- Może mają, ale boją się o tym mówić. Ale bardziej prawdopodobne, że jesteś po prostu szczególnie wrażliwy. Ostatniej nocy nie wypiliśmy więcej niż Karli i Finowie, lecz działało to na ciebie o wiele dłużej. A może właśnie dlatego, że jesteś wyczulony na takie rzeczy, bogowie zsyłają ci wizje. Albo obdarzyli cię tą słabością dla jakichś własnych celów.

Shef, jak zawsze zirytowany, kiedy rzecz nie dawała się rozstrzygnąć jednoznacznie, przestał o tym myśleć. Skoncentrował się na zadaniu, by znaleźć każdemu jakieś zajęcie, nawet w dniu, który

Hund przeznaczył na odpoczynek.

Wreszcie, pogrzebawszy swoich zmarłych, ruszyli w dalszą drogę, z zapasem gotowanego mięsa w podróżnych workach. Shef, mając żywo w pamięci obraz, jaki oglądał jego ulatujący duch, prowadził ich pewnie przez brzozowy las w stronę jeziora. Było dokładnie tam, gdzie się spodziewał, ciągnęło się daleko, dalej niż sięgał wzrok, długie i wąskie, naturalna droga wodna. Jeszcze nie zamarzło - lecz czas ten był bliski, gdyż jesienne chłody ustąpiły już miejsca zimie.

Nie mieli jednak łodzi. Shef nosił się z myślą wykonania lekkich łodzi z kory, gdyż Brand opowiadał mu kiedyś, że takich właśnie używają Finowie. Już pierwszy eksperyment wykazał niezbiecie, że nikt z ludzi Shefa nie ma najmniejszego pojęcia, jak się do tego zabrać. Finowie, którzy czasem przemykali w pobliżu na nartach, obserwując poczynania intruzów, rozkładali bezradnie ręce przy każdej próbie nawiązania z nimi rozmowy. W drużynie Shefa byli doświadczeni rzemieślnicy, którzy mogliby - pracując odpowiednio długo - zbudować z pni i desek nawet prawdziwy statek. Ale do tego czasu wszyscy umarliby z głodu.

Brnęli więc dalej pieszo pośród brzoź, dających osłonę od wiatru i dokuczliwego śniegu. Lecz następnego dnia las skończył się i ujrzeli przed sobą bezkresną, zaśnieżoną, pustą przestrzeń. Dziewiętnaście par oczu zwróciło się na Shefa, który stał i patrzył przed siebie. Na wszystkich twarzach, z wyjątkiem twarzy Cuthreda, malowała się niepewność i zwątpienie.

Shef polecił rozbić obóz pod osłoną drzew, rozpalic ogniska i przygotować posiłek z topniejących szybko zapasów. Przywołał gestem jednego z Finów, którzy zdawali się nie odstępować ich ani na chwilę, zupełnie jak wilki, i powiedział stanowczym tonem: - Piruusi. Niech tu przyjdzie Piruusi.

Wódz wyłonił się w końcu z mroku. Przyjechał na nartach, nic sobie nie robiąc z wiatru i śniegu, jakby to był wiosenny dzień w Hampshire, i zasiadł ochoczo przy ogniu, gotów targować się przez całą noc.

Najlepsza rzecz, jaką mogli zrobić ludzie Shefa, to sporządzić dla siebie narty, nauczyć się na nich jeździć i ruszyć w stronę górniczej osady kolegium Drogi, oddalonej, jeśli można było wierzyć

Piruusiemu - a w tym wypadku chyba tak - o jakieś sześćdziesiąt, może sto mil w dół strumienia. Tyle że najpewniej wszyscy umarliby z głodu, nim udałoby im się osiągnąć ten cel. Shef, który zupełnie ochrypl podczas długich negocjacji, zdołał w końcu uzyskać dla nich wszystkie zbędne pary nart z fińskiego obozu, a cztery reniferowe zaprzęgi powożone przez Finów miały zabrać resztę jego ludzi. Kosztowało go to drugą złotą bransoletę na ramię, dwadzieścia srebrnych pensów i cztery dobre żelazne siekiery. Cena byłaby znacznie wyższa, gdyby do rozmowy nie wtrącił się Cuthred.

- Robicie sami żelazo? - spytał Shef, kiedy wyklócali się o siekiery.

Piruusi gwałtownie zaprzeczył.

- Więc czego używaliście, zanim zjawili się Norwegowie? - indagował dalej Shef.

- Używali tego - odezwał się Cuthred ze swego miejsca przy ogniu. Wydobył z zanadru kamienny topór, zbyt wielki nawet jak na jego potężne dłonie. Topór przeznaczony dla olbrzyma, bez wątplenia prezent od Echegorguna.

Piruusi spojrział nań ze strachem, przypomniał sobie tajemne siły, z którymi sprzymierzyli się dziwni przybysze. Nie kłócił się dłużej, szybko dobili targu. Następnego ranka pojawiły się sanie i narty, a Shef stanął przed trudną decyzją, jak podzielić ludzi, rozstrzygnąć, kto jest najsilniejszy, komu nauka przyjdzie najłatwiej. Nie mógł pozwolić, by tylko najsłabsi pojechali saniami, które wiozły również wszystkie jego zapasy złota i srebra. Zadał też o to, aby Finowie nie zorientowali się, ile mu zostało. Mógł pić z Piruusim jak z bratem, mógł sikać z Piruusim jak z bratem, nie powinien jednak, był tego pewien, wodzić Piruusiego na pokuszenie.

Wczesna zima raczej zaskoczyła niż zaniepokoiła mieszkańców górniczej osady kolegium Drogi, położonej daleko w głąb terytorium pogranicznej Fińskiej Marchii. Przebywało tam dwunastu mężczyzn i pół tuzina kobiet, czterech kapłanów Drogi, nowicjusze i najemni robotnicy. Tutejsze złoża były bogate, nie uskarżali się więc na brak zajęć. Latem wydobywali rudę, zimą przetapiali ją i przekuwali na wyroby mające wartość handlową, sztaby surowego żelaza bądź takie przedmioty, jak na wpół wykończone główce siekier, które mogły być nawlekane na pręty i wysyłane dużymi partiami. Wzniesli swoją osadę w miejscu, które przez cały rok zapewniało im dogodne połączenie ze światem, rzeką, póki nie skryła się pod lodem. A kiedy zamarzała, wykorzystywali ją jako drogę, przewożąc metal saniami.

Byli dobrze zaopatrzeni na zimę w żywność i opał. Ponadto zimazajmowali się także wypalaniem węgla drzewnego w brzoźowych i sosnowych lasach, które porastały opadającą ku morzu równinę.

Starszy kapłan Herjolf też wydawał się raczej zaskoczony niż zaniepokojony, kiedy nowicjusz Egil powiadomił go, że ktoś zbliża się ku nim z zachodu. To muszą być Finowie, zdecydował. Tylko oni tam żyją. Niebawem okaże się, czego chcą. Tymczasem rozkazał ludziom przerwać pracę i trzymać broń w pogotowiu; wielu z nich posiadało nowe kusze, których zaczęto używać w Anglii w ubiegłym roku. Dzięki szwedzkiej stali była to bez wątpienia najlepsza obecnie broń na świecie. O wiele lepsza od angielskiego pierwowzoru, który ofiarował mu jego przyjaciel Hagbarth, kapłan Njortha.

Jego ludzie osłaniali go, przeważnie trzymając się w ukryciu, kiedy obserwował czarne kropki, poruszające się na śniegu. To nie

Finowie, tego był teraz prawie pewien. Niektórzy spośród narciarzy poczynali sobie całkiem znośnie, inni zdumiewająco wręcz źle, ale nawet najlepszym z nich brakowało zwiewnej gracji Finów. Lecz sanie z całą pewnością należały do Finów i były powożone dobrze, choć bardzo statecznie, zupełnie jakby wiozły gromadę starych bab na uroczystości pogrzebowe.

Wyraz niepewności na twarzy Herjolfa ustąpił miejsca zdumieniu, kiedy prowadzący narciarz przyspieszył, znacznie wyprzedzając innych, i podjechał ku niemu. Z gąszczu nie strzyżonej brody popatrzyły na niego zaczerwienione od śniegu oczy.

- Dzień dobry, Herjolfie - powiedziała zjawa. - Spotkaliśmy się już. Jestem Thorvin, kapłan Thora, podobnie jak ty. Pokazałbym ci mój amulet, gdybym mógł go wydostać, i moją białą tunikę, gdyby nie to futro. Ale proszę cię, jako człowieka Drogi, abyś udzielił nam pomocy. Dobrze przysłużyliśmy się Drodze i odbyliśmy długą podróż, żeby cię odnaleźć.

Kiedy sanie i pozostali narciarze podjechali bądź przyczołgali się bliżej, Herjolf rozkazał swoim ludziom odłożyć broń i pomóc przybyszom. Zesztywniali wędrowcy wygramolili się z sań, gdzie ich upchnięto, wyładowali swoje worki i rozejrzeli się wokół z ulgą. Jeden z narciarzy targował się jeszcze z Finami, w końcu zapłacił im i odszedł chwiejnym krokiem, oni zaś trzasnęli z biczów, przynaglać swoje renifery do szaleńczego biegu, na co Shef nie pozwalał im przez ostatnie trzy dni podróży.

- To jest Shef Sigvarthsson - przedstawił Thorvin jednookiego człowieka. - Zapewne wiele o nim słyszałeś.

- Rzeczywiście, słyszałem. A teraz powiedz mi, Thorvinie, co wy tu wszyscy robicie? Skąd przybyliście? I czego oczekujecie ode mnie?

- Przybывamy z wybrzeża Norwegii - powiedział Shef. - Chcemy dotrzeć do wybrzeża Szwecji, aby tam wsiąść na statek do Anglii. Lub może do Danii. To zależy, jakie macie dla nas wieści.

U boku Herjolfa wyrósł nagle Hagbarth, kapłan Njortha. Shef popatrzył na niego ze zdumieniem. Nie widzieli się od czasu, kiedy

Shef uciekł z Kaupangu. Lecz jeśli Hagbarth mógł przybyć do Hedeby w sprawach Drogi, mógł też pojawić się gdzie indziej, nawet tutaj, setki mil w głębi lądu. Kapłani Njortha byli cenionymi kurierami. Shef zastanawiał się, gdzie jest statek Hagbartha, "Aurvendill", który zabrał go z Hedeby do Kaupangu.

- Nie możemy narzekać na brak wieści - powiedział Hagbarth. Czy nadal będziecie chcieli płynąć do Danii lub do Anglii, kiedy je usłyszycie, to inna rzecz. Coś mi się zdaje, że twoje przybycie do

Hedeby, a potem do Kaupangu, stało się przyczyną wielkiego zamieszania, które trwa do tej pory. Mam nadzieję, że nie dotrze tu ono w ślad za tobą.

- Chcemy wyruszyć stąd jak najszybciej - odparł Shef. - I pamiętaj, Hagbarcie, że wcale nie miałem ochoty płynąć do Kaupangu. Ty mnie tam zabrałeś. Gdybyś zastosował się do moich życzeń, pozwoliłbyś mi wrócić do domu.

Hagbarth skinął głową na znak, że to, co mówi Shef, jest prawdą, a Thorvin ponownie zabrał głos.

- A zatem, Herjolfie, czy chwilowo udzielisz nam schronienia?

Wszyscy jesteśmy wyznawcami Drogi, o czym sam się przekonasz, gdy tylko znajdziemy się pod twoim dachem.

Herjolf również skinął głową.

- Jednego czy dwóch spośród was rozpoznałbym wszędzie. Wskazał palcem na Udda, który jako pierwszy wygrzebał się z sań, potoczył wokół zaciekawionym spojrzeniem, zobaczył dymiące kominy i teraz wpatrywał się jak urzeczony w rozżarzone, węglowe piece największej ze znanych mu kuźni.

- To właśnie on wynalazł kusze - wyjaśnił Shef. - To Skraeling, jak mogłoby się zdawać, choć niektórzy powiedzieliby, że ten człowiek pokonał króla Franków i jego ciężkozbrojną konnicę.

Herjolf obrzucił niepozorną postać Udda zdumionym i pełnym szacunku spojrzeniem.

- Witajcie zatem - rzekł. - Chociaż patrząc na was wątpię, byście mogli szybko ruszyć w dalszą drogę. Hej, spójrzcie na niego!

Cuthred, który przez ostatnie trzy dni niezgrabnie lecz wytrwale dotrzymywał im kroku na nartach, szarpał się z wełnianymi spodniami i getrami, próbując je z siebie zdjąć. Zachwiał się w pewnym momencie i tylko największym wysiłkiem woli zdołał utrzymać się na nogach. Shef skoczył mu na pomoc i nagle ujrzał ciemną plamę krwi, która przesiąknęła przez wiele warstw grubej wełny.

- To ta choroba, o której ci mówiłem - powiedział Hund, mocując się ze spodniami Cuthreda, podczas gdy Shef i Thorvin podtrzymywali ogromnego mężczyznę. - Spójrz, tę ranę otrzymał od Vigdjarfa. Zagoiła się jak za sprawą czarów, a teraz znowu krwawi.

Zaprowadźcie go do środka. Nie będzie mógł iść dalej jeszcze przez wiele dni. Albo wcale, jeśli nie mają tu zapasów świeżych jarzyn.

Dopiero kiedy ludzie Shefa znaleźli się pod dachem i po raz pierwszy od wielu tygodni zdjęli z siebie ciepłą odzież, stało się jasne, w jak kiepskim są stanie. Cierpieli na chorobę, która w następnych stuleciach otrzymała nazwę skorbutu: chorobę długich podróży i nieświeżego jedzenia. Objawy były oczywiste. Otwierały im się stare rany, chwiały zęby, śmierdziało im z ust, a do tego dochodziło jeszcze ogólne osłabienie, zmęczenie i przygnębienie. Wszyscy na Północy znali tę przypadłość, lecz zwykle pojawiała się ona późną wiosną, kiedy ludzie przez całe miesiące żyli stłoczeni w chatach, jedząc solone śledzie i zleżałe ziarno. Najlepsze lekarstwo to światło i słońce, powiadali niektórzy. Świeże jedzenie, mówili inni.

Zazwyczaj jedno szło w parze z drugim. Tym razem, zauważył Hund, nadarzyła się okazja, by stwierdzić to z całą pewnością. Nie mogli wprawdzie liczyć na słońce, mieli za to do dyspozycji pory, cebulę, czosnek, groszek i fasolę. Jeśli chorzy poczują się lepiej, stanie się tak za sprawą jedzenia. A to z kolei będzie oznaczać, że niektóre pokarmy zawierają coś, czego nie ma w innych. Pewnego dnia oddany swemu powołaniu kapłan Drogi wyodrębni ten składnik, ususzy go i przechowa, z pożytkiem dla wszystkich.

Lecz na pewno nie w tym roku, jak zauważył Herjolf. Na razie nie mogli wyruszyć. Shef milczał przez jakiś czas, kiedy Herjolf, Hagbarth, Thorvin i Hund przyszli do niego razem, aby uświadomić mu ten fakt. Od czasu swego pierwszego spotkania z Echegorgunem miał nieprzepartą ochotę odwrócić się i stawić czoło swoim prześladowcom, samemu wykonać ruch, a nie czekać na posunięcie przeciwnika. Przez wiele tygodni kierowało nim pragnienie, by z powrotem znaleźć się w centrum wydarzeń, zamiast cziąć się gdzieś na uboczu. Pragnienie owo potęgowała jeszcze wizja, która nawiedziła go w namiocie fińskiego szamana, kiedy to zobaczył armię

Ragnarssonów wokół Hedeby i króla Hrorika, broniącego wylomu w palisadzie.

A jednak myśl, by pozostać tutaj, na pustkowiu, ale w bezpiecznym miejscu, gdzie można było się ukryć, ale nie zgubić, wydawała się niezwykle kusząca. Kapłani cierpliwie wyjaśniali mu sytuację.

Mieli zapasy i mogli zdobyć więcej. Drogi są nieprzejezdne tylko w najgorszą pogodę, a kiedy rzeka zamarza, sanie jeżdżą również po lodzie. Obszary uprawne nie leżą zbyt daleko i zawsze mają tam nadwyżki ziarna, mięsa i innych produktów. Nie wzbudzi to wielkich podejrzeń, jeśli kapłani Drogi zakupią więcej niż zwykle. Ludzie pomyślą, że pomylili się w rachunkach, lub że potrzebują żywności, aby handlować z Finami.

- A poza tym możecie nam się przydać - dodał Herjolf. - Ten twój mały Udd w ogóle nie wychodzi z kuźni, a wie bardzo dużo.

W dodatku sam się tego nauczył. Widziałeś, w jaki sposób odkrył, jak się hartuje stal? Powinien być kapłanem Drogi - Herjolf parsknął śmiechem na myśl, że chuderlawy Anglik mógłby dojść do takiej godności, ale zaraz spoważniał. - Gdyby naprawdę nosił się z takim zamiarem, to sam chętnie za niego poręczę. Opowiada bez przerwy o kołach młyńskich i innych urządzeniach, o wielkich młotach, poruszanych maszyną, a nie siłami mięśni. Jeśli choć dziesiąta część tego, co mówi, jest prawdą, to jego pobyt tutaj wart jest wszelkich kosztów, jakie poniesiemy. Więc zostańcie. Thorvin powiedział mi, że ty też jesteś kowalem i poszukiwaczem nowej wiedzy.

Ty i Udd będziecie myśleć, a reszta może wypalać węgiel albo dmuchać w miechy. Wiosną znów ruszysz ku swemu przeznaczeniu.

Statek Hagbartha pozostanie tu w szopie aż do wiosny. Dowiezie cię na miejsce szybciej niż jakikolwiek inny.

Shef skinął głową. Czuł ulgę, lecz także narastające podniecenie.

Nadszedł czas, aby pomyśleć. Czas, by rozstrzygnąć różne sprawy bez szaleńczego, gorączkowego ("Jutro rano bitwa!") pośpiechu, z jakim robił wszystko do tej pory. Czas na przygotowanie planów.

Zyskiwał szansę, by wykonać ruch, kiedy on będzie gotowy, a druga strona nie, choć zazwyczaj zdarzało się raczej odwrotnie. Oczywiście, oni też zyskują zimę na przygotowania i zebranie sił. Ale mogą nie spodziewać się jego powrotu.

Przypomniał sobie słowa tamtego jeńca, Svipdaga. Jak one brzmiały? "Żeby wyjść z tego cało, musiałbyś mieć skórę z żelaza".

Svipdag powiedział to w gniewie, chciał go przestraszyć, to prawda, lecz na Północy było takie przysłowie, które Thorvin często powtarzał. "Słowa przeznaczenia wychodzą z ust człowieka". Może przeznaczenie przemówiło ustami Svipdaga? Żelazna skóra. Zobaczymy.

Shef, który chwiejącymi się zębami żuł ostrożnie całe strąki zielonego groszku, tak jak kazał mu Hund, przełknął i znów skinął głową.

- Zostaniemy, Herjolfie, i dziękuję ci za zaproszenie. Obiecuję ci też, że nikt z nas nie będzie próżnował. Do wiosny wiele się tu zmieni.

Niebawem zadymiły kominy i rozdzwoniły się młoty. Ludzie jeździli do lasu, aby ścinać drzewa i stawiać nowe chaty, i ładowali żelazo na sanie, by zapłacić za żywność i piwo. Przejżdżający w pobliżu Finowie dziwili się, widząc tę nieustającą krzątaninę, wiedzieli bowiem, że o tej porze norwescy przybysze zwykli raczej spać.

Daleko na południu Ragnarssonowie, z głową króla Hrorika nabitą włócznią ku przestrodze, maszerowali na czele armii od królestwa do królestwa, zmuszając do kapitulacji wszystkich pomniejszych królów Danii, Gamlięgo z Fyn i Arnodda z Aalborgu, Kolfinna ze Sjaellandu i Karięgo ze Skaane.

W Szwecji król Kjallak Mocny, któremu niezadowolenie z rządów jego pokojowego poprzednika Orma utorowało drogę do tronu, naradzał się z kapłanami i wysłuchiwał nieustających doniesień o zuchwalstwach germańskich misjonarzy i ich zbrojnej eskorty. Nie możemy ich pokonać, powtarzała wioska za wioską. Ale w zamian za co składamy daninę ze śledzi? Przyjdź i obroń nas! Kjallak zgadzał się z tym, miał jednak trudności z wybraniem mistrza, który zmierzyłby się z budzącym lęk wodzem germańskich rycerzy. Przyjdzie czas, kiedy zmiażdżymy ich w bitwie, a także złamiemy ich butę, powtarzał niecierpliwym kapłanom z wielkiej świątyni w Uppsali.

W Hamburgu zaś porywczy i świątobliwy arcybiskup Rimbart wysłuchiwał tych samych doniesień z zadowoleniem, poczym przesyłał je swoim braciom, arcybiskupom krajów germańskich, pewien, że przeznaczenie wypełni się na Zachodzie, a r. i. e., jak uważał ten głupiec, papież Adrian, dzięki jakiejś formie ugody z cesarzem Greków i jego Papieżątkiem. Wśród pozbawionych ziemi młodszych synów rodów rycerskich we wszystkich krajach germańskich krążyły opowieści o śmiałych Rittern von des Lanzenordens, a na listach werbunkowych wciąż przybywało nowych zgłoszeń.

W Norwegii król Olaf, Elf z Geirstath, którego ludzie zaczęli teraz nazywać "Zwycięskim", czego nigdy nie robili, kiedy żył jego brat, spoglądał na orszak podległych sobie królów Ringeriki, Ranriki, Hedemarku, Upplandu i Agdiru, a także na posłów z Zachodu, spokorniałych nagle Rogalandczyków i ludzi z fiordów, i zastanawiał się, gdzie też podziewa się człowiek, którego szczęście do tego stopnia odmieniło jego własne.

Również Godiva, teraz już bardzo widocznie brzemienna, zadawała sobie czasem pytanie, co stało się z chłopcem, którego niegdyś znała, jej pierwszym kochankiem i przyrodnym bratem.

A na dalekiej Północy ziemia odpoczywała, schowana bezpiecznie pod śniegiem.

Rozdział dwudziesty ósmy

Ozkorbut ustąpił szybko, kiedy Hund zmusił swoich pacjentów do jedzenia cebuli i porów, groszku i fasoli, po części suszonych, po części względnie świeżych, z ostatnich zbiorów. Hund czynił skrupulatne notatki pismem runicznym, mówiąc, że da w ten sposób gotowe rozwiązanie innym kapłanom Ithun. Z pewnością lekarstwem na tę chorobę było jedzenie, a nie powietrze czy słońce.

Wraz ze szkorbutem odeszło też uczucie zmęczenia i przygnębienia, doskwierające tak wielu uczestnikom wyprawy, a zastąpił je dla odmiany nagły przypływ energii i podniecenie, które nie mogło znaleźć ujścia, ponieważ wiatr i mróz coraz skuteczniej izolowały małą społeczność i tylko

szczelnie opatuleni woźnice wyjeżdżali z rzadka saniami, by uzupełnić zapasy żywności lub przywieźć drewno z lasu.

Kiedy Shef rozpamiętywał wypadki tej zimy, czasem trudno było mu w to wszystko uwierzyć. Zauważył już wcześniej, gdy sprawował przez krótki okres obowiązki jarla Norfolku i przez jeszcze krótszy, kiedy był królem u boku Alfreda, jak mało czasu zabiera człowiekowi robienie tego, na co naprawdę ma ochotę. Większość ludzi traci lwią część swego życia na rzeczy zbędne, błahe, na konflikty i problemy nierozzerwalnie związane z codziennością.

- To zupełnie tak - wyznał Shef Hagbarthowi, kapłanowi żeglarzy -jakbyś płynął łodzią, mając przywiązany do rufy żagiel, który wlecze się za tobą w wodzie i ciągnie cię do tyłu.

- Masz na myśli kotwicę - powiedział Hagbarth. -Niekiedy bardzo się przydaje. W czasie sztormu, w nocy, kiedy boisz się, że wpadniesz na mieliznę.

-Nie wątpię - odparł zniecierpliwiony Shef. - Ale pomyśl, Hagbarcie, tylko pomyśl, jak to jest, kiedy uwolnisz się od tego ciężaru!

W małej społeczności, składającej się może z czterdziestu dusz, ten ciężar został z niego zdjęty. Większość z nich cieszyła się po prostu z tego, że żyje. Ci, którzy doświadczyli losu niewolników, nie byli skłonni do kłótni i wywyższania się nad innych. A spośród tej czterdziestki bardzo wysoki odsetek - być może najwyższy w całej historii świata, biorąc pod uwagę zaistniałe okoliczności - stanowili ludzie ciekawi, dociekliwi i utalentowani. Znalazło się tam siedmiu kapłanów Drogi, z uwagi na swoją wiarę i usposobienie szczególnie oddanych sprawie poszukiwania nowej wiedzy. Było też wśród nich dziesięciu nowicjuszy, pełnych entuzjazmu młodych ludzi, którzy bardzo chcieli dojść do czegoś w życiu, a ich udział w owym poszukiwaniu mógł im to ułatwić. Był także sam Shef, wynalazca i konstruktor machin, które wpływały na losy całego północnego świata. Był wreszcie Udd, zapewne najbardziej twórczy i wytrwały z nich wszystkich, pomimo swej nieśmiałości i wielu doznanych w życiu upokorzeń.

Inni też wnosili swój wkład, Cwicca i Osmod, Fritha, Hama i Wilfi. Czego im nie brakowało, jak uświadomił sobie w końcu Shef, to wiary. Ci ludzie podźwignęli się z prochu dzięki machinom, zawdzięczali im wszystko, co mieli. Co więcej, widzieli, jak duma wikingów i frankijskiego rycerstwa legła przed nimi w błocie. Było w nich nawet coś więcej niż wiara, coś, czym nie potrafiliby zachwiać żaden sceptyk. Oni w i e d z i e l i, że do nowych celów można zbudować nowe maszyny, że innowacje się sprawdzają. W ich obecności nikt nie mógł wzruszyć ramionami i powiedzieć: "Tak się to zawsze robiło".

Właśnie te nowatorskie zapędy dały początek pierwszemu tej zimy wielkiemu projektowi i innowacji. Z położonych bliżej wybrzeża gospodarstw przywieziono ogromne ilości ziarna, a podróżni, którzy od dawna już nie jedli chleba, czekali z utęsknieniem na jego wypiek. Najpierw należało ziarno zemleć. Zadanie to, rzecz zrozumiała sama przez się, powierzono zrazu kobietom. Kobiety meły mąkę. Niektóre z nich, były niewolnice, nie potrafiły nic innego.

Jednakże w atmosferze koleżeństwa, jaka wytworzyła się podczas wspólnej podróży, ktoś rzucił myśl, że powinni się tym zająć również mężczyźni. W końcu przyszła kolej na Udda, któremu wręczono tłuczek, młódkę i worek ziarna do zmielenia. Młódkę nieudolnie przez pół godziny, potem popatrzył na prawie pełny worek, odłożył tłuczek i ruszył na poszukiwanie Shefa.

- Dlaczego nie robi się tego w młynie? - zaprotestował.

Shef wskazał kciukiem na zamrzniętą ziemię za drewnianymi okiennicami.

- Ponieważ rzeka zamrzła, Udd.

- Są inne sposoby napędzania młyna.

- Wiem - odparł uprzejmie Shef- ale czy masz zamiar zaproponować to Cuthredowi? Może chciałby wrócić do swego dawnego zajęcia? Gdybyśmy mieli woły, myślę, że mogłyby się nadać, ale są tu tylko mleczone krowy i nikt nie pozwoli ci ich użyć do obracania kamienia.

- Mówiłem ci - powiedział Udd. - Moglibyśmy zrobić młyn powietrzny.

W innych warunkach zapracowany przywódca chyba by oszalał, gdyby musiał zajmować się szczegółowo każdym problemem. Ale na zamrzniętym pustkowiu nie było nic lepszego do roboty. Shef i Udd pomaszzerowali więc do młyna wodnego, który postawili kapłani Drogi i który służył im przez połowę roku, aby zobaczyć, co da się zrobić.

Znaleźli tam prawie wszystko, czego potrzebowali: dwa ogromne kamienne koła do mielenia ziarna. Gruba oś obracała górny kamień, a system kół zębatach przekazywał żarnom energię płynącej rzeki. Dzięki zastosowaniu przekładni oś pozioma wprawiała w ruch oś pionową, które to usprawnienie wprowadzono całkiem niedawno. Potrzebna im była zatem jedynie nowa siła napędowa.

- Coś w rodzaju wielkiego żagla, na czterech ramionach - tłumaczył Udd. - W szopie na łodzi jest żaglowe płótno.

- To się nie uda - powiedział Herjolf, wysłuchawszy go z uwagą. - Rzeka płynie zawsze w jednym kierunku. Wiatr wieje zewsząd.

Przyznaję, że tu wieje zwykle od gór, z północnego zachodu. Lecz jeśli to zamocujesz, a wiatr się zmieni, może wyrwać twoje koło z osi.

- Wiem, jak je umocować - powiedział Udd, jak zawsze pewny siebie, kiedy miał do czynienia z problemem technicznym. - Pamiętasz, na jakiej zasadzie obracają się nasze katapulty? Osadzamy je na małych kółkach i ustawiamy na większym kole. To samo możemy zrobić tutaj. Sprawić, aby cały młyn się obracał. Mógłby mieć z boku dyszel, tak jak lawety naszych nowych mułów.

W innych okolicznościach jakiś szyderca wyśmiałby zapewne ten pomysł. Lecz tutaj nie było szyderców. Herjolf zawahał się, a potem rzekł: - Cóż, spróbujmy.

Niebawem prawie wszyscy członkowie społeczności znaleźli sobie zajęcie przy rozbiorce starego młyna i wznoszeniu szkieletu nowego, albo w kuźni, gdzie wykuwali wielkie gwoździe i sworznie, potrzebne do dalszej pracy. Shef, wspominając później to wydarzenie, po raz kolejny odnotował, jak wiele cennych umiejętności posiadali wszyscy ci ludzie. Byli przyzwyczajeni do dźwigania wielkich ciężarów, zatem konieczność podniesienia i przeniesienia na nowe miejsce ogromnych kamieni młyńskich bynajmniej ich nie przerażała. Hagbarth, który podniósł już i osadził wiele okrętowych kilów, wykonanych z jednego pnia drzewa, nadzorował tę precyzyjną operację. Przez najbliższe dni całą swą energię skierowali na młyn, nawet mielenie ziarna odkładając za powszechną zgodą na potem, do czasu, aż będzie można to zrobić prostszym sposobem.

Wreszcie praca dobiegła końca i Udd mógł zwolnić zaczep, blokujący koła zębate. Uczynił to. Powiał wiatr i wydał się żagiel, który miał obracać koło osadzone pionowo; miało ono poruszać koło osadzone poziomo, które z kolei powinno wprawiać w ruch kamień młyński. Zatrzeszczała drewniana oś, ale poza tym nic się nie stało.

Udd z powrotem założył zaczep.

- Potrzebny nam większy żagiel - oznajmił.

Następnego dnia mąka sypała się nieprzerwanym strumieniem, a Herjolf zacierał ręce na myśl o zyskach, jakie przyniesie budowa podobnych młynów na obszarze całej Skandynawii. Tutejsze warunki nie zawsze pozwalały wykorzystywać siłę rzek, natomiast wszędzie potrzebne były ludziom młyny, które funkcjonowałyby przez cały rok. Kapłani Drogi szcycili się tym, że utrzymują się z własnej pracy, nie z dziesięciny i majątków ziemskich, jak księża i mnisi chrześcijan. Lecz nic nie stało na przeszkodzie, aby kapłan bogacił się dzięki swojej wiedzy - dopóki dzielił się nią z innymi.

Sukces najwyraźniej zawrócił Uddowi w głowie. Gdy tylko okazało się, że pierwsze urządzenie działa, zaczął snuć przed Herjolfem swą następną wizję: miał to być poruszany mechanicznie młot, którego wstępny projekt przedstawił Shefowi w ubiegłym roku w Kaupangu. Herjolf słuchał życzliwie, nawet jeśli zrazu z powątpiewaniem, jednak nie do końca pojmował, co proponuje Udd.

Korzyści wydawały się oczywiste. Żelazo, choć doskonale znane w całym zachodnim świecie, pozostawało nadal metalem jeśli nie bezcennym, to w każdym razie drogim. O wyższości frankijskiej i germańskiej sztuki wojennej stanowiła między innymi waga żelaza, które wkładało na siebie ciężkozbrojne rycerstwo. Była to wielka inwestycja w świecie, gdzie chłop nadal kopał ziemię drewnianą motyką, a wiele drewnianych pługów posiadało zaledwie żelazne okucia. Żelazo było drogie nie z powodu rzadkości występowania, jak złoto czy srebro, ale dlatego, że jego obróbka wymagała wielu godzin pracy.

Rudę należało najpierw wielokrotnie rozgrzewać i kuć ręcznie młotem, by usunąć zanieczyszczenia, a następnie przetapiać surowe żelazo w opalanych węglem drzewnym piecach. Żelazo z Jarnberalandu było najlepsze na świecie. Mimo to wymagało dużo pracy, tak jak każde żelazo, z wyjątkiem bardzo drobnych grudek znajdujących w skale po uderzeniu pioruna. Herjolf miał węgiel i rudę. Gdyby udało się skrócić czas, potrzebny zwykle na kucie, ilość towarów, które mogliby sprzedać wiosną, poważnie by wzrosła.

Udd znowu kreślił na śniegu swoje rysunki, a w tym czasie Shef, wezwany, gdyż dyskusja stała się już bardzo ożywiona, tłumaczył jego słowa z angielskiego na język Północy - Udd nie opanował go w dostatecznym stopniu, by rozmawiać o kwestiach technicznych.

W końcu Herjolf westchnął i pozwolił Uddowi spróbować.

- Co za szczęście - zauważył - że tym razem będzie to coś o połowę mniejszego niż ostatnio.

- Młot łatwiej poruszyć niż koło młyńskie - wyjaśnił Shef. Udd mówi, że chciałby zacząć od lekkiego młota.

- Jak lekkiego?

- Sto funtów.

Herjolf potrzęsął głową i odwrócił się.

- Powiedz mu, żeby zobaczył się z Narfim, kapłanem Tyra, kronikarzem, i poprosił go o pergamin i pióro. Jego szkice będą bardziej czytelne na papierze niż na śniegu. Poza tym, jeśli to wszystko jest prawdą, przyjdzie czas, że ludzie będą wrywać sobie każdą stronicę.

Wkrótce, gdy powiał wiatr, ruszył też mechaniczny młot, kujący żelazo z niesłychaną szybkością, niczym nie znający odpoczynku młot Vólunda, chromego kowala bogów.

Następnego usprawnienia dokonano dzięki Cwicce. Ponieważ nie miał żadnych szczególnych umiejętności, poza graniem na kobzie i strzelaniem z katapulty, zwykle wyznaczany był do jakichś uciążliwych prac. Pewnego dnia, gdy zmagał się ze skórzanymi miechami, wtłaczającymi powietrze do kuźni, upominany nieustannie przez kowala, aby nie przestawał, bo zrujnuje ich pracę, zeskoczył z górnej dźwigni, którą naciskał nogą, i krzyknął: - Do tego też potrzebujemy maszyny!

Przekształcenie mechanizmu młota w pompę do miechów okazało się niemal dziecinnie łatwe. A ta zmiana pociągnęła za sobą inne, tak jakby każde usprawnienie było pożywką dla kolejnego. Lepszy przepływ powietrza przez piece, które topiły oczyszczoną rudę, bardzo znacząco podniósł ich temperaturę. Żelazo stawało się najpierw niebieskie, co jest niebezpieczne, jak twierdzili kowale, gdyż łatwo to przeoczyć i wziąć je do ręki, a dopiero potem czerwone i na tyle miękkie, że można je było obrabiać. Rzadko widywali żelazo rozgrzane do białości, kiedy metal zaczyna się topić. Łane żelazo udawało się do tej pory uzyskać tylko przez przypadek lub w szczególnie sprzyjających okolicznościach, natomiast przy nowych miechach wykonywanie żelaznych odlewów stawało się możliwe.

U podłoża wszystkich tych działań leżał strach przed spodziewaną, a właściwie pewną wojną. Shef naradzał się z Hagbarthem i Narfim, kapłanem Tyra, starając się, jak miał w zwyczaju, sporządzić mapę swojej podróży. Z tego, co mówili, a co potwierdzały jego własne obserwacje, wywnioskował, że dopiero teraz znalazł się w prawdziwym potrzasku. Z fiordów Norwegii, jeśli zdobyłby statek, mógłby wyruszyć na otwarte morze i spróbować dotrzeć do brzegu Szkocji, a stamtąd do wschodnich wybrzeży Anglii. Gdyby chciał dostać się do domu stąd, nawet mając do dyspozycji "Aurvendilla" Hagbartha, musiał utorować sobie drogę przez wody zatoki pomiędzy Szwecją a odległym brzegiem Morza Wschodniego, gdzie żyli Bałtowie, potem wokół Skaane i przez wąskie cieśniny pomiędzy Skaane a duńskim Sjaellandem.

- Jak szeroki jest ten przesmyk? - spytał.

- Trzy mile - odparł Hagbarth. - W taki właśnie sposób stary król Kolfinn stał się bogaty. Pobierał myto. Ale ostatnio nie mógł już tego robić, jak słyszałem. Jeśli rzeczywiście Ragnarssonowie pozbyli się Hrorika, o czym mówiłeś, to chyba już nikt nie zdoła ich powstrzymać.

- A gdzie jest słynny Braethrabort, Twierdza Braci?

- Tutaj - Hagbarth postukał palcem w małą kropkę na mapie, na północnym wybrzeżu Sjaellandu, jakieś pięćdziesiąt mil od cieśnin.

Pół dnia żeglugi.

Jest jeszcze jeden sposób, by dotrzeć do Anglii, uświadomił sobie Shef. Mógł wrócić do Hedeby, ruszyć przez bagna do Ditmarsh i tym samym znaleźć się w punkcie wyjścia. Tyle że nie miałby statku. Poza tym, jeśli wizja ukazała mu prawdę, a Hagbarth posiadał pewne informacje, że oblężenie Hedeby istotnie się rozpoczęło, to

Hedeby jest teraz w rękach wroga. W rękach Ragnarssonów. Trudno było sobie wyobrazić coś gorszego niż los, jaki zgotowałyby mu

Sigurth Ragnarsson. Shef wolałby raczej umrzeć i zawisnąć w wędzarni Echegorguna.

Widmo wojny sprawiło, że kuźnię opuszczały nie tylko sztaby surowego żelaza i łatwo zbywalne wyroby, jak głowice do siekier. Pod kierunkiem Udda kowale szykowali kuszę za kuszą, a także stalowe cięciwy, dźwignie naciągu i żelazne bełty. Mężczyźni i kobiety pracownicy strugali części drewniane i układali je w sterty. Co kilka dni składano gotowe elementy w całość. Nie uszło uwagi Shefa, o ile mniej czasu zajmuje przygotowanie, powiedzmy, dwunastu zestawów części, które następnie składa się wyćwiczoną już metodą, niż żmudna praca nad każdą po kolei kuszą, aż do jej wykończenia. Stos kusz rósł coraz wyżej, znacznie ponad potrzeby ich małego oddziału.

- Zawsze możemy je sprzedać - oświadczył pogodnie Herjolf.

- Patrzysz na to dość optymistycznie - odparł Shef.

Pośród wszystkich wynalazków Udda nic nie zainteresowało

Thorvina i innych kowali bardziej niż powierzchniowo hartowana stal. Nieustannie pożyczali tarczę Cuthreda, sprawdzali jej wytrzymałość i nie mogli się nadziwić. Rodziły się nowe pomysły. Dlaczego nie zrobić kolczugi z dziwnego, twardego metalu? Okazało się jednak, że nie sposób go formować, był zbyt twardy, nie dawał się ani wygiąć, ani dopasować do kształtu ludzkiego ciała. Próba sporządzenia kolczugi i zahartowania jej w całości przyniosła w efekcie nieforemną bryłę na wpół zespalanych ze sobą pierścieni i kosztowała miesiąc daremnej pracy doświadczonych kowali, czego nie omieszkał podkreślić Herjolf. Płaskie płytki okazały się łatwiejsze do zrobienia, ale całkowicie bezużyteczne. Na ludzkim ciele nie ma płaskich powierzchni. Metal wydawał się więc nieprzydatny do celów wojennych, jeśli nie liczyć tarcz, lecz i tam ujawniały się jego wady. Tarcze powinny być wypukłe, aby ześlizgiwały się po nich pociski, a także - co równie istotne - aby można je nosić na plecach. Nikt, nawet Brand czy Cuthred, nie mógł maszerować przez cały dzień, trzymając w ręku tarczę. W bitwie ginął zwykle ten, kto wcześniej opuścił tarczę, gdy jego ramię omdlało.

Hartowany metal, choć fascynował, zdawał się więc nie mieć praktycznego zastosowania na wojnie. Mimo to Shef nie potrafił wyrzucić z pamięci słów, które cisnął mu w twarz jeniec Svipdag.

"Żeby wyjść z tego cało, musiałbyś mieć skórę z żelaza". Wiedział, kto będzie czekał na niego w Braethraborgu. Lecz gdzie jest jego żelazna skóra? Skąd miał ją wziąć?

Shef często rozmawiał z Hagbarthem. Hagbartha interesowały zwłaszcza różne typy okrętów, jakimi Shef pływał, lub z jakimi się zetknął. Pokiwał z zadumą głową, gdy Shef opisał mu angielskie "niszczyciele", uzbrojone w muły i skonstruowane według pomysłu Ordlafa, nieustannie

też męczył Shefa o coraz to nowe szczegóły krótkiego starcia z "Frani Ormr", najsłynniejszym statkiem klasycznego, dalekomorskiego typu i największym okrętem wojennym

Pólnocy.

- Nic dziwnego, że wam umknęli - zauważył. - Nie jestem pewien, czy nawet mój "Aurvendill" spisałby się lepiej. Jest szybszy pod żaglami, śmiem twierdzić. Ale im więcej masz wiosła na stopę kilu, tym szybciej płyniesz. Na zamkniętych wodach "Frani Ormr" mógłby okazać się lepszy.

Zainteresował się również konstrukcją dwumasztowego "Żurawia", o którym Shef potrafił mu sporo powiedzieć, pomagał bowiem rozbierać na części jego kadłub. Statki patrolowe króla Halvdana były Hagbarthowi dobrze znane, potrafił więc wyobrazić sobie, jak wzmocniono szkielet, aby zdołał wytrzymać odrzut katapulty. Ciekawiła go natomiast żeglowność dwumasztowca. Owszem, zapewnił go Shef, "Żuraw" pływał, i to pływał całkiem nieźle. "Norfolk", jeśli już o tym mowa, zachowywał się na wodzie jak balia.

- Wiemy już, jak osadzać muły na kołach, obracać je - powiedział Cwicca, gdy zasiedli wspólnie do posiłku. - To, czego nam teraz trzeba, to muły na obu końcach, z przodu i z tyłu, umieszczone wysoko. Ale boję się, że z takim obciążeniem łódź może się wywalić, czy coś takiego, kiedy wiatr powieje z boku. Nawet "Norfolk" nie wystawał na tyle w górę ponad wodą.

Usłyszawszy to, Hagbarth zakrztusił się, aż piwo pociekło mu nosem.

- "Łódź może się wywalić, czy coś takiego" - parsknął. - "Na obu końcach, z przodu i z tyłu". Masz szczęście, że nie jesteś na morzu i nie słuchają cię morskie trolle. One karzą żeglarzy za używanie niewłaściwych słów, takich, których nie wypowiada się na statku.

- Więc jak widziałbyś łódź, którą opisał Cwicca? - spytał Shef, nie zważając na kąśliwe uwagi Hagbartha, dotyczące żargonu ludzi morza.

- Myślałem o tym - powiedział Hagbarth, kreśląc sztyletem linie na stole. - To, czego wam trzeba, jak sądzę - coś takiego zrobili z "Żurawiem", tylko połowicznie - to mocny szkielet statku, bardziej solidny niż budowane przez nas.

Shef i Karli, przypomniawszy sobie, jak zachowywał się "Aurvendill" w drodze z Hedeby do Kaupangu, pokiwali głowami.

- Należałoby też podnieść burty, o tak - Hagbarth wskrobał na blacie jeszcze kilka linii.

Shef z namysłem wpatrywał się w plan na stole.

- Wygląda to - powiedział - jak jeden z waszych statków, na którym zbudowano drugi.

Hagbarth przytaknął.

- Owszem, można by tak zrobić. Przebudować zwykły statek.

- Możemy więc przebudować, dajmy na to, twojego "Aurvendilla", tu na miejscu, w szopie. Przedłużyć kil, wzmocnić go - mamy pod dostatkiem hartowanej stali - oprzeć na nim szkielet,

dorobić wolną burtę, jak ją nazywasz, obciążyć mocno kadłub i ustawić muły na pomostach bojowych na dziobie i rufie.

Z ust Hagbartha wyrwał się okrzyk szczerego bólu.

- Tylko nie "Aurvendilla"! To najpiękniejszy żaglowiec na Północy!

- Choć nie tak szybki jak "Frani Ormr" - przypomniał Shef.

- Jak już to wszystko zrobicie - powiedziała Edtheow, która stała z boku i przyglądała się ponuro, jak Hagbarth żłobi sztyltem wypolerowany stół- możecie pokryć go żelaznymi płytami i wtedy naprawdę stanie się ciężki.

Shef popatrzył na nią oniemiały.

- Słowa przeznaczenia wychodzą z ust człowieka - zauważył

Thorvin kolejny raz.

Kiedy rozpoczęły się prace przy "Aurvendillu", Hagbarth przypiął narty i odjechał. Przekonał się wprawdzie do samej idei i wyznał, że z przyjemnością wzięłby w tym udział, gdyby chodziło o cudzy statek. Nie mógł jednak patrzeć, jak patroszajego własny. Obiecał, że wróci i pomoże, gdy tylko skończą piłowanie kadłuba. Ale do tego czasu wolał trzymać się z daleka.

Cuthred z własnej woli zgodził się mu towarzyszyć. Spośród wszystkich mężczyzn i kobiet był tu najmniej potrzebny: nie chciał nawet spojrzeć na nowe młyny, zdradzał umiarkowane zainteresowanie kuźnią. Spędził wiele czasu w łóżku, gdy otworzyła się jego rana, tak jakby jego ciało upomniało się wreszcie o swoje prawa, których nadużywał podczas ataków bojowego szału. Kiedy poczuł się lepiej, zaczął odbywać samotne przejażdżki na nartach i wkrótce doszedł do dużej wprawy, często znikając na całe dnie. Shef zapytał go raz, czy nie czuje się głodny lub spragniony, spędzając wiele godzin na pustkowiu. "Tam jest jedzenie, jeśli tylko wiesz, jak je zdobyć", padła odpowiedź.

Dało to Shefowi do myślenia. Echegorgun podążał za nimi przez góry aż do obozowiska Piruusiego. Czy mógł zapuścić się dalej?

Ukryty Lud najwyraźniej czuł się jak u siebie w dzikich i odludnych okolicach. Cuthred powiedział mu kiedyś, że jest ich znacznie więcej niż podejrzewają zwykli ludzie. Może spotykał się z Echegorgunem, lub nawet z Miltastaray, tam, wśród pustkowi.

Ukryty Lud lubił go. Wszystkim innym przychodziło to z trudem, chociaż niektóre kobiety mu współczuły. W każdym razie wydawał się dobrym opiekunem dla Hagbartha, a Hagbarth też nie należał do ludzi szczególnie działających Cuthredowi na nerwy, w przeciwieństwie do Karliego, który na dobre związał się z Edith, czy Ceolwulfa, który przypominał zapewne Cuthredowi, kim niegdyś był.

Nadeszło Święto Płodności, na stołach pojawiła się pieczona wieprzowina i krwawa kiszka, a kapłani Drogi opowiadali różne historie i śpiewali pieśni, czerpiąc do nich tematy ze starożytnych mitów. Potem zaczęła się prawdziwa zima, powiał tak porywisty wiatr, że musieli zdjąć żagle z młynów i przechować je do lepszych czasów, rozpadał się gęsty, gruby śnieg. Mała społeczność,

mając pod dostatkiem żywności i opału, koców i puchowych śpiworów, nic sobie z tego nie robiła. Na widok uśmiechniętych beztrosko twarzy Shef ponownie się zdziwił, lecz nie na długo.

- To prawda, jest zimno - powiedział Cwicca. - Ale kiedy pomyślę, jak to było wśród bagien w Crowland, w niewoli u czarnych mnichów! Dobrze, jeśli w ogóle miałeś koc, a do jedzenia była tylko owsianka, i to nie za wiele. Mieszkałeś w chacie z klepiskiem zamiast podłogi i od św. Michała do Wielkanocy lało ci się na głowę. A przed tobą był jeszcze Wielki Post! Nie, to najszcześniejsza zima w moim życiu.

Radosny nastrój stał się jeszcze weselszy po kolejnym eksperymencie Udda. Udd nigdy nie zapomniał sromotnej porażki, jaką zakończyła się jego próba sporządzenia zimowego piwa przez odparowanie wody, zamiast jej zamrożenia. Aby uzyskać teraz zimowe piwo, wystarczyłoby wystawić na dwór pełne wiadro, ale Udd uparł się. Jeżeli podgrzane piwo utraciło moc, to musiała ona ulecieć wraz z parą, rozumował. Przeprowadzał żmudne eksperymenty. Łapał parę. Zamykał podgrzewane naczynie. Wyprowadzał miedzianą rurkę, ponieważ była giętka, z gorącego naczynia na ziąb, by szybciej skropić parę. Zbierał produkt końcowy. Powtarzał proces w coraz szczelniej zamkniętych naczyniach, z lepszym chłodzeniem.

Wreszcie uznał, że uzyskał coś, czym może poczęstować innych.

Próbowali: ostrożnie, ze zdziwieniem, z uznaniem.

- Dobry napitek na mroźny dzień - przyznał Osmod. - Nie tak dobry, jak zimowe piwo z korzeniami, ale, powiedziałbym, bardziej swojski. Wciąż pachnie kuźnią. "Palone piwo", tak bym to nazwał.

- Może lepiej byłoby użyć wina - powiedział Udd, chociaż próbował wina najwyżej dwa razy w życiu.

Cuthred nic nie powiedział, ale kiedy następnym razem wybierał się samotnie na narty, zabrał ze sobą całą butelkę.

Nadszedł wreszcie dzień, gdy byli gotowi zepchnąć przebudowanego "Aurvendilla" na spokojne zakole rzeki, która zaczęła już płynąć żywiej pod lodem, jakby lada chwila zamierzała wyrwać się na wolność.

- Czy nie powinniśmy położyć czegoś na pochylni, na szczęście? - spytał Shef.

Hagbarth zmierzył go świdrującym spojrzeniem.

- Niektórzy tak robią - powiedział. - Zwykle składają krwawe ofiary Ran, bogini morskiej otchłani.

- Nie o tym myślałem. Udd, czy masz małą beczkę palonego piwa? Połóż ją pod kilem. Gdy statek będzie zjeżdżał, roztrzaskają.

Hagbarth skinął głową.

- A wtedy powinieneś nadać mu nowe imię. - Poklepał osadę masztu. - To już nie jest mój "Aurvendill". To gwiazda, wiesz. Powstała, kiedy Thor rzucił w niebo odmrożony palec olbrzyma. Dobre imię dla szybkiego statku. Ale już taki nie jest. Jak go nazwiesz?

Shef nie odpowiedział, dopóki ludzie nie chwycili za liny, gotowi wyciągnąć statek z szopy, w której tak długo nad nim pracowali.

Dopiero kiedy zaparli się razem i ciemny, brązowy płyn chlusnął na kil, zawołał: -Nadaję ci imię "Nieustraszony"!

"Nieustraszony" stoczył się wolno z pochylni, strzaskał cienki lód i łagodnie spoczął na wodzie.

Był to dziwny statek. Obciąli i przedłużyli jego kil, używając do tego najmocniejszego drewna i stali, jakie udało im się uzyskać. Na przedłużonym kilu osadzili co kilka jardów wręgi, do nich zaś, wbrew powszechnie przyjętej praktyce, przybili poszycie. Stare poszycie "Aurvendilla" pozostało jedynie na nadburciach. Mocniejsze deski, wycięte z sosnowych pni, pokrywały dolną część kadłuba. Smukłą niegdyś sylwetkę szpeciły umieszczone na dziobie i rufie pomosty bojowe, podobne do tych, które Shef widział na wałach Hedeby. Przycupnęły na nich dwa nowe muły. Aby zrównoważyć ich ogromny ciężar, "Nieustraszony" został rozbudowany w głąb i wszerek, a jego obszerną ładownię wypełnił balast. Pomosty bojowe, a właściwie półpokłady, chroniły zarazem załogę o wiele lepiej niż skórzane osłony, których zwykle używali wikingowie, nawet na Atlantyku.

W dwóch kwestiach Hagbarth zdołał postawić na swoim. "Nieustraszony" pozostał jednomasztowcem, choć z uwagi na większy kadłub żagiel też się rozrósł, co prawda na boki, nie w górę, lecz i tak powierzchnia żagla zwiększyła się o połowę. A żelazne płyty, które miały osłaniać burty i obrotowe muły, trzymano w ładowni i mocowano tylko w razie potrzeby.

- Nie wybrałbym się czymś takim w podróż do Anglii - powiedział Hagbarth, dopiero wtedy jednak, gdy znaleźli się z dala od okrętu, na wypadek, gdyby jego słowa miały spowodować nieszczęście. - Przy nim nawet pękate knory wydają się smukłe, a kiedy zakładasz te żelazne płyty, wygląda jeszcze gorzej.

- Nie zamierzam płynąć nim do Anglii - odparł Shef. - Jeśli zdoła przewieźć nas przez cieśniny i do wybrzeży Fryzji, spełni swoje zadanie.

Oby tylko minąć Braethraborg, pomyślał Hagbarth, lecz nie powiedział tego głośno. On sam też nie miał zamiaru podejmować ryzyka podróży. Posiadał umowę sprzedaży "Aurvendilla" i chciał jedynie odebrać pieniądze ze skarbca Shefa i Alfreda.

Shef natomiast zastanawiał się, kogo tak naprawdę ma prawo prosić, by dzielił z nim niebezpieczeństwa. Wszyscy Anglicy, mężczyźni i kobiety, którzy towarzyszyli mu do tej pory, z pewnością pójdą nim dalej, żywiąc nadzieję powrotu do domu. Podobnie Karli, żadny sławy wielkiego podróżnika, jaka czekała go w Ditmarsh.

I Hund. Thorvin również chciał jechać. Hagbarth i jego załoga dopłyną z nimi do Smaalandu na południu Szwecji, ucząc po drodze szczury lądowe sztuki żeglowania.

Kiedy stopniały śniegi i ludzie zaczęli myśleć o wyjeździe, Cuthred przyszedł zobaczyć się ze swoim panem.

- Czy chcesz, żebym popłynął z tobą na południe? - spytał.

Shef popatrzył na niego, zdumiony.

- Myślałem, że zabierzemy cię do domu. Do Northumbrii.

- Nie mam nikogo w Northumbrii. Mój król nie żyje. Nie wiem, czy żyje moja żona, lecz nawet jeśli tak, to teraz nic jej po mnie.

Wolę zostać tutaj, na pustkowiu. Są tu ludzie, którzy przyjmą mnie takim, jakim jestem. Ludzie, którzy nie mierzą człowieka tylko jedną miarą.

Shef znów usłyszał w jego głosie nieznośną gorycz. A jednak...

bał się puścić Cuthreda. Cuthred sam jeden wart był tyle, co katapulta lub hartowana zbroja. Shef miał pewność, że będzie go potrzebował, nim dotrą na południe.

- Pamiętasz młyn? - spytał. - Kiedy cię uwolniłem, powiedziałaś, że należysz do mnie.

Cuthred przez większą część swego życia był królewskim mistrzem. Wiedział, co to wierność i posłuszeństwo, rozumiał, że jedno i drugie obowiązuje aż do śmierci.

- Przeprowadź mnie przez Skagerrak, a potem pozwolę ci wrócić, żyć na pustkowiu, gdzie tylko zechcesz - poprosił Shef.

Cuthred popatrzył na błoto pod swoimi stopami.

- Przeprowadzę cię przez Skagerrak - powiedział. - I obok

Braethraborgu. Ktoś będzie tu na mnie czekał.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

IN owy król Szwedów, Kjallak, doskonale wiedział, że został wybrany następcą zamordowanego króla Orma tylko z jednego powodu: aby powstrzymać zagrożenie ze strony germańskich chrześcijan i rozprawić się z wyznawcami Drogi, którzy na podobieństwo chwastów rozplenili się po całym kraju. Przywrócić w królestwie

Szwedów, Sveariki, stare obyczaje i starą wiarę. Jeśli zawiedzie, kapłani ze świątyni w Uppsali dokonają ponownego wyboru.

Starannie układał plany. Kapłani domagali się ofiary. Złoży więc ofiarę. Z tych wszystkich, których Szwedzi bali się i nienawidzili zarazem. Ofiaruje mężczyzn i kobiety spośród chrześcijan, ludzi

Drogi, Finów, a nawet skogarmenns, mieszkańców pogranicza, którzy żyli w lasach lub na mokradłach i nie składali danin.

Ściganie Finów zimą miało się z celem. Latem też nie było to łatwe, ponieważ przenosili się ze swymi reniferami w głęboką tundrę. Należało uderzyć teraz, bowiem obecny czas sprzyjał Szwedom. Nastąpiła odwilż, ziemia zamieniła się w grząskie błoto, nikt nie podróżował, jeśli tylko mógł tego uniknąć, lecz niezrównane szwedzkie konie powinny poradzić sobie bez trudu. Jeszcze zimą Kjallak kazał wysłać do wyznaczonych punktów sanie z furazem. Wybrał ludzi i udzielił im

szczególonych wskazówek. Wyruszyli na tydzień przed wiosennym przesileniem; wiał wówczas silny wiatr i padał deszcz ze śniegiem.

Shef również układał plany. W czasie przesilenia, pomyślał, lód gotów spłynąć z wartkim nurtem i "Nieustraszony" będzie mógł ruszyć w dół rzeki, rozpocząć pierwszy etap podróży do domu. Jego ludzie starannie uzbrajali statek, układając w ładowni żelazne płyty, które podczas bitwy miały chronić burty, mocując do okrężnicy uchwyty na kusze i bełty, zbierając kamienie do mułów.

Doglądający tego Shef spostrzegł w pewnej chwili, że zbliża się ku nim grupa Finów. Bez swoich nart poruszali się niezdarnie. Dokoła leżało jeszcze nieco śniegu, lecz większe zasy zdażyły się już zamienić w grząską breję. Finowie sprawiali wrażenie zupełnie bezradnych, wyglądali jak ptaki z podciętymi skrzydłami. Ostatnimi czasy zjawiali się dość często w osadzie, przychodzili, aby pohandlować lub po prostu zobaczyć, co się dzieje. Jeden z kapłanów

Herjolfa upodobał sobie szczególnie boginię Skathi, panią ośnieżonych szczytów. Rozumiał język Finów i nierzadko podróżował razem z nimi, zgłębiając ich wiedzę. Shef ujrzał, że wychodzi on na spotkanie przybyszów, wrócił więc do swoich zajęć.

W chwilę potem pojawił się u jego boku Ottar, kapłan Skathi, a wraz z nim Fin Piruusi, na którego obliczu malował się ponury gniew. Shef popatrzył na nich ze zdziwieniem.

- Mówi, że Szwedzi zaatakowali ich obóz dwa dni temu - powiedział Ottar. - Wielu ludzi na koniach. Nie zauważyli ich wcześniej, ponieważ śnieg stopniał. Wielu Finów zginęło. Inni zostali porwani.

- Porwani - powtórzył Piruusi. - Jeden Szwed pijany, spadł z konia. My go złapać. On mówić, Finowie iść do świątyni. Do świątyni w Uppsala. Wisieć na drzewie na cześć szwedzkich bogów.

Shef skinął głową, choć nadal nie bardzo wiedział, dlaczego mu o tym mówią.

- On chce, żebyś ich uratował.

- Ja?! - wykrzyknął Shef. - Nic nie wiem o Uppsali. - A potem umilkł. Przypomniawszy sobie trzy wizje, które nawiedziły go w namiocie Piruusiego. Rozmyślał przede wszystkim o pierwszej z nich, o swoich starych wrogach Ragnarssonach, o tym, że rosą w siłę i zagradzają mu drogę do domu. Ale przecież widział także króla, nowego króla, oraz jego kapłanów, domagających się prawdziwej ofiary, nie żalosnej namiastki z niedołączonych niewolników, których

Szwedzi kupowali za bezcen przez wiele lat. I chrześcijan, widział również chrześcijan.

- Czy mówił też o chrześcijanach, ten wasz Szwed?

Piruusi powiedział coś po fińsku, a jego twarz rozjaśniła się.

- Mówi, że prowadzą cię duchy, zawsze o tym wiedział - przetłumaczył Ottar. - Chrześcijanie też pójda pod wielki dąb. I ludzie

Drogi, tak przynajmniej twierdzi Piruusi.

- Na nas nikt nie napadł - powiedział Shef.

- Bo to za daleko. A poza tym nie ma tu wszystkich.

Shef poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Zanim stopniał śnieg, Thorvin wziął sanie i pojechał do odległego o trzydzieści mil targowego miasta, by wymienić trochę żelaza na żywność. Zabrał ze sobą Cwiccę, Hamę i Udda. Dotąd nie wrócili. Jeżeli oni też zostali porwani... Shef uświadomił sobie nagle, ku swemu zdumieniu, że chociaż Cwicca uratował mu życie, wyrrywając go z uścisku tonącego Ivara, a Thorvin przygarnął go niegdyś jako nieznanego nikomu przybłędę, to jednak najbardziej niepokoi go los Udda. Nikt nie zdołałby zastąpić Udda, gdyby go zabrakło. Bez jego inspiracji umarłoby w powijakach wiele śmiałych projektów.

- Myślisz, że mogli wpaść w ręce Szwedów?

Ottar wskazał ręką na wschód, na biegnącą wzdłuż rzeki drogę.

Ukazali się tam jeźdźcy, pędzący tak szybko, jak pozwalało na to grząskie błoto.

- Myślę, że zaraz się tego dowiemy - powiedział ponuro.

Potwierdziły się ich domysły. Miasto zostało zaatakowane o świcie i doszczętnie spalone. Napastnicy zabili większość mężczyzn, kobiet i dzieci, tylko nielicznych uwieźli ze sobą na dodatkowych koniach. Wybierali tych z amuletami Drogi albo młodych chłopców i dziewczęta. W ogólnym zamieszaniu trudno było stwierdzić, dlaczego Szwedzi napadli na miasto. Ale zabijając, krzyczeli ponoć: Skogarmenn! Skogarmenn! Ludzie z lasu, banici. Na jedno wychodzi. Kapłan Thorvin z całą pewnością został porwany, widziano, jak odjeżdżał z napastnikami. Rozpoznano też szczerbatego mężczyznę, którego opis pasował do Cwicci. Nikt nie przypominał sobie, by widział kogoś podobnego do Udda. Lecz nie było w tym nic dziwnego, uznał Shef. Nawet ludzie, którzy przebywali z Uddem w jednym pokoju, często go nie zauważali. Póki rzecz nie dotyczyła żelaza i stali, metalu i mechanizmów, mały człowieczek pozostawał na uboczu.

- Kiedy jest czas składania ofiar? - spytał Shef.

Herjolf gładził palcami brodę.

- W dniu Świętego Dębu, Królewskiego Dębu, jak go nazywają, kiedy pojawiają się pierwsze pąki. Za dziesięć dni. Może dwanaście.

- No cóż - stwierdził Shef. - Odbijemy naszych ludzi. A przynajmniej spróbujemy.

- Zgadza się - powiedział Herjolf. - Tak postąpiłby każdy kapłan Drogi, nawet Valgrim, gdyby żył! Szwedzi rzucili nam wyzwanie. Jeśli powieszą naszych kapłanów w świętych szatach, z gałązkami jarzębiny u pasów, z amuletami na szyjach, stracimy wszystkich wyznawców spośród Szwedów. A także wielu innych, kiedy wieść się rozniesie.

- Spytaj Piruusiego, co ma zamiar zrobić - poprosił Shef Ottara.

Wszystko, co w ludzkiej mocy, padła odpowiedź. Szwedzi zabrali jego najmłodszą, ulubioną żonę. Piruusi niezwykle cenił sobie jej wdzięki i dawał jasno do zrozumienia, że uważa ją, podobnie jak

Shef Udda, za niezastąpioną.

- Dobrze. Potrzebuję także Hagbartha. Powiedz mu to, Herjolfie. Teraz jest to sprawa Drogi. I jeszcze jedno. Mam zamiar płynąć pod rozwiniętym sztandarem.

- Z jakim godłem?

Shef zawahał się. Widział już wiele sztandarów i wiedział, jak działają na wyobraźnię. Był budzący lęk Kruczy Sztandar Ragnarssonów i Pełzający Wąż Ivara. Alfred wywieszał Złotego Smoka

Wessexu, odziedziczonego po Rzymianach. Ragnhilda obrała sobie za godło Spętana Bestię. On sam maszerował w kierunku Hastings pod znakiem Młota i Krzyża, aby zjednoczyć ludzi Drogi i angielskich chrześcijan przeciwko armii papieża. Co powinien wybrać tym razem? Godło Riga, drabinę, którą nosił na szyi? Do nikogo nie przemówi. Młot i zerwane kajdany, na znak wyzwolenia? Ale nie szedł przecież uwalniać niewolników, chciał skupić wokół siebie ludzi pogranicza i banitów.

- Powinieneś wywiesić Młot - upierał się Herjolf. - Nie Młot i Krzyż, tak jak kiedyś. Nie ma tu chrześcijan. Tylko germańscy misjonarze i ludzie przecznych ochrzczeni, a oni nie są naszymi przyjaciółmi.

Shef zdecydował. Wciąż miał włócznię, którą Echeborgun zabrał Bolliemu, jarlowi Trondów.

- Wybieram wzniesioną włócznię, jako moje własne godło powiedział. - Skrzyżowaną z młotem, znakiem Drogi.

Herjolf zacisnął wargi.

- Moim zdaniem, za bardzo będzie przypominać krzyż.

Shef zmierzył go wzrokiem.

- Skoro mam walczyć z królem - rzekł - sam też będę królem.

Usłyszeliście królewski rozkaz. Przyślij mi wszystkie kobiety i niech od razu złączą szyć.

Gdy Herjolf oddalił się, Shef odwołał Cuthreda na stronę.

- Wyruszymy dopiero jutro rano - powiedział cicho. - Idź wieczorem na pustkowie. Nie możemy liczyć na lud Huldu w Uppsali, prawda? Za daleko od bagien i gór. Wszystko jedno, trzeba przekazać wiadomość. Na północy mogą być jeszcze inne rodziny półtrolli, nie tylko ród Branda. Dowiedz się tego. I pożegnaj się.

Shef chciał jeszcze dodać: "Tylko wróć", ale zreflektował się w porę. Gdyby Cuthred miał zamiar odejść, to i tak by odszedł. Trzymała go tutaj tylko jego duma i nie było powodu, aby go obrażać.

Następnego ranka Cuthred stał w milczeniu na dziobie "Nieustraszonego", w kolczudze, w hełmie, z mieczem, tarczą i włócznią.

Znów wyglądał jak królewski mistrz, tylko oczy miał zmęczone i zaczerwienione.

Statek był pełen ludzi, zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Tylko nieliczni pozostali w górniczej osadzie. Kapłani, nowicjusze, Anglicy, Angielki i Finowie - wszyscy tłoczyli się razem, w sumie ponad pięćdziesiąt osób. Nigdy by się tu nie pomieścili, gdyby trzeba było używać wiosł lub żagla. Ale topniejący śnieg zastąpił ludzi i statek mknął z prądem rzeki niczym rączy koń. Tylko Hagbarth stał przy sterze, obserwator na reii wypatrywał przeszkód, a kilku ludzi na dziobie odpychało wiosłami dryfującą krę.

Wszędzie po drodze widzieli ślady zniszczenia, spalone chaty, obrócone w perzynę wioski. Na widok powiewającego sztandaru ludzie wołali do nich z brzegów, spychali na wodę swoje czółna i płynęli za statkiem. Kiedy "Nieustraszony" dotarł do ujścia rzeki, jego śladem podążała już niewielka armada cztero- i sześciowiosłowych łodzi. Leżące nad samym brzegiem morza rybackie wioski dostarczały większych statków. Shef przegrupował siły i polecił ludziom z najmniejszych łodzi przesiąść się do większych.

- W ten sposób nie dopłyną bardzo daleko - zaprotestował Hagbarth. - Po pierwsze, nie wystarczy im wody. Nie, nic nie mów, wiem. Musimy słuchać rozkazów. Masz swój plan.

Kiedy "Nieustraszony" wraz z towarzyszącą mu flotyllą mniejszych statków wpłynął na wody Fińskiej Pętli, jak Szwedzi nazywali głęboką zatokę pomiędzy Fińską Marchią a przeciwległym wybrzeżem, ich oczom ukazało się skupisko maleńkich wysp. Piruusi, dotychczas pogrążony w milczeniu, podszedł do Shefa i wyciągnął rękę.

- Finowie, na wyspach - powiedział. - Ja chodzę do nich czasem, po łodzie. Morscy Finowie.

Shef rozkazał Ottarowi, Piruusiemu i kilku jego Finom wsiąść do łodzi i zebrać na wyspach tylu ochotników, ilu im się uda. Tymczasem "Nieustraszony" płynął pod częściowo zrefowanym żaglem na nieuniknione spotkanie ze strażą przybrzeżną króla Kjallaka.

Ali Rudy, kapitan "Lwa Morskiego", który patrolował przybrzeżne wody w pobliżu fińskich Wysp Alandzkich, zobaczył zbliżający się żagiel i rozkazał płynąć ostrożnie w jego kierunku. Słyszał różne historie o dziwnych i dziwacznie uzbrojonych statkach, nie miał więc zamiaru podejmować niepotrzebnego ryzyka. Zlustrował wzrokiem kłębiącą się nieco dalej czeredę i zbył ją wzruszeniem ramion.

Rybackie łodzie biedaków, hałastra. W każdym razie, na widok pasiastego żagla jego statku, wszystkie jednocześnie wykonały zwrot i rzuciły się do ucieczki. Ale co wyprawia ten dziwny okręt? Ni to knor, ni to frankijska koga? Też próbuje uciekać?

- Jest w zasięgu strzału - warknął Osmód. Były kapitan halabardników z trudem hamował wściekłość, nie mógł dojść do siebie od czasu, kiedy dowiedział się, że jego stary przyjaciel i towarzysz broni, Cwicca, ma zawisnąć na szwedzkim stryczku w ofierze dla

Freya i Odyna.

- Odsuń się od muła - rozkazał Shef. - Wszyscy do ładowni. Ty też, Hagbarcie. Osmód, ty tu teraz dowodzisz. Wykonaj zwrot i płyn, uciekaj.

Osmód otworzył szeroko usta.

- Aleja nie potrafię żeglować.

- Owszem, potrafisz, widziałeś, jak to robią inni. Teraz twoja kolej. Karli, Wilfi i ja jesteśmy twoją załogą. Cuthredzie, bierz wiosło sterowe.

- Cóż - powiedział niepewnie Osmoð. - Skąd wieje wiatr... Cuthredzie, obróć dziób trochę od wiatru, hmm, w lewo. Karli, złap za ten koniec rei, a ty, Wilfi, za drugi, i obróćcie tak, żebyśmy mieli wiatr z tyłu. Chryste, to znaczy, Thorze, co teraz?

Hagbarth zasłonił rękami oczy, a "Nieustraszony" zaczął niezdarnie uciekać. Wyglądał zupełnie jak statek handlowy ze zbyt małą załogą podczas dziewiczego rejsu. Na ten widok Ali zarechotał, aż zatrzęsała się jego ruda broda, a jego dwa statki ustawiły się zgrabnie do wiatru i ruszyły w pościg.

- Schować głowy - rozkazał Shef. - Zapomnijcie o mułach. Każdy bierze kuszę, a druga ma być pod ręką.

Począł, aż "Lew Morski" zrówna się z nimi, popatrzył na srogie, brodate twarze ponad okrężnicą, na rząd opartych o burtę włóczni, i dopiero wtedy wydał komendę. Każdy potrafi naciągnąć kuszę, jak powiedział Udd przed dwoma laty. Teraz, kiedy wystarczył jeden ruch dźwigni, było to jeszcze łatwiejsze. Z odległości dziesięciu jardów nawet największy partacz nie mógł chybić. Wypuszczone z tak bliska grube, żelazne bełty przeszły przez drewno i pancerz jak przez cienkie płótno i wbiły się głęboko w ciało i kość. Kiedy strzelcy Shefa ponownie unieśli naładowane kusze, było już jasne, że druga salwa jest zbędna.

Hagbarth przerzucił linę z pokładu na pokład, popatrzył na kilku pozostałych przy życiu, przerażonych nieprzyjaciół i rozkazał im związać mocno oba statki.

- Teraz muł- powiedział Shef, widząc, że drugi nieprzyjacielski statek usiłuje rozpaczliwie zawrócić. - Poślij kamień nad ich głowami, Osmoð, i powiedz im, żeby wyrzucili broń za burtę.

Niebawem flota Shefa, składająca się obecnie z trzech dużych okrętów, które wzięły na hol mniejsze łodzie i szalupy, skierowała się w stronę szwedzkiego wybrzeża. Za nimi, stłoczeni w małych łodziach, tak obciążonych, że ledwie utrzymywały się na powierzchni, ponurzy strażnicy wybrzeża klócili się zawzięcie, czy płynąć do

Wysp Alandzkich, zamieszkałych przez Finów, czy też do brzegu

Szwecji, gdzie czekała ich zemsta rozgniewanego króla.

Ludziom z des Lanzenordens, mimo wszelkich wysiłków, udało się nawrócić bardzo niewielu Szwedów, przynajmniej spośród mężczyzn, rdzennych mieszkańców tej ziemi. Wspólnota wiernych, których wzięli pod swoją opiekę, składała się głównie z niewolników, chrześcijan, sprowadzonych do tego kraju siłą. Niektórzy byli Germanami, niektórzy Fryzami lub Frankami, w większości wywodzili się jednak z Anglii lub Irlandii. Die Ritter nie czuli się z nimi szczególnie mocno związani. Natomiast narzucanie swojej woli ludziom

Północy, którzy prześladowali ich przez tak długi czas, sprawiało im przyjemność, zwłaszcza gdy zdali sobie sprawę, że siła jest przede wszystkim kwestią organizacji. Kiedy wielotysięczna armia wikingów spadała na miasto lub wioskę na Zachodzie, przewaga była po stronie najeźdźców. Jeżeli pięćdziesięciu dobrze uzbrojonych i wyszkolonych germańskich rycerzy wkraczało do szwedzkiej wioski, zamieszkałej przez dwustu wolnych kmieciów, sytuacja przedstawiała się podobnie. Co

innego, gdyby mieszkańcy zorganizowali się przeciwko nim. Ale nie zależało im na tym, ponieważ nie mogli liczyć na żadne łupy. Der Lanzenorden spędził zimę w spokoju, lecz bez zadowolenia. Zwierzchnikom i podkomendnym dokuczała nuda, ponieważ nie wolno im było upijać się ani gwałcić urodziwych szwedzkich dziewcząt. Diakon Erkenbert bał się, że jego szansę na dojście do wyższych godności maleją z każdą chwilą spędzoną tutaj, z dala od centrum wydarzeń. Hauptritter Bruno gryzł się samotnie w swojej kwaterze. Nie znalazł jak dotąd włóczni Karola Wielkiego. Jeżeli w ogóle istniała, to była gdzieś daleko na północy, w innym kraju. Bóg, w którym pokładał nadzieję, chyba go opuścił.

Gwałtowne pukanie do drzwi wyrwało rycerzy z odrętwienia, figury szachowe potoczyły się po podłodze. Ludzie chwytały za wiszącą na ścianach broń, w pośpiechu wkładali pancerze. Ktoś ostrożnie otworzył drzwi i do środka wpadł chudy, ubłocony mężczyzna.

- Zabrali ich - wybełkotał.

- Kogo zabrali? - spytał ostro Bruno, którego przyciągnął hałas. - Kto zabrał kogo?

Na widok nieprzyjaznych spojrzeń i obnażonych mieczy nieszczęśnik do reszty stracił kontenans. Erkenbert wystąpił naprzód i przemówił do przerażonego człowieka po angielsku.

- Jest z Hadding - wyjaśnił. - To miasto dziesięć mil stąd, odprawiliśmy tam mszę. Mówi, że dzisiaj rano przyszli żołnierze króla Kjallaka, spędzili wszystkich chrześcijan, którzy brali udział w nabożeństwie - mieli listę - i zabrali ich pod strażą. Szwedzi opowiadają, nie kryjąc zadowolenia, że schwytani mają być złożeni w ofierze pogańskim bożkom w wielkiej świątyni, mniej więcej za pięć dni.

- Rzucono nam wyzwanie - rzekł Bruno, spoglądając dokoła z uśmiechem. - Nieprawdaż, chłopcy?

- Rzucono wyzwanie wszechmocnemu Bogu - powiedział Erkenbert. - Musimy na nie odpowiedzieć wzorem świętego Bonifacego, który sam jeden obalił świątynię saskiego Irminsula i nawrócił pogańskich Sasów na prawdziwą wiarę.

- Słyszałem coś innego - mruknął jeden z rycerzy. - Sam jestem

Sasem. Chciałbym tylko wiedzieć, jak pięćdziesięciu ludzi ma odbić jeńców z rąk zgromadzenia wszystkich Szwedów. Będą ich tam tysiące. I król, wraz ze swoją drużyną.

Bruno z całej siły klepnął go w plecy.

- Dlatego jest to wyzwanie! - zawołał. I dodał, nieco spokojniej: I pamiętajcie, oni wierzą, że wszystko powinno się dziać w ustalony sposób. Na wyzwanie trzeba odpowiedzieć. Jeśli wyzwę króla, będzie musiał walczyć albo wyznaczyć swojego mistrza. To nie będzie bitwa. To będzie pokaz naszej siły - i woli Boga. Zastraszymy ich. Robiliśmy tak do tej pory.

Jego podwładni nie wydawali się zupełnie przekonani, ale przywykli do dyscypliny i ufali swemu dowódcy. Zaczęli szykować broń, juki, koce i konie, a także układać marszrutę. Pięć dni. Pięćdziesiąt mil do pogańskiej Uppsali. Muszą zdążyć, nawet po błotnistych drogach. Kłopot w tym, że nie uda im się dotrzeć w tajemnicy przed zgromadzenie Szwedów, odpadał więc element zaskoczenia. Podejrzane wydawało się również to, że nikt ich nie niepokoił, nie było żadnej próby podpalenia ani ataku o świcie. Może Kjallak, król

Szwedów, odgadł ich zamiary. Oczekiwał ich przybycia. Przygotował dla nich stosowne powitanie. Dwaj misjonarze zastali u swych drzwi czekających w kolejce ludzi, którzy przyszli się wypowiedzieć i prosić o błogosławieństwo.

Rozdział trzydziesty

Im bliżej było do Uppsali, tym gorsze przeczucia nawiedzały Shefa. A nie powinny. Wszystko układało się lepiej, niż ktokolwiek mógł oczekiwać. Na brzegu nie spotkali się z żadnym oporem, dorośli

Szwedzi wyruszyli już z bronią na zgromadzenie i składanie ofiar, tak im przynajmniej powiedziano. Przy brzegu krążyły łodzie z pochodniami, aby wskazywać drogę Piruusiemu, który zjawiał się niebawem, prowadząc spory zastęp Finów, gotowych uderzyć natychmiast na twierdzę swego odwiecznego wroga. Ochotnikom rozdano kusze, szybko ich przeszkolono, po czym każdy mógł oddać po pięć próbnych strzałów - tyle wystarczało, by ludzie nauczyli się posługiwać najnowszym typem tej broni i trafiać do celu z odległości pięćdziesięciu jardów. Mając w straży przedniej fińskich łuczników, a oprócz tego dwie setki kusz, Shef wiedział, że dysponuje siłą, z którą nieprzyjaciel będzie musiał się liczyć, zdolną odeprzeć każdy przypadkowy lub nie przemyślany atak. Na plaży zostawił jedynie tuzin mężczyzn i kobiet, którzy mieli pilnować łodzi oraz zakotwiczyć "Nieustraszonego" z dala od brzegu, aby nie wpadł czasem w ręce wroga.

Nastroje też były dobre, zwłaszcza po przybyciu posiłków. W dodatku, kiedy posuwali się w głąb ładu - zbyt rozproszeni, aby nazwać to marszem - mijając po drodze wioski pogańskiej Szwecji, spotykali się tam ze względnie życzliwym przyjęciem. W domach pozostały jedynie kobiety, niewolnicy i nisko urodzeni. Wielu z nich, widząc sztandar z włócznią i młotem, brało ten znak za krzyż, czego właśnie obawiał się Herjolf, i jeśli byli chrześcijanami, uznawali go za zapowiedź rychłego wyzwolenia. Inni, ujrawszy amulety ludzi Drogi, przyłączali się do oddziału, lub służyli informacjami. Jeszcze inni, których przyjaciele lub krewni zostali porwani na ofiarę, ochoczo domagali się broni, gotowi iść im z pomocą. To też dodawało otuchy, kiedy szeregi armii rosły, miast topnieć, jak to się często zdarza przed bitwą.

Skąd więc te złe przeczucia, zastanawiał się Shef. Z powodu Cuthreda. Shef miał wewnętrzne przekonanie, że nie dojdzie tym razem do walnej bitwy, że o wszystkim rozstrzygnie pojedynek mistrzów.

Aż do tej pory polegał bez zastrzeżeń na Cuthredzie, na jego sile i zręczności, a przede wszystkim na jego niebywalej odwadze. Cuthreda nigdy nie trzeba było zagrzewać do walki, raczej powstrzymywać. Aż do tej pory. Lecz ostatnio stał się małomówny, ponury, zniknęła gdzieś atmosfera utajonej groźby, jaka zawsze go otaczała.

Shef, jadący na zarekwirowanym kucyku, spostrzegł nagle u swego boku Hunda. Hund nie odzywał się, jak zwykle czekał, aż

Shef pierwszy zacznie mówić. Shef spojrzął na plecy idącego przodem Cuthreda i mruknął: - Boję się, że straciłem mojego berserka.

Hund przytaknął.

- Też mi się tak zdaje. A myślisz, że będzie ci potrzebny?

-Tak.

- Pamiętam, co Brand mówił o berserkach. Powiedział, że nie są to ludzie opętani przez złe duchy, tylko tacy, którzy nienawidzą samych siebie. Być może nasz berserk... - Hund nie wymieniał imienia na wypadek, gdyby Cuthred ich słyszał- ...być może z jakiegoś powodu nie czuje już do siebie nienawiści.

Shef pomyślał o Miltastaray i przypomniał sobie dziwne uwagi

Echegorguna na temat Ukrytego Ludu, o ich niemocy, o tym, jak rzadko się parzą. Potrafił zrozumieć, że Cuthred, jeśli nie uważał się już za człowieka, mógł zacząć uważać się za trolla.

- Nie chcę mu tego odbierać - powiedział - ale wolałbym, żeby jeszcze przez jakiś czas był taki, jak dawniej.

Hund wydobył coś spod długiego płaszcza, jakie większość z nich nosiła teraz dla ochrony przed wiatrem i zacinającym deszczem.

- Zastanawiałem się, czy nie ma innego sposobu, aby stać się berserkim. Jeśli twoje wizje może powodować coś, co tkwi w tobie, albo w zbożu, czy też w napoju Finów, to także berserkersgangr może wywołać coś siedzącego głęboko w duszy lub w ciele. Rozmawiałem z Finami, przy pomocy Ottara. Używają nie tylko muchomorów. Również tego. - Pokazał Shefowi butelkę.

-Co to jest?

- Wywar. Wrząca woda wylana na grzyby. Nie te czerwone z białymi kropkami, z których robi się napój widzenia. I nie sromotniki, te, co to wyglądają jak... - Hund znowu ściszył głos - ...jak męskie członki. To inne grzyby. Finowie nazywają je uszami rysia, wielkiego kota, który żyje w lasach. Ten napój wprawia ludzi w szal, najłagodniejszych zmienia w berserków. - Wręczył Shefowi butelkę. - Weź, jeśli chcesz. Daj to Cuth... naszemu przyjacielowi.

Shef po namyśle przyjął butelkę.

Do wielkiej świątyni w Uppsali przylegał zamknięty dziedziniec, kryty strzechą, o ścianach plecionych z wikliny. Przez wszystkie szpary lał się do środka deszcz. Wewnątrz stłoczono dziewięćdziesięciu mężczyzn oraz dziewięćdziesiąt kobiet i przywiązano ich za ręce do żelaznych pierścieni, przytwierdzonych do długiej belki.

Nie było trudno się stamtąd uwolnić i gdyby zdołał tego dokonać choćby jeden z więźniów, mógłby rozwiązać pozostałych. Lecz po całym dziedzińcu krążyły strażnicy, bijąc okrutnie każdego, kto się gwałtowniej poruszył lub zrobił cokolwiek, co wyglądało na próbę ucieczki. Strażnicy mieli tym razem więcej roboty niż zwykle i głównie o tym rozmawiali między sobą. Przede wszystkim nigdy jeszcze za ich pamięci nie składano tak wielkiej ofiary. A w dodatku trafiali tu dotychczas starzy niewolnicy, tak wycieńczeni, że gdyby nie poszli na sznur lub pod miecz, to i tak za kilka dni umarliby z zimna lub z głodu. Nie powinno się tak dziać, mówili strażnicy, wymierzając ciosy, które łamały palce i obojczyki. Lecz tym razem bogowie dostaną dla odmiany świeże mięso. Zapewne wszystkie nieszczęścia spadły na Szwedów dlatego, że bogom obrzydły już ofiary, nadające się jedynie na zupę.

Cwicca, który próbował wcześniej wyrwać swój pierścień z belki i teraz hołubił złamaną przez strażnika rękę, wyszeptał cichutko do stojącego obok Thorvina: - Nie podoba mi się Udd.

Mały człowieczek rzeczywiście wydawał się bliski płaczu; nie było w tym nic dziwnego, jednak ani Anglicy, ani ludzie Drogi nie chcieli dawać swym wrogom okazji do szyderstw. Udd wpatrywał się w jednego ze Szwedów, kapłana, który wszedł do zagrody dla niewolników. Szwedzcy kapłani świątyni i Królewskiego Dębu mieli zwyczaj kpić i naigrawać się z więźniów, wierzyli bowiem, że strach i rozpacz ofiar miłe są bogom. Podobno zwyczaj ten ustanowił starożytny król Angantyr, niektórzy jednak twierdzili, że sukinsynom sprawia to po prostu przyjemność. Dolna warga Udda drżała, kiedy słuchał wrzasków Szweda.

- Nie myślcie sobie czasem, że to pójdzie szybko! Tak łatwo nie umrzecie. Składam ofiary przed tym zgromadzeniem od dwudziestu lat. Kiedy byłem młody, zdarzało mi się popełniać błędy. Pozwalałem, by ludzie odchodzili do bogów, nie wiedząc nawet, że już umarli. Teraz tego nie robię! Ci, których powieszę, wciąż będą żyć, kiedy zlecą się kruki Odyna, aby wydziobać im oczy. Pomyślcie, jakie to uczucie, kiedy kruk siedzi wam na głowie i wyciąga dziób. Widziałem to nieraz! Spróbujecie zasłonić oczy rękami, nieprawdaż? Ale mocno je wam zwiążemy.

A to jeszcze nie wszystko. Nawet kiedy umrzecie, kiedy odejdziecie do bogów, jak myślicie, co się wtedy stanie? Zasiądziecie na chmurach z harfami w dłoniach, wy, chrześcijanie, co? Otóż nie!

Jesteście niewolnikami tutaj i pozostaniecie nimi tam!

Kapłan zaczął śpiewać świętą pieśń, głosem i intonacją osobliwie przypominał Thorvina. Stąd właśnie wywodzi się Droga, uświadomił sobie Cwicca w nagłym przypiływie olśnienia. Z wierzeń takich jak to. Ale zmienionych, choć może nie złagodzonych - wyznawcy Drogi też bywają okrutni - lecz pozbawionych owego rozpaczliwego niepokoju, który sprawia, że prawdziwi, zatwardziali poganie tak lubują się w cierpieniu.

Olbrzym, co cię posiadzie, zowie się Hrimgrimmir, Za bramą Hel twój dom; Tam podli niewolnicy pod korzeniami drzewa

Psie szczyny wylizują.

Innego już napoju pić nie będziesz nigdy... * Udd zwiesił głowę i skrzywił się płaczliwie, a gdy zobaczył to pogański kapłan, jego śpiew przemienił się w triumfalny śmiech.

*) Edda starsza, Skirnismal 35, 1-2; 36, 1-3 (przyp. tłum.).

Wówczas Thorvin również zaczął śpiewać, jego głęboki głos tę samą nutę, lecz rytm pieśni był inny: Widziałem dwór wysoki, słońcem rozświetlony, Dach jego złotem kryty, na polanie Gimlei, Tam sprawiedliwych hufce znajdą odpocznienie, W szczęściu i miłości żyć będą przez wieczność...

* Kapłan wydał wściekły okrzyk i rzucił się wzdłuż szeregu więźniów w stronę rywala, wyrzaskując przekleństwa i wznosząc okutą pałkę. Hama, przywiązany wraz z innymi, wysunął przed siebie nogę.

Kapłan potknął się o nią i runął na ziemię niemal u stóp Thorvina.

Thorvin, ze skrzepowanymi nad głową rękami, popatrzył z politowaniem na pałkę. Szarpnął się w przód, na ile tylko pozwalały mu pęta, i uderzył z góry obcasem buta. Coś chrupnęło, z gardła kapłana wydobył się krótki, zduszony charkot.

- Zmiażdżona tchawica - zauważył jeden ze strażników, którzy odciągnęli ciało, a potem beznamyślnie, bezmyślnie zaczęli okładać

Thorvina pałkami.

- W Thruthvangarze, kiedy się tam znajdziemy - wysapał Thorvin pomiędzy kolejnymi uderzeniami - będzie moim sługą. Naszym sługą. Poza tym jeszcze nie umarliśmy, a on tak.

Udd, na którego nikt nie zwracał teraz uwagi, znowu zaczął płakać. Odbił daleką drogę, wiele wytrzymał, robił, co mógł, aby zachowywać się jak wojownik. Lecz obecnie przestał już nad sobą panować, opuściła go resztką odwagi.

Kiedy armia Shefa zbliżała się do Uppsali, a była to noc poprzedzająca składanie ofiar, jak utrzymywali ich informatorzy, padał ulewny deszcz. Błotniste drogi wypełniły się wiernymi, wizjonerami, stronnikami króla Kjallaka oraz czcicielami Odyna i Freya, a wszyscy oni wymieszali się między sobą w jedną beładną ciżbę.

Shef, zamiast wyrąbywać sobie przejście siłą, polecił swoim ludziom, aby schowali pod płaszcze nietypową broń i szli spokojnie naprzód jako jeszcze jedna grupa, tyle że bardzo liczna, zdążająca na miejsce ceremonii. Przy lepszej pogodzie jego Finowie na pewno zostaliby rozpoznani. Lecz ponieważ wszyscy kulili głowy w strumie*) Edda starsza, Yóluspa 64, 1-4 (przyp. tłum).

niach deszczu, a Finowie kroczyli w samym środku kolumny, nikt nie zwrócił na nich uwagi i nie próbował ich zatrzymać. Shef słyszał wiele głosów, powtarzających, że bogowie nie dali się przebłagać. Krew musi popłynąć strumieniami, nim Szwedzi znów doczekają się dobrych zbiorów.

W szarej godzinie przedświt Shef spostrzegł smocze dachy świątyni, rysujące się na tle zachmurzonego nieba. Nie opodał, jeszcze bardziej złowrogi, majaczył cień wielkiego dębu, Królewskiego

Dębu, wokół którego Szwedzi oddawali cześć swym bogom i wybierali swoich królów na długo przedtem, nim stali się narodem.

Mówiono, że gdyby czterdziestu ludzi chwyciło się za ręce, to i tak nie zdołaliby objąć potężnego pnia. Choć napływały coraz większe tłumy, nikt nie podchodził pod rozłożyste gałęzie. Zwisły z nich jeszcze ciała zeszłorocznych ofiar, ludzkich i zwierzęcych. Wokół pnia wałało się mnóstwo zbutwiałych kości.

Gdy dotarli na miejsce, Shef przesłał rozkazy do Herjolfa, Osmoda i innych, aby ustawili ludzi w zwartym szeregu, z dala od największej ciżby, i czekali w pogotowiu na rozwój wydarzeń. Sam podszedł do Cuthreda. Olbrzym stał w milczeniu, z ukrytą bronią.

- Wkrótce mogę cię potrzebować - powiedział Shef.

Cuthred skinął głową.

- Będę przy tobie, panie.

- Może powinienes wypić trochę tego. To sprawia, że... że człowiek staje się bardziej gotowy, tak przynajmniej twierdzi Hund.

Cuthred przyjął flaszkę, odkorkował i ostrożnie powąchał. Nagle parsknął z pogardą i cisnął ją na rozmiękłą ziemię.

- Wiem, co to jest. Przed bitwą dają to młokosom, którym nie można ufać. Proponować to mnie, mistrzowi króla Elli! Należę do ciebie. Gdyby dał mi to ktoś inny, zabiłbym go.

Cuthred odwrócił się gniewnie i odszedł kilka kroków. Shef spojrzał na niego, pochylił się, podniósł butelkę i sam ją powąchał. Została może jedna trzecia płynu. Dają to młokosom przed bitwą? On sam jest młokosem, tak mu przynajmniej zawsze mówiono. Pod wpływem nagłego impulsu Shef uniósł flaszkę do ust, osuszył ją i ponownie rzucił na ziemię. Karli, który stał kilka kroków dalej uważał, aby nie zbliżać się zanedo do Cuthreda - przyglądał mu się z niepokojem.

Gdzieś zagrały rogi, na deszczu dźwięk ten brzmiał nisko i ociężale. Czy to już świt? Trudno powiedzieć. Trudno też dostrzec, czy na

Królewskim Dębie pojawiły się paki. Lecz kapłani świątyni najwidoczniej uznali, że pora zaczynać. Niebo jaśniało z wolna, kiedy drzwi otworzyły się, wyszli z nich ze śpiewem kapłani i ustawili się wokół dębu. Znowu zagrzmiały rogi i powoli rozwarły się wrota. Straże wyprowadziły na poranny chłód dwa szeregi powłóczących nogami postaci. Shef rozpiął płaszcz i odrzucił go w błoto, oddychał głęboko i ciężko. Był gotów do działania. Wybierał już tylko swój cel.

Nie opodał, za niskim grzbietem, przesłaniającym równinę, Bruno zrobił przegląd swoich rycerzy. Zdecydował, że nie zsiądą z koni, dla większego impetu uderzenia. Co prawda mieli do dyspozycji jedynie szwedzkie wierzchowce, a nie świetnie wyszkolone frankijskie lub germańskie bojowe rumaki, lecz jego ludzie byli dobrymi jeźdźcami, prawdziwymi Rittern. Mogliby przeprowadzić szarżę nawet na kucykach.

- Myślę, że są gotowi - powiedział Bruno do Erkenberta. Mały diakon słabo jeździł konno, lecz w przeciwieństwie do misjonarzy nie chciał zostać w swojej kwaterze. Bruno posadził go w siodle przed sobą. Erkenbert trząsł się z zimna. Bruno nawet nie chciał myśleć, że mógłby to być strach. Raczej podniecenie na myśl o walce za wiarę. Poprzedniego dnia Erkenbert czytał im wszystkim żywoty świętych, angielskich świętych, Willibalda i Winfrieda, który przyjął imię Bonifacego. Zaatakowali pogańskich Sasów w ich własnych świątyniach, obalili ich święte posągi, zapewnili sobie wieczne zbawienie w niebie i wieczną chwałę u ludzi. Męczeństwo, powiedział Erkenbert, jest niczym w porównaniu z ich zasługami. Było oczywiste, że mały Anglik sam pragnie zostać bohaterem legend.

Bruno miał inne zamiary i bynajmniej nie myślał o męczeństwie.

- Spójrz! - krzyknął diakon. - Prowadzą męczenników na miejsce kaźni. Kiedy zamierzasz uderzyć? Ruszaj natychmiast, w imię

Pańskie!

Bruno przygotował się, stanął w strzemionach, aby wydać rozkaz, i znowu opadł na siodło.

- Wygląda na to, że ktoś nas uprzedził - powiedział zdumiony.

Kiedy więźniowie szli powoli pod eskortą strażników, Shef zdał sobie sprawę, że zjawił się ktoś nowy, by pokierować ceremonią.

Coraz jaśniejszy blask poranka oświetlił blok szarego kamienia pośrodku równiny, pomiędzy świątynią a dębem - płaskie, czworokątne podwyższenie o wysokości może czterech stóp i szerokości dziesięciu. Z małej grupki w pobliżu drzwi świątyni wystąpił mężczyzna z włócznią. Wspierając się na niej, wskoczył pewnie na podwyższenie i uniósł wysoko ręce. Jego stronnicy wznieśli zgodny okrzyk, który zagłuszył szmer zebranego tłumu.

- Kjallak! - krzykali. - Król Kjallak, ulubieniec bogów!

Shef ruszył w tamtym kierunku, ściskając w dłoni włócznię.

Wiedział, że za nim kroczy Cuthred, lecz nie dbał o to. Miał wrażenie, że jego ciało płynie w powietrzu, coś podrywało go w górę, oddech rozsadzał mu płuca.

- Kjallaku! - zawołał ochryple. - Masz tu moich ludzi. Przyszedłem po nich.

Król spojrział na niego z góry. Był to wojownik w sile wieku, może trzydziestopięcioletni, weteran wielu wojen i wielu pojedynków.

- Kim jesteś, nędzniku, który zakłócasz zgromadzenie Szwedów? - spytał.

Shef, podszedłszy wystarczająco blisko, zamachnął się drzewcem włóczni, mierząc w nogi Kjallaka. Ten uskoczył zwinnie, spadł na mokry kamień, pośliznął się i przewrócił. Shef jednym susem znalazł się na podwyższeniu. Jego donośny głos zabrzmiał ponad równiną, choć słów, które padały, Shef wcale nie miał zamiaru wypowiedzieć.

- Nie jesteś królem! Król winien otaczać swoich ludzi opieką, a nie wieszać ich na drzewach dla zgrai starych oszustów. Zejdź z kamienia! Ja jestem królem Szwedów.

Rozległ się szcęk broni, ale Shef nie zważał na to. Pół tuzina zbrojnych ruszyło na pomoc swemu królowi. Trzech zatrzymały żelazne belty, wystrzelone z tłumu. Cuthred wyszedł naprzeciw pozostałym, powalił jednego ciosem w nogi, dwóch zmusił do ucieczki.

- Czy to wyzwanie? - krzyknął Kjallak. - To nie jest czas ani miejsce po temu.

W odpowiedzi Shef wymierzył Kjallakowi kopniaka. Kjallak, który zdążył tymczasem wstać, znowu upadł. Szmer przeszedł wśród zebranych. Kjallak poderwał się na nogi, twarz mu pobladła.

- Może to nie jest czas ani miejsce, ale zabiję cię za to - powiedział. - Zrobię z ciebie heimnara, a potem oddam kapłanom. Będiesz pierwszą ofiarą, jaką dostaną dzisiaj bogowie. Nie masz jednak miecza ani tarczy. Chcesz ze mną walczyć tym starym oszczepem na dziki?

Shef rozejrzał się wokoło. Nie planował tego. To napój Hunda przyćmił jego rozsądek i oto skutki: znalazł się twarzą w twarz z doświadczonym wojownikiem, sam, zamiast wysłać przodem swego mistrza

Cuthreda. Teraz nie mógł poprosić o zastępstwo. Zobaczył, że dzień wstał już na dobre, a deszcz dziwnym trafem też przestał padać. Shef stał na kamieniu, w samym środku naturalnego amfiteatru, a wszystkie oczy zwrócone były na niego. Kapłani ze świątyni przerwali swoje śpiewy i zbili się w posępną gromadę w pobliżu spętanych więźniów. Polanę otaczał najeżony włóczyniami krąg Szwedów, przybyłych na walne zgromadzenie swego ludu. Nie mieli zamiaru się wtrącać. Po prostu stali, czekając na wyrok bogów. Lepsza okazja mogła się już nigdy nie nadarzyć. A napój wciąż jeszcze działał.

Shef odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem, cisnął włócznię, która wbiła się w mokrą murawę. Podniósł głos, aby słyszał go nie tylko Kjallak, lecz także ostatnie rzędy widzów.

- Nie mam miecza ani tarczy! - krzyknął. - Ale mam to! - Wyszarpnął zza pasa długi, jednosieczny nóż. - Będę z tobą walczył po rogalandzku! Niepotrzebna nam bycza skóra. Mamy święty kamień.

Stoczmy walkę tutaj, ze związanymi nadgarstkami, a kto zejdzie na ziemię o własnych siłach, będzie królem Szwedów.

Tłum przywitał te słowa głuchym pomrukiem, a Kjallak zacisnął wargi. Widział już nie raz podobne pojedynki. Podczas takiej walki przewaga wyszkolenia przestawała się liczyć. Wiedział jednak, że tłum nikomu nie pozwoli się teraz wycofać. Lecz Kjallak był silniejszy i miał dłuższe ręce. Rozpiął pas, rzucił go wraz z mieczem na ziemię, usłyszał, jak Szwedzi zaczęli wznosić radosne okrzyki i uderzać włóczniami o tarcze, gdy zdali sobie sprawę, że przyjął wyzwanie.

- Czupurny koguciku! - powiedział, nie podnosząc głosu. - Powinieneś trzymać się swojego śmietnika.

Cwicca, przyciskając do ciała złamaną rękę, odwrócił się do pobitego i krwawiącego Thorvina.

- Dzieje się coś dziwnego - mruknął. - On nigdy by czegoś takiego nie zaplanował. Nie dałby się również do tego namówić. To do niego niepodobne.

- Może kierują nim bogowie - odparł Thorvin.

- Miejmy nadzieję, że go teraz nie opuszczą- powiedział Hama.

430 Bruno, który ze swego punktu obserwacyjnego śledził przygotowania do walki, rozejrzał się uważnie dookoła. Oczy wszystkich zwrócone były na środek polany, gdzie Kjallakowi jego ludzie pomagali właśnie zdjąć kolczugę, podczas gdy Shef rozbierał się do tuniki. Pojawiła się lina, odcięta z katowskiego zwoju, którą związane nadgarstki obu przeciwników. Każdemu towarzyszyło teraz dwóch sekundantów, czuwających, by walka odbywała się przepisowo. Jeden z kapłanów ze świątyni zamierzał odśpiewać hymn do Odyna, lecz Herjolf przepchnął się przez tłum i zaczął się z nim spierać.

- W tej chwili nie możemy się nawet do nich zbliżyć - powiedział Bruno. - Tłum jest za bardzo zbity. Słuchajcie, zrobimy tak.

Pokazał swoim ludziom okrężną drogę. Mieli zatoczyć łuk wokół świątyni i zagrody dla niewolników, po czym wpaść na polanę pomiędzy świątynią a dębem, gdzie zostawiono wolną przestrzeń dla więźniów.

- Zajedziemy ich od tyłu - dokończył. - Uformujemy klin i przebijemy się. W ten sposób przynajmniej uwolnimy naszych ludzi.

- Co to za sztandar, tam, w dole? - spytał jeden z rycerzy.

- To krzyż - wykrzyknął Erkenbert, który miał słaby wzrok. Bóg zesłał nam znak!

- To nie krzyż - powiedział spokojnie Bruno. - To włócznia, taka jak ta, którą właśnie rzucił młody człowiek. Włócznia i coś jeszcze, nie widzę dokładnie. Ale nie przeczę, że to może być znak.

Shef oddychał głęboko i powoli, czekając na sygnał. Ubrany był tylko w spodnie, zdjął nawet buty, by zapewnić stopom lepsze oparcie na mokrym kamieniu. Nie miał najmniejszego pojęcia, co robić.

Ale nie wydawało się to takie ważne. Napój Hunda wyzwolił w nim gniew i uniesienie. Czasem jednak dochodziła do głosu także trzeźwiejsza część jego umysłu, ostrzegała go, by nie spuszczał z oka przeciwnika, zamiast rozkoszować się poczuciem własnej siły.

Zapadła niespodziewana cisza, kiedy kapłani przestali śpiewać, potem zabrzmiały rogi, a Kjallak rzucił się naprzód jak dziki kot i ciał. Shef uskoczył, nieomal zbyt późno, poczuł piekący ból na wysokości żeber, gdzieś z bardzo daleka usłyszał ryk uznania. Zaczął walczyć. Jedną ręką chwycił za linę, którą byli związani, drugą markował pchnięcia. Kjallak nie zwracał uwagi na pozorowane ciosy, czekał na prawdziwy atak. Kiedy takowy nastąpi, jednooki będzie musiał się zbliżyć. Jeżeli chybi, Kjallak znowu uderzy. Zachodził zawsze z prawej, zataczając uzbrojoną nóż ręką szerokie kręgi, a jego na wpół ślepy przeciwnik musiał stale odwracać się ku niemu swym jedynym okiem. Co kilka chwil ciał szybko, umiejętnie, w odsłonięte lewe ramię Shefa, na tyle głęboko, by wytoczyć krew, pozbawić przeciwnika sił.

- Jak idzie? - spytał Thorvin, którego lewe oko ginęło całkowicie pod opuchlizną.

- Zaraz potnie naszego człowieka na kawałki - odparł Cwicca.

Zaraz potnie mnie na kawałki, pomyślał Shef. Nie czuł bólu ani prawdziwego strachu, tylko narastającą gdzieś w głębi panikę, tak jakby stanął naprzeciw tysiący ludzi i zapomniał, co miał zamiar powiedzieć. Spróbował zapaśniczej sztuczki, chciał podstawić przeciwnikowi nogę. Kjallak zrobił zręczny unik i ciał go przez kolano.

Shef również ciał, mierząc w lewe ramię Kjallaka, i po raz pierwszy trafił, pociekła krew. Kjallak skrzywił się i natychmiast wyprowadził pchnięcie górą, ponad związanymi rękami. Shef cofnął głowę i odskoczył, puszczając przy tym linę, by uniknąć drugiego błyskawicznego ciosu w serce.

- Uczymy się, co? - sapnął Kjallak. - Ale nie dość szybko. Powinieneś zostać z mamusią.

Myśl o matce, której życie zrujnowali wikingowie, wprawiła Shefa w furję; ruszył na oślep przed siebie, zadając cios za ciosem. Kjallak uchylał się przed nimi, kilka odbił nożem, aż zwarły się ze

zgrzytem metalowe ostrza, i czekał na chwilę, kiedy atak osłabnie. Jak berserk, pomyślał. Z takimi nie należy walczyć. Należy schodzić im z drogi i czekać, aż się zmęczą. Wyczuwał już, że jego przeciwnika opuszczają siły.

- Powinieneś zostać z mamusią- powtórzył. - Pobawić się w niewinną grę w kostki.

Kostki, pomyślał Shef. Przypomnił sobie lekcje, których Karli udzielał mu na bagnach, wróciło wspomnienie targu w Hedeby.

Chwycił zwisającą luźno linę, naprężył ją i przeciął jednym ciosem.

Tłum zaszemrał, w oczach Kjallaka pojawił się wyraz zdziwienia i niesmaku.

Shef podrzucił wysoko swój nóż, który zawisł w powietrzu.

Kjallak odruchowo podążył za nim wzrokiem, unosząc przy tym głowę.

Shef zrobił krok do przodu, obrócił się całym ciałem, tak jak uczył go Karli, zacisnął pięść i wyprowadził potężny lewy sierpowy. Prawie wywichnął sobie ramię. Chrupnęły kości, gdy pięść trafiła w szczękę. Kjallak zachwiał się. Ten człowiek miał jednak byczy kark, zatoczył się, ale nie stracił równowagi

Opadł wirujący nóż. Shef, zupełnie jakby ćwiczył to przez wiele lat, złapał lewą ręką za trzonek i pchnął w odsłonięty podbródek.

Ostrze przebiło brodę, język i podniebienie, zatrzymało się dopiero na kości czaszki.

Shef poczuł, jak wali się na niego bezwładny ciężar, przekreślił ostrze i wyszarpnął je. Odwrócił się powoli w stronę tłumu, unosząc zakrwawiony nóż. Usłyszał triumfalny okrzyk swoich ludzi i zmieszane głosy pozostałych.

- Walka była nieuczciwa! -krzyknął jeden z sekundantów Kjallaka, podchodząc do kamienia. - Przeciął linę! To wbrew regułom.

- Jakim regułom? - spytał Cuthred. Nie powiedział już nic więcej, tylko zamachnął się mieczem, prawie odrąbując sekundantowi głowę. Ze swego podwyższenia Shef zobaczył wzniesione włócznie i wycelowane kusze.

Promień słońca przebił się przez chmury i padł na zakrwawiony kamień. Tym razem tłum jęknął z przestraszeniem. W tej samej chwili rozległ się szcęk metalu. Shef popatrzył ponad głowami zebranych i ujrzał, jak na polanę pomiędzy świątynią a dębem wpadają w zwartym szyku opancerzeni jeźdźcy, odgradzając więźniów od ich strażników i pędząc przed sobą kapłanów świątyni. Nie wiedział, kim są, ale postanowił wykorzystać okazję. Napój raz jeszcze zesłał mu natchnienie i obudził gniew.

- Szwedzi! - zawołał. - Chcecie, by wróciły dobre zbiory i pomyślność. Jedno i drugie wyrasta na krwi. Właśnie dałem wam krew, krew króla. Pójdźcie za mną, a dam wam jej więcej.

W tłumie rozległy się głosy, krzyczące o dębie i ofiarach.

- Przez lata składaliście ofiary i co z tego macie? To były złe ofiary. Musicie poświęcić to, co jest dla was najdroższe. Spróbujcie raz jeszcze. Dam wam lepszą ofiarę.

Shef wskazał ręką na polanę.

- Poświęćcie swój dąb. Zetnijcie go i uwolnijcie duchy powieszonych. A jeśli bogowie domagają się krwi, dajcie im krew. Krew ich sług, kapłanów świątyni.

Z końskiego grzbietu zsunął się niezdarnie na ziemię mały, odziany na czarno człowieczek i przebiegł przez polanę prosto pod ohydne, rozkołysane gałęzie. Po drodze wyrwał jednemu z oniemiałych kapłanów siekiere. Dopadł dębu, zamachnął się i uderzył. Jęk wyrwał się z tłumu na widok świętokradztwa. Z pnia posypały się drzazgi, a ludzie spojrzeli w górę, czekając, kiedy spadnie grom. Nic się nie stało. Słyszeli tylko stuk uderzającej o drzewo siekiery, a Erkenbert dalej machał jak opętany. Z wolna wszystkie oczy skierowały się na kapłanów, których jeźdźcy Bruna przygnali tymczasem pod kamień. Herjolf uznał, że chwila nadeszła i objął komendę nad stronnikami Shefa.

- Uwaga! - krzyknął. - Kusznicy, do mnie i utwórzcie krąg. Ottarze, zbierz swoich Finów. Pojmać tych ludzi. A ty - zwrócił się do

Bruna - powstrzymaj swojego małego przyjaciela, zanim zrobi sobie krzywdę. Otoczcie dąb pierścieniem i weźcie czterech takich, którzy potrafią trzymać siekiere.

Zdumieni i zaciekawieni Szwedzi przyglądali się bezlitosnym poczynaniom Herjolfa. Nim słońce stanie w zenicie, spłonie Królewski Dąb, a wraz z nim ciała jego sług.

- Czy w ten sposób jednooki został królem Szwedów? - pytali niektórzy.

- Kto to wie? - słyszeli w odpowiedzi. - Ale sprowadził z powrotem słońce.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Najświeższe wieści zastały Ragnarssonów w ich kwaterze głównej w Braethraborgu, Twierdzy Braci, na zamienionej w obóz wojskowy wyspie Sjaelland w samym sercu Danii. Kiedy nagrodzili i odprawili posłańca - zawsze mieli zwyczaj płacić za wieści, nawet najgorsze - zasiedli we trójkę, aby odbyć naradę. Na stole pojawił się dzban wina z południowych winnic. Był to dla nich dobry rok, chociaż tak źle się zaczął. Od czasu, kiedy zdobyli Hedeby, ich wojska maszerowały lądem lub płynęły morzem od jednego małego królestwa do drugiego, zmuszając do kapitulacji kolejnych drobnych królików, a każde zwycięstwo przynosiło im nowe sojusze i nowe oddziały, potrzebne do następnych podbojów. Cały handel pomiędzy północą a południem znalazł się teraz w ich rękach, nakładali cło na każdy ładunek futer i bursztynu z północy, na każdy statek z winem lub niewolnikami z południa. Lecz jeden ich zamiar nie został jak dotąd uwieńczony sukcesem i ta myśl nie dawała im spokoju.

- Zabił Kjallaka - pokręcił głową Halvdan Ragnarsson. - Zawsze mówiłem, że to dobry chłopak. Powinniśmy go mieć po swojej stronie. To ta nieszczęsna awantura o dziewczynę Ivara wszystko zepsuła. Szkoda, że nie udało nam się przemówić Ivarowi do rozsądku. - Halvdan bardziej niż pozostali bracia cenił sobie kodeks wojownika i miał słabość do Shefa od czasu jego zwycięstwa nad Hebrydyjczykami podczas holmgangu w obozie pod Yorkiem.

Bracia wiedzieli jednak, że uczucia nie mają wpływu na jego lojalność. Po prostu wyrażał swoją opinię.

- A teraz mówią, że płynie na południe. Może się udawać tylko w jedno miejsce - rzekł Ubbi Ragnarsson. - Tutaj. Zastanawiam się, jakie siły jest w stanie zebrać.

- Z tego, co wiemy, nie udało mu się pociągnąć za sobą wszystkich Szwedów - powiedział ich brat Sigurth, zwany Wężookim. To dobrze. Oczywiście, że drwimy sobie ze Szwedów, są staromodni, nie wyprawiali się dostatecznie często na Zachód, by porządnie nauczyć się wojennego rzemiosła. Ale jest ich wielu, jeżeli zbiorą się razem.

- Nie zebrali się, jak dotąd. Tylko ochotnicy, jak głosi wieść, i siły, które przyprowadził ze sobą dalekiej Północy, Finowie i skogarmenn. Wątpię, by było się czym przejmować. Co jednak martwi mnie trochę bardziej, to Norwegowie.

Olaf, Elf z Geirstath, gdy tylko dowiedział się od wysłanników

Drogi, co wydarzyło się w Uppsali, natychmiast ściągnął pełne siły ze wszystkich królestw odziedziczonych po zmarłym bracie i popłynął z nimi na południe, tak szybko, jak pozwalał mu na to lód, na spotkanie z człowiekiem, w którym uznawał swego władcę.

-Norwegowie! - prychnął Ubbi. - Pod wodzą tego głupca Olafa. Niedługo zaczną walczyć między sobą, a on sam siedział w domu przez czterdzieści lat. Jest niegroźny.

- Był niegroźny - powiedział Sigurth. - Ale bardzo się zmienił, i to mnie niepokoi.

Czas jakiś siedział w milczeniu, sączył wino i o czymś dumał. Jego bracia spojrzeli po sobie, również nic nie mówiąc. Z nich trzech właśnie Sigurth najlepiej potrafił przewidywać przyszłość. Był wyczulony na wszystkie odmiany losu, wszystkie kaprysy szczęścia i sławy.

Sigurth zaś popadł w zadumę, ponieważ wietrzył kłopoty. Wiedział z doświadczenia, że przychodzą one zawsze z najmniej spodziewanej strony, a najgorsze zjawiają się wtedy, kiedy się je zlekceważy i nie upora z nimi we właściwym czasie. Już na samym początku on i jego bracia stanowczo nie docenili tego człowieka, Skjefa czy Shefa. On sam poprzestał na wyłupieniu mu jednego oka, kiedy miał go całkowicie w swojej mocy. Potem, zaniepokojeni jego zdolnością do sprawiania im kłopotów, próbowali dopaść go raz i drugi.

Pierwsza próba kosztowała ich życie brata. Za drugą omal nie zapłacili swoją sławą. A ów człowiek znowu im się wymknął. Sigurth nie był pewien, czy dobrze zrobił, powstrzymując wtedy Halvdana, który chciał skoczyć za tamtym w wodę. Mógł stracić drugiego brata. Lecz jeśli w ten sposób raz na zawsze pozbyliby się groźnego przeciwnika, to może było warto.

Czy za tym wszystkim, zastanawiał się Sigurth, nie kryje się aby jakaś wskazówka, znak zmiennych łask bogów? Sigurth na ogół traktował sceptycznie sprawy wiary i nierzadko uciekał się do gróźb lub przekupstwa, by wymóc na kapłanach dobre wróżby. Poza tym jednak żywił niezachwianą pewnością, że starzy bogowie istnieją i że on właśnie cieszy się ich szczególnymi względami, a zwłaszcza względami Odyna. Czyż nie złożył mu tysięcy ofiar? Lecz Odyn mógł w końcu odwrócić się od swego ulubieńca.

- Wyślemy strzałę wojny - powiedział. - Do władców podległych nam ziem. Niech stawiają się z posiłkami, albo poznają nasz gniew.

- Wiecie, co jeszcze mnie niepokoi? - ciągnął. - Wyobraźcie sobie, że ten stół to Skandynawia, tu jest Dania, tu Norwegia, tu

Szwecja. - Za pomocą butelek i pucharów wytyczył na stole uproszczoną mapę. - Spójrzcie, jaką przebył drogę. Tutaj spotkaliśmy na morzu jego flotę. Stąd trafił do Hedeby. Potem do Kaupangu. Potem na daleką Północ. A teraz pojawia się tam, gdzie nikt się go nie spodziewał, po drugiej stronie gór Kil. Zatacza koło. A może powinienem powiedzieć - robi objazd?

Objazd to droga, jaką odbywał król, zbierając daniny, przyjmując wyzwania, utwierdzając swoją władzę. W Szwecji zwała się ona

Eiriksgata. Droga Shefa była znacznie dłuższa, składało się na nią wiele mniejszych objazdów.

- Cóż - powiedział Halvdan, wpatrując się we wzór z pucharów. Musi zrobić jeszcze jeden krok, zanim zakończy swój objazd. Lub zatoczy koło. Tutaj, do Braethraborgu.

Bardzo, bardzo daleko inna czwórka zebrała się na naradę. Nie trzech bracia tym razem, lecz trzech bracia i ojciec. Jeśli naprawdę był ich ojcem, jeśli naprawdę byli braćmi. Wśród bogów nigdy nie ma co do tego pewności.

Stali u stóp Hlithskjalfu, tronu Odyna w Asgardzie, warowni bogów, skąd widać wszystko, co dzieje się na świecie. Nic nie mogło się ukryć przed ich wzrokiem, a przynajmniej nic w Śródziemiu, środkowym z dziewięciu światów. Widzieli okręty, płynące po morzu, ławice ryb w głębinach, widzieli rosnące zboże i kielkujące ziarno.

- Miałem go w ręku - rzekł Odyn Wszechojciec - i pozwoliłem mu odejść. A on wyparł się mnie, odmówił mi ofiary, wyrznął moich wyznawców. Zesłałem mu śnieg i Finów, aby go zabili, ale im też uciekł I kto go ocalił? Troll, iotunn, jeden z plemienia przeklętego

Lokiego.

Pozostali wymienili spojrzenia. Potem Heimdall, strażnik bogów, z wielkim rogiem zawieszonym na szyi, gotów zadać weń tego dnia, kiedy zjawi się iótnar, zwiastując Ragnarók bogom i ludziom, przemówił ostrożnie.

- Ocalił go ktoś z ludu Huldu, Wszechojczycy. Nie wiemy, czy oni są z plemienia Lokiego. Ale coś rozdrażniło mieczniki, orki, które słuchają tylko własnej żądzы krwi. Nie byłem to ja, nie byłeś to ty.

Jeśli sprawił to Zakuty w Łańcuchy, jak podejrzewam, to ten człowiek jest jego wrogiem. A wróg naszego wroga jest naszym przyjacielem.

- Spalił wielki dąb. Spalił świątynię. Uwolnił ludzi przeznaczonych na ofiarę dla mnie i dla waszego brata Freya. Nawet teraz są przy nim chrześcijanie.

Z kolei Thor spróbował sztuki przekonywania, co nigdy nie było jego mocną stroną.

- Owi ludzie, których uwolnił, nie na wiele by ci się zdali. Ale dał ci innych - twoich własnych kapłanów. To też nędzna zgraja, ale przynajmniej wymiana była uczciwa. Sąpry nim chrześcijanie, lecz on i tak uczynił więcej, aby ich osłabić, niż niejeden z twoich ulubieńców. Co zdziałał przeciwko nim Hermoth, albo Ivar, którego ten człowiek zabił? Zgładzili kilku, nie przeczę, ale to tylko rozwścieczyło resztę. A on odebrał im całe królestwa. Boją się go bardziej niż ty.

Na te nierozważne słowa spojrzenie jedyne oko Odyna przeszło jak sztylet rudobrodego boga, który spuścił wzrok i z zażenowaniem splótł palce na trzonku swego młota.

- To nie strach, oczywiście - ciągnął Thor. -Ale on jest kowalem i przyjacielem kowali. Nigdy nie przestał nim być. Jestem za nim.

- Jeśli to, co mówisz, jest prawdą - powiedział Odyn po namyśle - to może znajdę dla niego miejsce w szeregach mojej armii w Valhalli, w szeregach Einheriar. Czy to nie dostateczna nagroda i zaszczyt dla każdego śmiertelnika?

Tylko dla szaleńców, pomyślał bóg, który przysłuchiwał się w milczeniu. Heimdall popatrzył na niego zaniepokojony, bowiem potrafił czytać w myślach ludzi i bogów. A jednak to była prawda

Tylko szaleńcy uważali za nagrodę to, że muszą walczyć i ginąć co dnia, a potem powstawać z martwych i rozprawiać o tym co wieczór.

- Einheriar/esf tam po to -powiedział milczący dotąd bóg - aby zwyciężyć w dniu Ragnarók.

- Oczywiście - odparł Odyn. Popatrzył na Rig swym jedynym okiem. Rig był sprytny, zręczniejszy w słowach niż pozostali jego synowie. Odyn zastanawiał się czasami, czy Rig aby na pewno jest jego synem. Niewątpliwie Rig oszukał wielu mężów, podrzucił ludziom wiele kukulczychjaj. Czy mógł coś podobnego uczynić bogom?

- A naszym celem w dniu Ragnarók jest zniszczyć zło i stworzyć nowy świat? Ukoić wielki ból, który wszyscy cierpiąpo śmierci Baldera? Kiedy to Przeklęty wyrządził swoje największe zło i stał się dla nas Zakutym w Łańcuchy?

Inni bogowie zeszywnieli nieco. Uważali, by nie wymawiać nigdy imienia Baldera, przynajmniej w obecności Odyna. Nie należy jątrzyć starych ran.

Rig mówił dalej, głosem zimnym i drwiącym, jak zawsze.

- Ale czy mamy pewność, że Ragnarók będzie naszym zwycięstwem? Nie. To dlatego właśnie Odyn szkoli bez przerwy swoją armię w Yalhalli. A jeśli zwyciężymy, czy mamy pewność, że po tamtej stronie czeka nas lepszy świat? Nie. Ponieważ są przepowiednie, że wszystkich nas - albo wszystkich was - dosięgnie w tym dniu śmierć.

Ciebie, Thorze, od jadu lormunganda, Węża Midgardu. Ciebie, Heimdallu, z ręki twego brata Lokiego. Co do mnie, nie słyzałem żadnych przepowiedni. Lecz Odyn Wszechojciec - mówi się, że jemu od dawna już przeznaczone są kły wilka Fenrisa. Dlaczego więc tak niecierpliwie czekamy na Ragnarók? Dlaczego nikt z nas nie zadał sobie pytania: czy można stworzyć lepszy świat, nie niszcząc go?

Odyn zacisnął palce na drzewcu włóczni, aż zbieleły mu kostki.

- Ostatnie pytanie. Wiecie, że próbowaliśmy wydostać Baldera ze świata umarłych, a Odyn wysłał swego bohatera, Hermotha, aby sprowadził go z powrotem. Bez powodzenia. Słyszysz się jednak, że niektórzy zostali uwolnieni z Hel, chociaż nie przez nas.

- Chrześcijańskie bujdy - warknął Thor.

- Nawet jeśli tak, to dają jakąś nadzieję. Wiem, że Wszechojciec podziela tę nadzieję. Kiedy Balder leżał na marach, a my mieliśmy już podpalić stos i zepchnąć łódź na Bezkresne Morze, aby zabrała go do Hel, wtedy, w ostatniej chwili, Odyn Wszechojciec pochylił się i szepnął coś do ucha Baldera. Nikt nie słyszał tych słów, nawet ty, Heimdallu. Co szepnął Odyn do ucha martwego Baldera? - Urwał na chwilę. - Wydaje mi się, że wiem. Czy mogę powtórzyć te słowa, Wszechojczy?

- Jeśli je pomyślałeś, to Heimdall już je słyszał. Tajemnicy może dochować dwóch, lecz kiedy znają trzech, przestaje być tajemnicą.

Mów zatem. Co takiego szepnąłem do ucha mego syna?

- Szepnąłeś: " Oby jakiś bóg przywrócił mi ciebie, mój synu ".

Po długiej chwili milczenia Odyn znowu przemówił.

- To prawda. Przyznałem się wtedy do własnej słabości, czego nie zrobiłem nigdy przedtem ani potem.

- Przyznaj się do niej raz jeszcze. Niech wydarzenia toczą się bez twojego udziału. Daj szansę mojemu synowi. Pozwól mi się przekonać, czy z jego pomocą zdołam naprawić świat bez ognia Ragnarók. Ukoić ból po śmierci Baldera.

Odyn ponownie spojrzął na płynące w dole eskadry okrętów.

- Niech się tak stanie - rzekł w końcu. -Ale nie przestanę szukać wojowników do mojej Einheriar. Wkrótce moje córki, Walkirie, Te, Które Wybierają Umarłych, będą bardzo zajęte.

Rig nie odpowiedział, a jego myśli pozostały zakryte nawet przed

Heimdallem.

Uczestnicy narady wojennej, zwołanej przez Shefa na pokładzie "Nieustraszonego", wyglądali tak, jakby bitwa już się odbyła. Cwicca, sprawujący dowództwo nad załogami katapult i z tej racji zaproszony do wzięcia udziału w obradach, miał unieruchomioną i zabandażowaną rękę. Twarz Thorvina nadal pokrywały sińce, a opuchlizna pod okiem dopiero zaczęła się zmniejszać. Trupioblady Shef siedział na krześle, wsparty na poduszkach: stracił tyle krwi, że tą, co została, ledwie dałoby się napełnić puchar do wina, jak twierdził

Hund, który zaszył mu ponad sto ran na ramieniu i nodze.

Inni prezentowali się bardziej wojowniczo. U przeciwległego krańca długiego, ustawionego na żądanie Shefa stołu zasiadł Olaf, Elf z Geirstath, od niedawna przez swoich norweskich poddanych nazywany z szacunkiem "Zwycięskim". U jego boku znalazł się

Brand, który z końcem zimy wyruszył na południe, by kupić nowego "Morsa". Shef pomyślał, że pokrewieństwo Branda z trollami staje się coraz bardziej widoczne. Jego łuki brwiowe sterczały do przodu jak skalne występy nad urwistym brzegiem, a ręce i knykcie wydawały się wręcz zbyt duże w porównaniu do reszty ciała. Obok niego siedział Guthmund, świeżo przez Shefa mianowany jarlem

Sodermanlandu, w następstwie po nieżyjącym Kjallaku. Inni szwedzcy jarlowie przyjęli tę nominację lepiej, dowiedziawszy się, że nowy jarl jest w istocie ich rodakiem, a nawet powinowatym. Z niemałym zainteresowaniem słuchali także stanowczych zapewnień Guthmunda o bogactwach, jakie zdobyć można w służbie nowego króla.

W naradzie brał również udział Herjolf, a wraz z nim Ottar, który o powziętych decyzjach powiadomić miał Piruusiego i Finów. Wreszcie w niedbałej pozie rozwalił się na swym krześle barczysty Germanin Bruno. Interwencja jego ludzi pod Uppsalą zapewniła mu miejsce przy tym stole. Przynajmniej jedno nie budziło wątpliwości, a mianowicie jego nieprzychylny stosunek do Ragnarssonów, którzy teraz, gdy opanowali Hedeby i skończyli z polityką wolnego handlu króla

Hrorika, stwarzali stałe zagrożenie u północnych rubieży Germanii.

Brand, który przed trzema laty osobiście zaniósł wiadomość o śmierci Ragnara Lothbroka do Braethraborgu - historię tę opowiadano sobie do tej pory - opisywał fortyfikacje twierdzy dowódcom połączonych flot Shefa, liczących w sumie ponad sto okrętów wojennych. W stojącej na stole wielkiej misie z piaskiem wyrysował brzegi zatoki i wtykał właśnie w piasek kawałki drewna, odtwarzając z pamięci rozmieszczenie głównych budowli.

- Twardy orzech do rozłupania - zakończył. - Kiedy tam byłem, u wejścia do zatoki krążył stały patrol, pół tuzina największych okrętów wojennych. Jak wiemy, ostatnio został wzmocniony, ponieważ

Ragnarssonowie wiedzą, że się zbliżamy. Każdy okręt zabiera na pokład przynajmniej dobrą setkę ludzi, dziesięć tuzinów wypróbowanych mistrzów, i jest wyższy od większości naszych statków z wyjątkiem okrętów obrony wybrzeża króla Olafa, których mamy tylko cztery. Dalej, ponieważ okręty Ragnarssonów nigdy nie opuszczają zatoki, wobec tego nie muszą uzupełniać zaopatrzenia i mogą przez cały czas pływać z pełną załogą, która schodzi na ląd aby zjeść, a jednocześnie odpocząć.

Poza tym są jeszcze katapulty. Zgodzimy się wszyscy, że swoje pierwsze zwycięstwo pod Hedeby Ragnarssonowie zawdzięczają nowym machinom. Od tego czasu wciąż je budują i szkolą ludzi do ich obsługi, a kieruje tym, jak chodzą słuchy, zdradziecki mnich lub kanonik z katedry w Yorku.

Zebrani popatrzyli z wyrzutem na małą, odzianą w czerń postać

Erkenberta, którego przyprowadził ze sobą Bruno. Erkenbert nie zwrócił na to najmniejszej uwagi. Od czasu, gdy rzucił się z siekierą na Królewski Dąb, diakon przeżywał nie kończący się sen na jawie, spisując wciąż na nowo Legendum de Erkenbertho arithmetico, dzieje pogromcy pogan ubrane w formę żywotu świętego. Nadal miał wątpliwości, jaką rolę powinien tam odegrać

jednooki apostata, który powalił pogańskiego króla: być może najlepiej byłoby pominąć wszelkie wzmianki o nim, a zwycięstwo przypisać chrześcijańskiemu bohaterowi. W świecie chrześcijańskim jedynie Kościół tworzył historię.

- Katapulty są tutaj - ciągnął Brand, wtykając patyczki w cypel, broniący dostępu do zatoki. - Mogą posłać na dno każdy statek, który zdoła wyminąć patrol, z odległości prawie jednej mili.

A wreszcie główne siły Ragnarssonów. Uzbrojone długie łodzie, na tej plaży - Brand położył na piasku następną garść patyczków w liczbie co najmniej równej naszym siłom, tyle że również nie mające żadnych problemów z zaopatrzeniem w żywność i wodę.

- Powiedz nam, Brandzie - odezwał się Shef. - Czy są jakieś dobre wieści?

Brand wyszczerzył zęby.

- Cóż, panie, mógłbym powiedzieć: "Deszcz nie pada", tylko że prawdopodobnie wkrótce będzie padać. Ale owszem, są. Skoro już o tym mowa, to wielu sojuszników Ragnarssonów pomaga im wbrew własnej woli. Znaleźli się tam, ponieważ Ragnarssonowie kolejno ich pokonali, zmusili do kapitulacji i do przysłania posiłków. Gdyby jednak uznali, że ujdzie im to na sucho, uciekliby stamtąd bez wahania. Dopóki Ragnarssonowie zwyciężają, sojusznicy walczą po ich stronie. Lecz jeśli się tak zdarzy, że Ragnarssonowie zaczną przegrywać... Sojusznicy wykruszą się bardzo szybko. Mówiąc szczerze, myślę, że mielibyśmy duże szansę, gdyby udało się nam przełamać pierwszą linię obrony. Problemem są jednak katapulty, jak również wielkie okręty.

Brand zawahał się, nie bardzo pewny, czy ma tłumaczyć rzecz oczywistą. Ale ponieważ wielu uczestników narady było słabo obeznanych z morzem, uznał, że lepiej wyjaśnić wszystko do końca.

- Otóż, kiedy dochodzi do walki na morzu, rozmiary statku...

cóż, można to porównać do kamiennych murów twierdzy. Podczas atlantyckiego sztormu każdy z tych wielkich statków poszedłby na dno w ciągu godziny, kil jest zbyt słaby. Lecz jeśli któryś z nich 442 zbliży się do was na zamkniętych wodach, to wystarczy, że z jego pokładu spadnie na was kilka kamieni, i już kąpiecie się w wodzie.

Mają burty o kilka stóp wyższe od zwykłych statków. Wam trudno jest dosięgnąć ludzi na ich pokładzie, a oni mogą was zasypać strzałami i oszczepami. Kiedy chcą wdrzeć się na wasz statek, schodzą w dół. Wy musicie wspinać się po linach, a dopóki ktokolwiek tam żyje, nigdy wam się to nie uda. Tylko statki króla Olafa mogą z nimi toczyć wyrównaną walkę, ale trzykrotnie ustępują tamtym pod względem liczby. A poza tym, powtarzam, pływają na nich najlepsi ludzie Ragnarssonów. Co prawda tylko Duńczycy, nie Norwegowie - dodał z dumą Brand. - Ale nie ma tam nieopierzonych smarkaczy.

- To szkoda - powiedział Bruno, kiedy zapadła cisza. Mówił w języku Północy z twardym akcentem. - Boję się, że wszyscy musimy wrócić do domu.

Brand poczerwieniał z gniewu i sięgnął przez stół, by schwycić dłoń Bruna i gnieść ją w uścisku, póki nie usłyszy błagania o łaskę. Bruno zrećźnie cofnął rękę, ani na chwilę nie przestając się uśmiechać.

Shef uderzył w stół.

- Dość. Dziękuję ci, Brandzie, za szczegółowe sprawozdanie.

Hrabio, jeśli chcesz wrócić do domu, będziemy kontynuowali bez ciebie. - Shef wytrzymał spojrzenie Bruna, który po chwili spuścił wzrok. - Hrabia Bruno tylko żartował. On też, podobnie jak my, pragnie zrobić porządek z tymi wściekłymi psami i przywrócić prawo w krajach Północy.

- Tak - rzekł Herjolf. - Ale jak mamy to zrobić?

Shef wyciągnął przed siebie otwartą dłoń.

- To jest papier. - Zacisnął dłoń w pięść. - To jest kamień. Pokazał dwa palce. - To są nożyce. A teraz kto ze mną zagra? Hrabio, może ty.

Głos Shefa brzmiał mocno i pewnie, kontrastując dziwnie z pobladłą twarzą. Nie wątpił, że potrafi pociągnąć ich za sobą, tak jak nie wątpił, że zdoła przejrzeć przeciwnika na tyle, aby wygrać tę grę. Co robi Bruno? Nie wybierze papieru, to pewne. Kamień czy nożyce? Sama jego natura przemawiałaaby za ostrym cięciem. A więc wybierze kamień, sądząc innych według siebie.

- Raz, dwa, trzy - liczył Shef. Obaj wyciągnęli ręce jednocześnie, Bruno pięść, Shef otwartą dłoń. - Papier owija kamień, ja wygrałem.

Tak, a teraz Bruno odrzuci nożyce, które poprzednio by wygrały, i odrzuci kamień, który przedtem wybrał.

- Raz, dwa, trzy. - Otwarta dłoń Bruna napotkała dwa palce Shefa. - Nożyce tną papier, znowu wygrałem. Ale wystarczy... - Twarz

Bruna pociemniała, gdy Brand parsknął drwiąco. - Już rozumiesz, o co mi chodzi. Oni mają wielkie statki, katapulty i zwykłe statki.

Wielkie statki zwyciężają zwykłe statki, jak wyjaśnił nam Brand.

Co zwycięża wielkie statki? Katapulty. A co zwycięża katapulty?

Nasz plan musi zawsze przeciwstawiać naszą siłę ich słabości. A teraz mnie posłuchajcie...

Po skończonej naradzie Shef opadł na krzesło; od mówienia aż ochrypl i wciąż jeszcze był słaby z powodu utraty krwi. Bruno wstał, skłonił się dwornie nachmurzonemu Brandowi, po czym ruszył w stronę szczytu stołu.

- Przeszedłeś długą drogę od czasu, gdy próbowali sprzedać cię jako niewolnika w Hedeby-zauważył. Skinął głową Karliemu, który przystanął za krzesłem Shefa. - Widzę, że wciąż jest przy tobie młody człowiek z Ditmarsh. Ale twoja broń, to nie ta sama, którą miałeś wówczas. Czy mogę ją obejrzeć?

Shef dziwnie niechętnie sięgnął za siebie, gdzie spoczywała oparta o okrężnicę włócznia. Bruno przez chwilę obracał ją w dłoniach, uważnie oglądając grot.

- Mogę spytać, gdzie znalazłeś ten osobliwy okaz?

Shef roześmiał się.

- To zbyt długa historia, by opowiadać ją w całości. W wędzarni. Powiedziano mi, że należała wcześniej do jarla Trondów, niejakiego Bolliego. Ale nigdy go nie spotkałem. A w każdym razie nie rozmawiałem z nim - dodał, przypomniawszy sobie długi szereg zwisających tusz. - Dawno temu musiała być własnością chrześcijan. Spójrz, na tulei są krzyże, kiedyś były wypełnione złotem. Ale zdrapano je, zanim trafiła do mnie.

Bruno obracał broń w rękach, przyglądając się krzyżom na żeleźcu. Trzymał włócznię delikatnie, z czcią. Po chwili spytał, bardzo cicho: - Czy możesz mi wyjaśnić, jak ta broń trafiła do ciebie, skoro nigdy nie spotkałeś jej właściciela? Znalazłeś ją gdzieś? Dostałeś od kogoś?

Shef przypomniał sobie scenę w wędzarni Echegorguna: jak odłożył włócznię z powrotem na miejsce, jak Cuthred podniósł japotem i znowu mu ją wręczył. Było coś dziwnego w sposobie, w jaki Bruno wypytywał go o to. Shef nie miał ochoty opowiadać mu całej historii.

- Powiedzmy po prostu, że trafiła w moje ręce. Nie należała wtedy do nikogo.

- Ale ktoś ją miał, prawda? Jakiś człowiek dał ci ją?

Miał ją Echegorgun, pomyślał Shef. Troll, nie człowiek. A wręczył mi ją Cuthred.

- Niezupełnie człowiek - odparł.

Bruno przypomniał sobie słowa arcybiskupa Rimberta, które mu powtórzono: Święta Włócznia Longinusa i Karola Wielkiego nie wróci na światło dzienne za sprawą samego tylko człowieka. Rozwiały się jego wątpliwości. Trzymał w rękach, nareszcie, świętą relikwię Cesarstwa. Bóg nagroził go za wszystkie jego wysiłki. Znajdował się jednak na pokładzie pogańskiego okrętu, otoczeni go potencjalni wrogowie. Cóż takiego powiedział mu kiedyś mały diakon? "Ten, kto wytrwa do końca, zbawion będzie". Do końca. Nie: prawie do końca.

Bruno delikatnie oparł koniec włóczni o pokład. Starł się nadać swemu głosowi możliwie niedbały ton.

- To z pewnością chrześcijańska broń - powiedział. - Bez obrazy, ale nie chciałbym jej zostawiać w rękach kogoś, kto już nie jest chrześcijaninem. Może mógłbym ją od ciebie wykupić, tak jak wykupujemy chrześcijańskich niewolników.

Brand też próbował mnie przekonać, żebym się jej pozbył, pomyślał Shef. Dziwne.

- Nie - odparł i powtórzył to, co powiedział kiedyś Brandowi. To dobra broń, która przynosi zwycięstwo. A poza tym przyniosła mi również szczęście. Zatrzymam ją.

Bruno oddał włócznię, wyprostował się i złożył sztywny, germański ukłon.

- Ufwidersehn, herra, bis ufdie schlacht. Żegnaj, panie. Spotkamy się w boju.

- Męczący sukinsyn - mruknął Cuthred do Cwicci po angielsku, patrząc za odchodzącym Brunem.

Rozdział trzydziesty drugi ijhef leżał pogrążony we śnie, lecz gdzieś w głębi jego umysłu tliła się świadomość, że jutro czeka go bitwa. Flota przycumowała do brzegu jakieś dwanaście mil od wejścia do zatoki Braethraborgu, dobrze strzeżona na wypadek niespodziewanego ataku.

W swoim śnie znalazł się w samej zatoce Braethraborgu, na jej odległym krańcu. Spoglądał w kierunku, z którego, jak wiedział, rankiem miał nadciągnąć on, Shef. I rzeczywiście był to ranek, a stojący przy otwartym oknie mężczyzna patrzył na sunące po wodach fiordu okręty. Wiedział, że te okręty niosą mu śmierć.

Mężczyzna otworzył na oścież okiennice i, wpatrzony w nadciągającą flotę, zaczął śpiewać. Śpiewał pieśń, którą Shef słyszał bardzo często, gdyż była dobrze znana wśród wikingów, a Brand lubił ją szczególnie. Nazywano ją "Pieśnią Bjarkiego" lub "Starą pieśnią Bjarkiego ". Lecz ten mężczyzna nigdy przedtem jej nie śpiewał, robił to po raz pierwszy. Brzmiała tak: Oto wstał nowy dzień, koguty stroszą pióra.

Już pora nam, hultaje, zabierać się do dzieła.

Zbudźcie się, zbudźcie, waleczni druhowie, Mężni z was wojownicy, pogromcy Athilsa, AAf.

Har o twardej pięści, dzielny łucznik Hrolf, Mężowie szlachetni, co ucieczką gardzą

Nie wołam was na ucztę, ni w ramiona kobiet

Wołam was dziś na krwawy i zacięty bój.

Pieśń zagłuszył nagle dobrze znany Shefowi głos jego opiekuna, jak zwykle rozbawiony i drwiący.

- Teraz nie będziesz tak walczył - powiedział. - Pragniesz zwycięstwa, nie chwały. Pamiętaj jednak: zrobiłem dla ciebie, co mogłem, lecz ty musisz wykorzystać każdą sposobność, jaka się nadarzy. Nie ma tu miejsca na słabość...

Głosy rozwiały się, zarówno beznamiętny głos śpiewającego mężczyzny, jak i zimny głos boga. Gdy Shef się obudził- a może obudził się właśnie dlatego- usłyszał rogi wartowników, zwiastujące świt i poranek przed bitwą. Nie wstał ze swego posłania. Teraz, kiedy był królem, mógł przynajmniej poczekać, aż ktoś inny rozpali ogień i przygotuje śniadanie. Nie sposób wyruszyć w bój z pustym żołądkiem, walka wręcz to zbyt ciężka praca. Rozmyślał o swojej wizji i o pieśni.

"Mężowie szlachetni - śpiewał mężczyzna - co ucieczką gardzą". Czy jest szlachetnym mężem? Tak przypuszczał. Niezależnie od tego, czy jego ojcem był bóg, czy jarl, czy nawet tan Wulfgar, w żyłach żadnego z nich nie płynęła krew churla. Czy miało to znaczyć, że on, Shef, gardził ucieczką? A ci, którzy uciekali, nie byli szlachetni? Zapewne śpiewak sądził, że nie uciekać i być szlachetnie urodzonym to jedno i to samo. Jeżeli tak, to mylił się.

"Musisz wykorzystać każdą sposobność", powiedział bóg. Przeczucie mówiło Shefowi, że on także się mylił. O właśnie, było jeszcze coś, co nie dawało mu spokoju. Usiadł i przywołał wartownika.

- Poślijcie po Anglika Udda.

Nim Shef zdążył włożyć buty, Udd już się zjawił. Shef przyjrzał mu się badawczo. Udd starał się jakoś trzymać, lecz twarz miał bladą i napiętą. Wyglądał tak od wielu dni. I trudno się temu dziwić.

Spędził wiele tygodni, oczekując na okrutną śmierć, i został uratowany dosłownie w ostatniej chwili. Wcześniej był narażony na więcej niebezpieczeństw i trudów niż przez całe swoje dotychczasowe życie kowalskiego czeladnika. Znalazł się u kresu wytrzymałości.

A jednak nie chciał uciekać.

- Udd - powiedział Shef. - Mam dla ciebie specjalne zadanie.

Dolna warga Udda zadrgała, wyraz przestachu na jego twarzy jeszcze się pogłębił.

- Chciałbym, żebyś opuścił pokład "Nieustraszonego" i został ze strażą tylną.

- Dlaczego, panie?

Shef myślał gorączkowo.

- W ten sposób będziesz mógł przekazać wiadomość ode mnie, jeśli nam się dziś nie poszczęści. Masz, weź te pieniądze. Opłacisz nimi podróż do Anglii, gdyby coś poszło nie tak. Jeśli się tak stanie, pozdrowisz ode mnie króla Alfreda i powiesz mu, że nie mogę dłużej rządzić Anglią u jego boku i że żałuję tego, bo dobrze nam się razem pracowało. Pozdrowisz ode mnie również jego królową.

Udd wydawał się zaskoczony, uspokojony, trochę zawstydzony.

- Co mam jej powtórzyć, panie?

- Nic. Nic. Pozdrów ją tylko, przez pamięć o dawnych czasach.

I słuchaj, Udd. Nie zaufałym nikomu innemu. Polegam na tobie.

Nie zawieź mnie.

Mały człowieczek odszedł, wyraźnie uspokojony. Ale już mniej zawstydzony. Postąpiłem niemądrze, pomyślał Shef. I całkowicie wbrew radzie boga. Możemy potrzebować dzisiaj Udda. Ale nie jestem w stanie dłużej patrzeć w jego przerażone oczy. Pozostawienie Udda na tyłach było z jego strony aktem łaski. A także wyzwaniem rzuconym szyderczemu bogu Rigowi, ojcu i doradcy.

Shef wyszedł z namiotu pogwizdując, czym zdumiał strażników, gdyż taki poranek jak ten powinien raczej skłaniać do pełnego zadumy milczenia. Pozdrowił Cwiccę, który stał nie opodal, słuchając wyjaśnień Udda.

- Czy masz jeszcze tę kobzę, którą zrobiłeś zimą, Cwicca? No cóż, zagraj na niej dzisiaj. Jeśli to nie przerazi Ragnarssonów, to nic ich nie przerazi.

Kilka godzin później flota zbliżała się już do zatoki, na końcu której leżał od dawna nie pamiętający nieprzyjacielskich najazdów

Braethraborg. Płynęli z północy, a na lewo od nich wrzynał się w spokojną toń morza wąski skrawek lądu. Tam, słabo jeszcze widoczne, majaczyły cielska poczwórnej baterii mułów, osłanianej przez balisty, miotacze oszczepów, a także tanie, proste i bardzo niecelne miotacze kamieni. Na przedłużeniu cypla, na wprost wejścia do zatoki, rysowały się kształty dwunastu największych okrętów wojennych Ragnarssonów, pełniących swój stały, przybrzeżny patrol. Dalej skupiły się główne siły ich floty, wielka liczba konwencjonalnych długich łodzi, które prowadził stary wróg shefa, "Frani Ormr".

Stojący na pokładzie "Nieustraszonego" Shef słyszał postękiwania marynarzy napierających na wiosła. Były dwa razy większe od zwykłych wiosł, toteż przy każdym siedziało dwóch ludzi wybranych starannie przez Branda i Hagbartha spośród największych we flocie osiłków. Podeszli przy rozwiniętym żaglu, oszczędzając siły wiosłarzy, nadeszła jednak pora, by złożyć maszt i reję. Tuż obok, tym samym kursem, co "Nieustraszonego", płynęły cztery wielkie okręty króla Olafa, każdy o rozmiarach zatopionego "Żurawia". Wiosłarze ze zdumieniem spoglądali na konwojowany statek, bez trudu, mimo krótkich wiosł, dotrzymując mu kroku.

Shef wydał wreszcie rozkaz, by założyć osłony z hartowanej stali. Oba pomosty bojowe wraz z obrotowymi mułami też zostały częściowo osłonięte przez sterzące ukośnie płyty. Pokrycie całego kadłuba pancerzem okazało się niemożliwe, gdyż statek do reszty straciłby zdolność manewrowania, lecz Shef polecił zbudować drewniane rusztowanie, wsparte na okrężnicy. Przymocowano do niego płyty, zachodzące na siebie jak gonty dachu lub smocze łuski. One również sterzczały pochyło, zaczepione na wysokości głów wiosłarzy i niemal stykające się ze sobą sześć stóp ponad pokładem.

- Podczas bitwy zasłaniasz się tarczą-wyjaśnił Shef Hagbarthowi, kiedy ten nadal miał wątpliwości.
- Przynajmniej wówczas, gdy spodziewasz się strzał i oszczepów. Trzymasz ją ukośnie, by pociski się ześlizgiwały. To właśnie mamy zamiar zrobić.

Przodem płynął z mozołem "Nieustraszonego" i towarzyszące mu cztery wielkie okręty, a dalej, powtarzając szyk bojowy Ragnarssonów, podążała armada długich łodzi, bez których nie może się obejść żadna flota wikingów. Każdy ze smukłych statków poruszany był za pomocą trzydziestu sześciu wiosł, po osiemnaście na burtę, i każdy holował za sobą mniejszą łódź, ledwie widoczną na rozmigotanej w promieniach porannego słońca powierzchni morza. Załogi owych łodzi, małych rybackich skiffów, używanych na dalekiej

Północy do polowania na wieloryby, liczyły od czterech do ośmiu wiosłarzy, a oprócz nich zabierały na pokład po dwie pary zbrojnych. Wiosłarze zostali starannie wybrani spośród doświadczonych

Szwedów i Norwegów. Dwaj ludzie w każdej łodzi ściskali kusze, drugą parę stanowili germańscy Ritter Bruna.

- Maszty złożone, jak widzę - zauważył Sigurth Ragnarsson, stojący na pokładzie okrętu w centrum szyku.

- Czy to znaczy, że tym razem obejdzie się bez niespodzianek? spytał Ubbi.

- Bardzo wątpię - odparł Sigurth. - Ale my też mamy w zanadru kilka sztuczek. Miejmy nadzieję, że okażą się skuteczne.

Shef stał na szczycie dziobowego muła, w jedynym właściwie miejscu na pokładzie "Nieustraszonego", skąd mógł cokolwiek widzieć. Swym jedynym okiem wpatrywał się w baterię katapult Ragnarssonów. Miał bystry wzrok, lecz nie na tyle, by zobaczyć to, co chciał. Musiał być jakiś sposób, który pozwoliłby przyjrzeć się z bliska! Chciał wiedzieć, czy są gotowi do akcji. Gdyby byli sprytni, mogliby poczekać, aż statki Olafa znajdą się w ich zasięgu i przy odrobinie szczęścia zatopić wszystkie cztery za pierwszym strzałem. W takim przypadku bitwa zostałaby przegrana zanim się jeszcze zaczęła, gdyż "nożyce" Shefa-jak nazywał w myślach wielkie okręty - wyszczerbiłyby się na "kamieniach" w postaci katapult.

Nie chciał jednak zatrzymywać okrętów zbyt daleko od brzegu. Im krótszy dystans będą miały do przebycia mniejsze łodzie, stanowiące "papier" w jego planie, tym lepiej.

Wkrótce znajdą się w zasięgu strzału, uznał. Odwrócił się i zamachał do króla Olafa, który stał obok Branda na forkasztelu wielkiego okrętu, płynącego pięćdziesiąt jardów dalej, czyli w odległości trzech pociągnięć wiosłem. Olaf zamachał do niego w odpowiedzi i gromkim głosem wydał komendę. Gdy wiosłarze unieśli wiosła i okręt zwolnił, trzydziestofuntowy gład, wystrzelony z maksymalnej odległości, przeciął ze świstem powietrze. Spadł do morza dziesięć stóp od dziobnicy "Czapli" Olafa, wzbijając fontannę wody, która ochlapała króla. Shef skrzywił się. Trochę za bardzo ryzykował. Czy spróbują ponownie?

Cztery wielkie okręty straciły prędkość i pozostały w tyle, a "Nieustraszonego" wszedł wolno w zasięg katapult. Reszta floty również przestała wiosłować i dryfowała powoli w kierunku wybrzeża.

W martwej ciszy zabrzmiał nagle donośny okrzyk. Odczepiono liny, skiffy uwolniły się z uwięzi, wypoczęci wiosłarze natarli na wiosła i łodzie pomknęły naprzód, traktując ostatnią milę niemalże jak wyścig. Kiedy minęły najpierw swoje statki holownicze, a potem pierwszą linię wielkich okrętów, wiosłarze wyrównali szyk, wydając zgodne okrzyki, podczas gdy bosmani podawali tempo.

450 Pierwszy skiff przemknął obok "Nieustraszonego", przy sterze siedział jeden z Helgolandczyków Branda. Shef słyszał jego krzyki.

- Przykładać się, żywo, bo wyprzedzi was jakiś szwedzki kutas!

Shef pomachał do niego, potem do dwóch kuszników na tylnej ławeczce i do Bruna w jednej z następnych łodzi, których całe pięć tuzinów wrywało do przodu niczym ogary ścigające jelenia. Jego wiosłarze zbyt ciężko pracowali, by krzyczeć, popychając swój głęboko zanurzony okręt zaledwie z jedną czwartą tej prędkości, jaką osiągały skiffy.

Jak zareagujecie katapulty? Shef zobaczył wzbijające się w górę słupy wody, dwa, potem trzeci, i serce zabiło mu żywiej. Każda fontanna oznaczała chybiony strzał, każdy chybiony strzał oznaczał straconą szansę i zyskane cenne minuty, nim załogi zdołają powtórnie załadować swoje niezgrabne maszyny. Lecz jeden musiał trafić, tak, tam, tuż za prowadzącym skiffem, ludzie szamotali się na powierzchni wśród potrzaskanych desek. Nikt się nie zatrzymał, aby ich wyłowić. Shef twardo się przy tym upierał. Nie ratować rozbitków. Wiosłować dalej i zostawić ich własnemu losowi. Część z nich pociągną na dno ciężkie kolczugi, lecz miał nadzieję, że niektórzy zdołają przytrzymać się pływających desek i dotrą do pobliskiego brzegu. Wiosła pracowały zawzięcie i skiffy parły

naprzód jak stado wodnych żuków. A tymczasem "Nieustraszony" zbliżył się o kolejne dwieście jardów do powiewających groźnie sztandarów pierwszej linii floty Ragnarssona.

- Jeszcze sto pociągnięć - krzyknął Shef do wiosłarzy. - Sto uderzeń wiosła i będziecie mogli odpocząć. Hagbarcie, podawaj tempo. Cwicca, zagraj im.

Ogromni mężczyźni wzięli się ostro do pracy, wyężdżając wszystkie siły, czego nigdy by nie zrobili na początku zwyczajnej bitwy, o wyniku której decydują często mocniejsze ręce. Piskliwa muzyka podniecała ich zapał. Cuthred wyrzwał spod stalowego pancerza, uśmiechając się kwaśno.

- Ogvind mówi, że wiosłowałby szybciej bez tej kobzy, czy mógłbyś uciszyć grajka?

Shef machnął niecierpliwie ręką i krzyknął coś, czego nikt nie usłyszał. Odliczanie trwało, a Shef raz jeszcze popatrzył przed siebie, oceniając odległość, śledząc nieprzyjacielskie katapulty, pędzące skiffy i pierwszą linię Ragnarssonów, która wyraźnie się przybliżyła. Szczęście, że przynajmniej oni nie ruszyli do walki. Gdyby uderzyli na jego zgrupowanie natychmiast, ich "nożyce" mogły przeciąć jego "papier", gdyż wielkie statki zatopiłyby małe. Lecz teraz jego "papier" owinie się wokół ich "kamienia", a jego "kamień" wyszczerbi ich "nożyce".

- Dziesięć uderzeń! - krzyknął Shef- i ster prawo na burt! Ustawiamy się bokiem. Cwicca, strzelaj w Kruczy Sztandar! Osmod podniósł głos jeszcze bardziej, aby usłyszano go przy rufowej katapulcie - strzelaj w statek na lewo od Kruka, a potem w następny z lewej, z lewej, słyszysz?!

Okręt wykonał zwrot, a wiosłarze odetchnęli z ulgą i oparli się ciężko o wiosła, złani potem. Shef zeskoczył na pokład i pobiegł do następnego punktu obserwacyjnego, skąd mógł widzieć obie katapulty. Cwicca i Osmod wybierali cele dla swoich mułów, patrząc przez szczeliny pomiędzy płytami pancerza.

Cwicca opuścił rękę, Hama zwolnił dźwignię spustową, ramię wyrzutni uderzyło w wyścielaną poprzeczkę, a cały statek zadrżał od potężnego wstrząsu. W chwilę później zadrżał ponownie, gdy

Osmod też wydał komendę. Shef z napięciem śledził szybujące w powietrzu czarne kropki. Cwicca i Osmod musieli ostro się zabrać za szkolenie swoich ludzi. Chybili "Żurawia" w decydującym momencie. Czy tym razem sprawią się lepiej?

Obie kropki gwałtownie zakończyły swój lot w samym środku linii Ragnarssonów, Shef był prawie pewien, że widzi wzlatające w górę potrzaskane deski. Czekał, kiedy trafiony statek otworzy się jak kwiat i zniknie pod wodą, co oglądał już kiedyś w czasie bitwy u ujścia Łaby. Nic. Szyk nie załamał się, wciąż patrzyły na nich groźne smocze łby. Co zrobili Ragnarssonowie? Też opancerzyli swoje statki?

- Dwa trafienia! - krzyknął Shef. - Strzelać dalej, w prawo i w lewo, zgodnie z rozkazem! - Nie miał pojęcia, co się dzieje. Ale wojna to wojna, kiedy bitwa już się zaczęła, nie ma czasu na rozmyślanie, trzeba po prostu dalej robić swoje.

Powtórnie załadowano katapulty, wiosłarze pod okiem Hagbartha ostrożnie zanurzyli wiosła, starając się utrzymać statek burtą do nieprzyjaciela. Znów podwójny wstrząs uwalnianych z wyrzutni kamieni, znów ciemne smugi, sunące ponad wodą w stronę zwartej linii okrętów. I nadal

żadnych wyrw, żadnych zapadających się dziobnie. Lecz Shef dostrzegł teraz ludzi, biegli, przeskakując z pokładu na pokład. Trafienia odniosły jednak jakiś skutek.

Kiedy tak patrzył, "Nieustraszony" zakołysał się nagle na falach.

Potężny łoskot zawibrował metalicznym echem. Shef skulił się, gdy 45?

nad jego głową przemknęły wirujące odpryski. Rozejrzał się wokół i zobaczył, że katapulty na cyplu wybrały sobie inny cel, nie strzelały już do sunących ku nim skiffów, ale do okrętu, który zagrażał ich liniom obronnym. Gdyby nie hartowany pancerz, „Nieustraszony” zatonąłby w jednej chwili. Głaz trafił dokładnie w śródokręcie, tuż pod złożonym masztem, i przy zderzeniu ze stalową płytą roztrzaskał się na świszczące ponad głowami odłamki. Shef precyzyjnie się pomiędzy wioślarzami, by wraz z Hagbarthem obejrzeć uszkodzenia. Pancerz wytrzymał, lecz wspierające go drewniane rusztowanie pękło przez środek, zewnętrzne płyty zwisały luźno.

Raz jeszcze "Nieustraszony" zadrżał od własnych wystrzałów i raz jeszcze rozległ się metaliczny łoskot spadających kamieni. Jeden uderzył w kadłub, znów łamiąc rusztowanie, drugi w pomost rufowej katapulty. Osmოდ dopadł burty, chwilę mocował się z obłuzowanymi płytami i rozkazał swym ludziom pozostać na miejscach.

- Dajcie jakąś linę! - krzyknął. - Zwiążemy tę belkę i będziemy mogli dalej strzelać!

Shef spostrzegł, że cały pomost przechylił się, widocznie musiał trzasnąć jakiś wspornik. Nie wytrzymają długo takiego ostrzału.

Stalowa płyta ześliznęła się po złamanym rusztowaniu i wpadła do morza, przez otwór zajrzało słońce.

- Obrócić statek, póki nie skończyli ładować - wrzasnął Shef. Nie uszkodzoną burtą do nich. Jeszcze trzy salwy i będzie po nas.

Pierwszy skiff dotarł do brzegu, o całe sto jardów od baterii. Po drodze ostrzelały ich najpierw balisty, a potem małe, proste w obsłudze ruty, nazywane przez ludzi Shefa miotaczami kamieni. Choć pierwsze nie były groźne dla łodzi, to jednak mocno dały im się we znaki, gdyż wyrzucane przez nie oszczepy darły koleczugi i wbijały się w ciało. Te drugie mogły zatopić łódź, lecz były za to bardzo niecelne i strzelały właściwie na oślep. W ostatniej chwili łódzie zbiły się w zwartą formację, by przeprowadzić zmasowany atak na brzeg.

Zastąpiły im drogę ze dwie setki ludzi, stojących po kolana w wodzie, zdecydowanych zepchnąć ich z powrotem do morza i obronić własne katapulty, dać im więcej czasu na zniszczenie okrętu, który atakował ich główne siły. Kuszownicy w łodziach naciągnęli cięciwy.

We współczesnej wojnie wszystkie części maszyny muszą ściśle ze sobą współpracować, gdyż inaczej są bezużyteczne. Jeśli natomiast działają razem, bitwa zamienia się w rzeź. Powietrze wypełnił świst żelaznych bełtów, wystrzelonych z bliskiej odległości, przebijających tarcze i koleczugi. Gdy mistrzowie Ragnarssonów walili się na ziemię, położeni strzałami lekkobrojnymi skogarmenn. z łodzi wysiedli germańscy rycerze w ciężkich zbrojach, sformowali szyk, wzniesli tarcze i ruszyli, na komendę Bruna. Wywiązała się zwykła walka wręcz, ostrze szczekało o ostrze, lecz trwało to krótko. Potem szeregi obrońców, mocno już przerzedzone, poszły w rozsypkę. Samotni wojownicy stawiali jeszcze opór, inni usiłovali wywalczyć sobie bezpieczny odwrót.

Bruno zwołał swych ludzi, znów ustawił ich w zwartej kolumnie i poprowadził na piaszczysty brzeg.

Załogi katapult próbowały oddać właśnie ostatni strzał, lecz widząc, co się dzieje, rzuciły się do ucieczki; tylko nieliczni porwali za miecze i tarcze.

Shef nie potrafił powiedzieć, jakim sposobem okręty Ragnarssonów utrzymują się jeszcze na powierzchni, lecz najwyraźniej ktoś uznał, że mają już dosyć. Spostrzegł, że za pierwszą linią mniejsze statki przegrupowują się do ataku, a okręty pierwszej linii wprawdzie nie poszły na dno, ale zanurzyły się znacznie głębiej, Shef widział, jak chwiejają się ich smocze dziobnice. Zatem "Nieustraszony" prawie wykonał swoje zadanie, zamienił dwanaście największych okrętów Ragnarssonów w niezdolne do akcji wraki, które nie tonęły tylko dlatego, że szcepiono je ze sobą burtami. Teraz przyszła kolej na mniejsze okręty.

Lecz kiedy sunęły naprzód, król Olaf, który również śledził przebieg bitwy z odległości pół mili, rozkazał swoim ludziom dać w rogi i brać się do wiosł. "Czapla" i jej trzej towarzysze ruszyli na spotkanie wroga, głos bojowych rogów niósł się gromkim echem ponad rozmigotaną powierzchnią morza. Papier owinął kamień małe łodzie przeciwko katapultom. Kamień wyszczerbił nożyce katapulty "Nieustraszonego" przeciwko wielkim okrętom. A teraz wielkie okręty wojenne króla Olafa uderzyły na długie łodzie Ragnarssonów, nożyce miały przeciąć papier.

Shef śledził wzrokiem przepływającą obok "Czaple", widział Olafa i Branda, którzy z forkaasztelu wyznaczali kurs, patrzył, jak dwa statki Ragnarssonów śmiałym manewrem podchodzą do niej z obu stron niczym brytany, które starają się osaczyć byka. Przywitała je salwa z kusz, potem posypał się w dół grad oszczepów, a wreszcie poleciały za burtę kamienie, ciskane ludzkimi rękoma, lecz wystarczająco ciężkie, by przebić dziurę w dnie. Jednemu z mniejszych statków udało się podejść do "Czapli", chociaż sam zaczął już tonać. Jego załoga przerzuciła bosaki i liny przez burtę większego okrętu, lecz mm ktokolwiek zdołał wdrzeć się na pokład, ginął od pchnięcia włócznią lub ciosu mieczem. Odparłszy ten atak, "Czapla" ruszyła w pościg za drugim napastnikiem. Za czwórką wielkich okrętów podążała reszta floty Shefa, szukając luk w szeregach przeciwnika, wypatrując dla siebie celów.

Shef oparł się o okrężnicę i rozejrzał wokół. No i już, pomyślał.

Bitwa była skończona, pozostało tylko dobijanie pokonanych. Zobaczył zdobyte katapulty Ragnarssonów i długi rząd porzuconych na brzegu skiffów. Trochę spóźniony, lecz dobrze zaplanowany atak króla Olafa przetrącił kręgosłup nieprzyjacielskiej flocie. Największe okręty Ragnarssonów w ogóle nie weszły do akcji, wyeliminowane z walki przez "Nieustraszonego".

A przecież niewiele brakowało, by sprawy przybrały zupełnie inny obrót! Bez kusz skiffom mogło nie udać się lądowanie. Wówczas "Nieustraszony" zostałby rozbity w drzazgi, podobnie jak okręty króla Olafa, gdyby usiłowały podejść bliżej. Jeśli nawet nie uporałyby się z nimi katapulty, to po zatonięciu "Nieustraszonego" rzuciłby się na nie cały tuzin smoczycy dziobów Ragnarssonów. Lecz papier owija kamień, kamień stępi nożyce, nożyce tną papier. Za każdym razem. Tak to jest na współczesnej wojnie.

- Toniemy - oznajmił zwięźle Hagbarth. - Myślę, że któryś z tych kamieni musiał naruszyć szkielet. Spójrz. - Wskazał na dno ładowni, gdzie chlupotała woda.

- Cwicca, Osmod! - krzyknął Shef. - Dajcie tu swoich ludzi do wybierania wody. No cóż, Hagbarcie, spróbujemy osadzić go na brzegu. Tam, na cyplu poniżej katapult.

Działania wojenne przeniosły się tymczasem w głąb lądu i w odległy kraniec zatoki, toteż okaleczony statek powlókł się przez puste morze, upstrzone jedynie szczątkami okrętów i głowami walczących o życie rozbitków.

Rozdział trzydziesty trzeci ".Nieustraszony" osiadł na płyciźnie, lub może zatonął, lecz tak czy inaczej dotknął dna zaledwie kilka jardów od piaszczystego brzegu. Plaża usiana była ciałami zabitych i rannych. Tu i ówdzie machały błagając o ratunek wynurzone z wody ręce. Shef wskazał je

Hagbarthowi.

- Weź kilku ludzi i szalupę, wyłów tylu, ilu zdołasz. Poślij też kilku na brzeg, niech zajmą się rannymi. Pójdzie z nimi Hund.

Hagbarth skinął głową.

- Pozostałym każę zdjąć płyty i odciążyć statek. Myślę, że jeszcze będzie mógł pływać.

- Dobrze. - Shef spojrzał na skarpe, gdzie Ragnarssonowie ustawili swoje katapulty. Nie było przy nich nikogo. Bitwa toczyła się już gdzie indziej, załogi katapult uciekły, ludzie Shefa zostawili swoje łodzie i ruszyli za nimi w pogoń, licząc z pewnością na bogate łupy w pozbawionym obrony Braethraborgu. Shef poczuł, jak oblewa go fala zmęczenia, a zarazem ulgi, poczuł też, że nie byłby w stanie podjąć żadnych więcej decyzji. Teraz, gdy ucichł zgiełk bitwy, zaśpiewał nagle skowronek, wysoko w górze, ponad trawiastym zboczem, a Shef przypomniał sobie dni spędzone wśród łąk Emneth wiele lat temu. Może te dni jeszcze wrócą. Dni pokoju.

Postanowił wspiąć się na niewysoką skarpe i popatrzeć na przeciwległy brzeg zatoki, na koniec bitwy i to, co musiało nastąpić potem, plądrowanie Braethraborgu. Gdy zaczął wspinać się na zbocze z włócznią w dłoni, dołączył do niego Cuthred. Karli też ruszył za nimi, kilka kroków z tyłu. Hagbarth popatrzył na oddalającą się grupę, tknięty nagłym niepokojem. Na polu bitwy ludzie często udają zabitych, więc martwy wróg może niespodzianie poderwać się na nogi. Wikingowie mieli w zwyczaju obchodzić pobojuwisko, obdzierać trupy, dobijać rannych nieprzyjaciół, patrzeć, kto wart jest okupu. Tym razem zaniedbano tego. Królowi towarzyszyło jednak dwóch zbrojnych, a na brzegu było dużo do zrobienia. Hagbarth przestał o tym myśleć i zaczął przydzielać ludziom zadania.

Na szczycie wzniesienia Shef znów zobaczył zabitych, lecz nie tak wielu - załogi katapult w większości uciekły na widok maszerujących po zboczu, świetnie wyszkolonych germańskich rycerzy.

Stanął w najwyższym położonym miejscu i napawał się widokiem, który oglądał już wcześniej w swojej wizji, choć z drugiego krańca fiordu. Długa, zielona, spokojna zatoka. Milę dalej ciągnęły się w równych rzędach zbite ciasno szopy, baraki, przystanie, pochylnie i zagrody dla niewolników. Samo serce potęgi Ragnarssonów, przez tak długi czas najbardziej przerażające miejsce na całej Północy.

Owa potęga spoczywała teraz na dnie zatoki, rozbita w drzazgi przez okręty króla Olafa, które właśnie zbliżały się powoli do głównej przystani. Mniejsze łodzie rzuciły się w pogoń za ocalałymi z pogromu niedobitkami. Niektóre statki, należące do niepewnych sojuszników Sigurtha, opływały zatokę szerokim łukiem, usiłując wydostać się z matni. Na środku pobojuwiska sterczały rozbite przez katapulty "Nieustraszonego", podziurawione kadłuby dwunastu wielkich okrętów o smoczycy dziobach, których załogi tłoczyły się na zalewanych wodą pokładach, czekając na ratunek lub na śmierć.

Po całej zatoce krążyły łodzie lub naprędce sklecone tratwy pełne rozbitków, inni usiłowali dotrzeć do brzegu wpław.

- Niewiele miałem dzisiaj do roboty - rzekł Cuthred, przystając za plecami Shefa. - Równie dobrze mogłem zostać na tyłach.

Shef nie odpowiedział. Jego wzrok padł na trzech ociekających wodą wojowników, którzy wciągali na piasek małą łódź, po drugiej stronie cypla, z dala od miejsca, gdzie osiadł na mieliźnie "Nieustraszonego".

Oni też go dostrzegli i poczęli spiesźnie wspinać się po zboczu.

- Może będzie to jednak dobry dzień - powiedział idący przodem Sigurth Ragnarsson. Rozpoczął bitwę na pokładzie jednego z wielkich okrętów pierwszej linii. Pokład ten został roztrzaskany przez pierwszy kamień, wystrzelony z dziwnego, pokrytego metalem statku, którym dowodził Sigvarthsson. Okręt nie poszedł na dno tylko dlatego, że wszystkie dwanaście kadłubów szepiono razem bosakami. Ale kamienie wciąż nadlatywały, a on czekał i czekał, z rosnącą niecierpliwością, aż jego własne katapulty zmiążdżą intruza. W końcu zerwał z masztu Kruczy Sztandar i przeniósł się wraz z braćmi na ukochany "Frani Ormr", prowadzący główne siły jego floty pod osłoną wielkich okrętów patrolowych. Potem, kiedy metalowy statek wreszcie zaczął tonąć i wycofał się z walki, poprowadził atak mniejszych okrętów przeciwko "Czapli" króla Olafa.

Nie zatrzymał wroga, a w dodatku stracił "Frani Ormr", którego dno strzaskał kamień zrzucony z wyższego pokładu. On i jego bracia musieli zabić kilku własnych ludzi, nim udało im się opuścić tonący statek, gdyż załogę ogarnęła panika. Jego flota i armia przestały istnieć. W ciągu niecałej godziny został wyzuty z potęgi i władzy, znów był tylko zwykłym wojownikiem, którego cały majątek stanowi odzienie i broń. Sigurth słyszał, że Odyn zdradza niekiedy swoich ulubieńców. Zsyła im jednak, tak przynajmniej mówiono, chwalebny śmierć, z mieczem w dłoni. Nie zaś haniebną porażkę, bez szansy na zadanie choćby jednego ciosu.

Lecz teraz Sigurth pomyślał, że być może Odyn nie odwrócił się jednak od niego, gdyż oto miał przed sobą sprawcę wszystkich kłopotów. Było przy nim tylko dwóch ludzi, przeciwko Sigurthowi i jego dwóm potężnym braciom. Trzech na trzech.

Shef rozejrzał się niepewnie, z daleka rozpoznał dziwne oczy

Wężookiego. Sigurth, Halvdan i Ubbi, sami mistrzowie, przy tym uzbrojeni do walki wręcz, na którą czekali, a która się nie odbyła.

Przeciwko nim on, tylko ze starą i kruchą włócznią, bez zbroi i tarczy, Karli, ściskający kurczowo swój lichy miecz, i Cuthred. Czy

Cuthred sam stawi czoło trzem mistrzom naraz, z wątpliwą pomocą, jakiej mogą mu udzielić Shef i Karli? To było coś, czego Shef miał nadzieję uniknąć i od czego zawsze starał się wymigać: uczciwa walka z lepszym i bardziej doświadczonym przeciwnikiem. Rozsądek nakazywał rzucić się natychmiast do ucieczki, na brzeg, pod osłonę kusz "Nieustraszonego". Shef odwrócił się w stronę towarzyszy i zaczął dawać im znaki, pokazując na zbroje.

Za późno. Oczy Cuthreda zrobiły się nagle okrągłe; dyszał ciężko, z kącika ust popłynęła mu strużka śliny. On również rozpoznał

Wężookiego.

Shef złapał go za ramię i zatoczył się, odepchnięty tarczą, kolec o włos minął jego twarz.

- Cuthredzie! - krzyknął. - Teraz musimy uciekać. Zabijesz ich później.

- Zabiję ich teraz - usłyszał w odpowiedzi ochrypy, nieludzki głos - Pamiętaj, należysz do mnie. Uwolniłem cię z młyna. Przysięgałeś mi wierność.

. Cuthred spojrział mu prosto w twarz. Zachował jeszcze resztkę rozsądku, choć zbliżał się już berserkerangr.

-Należałem już wcześniej do kogoś, królu. Ci ludzie zabili króla

Elle. - Jego wargi z trudem wymawiały słowa, twarz mu drżała.

Shefowi zdawało się, że usłyszał słowo "wybacz". A potem berserk wyminał go i pomknął w upojeniu trawiastym zboczem ku zbliżającej się trójcy.

Zatrzymał się kilka kroków przed nimi i zawołał do nich. Głos miał czysty, wysoki, przepełniony obłądną radością.

- Synowie Ragnara! - krzyknął szyderczo. - Zabiłem waszego ojca. Wyrwałem mu paznokiec, żeby zmusić go do mówienia. Potem związałem go i wrzuciłem do dołu z węzami, ormgarthr. Miał siłą twarz, kiedy umarł, i związane ręce. Nie spotkacie się z nim w Valhali.

Odrzucił głowę do tyłu i zaniósł się triumfalnym śmiechem. W powietrzu mignął oszczep Sigurtha, szybki jak wąż. Nastąpiła równie szybka parada hartowaną tarczą i oszczep uleciał wysoko w górę.

A potem Cuthred zaatakował.

Sigurth zwinnie usunął mu się z drogi, uchylił się przed pierwszym ciosem, odparował pchnięcie. Potem nadbiegli Ubbi i Halvdan, zaszli Cuthreda z dwóch stron, błysnęły miecze. Słysząc było już tylko szcęk metalu, kiedy Cuthred odbijał ciosy i sam nacierał z furją, zmuszając obu przeciwników, by ustępowali mu pola.

Nie mógł jednak walczyć z trzema jednocześnie. Sigurth przez chwilę przyglądał się starciu, którego sam zdołał uniknąć, potem odwrócił się i ruszył dalej, z obnażonym mieczem i wzniesioną tarczą. Shef rozejrzał się wokół. Obok niego stał Karli, z pobladłą twarzą: wciąż ścisnął przekuty miecz nieszczęsnego Hraniego, który dostał od Shefa. Shef miał swoją włócznię. Żaden z nich nie

miął tarczy. Jeden na dwóch, przewaga była po stronie Sigurtha. Ale nie mogli teraz uciec i zostawić Cuthreda samego.

- Tym razem nie dzieli nas woda, sprytny chłopcze - powiedział

Sigurth. Kiedy natarł, Shef zasłonił się włócznią; po raz pierwszy spróbował posłużyć się nią w prawdziwej potrzebie. Sigurth jednym ciosem odrąbał grot od drzewca i natychmiast ciął ponownie, mierząc w szyję Shefa. Shef uchylił się, odskoczył, wyrzucił bezużyteczne drzewce i wyrwał zza pasa nóż, ten sam, którym zabił Kjallaka. Wciąż czuł się otepiały, wyczerpany, niezdolny do działania.

Teraz przydałby mu się napój Hunda. Ale Hund był po drugiej stronie wzgórza.

Karli wystąpił naprzód, by bronić swego pana; zamachnął się mieczem, który nosił z dumą od dnia, gdy dostał go od Shefa. Zrezygnowany Shef uświadomił sobie, że Karli znów zapomniał o wszystkim, czego starał się go nauczyć. Uderzał jak pastuch, jak churl, jak pletwonogi z bagien. Sigurth bez trudu odbił pierwszy cios, z niedowierzaniem poczekał na drugi, zasłonił się przed nim tarczą i ciął z szybkością zmił, zanim Karli zdołał przyjąć pozycję obronną. Shef usłyszał odgłos, z jakim topór uderza w rzeźnicki pień, kiedy miecz zagłębił się w czaszkę. Krępy człowiek z Ditmarsh wypuścił broń z ręki i zwałił się na ziemię u stóp Wężook/iego.

Halvdan, pod którym uginały się już kolana, odpierał ńa zboczu wściekle ataki Cuthreda. Kilka jardów dalej leżał Ubbi, z odrąbaną głową. Sigurth zobaczył tę scenę kątem oka i znowu spojrział na Shefa.

- Lepiej upewnij się co do ciebie - powiedział, przechodząc nad ciałem Karliego. Shef znalazł się twarzą w twarz z doświadczonym wojownikiem. W ręku miał tylko nóż, a było o wiele za późno, by odwrócić się i uciekać.

Jednooki Odyn spoglądał z wysoka na swego ulubieńca, Sigurtha, syna Ragnara.

- To wielki wojownik - rzekł zasmucony.

- Ale przegrał bitwę - odparł bóg o chytrym obliczu.

- Wygrałby, gdyby walka była uczciwa.

- Więc zabierz go do Valhalli.

Odyn zawahał się na chwilę. Czy powinien pozwolić swemu gorliwemu wyznawcy na ostatnie zwycięstwo? Przypomnił sobie słowa swego syna Riga, a także swoje słowa, które wyszeptał do ucha ukochanego syna Baldera na stosie pogrzebowym. " Oby jakiś bóg przywrócił mi ciebie, mój synu ". Żaden bóg tego nie uczynił ani żaden bohater, nawet wierny Hermoth. Może inni mieli rację. Może nie krew jest lekarstwem, lecz łzy. Wężooki nigdy nie uroni łzy. Odyn z żalem podjął decyzję.

- Nie na darmo nazywają mnie bolverkiem, złoczyńcą, zdrajcą wojowników - mruknął. Usłyszał g0 tylko Rig, a także Heimdall, gdyż on słyszał wszystko.

Wezwał swoje Walkirie, które krążą nad każdym polem bitwy, wybierając przeznaczone na śmierć, zarzucają na nich sieć omdlenia i strachu, sprawiają, że broń wypada z ręki, a oczy spowija mgła.

Wielką włócznią wskazał im Wężookiego.

Sigurth ruszył po zboczu jak szarżujące zwierzę, nastawił miecz, wznosił tarczę, ani na chwilę nie odrywając obwiedzionych bielą źrenic od twarzy Shefa. Shef cofał się przed nim, uzbrojony jedynie w krótki nóż, wystawiony na każdy cios i pchnięcie, które spadną, gdy tylko Sigurth pokona dzielące ich jeszcze sześć stóp. Cofając się poczuł nagle, że nie stąpa już po pochyłości. Dotarli na szczyt wzniesienia i posuwali się jego grzbietem. Lada chwila znajdą się wśród porzuconych katapult, doskonale widoczni z pokładu "Nieustraszonego". Jeśli zdoła odwlec nieuchronny koniec bodaj jeszcze trochę... O tym samym musiał pomyśleć Sigurth. Ruszył szybciej, zdecydowany dokończyć dzieła, nim ktokolwiek spróbuje mu przeszkodzić.

Wężooki w pośpiechu sznurował tego ranka swoje buty z niewyprawionej skóry. W tej chwili jeden rzemień włókł się za nim po trawie. Gdy Sigurth przyspieszył kroku, szykując się do śmiertelnego pchnięcia, nastąpił na rozwiązany rzemień, pośliznął się i stracił równowagę. Opuścił na moment tarczę i lewą ręką wsparł się o ziemię.

Shef, który wciąż się cofał, rzucił się odruchowo do przodu i dźgnął rogalandzkim nożem. Ostrze weszło pod szczękę i przebiło podbródek, dokładnie tak, jak podczas walki z Kjallakiem. Sigurth patrzył na Shefa przez chwilę, dziwne oczy rozwarły się szeroko ze zdumienia. Potem musiały chyba zobaczyć coś za jego plecami, bo przez tężejącą w agonii twarz przemknął wyraz zrozumienia i niesmaku. Sigurth uniósł miecz, jakby chciał przebić nim jakiś cień, zdrajcę, który nagle ukazał mu się na niebie.

Shef zdecydowanym ruchem przekreślił nóż i odskoczył, a Sigurth upadł na twarz.

Po zboczu, kulejąc, szedł ku niemu Cuthred. Jego twarz przecinała długa, bezkrwawa rana, jakby rzeźnik rozkroił zleżałe mięso.

Kolczuga, rozdarta i poszarpana w kilkunastu miejscach, zwiślała na nim w strzępach. Wydawało się niepodobieństwem, że w ogóle mógł iść, zjedną nogą na wpół odrąbaną od tułowia na wysokości uda, tam, gdzie kiedyś zranił go Vigdjarf.

- Ty dostałeś jednego, ja dostałem dwóch - oznajmił. - Pomściłem króla EUę. Opowiem mu o tobie dobre rzeczy. - Kiedy tak stał, chwiejąc się na nogach, płomień szaleństwa powoli gasł w jego oczach. Głos też brzmiał coraz bardziej normalnie. - Chcę, żebyś pochował mnie jak należy. Pozdrów ode mnie trolle i Miltastaray.

Byłbym jej mężczyzną.

Krew trysnęła z ran Cuthreda, jakby teraz, kiedy minął już berserkerse gangr, stracił nagle owo dziwne panowanie nad swoim ciałem.

Osunął się na ziemię i upadł na plecy. Gdy Shef pochylił się, aby sprawdzić puls, nie wyczuł go. Ruszył wolno po zroszonej krwią trawie do miejsca, gdzie leżał Karli, lecz nie miał wielkiej nadziei. Takich wojowników, jak Wężooki, nie zawodzi ręka. Chyba że uprzedzi się ich cios. Nie mylił się. Karli był martwy jak głaz, z rozrąbanej czaszki wypłynęła krew wraz z mózgowiem, z

twarzy na zawsze zniknął wyraz radości, ustępując miejsca zdumieniu i przerażeniu. Złe wieści dla Edith i wielu innych kobiet. Złe wieści dla Miltastaray.

Shef machinalnie podniósł miecz Cuthreda i ze zwieszoną głową powlókł się w stronę statku. Gdy doszedł do porzuconych katapult, ze zdziwieniem stwierdził, że naprzeciw niego stoi Germanin

Bruno. Dalej, na brzegu, ujrzał Hagbartha, który też go zauważył i machał właśnie do ludzi, pracujących przy "Nieustraszonym", wskazując im wzgórze. Na razie jednak byli zupełnie sami.

- Widziałem twój pojedynek - powiedział Bruno. - Teraz zabiłeś już dwóch Ragnarssonów. Lecz nadal nie wiem, jak ci się to udało. Byłem pewien, że Sigurth położy cię bez trudu. Każdy z moich ludzi poradziłby sobie z tobą. Wątpię, czy byłbyś dla mnie przeciwnikiem.

- Dlaczego mielibyśmy walczyć?

- Ponieważ masz coś, czego chcę. Gdzie twoja włócznia?

Shef wskazał głową za siebie.

- Została tam. Co ona dla ciebie znaczy?

W odpowiedzi Bruno zamierzył się na niego swoim długim, obusiecznym mieczem. Shef odruchowo sparował cios ostrzem, które zabrał Cuthredowi, sparował następny, i jeszcze jeden, potem miecz wyleciał z jego dłoni, a Bruno przyłożył mu sztych do gardła, dokładnie w to miejsce, gdzie on sam pchnął wcześniej Sigurtha Wężookiego.

462 _ Co ona dla mnie znaczy? - powtórzył Bruno. - To Święta

Włócznia, którą przebito bok Jezusa Chrystusa. Uczynił to germański centurion. Ta włócznia przelała świętą krew.

Shef przypomniał sobie jedną ze swoich wizji. Zobaczył wtedy ukrzyżowanie i człowieka z czerwonym pióropuszem na hełmie, który wypowiedział germańskie słowa.

- Tak - rzekł ostrożnie, gdyż zimna stal wbijała mu się w skórę. Wierzę ci.

- Ten, kto posiada włócznię, zostanie cesarzem. Prawdziwym cesarzem Zachodu, następcą Karola Wielkiego, zjednoczy ponownie Imperium Romanum. Imperium Romanum Germanorum.

Shef poczuł nagle, jak przygniata go jakiś ogromny ciężar, silniejszy niż strach przed stalowym ostrzem na gardle. Dwukrotnie już nakłaniano go, by pozbył się włóczni, a on dwukrotnie odmówił. Jeśli teraz ulegnie, to może się zdarzyć, że odda cały świat pod nowe panowanie, nową tyranię nowego Rzymu, silniejszego niż stary Rzym i stary papież. Jeśli odmówi, zginie. Czy ma prawo ratować życie za taką cenę? Teraz, kiedy Karli i Cuthred leżą martwi na trawie?

A jednak włócznia nie była jego własnością. To przynajmniej nie ulegało wątpliwości. Należała do chrześcijan. Co zamierzają nią zrobić, to wie jedynie ich Bóg. Lecz oni też mają prawo podążać za swoją wizją, tak jak on i Droga, Thorvin, Vigleik i wszyscy inni mają prawo podążać za swoją. Przypomniał sobie umierającego

Chrystusa w swojej wizji, przypomniał sobie króla Edmunda z East

Anglii, przypomniał sobie rozpacz starej kobiety, którą on i Alfred spotkali na leśnej polanie, i pomyślał, że może coś jeszcze przyjdzie światu z krzyża. Jeśli już nie z Kościoła. Lecz Bruno nie był człowiekiem Kościoła.

- Jeżeli włócznia ma odbudować wasze cesarstwo - powiedział niechętnie Shef - to chyba lepiej, żeby zabrał ją Germanin. Grot znajdziesz obok ciała mojego przyjaciela, tam, gdzie Sigurth odciął go od drzewca. Tylko grot jest stary, drzewce wymieniano wiele razy.

Bruno przez chwilę wydawał się zakłopotany.

- Jesteś gotów ją oddać? Ja bym tego nie zrobił, nawet z ostrzem na gardle. - Czas jakiś rozmyślał, nie zważając na ludzi, którzy biegli ku nim po zboczu. - To prawda. Twoim godłem nie jest włócznia, czy to Odyna, czy centuriona Longinusa. To, co nosisz na szyi, jak ci już kiedyś mówiłem, to graduale. Twoim przeznaczeniem jest podążać za tym znakiem, tak jak moim było odzyskać włócznię.

Cofnął ostrze, a potem zasalutował wzniesioną klingą.

- Mimo wszystko powinienem cię zabić - powiedział. - Myślę, że jesteś niebezpiecznym człowiekiem, chociaż bardzo źle władasz mieczem. Lecz nie byłoby po rycersku, gdybym zrobił to z zimną krwią. Żegnaj więc, królu Północy. Pamiętaj, że ja pierwszy pozdrowiłem cię w ten sposób.

Zbiegł po zboczu, podniósł coś z zakrwawionej murawy, ucałował i pognał w stronę zwartej linii jeźdźców, pędzących ku niemu od Braethraborgu.

Shef wyrwał kuszę jednemu z lekkobrojnych skogarmenn, którzy wbiegli zadyszani na wzgórze, naciągnął ją, założył belt i popatrzył na oddalające się szerokie plecy, sześćdziesiąt, osiemdziesiąt, sto jardów przed sobą.

Ja też powinienem cię zabić, pomyślał. Lecz to nie byłoby po rycersku, tak z zimną krwią odpłacać złem za dobro. Żegnaj więc, przyszły cesarzu. Lub, jak wy mówicie, aufwiedersehen.